Łuk Triumfalny

Remarque Erich Maria



calibre 0.9.27

Erich Maria Remarque

Łuk Triumfalny

1

Kobieta skręciła ku Ravicowi. Biegła szybko, ale chwiała się przy tym w jakiś dziwny sposób. Zauważył ją dopiero, kiedy była tuż. Zobaczył bladą twarz o wystających kościach policzkowych i szeroko rozstawionych oczach. Była tak nieruchoma i podobna do maski, jakby zapadnięta, a oczy w świetle ulicznych latarni połyskiwały tak szklaną pustką, że przyciągnęła jego uwagę.

Przeszła tuż koło niego, prawie go dotykając. Podbiegł i chwycił ją za ramię: właśnie potknęła się i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał.

Mocno ścisnął jej ramię.

–Dokąd pani idzie? – zapytał po chwili.

Zwróciła ku niemu twarz.

–Proszę mnie puścić – wyszeptała.

Ravic nie odpowiedział. Ciągle jeszcze mocno ściskał jej ramię.

–Proszę mnie puścić! Czego pan chce? – Kobieta ledwo poruszała wargami.

Ravic miał wrażenie, że go w ogóle nie dostrzega; patrzyła gdzieś poprzez niego w pustkę nocy. Był zaledwie czymś, co ją zatrzymało, do tej przeszkody mówiła: "Proszę mnie puścić". Zorientował się od razu, że nie jest prostytutką. Nie była też pijana. Nie ściskał już teraz tak mocno jej ramienia. Mogła się łatwo uwolnić, ale widocznie nie przyszło jej to na myśl. Ravic czekał chwilę.

–Czy pani naprawdę chce gdzieś biec sama, o tej godzinie, w Paryżu? – spytał raz jeszcze spokojnie i puścił jej ramię.

Trwała w milczeniu. Ale nie odeszła. Wydawało się, iż raz zatrzymana, niezdolna jest znów się poruszyć.

Ravic oparł się o balustradę mostu. Dłońmi wyczuwał wilgotną, porowatą powierzchnię kamienia.

–Może tam? – Ruchem głowy wskazał za siebie w dół, ku Sekwanie, która niezmordowanie dążyła ku cieniom mostu de l'Alma w szarym, stopniowo zmierzchającym lśnieniu.

Kobieta nie odpowiedziała.

–Za wcześnie – powiedział Ravic. – Za wcześnie i za zimno w listopadzie.

Wyjął paczkę papierosów, grzebał po kieszeniach, szukając zapałek. Wiedział, że są tylko

dwie w pudełku, więc pochylił się, żeby starannie osłonić płomyk przed łagodnym powiewem od rzeki.

–Proszę i mnie dać papierosa – powiedziała kobieta bezbarwnym głosem.

Wyprostował się i podsunął jej paczkę.

–Algierskie. Ciemny tytoń Legii Cudzoziemskiej. Pewno będą dla pani za mocne. Nie mam innych przy sobie.

Potrząsnęła głową i wzięła papierosa. Ravic podał zapałkę. Paliła szybko, głęboko się zaciągając. Ravic rzucił zapałkę za balustradę. Leciała w ciemnościach jak mała spadająca gwiazda i zgasła, dopiero gdy dotknęła wody.

Przez most powoli jechała taksówka. Szofer zatrzymał wóz. Spojrzał ku nim, poczekał chwilę, po czym dał gazu i pojechał ku wilgotnej, ciemnopołyskliwej Avenue George V.

Ravic poczuł się nagle bardzo zmęczony. Przepracował cały dzień, a w nocy nie mógł spać. Wyszedł więc znów, żeby się napić. A teraz, niespodziewanie, razem z wilgotnym chłodem późnego wieczoru, zmęczenie spadło na niego jak ciężki wór.

Spojrzał na kobietę. Co sprawiło, że ją zatrzymał? Coś tu nie było w porządku, to jasne. Ale cóż go to obchodzi? Mało to widział kobiet, u których coś nie było w porządku? Szczególnie w nocy, szczególnie w Paryżu. Teraz było mu to całkowicie obojętne, tęsknił do kilku godzin snu.

–Niechże pani idzie do domu – powiedział. – Co pani robi o tej godzinie na ulicy? Wplącze się pani tylko w jakąś awanturę.

Podniósł kołnierz palta i gotował się do odejścia. Kobieta patrzyła, jakby go nie rozumiała.

–Do domu? – powtórzyła.

Wzruszył ramionami.

–Do domu, do mieszkania, do hotelu, no, gdziekolwiek, czy ja wiem? Chyba się pani nie chce spotkać z policją?

–Do hotelu! Mój Boże! – powiedziała kobieta.

Ravic przystanął. “Oto znowu ktoś, kto nie wie, gdzie iść” – pomyślał. “To było do przewidzenia. Zawsze to samo. W nocy nie wiedzą, dokąd pójść, a rano wychodzą, zanim się zbudzisz. Wtedy już wiedzą, dokąd. Stara, tania rozpacz, która rodzi się i ginie wraz z nocą”. Rzucił papierosa. Jakby sam tego nie znał aż nadto dobrze!

–Wejdźmy gdzieś i napijmy się czegoś – powiedział.

Było to najprostsze rozwiązanie. Potem będzie mógł zapłacić i pójść, a ona niech sobie robi, co chce.

Kobieta zrobiła jakiś niepewny ruch i znów się potknęła. Ujął jej ramię.

–Zmęczona? – zapytał.

–Nie wiem. Przypuszczam.

–Zanadto zmęczona, żeby usnąć?

Kiwnęła głową.

–Zdarza się. Chodźmy. Trzymam panią.

Poszli w górę Avenue Marceau. Ravic czuł, że kobieta się na nim wspiera. Wspierała się jak człowiek, który się przewraca, a nie chce do tego dopuścić. Przecięli Avenue Pierre I de Serbie. Za skrzyżowaniem z rue de Chaillot ulica się rozszerzała, a na tle dżdżystego nieba pojawiła się mglista i ciemna masa Łuku Triumfalnego.

Ravic wskazał wąskie, słabo oświetlone drzwi do jakiegoś baru w suterenie.

–Wejdźmy, coś jeszcze pewno będzie można dostać.

*** * ***

Była to knajpa szoferów. Siedziało tu kilku kierowców taksówek i kilka prostytutek. Kierowcy grali w karty, dziwki piły absynt. Szybkim spojrzeniem otaksowały nowo przybyłą. Potem odwróciły się obojętnie. Starsza głośno ziewnęła, młodsza zaczęła się niedbale malować. W głębi chłopak o twarzy umęczonego szczura posypał podłogę trocinami i zaczął zamiatać. Ravic usiadł z kobietą przy stoliku koło wejścia: stąd łatwiej się było ulotnić. Nie zdjął palta.

–Czego się pani napije? – zapytał.

–Nie wiem. Czegokolwiek.

–Dwa calvadosy – powiedział Ravic do kelnera, któremu spod kamizelki widać było podwinięte rękawy koszuli. – I paczkę chesterfieldów.

–Nie ma – oświadczył kelner. – Tylko francuskie.

–Dobrze. W takim razie paczkę zielonych laurensów.

–Nie ma zielonych, tylko niebieskie.

Ravic obrzucił wzrokiem ramię kelnera, na którym wytatuowana była goła kobieta stąpająca

po obłokach. Kelner, idąc za jego wzrokiem, zacisnął pięść, tak że muskuł się naprężył; goła kobieta lubieżnie zakołysała brzuchem.

–Więc niech będą niebieskie – powiedział Ravic.

Kelner wyszczerzył zęby.

–Może tam jeszcze została paczka zielonych. – Poczłapał w głąb lokalu. Ravic odprowadził go wzrokiem.

–Czerwone pantofle – powiedział – i taniec brzucha. Chyba służył w tureckiej marynarce.

Kobieta położyła ręce na stole; zrobiła to w taki sposób, jakby już nigdy nie zamierzała ich podnieść. Miała ręce wypielęgnowane, ale to niczego nie dowodziło. Teraz zresztą nie dbała o nie. Ravic zauważył, że środkowy paznokieć u prawej ręki jest ułamany i nie opiłowany, ale po prostu oddarty, lakier gdzieniegdzie odpadł.

Kelner przyniósł dwa kieliszki i paczkę papierosów.

–Laurensy zielone. Znalazły się.

–Tak też sobie myślałem. Służył pan w marynarce?

–Nie. W cyrku.

–Jeszcze lepiej. – Ravic podsunął kobiecie kieliszek. – Proszę, niech pani wypije. To najlepsza rzecz o tej porze. A może wolałaby pani kawy?

–Nie.

–Jednym haustem.

Kobieta skinęła głową i opróżniła kieliszek. Ravic przyjrzał się jej. Miała twarz zgaszoną, bez koloru, niemal bez wyrazu. Usta pełne, ale blade, o nieco niewyraźnym zarysie. Tylko włosy były bardzo ładne, jasne i połyskliwe. Miała baskijski beret, a pod nieprzemakalnym płaszczem granatowy kostium. Dobry krawiec szył kiedyś ten kostium, za to wielki zielony kamień na jej palcu był o wiele za duży, żeby mógł być prawdziwy.

–Jeszcze jeden?

Skinęła głową.

Zawołał kelnera.

–Dwa calvadosy, ale większe.

–Większe kieliszki? I w nich też więcej?

–Tak.

–To będą dwa podwójne calvadosy.

–Zgadł pan.

Postanowił szybko wypić i pójść. Był znudzony i bardzo zmęczony. Zwykle w takich wypadkach wykazywał dużo cierpliwości; miał ponad czterdziestkę i za sobą życie pełne przygód. Ale takie sytuacje trafiały się zbyt często. Przebywał od paru lat w Paryżu i źle sypiał; dlatego widywał różne rzeczy podczas swych wędrówek.

Kelner przyniósł trunek. Ravic wziął kieliszek z alkoholem o wonnym, przenikliwym zapachu jabłek i postawił ostrożnie przed kobietą.

–Proszę i to wypić. Niewiele pomoże, ale trochę rozgrzeje. A o cokolwiek chodzi, niech pani nie bierze tego tak poważnie. Bardzo rzadko jakaś rzecz jest długo poważna.

Kobieta popatrzyła na niego. Nie piła.

–Naprawdę. Szczególnie nocą. Noc przesadza.

Kobieta ciągle patrzyła na niego.

–Niech mnie pan nie pociesza.

–Tym lepiej.

Ravic rozejrzał się za kelnerem. Miał dosyć. Znał ten typ kobiet. Pewno Rosjanka. Jeżeli tylko gdzieś siądą, jeszcze zmoknięte, stają się aroganckie.

–Pani jest Rosjanką? – zapytał.

–Nie.

Ravic zapłacił i wstał, żeby się pożegnać. W tej samej chwili wstała także kobieta, w milczeniu i jakby to było zrozumiałe samo przez się. Ravic spojrzał na nią niepewnie. "Dobrze – pomyślał – mogę to zrobić i za progiem".

Znowu zaczęło padać. Za drzwiami Ravic stanął.

–W którą stronę pani idzie? – Był zupełnie zdecydowany pójść w przeciwną.

–Nie wiem, w którąkolwiek.

–Gdzież pani mieszka?

Poruszyła się szybko.

–Nie mogę tam iść! Nie, nie mogę tego zrobić! Tam nie!

Oczy jej napełniły się nagle dzikim przerażeniem. “Pokłóciła się – pomyślał Ravic – zerwała i uciekła. Przemyśli to sobie do południa i wróci”.

–Nie ma nikogo, do kogo by pani mogła pójść? Jakiejś znajomej? Może pani zatelefonować z baru.

–Nie. Nie mam tu nikogo.

–Gdzieś pani przecież musi pójść. Czy ma pani pieniądze na pokój?

–Mam.

–To niech pani przenocuje w hotelu. Tyle ich jest w tych bocznych uliczkach.

Kobieta nie odpowiedziała.

–Gdzieś pani musi iść – powtórzył już niecierpliwie. – Nie zostanie pani przecież w deszcz na ulicy.

Otuliła się ciaśniej płaszczem.

–Słusznie – powiedziała, jakby wreszcie powzięła jakąś decyzję. – Pan ma zupełną rację. Dziękuję. Proszę się już o mnie nie troszczyć. Poradzę sobie jakoś. Dziękuję. – Jedną ręką ściągnęła szczelniej kołnierz płaszcza. – Dziękuję panu za wszystko.

Spojrzała na Ravica z wyrazem rozpaczy, próbując bez powodzenia się uśmiechnąć. Potem odeszła wśród drobnego deszczu, poruszając się szybko i bezszelestnie.

Ravic zatrzymał się chwilę.

–Tam do licha! – mruknął zdziwiony i niepewny.

Nie wiedział dlaczego, czy z powodu tego beznadziejnego uśmiechu, czy spojrzenia, czy pustych ulic i nocy, ale nie mógł dopuścić, żeby kobieta odeszła w taką mgłę sama, jak zagubione dziecko.

Dopędził ją.

–Niech pani idzie ze mną – powiedział mrukliwie – coś chyba znajdziemy.

Doszli do Étoile. Przed nimi rozpościerał się plac, szary, wielki i nieobjęty. Mgła zagęściła się, nie było widać rozchodzących się ulic. Nic, tylko ten rozległy plac, oświecony rzadkimi, smutnymi księżycami ulicznych latarni, i ten monumentalny kamienny łuk, który ginął we mgle, jakby podpierał melancholijnie niebo i osłaniał samotny, słaby płomień na Grobie Nieznanego Żołnierza, wyglądając jak mogiła ludzkości pośród nocy i opuszczenia.

Przecięli plac. Ravic szedł szybko. Był zbyt zmęczony, żeby myśleć. Łowił uchem ciche, chwiejne kroki kobiety, która szła za nim w milczeniu, z głową opuszczoną i z rękami w kieszeniach – mały, obcy płomyk życia – i nagle, w późnej samotności placu, wydało mu się przez chwilę, że ona do niego w jakiś dziwny sposób przynależy, chociaż nic o niej nie wie, a może właśnie dlatego. Była mu obca, tak jak on był wszędzie obcy, ale właśnie ta obcość dziwnie ją do niego zbliżała, bardziej niż codzienne przyzwyczajenie albo mnogość słów.

Ravic mieszkał w małym hoteliku, położonym przy jednej z bocznych ulic Avenue Wagram, za placem des Ternes. Dom był raczej walącą się budą, jedyny nowy szczegół stanowił szyld nad bramą, głoszący: "Hôtel International".

Zadzwonił.

–Czy macie jakiś wolny pokój? – zapytał chłopca, który otworzył drzwi.

Chłopiec sennie spoglądał na niego.

–Nie ma portiera – bąknął wreszcie.

–Widzę. Ciebie się pytam, czy jest jakiś pokój.

Chłopiec bezradnie wzruszył ramionami. Zobaczył, że Ravic przyprowadził kobietę, po co mu w takim razie drugi pokój? Doświadczenie uczyło go, że nie po to sprowadza się kobiety.

–Madame śpi. Jeśli ją zbudzę, wyrzuci mnie – powiedział i podrapał się nogą w łydkę drugiej.

–Dobrze. Sami się tym zajmiemy.

Ravic dał chłopcu napiwek, wziął klucz i poszedł na górę; kobieta szła za nim. Przed otwarciem drzwi do swego pokoju obejrzał te, które były naprzeciw. Nie stało przed nimi obuwie. Zastukał dwa razy, nikt nie odpowiedział. Lekko nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

–Wczoraj był pusty – mruknął. – Spróbujemy z drugiej strony. Widać gospodyni zamknęła drzwi, żeby pluskwy nie uciekły. Otworzył swoje drzwi z klucza.

–Niech pani siądzie na chwilę. – Wskazał kanapę pokrytą czerwonym materiałem. – Zaraz wracam.

Otworzył wysokie okno, wiodące na wąski żelazny balkonik, i przeskoczył balustradę dzielącą go od sąsiedniego. Znów nacisnął klamkę. I te drzwi były zamknięte. Zrezygnowany powrócił do pokoju.

–Wszystko na nic. Nie dostaniemy tu drugiego pokoju. Kobieta siedziała w rogu kanapy.

–Mogę tu chwilę posiedzieć?

Przyjrzał się dokładnie jej twarzy, ściągniętej wielkim zmęczeniem. Zdawało się, że kobieta nie będzie miała siły wstać.

–Może pani tu zostać – powiedział.

–Na chwilę tylko…

–Może pani się tu przespać. Tak będzie najprościej. Zdawało się, że nie usłyszała jego słów. Powolnym, prawie automatycznym ruchem poruszyła głową.

–Trzeba było zostawić mnie na ulicy. Teraz… zdaje mi się, że nie będę miała siły…

–I ja tak myślę. Niech pani tu zostanie i położy się spać. To najlepsze, co pani teraz może zrobić. Zobaczymy, co jutro przyniesie.

Kobieta spojrzała na niego.

–Nie chciałabym…

–Mój Boże – powiedział Ravic – wcale mi pani nie będzie przeszkadzać. Nie pierwszy raz nocuje u mnie ktoś, kto nie wie, dokąd pójść. To hotel dla uchodźców. Taka rzecz zdarza się prawie co dzień. Niech pani wyciągnie się na łóżku, ja się położę na kanapie. Przywykłem.

–Nie, nie zostanę tutaj. Bylebym tylko mogła tu posiedzieć, nic więcej.

–Dobrze, jak pani woli.

Ravic zdjął płaszcz i powiesił na gwoździu. Potem wziął z łóżka poduszkę i kołdrę i przysunął do kanapy krzesło. Przyniósł z łazienki płaszcz kąpielowy i przewiesił przez poręcz.

–Proszę – powiedział. – To wszystko, co mogę pani ofiarować. Jeśli pani sobie życzy, mogę jeszcze służyć pidżamą. Znajdzie ją pani w szufladzie. Nie będę się już zajmował panią. Może pani teraz iść do łazienki. Ja mam jeszcze coś do roboty.

Potrząsnęła głową.

Ravic stanął przed nią.

–Ale płaszcz zdejmie pani – powiedział. – Przemókł na wylot. Proszę też zdjąć czapkę.

Podała obie rzeczy. Ravic przesunął poduszkę w róg kanapy.

–To pod głowę. A tu krzesełko, żeby pani nie spadła przez sen. – Przysunął je bliżej. – Teraz buty. Oczywiście, przemoczone kompletnie. Najlepszy sposób, żeby się przeziębić. – Zsunął jej z nóg obuwie, potem wyjął z szuflady parę krótkich wełnianych skarpetek i naciągnął na stopy. – No, teraz już lepiej. W krytycznej chwili dbaj o wygodę, oto stare przysłowie żołnierskie.

–Dziękuję – powiedziała kobieta. – Dziękuję.

Ravic wszedł do łazienki i odkręcił kurki. Woda zaczęła napełniać umywalnię. Rozwiązał krawat i bezmyślnie zapatrzył się w lustro. Bystre oczy w głęboko ocienionych oczodołach, wąska, śmiertelnie znużona twarz, tylko oczy ją ożywiają, łagodny zarys warg kłóci się ze zmarszczką, która biegnie od nosa ku ustom, a nad prawym okiem gubiąca się we włosach, długa, zygzakowata blizna.

Dzwonek telefonu przerwał jego rozmyślania. Do diabła! Na parę sekund zapomniał o wszystkim, zdarzały mu się takie chwile zamroczenia. A tam przecież ciągle siedzi ta kobieta.

–Idę! – zawołał. – Przestraszyła się pani? – Podniósł słuchawkę. – Co? Tak. Dobrze. Naturalnie, tak, oczywiście, że da się zrobić. Gdzie? Dobrze, zaraz będę. Gorącą, mocną kawę, tak.

Ostrożnie położył słuchawkę i parę sekund siedział zamyślony na poręczy kanapy.

–Muszę iść – powiedział. – Pilna sprawa.

Kobieta wstała natychmiast. Zachwiała się nieco i oparła o krzesło.

–Nie, nie. – Na chwilę wzruszyła go ta jej posłuszna gotowość. – Pani może tu zostać. Niech się pani położy. Wychodzę na godzinę, dwie, nie wiem zresztą. Proszę zostać.

Włożył płaszcz. Przez głowę przemknęła mu jakaś myśl, ale zaraz o niej zapomniał. Kobieta nic nie ukradnie. To nie ten typ. Wiedział o tym aż nazbyt dobrze. Nie było zresztą wiele do ukradzenia.

Już był w drzwiach, kiedy spytała:

–Czy nie mogę iść z panem?

–To niemożliwe. Proszę zostać. Niech się pani rozgości, na łóżku, jeśli pani woli. Tam stoi koniak. Niech się pani położy.

Był w drzwiach.

–Niech pan zostawi światło – powiedziała kobieta nagle i szybko.

Zdjął rękę z klamki.

–Boi się pani? – spytał.

Skinęła głową. Wskazał klucz.

–Niech pani za mną zamknie. Ale proszę nie zostawiać klucza w zamku. Na dole jest drugi, wezmę go i otworzę sobie.

Potrząsnęła głową.

–Nie o to chodzi. Ale proszę, niech pan zostawi światło.

–Ach, tak. – Spojrzał na nią uważnie. – I tak bym nie zgasił. Niech się pali. Znam to uczucie. I ja przez to przechodziłem.

Na rogu rue des Acacias złapał taksówkę.

–Na rue Lauriston. Tylko szybko.

Samochód zawrócił i wjechał w Avenue Carnot. Kiedy przecinał Avenue de la Grande Armée, mały kabriolet wyrwał się nagle z prawej strony. Wozy wpadłyby na siebie, gdyby jezdnia nie była tak wilgotna i śliska. Zahamowany kabriolet ześliznął się na środek, o dwa cale od chłodnicy taksówki. Lekki wóz zawirował jak karuzela. Był to mały renault, prowadzony przez człowieka w szkłach i w czarnym meloniku. Przy każdym obrocie widać było jego bladą, oburzoną twarz. Potem wóz zatrzymał się na końcu ulicy zwrócony ku Łukowi, jakby stawiał czoło olbrzymiej bramie Hadesu – mały, zielony owad, zza którego biała pięść grozi nocnemu niebu.

Kierowca odwrócił się ku Ravicowi.

–Widział pan coś podobnego?

–Owszem – powiedział Ravic.

–I w takim kapeluszu! Żeby człowiek, który nosi taki kapelusz, leciał z taką szybkością po nocy!

–To jego prawo. Jechał główną ulicą. Czego pan wymyśla?

–Oczywiście, był w swoim prawie. Właśnie dlatego wymyślam.

–A co by pan zrobił, gdyby on nie miał prawa?

–Wymyślabym także.

–Ułatwia pan sobie życie.

–Wymyślałbym inaczej – tłumaczył szofer, skręcając w Avenue Foch. – Nie dziwiłbym się. Rozumie pan?

–Nie. Niech pan zwalnia na skrzyżowaniach.

–Właśnie miałem zamiar, tylko to przeklęte błoto… Ale dlaczego mnie pan pyta, jeśli pan nie ma zamiaru wysłuchać odpowiedzi?

–Bo jestem zmęczony – odpowiedział Ravic niecierpliwie. – Bo to noc. A może, bo jesteśmy jak iskry na nieznanym wietrze. Jedź pan prędzej.

–A, to co innego. – Szofer z pewnym szacunkiem dotknął czapki. – Rozumiem.

–Słuchaj pan – powiedział Ravic podejrzliwie – czy pan jest Rosjaninem?

–Nie. Ale dużo czytam, czekając na klientów.

"Nie mam dziś szczęścia do Rosjan" – pomyślał Ravic. Odrzucił w tył głowę. "Kawa. Bardzo gorąca, mocna kawa. Miejmy nadzieję, że jej wystarczy. Nie mogą mi drżeć ręce. Jeśli nie dam sobie rady inaczej, Veber będzie mi musiał zrobić zastrzyk. Ale dam sobie radę". Opuścił okno i oddychał wolno, głęboko, wilgotnym powietrzem.

2

Mała salka operacyjna była oświetlona i jasna jak w dzień. Było tu jak w higienicznie urządzonej rzeźni. Tu i ówdzie stały wiadra z watą przesiąkniętą krwią, leżały rozrzucone bandaże i tampony, czerwień protestowała głośno i uroczyście przeciw bieli. W sąsiednim pokoju, przy emaliowanym żelaznym stoliku, siedział Veber, robiąc notatki; pielęgniarka gotowała instrumenty, woda szumiała, światło zdawało się brzęczeć, tylko ciało na stole leżało jakoś niezależnie, jakby nic z tym wszystkim nie miało wspólnego.

Ravic nalał sobie na ręce mydła w płynie i zaczął się myć. Robił to z gniewną zaciętością, jakby je chciał obedrzeć ze skóry.

–Cholera – mruczał. – Cholera, przeklęte gówno!

Pielęgniarka spojrzała na niego z obrzydzeniem. Veber podniósł oczy.

–Spokojnie, Eugenio. Każdy chirurg klnie. Szczególnie, jeśli coś się nie uda. Chyba pani już przywykła.

Pielęgniarka rzuciła garść instrumentów do gotującej się wody.

–Profesor Perrier nigdy nie przeklinał – wyjaśniła obrażonym tonem. – A mimo to uratował wielu ludzi.

–Profesor Perrier był specjalistą od operacji mózgu, najsubtelniejsza mechanika precyzyjna, Eugenio. My pracujemy w podbrzuszu. To zupełnie co innego. – Veber zamknął książkę i wstał. – Zrobił pan, co pan mógł, Ravic, ale na fuszerkę nie ma sposobu.

–Czasem jest.

Ravic wytarł ręce i zapalił papierosa. Pielęgniarka z milczącą naganą otworzyła okno.

–Brawo, Eugenio – pochwalił ją Veber. – Zawsze według przepisów.

–Mam obowiązki. I nie chciałabym wylecieć.

–To ładnie, Eugenio. To krzepi.

–Niektórzy nie mają obowiązków. I nie chcą ich mieć.

–Łap, Ravic, to dla ciebie. – Veber się roześmiał. – Lepiej uciekajmy. Eugenia rankiem jest zawsze taka agresywna. I tak nie ma tu już co robić.

Ravic zwrócił się ku niemu. Popatrzył na obowiązkową pielęgniarkę. Odważnie odwzajemniła jego spojrzenie. Szkła w niklowej oprawce sprawiały, że jej szeroka twarz była w jakiś szczególny sposób nieosiągalna. Eugenia była wprawdzie jak on istotą ludzką, ale bardziej mu obojętną niż drzewo.

–Przepraszam – powiedział. – Pani ma rację.

Na stole w białym świetle leżało to, co jeszcze parę godzin temu było nadzieją, tchnieniem, bólem, żywym życiem. Teraz był to nieczuły trup – i ten ludzki automat, zwany siostrą Eugenią, dumny z tego, że nigdy nie popełnił najmniejszego błędu, przykrył trupa prześcieradłem i wywiózł z sali. "Tacy żyją wiecznie" – pomyślał Ravic. "Światło nie lubi tych drewnianych dusz, dlatego zapomina o nich, pozwala im trwać".

–Do widzenia, Eugenio – powiedział Veber. – Niech się pani porządnie wyśpi.

–Do widzenia, doktorze. Dziękuję.

–Do widzenia – powiedział Ravic. – Niech siostra wybaczy, że kląłem.

–Żegnam – odpowiedziała Eugenia.

Veber uśmiechnął się.

–Charakterek z lanego żelaza.

*** * ***

Na dworze wstawał szary dzień. Wozy ze śmieciami z brzękiem jechały przez ulice. Veber nastawił kołnierz.

–Ależ pogoda! Podwieźć pana?

–Nie, dziękuję, przejdę się.

–Na taką pogodę? Podrzucę pana. To akurat po drodze.

Ravic potrząsnął głową.

–Dziękuję, Veber.

Veber przemknął po nim wzrokiem.

–Dziwne, że kiedy ktoś umiera pod nożem, pan jest zawsze wstrząśnięty. Czy przez piętnaście lat praktyki nie zdążył się pan do tego przyzwyczaić?

–Owszem, przyzwyczaiłem się. I nie jestem wstrząśnięty.

Veber, duży i ciężki, stał przed Ravikiem. Jego okrągła twarz błyszczała jak normandzkie jabłko. Połyskiwały czarne, przystrzyżone, wilgotne od deszczu wąsy. Połyskiwał także czekający na zakręcie buick. Za chwilę pojedzie nim wygodnie do swojego różowego, lalczynego domku na przedmieściu, do połyskującej schludnością żony, połyskujących schludnością dwojga dzieci, połyskliwego życia. Jak mu wytłumaczyć to zachłystywanie się w chwili pierwszego cięcia nożem, kiedy czerwony ślad zaczyna biec za lekkim naciskiem ręki, kiedy ciało między klamrami i kleszczami rozchyla się jak kurtyna, kiedy obnażone zostają organy, które nigdy przedtem nie widziały światła dziennego, kiedy człowiek podąża za tropem jak myśliwy w dżungli i wreszcie staje twarzą w twarz z wielkim zwierzem – śmiercią, wśród zniszczonych tkanek, guzów, tumorów, ran?

Jak wytłumaczyć mu tę walkę, w której jedyną bronią są lancet, igła i nieskończenie pewna dłoń; ten nagły cień, który przesłania biel doskonałej koncentracji, majestatyczną śmieszność, nagle dopada noża, aby go stępić, igły, by ją skruszyć, obarczyć ciężarem rękę. Niewidoczne, tajemnicze pulsowanie życia ucieka nagle spod bezsilnej dłoni, zapada się, tonie w upiornych czarnych wirach, których ani osiągnąć, ani uniknąć nie można, a twarz, która przed chwilą dyszała, była jakimś "ja" i miała własne imię, zmienia się w sztywną, bezimienną maskę. Bezsensowna, buntownicza słabość; jakże ją wytłumaczyć i co tu w ogóle jest do tłumaczenia?

Ravic zapalił nowego papierosa.

–Dwadzieścia jeden lat – powiedział.

Veber ocierał chustką błyszczące krople na wąsach.

–Pracował pan wspaniale. Nigdy bym tak nie potrafił. Że nie można było naprawić tego, co spaskudził jakiś fuszer, to już nie pana wina. I cóż by się z nami stało, gdybyśmy myśleli inaczej?

–Tak – powiedział Ravic. – Co by się z nami stało?

Veber schował chustkę.

–Jednak po wszystkim, co pan przeszedł, powinien pan być całkowicie uodporniony.

Ravic spojrzał na niego ironicznie.

–Człowiek nigdy nie jest uodporniony. Może się tylko do wielu rzeczy przyzwyczaić.

–O tym właśnie myślałem.

–Ale też nie do wszystkiego. I trudno przewidzieć, do czego nie. Powiedzmy, że tym razem sprawiła to kawa. Może istotnie kawa wywołała moją zaostrzoną wrażliwość, a myśmy to przypisali podnieceniu.

–A dobra była, co?

–Doskonała.

–Umiem zaparzać kawę. Coś mi się wydawało, że będzie panu potrzebna, więc sam ją przyrządziłem. To nie czarna lura, produkt lubej Eugenii, co?

–Cóż za porównanie! Jest pan mistrzem parzenia kawy.

Veber wsiadł do auta, nacisnął starter i wysunął głowę ponad opuszczoną szybę.

–A może jednak? Musi pan być strasznie zmęczony.

"Jak foka" – pomyślał Ravic obojętnie. "Veber wygląda jak zdrowa foka. Ale cóż z tego? Dlaczego mi to przyszło na myśl? Dlaczego ciągle mam te podwójne myśli?"

–Zmęczenie przeszło – powiedział. – Kawa mnie otrzeźwiła. Niech pan dobrze śpi, Veber.

Veber roześmiał się. Błysnęły białe zęby pod czarnymi wąsami.

–Niech pan nie myśli, że się położę. Będę pracował w ogródku. Posadzę tulipany i narcyzy.

"Tulipany i narcyzy" – powtórzył w duchu Ravic. "Na schludnych oddzielnych grzędach, między schludnymi żwirowanymi ścieżkami. Tulipany i narcyzy, morelowo-złota burza

wiosenna".

–Tymczasem – powiedział. – Reszta na pana głowie, co?

–Oczywiście. Wieczorem do pana zadzwonię. Honorarium, niestety, nie będzie wysokie. Po prostu nie warto o nim mówić. Dziewczyna była uboga i zdaje się, że nie miała rodziny. No, jeszcze pomyślimy.

Ravic niedbale machnął ręką.

–Dała Eugenii sto franków, widać nie miała więcej. Dwadzieścia pięć franków dla pana.

–Dobrze, dobrze – powiedział niecierpliwie Ravic. – Tymczasem.

–Tymczasem. Do jutra rana o ósmej.

*** * ***

Ravic poszedł z wolna ulicą Lauriston. Gdyby to było lato, usiadłby na ławce w Lasku w porannym słońcu, patrzał bezmyślnie na wodę i na zielone drzewa, aż by go opuściło to rozdrażnienie. Potem pojechałby do hotelu i położył się spać.

Wszedł do baru na rogu rue Boissiere. Przy ladzie stało kilku robotników i kierowców ciężarówek. Pili gorącą czarną kawę, drobiąc w nią słodkie bułeczki. Przyglądał im się chwilę. Oto pewne, proste życie, które można ująć w garść: wieczorne zmęczenie, posiłek, kobieta i ciężki sen bez marzeń.

–Jedną wiśniówkę – powiedział.

Umierająca dziewczyna miała na prawej kostce tani, cienki łańcuszek, imitację złota – taką fantazję miewa tylko ktoś młody, sentymentalny i pozbawiony smaku. Łańcuszek z plakietką i napisem: "Zawsze Twój – Karol", zakuty wokół kostki tak, żeby nie można go było zdjąć. Łańcuszek ten opowiadał o niedzielach w lasku nad Sekwaną, o zakochaniu i niemądrej młodości, o małym jubilerze gdzieś w Neuilly, o wrześniowych nocach na poddaszu – a potem opóźnienie, wyczekiwanie, strach, "zawsze Twój -Karol", który nigdy się już nie pokazał, przyjaciółka, która znała pewien adres, jakaś akuszerka, stół pokryty ceratą, przeszywający ból i krew, krew, przerażona twarz starej kobiety, ręce, które wpychają prędko do dorożki, żeby się pozbyć pacjentki, dni cierpienia w ukryciu, jazda do szpitala, ostatnia stówka, ściskana w gorącej, wilgotnej dłoni – i za późno.

Ryknęło radio. Tango, którego idiotyczne słowa mamrotał nosowy głos. Ravic przyłapał się na tym, że przeżywa raz jeszcze całą operację. Kontrolował każdy swój ruch. Parę godzin temu była może jeszcze szansa. Veber kazał go wezwać. Ale nie zastano go w hotelu. Więc dziewczyna musiała umrzeć dlatego, że jemu podobało się wystawać na moście de l'Alma. Veber sam nie mógł zrobić tej operacji. Bezsens przypadku. Noga, zakuta w złoty łańcuszek,

bezwładnie wykręcona do wewnątrz.

“Zejdź do mej łodzi, już księżyc lśni…” – skrzeczał śpiewak falsetem.

Ravic zapłacił i wyszedł. Przed drzwiami zatrzymał taksówkę.

–Do “Ozyrysa”.

*** * ***

“Ozyrys” był dużym drobnomieszczańskim domem publicznym, z ogromnym barem w stylu egipskim.

–Właśnie zamykamy – powiedział portier. – Nie ma już żywej duszy.

–Żywej duszy?

–Prócz pani Rolandy. Inne panie już poszły.

–Doskonale.

Portier ze złością tupał nogami obutymi w kalosze.

–Dlaczego nie zatrzymuje pan taksówki? Niełatwo będzie złapać inną. Zamykamy.

–Już pan to raz powiedział. Znajdę sobie taksówkę.

Ravic wetknął portierowi do kieszeni paczkę papierosów, przecisnąwszy się przez małe drzwiczki, minął szatnię i wszedł do salonu. Bar był pusty, wyglądał jak po przyjęciu w drobnomieszczańskim domu – jeziorka rozlanego wina, parę przewróconych krzeseł, niedopałki na podłodze, zapach tytoniu, słodkich perfum i ciała.

–Rolando – powiedział Ravic.

Stała przy stole, na którym leżał stos różowej jedwabnej bielizny.

–Ravic! – powiedziała bez zdziwienia. – Późno już. Czego chcesz, dziewczynki czy czegoś do wypicia? A może i tego, i tego?

–Wódki. Polskiej.

Rolanda przyniosła butelkę i kieliszek.

–Nalej sam. Muszę sprawdzić i spisać bieliznę. Wóz z pralni będzie tu lada chwila. Jeżeli każdej sztuki nie zapiszę, rozkradną wszystko jak sroki. Wiesz, kierowcy. Na prezenty dla swoich dziewczynek.

Ravic skinął głową.

–Nastaw muzykę, Rolando. Głośno.

–Już się robi.

Rolanda włączyła kontakt, bębny i kotły rozdygotały się w wysokim, pustym pokoju jak burza.

–Może za głośno, Ravic?

–Nie.

Za głośno? Co jest za głośne? Tylko cisza. Cisza, w której się człowiek rozpada jak w próżni.

–Skończone.

Rolanda podeszła do stolika. Miała zręczną figurę przy jasnej twarzy i spokojnych, czarnych oczach. Purytańska, czarna suknia charakteryzowała ją od razu jako zarządzającą, odróżniała od, gołych przeważnie, dziewczynek.

–Napijesz się ze mną, Rolando?

–Chętnie.

Ravic sięgnął na ladę po kieliszek i nalał. Rolanda odsunęła butelkę, ledwo nalał do połowy.

–Dosyć, nie będę więcej piła.

–Nie ma nic wstrętniejszego niż kieliszki napełnione do połowy. Zostaw, jeśli nie wypijesz.

–Dlaczego? To rozrzutność.

Podniósł oczy, ujrzał spokojną, roztropną twarz i uśmiechnął się.

–Rozrzutność, prastary straszak francuski. A po co oszczędzać? Ciebie także nikt nie oszczędza.

–To jest interes. To co innego.

Ravic roześmiał się.

–Wypijmy na cześć interesu. Czym byłby świat bez etyki handlowej? Bandą zbrodniarzy, idealistów i próżniaków.

–Potrzeba ci dziewczynki. Zawołam Kiki. Jest bardzo dobra. Dwadzieścia jeden lat.

–Co mówisz, także dwadzieścia jeden? Nie, to nie dla mnie dzisiaj. – Ravic znów napełnił kieliszek. – O czym myślisz, Rolando, nim uśniesz?

–Przeważnie wcale nie myślę. Jestem zanadto zmęczona.

–Ale jednak?

–O Tours.

–Czemu?

–Jedna z moich ciotek ma tam dom ze sklepem. Mam na nim dwie sumy hipoteczne. Kiedy umrze – ma siedemdziesiąt sześć lat – dostanę dom. Zrobię ze sklepu kawiarnię. Jasne, kwieciste tapety, trzyosobowa orkiestra: pianino, skrzypce, wiolonczela, bar w niszy. Niewielkie, ale przyzwoite. Dom położony jest w dobrej dzielnicy. Myślę, że zdołam urządzić lokal za dziesięć i pół tysiąca franków, z lampami i firankami. Odłożę sobie pięć tysięcy na pierwsze miesiące. No i komorne za pierwsze i drugie piętro. O tym właśnie myślę.

–Czy tam się urodziłaś?

–Tak, ale nikt nie wie, gdzie potem bywałam. A kiedy interes dobrze pójdzie, nikt się o to nie spyta. Pieniądze wszystko kryją.

–Nie wszystko, ale wiele.

Ravic poczuł ucisk nad oczami, który mu utrudniał mowę.

–Chyba dosyć – powiedział i wyjął z kieszeni kilka banknotów. – Czy w Tours wyjdziesz za mąż, Rolando?

–Nie od razu. Ale za kilka lat. Mam tam przyjaciela.

–Odwiedzasz go czasem?

–Rzadko. Ale on czasem pisze. Pod innym adresem, oczywiście. Jest żonaty, ale jego żona ma suchoty, jest w szpitalu. Pociągnie najwyżej rok albo dwa lata, tak mówią lekarze. Potem będzie wolny.

Ravic wstał.

–Niech ci Bóg błogosławi, Rolando. Masz wiele zdrowego rozsądku.

Uśmiechnęła się z ufnością. Wierzyła w swój rozsądek. Na jej jasnej twarzy nie odbijało się zmęczenie. Była tak świeża, jakby dopiero co wstała. Wiedziała, czego chce. Życie nie miało

przed nią tajemnic.

Na dworze był jasny dzień. Deszcz ustał. Pisuary na rogach ulic wyglądały jak wieżyczki fortec. Portier znikł, noc została starta z powierzchni, dzień się rozpoczął, tłum oblegał wejście do kolei podziemnej, jakby to były otwory, gdzie jakieś ciemne bóstwo przyjmuje ofiary.

*** * ***

Kobieta dźwignęła się z kanapy. Nie krzyknęła, zerwała się z lekkim, stłumionym jękiem, wsparła na łokciach i zamarła w bezruchu.

–Spokojnie, spokojnie – powiedział Ravic. – To ja. Człowiek, który panią tu przyprowadził przed paru godzinami.

Odetchnęła. Ravic nie widział jej wyraźnie, blask żarówek stapiał się z przesiąkającym przez okno dniem; żółtawe, blade, chorowite światło.

–Można chyba zgasić – powiedział i przekręcił wyłącznik. Znów poczuł w głowie miękki ucisk z przepicia.

–Chce pani zjeść śniadanie? – zapytał.

Zapomniał o kobiecie, a kiedy przekręcał klucz w zamku, pomyślał, że może poszła. Byłby rad, gdyby mu się udało od niej uwolnić. Wypił dość dużo, uniosła się zasłona jego świadomości, pękł brzęczący łańcuch czasu – otoczyły go wspomnienia i sny, mocne i śmiałe. Chciał być sam.

–Napije się pani kawy? – powtórzył. – To jedyna możliwa rzecz tutaj.

Potrząsnęła głową. Przyjrzał się jej uważniej.

–O co chodzi? Czy był tu ktoś?

–Nie.

–Ale coś pani jest. Pani patrzy na mnie, jakbym był upiorem.

Kobieta poruszyła wargami.

–Ten zapach… – powiedziała.

–Zapach? – powtórzył, nie rozumiejąc. – Ależ wódki nie czuć, koniaku i wiśniówki także nie. A papierosy i pani pali. Czego się tu bać?

–Nie o to chodzi.

–Więc o co?

–Ten sam… Ten sam zapach…

–O Boże, pewno eter! – powiedział Ravic i nagle zrozumiał. – Czy to eter?

Przytaknęła.

–Czy pani była operowana?

–Nie… to jest…

Ale Ravic już nie słuchał. Otworzył okno.

–Za chwilę wywieje. A tymczasem proszę zapalić papierosa.

Wszedł do łazienki i odkręcił kurki. Zobaczył swoją twarz w lustrze. Już raz stał tu tak samo parę godzin temu. Tymczasem zmarła ludzka istota. Ale cóż to miało za znaczenie? Tysiące umierają w każdej chwili. Są statystyki. Nie ma to żadnego znaczenia. Ale dla jednostki, która umiera, oznacza to wszystko i więcej niż cały świat, który się dalej kręci.

Usiadł na brzegu wanny i zdjął buty. To się przynajmniej nie zmienia, przedmioty i milczący przymus, pospolitość, mdłe przyzwyczajenie w złudnym świetle przemijania. Rozkwitające serce w zdroju miłości. Ale kimkolwiek się jest, poetą, półbogiem czy idiotą, spada się co parę godzin z nieba, żeby oddać mocz. Tego niepodobna uniknąć. Ironia natury. Romantyczna tęcza, rozpięta nad refleksami gruczołów i robaczkowym ruchem jelit. Narządy ekstazy, szatańsko przystosowane także do wydalania! Ravic rzucił buty w kąt. Wstrętne przyzwyczajenie rozbierania się! Nawet tego niepodobna uniknąć. Tylko ten to rozumie, kto mieszka sam. Była w tym jakaś przeklęta uległość, rezygnacja. Zdarzało mu się sypiać w ubraniu, żeby uciec od tej tyranii, ale to tylko odsuwało problem. Uciec nie było można.

Wziął prysznic. Chłodna woda spływała po skórze. Odetchnął głęboko i wytarł się. Pociecha drobnych rzeczy. Woda, oddech, deszcz wieczorny. I to także zrozumie tylko ten, kto żyje samotnie. Wdzięczna skóra. Swobodniejszy obieg krwi w ciemnych kanałach. Położyć się na łące. Brzozy. Białe obłoki letnie. Niebo młodości. Co się stało z przygodami serca? Zabiły je ciemne przygody życia.

Wrócił do pokoju. Kobieta siedziała skulona w rogu kanapy, wysoko podciągnąwszy kołdrę.

–Czy pani zimno? – zapytał.

Potrząsnęła głową.

–Boi się pani?

Przytaknęła.

–Mnie?

–Nie.

–Światła?

–Tak.

Zamknął okno.

–Dziękuję – powiedziała.

Obrzucił wzrokiem jej kark. Ramiona. Coś, co oddycha. Fragment cudzego życia – ale życia. Ciepło. Ciało, które nie sztywnieje. Co można dać komuś prócz tej odrobiny ciepła? I czy może być coś więcej?

Kobieta poruszyła się. Drżała. Patrzyła na Ravica. Poczuł, jak fala powraca. Wrócił głęboki chłód pozbawiony ciężaru. Napięcie minęło. Otworzyły się dalekie przestrzenie. Było mu tak, jakby wrócił po nocy spędzonej na nieznanej planecie. I nagle wszystko stało się proste: ranek, kobieta – o czym tu jeszcze myśleć?

–Chodź – powiedział.

Spojrzała na niego zdziwiona.

–Chodź! – powtórzył niecierpliwie.

3

Obudził się z uczuciem, że ktoś mu się przygląda. Kobieta ubrana siedziała na kanapie. Ale nie patrzyła na niego. Wyglądała oknem. Spodziewał się, że sobie dawno poszła. Drażniła go jej obecność. Nie znosił rano koło siebie ludzi.

Myślał, czyby jeszcze nie zasnąć, ale przeszkadzało mu, że ona go śledzi. Postanowił pozbyć się jej od razu. Jeśli czekała na pieniądze, to było proste. Ale i tak będzie proste. Usiadł na łóżku.

–Dawno pani wstała?

Kobieta drgnęła i popatrzyła na niego.

–Nie mogłam dłużej spać. Przepraszam, jeśli pana zbudziłam.

–Nie obudziła mnie pani.

Wstała.

–Chciałam wyjść, nie wiem, co mnie powstrzymało.

–Chwileczkę, zaraz będę gotów. Dostanie pani śniadanie, słynną kawę hotelową. Na to mamy chyba oboje dość czasu.

Podniósł się i zadzwonił. Potem poszedł do łazienki. Spostrzegł, że kobieta z niej korzystała, ale wszystko było uporządkowane, nawet ręczniki złożone. Myjąc zęby, usłyszał, że weszła pokojówka ze śniadaniem. Pospieszył się.

–Nie zrobiło to pani przykrości? – spytał.

–Co?

–No, że dziewczyna widziała panią. Nie pomyślałem o tym.

–Bynajmniej. Ona też nie wyglądała na zdziwioną. Kobieta patrzyła na tacę. Śniadanie było przygotowane dla dwóch osób, choć Ravic nic o tym nie wspomniał.

–Oczywiście, nie. To przecież Paryż. Proszę, oto pani kawa. Głowa boli?

–Nie.

–To dobrze. Ale mnie boli. Za godzinę i to minie. Proszę, bułeczki.

–Nie mogę jeść.

–Może pani. Tak pani sobie tylko wyobraża. Proszę spróbować.

Wzięła bułeczkę, potem ją odłożyła.

–Naprawdę nie mogę.

–W takim razie niech pani wypije kawę i zapali. To będzie żołnierskie śniadanie.

–Dobrze.

Ravic jadł.

–No i co, jeszcze pani nie ma apetytu? – zapytał po chwili.

–Nie.

Kobieta zgasiła papierosa.

–Myślę… – powiedziała i zamilkła.

–Co pani myśli? – spytał bez zainteresowania.

–Myślę, że powinnam iść.

–Orientuje się pani, gdzie jesteśmy? W pobliżu Avenue Wagram.

–Nie wiedziałam.

–A gdzie pani mieszka?

–W hotelu “Verdun”.

–Zaledwie parę minut drogi. Wskażę pani. I tak muszę panią przeprowadzić koło portiera.

–Tak… ale nie o to chodzi.

Znowu zamilkła. “Pieniądze” – pomyślał Ravic.

–Chętnie pani pomogę, jeżeli pani ma kłopoty. – Wyjął pugilares.

–Niech pan to zostawi! Skądże znowu! – powiedziała gwałtownie.

–Przepraszam – powiedział i schował pugilares.

–Proszę wybaczyć. – Wstała. – Pan był… chciałabym panu podziękować… byłoby to… w nocy… sama nie wiedziałabym…

Ravic przypomniał sobie, co zaszło. Byłoby śmieszne, gdyby z tego powodu robiła jakieś historie, ale nie spodziewał się, że mu będzie dziękowała, i to było o wiele bardziej nieprzyjemne.

–Naprawdę nie wiedziałabym… – powiedziała kobieta.

Ciągle jeszcze stała przed nim niezdecydowana. “Czemuż nie idzie?” – pomyślał.

–A teraz pani wie? – spytał, żeby cokolwiek powiedzieć.

–Nie. – Spojrzała na niego ze szczerością. – Jeszcze nie wiem. Wiem tylko, że muszę coś przedsięwziąć. Wiem, że nie mogę uciec.

–To już coś. – Wziął płaszcz. – Sprowadzę panią.

–Nie trzeba. Niech mi pan tylko powie… – Zawahała się, szukając właściwych słów. – Może pan wie, co trzeba zrobić, kiedy…

–Kiedy co? – spytał po chwili.

–Kiedy ktoś umarł. – Kobieta urwała i nagle załamała się. Zaczęła płakać. Nie, to nie było łkanie, był to bezgłośny płacz.

Ravic poczekał, aż się trochę uspokoi.

–Czy ktoś umarł?

Skinęła głową.

–Wczoraj wieczorem?

Znów przytaknęła.

–Zabiła go pani?

Patrzyła na niego ze zdumieniem.

–Co? Co pan powiedział?

–Zrobiła to pani? Jeśli pani mnie pyta, trzeba mi wszystko powiedzieć.

–Umarł! – krzyknęła. – Nagle…

Zakryła twarz.

–Czy chorował?

–Tak.

–Doktor był?

–Tak, ale on nie chciał iść do szpitala.

–Czy doktor był wczoraj?

–Nie. Trzy dni temu. Ale on… on zwymyślał doktora i nie chciał go więcej widzieć.

–Czy potem wezwała pani innego doktora?

–Nie znaliśmy żadnego. Jesteśmy tu zaledwie od trzech tygodni. Tamten… kelner sprowadził tamtego, a on nie chciał go więcej widzieć, powiedział, że i bez doktora umie się leczyć…

–Co mu było?

–Nie wiem. Lekarz powiedział, że zapalenie płuc, ale on mu nie wierzył, powiedział, że wszyscy lekarze to oszuści, i naprawdę wczoraj czuł się lepiej. Ale nagle…

–Czemuż nie przewiozła go pani do szpitala?

–Nie chciał. Powiedział, że go zdradzę, jeśli go nie będzie, on… pan go nie znał… nic się nie

dało zrobić.

–Czy jeszcze leży w hotelu?

–Tak.

–Czy pani powiedziała gospodarzowi, co się stało?

–Nie. Nagle, kiedy zamilkł i wszystko było takie nieruchome… i jego oczy… nie mogłam wytrzymać i uciekłam.

Ravic pomyślał o nocy. Przez chwilę odczuwał zakłopotanie. No, ale stało się i ostatecznie to było bez znaczenia zarówno dla niej, jak i dla niego. Szczególnie dla niej. Tej nocy nic dla niej nie miało znaczenia oprócz tego jednego: żeby jakoś przetrwać. Życie to coś więcej niż sentymentalne porównanie. Lavigne, gdy się dowiedział o śmierci żony, spędził noc w domu publicznym. Ocaliły go dziwki, żaden ksiądz by tego nie dokazał. Kto zrozumiał, to zrozumiał. Wytłumaczenia nie było. Ale obowiązki pozostają.

Włożył płaszcz.

–Chodźmy. Pójdę z panią. Czy to był pani mąż?

–Nie – powiedziała kobieta.

Gospodarz hotelu "Verdun" był grubasem. Nie miał ani jednego włoska na głowie, za to ufarbowane, czarne wąsy i krzaczaste, czarne brwi. Stał w hallu, za nim kelner, pokojówka i kasjerka o płaskim biuście. Nie ulegało wątpliwości, że wie o wszystkim. Zobaczywszy wchodzącą kobietę, zaczął wymyślać. Twarz mu poczerwieniała, machał w powietrzu tłustymi, małymi rękami, pienił się ze złości, oburzenia i, jak Ravic zauważył, z ulgą. Kiedy doszedł do policji, cudzoziemców, posądzeń i więzienia, Ravic mu przerwał.

–Czy pan pochodzi z Prowansji?

Gospodarz oniemiał.

–Nie. A o co chodzi? – zapytał zdumiony.

–O nic – odpowiedział Ravic. – Po prostu chciałem panu przerwać. Całkowicie pozbawione sensu pytanie jest w takich wypadkach najlepsze. Inaczej gadałby pan jeszcze godzinę.

–Kto pan jest, panie? Czego pan tu chce?

–To pierwsze inteligentne zdanie, jakie pan dotychczas wypowiedział.

Gospodarz uspokoił się.

–Kto pan jest? – ponowił pytanie, ale już mniej napastliwie, starając się niczym nie urazić człowieka, który mógł się okazać kimś wpływowym.

–Jestem lekarzem – powiedział Ravic.

Gospodarz pojął, że nie ma niebezpieczeństwa.

–Nie trzeba już doktora! – wybuchnął na nowo. – To sprawa dla policji!

Spojrzał na Ravica i na kobietę. Spodziewał się strachu, protestu, próśb.

–To dobry pomysł. Czemu jej jeszcze nie ma? Od tylu godzin wie pan o śmierci tego człowieka.

Gospodarz nie odpowiedział. Patrzył wściekły na Ravica.

–Powiem panu, dlaczego. – Ravic postąpił krok naprzód. – Ponieważ pan nie życzy sobie skandalu ze względu na gości. Wielu by się wyniosło, gdyby się dowiedzieli o wszystkim. Ale policja musi przyjść, takie jest prawo. Tylko od pana zależy, aby się to odbyło po cichu. Ale panu nie o to chodziło. Pan się bał, że wszystko spadnie na pana. Niepotrzebnie. Niepokoił się pan też o rachunek. Będzie zapłacony. A teraz chciałbym zobaczyć ciało. Potem pomyślę o reszcie.

Przeszedł koło gospodarza.

–Który numer? – spytał kobietę.

–Czternasty.

–Może pani ze mną nie chodzić. Sam to załatwię.

–Nie chcę tu zostać.

–Lepiej, żeby pani go już nie oglądała.

–Nie, ja tu nie zostanę.

–Dobrze. Jak pani chce.

*** * ***

Był to frontowy pokój o niskim suficie. Kilka pokojówek, paru posługaczy i kelnerów stłoczyło się koło drzwi. Ravic odsunął ich na bok. W pokoju stały dwa łóżka, na jednym z nich, tym przy ścianie, leżało ciało mężczyzny. Był żółty i sztywny, jak woskowa figura o wijących się czarnych włosach; miał na sobie czerwoną jedwabną pidżamę. Ręce były złożone na piersiach. Mała, tania drewniana Madonna, o twarzy, na której widoczne były ślady pomadki do

ust, stała za nim na stoliku. Ravic podniósł ją, z tyłu miała stempelek "made in Germany". Przyjrzał się twarzy zmarłego: na jego wargach nie było śladów pomadki, to nie ten typ człowieka. Oczy półotwarte, jedno szerzej; nadawało to ciału wyraz obojętności, jakby zastygło w wieczystej nudzie.

Ravic pochylił się nad ciałem. Spojrzał na butelki stojące na stoliku koło łóżka i zajął się dokładnym badaniem. Nie było śladów gwałtu. Podniósł głowę.

–Czy pani zna nazwisko doktora, który tu przychodził? – zapytał kobietę.

–Nie.

Spojrzał na nią. Była bardzo blada.

–Przede wszystkim niech pani usiądzie. O tam, na tamtym krześle w rogu. I niech pani tam zostanie. Czy jest tu kelner, który wzywał lekarza?

Jego oczy przemknęły po twarzach ludzi stojących w progu. Można było wyczytać na każdej z nich to samo: przestrach i chciwość.

–Franciszek był na tym piętrze – powiedziała sprzątaczka, dzierżąca miotłę jak włócznię.

–Gdzie jest Franciszek?

Jeden z kelnerów torował sobie drogę w tłumie.

–Jak się nazywał lekarz, który tu przychodził?

–Bonnet, Karol Bonnet.

–Zna pan jego telefon?

Kelner wyciągnął kartkę z kieszeni.

–Passy 2743.

–Dobrze. – Ravic zobaczył twarz gospodarza wynurzającą się z tłumu. – Najpierw zamkniemy drzwi. A może pan jeszcze zaprosi przechodniów z ulicy?

–Nie, wynosić się, precz! Stoją i kradną czas, za który im płacę!

Gospodarz wyrzucił personel z pokoju i zamknął drzwi. Ravic zdjął słuchawkę z widełek. Połączył się z Veberem i rozmawiał z nim chwilę. Potem nakręcił numer w Passy. Bonnet był w gabinecie. Potwierdził słowa kobiety.

–Ten człowiek umarł – powiedział Ravic. – Czy mógłby pan tu przyjść, żeby wystawić

świadectwo zgonu?

–Wyrzucił mnie w najniegrzeczniejszy sposób za drzwi.

–Teraz tego nie zrobi.

–Nie zapłacił mi honorarium, za to nazwał mnie starym, chciwym fuszerem.

–Czy zechce pan przyjść odebrać należność?

–Mógłbym kogoś przysłać.

–Lepiej niech pan sam przyjdzie. Inaczej nie otrzyma pan pieniędzy.

–Dobrze – powiedział Bonnet po namyśle. – Ale nic nie podpiszę bez pieniędzy. Należy mi się trzysta franków.

–Doskonale, trzysta. Dostanie je pan.

Ravic powiesił słuchawkę.

–Przykro mi, że pani musiała tego wysłuchać – powiedział do kobiety. – Ale nie było rady. Ten człowiek jest nam potrzebny.

Kobieta już trzymała w ręku pieniądze.

–To nie ma znaczenia – odrzekła. – Takie sprawy to nie nowina dla mnie. Oto pieniądze.

–Niech pani z tym zaczeka. On zaraz się zjawi. Wtedy mu pani zapłaci.

–Czy pan sam nie może wystawić świadectwa zgonu?

–Nie – powiedział Ravic. – Na to trzeba lekarza Francuza. I najlepiej tego, który go leczył.

*** * ***

Gdy drzwi zamknęły się za doktorem Bonnetem, w pokoju zrobiło się naraz cicho. O wiele ciszej, niż powinno się było zrobić po wyjściu jednego człowieka. Zdawało się, że hałas samochodów z ulicy odbija się o ścianę ciężkiego powietrza i przedostaje się przez nią z trudem. Po zamęcie ostatnich paru godzin zaczynało się odczuwać obecność zmarłego. Jego głębokie milczenie wypełniło tani pokój, i choćby nie miał na sobie wspaniałej czerwonej pidżamy, panowałby, jakby panował i martwy klaun, ponieważ się nie ruszał. To, co żyje, jest obdarzone ruchem, ruch przydaje siły, wdzięku lub śmieszności; jakże to porównać z osobliwym majestatem ciała, które nie będzie się już poruszało, tylko ulegnie rozkładowi. Majestat jest atrybutem doskonałości, a człowiek osiąga doskonałość jedynie przez śmierć, i to na krótką chwilę.

–Pani nie była jego żoną? – spytał Ravic.

–Nie. Czemu?

–Prawo. Spadek. Policja będzie chciała spisać, co należało do pani, a co do niego. Pani zatrzyma swoje rzeczy. To, co do niego należało, zabierze policja. Dla rodziny, jeśliby się zgłosiła. Miał krewnych?

–Nie we Francji.

–Pani z nim żyła, czy tak?

Nie odpowiedziała.

–Długo?

–Dwa lata.

Ravic rozejrzał się.

–Miała pani walizki?

–Oczywiście, stały tu przy ścianie… jeszcze ostatniej nocy.

–Rozumiem, gospodarz. – Ravic otworzył drzwi. Sprzątaczka z miotłą cofnęła się gwałtownie. – Matko – powiedział – na swój wiek jest pani stanowczo zbyt ciekawa. Proszę wezwać gospodarza.

Sprzątaczka zamierzała protestować.

–Słusznie – przerwał jej. – W pani wieku nie ma się już nic prócz cudzych spraw. Mimo to niech pani wezwie gospodarza.

Stara kobieta oddaliła się, mrucząc pod nosem i pchając przed sobą miotłę.

–Przykro mi – powiedział Ravic – ale nie ma rady. Może się to pani wydać brutalne, ale lepiej z tym od razu skończyć. Tak będzie prościej, choć może pani na razie nie rozumie.

–Owszem – powiedziała kobieta.

Ravic spojrzał na nią.

–Rozumie pani?

–Tak.

Gospodarz wszedł, trzymając w ręku kartkę. Nie zapukał.

–Gdzie są walizki? – spytał Ravic.

–Wpierw rachunek. Proszę. Wpierw pan zapłaci rachunek.

–Najpierw walizki. Nikt tu się na razie nie wymawiał od płacenia. Pokój jest jeszcze zajęty. Na drugi raz niech pan puka, zanim pan wejdzie. Proszę mi dać rachunek i kazać przynieść walizki.

Człowiek spojrzał na niego z wściekłością.

–Będzie zapłacony – powiedział Ravic.

Gospodarz wyszedł. Trzasnął drzwiami.

–Czy miała pani pieniądze w walizkach? – spytał Ravic kobietę.

–Nie… nie, myślę, że nie.

–Gdzie są pieniądze? W jego ubraniu? Czy może nie miał pieniędzy?

–Miał pieniądze w pugilaresie.

–Gdzie?

–Pod… – Kobieta zawahała się. – Przeważnie trzymał go pod poduszką.

Ravic wstał. Ostrożnie podniósł poduszkę, na której spoczywała głowa zmarłego, i wyciągnął czarny skórzany pugilares. Podał go kobiecie.

–Niech pani wyjmie pieniądze i wszystko, co ma dla pani jakiekolwiek znaczenie. Prędko. Nie czas na sentymenty. Musi pani jakoś żyć. Na cóż są pieniądze? Żeby pleśnieć na policji?

Wyjrzał oknem. Szofer ciężarówki kłócił się z woźnicą, który siedział na wozie z warzywami, zaprzężonym w dwa konie. Wymyślał z głębokim poczuciem przewagi, jaką daje ciężki motor. Ravic odwrócił głowę.

–Gotowe?

–Tak.

–Proszę mi oddać portfel.

Wsunął go z powrotem pod poduszkę. Stwierdził, że portfel zrobił się cieńszy.

–Niech pani włoży to do torebki – powiedział.

Usłuchała. Ravic wziął rachunek i przejrzał pozycje.

–Czy był tu już płacony jakiś rachunek?

–Nie wiem, myślę, że tak.

–Rachunek jest wystawiony za dwa tygodnie. Czy on… – Zatrzymał się, dziwne mu się wydawało mówić o zwłokach jako o panu Raczyńskim. – Czy rachunki bywały płacone od razu?

–Tak, zawsze. Często mówił, że w jego sytuacji, jeżeli już trzeba płacić, to lepiej to robić od razu.

–Co za łajdak z tego gospodarza! Czy pani nie wie, gdzie może być ostatni rachunek?

Rozległo się pukanie. Ravic nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Posługacz wniósł walizki. Za nim wszedł gospodarz.

–Wszystkie? – spytał Ravic kobietę.

–Tak.

–Naturalnie, że wszystkie – warknął gospodarz. – A co pan myślał?

Ravic podniósł mniejszą walizkę.

–Ma pani klucz? Gdzie może być?

–W szafie. W jego ubraniu.

Ravic otworzył szafę. Była pusta.

–No? – spytał gospodarza.

Gospodarz zwrócił się do służącego.

–No? – powtórzył.

–Wyniosłem ubranie – wyjąkał służący.

–Po co?

–Chciałem je oczyścić z kurzu.

–To już zbyteczne – powiedział Ravic.

–Przynieś je tu natychmiast, przeklęty złodzieju! – wrzasnął gospodarz.

Służący rzucił mu dziwne, znaczące spojrzenie i wyszedł. Po chwili wrócił z ubraniem. Ravic potrząsnął marynarką, potem spodniami. Coś brzęknęło. Chwilę się zawahał. Dziwne to uczucie szperać w kieszeniach spodni nieboszczyka. Jak gdyby garnitur umarł z nim razem. I to uczucie też było dziwaczne. Garnitur jest tylko garniturem.

Wyjął klucze z kieszeni i otworzył walizkę. Na samym wierzchu leżała płócienna teczka.

–Czy to ta? – spytał kobietę.

Skinęła głową. Ravic od razu znalazł rachunek. Był pokwitowany. Pokazał gospodarzowi.

–Policzył pan za dużo o jeden tydzień.

–No to co? – wrzasnął tamten. – Za taką awanturę! Nieporządek! Zamęt! To wszystko nic? A mój woreczek żółciowy to wliczone? Sam pan powiedział, że goście będą uciekać. Mam o wiele większe straty. A łóżko? A dezynfekcja pokoju? A pościel?

–Pościel jest policzona. Także obiad za dwadzieścia pięć franków, który on niby to jadł wczoraj wieczorem. Czy pani coś jadła wczoraj? – zwrócił się do kobiety.

–Nie. Ale mogę zapłacić. Wolałabym, żeby to już minęło.

"Żeby minęło" – pomyślał Ravic. "Każdy zna to uczucie. A potem cisza i śmierć. Tępe ciosy maczugi milczenia. Już lepsze to, chociaż obrzydliwe". Wziął ołówek ze stołu i poprawił rachunek. Potem podał gospodarzowi.

–Zgadza się pan?

Gospodarz spojrzał na końcową liczbę.

–Jeszcze nie zwariowałem.

–Zgadza się pan? – powtórzył Ravic.

–A kto pan w ogóle jest? Czego się pan wtrąca?

–Brat. Zgadza się pan?

–I dziesięć procent za usługę i podatek. Inaczej nie.

–Dobrze. – Ravic dodał liczbę. – Ma pani zapłacić dwieście dziewięćdziesiąt dwa franki – powiedział do kobiety.

Wyjęła z torebki trzysta franków i podała je gospodarzowi, który wziął je i odwrócił się ku

wyjściu.

–Pokój należy zwolnić do szóstej, inaczej liczy się za następny dzień.

–Osiem franków reszty – powiedział Ravic.

–A portier?

–Załatwimy to sami. Napiwki także. Niechętnie położył na stół osiem franków.

–*Sales étrangers* – mruknął i wyszedł.

–Niektórzy właściciele hoteli we Francji uważają za honor gardzić cudzoziemcami, z których żyją. – Ravic zauważył posługacza stojącego wciąż w drzwiach. – Proszę.

Służący rzucił wpierw okiem na banknot.

–*Merci, monsieur* – powiedział potem i wyszedł.

–Teraz jeszcze przeprawa z policją i mogą go zabrać – powiedział Ravic, spoglądając na kobietę. Siedziała spokojnie w rogu pokoju, wśród walizek, w powoli zapadającym mroku. – Człowiek nabiera ważności po śmierci. Póki żyje, pies z kulawą nogą nie troszczy się o niego. – Znów spojrzał na kobietę. – Może pani zejdzie na dół? Musi tu być jakiś pokój dla gości.

Potrząsnęła głową.

–Zejdę z panią. Zaraz tu przyjdzie jeden z moich przyjaciół i załatwi sprawę z policją. Doktor Veber. Zaczekamy na niego na dole.

–Nie, wolę tu zostać.

–Tu nie ma już nic do roboty. O co pani chodzi?

–Nie wiem. On… już tu długo nie będzie. A ja często… Nie był ze mną szczęśliwy. Często zostawiałam go samego. Zostanę teraz.

Mówiła ze spokojem, niesentymentalnie.

–On już tego nie wie – powiedział Ravic.

–Nie o to chodzi.

–Dobrze. W takim razie napijemy się tu czegoś. Przyda się pani. – Nie czekał na jej odpowiedź. Nacisnął dzwonek. Kelner zjawił się ze zdumiewającą szybkością. – Niech pan przyniesie dwa duże koniaki.

–Tutaj?

–A gdzieżby?

–Słucham pana.

Kelner przyniósł dwa kieliszki i butelkę Courvoisier. Zerknął na łóżko, które bielało w kącie.

–Zapalić światło? – zapytał.

–Nie. Ale może pan zostawić butelkę.

Kelner postawił tacę na stoliku i wybiegł najszybciej, jak potrafił, rzuciwszy jeszcze raz spojrzenie na łóżko. Ravic napełnił kieliszki.

–Niech pani wypije, to pani dobrze zrobi.

Oczekiwał odmowy, myślał, że będzie ją musiał przekonywać. Jednakże bez wahania opróżniła kieliszek.

–Czy w tamtych walizkach są jeszcze jakieś wartościowe rzeczy?

–Nie.

–Może jednak coś, co by pani chciała zatrzymać? Co się pani przyda? Niech pani zajrzy.

–Nie, wiem, że nic tam nie ma.

–Nawet w małej walizeczce?

–Tam może; nie wiem, co w niej trzymał.

Ravic podniósł walizeczkę, postawił na stoliku przy oknie i otworzył. Parę butelek, trochę bielizny, notesy, pudło akwareli, pędzle, książka, w kieszonce płóciennej teczki dwa banknoty owinięte w bibułkę. Podniósł je ku światłu.

–Sto dolarów – powiedział. – Niech je pani weźmie, na jakiś czas wystarczy. Dołączymy tę walizeczkę do tamtych. Mogła przecież należeć do pani.

–Dziękuję – powiedziała kobieta.

–Może pani uważa, że to obrzydliwe. Ale konieczne. Ma znaczenie. Da pani trochę czasu.

–Nie uważam, żeby to było obrzydliwe. Tylko sama nie mogłabym.

Ravic znów nalał.

–Niech pani pije.

Powoli opróżniła kieliszek.

–Lepiej teraz? – zapytał.

Spojrzała na niego.

–Ani lepiej, ani gorzej. Nic. – Zmrok zatarł jej rysy. Od czasu do czasu czerwone refleksy neonów przemykały po jej twarzy i rękach. – Nie mogę myśleć – powiedziała – póki on tu jest.

*** * ***

Dwaj sanitariusze odrzucili kołdrę i postawili nosze koło łóżka. Potem podnieśli zwłoki. Zrobili to szybko i fachowo. Ravic stał blisko kobiety, na wypadek gdyby miała zemdleć. Zanim przykryli ciało, pochylił się i wziął małą drewnianą Madonnę z nocnego stolika.

–To, zdaje się, należy do pani – powiedział. – Nie chce pani zatrzymać?

–Nie.

Podał jej, ale nie wzięła. Otworzył małą walizeczkę i wsunął do niej figurkę. Sanitariusze nakryli zwłoki prześcieradłem. Potem unieśli nosze. Drzwi były wąskie, a korytarz niewiele szerszy. Chcieli zawrócić, nie udało się. Nosze uderzyły o ścianę.

–Trzeba go zdjąć – powiedział starszy z nich. – W ten sposób nie wykręcimy. Spojrzał na Ravica.

–Chodźmy – powiedział Ravic do kobiety. – Poczekamy na dole.

Potrząsnęła głową.

–Trudno – powiedział do sanitariuszy. – Róbcie, co trzeba.

Sanitariusze unieśli ciało, trzymając je za nogi i za ramiona, i położyli na podłodze. Ravic chciał coś powiedzieć. Spojrzał na kobietę. Nie poruszała się. Milczał. Mężczyźni przenieśli nosze do hallu, potem wrócili w mroku i wynieśli ciało przez słabo oświetlony korytarz. Ravic szedł za nimi. Na schodach musieli unieść zwłoki bardzo wysoko. Ich twarze nabrzmiały i zaczerwieniły się od wysiłku, pocili się pod ciężarem ciała, które unosiło się ciężko nad nimi. Ravic śledził ich wzrokiem, póki nie zeszli. Wtedy wrócił.

Kobieta wyglądała oknem. Na ulicy stała karetka. Sanitariusze wsunęli nosze, jak piekarz wsuwa chleb do pieca. Potem wdrapali się na swoje miejsca, motor zawył, jak gdyby ktoś jęknął spod ziemi, i wóz wystrzelił ostrym łukiem za róg.

Kobieta odwróciła się.

–Trzeba było wyjść wpierw – powiedział Ravic. – Po cóż było czekać do samego końca?

–Nie mogłam. Nie mogłam wyjść przed nim. Rozumie pan?

–Rozumiem. Niech pani wypije jeszcze kieliszek.

–Nie.

Veber zapalił światło, kiedy nadjechała policja razem z karetką. Pokój wydawał się większy, odkąd zabrakło w nim trupa. Większy i jakby zamarły, jak gdyby ciało znikło, a śmierć pozostała.

–Czy pani woli zostać w tym hotelu? Chyba nie?

–Nie.

–Czy pani tu nie ma znajomych?

–Nie, nikogo.

–A może jest jakiś hotel, do którego wolałaby się pani przenieść?

–Nie.

–Znam hotelik w sąsiedztwie, podobny do tego. Czysty i przyzwoity. Hotel "Milan". Tam możemy znaleźć pokój dla pani.

–A czy nie mogłabym wrócić do pana hotelu?

–Do "Internationalu"?

–Tak. Ja… to jest… Znam go już trochę. To lepiej niż w zupełnie obcym.

–To nie jest hotel dla kobiet – powiedział Ravic. "Jeszcze tego brakowało" – myślał. "W tym samym hotelu! Nie jestem niańką. A może ona myśli, że mam jakieś zobowiązania? Możliwe". – Nie radzę pani tego – powiedział ostrzej, niż miał zamiar. – "International" jest zawsze przepełniony. Uchodźcy. Niech pani zamieszka lepiej w "Milan". Jeśli tam się pani nie spodoba, przeniesie się pani gdzie indziej.

Kobieta spojrzała na niego. Poczuł, że zgadła jego myśli, i zawstydził się. Ale lepszy chwilowy wstyd, a za to potem spokój.

–Dobrze – powiedziała kobieta. – Ma pan rację.

Ravic kazał znieść walizki do taksówki. Hotel "Milan" był o parę minut jazdy. Wynajął pokój i wszedł na górę. Był to pokój na drugim piętrze; tapeta w girlandy róż, łóżko, szafa, stół i dwa

krzesełka.

–Dobrze będzie? – zapytał.

–Doskonale.

Powiódł okiem po tapecie. Była okropna.

–W każdym razie jasno tutaj – powiedział. – Jasno i czysto.

Wniesiono walizki.

–Teraz ma pani wszystko.

–Tak, dziękuję. Serdecznie dziękuję.

Usiadła na łóżku. Jej blada twarz niczego nie wyrażała.

–Niech się pani położy. Będzie pani mogła zasnąć?

–Postaram się.

Ravic wyjął z kieszeni aluminiową tubkę i wytrząsnął z niej parę pastylek.

–To na sen. Trzeba popić wodą. Weźmie pani od razu?

–Nie, potem.

–Dobrze. No, idę. Zajrzę do pani któregoś dnia. Niech się pani postara usnąć jak najszybciej. Tu jest adres zakładu pogrzebowego, na wszelki wypadek. Ale niech pani tam nie chodzi. Trzeba dbać o siebie. Ja tu wpadnę… – Zawahał się.

–Jak się pani nazywa?

–Madou. Joanna Madou.

–Joanna Madou. Doskonale. Zapamiętam. – Wiedział, że zapomni i że nie wróci. Ale ponieważ to wiedział, chciał zachować pozory. – Albo lepiej zapiszę. – Wyjął bloczek recept z kieszeni. – Proszę, niech pani sama napisze. Tak będzie prościej.

Wzięła bloczek i napisała swoje nazwisko. Spojrzał, wydarł karteczkę i schował do bocznej kieszeni płaszcza.

–Teraz prosto do łóżka – powiedział. – Jutro wszystko wyda się pani inne. Brzmi to głupio i banalnie, ale to prawda. Wszystko, czego pani teraz trzeba, to sen i trochę czasu. Trochę czasu, który trzeba przetrzymać. Rozumie pani?

–Tak. Rozumiem.

–Proszę zażyć pastylki i spać.

–Tak, dziękuję, dziękuję za wszystko. Nie wiem, co bym bez pana zrobiła. Naprawdę nie wiem.

Podała mu rękę; ręka była chłodna, ale uścisk mocny. “Dobrze” – pomyślał. “Więc ma trochę woli”.

Wyszedł na ulicę. Wdychał wilgotny, łagodny wiatr. Samochody, ludzie, kilka dziwek stojących już na rogach ulic, kawiarnie, bary, zapach tytoniu, aperitifów i benzyny – szybkie, zmienne życie. Spojrzał na front hotelu. Kilka oświetlonych okien. Za jednym z nich siedzi teraz samotna kobieta i patrzy przed siebie. Wyjął kartkę z jej nazwiskiem, podarł i rzucił strzępy na wiatr. Zapomnieć. Co za słowo! Pełne grozy, pociechy, widm. Któż by mógł żyć, nie zapominając? Ale kto umie o wszystkim zapomnieć? Żużel wspomnień, rozdzierający serce. Wolnym jest się dopiero wtedy, kiedy już nie ma po co żyć.

Poszedł na plac de l'Étoile. Zapełniał go tłum ludzi. Za Łukiem Triumfalnym ustawiono reflektory. Oświetlały Grób Nieznanego Żołnierza. Nad nim powiewała ogromna niebiesko-biało-czerwona chorągiew. Dwudziesta rocznica zawieszenia broni w roku 1918.

Niebo było szare, reflektory rzucały słaby, postrzępiony cień sztandaru na pędzące chmury. Wyglądały jak poszarpana flaga, która powoli pogrąża się w ciemniejącym niebie. Gdzieś grała orkiestra wojskowa. Dźwięki jej były mizerne i puste. Nikt nie śpiewał. Tłum stał w milczeniu.

–Zawieszenie broni! – powiedziała kobieta, stojąca w pobliżu Ravica. – Podczas ostatniej wojny straciłam męża. Teraz kolej na syna. Zawieszenie broni. Kto wie, co nas czeka…

4

Szpitalna karta nad łóżkiem była nowa i czysta. Nie było na niej nic prócz nazwiska. Łucja Martinet. Butte Chaumont. Ulica Clavel.

Leżąca na poduszce twarz dziewczyny była szara. Operowano ją poprzedniej nocy. Ravic ostrożnie zbadał serce. Potem się wyprostował.

–Lepiej – powiedział. – Transfuzja dokonała małego cudu. Jeżeli przetrzyma jeszcze jeden dzień, wyjdzie z tego.

–Świetnie – powiedział Veber. – Winszuję. Myślałem, że będzie gorzej. Puls sto czterdzieści, ciśnienie osiemdziesiąt. Kofeina, koramina. Mało brakowało.

Ravic wzruszył ramionami.

–Nie ma czego winszować. Po prostu przyszła wcześniej niż tamta. No, tamta ze złotym łańcuszkiem na nodze. Nic więcej. – Nakrył dziewczynę. – Drugi wypadek w tym tygodniu. Jak dobrze pójdzie, będzie pan miał drugą klinikę dla spaskudzonych poronień z Butte Chaumont. Przecież i tamta była z tej dzielnicy?

Veber skinął głową.

–Tak i też z ulicy Clavel. Pewnie się znały i poszły do tej samej akuszerki. Nawet przybyła o tej samej porze, wieczorem. Dobrze, że pana jeszcze złapałem w hotelu! Już się bałem, że nic z tego nie będzie.

Ravic popatrzył na niego.

–Zwykle, jeśli ktoś mieszka w hotelu, trudno go tam zastać wieczorem. Pokoje hotelowe nie są zbyt przytulne w listopadzie.

–Wyobrażam sobie. Czemu pan właściwie mieszka wciąż jeszcze w hotelu?

–Bo to wygodny i bezosobowy sposób życia. Niby jest się samemu i niby się nie jest.

–I o to panu chodzi?

–Tak.

–Mógłby pan mieć to samo w inny sposób. Gdyby pan na przykład wynajął małe mieszkanie.

–Być może. – Ravic znów pochylił się nad dziewczyną.

–A co pani o tym myśli, Eugenio? – spytał Veber.

Pielęgniarka podniosła głowę.

–Pan Ravic nigdy tego nie zrobi – odezwała się chłodno.

–Doktor Ravic, Eugenio – powiedział Veber – był naczelnym chirurgiem wielkiego szpitala w Niemczech. O wiele ważniejszym ode mnie.

–Ale tu… – zaczęła pielęgniarka i poprawiła szkła.

Veber powstrzymał ją ruchem ręki.

–Dobrze, dobrze, znamy już to wszystko. Ten kraj nie uznaje zagranicznych tytułów. Idiotyzm. Ale czemu pani jest taka pewna, że doktor nie weźmie mieszkania?

–Pan Ravic jest stracony. Nigdy nie założy domu.

–Co? – zdziwił się Veber. – Co pani mówi?

–Dla pana Ravica nie ma nic świętego. To właśnie powód.

–Brawo! – powiedział Ravic, stojąc przy łóżku dziewczyny.

–Pierwszy raz słyszę coś podobnego! – Veber nie mógł oderwać oczu od Eugenii.

–Czemuż go pan sam nie spyta, panie doktorze?

Ravic wyprostował się.

–Trafiła pani w sedno, Eugenio. Ale jeśli dla kogoś nie ma już nic świętego, to wszystko znów staje się dla niego święte w sposób bardziej ludzki. Człowiek czci tę maleńką iskierkę życia, które pulsuje w dżdżownicy i od czasu do czasu pcha ją ku światłu dziennemu. Oczywiście, to nie jest porównanie.

–Pan mnie nie może dotknąć. Pan nie ma wiary. – Eugenia energicznie wygładziła fartuch na piersiach. – Ja, dzięki Bogu, mam wiarę.

Ravic sięgnął po płaszcz.

–Wiara łatwo się zmienia w fanatyzm. Dlatego religie kosztowały zawsze tyle krwi. – Uśmiechnął się krzywo. – Tolerancja, Eugenio, jest córką wątpliwości. Oto, dlaczego pani z całą swoją wiarą jest bardziej napastliwa w stosunku do mnie, niż ja, zatracony bezbożnik, w stosunku do pani.

Veber zakrztusił się od śmiechu.

–Eugenio, trafione! Proszę nie odpowiadać. Wpadnie pani jeszcze gorzej.

–Moja godność, jako kobiety…

–Świetnie – przerwał Veber. – Na dzisiaj dość. I to coś warte. Czas na mnie, muszę jeszcze wpaść do gabinetu. Chodźmy, Ravic. Do widzenia, Eugenio.

–Do widzenia, panie doktorze.

–Do widzenia, siostro Eugenio – powiedział Ravic.

–Do widzenia – odpowiedziała Eugenia z wysiłkiem i dopiero wtedy, kiedy Veber odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

*** * ***

Gabinet Vebera całkowicie zapełniały empirowe meble: białe, złote i kruche. Nad biurkiem

wisiały fotografie domu i ogródka. Przy dłuższej ścianie stał duży, nowoczesny szezlong, na którym Veber sypiał, kiedy mu tu wypadło nocować. Klinika należała do niego.

–Czego się napijemy, koniaku czy Dubonnet?

–Kawy, jeśli jeszcze co zostało.

–Oczywiście. – Veber postawił maszynkę na biurku i włączył do kontaktu. Potem zwrócił się do Ravica. – Czy nie poszedłby pan za mnie do "Ozyrysa" dziś po południu?

–Chętnie.

–Czyżby?

–Naprawdę. Nie mam żadnych innych planów.

–Świetnie. Nie będę potrzebował umyślnie przyjeżdżać. Będę mógł pracować w ogródku. Poprosiłbym Fauchona, ale jest na urlopie.

–Drobiazg – powiedział Ravic. – Robiłem to wiele razy.

–Tak, ale mimo to…

–"Mimo to" dziś już nie istnieje. Przynajmniej dla mnie.

–Tak, to idiotyzm, żeby człowiekowi o takich umiejętnościach nie pozwolono oficjalnie pracować. Żeby pan musiał operować "na lewo".

–Ależ to stara historia! Robią to wszyscy lekarze, którzy uciekli z Niemiec.

–Właśnie, właśnie. To śmieszne! Przeprowadza pan za Duranta najtrudniejsze operacje, a jego sława rośnie.

–Lepiej, niż gdyby je miał sam robić!

Veber roześmiał się.

–Nie powinienem tego mówić. Za mnie pan też operuje. Ale ja jestem ginekologiem, a nie chirurgiem.

Maszynka zaczęła mruczeć. Veber wyłączył prąd. Wyjął filiżankę z szafki i nalał kawy.

–Jednego nigdy nie zrozumiem – powiedział. – Czemu pan z takim uporem tkwi w tej dziurze, w "Internationalu"? Czemu pan nie weźmie jakiegoś ładnego nowoczesnego mieszkanka w pobliżu Lasku Bulońskiego? Meble są tanie. Wiedziałby pan, co pan ma.

–Aha – powiedział Ravic – wiedziałbym, co bym miał.

–No, więc dlaczego?

Ravic upił kawy. Była gorzka i bardzo mocna.

–Veber – powiedział wreszcie – jest pan znakomitym przykładem człowieka dotkniętego chorobą naszych czasów. Jednocześnie ubolewa pan, że muszę pracować nielegalnie, i pyta pan, dlaczego nie biorę mieszkania.

–Co ma piernik do wiatraka?

Ravic uśmiechnął się cierpliwie.

–Gdybym wynajął mieszkanie, musiałbym się zameldować w policji. Do tego potrzebny jest paszport i wiza.

–To prawda, nie pomyślałem o tym. A w hotelu?

–Tam również. Ale, dzięki Bogu, są jeszcze hotele w Paryżu, które meldunków nie traktują tak bardzo serio. – Ravic wlał parę kropel koniaku do kawy. – Jeden z nich to właśnie hotel "International". Dlatego tam mieszkam. Nie wiem, jak gospodyni to załatwia, ale sądzę, że musi mieć dobre znajomości. Albo policja naprawdę nic nie wie, albo bierze łapówki. W każdym razie od dawna już tam mieszkam i nikt mnie nie zaczepia.

Veber oparł się wygodniej.

–Nie wiedziałem. Myślałem, że nie wolno panu pracować i to wszystko. Piekielna sytuacja!

–To raj wobec niemieckiego obozu koncentracyjnego.

–A policja? Jeśli jednak przyjdą?

–Jeśli nas złapią, dają parę tygodni więzienia i zostajemy deportowani. Przeważnie do Szwajcarii. Za drugim razem – sześć miesięcy.

–Co?

–Sześć miesięcy – powiedział Ravic.

Veber zapatrzył się na niego.

–Niemożliwe. Ależ to nieludzkie!

–I jak tak myślałem. Póki tego nie wypróbowałem.

–Co pan chce przez to powiedzieć? Czy już się to panu zdarzyło?

–I to nie raz. Trzy razy. Tak, jak setkom innych uchodźców. To było na początku, kiedy jeszcze niczego nie rozumiałem i liczyłem na tak zwany ludzki stosunek. Zanim pojechałem do Hiszpanii – gdzie nie potrzebowałem paszportu – i wziąłem drugą lekcję "ludzkości" stosowanej. Udzielili mi jej niemieccy i włoscy lotnicy. Później, kiedy wróciłem do Francji, byłem mądrzejszy.

Veber zerwał się.

–Na Boga! – krzyknął. – Więc przeszło rok przesiedział pan za nic!

–Ależ nie. Tylko dwa miesiące.

–Jak to, przecież pan sam powiedział, że za drugim razem dają pół roku? Ravic uśmiechnął się.

–Dla człowieka doświadczonego nigdy nie ma "drugiego razu". Władze wysiedlają pod jednym nazwiskiem, a wraca się pod innym. Jeśli możliwe – przez inny punkt graniczny. W ten sposób unika się przykrości. Ponieważ nie mamy dokumentów, ten tylko może nas złapać, kto sobie przypomni twarz. Ale to się rzadko zdarza. Ravic – to moje trzecie nazwisko. Trzymam się go już dwa lata. Przez ten czas nic złego mi się nie zdarzyło. Widocznie przynosi mi szczęście. Coraz bardziej je lubię. Zapomniałem już chyba prawdziwego.

Veber potrząsnął głową.

–I to wszystko tylko dlatego, że nie jest pan nazistą!

–Oczywiście. Naziści mają pierwszorzędne dokumenty i wszystkie wizy, o jakich tylko zamarzą.

–W ładnym świecie żyjemy! Co robi nasz rząd?

–Rząd troszczy się przede wszystkim o miliony swoich bezrobotnych. Poza tym tak jest nie tylko we Francji. To samo jest wszędzie. – Ravic wstał. – Do widzenia! Za dwie godziny zajrzę do tej dziewczyny, a w nocy przyjdę jeszcze raz.

Veber szedł za nim do drzwi.

–Ravic – powiedział – czemu pan nas nigdy nie odwiedza? Przyszedłby pan kiedy na obiad.

–Ależ oczywiście. – Ravic wiedział, że nie pójdzie tam. – Wkrótce! Do widzenia.

–*Adieu,* Ravic. Naprawdę bardzo proszę.

*** * ***

Ravic wszedł do najbliższego baru. Usiadł przy oknie, żeby ogarniać wzrokiem ulicę. Lubił tak właśnie siedzieć i przyglądać się przechodniom. Paryż to miasto, gdzie najłatwiej spędzić czas, nic nie robiąc.

Kelner starł ze stołu, czekał.

–Pernod – powiedział Ravic.

–Z wodą?

–Nie. Niech pan zaczeka. – Ravic zamyślił się. – Proszę nie przynosić pernodu. – Musiał coś spłukać, jakiś gorzki smak. Słodka anyżówka nic tu nie pomoże. – Proszę o calvadosa – powiedział do kelnera. – Podwójny calvados.

–Słucham pana.

Zaproszenie Vebera. Poczuł w nim gorzki smak litości. Zapewnić komuś wieczór w rodzinie. Francuz rzadko prosi do domu cudzoziemca, woli się z nim spotykać w restauracji. Nigdy dotąd nie był u Vebera. To ładnie z jego strony, ale jakże ciężko znieść. Można się bronić przed obelgami, ale przed litością?

Wypił łyk jabłecznego winiaku. Po co tłumaczył Veberowi, dlaczego mieszka w hotelu? Było to niepotrzebne. Veber wiedział tyle, ile trzeba. Wiedział, że Ravicowi nie wolno operować. To dosyć. Że z nim mimo to pracował, to jego sprawa. W ten sposób zarabia i mógł się podejmować operacji, których nigdy nie ośmieliłby się sam zrobić. Nikt o tym nie wiedział prócz niego i pielęgniarki, a ona milczała. Tak samo było z Durantem. Tylko bardziej ceremonialnie. Kiedy miał operować, Durant stał przy pacjencie, póki nie zaczęła działać narkoza. Wtedy przychodził Ravic i robił operację, do której Durant był za stary i za mało umiał. Gdy pacjent się budził, Durant, znakomity chirurg, znów stał u jego wezgłowia. Dla Ravica pacjent był zawsze przykryty; Ravic znał tylko wąskie, najodynowane miejsce, przeznaczone pod nóż. Często nie wiedział po prostu, kogo operuje. Durant podawał mu diagnozę, a on krajał. Durant płacił mu mniej niż dziesiątą część tego, co otrzymywał za operację. Ravic nic sobie z tego nie robił. Zawsze to było lepsze, niż w ogóle nie operować. Z Veberem pracował na bardziej koleżeńskich warunkach. Veber płacił czwartą część. To było fair.

Znów spojrzał w okno. A poza tym? Poza tym niewiele. Żyje, to wystarcza. Kiedy się wszystko chwieje, jakiż sens miałoby budowanie czegoś, co wcześniej czy później musi się stać ruiną? Lepiej dać się nieść wodzie, niż tracić na próżno siły; są one jedyną rzeczą nie do zastąpienia. Przeżyć to wszystko, dopóki się gdzieś nie ujrzy nowego celu. Im mniej energii zużyje na to, tym lepiej: zaoszczędzi jej sobie na potem. Widział wielu ludzi, którzy załamywali się, ponieważ w stuleciu, które się rozlatywało na kawałki, usiłowali odbudowywać wciąż, jak mrówki, swoją mieszczańską egzystencję. Było to może wzruszające i bohaterskie, ale zarazem śmieszne, całkowicie niepotrzebne i przy tym męczące. Nikt nie powstrzyma spadającej lawiny, a kto by tego próbował, zginie. Lepiej przeczekać, a potem pomóc ofiarom.

W marszu trzeba mieć lekki bagaż. Podczas ucieczki także…

Spojrzał na zegarek. Czas zajrzeć do Łucji Martinet. A potem do "Ozyrysa".

Dziewczyny z "Ozyrysa" już czekały. Madame nie zadowalał fakt, że byty regularnie badane przez urzędowego lekarza. Nie mogła dopuścić, aby w jej lokalu ktoś się zaraził. Zawarła umowę z Veberem, który prywatnie badał dziewczęta raz jeszcze, co czwartek. Czasem przychodził zamiast niego Ravic.

Madame sama umeblowała i przystosowała do tego celu jeden z pokojów na pierwszym piętrze. Dumna była, że w ciągu roku nikt z klientów nie wyniósł stąd żadnej choroby. Natomiast, mimo że dziewczęta bardzo uważały na siebie, klienci zdołali je zarazić w siedemnastu wypadkach.

Rolanda, zarządzająca, przyniosła Ravicowi kieliszek i butelkę brandy.

–Zdaje mi się, że Marta coś złapała.

–Dobrze. Zbadam ją dokładnie.

–Od wczoraj nie pozwalam jej pracować. Naturalnie, zaprzecza. Ale sądząc po bieliźnie…

–Dobrze, Rolando.

Dziewczęta wchodziły w koszulach jedna po drugiej. Ravic znał prawie wszystkie, tylko dwie były nowe.

–Po cóż mnie badać, doktorze – powiedziała Leonia, rudowłosa Gaskonka.

–Bo co?

–Cały tydzień nie miałam klientów.

–Cóż na to madame?

–A nic. Zamawiali dużo szampana, po siedem butelek co noc. Trzej kupcy z Tuluzy, żonaci. Każdy z nich miał ochotę, ale bał się ze względu na pozostałych. Był przekonany, że jeśli ze mną pójdzie, tamci wyśpiewają o tym w domu. Więc pili i każdy z nich myślał, że przetrzyma pozostałych. – Leonia roześmiała się i podrapała leniwie. – Ostatni, który się nie poddał, nie mógł już wstać o własnych siłach.

–To ładnie. Mimo to muszę cię zbadać.

–Proszę bardzo. Ma pan papierosa, doktorze?

–Proszę.

Ravic pobrał wydzielinę i zabarwił ją, potem wsunął szkiełko pod mikroskop.

–Jednego nie rozumiem – powiedziała Leonia, śledząc uważnie jego ruchy.

–No?

–Że kiedy pan to robi, ma pan jeszcze ochotę sypiać z kobietą.

–I ja tego nie rozumiem. Wszystko w porządku. Kto następny?

–Marta.

Marta była szczupła, blada, jasnowłosa. Miała twarz Botticellowskiego anioła, ale paplała żargonem ulicy Blondel.

–Nic mi nie jest, doktorze.

–Bardzo się cieszę. Zobaczymy.

–Ależ mnie naprawdę nic nie jest!

–Tym lepiej.

Nagle zjawiła się w pokoju Rolanda. Spojrzała na Martę. Dziewczyna zamilkła, patrząc z niepokojem na Ravica. Zbadał ją starannie.

–Naprawdę, doktorze! Pan wie, jaka jestem ostrożna.

Ravic nie odpowiedział. Dziewczyna mówiła dalej, milkła, potem znów zaczynała. Ravic zbadał próbkę pod mikroskopem.

–Jesteś chora, Marto.

–Co? – Skoczyła. – Nieprawda!

–Prawda.

Spojrzała na niego. I nagle wybuchnęła potokiem przekleństw i wymysłów.

–Ta świnia, przeklęta świnia! Od początku nie miałam zaufania do tego ścierwa. Powiedział, że jest studentem, że jako student medycyny musiałby wiedzieć, łajdak!

–Czemu sama nie uważałaś?

–Owszem, ale to tak prędko poszło i powiedział, że jako student…

Ravic kiwał głową. Stara historia – student medycyny, który złapał trypra i sam się leczył. Po

dwóch tygodniach uważał, że jest zdrów, nie zrobił analizy.

–Jak to długo potrwa, doktorze?

–Sześć tygodni. – Ravic wiedział, że potrwa dłużej.

–Sześć tygodni? – Sześć tygodni bez zarobku! W szpitalu! – Czy będę musiała iść do szpitala?

–Zobaczymy. Może potem będziemy cię mogli leczyć w domu, jeśli przyrzekniesz…

–Przyrzeknę wszystko! Byle nie szpital!

–Niestety, od tego trzeba zacząć. Nie ma rady.

Dziewczyna patrzyła na Ravica. Wszystkie prostytutki boją się szpitala. Pilnują ich tam surowo. Nie było jednak rady. Gdyby ją pozostawili w domu, po paru dniach zaczęłaby się wymykać pomimo wszelkich przysiąg, szukałaby mężczyzn dla zarobku, zarażała ich.

–Madame pokryje koszty – powiedział Ravic.

–Ale ja! Ja! Sześć tygodni bez grosza! A właśnie kupiłam sobie na raty srebrnego lisa. Nie zapłacę raty i wszystko przepadnie.

Zapłakała.

–Chodź, Marto – powiedziała Rolanda.

–Madame mnie z powrotem nie przyjmie, ja wiem – zapłakała głośniej. – Nie będę tu mogła wrócić. Madame nigdy nie przyjmuje z powrotem. Pójdę na ulicę. Wszystko przez tego podłego psa!

–Weźmiemy cię z powrotem. To nam się opłaci. Klienci cię lubili.

–Naprawdę? – Marta podniosła oczy.

–Naturalnie. A teraz chodź.

Marta wyszła z Rolandą. Ravic popatrzał za nimi. Wiedział, że Marta nie wróci. Madame była na to zbyt ostrożna. Dziewczyna pójdzie może do taniego burdelu przy ulicy Blondel. Potem bulwary. Kokaina, znów szpital, potem sprzedaż kwiatów lub papierosów. Albo – jeśli będzie miała szczęście – alfons, który ją będzie bił i wyzyskiwał, a później wyrzuci.

* * *

Jadalnia hotelu “International” mieściła się w podziemiach. Stali mieszkańcy nazywali ją

katakumbami. W dzień wpadało tu trochę światła przez okna, oszklone mlecznymi szybami, które wychodziły na podwórze. W zimie całymi dniami paliło się światło. Była to jednocześnie palarnia, pokój do pisania listów, miejsce zebrań i ratunek dla emigrantów bez papierów – podczas inspekcji uciekali przez podwórze do garażu, a stamtąd na inną ulicę.

Ravic siedział z portierem nocnego klubu "Szeherezada", Borysem Morozowem, w tej części katakumb, którą gospodyni zwała palmiarnią. Istotnie, samotna, nędzna palma wiodła tam swe smętne życie w majolikowej donicy na stoliczku o pajęczych nogach. Morozow był uchodźcą z czasów ostatniej wojny i od piętnastu lat mieszkał w Paryżu. Był jednym z nielicznych Rosjan, którzy nie chwalili się ani służbą w carskiej gwardii, ani arystokratycznym pochodzeniem.

Grali w szachy. Katakumby były puste, prócz jednego stolika, przy którym kilku ludzi siedziało, pijąc, gadając głośno i wznosząc co parę minut hałaśliwe toasty.

Morozow obejrzał się na nich gniewnie.

–Jak to sobie tłumaczysz, że tu dziś taki jarmark? Czemuż to emigranci nie idą do łóżek?

Ravic uśmiechnął się.

–Nie mam nic wspólnego z emigrantami z tamtego kąta, Borysie. To faszystowska sekcja hotelu.

–Hiszpanie? Ale przecież i ty byłeś w Hiszpanii?

–Tak, ale po drugiej stronie, a poza tym jako lekarz. To są hiszpańscy monarchiści z faszystowskim zabarwieniem. Resztka. Inni już dawno wyjechali. Ci do ostatka nie mogą się zdecydować. Franco był dla nich nie dość delikatny. Ale Maurowie, którzy wyrzynali Hiszpanów, oczywiście ich nie razili.

Morozow ustawiał pionki.

–To pewnie świętują masakrę w Guernice. Albo przewagę włoskich i niemieckich karabinów maszynowych nad górnikami i chłopami. Nigdy ich tu dawniej nie spotykałem.

–Przebywają tu od lat. Nie spotykałeś ich, bo nie jadasz w hotelu.

–A ty tu jadasz?

–Nie.

Morozow skrzywił twarz w uśmiechu.

–Świetnie – powiedział. – Przejdźmy do porządku dziennego nad moim następnym pytaniem i nad twoją odpowiedzią. Byłaby z pewnością obelżywa. Jeżeli o mnie chodzi, mogli się równie dobrze urodzić w tej dziurze. Gdyby tylko chcieli zachowywać się trochę ciszej! Proszę – stary,

dobry gambit królowej.

Ravic wyszedł pionkiem. Szybko zrobili następne ruchy. Morozow mruknął:

–Alechin wprowadził tu mały wariant…

Ravic zauważył, że jeden z Hiszpanów zbliża się ku nim. Miał oczy osadzone blisko siebie. Stanął przy ich stoliku. Morozow spojrzał ku niemu z niechęcią. Hiszpan nie trzymał się zbyt pewnie na nogach.

–Panowie – powiedział grzecznie – pułkownik Gomez zaprasza panów na szklankę wina.

–Panie – odpowiedział równie uprzejmie Morozow – rozgrywamy właśnie konkursową partię w turnieju XVII arrondissement. Dziękujemy serdecznie, ale nie możemy przerwać gry.

Ani jeden muskuł nie drgnął w twarzy Hiszpana. Teraz zwrócił się do Ravica tak ceremonialnie, jakby był na dworze Filipa II.

–Niedawno oddał pan wielką usługę pułkownikowi. Chętnie napiłby się z panem w podzięce przed odjazdem.

–Mój partner – odpowiedział równie ceremonialnie Ravic – wytłumaczył już panu, dlaczego musimy dziś skończyć tę partię. Proszę w moim imieniu podziękować pułkownikowi Gomezowi. Bardzo żałuję.

Hiszpan skłonił się i odszedł. Morozow roześmiał się.

–Jak rosyjscy uchodźcy z pierwszych lat. Przywiązani do tytułów i manier, jakby to im miało ocalić życie. Jakąż to przyjacielską usługę oddałeś temu Hotentotowi?

–Zapisałem mu środek przeczyszczający. Narody łacińskie szanują dobre trawienie.

Morozow skinął głową.

–Stara słabość demokracji. Faszysta w tej samej sytuacji przepisałby demokracie arszenik.

Hiszpan powrócił.

–Jestem porucznik Navarro – oświadczył z powagą człowieka, który nie wie, że za wiele wypił. – Pełnię funkcję adiutanta pułkownika. Pułkownik dziś opuszcza Paryż. Wraca do Hiszpanii, by ofiarować swoje usługi pełnej chwały armii generalissimusa Franco. Właśnie dlatego chciałby spełnić z panem toast na cześć wolności Hiszpanii i hiszpańskiej armii.

–Panie poruczniku Navarro, nie jestem Hiszpanem – powiedział Ravic krótko.

–Wiemy o tym. Pan jest Niemcem. – Cień porozumiewawczego uśmiechu przemknął po

twarzy Navarra. – Tym bardziej. Niemcy i Hiszpanie to przyjaciele.

Ravic spojrzał na Morozowa. W sytuacji tej tkwiła spora doza ironii. Morozow powstrzymał się od uśmiechu.

–Panie poruczniku Navarro – powiedział – żałuję, że muszę upierać się przy tej grze. Rezultaty przetelegrafowane będą dziś nocą do Kalkuty i Nowego Jorku.

–Panie – odpowiedział chłodno Navarro – spodziewaliśmy się, że pan nam odmówi. Rosja jest wrogiem Hiszpanii. Zaproszenie było skierowane wyłącznie do doktora Ravica. Pana prosiliśmy tylko przez grzeczność.

Morozow ujął laufra dużą, płaską ręką i spojrzał na Ravica.

–Czy nie sądzisz, że już dość tej bzdury?

–Owszem. – Ravic odwrócił się. – Ja myślę, młody człowieku, że byłoby najprościej, gdyby pan już sobie poszedł. Niepotrzebnie pan też obraził pułkownika Morozowa, który jest wrogiem Sowietów.

Nie czekając na odpowiedź, pochylił się nad szachownicą. Navarro stał przez chwilę niezdecydowany. Potem odszedł.

–Upił się i, jak wielu Latynów w tej sytuacji, stracił poczucie humoru. Ale to nie powód, żebyśmy my go nie mieli. Dlatego awansowałem cię na pułkownika. O ile mi wiadomo, byłeś tylko nędznym podpułkownikiem, ale nie mogłem znieść myśli, żeby Gomez miał cię przewyższać rangą.

–Nie gadaj tyle, chłopcze. Właśnie przepuściłem ów wariant Alechina, tak nam przeszkadzano. Zdaje mi się, że straciłem wieżę. – Morozow podniósł głowę. – O Boże, drugi idzie! I znów pewno adiutant. Co za typy!

–To pułkownik Gomez we własnej osobie. – Ravic oparł się wygodniej. – Będzie to więc utarczka dwóch pułkowników.

–Krótka, synu.

Pułkownik był, o ile to możliwe, jeszcze bardziej uroczysty od Navarra. Przeprosił Morozowa za pomyłkę swego adiutanta. Przeprosiny zostały przyjęte.

Teraz wiec Gomez zaprosił obu panów, by wypili wspólnie za Franco, na znak, że wszystkie nieporozumienia między nimi zostały usunięte. Ravic odmówił.

–Ależ, jako Niemiec i sojusznik… – zdumiał się pułkownik.

–Panie pułkowniku – powiedział Ravic, który niecierpliwił się coraz bardziej – niech pan da

spokój! Pij pan, za kogo pan chcesz, a ja chcę grać w szachy.

Pułkownik bezskutecznie usiłował rozwikłać trudny problem.

–Więc pan jest…

–Nie posuwajmy się do stwierdzeń – przerwał Morozow – bo to nieuchronnie prowadzi do konfliktów.

Gomez speszył się jeszcze bardziej.

–Ależ pan, jako "biały" Rosjanin i jako carski oficer, musi być przeciw…

–Nic nie muszę. Jesteśmy dwa staromodne stwory, które różnią się zapatrywaniami, a nie łamią sobie z tego powodu szczęk.

W głowie Gomeza zaczęło świtać. Wyprostował się.

–Widzę – oświadczył ostro. – Zgniła, demokratyczna…

–Przyjacielu – Morozow zaczynał się stawać niebezpieczny – wracaj pan. Właściwie powinien pan był to zrobić parę lat temu. Do Hiszpanii. Walczyć. Tymczasem walczyli za pana Niemcy i Włosi. Żegnam.

Wstał. Gomez cofnął się o krok. Patrzył na Morozowa: Potem gwałtownie zrobił zwrot wstecz i wrócił do swego stolika. Morozow usiadł z powrotem. Westchnął i zadzwonił na kelnerkę.

–Proszę dwa podwójne calvadosy, Klaryso.

Klarysa skinęła głową i znikła.

–Poczciwe żołdackie dusze – roześmiał się Ravic. – Prostacki umysł przy skomplikowanym pojęciu honoru dziwnie utrudnia życie, kiedy człowiek wypije, co?

–Właśnie widzę. Uwaga, nadciąga następny. Po prostu cała procesja. Kto to może być? Sam Franco?

Tymczasem był to Navarro. Stanął o dwa kroki przed stołem i zwrócił się do Morozowa.

–Pułkownik Gomez niezmiernie żałuje, że nie może pana wyzwać; opuszcza dziś nocą Paryż, a misja jego jest zbyt ważna, żeby mógł ryzykować zatarg z policją. – Teraz zwrócił się do Ravica. – Pułkownik Gomez winien jest panu za poradę lekarską. – Rzucił na stół złożony pięciofrankowy banknot i gotował się do odejścia.

–Chwileczkę – powiedział Morozow. Właśnie Klarysa stanęła przy nim z tacą. Wziął

kieliszek z calvadosem, popatrzył, potrząsnął głową i odstawił. Potem wziął z tacy szklankę wody i chlusnął nią adiutantowi w twarz. – To, żeby pan wytrzeźwiał – powiedział spokojnie. – A na przyszłość proszę sobie zapamiętać, że pieniędzy się nie rzuca. A teraz niech pan się wynosi, średniowieczny idioto!

Navarro stał zdumiony. Potem osuszył sobie twarz. Reszta Hiszpanów zbliżyła się do nich. Było ich czterech. Morozow z wolna powstał. Był o głowę wyższy od najwyższego. Ravic siedział dalej. Patrzył na Gomeza.

–Niech się pan nie ośmiesza – powiedział. – Żaden z was nie jest trzeźwy. Za chwilę będziecie tu wszyscy leżeć z połamanymi kośćmi. Nawet trzeźwi nie mielibyście szans. – Wstał, schwycił Navarra pod łokcie, podniósł go, obrócił i postawił tak blisko Gomeza, że ten musiał się cofnąć. – A teraz proszę nas zostawić w spokoju. Nie prosiliśmy, żebyście nas tu przyszli nudzić. – Wziął pięć franków ze stołu i położył na tacy. – To dla pani, Klaryso, od tych panów.

–Pierwszy raz coś od nich dostaję – oświadczyła Klarysa. – Dziękuję.

Gomez powiedział coś po hiszpańsku i cała piątka odeszła do swojego stolika.

–Szkoda – powiedział Morozow – chętnie bym ich zbił. Ale nie mogę tego zrobić ze względu na ciebie, nielegalny podrzutku. Czy nie żałujesz czasem, że nie możesz tego zrobić?

–Nie przy nich. Wolałbym dostać innych.

Od stolika w kącie znów zabrzmiała hiszpańska mowa. Cała piątka powstała, rozbrzmiało trzykrotne *Viva!,* kieliszki dźwięcznie uderzyły o stół. Potem marsowa grupa opuściła salę.

–O mało nie wylałem mu w pysk dobrego calvadosu. – Morozow podniósł kieliszek i wychylił go. – I tacy rządzą teraz Europą! Czy my także byliśmy kiedyś takimi głupcami?

–Tak – przyświadczył Ravic.

*** * ***

Grali jeszcze z godzinę. Potem Morozow podniósł głowę.

–Karol idzie – powiedział. – Zdaje się, że cię szuka.

Zbliżał się ku nim pomocnik portiera. W ręku trzymał mały pakiet.

–Pozostawiono to dla pana – powiedział do Ravica.

–Dla mnie?

Ravic obejrzał paczkę. Była mała, owinięta w białą bibułkę i owiązana sznurkiem. Adresu nie było.

–Nie spodziewam się żadnej przesyłki. To chyba omyłka. Kto to przyniósł?

–Jakaś kobieta… pani – wyjąkał chłopak.

–Kobieta czy pani? – spytał Morozow.

–Taka ni pies, ni wydra.

Morozow się roześmiał.

–Dowcipniś!

–Na paczce nie ma nazwiska. Czy powiedziała, że to dla mnie?

–Niezupełnie. Nazwiska nie powiedziała, tylko że to dla doktora, który tu mieszka. Pan ją zna.

–Tak powiedziała?

–Nie – palnął chłopak – ale była przecież z panem tamtej nocy.

–Czasami bywają u mnie damy – powiedział Ravic – ale powinieneś wiedzieć, że dyskrecja jest największą cnotą pracownika hotelowego. Tylko kawaler z wielkiego świata może być niedyskretny.

–Rozwiń paczkę, Ravic – powiedział Morozow – nawet jeśli to nie dla ciebie. W naszym smutnym życiu zdarzały się gorsze przestępstwa.

Ravic roześmiał się i rozerwał sznurek. Był to jakiś mały przedmiocik. Drewniana Madonna, którą widział w pokoju kobiety – usiłował sobie przypomnieć – jakże się ona nazywała? Magdalena, Mad… zapomniał. Coś w tym guście. Obejrzał raz jeszcze bibułkę; nic więcej nie było.

–Dobrze – powiedział do chłopca. – To dla mnie.

Postawił Madonnę na stoliku. Dziwnie wyglądała wśród figur szachowych.

–Rosjanka? – spytał Morozow.

–Nie. Sam tak myślałem z początku. – Zauważył, że ślady pomadki zostały zmyte. – Co ja z tym pocznę?

–Postaw gdziekolwiek. Wiele rzeczy można postawić gdziekolwiek. Na świecie jest dość miejsca na wszystko. Byle nie na ludzi.

–Pewno go już pochowali.

–Czy to ta?

–Tak.

–Widziałeś się z nią potem?

–Nie.

–To dziwne – powiedział Morozow – zawsze nam się wydaje, żeśmy coś zrobili, ale wstrzymujemy się wtedy, kiedy pomoc jest najbardziej potrzebna.

–Nie jestem instytucją filantropijną. Widziałem gorsze rzeczy i także nic nie robiłem. Czemu teraz miałaby jej być pomoc najbardziej potrzebna?

–Bo dopiero teraz została naprawdę sama. Dotychczas był przy niej, choćby jako umarły. Był na ziemi, teraz jest pod ziemią, nie ma go. A to – Morozow wskazał Madonnę – to nie wdzięczność. To wołanie o pomoc.

–Spałem z nią, nie wiedząc, o co chodzi. Chciałbym o tym zapomnieć.

–Głupstwo! Najmniej ważna rzecz na świecie, póki w niej nie ma miłości. Znałem kobietę, która mówiła, że łatwiej jej przespać się z człowiekiem, niż zacząć mówić mu po imieniu. – Morozow pochylił się, jego wielka, łysa głowa odbijała światło. – Coś ci powiem, Ravic. Musimy odnosić się przyjaźnie do ludzi, jeśli możemy i jak długo się da, bo w naszym życiu nieraz jeszcze popełnimy tak zwane przestępstwo. W każdym razie ja. I ty pewno także.

–Tak.

Morozow objął ramieniem donicę z nieszczęsną palmą. Zachwiała się nieco.

–Żyć to znaczy żyć z innych. Zżeramy się nawzajem. Nie powinniśmy w sobie gasić takich małych iskierek dobroci. To daje siłę na trudne życie.

–Słusznie. Pójdę do niej jutro.

–Doskonale – powiedział Morozow. – Tak właśnie myślałem. A teraz dość gadania. Kto gra białymi?

5

Właściciel natychmiast poznał Ravica.

–Pani jest w pokoju – powiedział.

–Nie mógłby pan zatelefonować do niej i powiedzieć, że czekam na dole?

–W jej pokoju nie ma telefonu. Niech pan pójdzie na górę.

–Który to numer?

–Dwadzieścia siedem.

–Zapomniałem nazwiska. Jak ona się nazywa?

Gospodarz wcale się nie zdziwił.

–Madou, Joanna Madou. – I dodał: – Nie myślę, żeby to było jej prawdziwe nazwisko! Pewno teatralny pseudonim.

–Teatralny?

–Zameldowała się jako aktorka. I to tak brzmi, nieprawdaż?

–Nie wiem. Znałem aktora, który nazywał się Gustaw Schmidt. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało: Aleksander Maria hrabia von Zambona. Gustaw Schmidt to był właśnie jego teatralny pseudonim. A nie wyglądał na to, co?

Gospodarz nie chciał się przyznać do porażki.

–Tyle rzeczy się teraz zdarza – powiedział.

–Nie zdarza się wcale tak dużo. Gdyby pan studiował historię, zauważyłby pan na pewno, że żyjemy w stosunkowo spokojnych czasach.

–Dziękuję, mnie wystarczy.

–I mnie też, ale trzeba się jakoś pocieszać. Powiedział pan dwadzieścia siedem?

–Tak, proszę pana.

*** * ***

Ravic zastukał. Nikt mu nie odpowiedział. Zastukał raz jeszcze i usłyszał niewyraźny głos. Otworzył drzwi i zobaczył kobietę. Siedziała na łóżku pod krótszą ścianą i powoli podniosła głowę. Była ubrana, miała na sobie ten sam granatowy kostium, w którym widział ją po raz pierwszy. Wyglądałaby może na mniej opuszczoną, gdyby leżała w szlafroku. Ale tak, w tej kobiecie, ubranej nie wiadomo po co i dla kogo, po prostu z przyzwyczajenia, które zatraciło wszelki sens, było coś, co poruszyło serce Ravica. Znał to, widywał setki ludzi, którzy tak właśnie siedzieli: uchodźców, zagnanych bezpowrotnie do obcych krajów. Wysepka niepewnej egzystencji – siedzieli, nie wiedząc, dokąd iść, i tylko przyzwyczajenie trzymało ich przy życiu. Zamknął za sobą drzwi.

–Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam – powiedział, czując jednocześnie, jak bezsensownie brzmią te słowa. I cóż by jej mogło przeszkodzić. Zapewne nic. Położył kapelusz na krześle. – Czy zdołała pani wszystko załatwić?

–Tak, nie było tego dużo.

–Nie miała pani kłopotów?

–Nie.

Usiadł w jedynym fotelu. Sprężyny zatrzeszczały, wyczuł, że jedna jest złamana.

–Czy pani chciała wyjść?

–Tak. Kiedyś, trochę później. Nigdzie specjalnie, ot tak. Co innego można robić?

–Nic. I to w porządku przez parę dni. Czy pani nikogo w Paryżu nie zna?

–Nie.

–Żywej duszy?

Kobietą znużonym ruchem podniosła głowę.

–Żywej duszy prócz pana, gospodarza, kelnera i pokojówki. – Uśmiechnęła się słabo. – Niewiele, co?

–Istotnie. A czy pan… – Ravic starał się przypomnieć sobie nazwisko zmarłego. Zapomniał.

–Nie – powiedziała kobieta. – Raczyński nie miał tu znajomych albo ja ich nie widziałam. Rozchorował się zaraz po przyjeździe.

Ravic nie przyszedł z zamiarem pozostania na dłużej, ale teraz, gdy zobaczył tak siedzącą kobietę, zmienił decyzję.

–Jadła pani obiad? – zapytał.

–Nie, zresztą nie jestem głodna.

–Coś pani jednak jadła w ciągu dnia?

–Owszem, w południe. W ciągu dnia łatwiej. Wieczorem…

Ravic rozejrzał się. Mały, nagi pokoik pachniał opuszczeniem i listopadem.

–Powinna pani wyjść stąd – powiedział. – Chodźmy. Pójdziemy coś zjeść.

Spodziewał się oporu, ale zdawała się tak na wszystko obojętna, że nic jej nie mogło poruszyć. Wstała jednak od razu i sięgnęła po nieprzemakalny płaszcz.

–Tak nie można – powiedział. – To za lekkie! Czy nie ma pani cieplejszego płaszcza? Jest zimno.

–Niedawno deszcz padał…

–I teraz pada, ale jest zimno. Może pani weźmie coś pod spód, jakiś inny płaszcz albo przynajmniej sweter?

–Mam sweter.

Zbliżyła się do większej walizy. Zauważył, że prawie niczego jeszcze nie wypakowała. Wyjęła czarny sweter i włożyła go. Miała piękne, proste ramiona. Potem sięgnęła po swój baskijski beret, włożyła żakiet i płaszcz.

–Tak lepiej?

–O wiele.

Zeszli po schodach. Na dole nie było już gospodarza. Przy tablicy z kluczami siedział portier. Pachniał czosnkiem i sortował listy. Obok niego siedział bez ruchu cętkowany kot i przyglądał mu się.

–Ciągle się pani zdaje, że nic pani nie przełknie? – spytał Ravic na dworze.

–Nie wiem. Pewno niewiele.

Ravic zatrzymał taksówkę.

–Dobrze. W takim razie pojedziemy do "Belle Aurore". Tam nie trzeba koniecznie jeść obiadu.

W "Belle Aurore" nie było dużo gości. Pora była już zbyt późna. Znaleźli stolik w wąskiej salce, na pięterku o niskim suficie. Prócz nich była tu tylko jakaś para, która jadła ser przy stoliku pod oknem, i chudy, samotny człowiek, siedzący przed górą ostryg. Podszedł kelner i krytycznie obejrzał zabrudzony obrus. Potem zdecydował się go zmienić.

–Dwie wódki – zamówił Ravic. – Zimne.

–Napijemy się czegoś i zjemy zakąski – powiedział do kobiety. – To będzie dla pani najlepsze. Ta restauracja słynie z zakąsek. Właściwie nic tu poza tym nie ma. W każdym razie rzadko je się coś oprócz zakąsek. Mają ich tu dziesiątki, gorących i zimnych, jedne lepsze od drugich. Spróbujemy.

Kelner przyniósł wódkę i wyciągnął bloczek.

–Karafka vin rosé – powiedział Ravic. – Czy macie anjou?

–Anjou w karafce, rosé. Owszem, proszę pana.

–Świetnie. Duża karafka w lodzie. I zakąski.

Kelner odszedł. W drzwiach omal nie wpadł na damę w czerwonym kapelusiku z piórkiem, która pędem wbiegała po schodach. Odsunęła go na bok i zwróciła się ku człowiekowi z ostrygami.

–Albercie! – wykrzyknęła. – Ty świnio…

–Ts, ts. – Albert robił uspokajające gesty, oglądając się wokoło.

–Ty mi nie tsykaj!

Kobieta położyła na obrusie mokrą parasolkę i usiadła z determinacją. Albert nie wyglądał bynajmniej na zdumionego.

–*Chérie*… – powiedział i kończył szeptem.

Ravic uśmiechnął się i podniósł kieliszek.

–Duszkiem! – powiedział. – *Salute!*

–*Salute!* – powiedziała Joanna Madou i wypiła.

Przywieziono zakąski na małym wózeczku.

–Co pani zje? – Ravic spojrzał na kobietę. – Najprościej będzie, jeśli pani nałożę na talerz.

Nałożył całą górę i podał.

–Jeśli pani nie będzie smakowało, to nie szkodzi. Zaraz podstawią następne wagony. To dopiero początek.

Nałożył sobie na talerz i zabrał się do jedzenia, nie zajmując się nią więcej. Nagle poczuł, że i ona je. Obrał langustynę i podał jej.

–Niech pani spróbuje tego. Lepsze od langusty. A teraz domowy pasztet. Na kawałku bułki. Tak, nieźle idzie. I trochę wina. Lekkie, wytrawne i zimne.

–Robi pan sobie wiele kłopotu – powiedziała Joanna Madou.

–Jak kelner – roześmiał się Ravic.

–Nie, ale ma pan wiele kłopotu ze mną.

–Nie lubię sam jadać. Nic więcej. Tak jak i pani.

–Nie jestem dobrą partnerką.

–Owszem – odpowiedział Ravic. – Do obiadu, owszem. Do obiadu jest pani świetną partnerką. Nie znoszę ludzi gadatliwych. I takich, którzy mówią głośno.

Spojrzał w stronę Alberta. Czerwony kapelusik z piórkiem tłumaczył mu właśnie głośno, czemu jest taką świnią, wybijając na stole takt parasolką. Albert słuchał cierpliwie, ale nie było po nim znać wrażenia.

Joanna Madou uśmiechnęła się przelotnie.

–I ja też.

–Oto drugi wagon z furażem. Czy chce pani wziąć coś od razu, czy też wpierw zapalić?

–Wpierw papierosa.

–Świetnie. Mam dzisiaj inne, nie z tego czarnego tytoniu.

Podał jej ognia. Oparła się i zaciągnęła głęboko. Potem spojrzała mu prosto w oczy.

–Dobrze jest tak posiedzieć – powiedziała i przez chwilę zdawało mu się, że zacznie płakać.

*** * ***

Pili kawę w "Koloseum". Wielka sala wychodząca na Pola Elizejskie była wprawdzie przepełniona, ale udało im się znaleźć stolik na dole, w barze. Górna część ścian była oszklona, za szybami siedziały duże papugi, kakadu, fruwały różnobarwne tropikalne ptaszki.

–Czy pani obmyśliła już sobie jakieś zajęcie? – zapytał Ravic.

–Nie, jeszcze.

–A jadąc tutaj, miała pani coś określonego na myśli?

Kobieta zawahała się.

–Nie, nic określonego.

–Nie pytam z ciekawości.

–Wiem, pan myśli, że powinnam coś robić. I ja bym chciała. Powtarzam to sobie co dzień. Ale potem…

–Gospodarz powiedział mi, że pani jest aktorką. Nie pytałem go o to, sam mi powiedział razem z nazwiskiem.

–Zapomniał pan?

Podniósł głowę. Patrzyła na niego spokojnie.

–Nie – powiedział. – Zostawiłem kartkę w hotelu i nie mogłem sobie przypomnieć.

–A teraz pan pamięta?

–Tak, Joanna Madou.

–Nie jestem dobrą aktorką – powiedziała kobieta. – Grywałam małe role. W ciągu ostatnich paru lat nie występowałam wcale. Nie mówię też dość dobrze po francusku.

–A po jakiemu?

–Po włosku. Jestem wychowana we Włoszech. Mówię też trochę po angielsku i po rumuńsku. Ojciec mój był Rumunem; nie żyje. Matka, Angielka, mieszka stale we Włoszech, ale nie wiem, gdzie.

Ravic słuchał tylko półuchem. Był znudzony i nie wiedział, co by tu jeszcze powiedzieć.

–Nie robiła pani nic innego – spytał, byle podtrzymać rozmowę – oprócz grania tych małych ról?

–Tylko to, co się z tym wiąże. Trochę tańczę, trochę śpiewam.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem. Nie wyglądała na to. Była blada, jakaś niewyraźna, mało atrakcyjna.

–Może tego będzie łatwiej spróbować – powiedział. – Nie trzeba nawet dobrze znać języka.

–Zapewne, ale trzeba coś znaleźć. A z tym trudno, jeśli się nikogo nie zna.

“Morozow” – pomyślał Ravic nagle. “Szeherezada”. “Naturalnie. Morozow powinien się znać na takich sprawach”. Ta myśl go ożywiła. Morozow wpakował go w ten nudny wieczór, teraz on mu podsunie tę kobietę, niech pokaże, co umie.

–Zna pani rosyjski?

–Trochę. Parę piosenek. Cygańskich romansów. Podobne do rumuńskich. Bo co?

–Znam kogoś, kto się na tym trochę zna. Może będzie mógł pani pomóc. Dam pani adres.

–Nie sądzę, aby to pomogło. Agenci są wszędzie jednakowi. Rekomendacje mało na nich działają.

Ravic zrozumiał; pomyślała, iż chce jej się pozbyć w łatwy sposób. Zaprotestował, ponieważ tak było.

–Facet, o którym myślę, to nie agent. Portier z "Szeherezady". To taki rosyjski nocny lokal na Montmartre.

–Portier? – Joanna Madou podniosła głowę. – To co innego. Oni zwykle wiedzą więcej niż agenci. Może coś z tego będzie. Pan go dobrze zna?

Popatrzył na nią ze zdziwieniem. Zaczęła nagle mówić jak fachowiec. "Prędko idzie" – pomyślał.

–To mój przyjaciel – powiedział – nazywa się Borys Morozow i pracuje od dziesięciu lat w "Szeherezadzie". Tam jest zawsze dużo numerów i często zmieniają program. Morozow jest w dobrych stosunkach z dyrektorem. Jeśli nie tam, to znajdzie pani coś gdzie indziej. Chce pani spróbować?

–Tak. Kiedy?

–Najlepiej koło dziewiątej wieczór. Morozow nie ma wtedy dużo roboty i znajdzie czas dla pani. Powiem mu o tym. – Ravic cieszył się już na myśl o minie Morozowa. Nagle poczuł się lepiej. Znikło gdzieś niejasne poczucie odpowiedzialności. Zrobił, co mógł, dalej musi sobie ta kobieta sama radzić. – Czy pani nie jest zmęczona? – zapytał.

Joanna Madou spojrzała mu prosto w oczy.

–Nie jestem zmęczona, ale wiem, że to dla pana żadna przyjemność siedzieć tu ze mną. Poszedł pan ze mną z litości i jestem panu wdzięczna. Zabrał mnie pan z pokoju i pogadał pan ze mną. To bardzo dużo, bo od tylu dni z nikim nie rozmawiałam. Pójdę już. Zrobił pan dla mnie więcej, niż można. Co by się ze mną stało?

"O Boże – pomyślał Ravic – zaczyna się". Spojrzał bezmyślnie na szklaną taflę przed sobą. Tłusty gołąb zabierał się właśnie do gwałcenia kakadu. Kakadu była tak znudzona, że nawet nie starała się go strząsnąć z siebie. Jadła, ignorując go zupełnie.

–To nie była litość.

–A co?

Gołąb zrezygnował, zeskoczył z szerokiego grzbietu kakadu i czyścił sobie piórka. Kakadu

obojętnie uniosła ogon i załatwiła się.

–Napijemy się teraz dobrego, starego armagnacu – powiedział Ravic. – To będzie najlepsza odpowiedź. Nie jestem bardzo towarzyski, niech mi pani wierzy. Wiele wieczorów spędzam samotnie. Czy pani myśli, że to takie ciekawe?

–Nie, ale ze mnie niedobra partnerka. To gorzej.

–Przestałem szukać partnerek. Oto pani armagnac. *Salute!*

–*Salute!*

Ravic postawił kieliszek.

–Tak, a teraz opuścimy tę menażerię. Nie marzy pani o powrocie do hotelu?

Joanna Madou potrząsnęła głową.

–Świetnie. Wobec tego idziemy dalej. Do "Szeherezady". Napijemy się tam czegoś, obojgu nam to potrzebne, a pani się od razu przyjrzy lokalowi.

*** * ***

Była trzecia nad ranem. Stali przed hotelem "Milan".

–Dosyć pani wypiła? – spytał Ravic.

Joanna Madou zawahała się.

–Tam, w "Szeherezadzie", myślałam, że dosyć. Ale przed tymi drzwiami myślę, że za mało.

–Może się jeszcze da na to poradzić. Myślę, że coś i tu nam jeszcze podadzą. Jeśli nie, to wejdziemy do baru i kupimy butelkę. Chodźmy.

Spojrzała najpierw na niego, potem na drzwi.

–Dobrze – powiedziała z determinacją, ale stała bez ruchu. – Iść na górę, do tego pustego pokoju…

–Pójdę z panią i weźmiemy butelkę z sobą.

Obudzili portiera.

–Ma pan coś do picia?

–Koktajl na szampanie? – spytał fachowo, jeszcze ziewając.

–Dziękuję, coś mocniejszego. Butelkę koniaku.

–Courvoisier, Martell, Hennessy, Bisquit Dubouche?

–Courvoisier.

–Dobrze, proszę pana, zaraz otworzę butelkę i przyniosę na górę.

Weszli na schody.

–Czy pani ma klucz? – zapytał Ravic.

–Drzwi są otwarte.

–Jeśli pani nie będzie zamykać pokoju, mogą pani ukraść pieniądze i dokumenty.

–Jeśli będę zamykała, może się zdarzyć to samo.

–Prawda, zamki nic nie są warte, przedstawiają jednak pewne utrudnienie.

–Być może. Ale przykro mi przychodzić skądś samej, brać klucz i otwierać drzwi, żeby wejść do pustego pokoju; to tak, jak gdybym otwierała grób. Czy nie dosyć, że muszę wejść do pokoju, gdzie nic na mnie nie czeka prócz kilku walizek?

–Nigdzie nic na nas nie czeka – powiedział Ravic. – Wszystko musimy zawsze przynosić z sobą.

–Być może. Czasem jednak mamy przynajmniej złudzenie. Tu nawet tego nie ma.

Joanna Madou rzuciła baskijski beret i płaszcz na łóżko i spojrzała na Ravica. W jej bladej twarzy oczy wydawały się większe, jaśniejsze i patrzyły z dziką rozpaczą. Przez chwilę tak trwała. Potem zaczęła przebiegać dużymi krokami pokój wzdłuż i wszerz, trzymając ręce w kieszeniach i odwracając się gibko przy każdym zakręcie. Ravic przyglądał jej się. Była w niej siła i jakiś niezwykły wdzięk; pokój wydał się nagle za ciasny dla niej.

Rozległo się stukanie. Portier przyniósł koniak.

–Czy państwo by czego nie zjedli? – zapytał. – Jest zimne kurczę, kanapki…

–Szkoda czasu, bracie – powiedział Ravic, zapłacił i wypchnął go z pokoju. Potem nalał dwa kieliszki. – Proszę, tak po prostu, po barbarzyńsku, ale im prymitywniej, tym lepiej w ciężkich sytuacjach. Wyrafinowanie dobre jest na spokojne czasy. Niech pani wypije.

–A potem?

–A potem drugi kieliszek.

–Próbowałam, to nie pomaga. Źle być pijanym w samotności.

–Trzeba być tylko dostatecznie pijanym. Wtedy jest dobrze.

Siadła na wąskim, kulawym szezlongu, który stał przy ścianie naprzeciw łóżka. Nie było go tu chyba przedtem.

–Czy ten mebel tu stał, kiedy się pani wprowadzała? – zapytał Ravic.

Potrząsnęła głową.

–Kazałam go wnieść. Nie chciałam spać na łóżku. To głupio. Kłaść się, rozbierać i tak dalej. Po co? Rankiem i w dzień było jeszcze jako tako. Ale nocą…

–Musi się pani wziąć do czegoś. – Ravic zapalił papierosa. – Szkoda, że Morozowa nie było dziś w "Szeherezadzie". Nie wiedziałem, że ma wolny dzień. Niech pani tam pójdzie jutro wieczorem. Około dziewiątej. Jestem pewien, że coś dla pani znajdzie. Choćby w kuchni. Wtedy pracowałaby pani nocą. A przecież tego pani chce, co?

–Tak. – Joanna Madou przestała chodzić po pokoju. Wypiła kieliszek koniaku i usiadła na łóżku. – Dotychczas wychodziłam co noc. Wszystko dobrze, póki się chodzi. Byle nie usiąść, bo wtedy sufit spada na głowę.

–I nic się pani nie przydarzyło na ulicy? Nie okradli pani?

–Nie, widać nie wyglądam na osobę, którą warto okraść. – Podała mu pusty kieliszek. – A co się tyczy czego innego… czekałam, żeby się ktoś do mnie przynajmniej odezwał. Byle nareszcie być kimś, nie chodzić tak tylko! Żeby wreszcie spojrzały na mnie czyjeś oczy, a nie kamienie! Żeby nie włóczyć się jak wyrzutek! Jak na obcej planecie! – Odrzuciła w tył włosy i wzięła z rąk Ravica kieliszek. – Nie wiem, po co o tym mówię – powiedziała. – Nie chciałam. Może dlatego, że tyle dni milczałam. Może dlatego, że dziś po raz pierwszy… – Urwała. – Proszę mnie nie słuchać.

–Piję – powiedział Ravic. – Proszę mówić, co się pani podoba. Noc, nikt nie słucha. Ja słucham samego siebie. Jutro o wszystkim zapomnimy.

Oparł się wygodniej. Słychać było tylko szmer lecącej gdzieś wody. Szumiały kaloryfery, deszcz pukał w szyby miękkimi palcami.

–Kiedy się wraca i gasi światło, i ciemność spada na człowieka jak maska z chloroformem, i znów się zapala światło, i patrzy się, i patrzy…

"Jestem już pijany" – pomyślał Ravic. "Prędzej niż zwykle. A może to półmrok? A może obie te rzeczy razem? To nie ta sama, nic nie znacząca, wyblakła kobieta. To ktoś inny. Oto oczy, twarz, coś patrzy na mnie. Może to robią cienie, a może prześwietlają łagodny ogień,

który pali się pod moim czołem. Pierwsze błyski pijaństwa!”

Nie słuchał, co mówiła Joanna Madou. Wszystko to znał od dawna i nie chciał poznawać na nowo. Samotność – odwieczny refren życia. Ani to gorsze, ani lepsze niż co innego. Za dużo się o tym mówi. Jest się zawsze samotnym i nie jest się nim nigdy. Nagle, w półmroku, zaśpiewały skrzypce. Ogród na wzgórzach Budapesztu. Ciężki zapach kasztanów. Wiatr. I sny skulone na ramionach jak młode sowy, których oczy stają się jaśniejsze w ciemności. Noc, która nigdy nie stała się nocą. Pora, o której wszystkie kobiety są piękne. Duże, brunatne motyle skrzydła wieczoru. Podniósł oczy.

–Dziękuję – powiedziała Joanna Madou.

–Za co?

–Że pozwolił mi pan mówić, nie słuchając. Dobrze było. Potrzebowałam tego.

Skinął głową. Zauważył, że jej kieliszek jest znowu pusty.

–Cieszę się – powiedział. – Zostawię pani butelkę.

Wstał. Pokój. Kobieta. Nic więcej. Blada twarz, w której nie było już blasku.

–Czy pan chce iść? – spytała Joanna Madou i rozejrzała się po pokoju, jakby ktoś był w nim schowany.

–Oto adres Morozowa. Zapiszę pani jego nazwisko, żeby pani nie zapomniała. Jutro wieczór o dziewiątej.

Zapisał nazwisko na bloczku recept, wydarł kartkę i położył na walizce. Joanna Madou wstała i sięgnęła po beret i płaszcz. Ravic spojrzał na nią.

–Nie potrzebuje mnie pani przecież sprowadzać.

–Wcale o tym nie myślę. Nie chcę tylko zostać tu sama. Nie teraz. Powędruję sobie jeszcze gdziekolwiek.

–Przecież i tak będzie pani musiała później wrócić. Znowu to samo. Czemu pani nie zostanie? Teraz, kiedy najgorsze minęło.

–Niedługo się rozwidni. Jak wrócę, będzie rano. Będzie łatwiej.

Ravic podszedł do okna; deszcz ciągle padał. Wiatr miotał wilgotnymi, szarymi strugami w żółtym blasku latarni.

–Wypijemy jeszcze po kieliszku i pani się położy – powiedział. – To nie jest pogoda na spacery.

Sięgnął po butelkę. Nagle Joanna Madou znalazła się tuż przy nim.

–Nie zostawiaj mnie tu – powiedziała prędko, z naleganiem. Poczuł jej oddech. – Nie zostawiaj mnie tu dziś samej, tylko nie dziś. Nie wiem dlaczego, ale nie dziś! Jutro zbiorę odwagę, ale dziś nie mogę. Jestem rozbita, znużona, nie mam już sił. Trzeba było mnie stąd nie zabierać! Nie dziś – teraz nie mogę zostać sama!

Ravic ostrożnie postawił butelkę na stole i rozluźnił jej ręce, zaciśnięte na jego ramieniu.

–Dziecko – powiedział – kiedyś każdy z nas musi się do tego przyzwyczaić. – Spojrzał na szezlong. – Mogę tu spać. Nie ma sensu iść gdzie indziej. Potrzebuję paru godzin snu. O dziewiątej rano mam operację. Mogę tu spać równie dobrze jak u siebie. Nie będzie to pierwszy nocny dyżur. Czy tak będzie dobrze?

Skinęła głową. Ciągle jeszcze stała blisko niego.

–O wpół do ósmej muszę wyjść. Diabelnie wcześnie. Zbudzę panią.

–To nic nie szkodzi, wstanę i zrobię dla pana śniadanie, wszystko…

–Nic podobnego – powiedział Ravic. – Zjem śniadanie w najbliższej kawiarni, jak każdy przyzwoity robotnik: kawę z rumem i rogaliki. Reszta w szpitalu. Będę zachwycony, mogąc prosić Eugenię o kąpiel. Dobrze, zostańmy tu. Dwie zbłąkane dusze w listopadzie. Pani zajmie łóżko. Jeśli pani woli, mogę zejść na dół i poczekać u portiera, aż się pani rozbierze.

–Nie – powiedziała Joanna Madou.

–Nie ucieknę. Będziemy przecież potrzebowali poduszki, prześcieradła i tak dalej.

–Mogę na niego zadzwonić.

–Ja też to potrafię. – Poszukał wzrokiem dzwonka. – Lepiej, jeżeli to robi mężczyzna.

Portier przyszedł natychmiast. W ręku trzymał drugą butelkę koniaku.

–Pan nas przecenia – powiedział Ravic. – Serdeczne dzięki. Należymy do powojennego pokolenia. Kołdra, poduszka i prześcieradło. Będę tu nocował. Na dworze jest za zimno i deszcz pada. Przeszedłem zapalenie płuc i dopiero dwa dni temu wstałem. Czy pan to może jakoś urządzić?

–Naturalnie, proszę pana, sam o tym myślałem.

–Świetnie. – Ravic zapalił papierosa. – Wyjdę na korytarz i popatrzę sobie na obuwie pod drzwiami. To taka mania. Nie ucieknę – powtórzył, zauważywszy wyraz twarzy Joanny Madou. – Nie jestem Józefem z Egiptu, nie zostawię płaszcza.

*** * ***

Portier wrócił z pościelą. Przystanął nagle, zobaczywszy Ravica na korytarzu. Później twarz mu się rozjaśniła.

–Rzadko się to zdarza – powiedział.

–Ja też rzadko to robię, tylko w urodziny i na Gwiazdkę. Proszę mi dać te rzeczy, sam je zaniosę. A to co?

–Butelka z gorącą wodą. Po zapaleniu płuc.

–Świetnie, ale ogrzewam sobie płuca koniakiem. – Ravic wyjął z kieszeni kilka banknotów.

–Z pewnością nie ma pan pidżamy. Mogę panu przynieść.

–Dziękuję, bracie. – Ravic spojrzał na starca. – Będzie na mnie za mała.

–Przeciwnie, będzie w sam raz. Jest nowa, podarował mi ją pewien Amerykanin, otrzymał ją od damy. Ja takich rzeczy nie noszę, używam nocnych koszul. Nowa, proszę pana!

–Świetnie, niech pan ją przyniesie. Zobaczymy.

Ravic czekał na korytarzu. Przed drzwiami stały trzy pary butów. Jedne wciągane, z gumkami. Zza tych drzwi wydobywało się gromkie chrapanie. Były jeszcze męskie brązowe półbuciki i damskie lakierki na wysokich obcasach, zapinane na guziki. Obie te pary stały pod drugimi drzwiami i wydawały się dziwnie osamotnione, choć stały obok siebie.

Portier przyniósł pidżamę. Była wspaniała, z błękitnego sztucznego jedwabiu, obsypanego złotymi gwiazdami. Ravic wpatrywał się w nią bez słowa. Rozumiał Amerykanina.

–Piękna, co? – zapytał portier z dumą.

Istotnie była nowa, jeszcze w pudełku "Magazin du Louvre", gdzie została kupiona.

–Szkoda – powiedział Ravic. – Chciałbym zobaczyć damę, która ją wybierała.

–Może pan w niej dziś spać. Nie potrzebuje pan kupować.

–Ile jestem panu winien?

–Co łaska.

–Pan nie jest Francuzem?

–Owszem, pochodzę z Saint-Nazaire.

–Widzę, że pana zepsuli Amerykanie. Ale za tę pidżamę nic nie będzie za dużo.

–Cieszę się, że się panu podoba. Dobranoc panu. Zwrócę się do pani, to mi ją odda jutro rano.

–Sam ją panu oddam. Proszę mnie obudzić o wpół do ósmej. Ale niech pan cicho zapuka, ja i tak usłyszę. Dobranoc.

–Niech pani spojrzy – powiedział Ravic do Joanny Madou, pokazując jej pidżamę. – Kostium dla Świętego Mikołaja. Ten portier to czarodziej. Nawet ją włożę. Żeby być śmiesznym, trzeba przynajmniej tyleż prostoty, co odwagi.

Ułożył pościel na szezlongu. Było mu obojętne, czy będzie spał tu, czy w swoim hotelu. Na korytarzu odkrył dość przyzwoitą łazienkę, od portiera wziął nową szczotkę do zębów. Reszta nie miała znaczenia. Kobieta była kimś w rodzaju pacjenta.

Wylał koniak do szklanki od wody i postawił przy łóżku obok kieliszka, który przyniósł portier.

–Chyba będzie pani miała dosyć – powiedział. – To prostsze, nie będę musiał wstawać i nalewać. Butelkę i drugi kieliszek postawię koło siebie.

–Niepotrzebny mi kieliszek. Mogę pić ze szklanki.

–Jeszcze lepiej.

Ravic wyciągnął się na szezlongu. Był zadowolony, że kobieta nie troszczy się o to, czy mu wygodnie. Ma, co chciała; dzięki Bogu, nie okazuje zalet dobrej gospodyni.

Napełnił kieliszek i postawił butelkę na podłodze.

–*Salute!*

–*Salute!* – odpowiedziała Joanna Madou. – I dziękuję.

–W porządku. I tak nie miałem wielkiej ochoty wędrować po deszczu.

–Czy ciągle jeszcze pada?

–Tak.

Łagodny stuk deszczu przenikał w ciszę, jak gdyby coś chciało wejść, coś szarego, nieforemnego i beznadziejnego, coś, co było żałośniejsze od samego żalu – dalekie, nie nazwane wspomnienie, nie kończąca się fala, która napływała, próbując unieść z sobą i pogrzebać to, co kiedyś przyniosła i zostawiła na jakiejś wyspie zapomniane: odrobinę człowieczeństwa, światło, myśl.

–Pierwszorzędna noc na pijaństwo…

–Tak, ale zła na samotność.

Ravic milczał chwilę.

–Wszyscy musieliśmy się do tego przyzwyczaić – powiedział wreszcie. – Siła, która przedtem trzymała nas w kupie, została zniszczona. Rozlecieliśmy się jak szklane paciorki z naszyjnika, kiedy nitka pęknie. Nic już nie jest pewne. – Znów napełnił swój kieliszek. – Kiedyś, będąc małym chłopcem, spałem na łące w nocy. Było to latem i niebo było czyste. Zanim usnąłem, zobaczyłem gwiazdozbiór Oriona nad lasem, na horyzoncie. Potem, kiedy się obudziłem w środku nocy, zobaczyłem nagle, że Orion stoi tuż nade mną. Nigdy tego nie zapomnę. Wiedziałem oczywiście, że Ziemia jest planetą i że się obraca, ale wiedziałem o tym jedynie z książek, nie zastanawiałem się nad tym. A wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, że tak jest naprawdę. Czułem, jak Ziemia płynie bezdźwięcznie poprzez niewymierne przestrzenie. Poczułem to z taką siłą, że instynktownie chciałem się czegoś uchwycić, żeby nie zostać zmiecionym z jej powierzchni. Prawdopodobnie zdarzyło się to dlatego, że nagle wyrwany z głębokiego snu, opuszczony przez pamięć i przyzwyczajenia, spojrzałem w wysokie, zmienione niebo. Ziemia przestała wtedy być dla mnie czymś pewnym i to się już nie zmieniło. – Opróżnił szklankę. – Niektóre rzeczy stają się przez to trudniejsze, a inne znów łatwiejsze – powiedział. – Jeżeli pani czuje się już dość zmęczona, proszę nie odpowiadać.

–Jeszcze nie, ale wkrótce. Jest jeszcze we mnie coś trzeźwego. Trzeźwego i zimnego.

Ravic odstawił butelkę na podłogę. Z ciepła pokoju przesiąkało w niego z wolna zmęczenie. Otoczyły go cienie. Szelest skrzydeł. Obcy pokój, noc, z zewnątrz, jak monotonne bicie odległych bębnów, stuk deszczu, chatka z światełkiem na krańcu chaosu, małe ognisko w nieznanej głuszy, twarz, do której mówił…

–Czy i pani to kiedy czuła? – zapytał.

Przez chwilę milczała.

–Tak. Niezupełnie. Trochę inaczej. Kiedy całymi dniami nie miałam się do kogo odezwać, kiedy błądziłam nocami i wszędzie byli ludzie, którzy gdzieś przynależeli, dokądś szli, gdzieś byli u siebie. I tylko ja nie. Wtedy powoli wszystko się stawało nieprawdziwe, jakbym utonęła i poruszała się po obcym, zatopionym mieście.

Ktoś szedł po schodach, zgrzytnął klucz, skrzypnęły zamykane drzwi. Potem słychać było wodę cieknącą z kranu.

–Dlaczego zostaje pani w Paryżu, skoro tu pani nikogo nie zna? – zapytał Ravic. Czuł, że jest bliski zaśnięcia.

–Czy ja wiem? A dokąd miałabym pojechać?

–Czy nie ma żadnego miejsca, do którego by pani mogła wrócić?

–Nie. Zresztą powrotu nie ma.

Wiatr rzucił o szyby garścią kropel.

–A czemu pani przyjechała do Paryża?

Joanna Madou nie odpowiedziała. Pomyślał, że śpi.

–Raczyński przyjechał ze mną do Paryża, bo chcieliśmy się rozstać – powiedziała wreszcie.

Nie zdziwił się. Są takie godziny, kiedy człowiek niczemu się nie dziwi. W pokoju obok mężczyzna, który przed chwilą wrócił, zaczął wymiotować. Słychać było przez drzwi stłumione postękiwanie.

–To dlaczego pani tak rozpaczała? – zapytał Ravic.

–Bo umarł! Umarł. Nagle przestał istnieć! Nie można go przywołać z powrotem! Umarł! Już nigdy się nic na to nie poradzi. Nie rozumie pan tego? – Joanna Madou usiadła na łóżku i wpatrzyła się w Ravica.

"Dlatego, że opuścił cię przedtem, zanim zdołałaś ty jego opuścić. Zostawił cię samą, zanim byłaś gotowa" – myślał.

–Powinnam była postępować z nim inaczej. Powinnam była…

–Niech pani o tym zapomni. Nie ma nic bardziej niepotrzebnego niż skrucha. Niczego nie można cofnąć. Niczego nie można naprawić. Inaczej bylibyśmy wszyscy świętymi. W zamiarach życia nie leży nasza doskonałość. Miejsce doskonałości jest w muzeum.

Joanna Madou nie odpowiedziała. Zobaczył, że pije, potem opadła znów na poduszkę. Jeszcze jej o coś chodziło, ale był zbyt zmęczony, żeby się nad tym zastanawiać. Było mu to zresztą obojętne. Chciał spać. Jutro operacja. To wszystko już go nie obchodzi. Postawił kieliszek na podłodze obok pustej butelki. "Zabawne, gdzie też człowiek czasem ląduje" – pomyślał jeszcze.

6

Łucja Martinet siedziała przy oknie, kiedy Ravic wszedł.

–No, i jak to jest, kiedy się pierwszy raz opuści łóżko? – zapytał.

Dziewczyna spojrzała na niego, na szare popołudnie za oknem i znów na niego.

–Kiepska pogoda – dodał.

–Nie – odrzekła. – Dla mnie dobra.

–Jak to?

–No tak, bo nie potrzebuję wychodzić.

Siedziała skulona na fotelu, w narzuconym na ramiona tanim bawełnianym kimonie w maki, szczupła, niepozorna istota o zepsutych zębach – dla Ravica jednak piękniejsza niż Helena trojańska. Była przecież kawałkiem życia, które własnymi rękami uratował. Nie miał powodów do zbytniej pychy: jedną niedawno stracił, drugą ocalił, trzecią znów może zgubić; wreszcie traci się wszystkie i siebie na dodatek. Tymczasem jednak ta dziewczyna była uratowana.

–To wcale nie zabawne roznosić kapelusze w taki dzień jak dziś – powiedziała Łucja.

–Pani roznosi kapelusze?

–Tak. U madame Lanvert. To ten duży sklep przy Avenue Matignon. Pracujemy do piątej, a potem trzeba roznosić zamówienia do klientek. Teraz jest pół do szóstej, właśnie byłabym w drodze. – Znów wyjrzała oknem. – Szkoda, że taki mały deszcz. Wczoraj było lepiej. Lało jak z cebra. Teraz inna musi za mnie latać.

Ravic usiadł naprzeciw niej na parapecie. "To dziwne" – pomyślał. "Zwykle od człowieka, który uniknął śmierci, oczekuje się szalonej radości. A to się właściwie rzadko zdarza. Na przykład ta. Dokonał się na niej cud, a interesuje ją jedynie to, że nie musi biegać po deszczu".

–Jak to się stało, że pani tu trafiła, Łucjo?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

–Ktoś mnie skierował.

–Kto taki?

–Znajoma.

–Jaka znajoma?

Dziewczyna zawahała się.

–No, znajoma, która też tu była. Przywiozłam ją tu pod same drzwi. Stąd znałam adres.

–Kiedy to było?

–Na tydzień przed moim przybyciem.

–Czy to ta, która umarła podczas operacji?

–Tak.

–I mimo to pani też tu przyszła?

–Tak – powiedziała Łucja obojętnie. – A dlaczego by nie?

Ravic przygryzł język. Spojrzał na wąską, chłodną twarz, której miękkie linie życie tak szybko zdążyło zaostrzyć.

–Czy byłyście także u tej samej akuszerki? – zapytał.

Łucja nie odpowiedziała.

–Może u tego samego doktora? Niech się pani nie boi, ja przecież nie wiem, kto to był.

–Maria poszła pierwsza. Tydzień wcześniej. Dziesięć dni wcześniej.

–A pani poszła potem, pomimo że pani wiedziała, co się z nią stało?

Łucja wzruszyła ramionami.

–A co miałam zrobić? Musiałam zaryzykować. Nie znałam nikogo innego. Dziecko… co bym robiła z dzieckiem? – Znów spojrzała w okno. Na przeciwległym balkonie stanął mężczyzna w szelkach, trzymając rozpięty parasol. – Jak długo jeszcze będę musiała tu zostać, panie doktorze?

–Około dwóch tygodni.

–Jeszcze dwa tygodnie?

–Przecież to nie tak długo. A bo co?

–Koszty i koszty!

–Może uda nam się wypuścić panią o dzień lub dwa wcześniej.

–Jak pan myśli, czy będę mogła płacić ratami? Nie mam dość pieniędzy. Trzydzieści franków dziennie to drogo.

–Kto to pani powiedział?

–Siostra.

–Która? Oczywiście Eugenia?

–Aha! I powiedziała, że za operację i opatrunki należy się oddzielnie. Czy to będzie dużo?

–Za operację już pani zapłaciła.

–Siostra powiedziała, że to za mało.

–Siostra nie wie dokładnie. Niech się pani zapyta później doktora Vebera.

–Wolałabym od razu wiedzieć.

–Dlaczego?

–Bo mogłabym sobie obliczyć, ile czasu będę musiała pracować, żeby to spłacić. – Spojrzała na swoje ręce. Jej palce były szczupłe i pokłute igłą. – Mam jeszcze komorne za miesiąc do zapłacenia. Przyszłam tu trzynastego. Powinnam była piętnastego wymówić. Teraz będę musiała zapłacić jeszcze za miesiąc. Właściwie za nic.

–Czy nikt pani nie pomaga?

Łucja podniosła głowę. Nagle twarz jej wydała się o dziesięć lat starsza.

–Pan wie, panie doktorze, jak to jest. Był wściekły. Nie wiedział, że jestem taka głupia. Gdyby wiedział, wolałby nie mieć ze mną nic do czynienia.

Ravic skinął głową. Nic nowego.

–Łucjo – powiedział – spróbujemy wydobyć coś z kobiety, która wywołała poronienie. To jej wina. Musi nam pani tylko podać jej nazwisko.

Dziewczyna wyprostowała się nagle. Była teraz uosobieniem protestu.

–Policja? Za nic. Sama bym się jeszcze wpakowała.

–Obejdziemy się bez policji. Zagrozimy tylko.

Roześmiała się gorzko.

–Nic pan od niej w ten sposób nie wydostanie. Ona jest z żelaza. Musiałam jej dać trzysta franków. A za to… – Wygładziła fałdy swego kimona. – Niektórzy ludzie nie mają szczęścia. – Powiedziała to z rezygnacją, jakby mówiła o kimś obcym.

–Przeciwnie – powiedział Ravic. – Właśnie miała pani szczęście.

*** * ***

Zastał Eugenię w sali operacyjnej. Czyściła właśnie niklowe instrumenty. Miała po prostu manię czyszczenia. Była tak zajęta pracą, że nie usłyszała wchodzącego.

–Eugenio – powiedział.

Odwróciła się.

–Ach, to pan. Zawsze pan musi ludzi straszyć?

–Nie myślę, żebym potrafił. Ale pani nie powinna straszyć pacjentów opowiadaniem historii o kosztach i honorariach.

Eugenia wyprostowała się, nie odkładając ściereczki.

–Och, ta kurwa musiała wszystko wypaplać.

–Eugenio – powiedział Ravic – więcej jest prostytutek wśród kobiet, które nigdy nie spały z mężczyzną, niż wśród tych, które w ten sposób z trudem brną przez życie. Nie mówiąc już o mężatkach. Poza tym ta dziewczyna niczego nie wypaplała. Tylko zepsuła jej pani dzień. To wszystko.

–No to co? Taka delikatna przy tym trybie życia!

"Ty chodzący katechizmie – pomyślał Ravic – ty obrzydliwy wzorze zarozumiałej cnoty, co ty wiesz o samotności tej dzielnej, małej midinetki! Poszła do tej samej akuszerki, która zabiła jej przyjaciółkę, do tego samego szpitala, gdzie tamta umarła, i mówi tylko: «Cóż mogłam innego zrobić?» i «Jak zdołam zapłacić?»"

–Powinna pani wyjść za mąż, Eugenio – powiedział – za wdowca z kilkorgiem dzieci. Albo za właściciela zakładu pogrzebowego.

–Panie Ravic – odrzekła z godnością pielęgniarka – niech pan będzie łaskaw nie troszczyć się o moje prywatne sprawy. Inaczej będę zmuszona poskarżyć się doktorowi Veberowi.

–A cóż innego robi pani przez cały dzień? – Ravic ucieszył się, widząc, jak krwiste rumieńce rozlały się po policzkach pielęgniarki. – I dlaczego osoby religijne są zwykle takie nielojalne? Najlepszy charakter mają cynicy, z idealistami trudno wytrzymać. Czy to pani nie daje nic do myślenia?

–Dzięki Bogu, nie.

–Tak właśnie sądziłem. No, idę teraz do dzieci grzechu. Do "Ozyrysa". To na wypadek, gdyby mnie potrzebował doktor Veber.

–Wątpię, żeby pana potrzebował doktor Veber.

–Dziewictwo nie zawsze idzie w parze z przewidywaniem przyszłości. Doktor może mnie jednak potrzebować. Będę tam do piątej, potem u siebie w hotelu.

–Piękny hotel, żydowska nora!

Odwrócił się.

–Eugenio, nie wszyscy uchodźcy są Żydami. Nawet nie wszyscy Żydzi są Żydami. Za to wielu jest takich, których by pani o to nie posądziła. Znałem też kiedyś Żyda, który był Murzynem. Był straszliwie osamotniony. Jedyną rzeczą, którą lubił, były chińskie potrawy. Tak bywa na świecie!

Pielęgniarka nie odpowiedziała. Czyściła właśnie niklową tackę, na której nie było ani jednej plamki.

*** * ***

Ravic siedział w barze przy ulicy Boissičre, patrząc przez okno zalane deszczem, kiedy zobaczył tego człowieka. Poczuł się, jakby mu ktoś wymierzył cios w żołądek. W pierwszej chwili doznał gwałtownego wstrząsu, nie zdając sobie jeszcze sprawy z jego przyczyny, ale już w następnej sekundzie odsunął stolik, skoczył na równe nogi i zaczął się gwałtownie przeciskać w stronę drzwi.

Ktoś schwycił go za ramię i zatrzymał. Odwrócił się.

–Co? – wybełkotał. – Co?

Był to kelner.

–Pan nie zapłacił.

–Co? A tak… zaraz wracam… – Próbował wyswobodzić ramię.

Kelner zaczerwienił się.

–Tu tak nie wolno. Należy…

–Proszę!

Ravic wyciągnął banknot z kieszeni, rzucił go kelnerowi i pchnął drzwi. Przedarł się przez grupę ludzi i skręciwszy za róg, pobiegł w prawo ulicą Boissiere.

Ktoś za nim krzyknął. Opanował się, zwolnił kroku i zaczął iść, jak mógł najprędzej bez zwracania na siebie uwagi. "To niemożliwe – myślał – to absolutnie niemożliwe, zwariowałem, to niemożliwe. Twarz, jego twarz, ale chyba tylko podobieństwo, jakieś przeklęte, szatańskie podobieństwo, idiotyczna gra nerwów, ten pysk nie może być w Paryżu, jest w Niemczech, w Berlinie. Deszcz ścieka po szybach, nic nie było widać, omyliłem się chyba…"

Przepychał się przez tłum wychodzący z kina, zaglądał każdemu przechodniowi w twarz, pod

kapelusz, spotykał zdumione i gniewne spojrzenia, ale szedł dalej; inne twarze, inne kapelusze, szare, czarne, granatowe, mijał, zawracał, tropił…

Zatrzymał się na skrzyżowaniu z Avenue Kléber. Nagle przypomniał sobie kobietę, kobietę z pudlem – zaraz za nią szedł tamten.

Dawno wyminął kobietę z pudlem. Szybko zawrócił. Ujrzawszy ją z daleka, stanął przy krawężniku. Zacisnął pięści w kieszeniach i śledził z rozpaczą przechodniów. Pudel zatrzymał się pod latarnią, obwąchał ją i z głębokim namysłem uniósł tylną łapę. Potem ceremonialnie podrapał płytę chodnika i pobiegł dalej. Ravic poczuł, że mu kark spotniał. Poczekał jeszcze parę minut. Twarz się nie pojawiła. Zajrzał do czekających aut, ale nikogo w nich nie było. Odwrócił się i poszedł do stacji metra przy Avenue Kléber. Zbiegł na dół, kupił bilet i poszedł wzdłuż peronu. Było tu wielu ludzi. Nim ich wszystkich obejrzał, wpadł pociąg, stanął i znów znikł w tunelu. Peron opustoszał.

Powoli wrócił do baru. Usiadł przy tym samym stoliku. Stał tam jeszcze jego kieliszek, do połowy napełniony calvadosem.

Kelner przyczłapał do stolika.

–Przepraszam pana, nie wiedziałem…

–Nie szkodzi – powiedział Ravic. – Proszę mi podać drugi calvados.

–Drugi? – Kelner spojrzał na nie opróżniony kieliszek. – Nie chce pan wypić tego?

–Nie, proszę mi przynieść inny.

Kelner podniósł kieliszek i powąchał.

–Czy ten niedobry?

–Owszem, dobry, ale proszę o drugi.

–Już podaję.

“Pomyliłem się” – myślał Ravic. “Szyba zalana deszczem, zapotniała, jak można kogoś przez nią rozpoznać?” Znów się zapatrzył w okno. Patrzył uważnie, jak myśliwiec z zasadzki, śledził bacznie każdego przechodnia, a jednocześnie przed oczyma jego przewijał się ostry i szary film, strzępy wspomnień…

Berlin. Letni wieczór 1933 roku. Gestapo. Krew; pusty pokój bez okien; ostre światło nie osłoniętych żarówek; stół splamiony krwią, z którego zwisają rzemienie do krępowania ofiar; sprawność torturowanego mózgu, który przywołany został do świadomości zanurzaniem głowy w wiadrze wody niemal do uduszenia; nerki tak zbite, że już właściwie nie bolą; wykrzywiona,

bezbronna twarz Sybilli; kilku oprawców w mundurach, którzy ją trzymają; i ta twarz uśmiechnięta, głos, który mu przyjaźnie tłumaczy, co się stanie z Sybillą, jeśli on nie zacznie mówić – Sybillą, którą w trzy dni potem jakoby znaleziono w celi powieszoną…

Zjawił się kelner i postawił na stole kieliszek.

–To coś innego, proszę pana. Od Didiera z Caen. Starszy.

–Doskonale, dziękuję.

Ravic opróżnił kieliszek. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, wyciągnął jednego i zapalił. Jeszcze mu drżały ręce. Rzucił zapałkę na podłogę i zamówił znowu calvadosa.

Ta uśmiechnięta twarz, którą znów ujrzał… nie, to musi być omyłka! Niemożliwe, żeby Haake był w Paryżu. Niemożliwe! Otrząsnął z siebie wspomnienia. Jakiż jest sens doprowadzać się do szaleństwa, jeśli na razie nic nie można zrobić. Przyjdzie czas na to, kiedy tam wszystko runie i będzie mógł wrócić. Tymczasem…

Zawołał kelnera, zapłacił. Ale nie mógł powstrzymać się od zaglądania każdemu przechodniowi w twarz.

*** * ***

Siedział z Morozowem w katakumbach.

–Myślisz, że to był on? – spytał Morozow.

–Nie, ale tak wyglądał. Jakieś przeklęte podobieństwo. Albo nie mogę już polegać na swojej pamięci.

–Szkoda, że byłeś w barze.

–Tak.

Morozow milczał przez chwilę.

–Można oszaleć, co? – powiedział po chwili.

–Nie, dlaczego?

–Bo się nie wie.

–Ja wiem.

Morozow milczał.

–Upiory – powiedział Ravic. – A myślałem, że to już skończone.

–To nie ma końca. I ja tak myślałem. Szczególnie z początku. Pierwsze pięć czy sześć lat. Ciągle zresztą czekam na trzech ludzi, którzy są w Rosji. Było ich siedmiu. Czterech nie żyje. Dwaj z nich rozstrzelani przez własną partię. Czekam już od przeszło dwudziestu lat. Od 1917 roku. Jeden z tych trzech, którzy jeszcze żyją, musi mieć teraz około siedemdziesięciu lat, dwaj inni po czterdzieści czy pięćdziesiąt. Myślę, że ich jeszcze dostanę. Za ojca.

Ravic spojrzał na Borysa. Był olbrzymem, ale przekroczył już sześćdziesiątkę.

–Dostaniesz ich – powiedział.

–Tak. – Morozow otworzył i zamknął swoje olbrzymie pięści. – Na to właśnie czekam. Dlatego żyję tak ostrożnie, nie piję dużo. Może to jeszcze jakiś czas potrwa. Muszę być silny. Nie chcę ich zastrzelić ani zadźgać nożem.

–Ani ja.

Siedzieli chwilę cicho.

–Zagramy w szachy? – spytał Morozow.

–Owszem, ale nie widzę ani jednej wolnej szachownicy.

–Spójrz, profesor skończył grać. Grał z Levym i, jak zwykle, wygrał.

Ravic poszedł po szachownicę i figury.

–Długo pan dziś grał, panie profesorze – powiedział. – Całe popołudnie.

Starszy pan skinął głową.

–Zajmuje mnie to. To doskonalsza gra niż karty. W kartach można mieć szczęście albo pecha. To nie jest dość interesujące. Szachy to świat sam w sobie. Kiedy się gra, zastępują tamten świat – podniósł zaczerwienione oczy – który nie jest aż w tym stopniu doskonały.

Levy, jego partner, zarechotał nagle. Potem zamilkł, podniósł się przestraszony i poszedł za profesorem.

Rozegrali dwie partie. Potem Morozow wstał.

–Muszę iść otwierać drzwi przed kwiatem ludzkości. Czemu nie wpadasz do "Szeherezady"?

–Bo ja wiem? Tak jakoś.

–A jutro wieczorem?

–Nie mogę; jutro wieczorem jem obiad u “Maxima”.

Morozow roześmiał się.

–Jak na uchodźcę, dość bezczelnie kręcisz się po najelegantszych lokalach paryskich.

–Tylko tam można się czuć całkowicie bezpiecznym, szczęśliwy posiadaczu nansenowskiego paszportu. Ktoś, kto się zachowuje jak uchodźca, najszybciej wpada. To jeszcze powinieneś pamiętać.

–Słusznie. Z kim idziesz? Może z ambasadorem Niemiec dla tym większego bezpieczeństwa?

–Z Kate Hegstroem.

Morozow gwizdnął.

–Kate Hegstroem – powiedział. – Więc wróciła?

–Przyjeżdża jutro rano. Z Wiednia.

–To pysznie. W takim razie zobaczę was potem w “Szeherezadzie”.

–Albo i nie.

Ale Morozow nie chciał o tym słyszeć.

–Niemożliwe. “Szeherezada” to główna kwatera Kate Hegstroem, kiedy przyjeżdża do Paryża.

–Tym razem jest inaczej. Idzie do kliniki. Operacja odbędzie się w najbliższych dniach.

–Właśnie dlatego przyjdzie. Nie rozumiesz kobiet. – Morozow przymrużył oczy. – A może nie chcesz, żeby przyszła?

–Dlaczego?

–Przypomniałem sobie, że nie byłeś u nas od tego czasu, kiedy mi przysłałeś tę kobietę, Joannę Madou. Zdaje mi się, że to nie przypadek.

–Bzdura, nie wiedziałem nawet, że jest jeszcze u was. Przydała się na co?

–Owszem. Najpierw była w chórze. Teraz ma krótki numer solowy, dwie czy trzy piosenki.

–Przywykła już jako tako?

–Naturalnie. A bo co?

–Była w rozpaczy. Biedne stworzenie!

–Co? – spytał Morozow.

–Powiedziałem: biedne stworzenie.

Morozow uśmiechnął się.

–Ravic – powiedział ojcowskim tonem, a w jego twarzy zamajaczyły nagle stepy, przestrzeń, wiedza i całe doświadczenie świata. – Nie pleć głupstw. To suka.

–Co? – spytał Ravic.

–Suka. Nie prostytutka, po prostu suka. Gdybyś był Rosjaninem, zrozumiałbyś to.

Ravic roześmiał się.

–W takim razie musiała się bardzo zmienić. Serwus, Borysie! Niech Bóg cię ma w opiece!

7

–Kiedy mam być w klinice? – spytała Kate Hegstroem.

–Kiedy pani chce. Jutro, pojutrze, kiedykolwiek. Dzień czy dwa nie grają roli.

Stała przed nim szczupła, chłopięca, ładna i już niezupełnie młoda.

Dwa lata temu Ravic usunął jej wyrostek robaczkowy. Była to jego pierwsza operacja w Paryżu. Przyniosła mu szczęście. Od tego czasu pracował spokojnie i nie miał trudności z policją. Uważał Kate za swoją maskotkę.

–Tym razem odczuwam jakiś lęk – powiedziała. – Nie wiem sama, dlaczego. Boję się.

–Nie trzeba, to kwestia rutyny.

Podeszła do okna i wyjrzała na dwór. Okna wychodziły na podwórze hotelu “Lancaster”. Rozłożysty kasztan wyciągał wiekowe ramiona ku wilgotnemu niebu.

–Taki deszcz – powiedziała. – W deszcz wyjeżdżałam z Wiednia, zbudziłam się w Zurychu, kiedy deszcz padał, i teraz tu…

Zaciągnęła z powrotem firankę.

–Nie wiem, co mi się stało. Myślę, że się po prostu starzeję.

–Zawsze się tak myśli, kiedy się jest młodym.

–Powinnam być inna. Dwa tygodnie temu przeprowadziłam rozwód. Powinnam się cieszyć. A tymczasem odczuwam tylko zmęczenie. Wszystko się powtarza, Ravic. Czemu?

–Nic się nie powtarza. To my powtarzamy samych siebie.

Uśmiechnęła się i usiadła z powrotem na kanapie obok sztucznego kominka.

–Dobrze, że wróciłam tutaj. Wiedeń to w tej chwili koszary. Rozpacz! Niemcy zdeptali doszczętnie to miasto, a wraz z nim Austriaków. I Austriaków, czy pan to rozumie? Zdawałoby się, że to jest przeciwne naturze: Austriak-nazista. Ale widziałam na własne oczy!

–Nic dziwnego, Kate. Władza to najzaraźliwsza choroba.

–Tak, i najbardziej zniekształca. Dlatego zażądałam rozwodu. Uroczy leń, którego poślubiłam dwa lata temu, przeobraził się nagle we wrzeszczącego sturmführera, kazał staremu profesorowi Bernsteinowi zamiatać ulicę, a sam stał przy tym i śmiał się. Temu samemu Bernsteinowi, który rok temu wyleczył go z zapalenia nerek. Przyśniło mu się teraz, że z niego wtedy zdarł. Honorarium, które ja zapłaciłam! – Kate Hegstroem wydęła pogardliwie wargi.

–Trzeba się cieszyć, że się go pani pozbyła.

–Zażądał za rozwód dwieście pięćdziesiąt tysięcy szylingów.

–Tanio – powiedział Ravic. – Wszystko, co można dostać za pieniądze, jest tanie.

–Nic nie dostał. – Kate podniosła ku niemu wąską twarzyczkę o nieskazitelnym profilu gemmy. – Powiedziałam mu, co myślę o nim, o jego partii, o jego führerze i że odtąd będę to krzyczeć ze wszystkich dachów. Zagroził mi gestapo i obozem koncentracyjnym. Wyśmiałam go. Jestem wciąż jeszcze Amerykanką i znajduję się pod opieką mojej ambasady. Nic mi się złego nie stanie, raczej jemu za to, że się kiedyś ze mną ożenił. – Roześmiała się. – Nie przyszło mu to na myśl. Od tego czasu przestał robić trudności.

"Ambasada, opieka, bezpieczeństwo" – myślał tymczasem Ravic. "To pojęcia z innej planety".

–Że też Bernsteinowi wolno jeszcze praktykować – powiedział.

–Ale gdzież tam! Zbadał mnie w tajemnicy, kiedy dostałam pierwszego krwotoku. Dzięki Bogu, że nie wolno mi mieć dziecka. Dziecko z nazistą, brr! – Dreszcz nią wstrząsnął.

Ravic wstał.

–Muszę iść. Po południu Veber zbada panią raz jeszcze. Dla formy.

–Wiem, mimo to czuję tym razem jakiś lęk.

–Ależ Kate, przecież to nie pierwszy raz. To o wiele łatwiejsze niż operacja wyrostka robaczkowego, który pani usunąłem dwa lata temu. – Objął ją lekko za ramiona. – To była przecież moja pierwsza tutejsza operacja. To jakby pierwsza miłość. Muszę bardzo o panią dbać. Poza tym pani jest moją maskotką. Przyniosła mi pani szczęście. I musi mi je pani nadal przynosić.

–Tak – powiedziała i spojrzała na niego.

–No, więc świetnie. *Adieu,* Kate. Przyjdę po panią o ósmej wieczorem.

–*Adieu,* Ravic. Idę do Mainbochera po wieczorową suknię. Precz z tym znużeniem! Z uczuciem, że się zaplątałam w sieć pająka. Ten Wiedeń – powiedziała z gorzkim uśmiechem -"miasto moich snów"!

Ravic zjechał windą na dół i przeszedł przez hall, mijając wejście do baru. Siedziało tam kilku Amerykanów. Na środku stołu stał ogromny pęk czerwonych mieczyków. W szarym, rozproszonym świetle miały kolor zapiekłej krwi i dopiero kiedy podszedł bliżej, zauważył, że są zupełnie świeże. To tylko światło dochodzące z zewnątrz nadawało im tę barwę.

*** * ***

Na drugim piętrze hotelu "International" panował ogromny ruch. Kilka pokoi stało otworem, pokojówka i posługacz biegali tam i z powrotem, a gospodyni dyrygowała z korytarza. Ravic wchodził po schodach.

–Co tu się dzieje? – zapytał.

Gospodyni była zażywną kobietą o wydatnym biuście i zbyt małej głowie, nastroszonej czarnymi, krótkimi lokami.

–Hiszpanie wyjechali – powiedziała.

–Wiem. Czemu jednak każe pani sprzątać pokoje tak późno wieczorem?

–Będą potrzebne jutro z samego rana.

–Nowi uchodźcy z Niemiec?

–Nie, z Hiszpanii.

–Z Hiszpanii? – zapytał, nie rozumiejąc, co miała na myśli. – Jak to, przecież dopiero co wyjechali?

Spojrzała na niego czarnymi, błyszczącymi oczami i uśmiechnęła się. Uśmiech ten był pełen prostej wiedzy i prostej ironii.

–Teraz wracają tamci – powiedziała.

–Jacy tamci?

–Z przeciwnego obozu. Zawsze tak bywa. – Krzyknęła na dziewczynę, która sprzątała pokój. – To stary hotel – powiedziała z pewną dumą – goście lubią do nas wracać. Czekają już na swoje dawne pokoje.

–Czekają już? – spytał Ravic zdumiony. – Kto czeka?

–Panowie z przeciwnego obozu. Większość z nich była tu już. Naturalnie, niektórzy zostali tymczasem zabici. Ale reszta czekała w Biarritz albo w Saint Jean de Luz, aż się pokoje zwolnią.

–Byli tu już?

–Ależ, panie Ravic! – zawołała zdziwiona, że nie od razu zrozumiał. – Oczywiście w tym czasie, kiedy Primo de Rivera był dyktatorem w Hiszpanii. Wtedy musieli uciekać i mieszkali tutaj. Z chwilą kiedy w Hiszpanii zapanowała republika, wrócili tam, a monarchiści i faszyści zmuszeni byli wyjechać. Teraz ci ostatni wracają, a republikanie przyjeżdżają. Ci, którzy nie wyginęli.

–Rzeczywiście. To mi nie przyszło na myśl.

Gospodyni zajrzała do jednego z pokojów; wisiał tam nad łóżkiem oleodruk przedstawiający byłego króla Alfonsa.

–Proszę to zdjąć, Jeanne! – zawołała.

Dziewczyna przyniosła obraz.

–Proszę go tu postawić. – Oparła obraz o ścianę po prawej stronie i poszła dalej. W drugim pokoju wisiał portret generała Franco. – I ten również. Proszę go odstawić do tamtego.

–Czemuż tamci Hiszpanie nie zabrali swoich portretów? – spytał Ravic.

–Emigranci rzadko biorą z sobą portrety, wracając do kraju – oświadczyła gospodyni. – Portrety to pociecha na obczyźnie; kiedy się wraca do domu, stają się zbędne. Ramy przeszkadzają w podróży, a szkło się tłucze. Portrety zwykle zostają w hotelu.

Dwa inne portrety tłustego generała, jeden Alfonsa i jeden mniejszy, przedstawiający Queipo de Llano, podzieliły los poprzednich na korytarzu.

–Święte obrazy można zostawić – zdecydowała, ujrzawszy jaskrawo malowaną Madonnę. – Święci są neutralni.

–Nie zawsze – zauważył Ravic.

–Pan Bóg ma zawsze szansę w ciężkich czasach. Widziałam tu już, jak modlili się zatwardziali ateusze. – Energicznym ruchem poprawiła lewą pierś. – A pan się nigdy nie modlił, kiedy woda dochodziła panu do ust?

–Naturalnie, ale ja nie jestem ateuszem. Jestem opornym wierzącym.

Posługacz wchodził po schodach. Niósł stos obrazów.

–Zmienia pani dekorację? – spytał Ravic.

–Naturalnie. Jeśli się prowadzi hotel, trzeba mieć dużo taktu. To utrwala dobrą reputację. Szczególnie u takich klientów jak nasi, którzy, mogę to powiedzieć, bardzo są pod tym względem wrażliwi. Trudno oczekiwać, że ktoś będzie się dobrze czuł w pokoju, w którym jego śmiertelny wróg spogląda na niego dumnie, wymalowany najpiękniejszymi kolorami, a czasem nawet oprawiony w złote ramy. Nie mam racji?

–W stu procentach.

Gospodyni zwróciła się znów do posługacza.

–Proszę tu postawić te obrazy, Adolfie. Nie tak, odwróć je do światła, żeby się im można było przyjrzeć.

Posługacz mruknął coś w odpowiedzi i pochylił się, żeby przygotować wystawę.

–A co pani tam teraz powiesi? – spytał zainteresowany Ravic. – Jelenie, pejzaże, wybuch Wezuwiusza czy coś w tym rodzaju?

–Jeżeli tamtych nie starczy. Przede wszystkim jednak te dawne.

–Jakie dawne?

–No, te poprzednie. Te, które ci panowie zostawili, obejmując rządy. Oto one.

Wskazała lewą ścianę korytarza. Posługacz ustawił tam tymczasem rzędem nowe obrazy naprzeciwko tych, które właśnie zostały zdjęte. Były tu dwa portrety Marksa, trzy Lenina, z których jeden do połowy zaklejony papierem, jeden Trockiego i kilka mniejszych, oprawionych w ramki reprodukcji, przedstawiających Negrina i innych republikańskich przywódców Hiszpanii. Na ogół mniej się rzucały w oczy, a żaden nie mógł się nawet równać z blaskiem kolorów, emblematów i gwiazd, którymi połyskiwał wspaniały rząd Alfonsów, Primo de Riverów i Franków, ustawiony po prawej stronie. Dwa rzędy przeciwstawnych światopoglądów spoglądały na siebie milcząco w słabo oświetlonym korytarzu, a między nimi stała francuska gospodyni, obdarzona taktem, doświadczeniem i ironiczną wiedzą swojej rasy.

–Schowałam obrazy, kiedy ci panowie wyjeżdżali – powiedziała. – Teraz rządy nie są długowieczne. Widzi pan, że miałam rację, teraz się przydadzą. Trzeba być dalekowzrocznym, prowadząc hotel.

Rozmieszczała portrety po pokojach, tylko Trockiego odesłała: nie była go pewna. Ravic przyglądał się Leninowi, który był do połowy zaklejony. Zdrapał nieco papieru i spod niego ukazała się druga głowa, Trockiego, który się do tamtego uśmiechał. Zakleił go widocznie jakiś zwolennik Stalina.

–Ma pani – powiedział Ravic. – Jeszcze jeden Trocki. Z dawnych dobrych czasów przyjaźni i braterstwa.

Gospodyni wzięła obraz.

–Trzeba to będzie wyrzucić. Nic niewart. Jedna połowa bez przerwy obraża drugą. – Dała go posługaczowi. – Proszę wyjąć z ram, Adolfie. To porządny orzech.

–A co pani zrobi z resztą? – spytał Ravic. – Z tymi wszystkimi Frankami i Alfonsami?

–Tymczasem pójdą do piwnicy. Nigdy nie można przewidzieć, kiedy znów będą potrzebni.

–Pani piwnica musi być cudownym miejscem. Chwilowe mauzoleum. Ma pani tam coś jeszcze?

–Naturalnie! Mamy jeszcze Rosjan, kilka skromniejszych portretów Lenina bez ram, jako rezerwę, i ostatniego cara. Należały do Rosjan, którzy tu umarli. Piękny, olejny portret, w ciężkiej złotej ramie, człowieka, który tu popełnił samobójstwo. Poza tym włoskie obrazy: dwóch Garibaldich, trzech króli i trochę uszkodzony Mussolini na gazetowym papierze, z czasów kiedy był w Zurychu socjalistą. To ciekawostka bez wartości. Któż by go chciał u siebie powiesić!

–A Niemcy?

–Jeszcze paru Marksów, te są najpospolitsze, jeden Lassalle, jeden Bebel i grupa, w której są Ebert, Scheidemann, Noske i paru innych. Noskego ktoś zresztą zamazał atramentem. Powiedziano mi, że został nazistą.

–To prawda. Może pani go powiesić obok Mussoliniego-socjalisty. A z opozycji?

–Owszem, jest jeden Hindenburg, jeden kajzer Wilhelm, jeden Bismarck i nawet – tu gospodyni uśmiechnęła się – jeden Hitler w nieprzemakalnym płaszczu. Kolekcja niemal kompletna!

–Co? – zdziwił się Ravic. – Hitler? Skąd go pani ma?

–Od pewnego homoseksualisty. Przyjechał w 1934 roku, kiedy zabito Röhma i tamtych. Bał się i modlił. Potem zaopiekował się nim jakiś bogacz z Argentyny. Nazywano go Putzi. Chce pan zobaczyć portret? Jest w piwnicy.

–Nie teraz i nie w piwnicy. Chętnie bym go obejrzał wtedy, kiedy jego portrety będą u pani wisiały we wszystkich pokojach.

Przez chwilę wpatrywała się w niego badawczo.

–Ach, tak – powiedziała wreszcie. – To znaczy wtedy, kiedy tamci przyjadą tu jako emigranci.

*** * ***

Borys Morozow stał przed "Szeherezadą" w liberii szamerowanej złotem i otworzył drzwiczki taksówki. Ravic wysiadł. Morozow uśmiechnął się.

–Zdawało mi się, że nie chciałeś tu przyjechać?

–Rzeczywiście nie miałem zamiaru.

–To ja go zmusiłam, Borysie. – Kate Hegstroem ucałowała Morozowa. – Bogu dzięki, że znów jestem z wami.

–Masz ruską duszę, Katia. Bóg wie, czemu musiałaś się urodzić w Bostonie. Chodź, Ravic. – Morozow szeroko otworzył drzwi wejściowe. – Człowiek ma zawsze wielkie zamiary, ale wykonanie szwankuje. Oto, w czym nasza nędza i nasz wdzięk.

"Szeherezada" była urządzona jako kaukaski namiot; usługiwali kelnerzy Rosjanie w czerwonych mundurach Czerkiesów. Orkiestra składała się z rosyjskich i rumuńskich Cyganów. Goście siedzieli przy małych stolikach, ustawionych koło ławy obiegającej ścianę. Sala była ciemna i szczelnie zapełniona.

–Czego się pani napije? – zapytał Ravic.

–Wódki. I niech pan poprosi Cyganów, żeby zagrali. Mam dość *Opowieści lasku wiedeńskiego* granych w tempie marsza. – Oswobodziła nogi z pantofelków i wciągnęła je na ławkę. – Nie jestem już zmęczona, Ravic. Te kilka godzin w Paryżu całkowicie mnie odmieniło. Ale czuję się ciągle tak, jakbym uciekła z obozu koncentracyjnego. Czy może pan to sobie wyobrazić?

Spojrzał na nią.

–Mniej więcej – powiedział.

Czerkies przyniósł małą butelkę wódki i kieliszki. Ravic napełnił je i podał jeden Kate Hegstroem. Opróżniła go szybko i chciwie. Potem rozejrzała się.

–Nędzna dziura – zaopiniowała, śmiejąc się. – Ale nocą wydaje się pieczarą marzeń i snów. – Oparła się głębiej. Łagodne światło spod płyty stolika oświetliło jej twarz. – Czemu to, Ravic, każda rzecz nocą nabiera barw? Nic nie wydaje się trudne, wszystko możliwe, a to, czego nie można osiągnąć, wypełnia się snami. Czemu?

Uśmiechnął się.

–Śnimy, bo nie możemy wytrzymać prawdy.

Orkiestra zaczęła stroić instrumenty. Przyfrunęło kilka skrzypcowych pasaży.

–Nie wygląda pan na człowieka, który by sam siebie oszukiwał snami – powiedziała Kate Hegstroem.

–Prawdą też można się oszukiwać, to jeszcze bardziej niebezpieczny sen.

Orkiestra zaczęła grać. Z początku odezwały się cymbały. Małe młoteczki wysnuwały z ciemności melodię, cicho, niemal niedosłyszalnie, potem przerzuciły się w wysokie, łagodne glissando i z wahaniem podały je skrzypcom.

Powoli krocząc przez parkiet, zbliżył się do ich stolika Cygan i stanął uśmiechnięty, ze skrzypcami pod brodą, z natarczywymi oczami i chciwym, namiętnym wyrazem twarzy. Gdyby nie jego skrzypce, byłby pewno pastuchem; z nimi był zwiastunem stepów, rozległych horyzontów, dalekich wieczorów i tego wszystkiego, co nigdy nie staje się prawdą.

Kate Hegstroem poczuła tę melodię na swoich policzkach jak źródlaną kwietniową wodę. Przepełniły ją echa, ale żadne jej nie wołało. Szeptały zmieszane głosy, przelatywały strzępy wspomnień, chwilami coś migotało jak kawałek brokatu, ale potem wszystko zawirowało i odleciało i nikt jej nie zawołał. Nikt nie wołał.

Cygan skłonił się. Ravic wsunął mu pod stołem banknot w otwartą dłoń. Kate Hegstroem poruszyła się w swoim kąciku.

–Czy był pan kiedy szczęśliwy?

–Często.

–Nie o tym myślę. Myślę o prawdziwym szczęściu, bez tchu, bez pamięci, bez reszty…

Ravic spojrzał na wąską wzburzoną twarzyczkę, która znała tylko jeden rodzaj szczęścia, najmniej trwały: miłość i nic innego.

–Często, Kate – powiedział, myśląc o innym rodzaju szczęścia i wiedząc, że to jeszcze nie ten, o który chodzi.

–Pan mnie nie chce zrozumieć. Albo nie chce pan o tym mówić. Kto teraz śpiewa z orkiestrą?

–Nie wiem, dawno tu nie byłem.

–Stąd nie widać tej kobiety. Nie ma jej wśród Cyganów. Pewno siedzi przy jakimś stoliku.

–Może ktoś z gości. To się tu zdarza.

–Dziwny głos – powiedziała Kate Hegstroem. – Tęskny, a pełen buntu.

–To jest w pieśni, a nie w głosie.

–Albo we mnie. Czy pan rozumie, co ona śpiewa?

–*Ja was lubił…*, wiersz Puszkina.

–Pan zna rosyjski?

–Tylko tyle, ile Morozow mnie nauczył. Przeważnie wymysły. Wymarzony język do przekleństw.

–Nie lubi pan mówić o sobie, co?

–Ja nawet myśleć o sobie nie lubię.

Chwilę siedziała w milczeniu.

–Czasami zdaje mi się, że z dawnym życiem już koniec. Oczekiwanie, beztroska – to wszystko, co było kiedyś.

Ravic uśmiechnął się.

–To się nigdy nie kończy, Kate. Życie to zbyt wielka rzecz, aby mogło się skończyć, zanim wydamy ostatnie tchnienie.

Nie słuchała go.

–Czasem przychodzi taki okropny, niewytłumaczony lęk. Tak, jakby się miało okazać, kiedy stąd wyjdziemy, że świat się nagle zawalił. Czy i pan zna to uczucie?

–Owszem, każdy je zna. To choroba każdego Europejczyka. Od lat dwudziestu.

Zamilkła.

–Ale teraz to już nie po rosyjsku – powiedziała po chwili, słuchając muzyki.

–Nie, to włoski. *Santa Lucia Luntana.*

Światło reflektora drgnęło i opuszczając skrzypka, skierowało się na stolik obok orkiestry. Teraz Ravic zobaczył śpiewaczkę. Była to Joanna Madou. Siedziała sama, wsparłszy łokieć na stoliku i patrząc wprost przed siebie, jakby prócz niej nie było tu nikogo. Twarz jej w jaskrawym świetle wydawała się bardzo blada, nie miała jednak nic z owego płaskiego, skażonego wyglądu, który pamiętał. Przeciwnie, promieniała tajemniczą, podniecającą pięknością. Patrząc na nią, Ravic przypomniał sobie, że raz już ją taką widział w jej pokoju, nocą, ale myślał wtedy, że była to słodka złuda pijaństwa, która zresztą zaraz rozpłynęła się i znikła. Teraz pojawiła się, w całości, w jeszcze większym stopniu niż wtedy.

–Co tam ciekawego? – spytała Kate Hegstroem.

Odwrócił się.

–Nic, znam tę piosenkę. Taki neapolitański szlagier.

–Wspomnienia?

–Nie, nie mam wspomnień.

Powiedział to z większą gwałtownością, niż zamierzał.

Spojrzała na niego uważnie.

–Czasami chciałabym naprawdę wiedzieć, co w panu siedzi.

Zrobił ruch zniecierpliwienia i obrony.

–Nic więcej niż w każdym innym. Po całym świecie włóczą się dziś nieumyślni awanturnicy. Każdy hotel dla uchodźców jest nimi przepełniony, a historia każdego z nich wydałaby się sensacją nawet Dumasowi i Wiktorowi Hugo. Ziewamy, zanim ją ktoś zacznie opowiadać. Proszę, jeszcze kieliszek wódki. Dziś największą przygodą jest proste, spokojne życie.

Orkiestra zaczęła grać bluesa, nie grała jednak dobrze do tańca. Kilka par zaczęło się kręcić. Joanna Madou wstała i skierowała się ku drzwiom. Szła, jakby lokal był pusty. Ravic przypomniał sobie nagle zdanie Morozowa o niej. Przeszła tuż obok ich stolika. Zdawało mu się, że go dostrzegła, ale oczy jej prześliznęły się po nim obojętnie i zniknęła za drzwiami.

–Czy pan zna tę kobietę? – spytała Kate Hegstroem, która bacznie mu się przyglądała.

–Nie.

8

–Widzi pan, Veber? – spytał Ravic. – Tu i tu, i tu.

Veber nachylił się nad cięciem, rozszerzonym klamrami.

–Tak.

–Te małe zgrubienia tu i tu to nie nacieki ani zrosty.

–Nie.

Ravic wyprostował się.

–Rak – powiedział – klasyczny, niewątpliwy przypadek raka. Coś tak potwornego od lat mi się nie zdarzyło. Wziernikowanie niczego nie wykazało, przy badaniu podbrzusza dawało się wyczuć tylko nieznaczne rozpulchnienie z jednej strony i lekki obrzęk, można to było wziąć za torbiel albo za włókniak, w każdym razie nic ważnego. Ale dojście przez pochwę było niemożliwe i zaszła konieczność laparotomii. No i okazuje się – rak.

Veber spojrzał na niego.

–I co pan teraz myśli począć?

–Możemy pobrać wycinek do badania histopatologicznego. Czy Boisson jest jeszcze w laboratorium?

–Prawdopodobnie.

Veber kazał pielęgniarce połączyć się z laboratorium. Wyszła, poruszając się bezgłośnie na gumowych podeszwach.

–Powinniśmy iść dalej – powiedział Ravic – i usunąć macicę. Wszystko inne nie ma sensu. Najgorsze to, że ona o niczym nie wie. Jak tętno? – spytał lekarza, który dawał narkozę.

–Miarowe. Dziewięćdziesiąt.

–Ciśnienie?

–Sto dwadzieścia.

–W porządku – powiedział Ravic, patrząc na Kate Hegstroem, która leżała na stole operacyjnym w pozycji Trendelenburga. – Powinniśmy uzyskać jej zgodę. Tak nie można. A może można?

–Prawnie – nie. Ale przecież już zaczęliśmy.

–Tylko to, co i tak mieliśmy zrobić. Wyskrobanie było technicznie niemożliwe. Ale teraz to zupełnie inna operacja. Usunięcie macicy to zupełnie inna sprawa niż skrobanka.

–Sądzę, że ona ma do pana całkowite zaufanie.

–Nie wiem. Być może. Ale czy by się zgodziła… – Łokciem wygładził gumowy fartuch. – Mimo to spróbuję zobaczyć, co tam jest dalej. Potem możemy zdecydować, czy usuniemy macicę. Nóż, Eugenio!

Przedłużył cięcie aż do pępka i uchwycił drobniejsze tętnice. Następnie podwiązał większe, wziął inny nóż i przeciął matową powięź. Trzonkiem noża odsunął mięśnie, naciągnął otrzewną, przeciął ją i założył rozszerzacz.

–Hak!

Instrumentariuszka podała mu hak, potem założyła łańcuch z ciężarkiem i przerzuciła go między nogami Kate Hegstroem, odsuwając pęcherz moczowy.

–Kompresy!

Założył wilgotne, ciepłe kompresy, odsłonił jamę brzuszną i ostrożnie nałożył kleszcze. Potem podniósł oczy.

–Proszę, niech pan spojrzy tu i tu, ta wielka twarda masa obok więzadeł szerokich. Nawet kocherów nie można założyć. Cała sprawa posunęła się już za daleko.

Veber spojrzał na miejsce, które mu pokazywał Ravic.

–Proszę popatrzyć – powiedział znowu Ravic. – Nie da się już chwycić tych naczyń, są zbyt kruche. I tu zmiany. Beznadziejne!

Starannie pobrał próbny wycinek.

–Czy Boisson jest w laboratorium?

–Tak – powiedziała pielęgniarka. – Telefonowałam, czeka.

–Dobrze, proszę mu to posłać. Poczekamy na wynik. To nie powinno trwać dłużej niż dziesięć minut.

–I proszę mu powiedzieć, żeby zaraz zadzwonił. Przerywamy operację – powiedział Veber.

Ravic znów się wyprostował.

–Jak z tętnem?

–Dziewięćdziesiąt pięć.

–Ciśnienie?

–Sto piętnaście.

–W porządku. Veber, nie ma co się namyślać, czy operować bez pozwolenia czy nie. Tu już nic nie zrobimy.

Veber przytaknął.

–Zaszyjemy ją – powiedział Ravic. – Usunąć płód to wszystko, co możemy zrobić. Zaszyć i nic nie mówić.

Stał chwilę i patrzył na rozkrajane ciało pomiędzy białymi prześcieradłami. Jaskrawy blask lampy sprawiał, że wydawały się jeszcze bielsze, białe jak świeżo spadły śnieg, pod którym jak rozpalony krater przeświturywała krwawa rana. Kate Hegstroem, trzydzieści trzy lata, kapryśna, szczupła, opalona i wygimnastykowana, pełna woli życia – skazana na śmierć przez niewidzialny stwór, który pożerał jej tkanki. Znów pochylił się nad ciałem.

–Trzeba jeszcze…

Dziecko. Pulsujące, ślepe życie trzymało się tego ciała w rozkładzie. Skazane wraz z nim. Ssąc, pożerając, trwał tutaj jeszcze pęd do rozrostu istoty, która pewnego dnia miała bawić się w ogrodzie, być kimś, inżynierem, księdzem, żołnierzem, mordercą, człowiekiem, czymś, co pragnie żyć, cierpieć, być szczęśliwym, a potem przestać istnieć. Nóż posunął się ostrożnie w tę stronę, napotkał opór, przełamał go, usunął, skończył. Skończyło się nieświadome krążenie, oddech nie wydyszany, nie wyżyta radość, smutki, rośniecie, istnienie. Nic prócz kawałka martwego, bladego mięsa i zapiekłej krwi.

–Boisson nie dzwonił?

–Nie, jeszcze, lada chwila zadzwoni.

–Możemy jeszcze trochę poczekać. – Zrobił parę kroków. – Tętno?

Spojrzał przez maskę w oczy Kate. Były otwarte, patrzyła na niego bez sennego otępienia, tak, jakby go widziała i wiedziała wszystko. Przez chwilę zdawało mu się, że nie śpi. Postąpił krok naprzód i zatrzymał się. Niemożliwe! To przypadek, światło.

–Jak tętno?

–Sto. Ciśnienie sto dwanaście. Spada.

–Trochę to za długo trwa – powiedział Ravic. – Boisson powinien już być gotów.

Z dołu zabrzmiał stłumiony dzwonek telefonu. Veber zwrócił się ku drzwiom. Ravic nie podniósł głowy, czekał. Słyszał, jak otwierają się drzwi, jak wchodzi pielęgniarka.

–Tak – powiedział Veber. – Rak.

Ravic skinął głową i powrócił do pracy. Usunął kleszcze i klamry, zdjął hak i kompresy. Eugenia u jego boku liczyła instrumenty.

Założył pierwsze szwy. Lekko, wprawnie, dokładnie, skupiony i bez jakiejkolwiek myśli. Grób był zamknięty, warstwy mięśni kolejno zaszyte. Założył klamry na skórę i wyprostował się.

–Koniec.

Eugenia nacisnęła pedał, aby doprowadzić stół operacyjny do poziomu, i nakryła Kate Hegstroem. "«Szeherezada» – myślał Ravic – przedwczoraj wieczór… Toaleta od Mainbochera… Czy był pan kiedy szczęśliwy, często, boję się, to kwestia rutyny. Cyganie grają…" Popatrzył na zegar nad drzwiami. Dwunasta. Południe. Właśnie otwierają się fabryki i biura i płynie z nich strumień zdrowych ludzi. Dwie pielęgniarki wywiozły wózek z pacjentką z sali operacyjnej. Ravic zrzucił gumowe rękawiczki, podszedł do umywalni i zaczął się myć.

–Papieros – zwrócił mu uwagę Veber, który mył ręce pod drugim kranem. – Papieros spali panu wargi.

–Tak, dziękuję. Kto jej to powie?

–Pan – powiedział Veber bez namysłu.

–Musimy jej w ogóle wytłumaczyć, dlaczegośmy ją operowali. Spodziewała się, że da się to zrobić bez krajania. Nie możemy jej przecież powiedzieć prawdy.

–Już pan coś wymyśli – powiedział Veber z przekonaniem.

–Tak pan sądzi?

–Naturalnie. Ma pan przecież czas do wieczora.

–A pan?

–Mnie nie uwierzy. Wie przecież, że pan ją operował, będzie chciała o tym usłyszeć od pana. Jeśli ja z nią będę gadał, zacznie się czegoś domyślać.

–To prawda.

–A swoją drogą nie rozumiem – powiedział Veber – jak to się mogło w takim tempie rozwinąć.

–Mogło. Chciałbym wiedzieć, co ja jej powiem.

–Coś pan wymyśli – powtórzył Veber. – Jakaś torbiel albo włókniak.

–Tak – powiedział Ravic. – Jakaś torbiel albo włókniak.

W nocy po raz drugi przyszedł do kliniki. Kate Hegstroem spała. Przebudziła się wieczorem, zwymiotowała, rzucała się przez godzinę i znów zasnęła.

–O nic nie pytała?

–Nie – odrzekła pielęgniarka o rumianych policzkach. – Była zamroczona i nie pytała o nic.

–Myślę, że będzie spać aż do rana. Gdyby się przebudziła i zaczęła zadawać pytania, nich jej pani powie, że wszystko poszło dobrze. Najlepiej, żeby znów mogła zasnąć. Niech jej pani coś da w razie czego. Gdyby się niepokoiła, niech pani wezwie mnie albo doktora Vebera. Zostawię w hotelu wiadomość, gdzie można mnie znaleźć.

Stał na ulicy jak ktoś, komu tym razem udało się wymknąć. Miał przed sobą kilka godzin, zanim zacznie kłamać przed tymi ufnymi oczami. Noc wydała mu się nagle ciepła i lśniąca. Potworny parch życia raz jeszcze został miłosiernie okryty kilku darowanymi godzinami, które frunęły jak gołębie. Ale nawet i te godziny był kłamstwem – za wszystko trzeba płacić; były tylko zwłoką, cóż jednak nie było zwłoką? Czyż w ogóle wszystko nie było zwłoką, litosną zwłoką, barwną chorągwią, która zasłania daleką, czarną, nieuchronnie zbliżającą się śmierć?

Wszedł do baru i usiadł pod oknem przy marmurowym stoliku. Lokal był zadymiony i pełen zgiełku. Podszedł kelner.

–Dubonnet i paczkę kolonialnych.

Otworzył paczkę i zapalił ciemnego papierosa. Przy sąsiednim stoliku kilku Francuzów sprzeczało się o swój sprzedajny rząd i o układ monachijski. Ravic ledwie słuchał. I tak każdy wiedział, że świat apatycznie zdąża ku nowej wojnie. Nikt nie próbował temu przeciwdziałać. Zwłoka, może jeszcze rok, to wszystko, o co zdołano walczyć. Zwłoka i w tym także, ciągle to samo.

Wypił kieliszek Dubonneta. Mdły, słodkawy, obrzydliwy smak aperitini wypełnił mu usta. I po co to zamówił? Zawołał kelnera.

–Koniaku.

Znów spojrzał w okno i otrząsnął się z tych myśli. Jeśli naprawdę nic nie można poradzić, po co się doprowadzać do obłędu? Przywołał wspomnienie chwili, kiedy udzielono mu tej lekcji. Jednej z największych lekcji w życiu…

Było to pod Ypres w sierpniu 1916 roku. Dzień przedtem kompania wróciła z frontu. Po raz pierwszy byli w walce, wysłano ich na stosunkowo spokojny odcinek. Nic szczególnego się nie wydarzyło. Leżeli teraz w ciepłym sierpniowym słońcu koło małego ogniska, piekąc kartofle, które znaleźli w polu. W następnej chwili nie zostało nic z tego. Nagły atak artyleryjski, granat,

który wybuchnął w samym środku ogniska – i kiedy wrócił do przytomności, cały i nie uszkodzony, zobaczył, że dwóch kolegów zostało zabitych, a nieco dalej leży jego przyjaciel, Paweł Messmann, którego znał od czasów, kiedy obaj uczyli się chodzić, z którym się bawił, chodził do szkoły, z którym się nigdy nie rozłączał. Messmann leżał z rozwalonym brzuchem, z wnętrznościami na wierzchu… Zanieśli go na płachcie namiotowej do szpitala polowego najbliższą drogą, przez pole i, w górę łagodnym zboczem. Niosło go czterech ludzi, po jednym za każdy róg płachty, a on leżał na brązowym płótnie namiotowym, cisnąc rękami białe, tłuste, zakrwawione wnętrzności. Usta miał otwarte i oczy w słup. W dwie godziny potem nie żył. Ostatnią z nich krzyczał.

Ravic przypomniał sobie powrót. Siedział w baraku ponury i ogłupiały. Pierwszy raz widział coś podobnego. Odnalazł go sierżant Kaczyński, w życiu cywilnym szewc.

–Chodź – powiedział – w bawarskiej kantynie jest dziś piwo i wódka. I kiełbasa także.

Ravic spojrzał na niego, nie pojmując takiej brutalności. Kaczyński też mu się przyglądał. Potem powiedział:

–Pójdziesz ze mną, inaczej cię zdzielę. Będziesz żarł, uchlasz się i pójdziesz do dziwek. – Nie odpowiedział. Kaczyński usiadł przy nim. – Wiem, co się z tobą dzieje. Wiem, co o mnie teraz myślisz. Ale ja tu jestem od dwóch lat, a ty dopiero od dwóch tygodni. Słuchaj, czy możemy jeszcze coś zrobić dla niego? Nie. Czyż nie wiesz, że zrobilibyśmy wszystko, nawet z największym ryzykiem, gdybyśmy go mogli uratować? – Podniósł głowę. Tak, Ravic wiedział o tym, znał Kaczyńskiego. – Widzisz. Umarł. Nic się już nie da zrobić. Ale za dwa dni opuścimy tę wieś i pójdziemy na front. Tam już nie będzie tak spokojnie. Siedząc tu i rozmyślając o Messmannie, zżerasz się. Rujnujesz nerwy, tracisz pewność siebie. Nie wytrzymasz drugiego ataku, spóźnisz się w działaniu o pół sekundy. Wyniesiemy ciebie, jak wynieśliśmy jego. I komu to pomoże, Messmannowi? Nie. Innym? Także nie. Zabije ciebie, to wszystko. Teraz zrozumiałeś?

–Tak, ale nie mogę.

–Milcz, możesz. Inni potrafią, potrafisz i ty. Nie jesteś pierwszy.

Po tej nocy było mu lepiej. Poszedł z tamtym, otrzymał swoją pierwszą wielką lekcję. Pomóż, jeśli możesz, zrób wtedy wszystko – ale jeśli nic nie możesz zrobić, zapomnij. Odejdź. Weź się w garść. Współczucie dobre jest w czasie pokoju, nie wtedy, kiedy chodzi o życie. Pochowaj zmarłych i myśl o sobie. To ci się przyda. Żałoba swoją drogą, a fakty swoją. Żałoba nie zmniejszy się, jeśli mimo niej będziesz dostrzegał fakty i uznawał je. Tylko tak można przeżyć.

Dopił koniak. Francuzi przy sąsiednim stoliku ciągle mówili o rządzie i o tym, że Francja zawiodła. O Anglii. O Włoszech. O Chamberlainie. Słowa, słowa! Czyny były po drugiej stronie. Tamci nie byli silniejsi, tylko bardziej zdecydowani. Nie byli też odważniejsi, ale wiedzieli, że ci

nie chcą walki. Gra na zwłokę – ale co im z tego przyjdzie? Czy się uzbroją, dopędzą tamtych, wezmą się w garść? Przyglądają się zbrojeniom tamtych i biernie czekają na nową zwłokę. Historia stada fok: jest ich setka w zatoce, między nimi chodzi myśliwy i zabija pałką jedną po drugiej. Razem mogłyby go z łatwością zgnieść – ale leżą, patrząc, jak się zbliża, aby je mordować, i nie poruszają się. Zabija przecież tylko sąsiadów, jednego po drugim. Oto historia europejskich fok. Wieczorna zorza cywilizacji. Umęczony, mglisty zmierzch bogów. Beztreściwy sztandar praw człowieka. Wyprzedaż jednego z kontynentów. Nadciągający potop. Kramarska krzątanina dokoła ostatnich cen. Stary taniec rozpaczy na wulkanie. Narody znów z wolna zapędzane do rzeźni. Pchły ocaleją, kiedy baran zostanie oddany w ofierze. Jak zwykle.

Ravic zgasił papierosa. Rozejrzał się. Co to znaczy? Czyż wieczór nie był przedtem jak gołębica, perłowoszara, łagodna gołębica? Pochowaj swych zmarłych i żyj! Czas mija. Przeżyć – to wszystko. Przyjdzie chwila, kiedy się przydasz. Trzeba na to zdrowia i gotowości.

Zawołał kelnera i uregulował rachunek.

Kiedy wchodził, w "Szeherezadzie" ściemniono światła. Cyganie grali, reflektor oświetlał stolik, przy którym siedziała Joanna Madou.

Przy drzwiach Ravic zatrzymał się. Jeden z kelnerów podszedł do niego i przysunął stolik, ale Ravic nie usiadł. Stał i patrzył na Joannę Madou.

–Wódki? – zapytał kelner.

–Tak. Karafkę.

Usiadł. Nalał kieliszek wódki i prędko wypił. Chciał się uwolnić od myśli, które oblegały go, zanim tu wszedł. Grymas przeszłości, grymas śmierci, brzuch rozerwany pociskiem; brzuch zżarty przez raka. Zauważył, że dostał ten sam stolik, przy którym dwa dni temu siedział z Kate Hegstroem. Obok zwolnił się inny stolik, Ravic nie przesiadł się jednak. Co za różnica? Czy przy tym, czy przy tamtym stoliku usiądzie, cóż to pomoże Kate Hegstroem? Jak to kiedyś powiedział Veber? "Czemu się pan denerwuje, kiedy się operacja nie uda? Robisz, co umiesz, i idziesz do domu, inaczej co by się z nami stało?" Tak, co by się z nami stało? Słyszał głos Joanny Madou dochodzący z orkiestry. Kate Hegstroem miała rację, był to wzruszający głos. Sięgnął po karafkę z przezroczystym trunkiem. Oto znów chwila, kiedy kolory zmierzchają, a życie staje się szare w bezsilnych dłoniach. Mistyczny odpływ. Bezdźwięczna cezura między dwoma oddechami. Ząb czasu, który powoli pożera serce. *Santa Lucia Luntana* – śpiewał głos z towarzyszeniem orkiestry. Głos ten przypływał ku niemu jak morze, od zapomnianego, dalekiego brzegu, gdzie coś kwitnie.

–Jak ona się panu podoba?

–Kto? – Ravic podniósł głowę. Stał przed nim dyrektor, wskazując Joannę Madou.

–Dobra. Bardzo dobra.

–Tak, prawie sensacja. Bardzo dobra na tle innych numerów.

Dyrektor poszedł dalej. Przez chwilę jego spiczasta broda zarysowała się czernią na tle białego światła, potem mrok go wchłonął. Ravic, patrząc za nim, sięgnął po kieliszek.

Reflektor zgasł. Orkiestra zaczęła grać tango. Znów zajaśniały blaty stolików, pochyliły się nad nimi niewyraźne twarze. Joanna Madou wstała i szła wśród stolików. Chwilami musiała przystawać, bo tańczące pary zagradzały jej drogę. Ravic spojrzał na nią, odwzajemniła jego spojrzenie. Twarz jej nie zdradziła zdziwienia. Szła prosto ku niemu. Wstał i odsunął stolik. Kelner skoczył, by mu pomóc.

–Dziękuję – powiedział – sam sobie poradzę. Potrzebny nam tylko drugi kieliszek. Przysunął stolik i napełnił przyniesiony kieliszek.

–To jest wódka – powiedział. – Nie wiem, czy pani ją pija.

–Owszem, piliśmy to już kiedyś. W "Belle Aurore".

–Prawda.

"I tu też byliśmy kiedyś" – pomyślał. "Kiedyś, przed wiekami. Trzy tygodnie temu. Wtedy siedziałaś o zmierzchu, skulona w swoim nieprzemakalnym płaszczu. Uosobienie nieszczęścia i klęski. A teraz…"

–*Salute!* – powiedział.

Cień przemknął po jej twarzy, nie uśmiechnęła się, tylko jakby pojaśniała.

–Dawno już tego nie słyszałam – powiedziała. - *Salute!* Opróżnił kieliszek i spojrzał na nią. Wysokie, cienkie brwi, szeroko rozstawione oczy, usta – wszystko to, co przedtem, w skażonej formie, występowało niejako oddzielnie, bez związku, teraz składało się na jasną, zagadkową twarz, której otwartość była właśnie tajemnicą. Niczego nie ukrywała, dlatego nie wyznawała niczego. "Czy to nie dziwne, że przedtem tego nie zauważyłem? A może wcale tego nie było – pomyślał – może wtedy cała była przepełniona strachem i pomieszaniem?"

–Ma pan papierosa? – spytała Joanna Madou.

–Tylko algierskie, mocne, z czarnego tytoniu. – Chciał zawołać kelnera.

–Wcale nie są za mocne – powiedziała Joanna Madou. – Dał mi pan kiedyś jednego. Na moście de l'Alma.

–To prawda.

“Prawda i nieprawda zarazem” – myślał. “Była tam jakaś blada, zagoniona istota, nie ty. I jeszcze co innego było między nami, a nagle wszystko stało się nieprawdą”.

–Byłem tu kiedyś – powiedział. – Przedwczoraj.

–Wiem, widziałam pana.

Nie zapytała o Kate Hegstroem. Siedziała w kącie, paląc, jakby całkowicie tym pochłonięta. Potem piła spokojnie, wolno i całkowicie pochłonięta była piciem. Wydawało się, że wszystko robi całkowicie, aż do dna, nawet rzeczy najmniej ważne. Kiedyś była też całkowicie pochłonięta rozpaczą – pomyślał Ravic – a teraz całkowicie przestała rozpaczać. Stała się nagle samym ciepłem i oczywistym, ugruntowanym spokojem”. Nie zdawał sobie sprawy, czy dlatego tak było, że w danej chwili nic jej nie poruszało, ale czuł wokół siebie to mimowolne promieniowanie. Karafka była pusta.

–Czy dalej będziemy pili to samo?

–Co to było, to, co piliśmy wtedy?

–Gdzie? Tu? Myślę, że wtedy piliśmy wszystkiego po trochu.

–Nie, nie tu. Wtedy, pierwszego wieczoru.

Ravic pomyślał chwilę.

–Nie przypominam sobie. Koniak?

–Nie, to wyglądało jak koniak, ale nie było nim. Próbowałam znaleźć, ale mi się nie udało.

–Czemu? Tak pani smakowało?

–Nie, nie dlatego. To była najbardziej rozgrzewająca rzecz, jaką w życiu piłam.

–Gdzieśmy to pili?

–W tym małym barze koło Łuku Triumfalnego. No, w tym, gdzie trzeba było schodzić po schodkach. Szoferzy i dziewczyny, pamięta pan? Kelner miał wytatuowaną kobietę na ramieniu.

–Ach, już wiem. To pewno calvados. Normandzki winiak pędzony z jabłek. Próbowała pani tego?

–Chyba nie.

Ravic zawołał kelnera.

–Macie tu calvados?

–Nie, proszę pana, nikt nigdy o niego nie pytał.

–Tak, tu jest za wytwornie. To na pewno calvados. Szkoda, że nie możemy go tu dostać. Najprościej byłoby pójść do tego samego baru. Ale teraz to niemożliwe.

–Dlaczego?

–Czy pani musi tu zostać?

–Nie. Mój występ już się skończył.

–To pysznie. Chce pani tam pójść?

–Tak.

Bez trudu odnaleźli mały bar. Był prawie pusty. Kelner z kobietą wytatuowaną na przedramieniu spojrzał na niego, potem na nią, potem dźwignął się zza lady i starł stolik.

–Postęp – stwierdził Ravic. – Wtedy tego nie zrobił.

–Nie ten stolik – powiedziała Joanna. – Tamten.

Ravic uśmiechnął się.

–Czy pani jest przesądna?

–Czasami.

Kelner stał koło nich.

–Tu właśnie – powiedział, napinając wytatuowany muskuł – tu właśnie siedzieli państwo ostatnim razem.

–Pamięta pan?

–Doskonale.

–Z taką pamięcią – powiedział Ravic – powinien pan być generałem.

–Nigdy niczego nie zapominam.

–W takim razie dziwię się, że pan jeszcze żyje. A czy pamięta pan także, cośmy wtedy pili?

–Calvados – powiedział kelner bez chwili namysłu.

–Świetnie, i teraz to powtórzymy. – Ravic zwrócił się do Joanny Madou: – Jak to najtrudniejsze problemy znajdują czasem łatwe rozwiązanie! Teraz wypróbujemy, czy smak

jest taki sam.

Kelner przyniósł kieliszki.

–Podwójne. Wtedy zamówił pan podwójne calvadosy.

–To zaczyna być niesamowite. A może pan też pamięta, jak byliśmy ubrani?

–W płaszcze nieprzemakalne, a pani miała baskijski beret.

–Szkoda, żeby pan tu tkwił. Powinien pan występować w *varieté*.

–Występowałem w cyrku – powiedział kelner zdziwiony. – Mówiłem panu o tym. Czy pan zapomniał?

–Niestety, niełądnie to, ale zapomniałem.

–Ten pan ma słabą pamięć – powiedziała Joanna Madou. – Jest takim samym mistrzem w zapominaniu, jak pan w pamiętaniu.

Ravic spojrzał na nią. Patrzyła na niego. Uśmiechnął się.

–A może jednak nie – powiedział. – A teraz spróbujemy tego calvadosu. *Salute!*

–*Salute!*

Kelner nie odchodził.

–Tego, o czym się zapomina, brak potem w życiu, proszę pana – oświadczył. Jeśli o niego chodziło, temat nie został jeszcze wyczerpany.

–Słusznie, ale to, co się pamięta, zmienia życie w piekło.

–Nie mnie. Pooszło! Więc jak może mi zmienić życie w piekło?

–Właśnie dlatego, bracie. – Ravic podniósł głowę. – Ale pan jest nie tylko artystą, jest pan szczęśliwym człowiekiem. Czy to taki sam calvados? – spytał Joannę Madou.

–Lepszy.

Spojrzał na nią. Poczuł, jak wzbiera w nim fala ciepła. Wiedział, co chciała przez to powiedzieć, ale że to mówiła, było rozbrajające. Zdawało się, że wrażenie własnych słów jest jej obojętne. Siedziała w tej pustej knajpie, jakby sama dla siebie była wszystkim. Światło nie osłoniętych żarówek było tu bezlitosne. Dwie prostytutki, które siedziały o kilka stolików dalej, wyglądały na własne babki. Ale jej ten blask nie szkodził. To, co w niej tliło w przyćmionym świetle nocnego lokalu, i tu się ostało. "Jej śmiała, jasna twarz, która o nic nie pyta, tylko

istnieje, czekając… To twarz pusta" – myślał. "Twarz, której wyraz może odmienić każdy powiew wiatru. Wszystko w nią można weśnić. Jest jak ładny, pusty dom, oczekujący dywanów i rzeźb. Ma wszelkie możliwości, może stać się zarówno pałacem, jak burdelem. Zależy od tego, kto go zajmie. Jak ograniczone wydaje się w porównaniu z nim wszystko to, co jest całkowicie wypełnione i zakryte maską".

Jej kieliszek był pusty.

–Najwyższe uznanie – powiedział. – To był podwójny calvados. Jeszcze?

–Tak, jeśli pan ma czas.

"Czemu nie miałbym mieć czasu?" – pomyślał. Potem przypomniał sobie, że ostatni raz widziała go w towarzystwie Kate Hegstroem. Podniósł oczy, ale jej twarz niczego nie wyrażała.

–Mam dosyć czasu – powiedział. – Jutro rano o dziewiątej operuję, to wszystko.

–Czy może pan operować, kładąc się tak późno?

–Tak, to nie ma nic wspólnego. Przyzwyczajenie. Nie mam zresztą co dzień operacji.

Kelner napełnił znowu kieliszki. Razem z butelką przyniósł paczkę papierosów i położył je na stole. Były to laurensy, zielone.

–Ostatnim razem prosił pan o nie, prawda? – zapytał Ravica z triumfem.

–Nie mam pojęcia. Pan wie lepiej ode mnie. Wierzę panu.

–Ma rację – powiedziała Joanna Madou. – To były zielone laurensy.

–A widzi pan, pani ma lepszą pamięć.

–Trzeba by tego jeszcze dowieść. Mimo to możemy wziąć te papierosy. Otworzył paczkę i podał jej.

–Czy mieszka pani ciągle w tym samym hotelu? – zapytał.

–Tak, wzięłam tylko większy pokój.

Weszło kilku szoferów. Usiedli przy sąsiednim stoliku i wszczęli głośną dyskusję.

–Może pójdziemy? – spytał Ravic.

Skinęła głową. Zawołał kelnera i zapłacił.

–Czy pani na pewno nie musi wracać do "Szeherezady"?

–Nie.

Podał jej płaszcz. Nie włożyła go, tylko narzuciła na ramiona. Nie było to kosztowne futro, może nawet imitacja, ale na niej nie wyglądało tanio. “Tanie jest to, co się nosi lękliwie” – pomyślał Ravic. Widział już tanie królewskie sobole.

–Teraz odwiozę panią do hotelu – powiedział, kiedy znaleźli się na ulicy w cicho mżącym deszczu.

Powoli zwróciła się w jego stronę.

–A nie do ciebie?

Miał przed sobą jej twarz, trochę niżej, zwróconą ku niemu. Światło lampy nad drzwiami oświetlało ją dokładnie. Drobne perełki wilgoci połyskiwały w jej włosach.

–Owszem – powiedział.

Jakaś taksówka zbliżyła się i zatrzymała. Szofer czekał chwilę, potem mlasnął językiem; zazgrzytały hamulce i odjechał.

–Czekałam na ciebie. Wiedziałeś? – spytała.

–Nie.

Oczy jej błyszczały w świetle ulicznej latarni, można było przejrzeć je na wskroś i nie widzieć dna.

–Dziś po raz pierwszy cię zobaczyłem – powiedział. – Dawniej nie byłaś tym, co dziś.

–Tak.

–Dawniej nic nie było.

–Nie. Zapomniałam o wszystkim.

Poczuł lekki przypływ i odpływ jej oddechu. Niewidzialny i czuły, wibrował i biegł ku niemu, lekki, pełen godności i zaufania – obce życie w tej obcej nocy. Nagle poczuł swą krew. Wznosiła się i krążyła, i była czymś więcej jeszcze: była samym życiem, życiem po tysiąc razy przeklętym i błogosławionym, zagubionym i znów odzyskanym; godzinę temu krajobraz smutny, nagi, pełen wczorajszych dni i beznadziejny, a teraz nagle tryskający strumieniem, blaski tajemniczej chwili, w którą dawno już przestał wierzyć… Był znowu pierwotnym człowiekiem, który wynurza się na brzegu z fal oceanu, biały i promieniejący, pytanie i odpowiedź zarazem. Nadchodziło, zbliżało się i burza rozpętała się w czaszce nad oczami.

–Trzymaj mnie – poprosiła.

Spojrzał jej w twarz, nachylony, i otoczył ją ramieniem. Ramiona jej zbliżyły się do niego jak okręt, który w porcie zarzuca kotwicę.

–Czy trzeba cię trzymać? – zapytał.

–Tak.

Jej złożone ręce leżały na jego piersi.

–Będę cię mocno trzymał – powiedział.

–Tak.

Inna taksówka zatrzymała się koło nich ze zgrzytem hamulca. Nieruchomy szofer spoglądał na nich. Na jego ramieniu siedział malutki piesek w trykotowym czapraczku.

–Taksówka? – zakrakał szofer spod długich, lnianych wąsów.

–Spójrz – powiedział Ravic – ten człowiek o niczym nie wie. Nie wie, że nas dotknęły jakieś skrzydła. Patrzy na nas i nie widzi, żeśmy się odmienili. Czy to nie jest najdziwaczniejsza rzecz na świecie: zmień się w archanioła, durnia czy zbrodniarza, a nikt tego nie zauważy. Ale niech ci brakuje guzika – każdy to spostrzeże.

–To wcale nie jest dziwaczne. Tak jest dobrze. Jesteśmy wtedy sami z sobą.

Ravic spojrzał na nią. "My" – pomyślał. "Co za słowo! Chyba najbardziej tajemnicze słowo na świecie".

–Taksówka! – zakrakał znów szofer niecierpliwie, ale głośniej, i zapalił papierosa.

–Chodź – powiedział Ravic. – On nam nie da spokoju. Ma doświadczenie w swoim fachu.

–Nie chcę jechać, chodźmy na piechotę.

–Deszcz zaczyna padać.

–To nie deszcz, to mgła. Nie chcę taksówki. Chcę iść z tobą pieszo.

–Dobrze, ale muszę mu jakoś dać do zrozumienia, że tu się coś stało.

Podszedł do auta i zaczął rozmawiać z szoferem. Mężczyzna uśmiechnął się z wdziękiem, pozdrowił Joannę gestem, na który tylko Francuz może się zdobyć w takiej chwili, i odjechał.

–Jak mu to wytłumaczyłeś? – spytała, kiedy do niej wrócił.

–Za pomocą pieniędzy. Najprościej. To cynik, jak wszyscy, którzy pracują nocą. Zrozumiał

od razu. Odniósł się do nas raczej życzliwie, z małą tylko dozą pogardy.

Uśmiechnęła się i przytuliła do niego. Poczuł, jak coś się w nim otwiera, rozpościera, ciepłe, łagodne i rozległe, coś, co go ciągnie ku ziemi jak wiele rąk naraz, co sprawia, że ludzie nie mogą stać obok siebie, tak niedorzecznie prosto, kołysząc się na wąskich platforemkach stóp, zamiast zapomnieć o wszystkim i paść, ulegając szlochowi skóry, który szedł ku nim poprzez wieki, kiedy nie było jeszcze ani mózgu, ani myśli, ani cierpienia, ani zwątpień, nic prócz ciemnej szczęśliwości krwi…

–Chodź – powiedział.

I tak kroczyli w drobnym deszczu przez pustą, szarą ulicę, a kiedy doszli do końca, nagle rozpostarł się przed nimi plac wielki i jakby bezkresny, a wysoko w górze unosił się jak z płynnego srebra masywny, szary kształt Łuku Triumfalnego.

9

Ravic wracał do hotelu. Joanna Madou spała jeszcze, kiedy go rano opuszczał. Myślał, że za godzinę będzie z powrotem, tymczasem zrobiły się z niej trzy.

–Halo, doktorze! – zawołał ktoś na drugim piętrze.

Ravic przyjrzał się temu człowiekowi. Blada twarz, gęstwina zwichrzonych, czarnych włosów, szkła. Nie poznał go.

–Alvarez – powiedział człowiek – Jaime Alvarez. Czy mnie pan nie pamięta?

Ravic potrząsnął głową.

Tamten pochylił się, podciągnął nogawkę spodni. Długa blizna biegła wzdłuż goleni aż do kolana.

–A teraz pan pamięta?

–Czy to ja pana operowałem?

Mężczyzna przytaknął.

–Na stole kuchennym za linią frontu. W prowizorycznym szpitalu polowym w Aranjuez. Mała willa w migdałowym gaju. Przypomina pan sobie teraz?

Nagle Ravic poczuł ciężki zapach migdałowego kwiecia. Poczuł go, jak gdyby zapach ten przedostawał się z dołu, słodki, zgniławy, nieodłącznie pomieszany z jeszcze słodszym i bardziej zgniłym zapachem krwi.

–Owszem – powiedział. – Pamiętam.

Ranni, jeden koło drugiego, leżeli rzędami na tarasie, który nurzał się w księżycowym świetle. Dzieła tego dokonało kilka niemieckich i włoskich samolotów. Dzieci, kobiety, chłopi, rozdarci na strzępy odłamkami bomb. Dziecko bez twarzy, ciężarna kobieta z brzuchem otwartym aż do piersi, starzec cierpliwie ściskający w ręku oderwane od drugiej ręki palce, sądził bowiem, że da się je przyszyć. A nad tym wszystkim ciężki odór nocy i opadająca przezroczysta rosa.

–Jakże teraz z nogą, zupełnie dobrze? – spytał Ravic.

–Prawie. Tylko nie całkiem ją mogę zginać – uśmiechnął się Alvarez. – Ale wystarczyła, żeby przejść Pireneje. Gonzalez nie żyje.

Ravic nie pamiętał też, kto to był Gonzalez, ale przypomniał sobie studenta, który mu asystował.

–A co się dzieje z Manolem?

–Rozstrzelany w niewoli.

–A brygadier Serna?

–Zginał pod Madrytem. – Hiszpan znów się uśmiechnął, ale ten uśmiech był sztywny i automatyczny, jakby go nie poprzedzało żadne wzruszenie. – Mura i La Pena także wzięci do niewoli. Rozstrzelani.

Ale Ravic nie wiedział, kim byli Mura i La Pena. Opuścił Hiszpanię w sześć miesięcy po przełamaniu frontu, kiedy zlikwidowano szpital polowy.

–Carnero, Orta i Goldstein są w obozie koncentracyjnym – powiedział Alvarez. – We Francji. Blatzky też bezpieczny. Ukrywa się za granicą.

Z tych Ravic pamiętał tylko Goldsteina. Za wiele było twarzy.

–Czy pan mieszka teraz w tym hotelu? – zapytał.

–Tak, sprowadziliśmy się przedwczoraj. Tutaj. – Mężczyzna wskazał pokoje drugiego piętra. – Trzymali nas długo w obozie na granicy, wreszcie nas zwolnili. Mieliśmy jeszcze trochę pieniędzy. – Znów się uśmiechnął. – Łóżka, prawdziwe łóżka. Dobry hotel. Nawet portrety naszych wodzów wiszą na ścianach.

–Tak – powiedział Ravic bez ironii. – Przyjemnie to oglądać po tym wszystkim.

Pożegnał Alvareza i poszedł do siebie.

*** * ***

Pokój był już sprzątnięty i pusty. Joanna odeszła. Rozejrzał się. Nic po sobie nie zostawiła. Nie spodziewał się też niczego. Zadzwonił. Po chwili weszła pokojówka.

–Pani wyszła – powiedziała, nim zdążył o coś zapytać.

–Widzę. A skąd pani wie, że tu ktoś był?

–Ależ, proszę pana! – Dziewczyna nic więcej nie dodała, jakby się poczuła głęboko urażona.

–Czy jadła śniadanie?

–Nie. Ja pani w ogóle nie widziałam. Inaczej sama bym o tym pomyślała. Jak za ostatnim razem.

Ravic spojrzał na nią. Ostatnie zdanie nie podobało mu się. Wyjął kilka franków i włożył pokojówce do kieszonki fartuszka.

–Dobrze – powiedział. – Proszę postąpić tak samo za następnym razem. To znaczy przynieść śniadanie tylko wtedy, kiedy wyraźnie tego zażądam. I proszę nie przychodzić sprzątać, póki pani nie jest zupełnie pewna, że pokój jest pusty.

Dziewczyna uśmiechnęła się domyślnie.

–Dobrze, proszę pana.

Obejrzał się za nią niechętnie. Wiedział, co sobie myślała. Przypuszczała zapewne, że Joanna jest mężatką i że nie chce być widziana. Jeszcze kilka dni temu byłby się z tego śmiał. Teraz był niezadowolony. Ale czemu? Wzruszył ramionami i podszedł do okna. Hotel to hotel, na to nie ma rady.

Otworzył okno. Nad miastem wisiało chmurne południe. W rynnach świergotały wróble. O piętro niżej sprzeczały się dwa głosy. To pewno rodzina Goldbergów. Mąż był o dwadzieścia lat starszy od żony. Zamożny handlarz zbożem z Wrocławia. Jego żona żyła z uchodźcą Wiesenhoffem. Myślała, że nikt o tym nie wie. Ale tylko Goldberg nic o tym nie wiedział.

Ravic zamknął okno. Zrobił dziś rano operację woreczka żółciowego. Anonimowy woreczek żółciowy dla Duranta. Dla Duranta rozciął dziś rano nieznajomemu mężczyźnie brzuch. Honorarium dwieście franków. Potem odwiedził Kate Hegstroem. Miała gorączkę. Zbyt wysoką gorączkę. Siedział przy niej z godzinę. Owładnął nią niespokojny sen. Nic w tym nie było dziwnego, ale byłoby sto razy lepiej, gdyby nie miała gorączki.

Patrzył w okno. Dziwne uczucie pustki po tym, co było. Łóżko utraciło swe znaczenie. Dzień dzisiejszy szarpał bezlitośnie "wczoraj", jak szakal rozrywa padłą antylopę. Ogrody, które tak cudownie wyrosły nocą, teraz oddaliły się znowu, jak fatamorgana na pustyni czasu…

Odwrócił się. Na stole znalazł adres Łucji Martinet. Niedawno wyszła z kliniki.

Nastawała, aby ją wypuścili. Był u niej dwa dni temu. Odwiedziny nie były dziś konieczne, ale że nie miał nic lepszego do roboty, postanowił zajrzeć do dziewczyny.

*** * ***

Dom stał przy ulicy Clavel. Na dole była jatka, w której tęga kobieta wywijała siekierą i sprzedawała mięso. Była w żałobie, dwa tygodnie temu umarł jej mąż. Teraz prowadziła sklep z pomocą czeladnika. Ravic zobaczył ją, przechodząc. Zamierzała widocznie iść z wizytą. W kapeluszu z długim, czarnym welonem rąbała szybko nogi wieprzowe, aby wygodzić sąsiadce. Welon powiewał nad poćwiartowanym wieprzem, siekiera wznosiła się, błyskała i opadała ze świstem.

–Jednym cięciem – powiedziała wdowa z satysfakcją i rzuciła nogę wieprzową na wagę.

Łucja mieszkała w małym pokoiku na najwyższym piętrze. Nie była sama. Obok na krześle rozwalił się dwudziestopięcioletni drab. Miał cyklistówkę i palił skręconego papierosa, który tkwił przylepiony do jego górnej wargi. Nie wstał, kiedy Ravic wszedł.

Łucja leżała w łóżku. Zmieszała się i zaczerwieniła.

–Nie wiedziałam, że pan dziś przyjdzie, panie doktorze – powiedziała i spojrzała na młodego człowieka. – To jest…

–Ktoś – przerwał jej grubiańsko chłopak. – Nazwisko niepotrzebne. – Oparł się wygodniej. – To pan jest doktor?

–Jak się pani czuje? – zapytał Ravic, nie zwracając na niego żadnej uwagi. – Dobrze pani robi, pozostając w łóżku.

–Mogła już dawno wstać – zaopiniował chłopak. – Nic jej nie jest. Leżenie kosztuje.

Ravic obejrzał się na niego.

–Proszę wyjść.

–Co?

–Proszę wyjść. Wyjść z pokoju. Muszę ją zbadać.

Chłopak wybuchnął śmiechem.

–Przy mnie też można. My nie tacy delikatni. Zresztą, po co ją badać? Pan tu był przedwczoraj. Gotóweczka potrzebna, co?

–Bracie – powiedział spokojnie Ravic – nie wygląda pan na takiego, który zapłaci. Nie jest też pewne, czy to będzie coś kosztować. A teraz proszę wyjść!

Młodzieniec uśmiechnął się krzywo i jeszcze dalej wyciągnął nogi. Miał lakierki o spiczastych noskach i fioletowe skarpetki.

–Bobo, proszę cię – powiedziała Łucja. – To nie potrwa długo.

Bobo udał, że nie słyszy. Wpatrzył się w Ravica.

–Podleciał mi pan, aż miło – rzekł wreszcie. – Mogę panu powiedzieć słówko. Jeśli się panu zdaje, że damy z siebie zedrzeć za te wasze rachunki szpitalne, operacje i takie tam różne, to figa! Nikt się do szpitala nie wpraszał, nie mówiąc już o operacji, nie ma frajerów. Niech się pan cieszy, że nie żądamy odszkodowania za niedozwolony zabieg. – Pokazał rząd zepsutych zębów. – Niespodzianka, co? Tak, Bobo umie z ludźmi gadać. Nie da się nabrać.

Był zadowolony z siebie. Czuł, że świetnie załatwił tę sprawę. Łucja zbladła. Patrzyła to na Ravica, to na Bobo.

–Rozumie pan? – spytał Bobo z triumfem.

–To on? – zwrócił się Ravic do Łucji. Nie odpowiedziała. – Więc to on – powiedział, przypatrując się chłopakowi.

Wysoki, chudy drab z szalikiem ze sztucznego jedwabiu okręconym koło szyi, na której grało wystające jabłko Adama. Spadziste ramiona, za długi nos, szczęka degenerata – typowy alfons z przedmieścia.

–Co znaczy “wiec to on”? – spytał Bobo, nadrabiając miną.

–Chyba już dość razy powiedziałem, że ma pan stąd wyjść. Muszę ją zbadać…

–Gówno – powiedział Bobo.

Ravic powoli podszedł ku niemu. Miał tego Bobo dość. Chłopak uskoczył w tył, a w rękach jego pojawiła się nagle mocna linka długości około metra. Ravic wiedział, co się z tym robi. Gdyby podszedł bliżej, Bobo uskoczyłby w bok, zaszedłby go od tyłu i zarzucił linkę tak, że mógłby go zadusić. Dobry sposób, jeśli przeciwnik go nie zna albo jeśli spróbuje boksu.

–Bobo! – zawołała Łucja – Bobo, daj spokój!

–Ty łobuzie – powiedział Ravic. – Nic innego nie potrafisz wymyślić, tylko ten stary kawał z linką? – roześmiał się.

Bobo oniemiał na chwilę. Oczy mu biegały. W tym momencie Ravic jednym ruchem zdarł mu marynarkę z ramion, unieruchamiając ręce.

–Tego nie znałeś, co? – zapytał i otworzywszy szybko drzwi, wypchnął oszołomionego, nie mogącego się bronić chłopaka z pokoju. – Jak lubisz się bić, to idź do wojska, nieudany apaszu. A dorosłym daj spokój.

Zamknął drzwi na klucz od wewnątrz.

–Tak, Łucjo – powiedział – a teraz zobaczymy, co tam u pani słychać.

Łucja drżała.

–Spokojnie, spokojnie, już minęło. – Zdjął z niej popękany bawełniany piernat i położył na krześle, potem odrzucił zieloną kołdrę. – Pidżama? Dlaczego? To o wiele mniej wygodne. Pani nie powinna się dużo ruszać.

Chwilę milczała.

–Włożyłam ją tylko dzisiaj.

–Czy nie ma pani nocnych koszul? Mogę pani kazać przysłać dwie ze szpitala.

–Nie, nie dlatego. Włożyłam ją, bo… – Spojrzała na drzwi i wyszeptała: – Bo wiedziałam, że on przyjdzie. Powiedział, że już nie jestem chora. Że nie będzie czekał.

–Co? A, to szkoda, że mi pani tego wcześniej nie powiedziała. – Ravic spojrzał z gniewem na drzwi. – Będzie czekał!

Łucja była biała białością anemicznych dziewcząt. Pod cienką skórą widać było błękitne żyłki. Była dobrze zbudowana, drobnokoścista, szczupła, ale nie chuda. "Jedna z tych dziewczyn – pomyślał Ravic – które każą się człowiekowi zastanawiać, w jakim celu natura urządza taki pokaz urody i wdzięku, wiedząc, w co większość ich się zmienia: w przepracowane niewolnice, które wprędce stracą urodę i figurę wskutek złego, niezdrowego trybu życia".

–Jeszcze tydzień w łóżku, Łucjo. Może pani trochę wstawać i chodzić, ale tylko po pokoju. I nic nie podnosić. Nie chodzić po schodach. Czy nie ma tu nikogo, kto by się panią zajął prócz tego Bobo?

–Gospodyni, ale i ona zaczyna narzekać.

–Kto jeszcze?

–Nikt więcej. Dawniej była Maria, ale umarła.

Ravic rozejrzał się po pokoju. Było tu biednie, ale czysto. Na oknie stały fuksje.

–A Bobo? Pokazał się jednak, kiedy wszystko minęło!

Łucja milczała.

–Czemu go pani nie wyrzuciła?

–On nie jest najgorszy, tylko dziki…

Ravic spojrzał na nią. “Miłość” – pomyślał. “Więc i to jest miłość. Odwieczny cud. Potrafi przerzucać tęcze snów ponad szarym niebem faktów i użycza romantycznych blasków nawet kupie łajna. To cud, a jednocześnie piekielne szyderstwo”. Nagle poczuł się w jakiś dziwaczny sposób współwinowajcą.

–Dobrze, Łucjo – powiedział – niech się pani nie martwi. Zdrowie przede wszystkim.

Z ulgą skinęła głową.

–A o tych pieniądzach – powiedziała spiesznie, z zakłopotaniem – to nieprawda. On tak tylko plecie. Zapłacę co do grosza. Ratami. Kiedy będę mogła pójść do pracy?

–Mniej więcej za dwa tygodnie, jeżeli pani nie będzie robić głupstw. I Bobo trzymać z daleka, rozumie pani? Absolutnie z daleka. Inaczej śmierć, rozumie pani?

–Tak – powiedziała bez przekonania.

Przykrył kołdrą jej szczupłe ciało. Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że płacze.

–Czy nie można by wcześniej? – spytała. – Mogę siedzieć przy pracy. Ja muszę…

–Może, zobaczymy. To zależy tylko od pani. Miała mi pani powiedzieć nazwisko akuszerki, która dokonała zabiegu.

Wyczytał w jej oczach opór.

–Nie pójdę na policję – zapewnił. – Obiecuję! Spróbuję tylko wydobyć od niej wpłacone przez panią pieniądze. Wtedy będzie pani spokojniejsza. Ile tego było?

–Trzysta franków. Nigdy ich pan od niej nie wydostanie.

–Spróbować można. Jak się nazywa i gdzie mieszka? I tak nigdy już nie będzie jej pani potrzebowała, bo nigdy już nie będzie pani mogła mieć dzieci. I ona nie może pani nic zrobić.

Jeszcze się namyślała.

–Tam w szufladzie – powiedziała wreszcie. – W prawej szufladzie.

–To ta kartka?

–Tak.

–W porządku. Pójdę do niej w tych dniach. Niech się pani nie lęka. – Ravic wkładał płaszcz. – Co takiego? – zapytał. – Po co pani wstaje?

–Bobo. Pan go nie zna!

Uśmiechnął się.

–Myślę, że znam gorszych. Niech pani leży spokojnie. Sądząc po tym, cośmy widzieli, nic nam nie grozi. Tymczasem, Łucjo. Wkrótce znów wpadnę.

Jednocześnie przekręcił klucz i nacisnął klamkę, szybko otworzył drzwi. Na korytarzu nie było nikogo. Nie zdziwiło go to; znał ten typ ludzi.

Na dole w jatce był teraz tylko czeladnik o żółtawej twarzy, nie tak energiczny jak właścicielka. Rąbał mięso bez przekonania. Od śmierci rzeźnika był jeszcze bardziej zmęczony. Widoki na poślubienie wdowy były małe. Pewien szczotkarz przysięgał na to głośno w barze naprzeciw, dowodząc, że wdowa przedtem wpędzi i tego do grobu. Czeladnik schudł już bardzo, wdowa natomiast rozkwitała. Ravic wypił kieliszek cassis i zapłacił. Spodziewał się zastać w szynku Bobo, ale go tu nie było.

*** * ***

Joanna Madou wyszła z "Szeherezady". Otworzyła drzwi taksówki, w której czekał Ravic.

–Prędko – powiedziała. – Uciekajmy stąd. Jedźmy do ciebie.

–Czy się coś stało?

–Nie, nic, ale mam dość nocnego życia.

–Chwileczkę. – Ravic skinął na kobietę, która u wejścia sprzedawała kwiaty. – Babciu – powiedział – proszę mi dać wszystkie róże. Ile kosztują? Ale niech pani nie przesadza.

–Sześćdziesiąt franków. Tylko dla pana. Za to lekarstwo na reumatyzm.

–Pomogło?

–Nie. Nie może pomóc, dopóki całe noce będę tu stała na wilgoci.

–Jest pani najrozsądniejszym pacjentem, jakiego udało mi się w życiu spotkać.

Wziął róże.

–To moje przeprosiny za to, że pozwoliłem ci się przebudzić dziś samej i że nie dostałaś

śniadania – powiedział do Joanny i położył kwiaty na podłodze taksówki. – Chcesz się jeszcze czegoś napić?

–Nie, chcę jechać do ciebie. Połóż kwiaty koło mnie, na siedzeniu, nie na podłodze.

–Kiedy im tam dobrze. Trzeba kochać kwiaty, ale nie wolno robić z nimi żadnych ceregieli.

Prędko zwróciła ku niemu głowę.

–Myślisz, że nie trzeba rozpieszczać tego, co się kocha?

–Nie, tylko myślę, że nie trzeba dramatyzować piękna. A poza tym lepiej, żeby w tej chwili nie dzieliły nas kwiaty. Spojrzała na niego z namysłem, potem jej twarz rozjaśniła się.

–Wiesz, co dziś robiłam? Żyłam. Znów żyłam i znów oddychałam. Istniałam. Zaczęłam na nowo istnieć. Pierwszy raz. Miałam znów ręce. Oczy i usta.

Szofer wymanewrował taksówkę spośród innych samochodów, zajmujących wąską uliczkę. Potem gwałtownie ruszył. Wstrząs rzucił Joannę w ramiona Ravica. Objął ją na chwilę i poczuł jej bliskość. Była jak ciepły wiatr, stopiła skorupę dnia – dziwaczny, obronny chłód – kiedy tak siedziała przy nim i rozmawiała, poddając się uczuciom i sobie samej.

–Od rana płynęło to we mnie strumieniem, jak z wielu studni naraz, rzuciło mi się na kark i na pierś, jakbym miała się zazielenić, wypuścić liście i pąki; trzymało mnie tak, trzymało… i teraz jestem tutaj, i ty…

Ravic spojrzał na nią. Siedziała pochylona na brudnej skórze obicia, jej ramiona lśniły w czarnej wieczorowej sukni. Była szczera, nie miała zastrzeżeń ani wstydu, mówiła, co czuła, był w porównaniu z nią ubogi i suchy.

"Operowałem" – myślał. "Zapomniałem o tobie. Byłem u Łucji. Zstąpiłem w przeszłość. Bez ciebie. Potem, z nadejściem wieczoru, uczułem trochę ciepła, ale i wtedy nie byłem przy tobie. Myślałem o Kate".

–Joanno – powiedział i położył ręce na jej dłoniach, które oparła na siedzeniu – nie możemy od razu jechać do mnie. Muszę wstąpić na parę minut do szpitala.

–Czy musisz odwiedzić tę kobietę, którą operowałeś?

–Nie tę, którą operowałem dziś rano. Inną. Czy mogłabyś gdzieś na mnie zaczekać?

–Czy musisz tam jechać zaraz?

–Tak będzie lepiej, nie chcę, żeby mnie potem wzywali.

–Zaczekam u ciebie. Czy nie mógłbyś wpierw odwieźć mnie do hotelu?

–Owszem.

–To zróbmy tak. Przyjedziesz, jak będziesz mógł. Ja zaczekam.

–Dobrze. – Ravic podał adres szoferowi. Odchylił się i poczuł brzeg oparcia na szyi. Ręce jego leżały na rękach Joanny. Poczuł, że ona czeka, żeby coś powiedział. O nich obojgu. Ale nie mógł. Już ona powiedziała za wiele. "Nie było tego wiele" – pomyślał.

Taksówka zatrzymała się.

–Jedź dalej – powiedziała Joanna. – Dam sobie radę. Nie boję się, daj klucz.

–Klucz jest w hotelu.

–Wezmę go. Muszę się tego nauczyć. – Podniosła kwiaty z podłogi. – Trzeba się nauczyć wielu rzeczy u boku człowieka, który zostawia mnie samą, kiedy śpię, i wraca, kiedy się tego wcale nie spodziewam. Lepiej zacząć od razu.

–Wejdę z tobą. Nie przesadzajmy. I tak przykro mi, że cię muszę zostawić samą.

Śmiała się. Wyglądała bardzo młodo.

–Proszę chwilę poczekać – powiedział Ravic do szofera.

Szofer przymknął oko.

–Nawet dłużej.

–Daj klucz – powiedziała Joanna, kiedy już szli po schodach.

–Czemu?

–Daj!

Otworzyła drzwi, potem się zatrzymała.

–Patrz, jak pięknie – powiedziała w głąb ciemnego pokoju, oświetlonego tylko bladym księżycem spośród chmur.

–Pięknie, w tej dziurze?

–Tak, pięknie. Wszystko jest piękne.

–Może teraz, kiedy jest ciemno. Ale… – Ravic sięgnął do wyłącznika.

–Zostaw. Ja sama. A teraz idź. I nie wróć dopiero jutro w południe.

Stała w ciemnościach. Srebrna poświata księżycowa kładła się na jej ramiona i włosy. Była niewyraźna, podniecająca i tajemnicza. Futro z niej spadło i leżało u stóp jak czarna piana. Oparła się o drzwi, a ostre światło z korytarza padło na jej nagie ramię.

–Idź i wracaj – powiedziała i zamknęła drzwi.

*** * ***

Gorączka Kate Hegstroem spadła.

–Obudziła się? – zapytał Ravic zaspaną pielęgniarkę.

–Tak. O jedenastej. Pytała o pana. Powiedziałam jej to, co pan kazał.

–Czy zdziwił ją opatrunek?

–Owszem. Powiedziałam jej, że pan musiał zrobić lekką operację. Że pan jej to sam jutro wytłumaczy.

–To wszystko?

–Tak. Powiedziała jeszcze, że jeśli pan tak zdecydował, to wszystko w porządku. Mam pana od niej pozdrowić, jeśli pan zajrzy w nocy, i powiedzieć, że ma do pana całkowite zaufanie.

–Tak…

Ravic stał chwilę bez ruchu, patrząc na czarne włosy pielęgniarki.

–Ile pani ma lat? – spytał.

Podniosła głowę ze zdziwieniem.

–Dwadzieścia trzy.

–Dwadzieścia trzy. A od jak dawna pani pracuje?

–Dwa i pół roku. W grudniu będzie dwa i pół.

–Lubi pani swój zawód?

Roześmiała się całą podobną do jabłuszka buzią.

–Bardzo – oświadczyła i rozgadała się. – Oczywiście, niektórzy pacjenci są bardzo męczący, ale na ogół są przyjemni. Pani Brissot podarowała mi wczoraj prawie nową jedwabną suknię, a w zeszłym tygodniu dostałam od pani Lerner lakierowane pantofle. To ta, która potem umarła w domu. – Znów się uśmiechnęła. – Właściwie nic nie potrzebuję sobie sprawiać. Prawie ciągle

coś dostaję. Jeśli nie pasuje, zamieniam z przyjaciółką, która ma sklep. Dzięki temu dobrze mi się wiedzie. Pani Hegstroem jest też bardzo hojna. Daje mi pieniądze; ostatnio całe sto franków. Tylko za dwanaście dni. Jak długo tu będzie, doktorze?

–Dłużej, parę tygodni.

Pielęgniarka była uszczęśliwiona. Pod gładkim czołem kalkulowała, ile to jej da. Ravic pochylił się nad Kate Hegstroem raz jeszcze. Oddychała spokojnie. Lekki zapach rany mieszał się z cierpką wonią perfum, unoszącą się z jej włosów. Nagle poczuł, że tego dłużej nie wytrzyma. Miała do niego zaufanie. Zaufanie. Płaski, pokrajany brzuch, w którym czai się bestia. Zaszył ranę, nie mogąc nic poradzić. Zaufanie.

–Dobranoc, siostro – powiedział do pielęgniarki.

–Dobranoc, panie doktorze!

Pucołowata pielęgniarka siadła na fotelu w kącie pokoju. Przysłoniła światło od strony łóżka, owinęła sobie nogi pledem i sięgnęła po pismo ilustrowane. Był to jakiś tani miesięcznik, zawierający historie kryminalne i zdjęcia z filmów. Usadowiła się wygodnie i zaczęła czytać. Na stoliku obok położyła torebkę czekoladek. Ravic widział jeszcze, jak sięgnęła, nie podnosząc oczu. "Czasem niepodobna zrozumieć najprostszych rzeczy" -pomyślał. "Na przykład, że w pokoju leży śmiertelnie chora kobieta, a drugiej w tym samym pokoju nie obchodzi to ani odrobinę. Ale czy ze mną nie dzieje się to samo?" Zamknął drzwi. "Czyż i ja nie przechodzę z tego pokoju do drugiego, w którym…"

*** * ***

W pokoju panowała ciemność. Drzwi od łazienki były przymknięte, paliło się za nimi światło. Ravic zawahał się, nie wiedział, czy Joanna jest jeszcze w łazience. Potem usłyszał jej oddech. Przeszedł przez pokój do łazienki. Nie odezwał się. Czuł, że Joanna jest w pokoju i że nie śpi, ale i ona nic nie mówiła. Nagle pokój napełnił się milczeniem, oczekiwaniem i napięciem – jak wir, który wzywa bezgłośnie, jak nieznana, wykraczająca poza krąg świadomości przepaść, znad której unosi się złudny czerwony mak oszołomienia.

Zamknął drzwi od łazienki. W jasnym świetle żarówek wszystko było znowu znajome, swojskie. Przekręcił kurek prysznicu – był to jedyny prysznic w hotelu, sam go kupił i zapłacił za instalację. Wiedział, że pod jego nieobecność właścicielka hotelu pokazywała go swoim francuskim przyjaciołom jak największe dziwo.

Gorąca woda spłynęła mu po skórze. Obok w pokoju leżała Joanna Madou i czekała na niego. Skóra jej była gładka, włosy rozlewały się bujną falą na poduszce, oczy jej lśniły nawet wtedy, kiedy w pokoju było prawie ciemno, jakby posiadły tajemnicę zbierania i odbijania całego światła gwiazd za oknem.

Leżała tam, giętka, zmienna i niepokojąca, nic w niej nie było z kobiety, którą widział

godzinę temu, była wszystkim, co powab i pokusa mogą dać bez miłości. Nagle poczuł coś w rodzaju wstrętu do niej, dziwnego oporu zmieszanego z gwałtownym i równie nagłym przyciąganiem. Odruchowo rozejrzał się: nie było wykluczone, że gdyby łazienka miała drugie wyjście, ubrałby się i poszedł pić.

Wytarł się i zwlekał chwilę. Dziwne, skąd to na niego naszło? Jakiś cień, nic. Może dlatego, że był przedtem u Kate Hegstroem? A może na skutek słów Joanny w taksówce? Za szybko to szło, za łatwo. A może po prostu dlatego, że ktoś czekał na niego, zamiast żeby on czekał? Zacisnął wargi i otworzył drzwi.

–Ravic – powiedziała w ciemności Joanna – calvados stoi na stoliku pod oknem.

Stanął. Zdał sobie sprawę z napięcia, jakie w nim było. Wiele z tego, co mogła powiedzieć, byłoby wprost nie do wytrzymania. To jedno było na miejscu. Napięcie zelżało, zmieniło się w cichą pewność.

–Więc znalazłaś butelkę? – zapytał.

–To nie było trudne, stała tu. Ale otworzyłam ją, znalazłam gdzieś między twoimi rzeczami korkociąg. Daj mi jeszcze kieliszek.

Nalał dwa i podał jej jeden z nich.

–Proszę.

Ostry smak jabłkowego winiaku był przyjemny. Jak to dobrze, że Joanna utrafiła we właściwy ton!

Pijąc, odchyliła głowę w tył. Włosy jej opadły na ramiona i w tej chwili była pochłonięta tylko i jedynie piciem. Zauważył to w niej już przedtem. Oddawała się całkowicie temu, co robiła w danej chwili. Przemknęła mu myśl, że w tym leży nie tylko jej urok, ale i niebezpieczeństwo. Takie kobiety, kiedy piją, są tylko pijaństwem, kiedy kochają – tylko miłością, kiedy rozpaczają – tylko rozpaczą; i tylko zapomnieniem – kiedy zapominają.

Joanna odstawiła kieliszek i nagle się roześmiała.

–Ravic – powiedziała – wiem, o czym pomyślałeś.

–Naprawdę?

–Tak. Poczułeś się na wpół żonaty. Tak jak i ja. Nie jest najprzyjemniej być opuszczonym na progu, w dodatku z różami w ramionach. Dzięki Bogu, miałam calvados. Co się tak ostrożnie obchodzisz z tą butelką?

Napełnił kieliszki.

–Jesteś zdumiewająca – powiedział. – To prawda. W łazience nie znosiłem cię. Teraz uważam, że jesteś zachwycająca. *Salute!*

–*Salute!*

Opróżnił kieliszek.

–To druga noc, pełna niebezpieczeństw. Zniknął czar nieznanego, a nie zastąpił go jeszcze czar bliskości. Musimy ją przetrwać.

Joanna postawiła kieliszek.

–Zdaje się, że wiesz o tym bardzo wiele.

–Nic nie wiem, tak sobie gadam. Nigdy się nic nie wie, wszystko jest coraz to inne. I teraz też. Nigdy nie ma drugiej nocy. Zawsze jest pierwsza. Druga byłaby końcem.

–Dzięki Bogu, inaczej do czegóż byśmy doszli? Byłby to rodzaj arytmetyki. A teraz chodź. Nie chcę jeszcze spać, chcę z tobą pić. Tam, w górze, na zimnie, tkwią nagie gwiazdy. Jak łatwo zamarznąć w samotności! Nawet w upał. Nigdy, gdy się jest we dwoje.

–I we dwoje można nawet zamarznąć na śmierć.

–Ale nie my.

–Oczywiście, nie my – powiedział Ravic; w ciemności nie widziała wyrazu jego twarzy. – My nie.

10

–Co się ze mną właściwie działo, Ravic? – spytała Kate Hegstroem.

Leżała w łóżku, trochę uniesiona, z dwiema poduszkami pod głową. Pokój pachniał eau de santé i perfumami. Okno uchylone było od góry. Świeże, trochę mroźne powietrze wpadało do pokoju i mieszając się z jego ciepłem, przywodziło na myśl nie styczeń, lecz kwiecień.

–Miała pani kilka dni gorączkę, długo pani spała, prawie dwadzieścia cztery godziny. Teraz gorączka minęła i wszystko w porządku. Jak się pani czuje?

–Zmęczona, wciąż jeszcze zmęczona. Ale inaczej niż przedtem. Nie z takim naprężeniem. Właściwie nic mnie nie boli.

–Potem będzie trochę bolało. Niewiele, będziemy się starali, żeby pani to dobrze zniosła. Ale tak jak teraz nie będzie, sama pani wie…

Skinęła głową.

–Krajaliście mnie, Ravic…

–Tak, Kate.

–Czy to było konieczne?

–Tak.

Czekał, wolał, żeby ona pytała.

–Jak długo będę musiała leżeć?

–Parę tygodni.

Chwilę leżała cicho.

–Myślę, że to mi dobrze zrobi. Potrzebuję spokoju. Mam wszystkiego dość, dopiero teraz to zrozumiałam. Byłam zmęczona, a nie chciałam się do tego przyznać. Czy to miało coś wspólnego z moim stanem?

–Na pewno miało.

–A te krwotoki od czasu do czasu między okresami?

–I to także, Kate.

–No, to dobrze, że wreszcie mam czas. Chyba to było konieczne. Wydaje mi się, że nie mogłabym teraz wstać i znów znosić wszystkiego.

–Bo i nie trzeba. Niech pani o wszystkim zapomni. Myśli tylko o rzeczach najbliższych, na przykład o śniadaniu.

–Świetnie. – Uśmiechnęła się lekko. – W takim razie niech mi pan poda lusterko.

Podał jej ręczne lusterko z nocnego stolika; przyjrzała się sobie uważnie.

–Przysłał mi pan kwiaty?

–Nie, to klinika.

Położyła lusterko na łóżku.

–Kliniki nie przysyłają w styczniu bzu. Kliniki przysyłają astry albo coś w tym rodzaju. Kliniki nie wiedzą też, że bez lubię najwięcej ze wszystkich kwiatów.

–Tutaj, owszem. Tu pani jest weteranem, Kate. – Ravic wstał. – Muszę już iść. Zajrzę o

szóstej.

–Ravic…

–Słucham.

Odwrócił się ku niej. “Teraz” – pomyślał. “Teraz zapyta”.

Wyciągnęła rękę.

–Dziękuję – powiedziała. – Dziękuję za kwiaty. I dziękuję za opiekę. Przy panu zawsze czuję się bezpieczna.

–Doskonale, Kate, doskonale. Nie ma za co. A teraz proszę znów usnąć, jeśli pani może. Gdyby coś miało boleć, proszę dzwonić na siostrę. Będzie miała lekarstwo. Po południu zajrzę.

*** * ***

–Veber, gdzie koniak?

–Więc było aż tak źle? Tu jest butelka. Eugenio, niech pani poda kieliszek.

Eugenia niechętnie przyniosła kieliszek.

–To naparstek – zaprotestował Veber. – Niech pani poda przyzwoity kieliszek. Albo niech pani poczeka, jeszcze sobie pani rękę złamie. Sam wezmę.

–Nie wiem, czemu tak jest – powiedziała uszczypliwie Eugenia – ale jak tylko pan Ravic wchodzi, zaczyna pan…

–Dobrze, dobrze – przerwał jej Veber i nalał koniaku. – Proszę, Ravic. No, i co ona myśli?

–O nic nie pyta. Wierzy, nie pytając.

Veber podniósł głowę.

–A widzi pan? – powiedział z triumfem. – Od razu mówiłem!

Ravic opróżnił kieliszek.

–Czy zdarzyło się panu, żeby pacjent dziękował za to, że nic dla niego nie można zrobić?

–Często.

–I żeby we wszystko wierzył?

–Naturalnie.

–I jak się pan czuł?

–Cóż, odczuwałem ulgę – powiedział Veber ze zdziwieniem. – Ogromną ulgę.

–A mnie się chce rzygać. Jakbym popełnił fałszerstwo.

Veber roześmiał się i odstawił butelkę. Ravic powtórzył:

–Chce mi się rzygać.

–Pierwsze ludzkie uczucie, jakie w panu odkrywam – powiedziała Eugenia. – Nie mówię o formie, w jakiej je pan wyraził.

–Pani nie jest odkrywcą, tylko pielęgniarką, często pani o tym zapomina – oświadczył Veber. – Więc załatwione, co, Ravic?

–Tak, tymczasem tak.

–Doskonale. Dziś rano powiedziała pielęgniarce, że po wyjściu ze szpitala pojedzie do Włoch. To byłoby dla nas najlepiej. – Veber zatarł ręce. – Niech się nią zajmą tamtejsi lekarze. Nie lubię, kiedy tu ktoś umiera. To zawsze psuje opinię.

*** * ***

Ravic zadzwonił do drzwi mieszkania akuszerki, która zrobiła zabieg Łucji. Po pewnym czasie otworzył mu jakiś czarniawy mężczyzna. Kiedy zobaczył Ravica, nie puścił klamki.

–Czego pan chce? – warknął.

–Chciałbym rozmawiać z panią Boucher.

–Nie ma czasu.

–Nic nie szkodzi, poczekam.

Człowiek chciał zamknąć drzwi.

–Jeśli nie mogę tu poczekać, wrócę za kwadrans – powiedział Ravic. – Ale nie sam. Wrócę z kimś, dla kogo z pewnością będzie miała czas.

Mężczyzna spojrzał na niego.

–Co to znaczy? Czego pan chce?

–Już panu powiedziałem. Chcę mówić z panią Boucher.

Człowiek namyślał się chwilę.

–Proszę poczekać – powiedział i zamknął drzwi.

Ravic przyglądał się drzwiom, z których łuszczyła się brązowa farba, blaszanej skrzynce na listy i okrągłej emaliowanej tabliczce z nazwiskiem. Ileż nędzy i strachu przeszło przez te drzwi! Z powodu kilku bezsensownych przepisów tyle młodych istnień skazanych jest na zabiegi fuszerów, zamiast pomocy lekarza. A czyż się przez to rodzi więcej dzieci? Kto nie chce mieć dziecka, zawsze da sobie radę, z prawem czy wbrew prawu. Jedyna różnica w tym, że każdego roku rujnuje się zdrowie tysięcy matek.

Drzwi znów otwarto.

–Czy pan jest z policji? – spytał nie ogolony człowiek.

–Nie czekałbym, gdybym był z policji.

–Proszę wejść.

Poprowadził Ravica ciemnym korytarzem do pokoju zapchanego meblami. Stała tu pluszowa sofa, mnóstwo złoconych krzesełek, orzechowa serwantka, na podłodze leżała imitacja dywanu Aubusson, a na ścianie wisiały oleodruki, przedstawiające sceny pasterskie. Naprzeciwko okna metalowy stolik i klatka z kanarkiem. Gdziekolwiek pozostało jeszcze trochę miejsca, poustawiano porcelanę i figurki.

Weszła pani Boucher. Była monstrualnie gruba i miała na sobie luźne, niezupełnie czyste kimono. Robiła wrażenie potwora, ale twarz jej była gładka i ładna, z wyjątkiem oczu, które niespokojnie biegały.

–Pan sobie życzy? – spytała oficjalnie, nie siadając.

Ravic podniósł się.

–Przychodzę w sprawie Łucji Martinet. Pani jej zrobiła zabieg.

–Bzdura – odpowiedziała kobieta szybko, ale spokojnie. – Nie znam żadnej Łucji Martinet i nie robię żadnych zabiegów. Albo się pan myli, albo ktoś pana okłamał.

Udała, że uważa sprawę za zakończoną, gotowała się do opuszczenia pokoju. Ale nie odchodziła. Ravic czekał. Odwróciła się.

–O co jeszcze chodzi?

–Zabieg się nie udał. Dziewczyna miała silny krwotok i była bliska śmierci. Trzeba było zrobić operację i ja ją operowałem.

–Kłamstwo! – syknęła nagle pani Boucher. – Kłamstwo! Dziwki, same majstrują, a potem chcą ściągać na innych nieszczęście. Ja jej pokażę! Te kurwy! Oddam sprawę w ręce adwokata. Ludzie mnie znają, płacę podatki i ciekawam, czy taka bezczelna ulicznica, która się na prawo i lewo puszcza…

Ravic przyglądał się jej jak urzeczony. Wyraz jej twarzy wcale się nie zmienił, była dalej gładka i ładna; tylko usta miała ściągnięte i pluła niczym karabin maszynowy.

–Dziewczyna nie chce wiele – przerwał. – Tylko zwrotu pieniędzy, które pani zapłaciła.

Pani Boucher roześmiała się.

–Zwrotu pieniędzy? A kiedy to ja od niej dostałam pieniądze? Czy ma kwit?

–Naturalnie, że nie ma. Czyżby jej pani dała?

–Nigdy jej nie widziałam. Kto jej uwierzy?

–Ma świadków. Była operowana w klinice doktora Vebera. Diagnoza niewątpliwa, jest protokół.

–Możecie mieć tysiąc protokołów! A gdzież to jest powiedziane, że ja się jej dotykałam? Klinika! Doktor Veber! Uśmiać się można! Taka dziwka musi pchać się do eleganckiej lecznicy! Nie ma pan nic lepszego do roboty?

–Owszem. Bardzo dużo. Niech pani posłucha. Dziewczyna wpłaciła pani trzysta franków. Może panią skarżyć o odszkodowanie.

Drzwi się otworzyły, wszedł czarniawy mężczyzna.

–Co tam, Adelo?

–Nic. Skarżyć o odszkodowanie? Jeśli zaskarży, sama będzie skazana, bo przyzna, że się poddała zabiegowi. Ale będzie musiała przedstawić dowody, że to ja go robiłam. A takich dowodów nie ma.

Mężczyzna zarechotał.

–Uspokój się, Roger, nie jesteś mi potrzebny – powiedziała pani Boucher.

–Brunier czeka.

–Dobrze, niech czeka. Wiesz przecież…

Skinął głową i wyszedł, pozostawiając za sobą zapach koniaku. Ravic poruszył nozdrzami.

–Stary koniak – powiedział. – Ma ze trzydzieści, czterdzieści lat. Szczęśliwy człowiek, który może pić taki koniak wczesnym popołudniem.

Pani Boucher spojrzała na niego zbita z tropu. Potem wolno skrzywiła usta w uśmiechu.

–To prawda. A może pan by pozwolił?

–Dlaczego nie.

Pomimo tuszy w sekundę znalazła się przy drzwiach.

–Roger!

Czarniawy mężczyzna zjawił się natychmiast.

–Znowu dobrałeś się do najlepszego koniaku! Nie kłam, od razu go poczułam! Przynieś butelkę. Nic nie gadaj, przynieś butelkę.

Roger przyniósł butelkę.

–Poczęstowałem Bruniera. Zmusił mnie, żebym się z nim napił.

Madame Boucher nie odpowiedziała. Zamknęła drzwi i wydobyła z orzechowej serwantki kieliszek z rżniętego szkła. Ravic spojrzał ze wstrętem; na kieliszku wyryta była głowa kobieca. Pani Boucher nalała koniaku i postawiła przed Ravikiem kieliszek; serweta wyhaftowana była w pawie.

–Wygląda pan na człowieka rozsądnego – powiedziała.

Ravic nie mógł jej odmówić pewnego szacunku. Nie była z żelaza, jak powiedziała Łucja; gorzej, była z gumy. Żelazo można złamać, gumy nie. Jej argumenty, obalające możliwość uzyskania odszkodowania, były słuszne.

–Pani zabieg się nie udał – powiedział – i miał fatalne skutki. Już to samo powinno wystarczyć, żeby pani zwróciła pieniądze.

–A pan oddaje pieniądze, jeśli pacjent umiera po operacji?

–Nie, ale zdarza się, że nic nie bierzemy za operację. Na przykład od Łucji.

Pani Boucher spojrzała na niego.

–No widzi pan. Więc dlaczego jeszcze taką drakę odstawia? Powinna się cieszyć!

Ravic podniósł kieliszek.

–Moje uznanie – powiedział. – Pani nie można pokonać.

Kobieta ostrożnie postawiła butelkę na stoliku.

–Panie, wielu już tego próbowało. Ale pan wydaje się rozsądniejszy. Czy pan myśli, że ja prowadzę ten interes dla śmiechu czy dla zarobku? Z trzystu franków policja bierze sto. Czy inaczej mogłabym w ogóle pracować? Jeden z nich właśnie tam czeka. Łapówki, wieczne łapówki. Inaczej nic z tego. To oczywiście zostanie między nami, a jeśliby pan chciał zrobić użytek, to zaprzeczę i policja nie zwróci na to żadnej uwagi. Niech mi pan wierzy.

–Wierzę pani.

Pani Boucher spojrzała mu w oczy; nie dostrzegając w nich ironii, przysunęła sobie bliżej krzesełko i usiadła. Podniosła je jak piórko, pod zwałami tłuszczu zdawała się mieć niepoślednią siłę. Napełniła sobie kieliszek koniakiem przeznaczonym na łapówki.

–Trzysta franków wydaje się kupą grosza, ale policja to przecież nie jedyny wydatek. Komorne – dla mnie oczywiście wyższe niż dla innych, bielizna, narzędzia – dla mnie dwa razy droższe niż dla lekarzy – prowizje, łapówki – muszę być z każdym dobrze – napitki, prezenty na Nowy Rok i na urodziny dla urzędników i ich żon – to nie w kij dmuchał, proszę pana! Czasami, doprawdy, mało co zostaje.

–Co do tego nie może być dwóch zdań.

–A co do czego może?

–Że czasem się tak zdarza, jak z Łucją.

–A lekarzom się to nigdy nie zdarza? – spytała prędko pani Boucher.

–Na pewno o wiele rzadziej.

–Panie! – Wyprostowała się. – Jestem uczciwa. Uprzedzam każdą z dziewcząt, która się u mnie zjawia, że coś się może nie udać. Myśli pan, że która się zlęknie? Bynajmniej, błagają mnie, żeby się nimi zająć. Płaczą, desperują, grożą samobójstwem, jeżeli im nie pomogę. Co za teatr tu odchodzi! Po prostu wiją się po dywanie, błagając. Widzi pan ten róg serwantki z brakującym kawałkiem forniru. Odbiła mi go bardzo wytworna dama. Pomogłam jej. Pokażę panu coś, chce pan? Wczoraj mi przysłała dziesięć funtów powideł, stoją w kuchni. Z wdzięczności, bo przecież wszystko zapłaciła. Coś panu powiem – głos pani Boucher podniósł się i przybrał na sile – może mnie pan nazwać fabrykantką aniołków, ale kobiety nazywają mnie dobrodziejką i aniołem!

Wstała. Kimono opłynęło ją majestatycznie. Kanarek, jakby na rozkaz, zaniósł się w klatce śpiewem. Ravic wstał również. Umiał docenić akcenty melodramatyczne, ale wiedział też, że pani Boucher nie przesadza.

–Rozumiem – powiedział – i odchodzę. Dla Łucji nie okazała się pani dobrodziejką.

–Szkoda, że wpierw jej pan nie widział. Czego jeszcze chce? Zdrowa, dziecko poszło, o to jej przecież chodziło? I jeszcze nie potrzebuje płacić za klinikę.

–Nigdy już nie będzie mogła mieć dzieci.

Pani Boucher zawahała się chwilę.

–Tym lepiej – powiedziała wreszcie. – Ta mała kurwa musi być uszczęśliwiona.

Ravic wiedział, że nic tu nie zdziała.

–*Au revoir, madame* – powiedział. – Była to bardzo dla mnie interesująca wizyta.

Podeszła bliżej, choć byłby zadowolony, gdyby go zwolniła z uścisku dłoni. Nie to jednak miała na myśli. Porozumiewawczo zniżyła głos.

–Pan jest rozsądny, rozsądniejszy niż inni lekarze. Szkoda, że pan… – Zawahała się i spojrzała na niego, żeby go ośmielić. – W niektórych wypadkach zachodzi potrzeba… rozumny lekarz byłby wielką pomocą…

Ravic nie przerywał, ciekawy był, co jeszcze usłyszy.

–Pan by nie pożałował – dodała pani Boucher. – Właśnie w nadzwyczajnych wypadkach. – Badała go wzrokiem jak kot, który udaje, że przepada za ptakami. – Miewam bardzo zamożne klientki, płacą zawsze z góry, policja nas nie nagabuje. Sądzę, że przydałoby się panu paręset franków dodatkowego zarobku – poklepała go po ramieniu – taki przystojny mężczyzna…

Z szerokim uśmiechem sięgnęła po butelkę.

–No, co pan o tym myśli?

–Dziękuję – powiedział Ravic, wstrzymując jej rękę – już ani kropli. Nie zniósłbym więcej. – Protestował z niechęcią, bo koniak był doskonały. Na butelce nie było etykiety, pochodziła na pewno z pierwszorzędnej prywatnej piwnicy. – Przemyślę to sobie. Zajrzę tu jeszcze. Chciałbym zobaczyć pani instrumenty. Może mógłbym pani coś doradzić.

–Pokażę panu instrumenty, jak pan przyjdzie, a pan mi pokaże swoje papiery. Zaufanie musi być obustronne.

–Przecież pani okazała mi już trochę zaufania.

–Wcale nie – uśmiechnęła się pani Boucher. – Zrobiłam pewną propozycję i w każdej chwili mogę temu zaprzeczyć. Pan nie jest Francuzem, to znać po wymowie, chociaż pan zna dobrze język. I nie wygląda pan na Francuza. Pewno uchodźca. – Roześmiała się szerzej i przyjrzała

mu się chłodno. – Nikt by panu nie uwierzył, co najwyżej zainteresowałby się francuskim dyplomem, którego pan nie ma. W hallu siedzi francuski policjant. Może mnie pan od razu zaskarżyć. Ale pan tego nie zrobi. Nie poda mi pan swego adresu i nazwiska, co?

–Nie – powiedział Ravic, czując się pokonany.

–Tak właśnie myślałam – powiedziała pani Boucher, która teraz naprawdę wyglądała na olbrzymie nażarte kocisko. – *Au revoir, monsieur.* Proszę się zastanowić nad moją ofertą. Dawno już myślałam o nawiązaniu współpracy z lekarzem-uchodźcą.

Uśmiechnął się i wiedział dlaczego. Uchodźca byłby całkowicie na jej łasce. Niechby się coś nie udało, on by odpowiadał.

–Pomyślę nad tym – rzekł. – *Au revoir, modame!* Przeszedł ciemny korytarz. Za jednymi z mijanych drzwi usłyszał czyjeś jęki. Domyślił się, że pokoje podzielone są na kabiny, każda z jednym łóżkiem. Leżały tu kobiety, nim mogły się dowlec do domu.

W hallu siedział szczupły mężczyzna, który mu się przyjrzał z uwagą. Miał oliwkową cerę i krótko przystrzyżone wąsy. Koło niego siedział Roger. Druga butelka starego koniaku stała na stole, instynktownie spróbował ją ukryć, zobaczywszy Ravica. Potem wykrzywił twarz w uśmiechu i podniósł rękę.

–*Bon soir, docteur!* – powiedział, ukazując zepsute zęby. Na pewno podsłuchiwał przy drzwiach.

–*Bon soir,* Roger! – powiedział Ravic, uważając za wskazane udać zadomowionego.

W ciągu pół godziny ta niezłomna kobieta zmieniła go z wroga prawie we wspólnika. Poczuł teraz pewną ulgę, odzywając się poufale do Rogera, który po tym wszystkim nabrał w jego oczach czegoś bardzo ludzkiego.

Na dole natknął się na dwie dziewczyny. Czytały napisy na drzwiach.

131 – Czy tu mieszka pani Boucher, proszę pana? – spytała jedna z determinacją.

Zawahał się. Jaki sens miałoby jednak, gdyby coś powiedział? Nic by to nie pomogło. Pójdą i tak. Nie mógł im też poradzić nic innego.

–Na trzecim piętrze. Na drzwiach jest tabliczka.

*** * ***

Świecąca tarcza zegarka błyszczała w ciemnościach jak miniaturowe ukryte słońce. Była piąta rano. Joanna miała przyjść o trzeciej, może jeszcze przyjdzie, ale możliwe też, że była zbyt zmęczona i poszła prosto do swego hotelu.

Ravic wyciągnął się, żeby znów usnąć, ale nie mógł. Długo leżał, przyglądając się sufitowi, po którym w regularnych odstępach przebiegały czerwone błyski świetlnej reklamy z dachu sąsiedniego domu. Czuł w sobie pustkę i nie wiedział, dlaczego. Wydawało mu się, że całe ciepło ucieka mu z ciała przez skórę i że krew pragnie zatrzymać się na czymś, czego nie ma, i spływa, spływa w łagodną nicość. Skrzyżował ręce pod głową i leżał bez ruchu. Teraz wiedział, że czeka. Wiedział więcej: to nie tylko jego świadomość czekała na Joannę Madou, czekały na nią jego dłonie, jego krew i jakaś dziwna, nieznana czułość.

Wstał, włożył szlafrok i usiadł przy oknie. Czuł na swojej skórze miękkie ciepło wełny. Był to zresztą stary szlafrok, który mu służył od lat. Wlókł go z sobą, kiedy uciekał, okrywał się nim podczas zimnych nocy w Hiszpanii, kiedy śmiertelnie znużony powracał z polowego szpitala do baraku. Dwunastoletnia Juana z oczami, które miały lat osiemdziesiąt, umarła przykryta tym szlafrokiem w na wpół zburzonym madryckim hotelu, marząc, by mieć kiedyś sukienkę z takiej miękkiej wełny i móc zapomnieć, jak gwałcono jej matkę i zatratowano ojca na śmierć.

Rozejrzał się. Pokój, parę walizek, kilka drobiazgów, kupka sfatygowanych czytaniem książek – tyle tylko trzeba człowiekowi, aby żył. Lepiej nie przyzwyczajać się do wielu przedmiotów, kiedy życie jest tak niespokojne. Ciągle je trzeba gdzieś zostawiać albo ktoś je zabiera. Trzeba być w każdej chwili gotowym do drogi. Dlatego właśnie żył samotnie. Kiedy się wędruje, niedobrze jest mieć cokolwiek, co trzyma człowieka

w miejscu. Nic, co by poruszało serce. Przygoda tak, ale nic innego.

Spojrzał na łóżko, na zmiętą, białą pościel. To nic, że czeka. Często zdarzało mu się czekać na kobiety. Ale czuł, że wtedy czekał inaczej – po prostu, jasno, brutalnie. Czasami z nieznaną czułością, która posrebrzała jego pożądanie – ale nie tak, jak dziś. Coś się do niego wkradło, na co nie zwrócił dostatecznej uwagi, Czyżby istniało w nim znowu, poruszało się? Kiedyż to było? Czyżby go znowu wołał głos z przeszłości, z błękitnych głębin; czyżby czuł znowu oddech łąki, kwitnącej mięty, wyniosłych topoli na horyzoncie, lasów w kwietniu? Nie chciał tego. Nie chciał nic posiadać, nie chciał być posiadany. Był wędrowcem.

Wstał i zaczął się ubierać. Trzeba być niezależnym. Wszystko zaczyna się od takich właśnie drobnych uzależnień. Najpierw się ich nie zauważa, a potem człowiek nagle spostrzega, że jest w sieci przyzwyczajenia. Przyzwyczajenia, które ma wiele nazw. Jedna z nich to miłość. Nie trzeba się do niczego przyzwyczajać, nawet do czyjegoś ciała.

Nie zamknął drzwi. Jeśli Joanna przyjdzie, nie znajdzie go. Może czekać, jeśli zechce. Przez chwilę pomyślał, żeby zostawić kartkę. Ale nie chciał kłamać ani też powiedzieć, dokąd idzie.

* * *

Wrócił o ósmej rano, szedł o chłodzie poranka w świetle ulicznych latarni, czuł się odprężony i trzeźwy. Ale pod drzwiami hotelu znów poczuł dawne napięcie.

Joanny nie było. Chciał w siebie wmówić, że wcale się jej nie spodziewał, ale pokój wydał mu

się bardziej pusty niż zwykle. Rozejrzał się, szukał śladów jej obecności. Nie znalazł nic.

Zadzwonił na pokojówkę. Po chwili przyszła.

–Proszę o śniadanie – powiedział. Spojrzała na niego, ale nie odezwała się, nie chciał jej też o nic pytać. – Kawa i rogaliki, Ewo.

–Dobrze, proszę pana.

Znowu spojrzał na łóżko. Gdyby nawet Joanna przyszła, trudno było się spodziewać, że położy się do pustego, wymiętego łóżka. Jakie to dziwne, że wszystko wydaje się martwe, co miało do czynienia z ciałem, kiedy traci jego ciepło – łóżko, bielizna, nawet kąpiel. Gdy zabraknie tego ciała, wszystko wydaje się wstrętne.

Zapalił papierosa. Mogła pomyśleć, że wezwano go do pacjenta. Ale wtedy byłby zostawił kartkę. Nawymyślał sobie od idiotów. Chciał się uniezależnić, a był tylko bezwzględny. Bezwzględny i śmieszny jak osiemnastoletni chłopak, który samemu sobie chce czegoś dowieść. Było w tym więcej uzależnienia się, niż gdyby na nią czekał.

Pokojówka wniosła śniadanie.

–Czy posłać łóżko?

–Dlaczego teraz?

–Na wypadek, gdyby się pan chciał jeszcze położyć. Lepiej się śpi w świeżo posłanym łóżku. Patrzyła na niego bez żadnego wyrazu w oczach.

–Nikogo tu nie było? – spytał.

–Nie wiem. Przyszłam o siódmej.

–Ewo-powiedział -jak się pani czuje, ścieląc co dzień łóżka dwunastu obcym ludziom?

–Nie szkodzi, proszę pana. Byle nie żądali niczego innego. Ale zawsze znajdzie się kilku, co chcą czegoś więcej. A przecież burdele są takie tanie w Paryżu!

–Nie można iść rano do burdelu, Ewo. A niektórzy goście czują się rankiem specjalnie na siłach.

–Szczególnie starzy – powiedziała i wzruszyła ramionami. – Tyle tylko, że się traci napiwek. Poza tym zaczynają się skargi, że pokój źle sprzątnięty, że się niegrzecznie odpowiada. Naturalnie wszystko ze złości. Nie ma na to rady. Takie jest życie.

Ravic wyjął banknot z kieszeni.

–Niechże dziś będzie trochę łatwiejsze. Proszę sobie za to kupić kapelusz albo wełniany sweter. Oczy Ewy straciły zwykły tępy wyraz.

–Dziękuję panu. Dobrze mi się dzień zaczyna. Pościelę trochę później.

–Doskonale. Popatrzyła na niego.

–Ta pani jest bardzo interesująca – powiedziała. – No ta, co teraz do pana przychodzi.

–Jeszcze jedno słowo, a odbiorę pani pieniądze. – Ravic popchnął Ewę ku drzwiom. – Starzy lubieżnicy czekają na panią, proszę ich nie rozczarować.

Usiadł przy stole i zaczął jeść, ale śniadanie mu nie smakowało. Wstał i jadł, stojąc. Teraz było lepiej.

Czerwone słońce wisiało nad dachami. Hotel się budził. Stary Goldberg rozpoczął o piętro niżej swój poranny koncert. Charczał i kaszlał, jakby miał sześć płuc. Uchodźca Wiesenhoff otworzył okno i gwizdał marsza. O piętro wyżej szumiała woda. Trzaskały drzwi. Tylko u Hiszpanów było cicho. Ravic przeciągnął się. Noc minęła. Razem z nią korupcja ciemności. Zdecydował się pozostać sam przez następne parę dni.

Gazeciarze wykrzykiwali za oknem tytuły pism. Wypadki nad czeską granicą. Wojska niemieckie na Unii Sudetów. Układ monachijski zagrożony.

11

Chłopiec nie krzyczał, tylko patrzył na doktorów. Był zbyt odurzony, żeby odczuć ból. Ravic spojrzał na strzaskaną nogę.

–Ile ma lat? – spytał matkę.

–Co? – Nie zrozumiała.

–Ile chłopiec ma lat?

Kobieta w chustce na głowie poruszyła wargami.

–Noga! – powiedziała. – Noga! To była ciężarówka. Ravic zbadał serce.

–Chorował kiedy?

–Noga! – powiedziała kobieta. – Przecież chodzi o nogę!

Ravic wyprostował się. Serce chłopca biło szybko jak serce ptaka, ale nie widział w tym nic alarmującego. Trzeba będzie uważać przy dawaniu narkozy, chłopiec jest wątły i rachityczny. Musi natychmiast operować, zmiażdżona noga jest cała ubrudzona błotem.

–Czy pan mi ją utnie? – spytał chłopiec.

–Nie – odpowiedział Ravic bez przekonania.

–Lepiej uciąć, niż żeby była sztywna. Spojrzał uważnie na tę przedwcześnie dojrzałą twarz. Nie było w niej śladu bólu.

–Zobaczymy – powiedział. – Teraz musimy cię uśpić. To nic wielkiego, nie bój się. Bądź spokojny.

–Chwileczkę, proszę pana. Numer FO 2019. Może pan będzie łaskaw zapisać go dla mamy.

–Co, Janeczku, co? – spytała przerażona matka.

–Zapamiętałem numer, no, numer wozu. FO 2019. Widziałem go tuż nad sobą. Było czerwone światło. To wina kierowcy. – Chłopiec zaczął dyszeć z wysiłku. – Towarzystwo ubezpieczeń musi zapłacić. Numer…

136

–Już zapisałem – powiedział Ravic. – Uspokój się, wszystko jest zapisane.

Skinął na Eugenię, żeby dała narkozę.

–Matka musi iść na policję, towarzystwo musi zapłacić. – Wielkie krople potu wystąpiły mu na twarz, jakby ją deszcz zwilżył. – Jeżeli mi pan odejmie nogę, zapłacą więcej… niż… jeśli będzie… sztywna…

Oczy zapadły mu się w sine koła, które wystąpiły na skórę jak brudne sadzawki. Chłopiec jęczał i poruszał wargami, usiłując coś jeszcze powiedzieć.

–Mama… nie potrafi… proszę jej pomóc… – Dalej nie mógł już mówić. Zaczął głucho krzyczeć, jakby w nim tkwiło torturowane zwierzę.

*** * ***

–Co słychać na świecie? – spytała Kate Hegstroem.

–Po co o tym myśleć? Czy nie lepiej znaleźć weselszy temat?

–Mam uczucie, że leżę tu już od wielu tygodni. Wszystko mi się wydaje takie odległe, jakby się zapadło.

–Niech tak jeszcze trochę pozostanie.

–Nie, bo zacznę się lękać, że ten pokój jest ostatnią arką, a potop sięga już okna. Co się

dzieje na świecie, Ravic?

–Nic nowego, Kate. Świat w dalszym ciągu dąży do samobójstwa i łudzi się, że nic się nie stanie.

–Czy będzie wojna?

–Każdy wie, że będzie wojna, tylko nikt nie wie, kiedy. Każdy czeka cudu. – Ravic uśmiechnął się. – Nigdy nie było tylu mężów stanu wierzących w cuda, ilu jest teraz w Anglii i Francji. I nigdy tak niewielu jak w Niemczech.

Chwilę leżała w milczeniu.

–Pomyśleć, że to jest możliwe…

–Tak, wydaje się tak niemożliwe, że pewnego dnia musi nastąpić. Właśnie dlatego, że uważano to za niemożliwe i nikt się nie bronił. Czy nic panią nie boli?

–Nie tak bardzo, żebym nie mogła wytrzymać – powiedziała, poprawiając sobie poduszkę pod głową. – Chciałabym uciec od tego wszystkiego!

–Tak – powiedział bez przekonania. – Któż by nie chciał?

137 – Kiedy stąd wyjdę, pojadę do Włoch. Do Fiesole. Mam tam cichy, stary dom z ogrodem. Zatrzymam się w nim na pewien czas. Będzie jeszcze chłodno. Zgaszone, wesołe słońce. W południe jaszczurki wylegujące się na nagrzanych ścianach. Wieczorem dzwony z Florencji. W nocy księżyc i gwiazdy za cyprysami. W domu są książki i duży kamienny kominek z drewnianymi ławami. Można na nich siedzieć przy ogniu. Żelazne kozły pod drzewo tak są zrobione, że na ich podpórkach można postawić szklanki. W ten sposób ogrzewa się czerwone wino. Pusto, tylko para staruszków doglądająca gospodarstwa.

Popatrzyła na Ravica.

–To piękne – powiedział. – Cicho, ogień, książki, spokój. Dawniej nazywano to życiem drobnomieszczańskim. Dziś jest to sen o utraconym raju.

Skinęła głową.

–Pobędę tam trochę, parę tygodni, może nawet parę miesięcy. Nie wiem jeszcze, muszę się uspokoić. Potem zajrzę tu i wrócę do Ameryki.

Ravic usłyszał, że przez korytarz posługaczki niosą tacę z kolacją. Zaszczekały półmiski.

–Słusznie, Kate – powiedział. Zawahała się.

–Czy mogłabym jeszcze mieć dziecko?

–Nie od razu. Najpierw trzeba się wzmocnić.

–Oczywiście. Ale czy w ogóle, kiedyś? Po tej operacji? Czy…

–Nie – powiedział Ravic. – Nic nie usunęliśmy. Nic a nic! Odetchnęła.

–Tb właśnie chciałam wiedzieć.

–Ale to długo potrwa, Kate. Cały pani organizm musi się wpierw przystosować.

–Mniejsza, jak długo to potrwa. – Przygładziła włosy, kamień na jej palcu zamigotał. – Czy to nie śmieszne, że właśnie teraz o to pytam?

–Nie, to się często zdarza, częściej, niżby się przypuszczało.

–Mam już tego wszystkiego dosyć. Chcę wrócić, wyjść normalnie, staromodnie za mąż, mieć dzieci, mieć spokój, chwalić Boga i cieszyć się życiem.

Ravic wyjrzał oknem. Ostra czerwień słońca wisiała nad da-

chami. Reklamy świetlne tonęły w tym blasku jak bezkrwiste cienie. Z głębi pokoju dochodził go głos Kate Hegstroem.

–Pewno się to panu wydaje śmieszne po wszystkim, co pan o mnie wie?

–Bynajmniej, Kate.

* * *

Joanna Madou przyszła o czwartej nad ranem. Ravic przebudził się, gdy drzwi skrzypnęły. Poszedł spać, nie spodziewając się jej. Zobaczył, że stoi w otwartych drzwiach. Próbowała wejść, trzymając w ramionach olbrzymi pęk chryzantem. Nie widział jej twarzy, tylko postać i te wielkie, jasne kwiaty.

–Co to? – zapytał. – Las chryzantem! Co to znaczy, na Boga?

Joanna przecisnęła się wreszcie z bukietem i rzuciła go z rozmachem na łóżko. Kwiaty były wilgotne i chłodne, a liście pachniały ziemią i jesienią.

–Prezent – powiedziała. – Od czasu, kiedy cię poznałam, zaczynają mi dawać prezenty.

–Zabierz je, jeszcze nie umarłem. Leżeć pod kwiatami, co gorsza, pod chryzantemami… Poczciwe stare łóżko “Interna-tionalu” wygląda jak trumna.

–Nie! – Joanna gwałtownym gestem zgarnęła kwiaty z łóżka i rzuciła je na podłogę. – Nie mów tak! Nie mów tak nigdy.

Spojrzał na nią. Zapomniał już, w jakich okolicznościach się spotkali.

–Wybacz! – powiedział. – Nie miałem nic złego na myśli.

–Nie powtarzaj tego nigdy. Nawet żartem. Przyrzeknij. Zobaczył, że wargi jej drżą.

–Ależ Joanno – powiedział. – Czy to cię naprawdę tak przeraża?

–Straszliwie. Nie wiem, co to jest. Wstał.

–Nie będę tak nigdy żartował. Czy jesteś zadowolona? Skinęła głową i oparła ją na jego ramieniu.

–Nie wiem, co to jest, ale nie mogę tego wytrzymać. Jakby ręka wyciągała się po mnie z ciemności. Strach, ślepy strach, jakby ktoś na mnie gdzieś czyhał. – Przylgnęła mocniej do niego. – Nie daj mnie!

Objął ją mocno.

139 – Nie dam cię. Skinęła głową.

–Możesz to zrobić…

–Tak – powiedział głosem pełnym smutku i szyderstwa, myśląc o Kate Hegstroem – mogę, na pewno mogę. Poruszyła się w jego ramionach.

–Byłam tu wczoraj… Nie drgnął nawet.

–Byłaś?

–Tak.

Milczał. Coś w nim ustępowało. Jakiż był dziecinny! Czekać czy nie czekać, po co to? Głupia gra z kimś, kto się nie bawi.

–Nie było cię…

–Nie.

–Wiem, że nie powinnam pytać, gdzie byłeś…

–Nie.

Uwolniła się z jego objęć.

–Wykąpię się – powiedziała zmienionym głosem. – Zmarzłam. Czy nie zbudzę całego hotelu? Ravic uśmiechnął się.

–Nie pytaj o konsekwencje, gdy chcesz coś zrobić, bo nigdy tego nie dokonasz. Spojrzała na niego.

–Trzeba się pytać o drobiazgi, nigdy o coś ważnego.

–Masz rację.

Poszła do łazienki i puściła wodę. Ravic usiadł przy oknie i wyciągnął paczkę papierosów. Nad dachami stała czerwona łuna miasta, w której śnieg cicho wirował. Na ulicy zaturkota-ła taksówka. Chryzantemy blado połyskiwały na podłodze. Na kanapie leżała gazeta, którą przyniósł wieczorem. Utarczki na granicy czechosłowackiej. Walki w Chinach. Ultimatum. Obalenie gabinetu. Wziął gazetę i schował ją pod chryzantemy.

Joanna wyszła z łazienki. Była ciepła i zwinęła się w kłębek koło niego, wśród kwiatów.

–Gdzie byłeś tamtej nocy? – spytała. Podał jej papierosa.

–Czy naprawdę chcesz wiedzieć?

–Tak. Zawahał się.

140

–Byłem tu – powiedział wreszcie – i czekałem na ciebie. Potem pomyślałem, że już nie przyjdziesz, i wyszedłem.

Joanna czekała. Papieros żarzył się w ciemnościach, potem zgasł.

–To wszystko – powiedział Ravic.

–Poszedłeś pić?

–Tak.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

–Czy naprawdę tylko dlatego wyszedłeś?

–Tak.

Wsparła się na jego kolanach. Poczuł jej ciepło przez szlafrok. Było to jej ciepło i ciepło

szlafroka, który znał lepiej niż wiele lat dawnego życia. Nagle zdało mu się, że oboje należą do siebie od dawna i że Joanna po prostu wróciła do niego skądś, może z jego dawnego życia.

–Słuchaj, przecież przychodziłam do ciebie każdej nocy. Powinieneś był wiedzieć, że przyjdę. A może wyszedłeś dlatego, że nie chciałeś mnie widzieć?

–Nie.

–Mógłbyś mi szczerze powiedzieć, gdybyś mnie nie chciał widzieć.

–Powiedziałbym ci.

–Więc nie o to chodziło?

–Nie, naprawdę nie.

–No, to jestem szczęśliwa. Spojrzał na nią.

–Coś ty powiedziała?

–Jestem szczęśliwa – powtórzyła. Chwilę milczał.

–Czy wiesz, co mówisz?

–Tak.

W jej oczach odzwierciedlała się blada jasność zza okna.

–Nie trzeba mówić takich rzeczy bez namysłu.

–Nie powiedziałam tego bez namysłu.

–Szczęście? Gdzie ono się *zaczyna i* gdzie się kończy? – spytał Ravic.

Jego stopy dotykały chryzantem. "Szczęście" – myślał. "Błękitne horyzonty młodości. Złotolita, radosna równowaga życia. Szczęście! Mój Boże, gdzież ono się podziało?"

141 -Zaczyna się na tobie i kończy się z tobą – powiedziała Joanna. – To takie proste! Nie odpowiedział. "Co ona mówi?" – pomyślał.

–Za chwilę powiesz mi, że mnie kochasz – rzekł.

–Kocham cię. Poruszył się

–Ledwo mnie znasz, Joanno.

–Co ma jedno z drugim wspólnego?

–Bardzo dużo. Miłość to ktoś, z kim się chce razem zestarzeć.

–Nic podobnego. To ktoś, bez kogo niepodobna żyć. Tyle wiem.

–Gdzie jest calvados? – spytał Ravic.

–Na stole. Przyniosę ci. Nie wstawaj. Przyniosła butelkę i kieliszek i postawiła na ziemi wśród kwiatów.

–Wiem, że mnie nie kochasz – powiedziała.

–W takim razie wiesz więcej niż ja. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

–Ale będziesz mnie kochał…

–Świetnie. Wypijmy na cześć tej miłości.

–Poczekaj.

Napełniła kieliszek, wychyliła go, potem napełniła raz jeszcze i podała mu. Wziął go i chwilę trzymał w ręku. "To nieprawda" – pomyślał. "Pólsen ulatującej nocy. Jak mogą być prawdziwe słowa, które się mówi w ciemności? Słowa prawdy wymagają światła".

–Skąd wiesz o tym tak dokładnie? – spytał.

–Bo cię kocham.

"Jak ona igra tym słowem" – pomyślał Ravic. "Miota nim bez namysłu jak pustym dzbankiem. Potem napełnia go czymś i mówi, że to miłość. Iloma rzeczami go napełniano! Strachem przed samotnością, podnieceniem z powodu napotkania cudzej osobowości, wzmożonym odczuwaniem własnej, ułudą fantazji! A jednak, kto wie? Może właśnie to, co powiedziałem o starzeniu się razem, było z tego wszystkiego najgłupsze? Może to ona ma rację, odrzucając wszelkie zastrzeżenia? I po co siedzę w tę zimową noc pomiędzy dwiema wojnami i rozszczepiam słowa jak belfer? Czemu się opieram zamiast się w to rzucić?"

142

–Dlaczego się opierasz? – spytała.

–Co?

–Dlaczego się opierasz? – powtórzyła.

–Nie opieram się, czemu miałbym się opierać?

–Nie wiem. Coś jest w tobie zamknięte i nie dopuszczasz nikogo.

–Daj spokój – powiedział Ravic. – Pijmy!

–Czuję się szczęśliwa i pragnę, żebyś i ty był szczęśliwy. Jestem doskonale szczęśliwa. Przy tobie się budzę i z tobą zasypiam, nic więcej nie wiem. Głowę mam ze srebra, kiedy o nas myślę, a czasem jestem jak skrzypce. Ulice pulsują nami jak muzyką, czasem wdzierają się ludzie i mówią coś, czasem obrazy przelatują jak w filmie, ale muzyka trwa. Trwa bezustannie.

"Byłaś tak nieszczęśliwa parę tygodni temu – myślał Ravic -i nie znałaś mnie. Łatwe to twoje szczęście". Wypił kieliszek calvadosu.

–Czy często bywałaś szczęśliwa? – spytał.

–Nieczęsto.

–Ale czasem. A kiedy ostatni raz miałaś głowę ze srebra?

–Czemu mnie o to pytasz?

–Tak sobie, bez powodu.

–Zapomniałam. I nie chcę tego wiedzieć. To było co innego.

–Zawsze jest co innego.

Uśmiechnęła się do niego. Jej twarz była radosna i szczera jak kwiat o paru płatkach, które niczego nie ukrywają.

–Dwa lata temu – powiedziała wreszcie. – Ale niedługo. W Mediolanie.

–Byłaś sama?

–Nie, z kimś. Był bardzo nieszczęśliwy, zazdrosny i nic nie rozumiał.

–Oczywiście!

–Ty byś zrozumiał. Robił straszliwe sceny. – Usiadła wygodniej, ściągnęła poduszkę z kanapy i podłożyła ją sobie pod plecy. Oparła się o kanapę. – Nazywał mnie dziwką, niewierną i niewdzięczną. Ale to nie była prawda. Byłam mu wierna, póki go kochałam. Nie rozumiał, że przestałam go kochać.

–Tego się nigdy nie rozumie.

–Owszem, ty byś zrozumiał, ale ciebie będę zawsze kochała.

Ty jesteś inny i wszystko jest inaczej. Chciał mnie zabić. – Roześmiała się. – Oni chcą zawsze zabijać, w parę miesięcy potem ten drugi też chciał mnie zabić. Ale nigdy tego nie robią. Ty byś mnie nigdy nie chciał zabić.

–Co najwyżej calvadosem. Daj butelkę. Dzięki Bogu, rozmowa staje się bardziej ludzka. Przeraziłaś mnie parę minut temu.

–Miłością?

–Po co znowu z tym zaczynać? To tak, jakby ktoś paradował na co dzień we fraku i w białej peruce. Jesteśmy razem, na długo czy na krótko, kto wie? Razem, to wystarczy. Po co nam etykietka?

–Nie podoba mi się to "na długo czy na krótko". Ale to tylko słowa. Nie opuścisz mnie. To też są tylko słowa i ty sam wiesz o tym.

–Naturalnie. Czy opuścił cię kiedy ktoś, kogo kochałaś?

–Owszem. – Spojrzała na niego. – Zawsze ktoś kogoś opuszcza. Czasem ten drugi cię ubiegnie.

–I co wtedy zrobiłaś?

–Wszystko – wyjęła mu z ręki kieliszek i dopiła do dna -wszystko, ale to nic nie pomogło. Byłam strasznie nieszczęśliwa.

–Długo?

–Tydzień.

–To niedługo.

–Cała wieczność, jeśli się jest naprawdę nieszczęśliwym. Każda cząstka mojej istoty tak była nieszczęśliwa, że kiedy tydzień minął, wszystko się wyczerpało. Moje włosy były nieszczęśliwe, skóra, łóżko, nawet suknie. Nieszczęście wypełniło mnie tak całkowicie, że nic poza nim nie istniało. A kiedy nic już nie istnieje, nieszczęście przestaje być nieszczęściem, bo nie ma go z czym porównać. I wtedy następuje kompletne wyczerpanie. I wtedy to mija. Powoli zaczyna się żyć na nowo.

Ucałowała jego rękę. Poczuł miękkie, ostrożne wargi.

–O czym myślisz? – spytała.

–O niczym. Tylko że jesteś szalona i niewinna. Całkowicie zepsuta i zupełnie niezepsuta.

Rzecz najbardziej na świecie niebezpieczna. Oddaj mój kieliszek. Piję za zdrowie mego przyjaciela Morozowa, znawcy ludzkich serc.

–Nie lubię Morozowa. Czy nie możemy wypić innego zdrowia?

–To jasne, że go nie lubisz. Ma bystre oczy. Więc pijmy twoje zdrowie!

–Moje?

–Tak, twoje.

–Nie jestem niebezpieczna – powiedziała Joanna. – Jestem w niebezpieczeństwie, ale nie niebezpieczna.

–To naturalne, że tak myślisz. Nic ci się nigdy nie stanie. *Salute!*

–*Salute!* Ale nie rozumiesz mnie.

–Kto umie rozumieć? To właśnie powód wszystkich nieporozumień na świecie. Daj butelkę.

–Tak dużo pijesz. Dlaczego chcesz pić tak dużo?

–Joanno – powiedział Ravic – nadejdzie dzień, Medy i ty powiesz: za dużo! Powiesz mi: pijesz za dużo, i sama będziesz wierzyć, że chcesz mojego dobra. W rzeczywistości zaś będziesz tylko chciała, abym nie ulatywał w sferę, której nie możesz skontrolować. *Salute!* Czcijmy dzień dzisiejszy! Wspaniale nam się udało uniknąć patosu, który wisiał za oknem jak chmura. Zamordowaliśmy go patosem. *Salute!*

Poczuł, że drgnęła. Wyprostowała się. Wsparła się rękami na podłodze i wpatrzyła w niego. Oczy jej były szeroko otwarte, płaszcz kąpielowy zsunął się z ramion, włosy odrzucone miała na kark, było w niej coś z młodej lwicy, która się czai w ciemności.

–Wiem – powiedziała spokojnie – śmiejesz się ze mnie. Wiem i nic sobie z tego nie robię. Czuję, że żyję, czuję to całą moją istotą. Inaczej oddycham, a sen przestał być śmiercią. Stawy nabrały znów sensu, ręce przestały być puste i nic mnie nie obchodzi, co o tym myślisz i mówisz. Frunę, biegnę, rzucam się, nie myśląc, czuję się szczęśliwa i ani się nie wzbraniam, ani nie lękam się tego mówić, nawet jeśli cię to bawi i jeśli drwisz ze mnie…

Ravic milczał chwilę.

–Nie drwię z ciebie, Joanno – powiedział wreszcie. – Drwię z siebie.

Przytuliła się do niego.

–Czemu? Coś tkwi w twoim mózgu, co się jeszcze opiera. Czemu?

145 – Wcale się nie opieram, jestem tylko od ciebie powolniejszy.

Potrząsnęła głową.

–To nie to. Czuję, że część ciebie chce pozostać samotna. To nas dzieli jak bariera.

–Nie ma żadnej bariery. Jest tylko piętnaście lat życia, o które jestem starszy. Nie dla każdego życie jest jak dom, który do niego tylko należy i który może ozdabiać coraz boga-ciej meblami wspomnień. Niektórzy mieszkają w hotelach. Lata zamykają się za nimi jak drzwi hotelowe, a wszystko, co im zostaje, to trochę odwagi – i żadnych żalów!

Nie odpowiedziała. Myślał, że może nie słucha. Spojrzał w okno, czując głęboko w żyłach płomień calvadosu. Tętno uspokoiło się, zmieniło się w ciszę, zamilkł karabin maszynowy niezmordowanie tykającego czasu. Nad dachami, jak kopuła na wpół ukrytego za chmurami meczetu, pojawił się niewyraźny, czerwony księżyc, który wschodził powoli, gdy ziemia pogrążała się w padający śnieg.

–Wiem – powiedziała Joanna, splatając ręce na kolanach i opierając na nich brodę – że niemądrze było opowiadać ci o tych dawnych sprawach. Mogłam milczeć, mogłam kłamać. Nie chciałam. Czemu nie mam ci opowiedzieć o sobie wszystkiego, czemu mam te sprawy wyolbrzymiać? Wolę pomniejszać, gdyż teraz wydają mi się śmieszne, nie rozumiem ich już, a ty też możesz się śmiać i z nich, i ze mnie…

Spojrzał na nią. Jej kolana przygniatały białe chryzantemy do gazety, którą wsunął pod kwiaty. “Dziwna noc” – myślał. “Gdzieś strzelają, gonią, więżą, torturują i mordują ludzi, tratując jakiś spokojny skrawek świata. Wiem o tym i nie mogę nic zrobić. Życie szumi w jasno oświetlonych barach, nikt o nic nie dba, ludzie kładą się spokojnie spać, a ja siedzę tu z kobietą pośród bladych chryzantem przy butelce calvadosu, a drżący, dziwny i melancholijny cień miłości staje między nami, jakby i miłość była wygnańcem z bezpiecznych ogrodów przeszłości. Jest lękliwa, dzika i szybka, jakby nie miała prawa…”

–Joanno – rzekł wolno, chcąc powiedzieć zupełnie co innego. – Dobrze, że tu jesteś. Spojrzała na niego. Ujął jej dłoń.

–Rozumiesz, co to znaczy? Więcej niż tysiąc innych słów…

146

Skinęła głową i oczy jej napełniły się łzami.

–Ja wiem, to nic nie *znaczy* – powiedziała.

–Nieprawda – odrzekł Ravic, ale wiedział, że to prawda.

–Nic, zupełnie nic. Ale musisz mnie kochać, jedyny, to wszystko.

Nie odpowiedział.

–Musisz mnie kochać – powtórzyła – inaczej jestem zgubiona! .

“Zgubiona” – pomyślał. “Jak łatwo mówi to słowo. Kto jest naprawdę zgubiony, nie mówi już nic”.

12

–Czy odjął mi pan nogę? – spytał Janek.

Jego wąska twarzyczka była bezkrwista i blada jak ściana starego domu. Piegi wydawały się na niej ciemniejsze, jakby stanowiły coś odrębnego, ślady strząśniętej z pędzla farby. Kikut nogi przykryty był drucianym koszem, na który naciągnięto prześcieradło.

–Czy cię boli? – spytał Ravic.

–Owszem, w nodze. Noga mnie bardzo boli. Pytałem pielęgniarkę, ale ten stary smok nie chce nic powiedzieć.

–Musiałem ci amputować nogę – powiedział Ravic.

–Nad kolanem czy pod kolanem?

–Dziesięć centymetrów powyżej. Kolano było zmiażdżone, nie mogłem go uratować.

–To dobrze – powiedział Janek. – Piętnaście procent więcej od towarzystwa ubezpieczeń. Bardzo dobrze. Proteza to proteza, czy nad kolanem, czy pod kolanem, a piętnaście procent więcej co miesiąc to jest coś. – Chwilę się zastanawiał. – Tymczasem niech pan mamie nic nie mówi. A sama nie zobaczy, bo nic nie widać spod tej papuziej klatki.

–Nic jej nie powiemy, Janku.

–Towarzystwo ubezpieczeń musi mi płacić odszkodowanie przez całe życie, prawda?

–Tak sądzę.

Na bladej twarzy chłopca pojawił się grymas.

–O, to bekną! Mam trzynaście lat, będą długo płacić. A czy pan już wie, jakie to towarzystwo?

–Nie, jeszcze, ale mamy przecież numer wozu. Zapamiętałeś go. Z policji już przychodzili, chcieli cię przesłuchać. Spałeś, wrócą wieczorem.

Janek zamyślił się.

–Świadkowie, najważniejsze to, żebyśmy mieli świadków -powiedział. – Czy ktoś się zgłosił?

–Zdaje się, że twoja matka ma dwa adresy. Trzymała w ręku kartki.

Chłopiec zaniepokoił się.

–Zgubi. Albo już je zgubiła. Pan wie, jacy są starzy ludzie. Gdzie ona jest?

–Siedziała przy tobie przez całą noc i aż do południa, dopiero wtedy udało nam sieją odesłać. Zaraz wróci.

–Mam nadzieję, że ich nie zgubiła. Policja… – zrobił drobny ruch swoją chudą rączką – to wszystko drańst wo. Mają siuchty z towarzystwami ubezpieczeń. Tylko jeżeli się ma dobrych świadków… Kiedy mama wróci?

–Wkrótce, uspokój się, wszystko będzie dobrze. Janek poruszał ustami, jakby żuł.

–Czasami płacą wszystko od razu. Ryczałt zamiast renty. Moglibyśmy otworzyć jakiś interes, jaz mamą.

–Odpocznij – powiedział Ravic. – Masz na to wszystko czas. Chłopiec potrząsnął głową.

–Tak trzeba – powiedział Ravic. – Musisz być wypoczęty, kiedy przyjdzie policja.

–Ma pan rację. Co mam robić?

–Spać.

–Ale…

–Zbudzą cię.

–Czerwone światło. Pamiętam, że było czerwone światło.

–Na pewno było, ale teraz spróbuj spać. Tu jest dzwonek, jeżelibyś czego potrzebował.

–Panie doktorze…

–Słucham? – Ravic zwrócił się znów ku niemu.

–Jeśli się wszystko uda – Janek opadł na poduszkę i coś jakby uśmiech przeleciało po jego pomarszczonej, przedwcześnie dojrzałej twarzy – to miałem szczęście, co?

* * *

Wieczór był mokry i ciepły. Ciężkie chmury płynęły nisko nad miastem. Przed restauracją Fouąueta ustawiono kilka okrągłych piecyków koksowych. Wokoło nich zgrupowane były

 stoliki i krzesła. Przy jednym ze stolików siedział Morozow i dawał znaki Ravicowi.

–Siadaj, napijemy się czegoś. Ravic siadł przy nim.

–Za dużo przebywamy w mieszkaniach – powiedział Morozow. – Czy nigdy ci to nie przyszło na myśl?

–Ale nie ty. Ty przecież zawsze stoisz na ulicy przed drzwiami "Szeherezady".

–Chłopcze, oszczędź mi swego nędznego rozumowania. Wieczorem bywam jakby dwunożną bramą do "Szeherezady", a nie człowiekiem korzystającym ze świeżego powietrza. Za dużo przebywamy w pokojach, powtarzam. Za dużo myślimy w pokojach. Za dużo kochamy i rozpaczamy w pokojach. Czy można rozpaczać na powietrzu?

–I jak jeszcze! – powiedział Ravic.

–Tylko dlatego, że żyjemy w zaniknięciu. Nie wtedy, kiedy jesteśmy do tego przyzwyczajeni. A przecież o wiele przyzwo-iciej byłoby rozpaczać na tle krajobrazu niż w dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią. I wygodniej. Nie zaprzeczaj. Sprzeciw wskazuje na zachodnią ciasnotę poglądów. Każdy chciałby mieć zawsze słuszność. Dziś mam wolny wieczór i postanowiłem użyć życia. Zauważ też, że za dużo pijemy w pokojach.

–Tamże oddajemy zbyt często mocz.

–Precz z tą ironią! Fakty składające się na naszą egzystencję są proste i trywialne. Dopiero wyobraźnia przydaje im życia. Tylko ona robi z tyczek do rozwieszania bielizny maszty flagowe marzeń. Czy nie?

–Nie.

–Pewno, że nie. Czyja chcę mieć rację?

–Masz rację.

–Dobrze, bracie. Za wiele też sypiamy w pokojach, stajemy się po prostu częścią umeblowania. Kamienne domy złamały nam kręgosłup. Jesteśmy chodzącymi kanapami, toaletkami, kasami pancernymi, umowami o najem, odbiorcami pensji, garnkami i klozetami.

–Słusznie. A także wędrownymi programami partii politycznych, fabrykami amunicji, zakładami dla ociemniałych i szpitalami dla wariatów.

–Nie przerywaj mi ciągle! Pij, milcz i żyj, morderco ze skal-

pelem. Spójrz, co się z nimi stało. O ile wiem, tylko starożytni Grecy mieli bóstwa pijaństwa i radości. Bachusa i Dionizosa. My mamy za to Freuda, kompleks niższości i psychoanalizę. Boimy się wielkich słów w miłości, a lubimy je w polityce. Smutne pokolenie! – Morozow pokiwał głową. Ravic mrugnął ku niemu.

–Stary, poczciwy, cyniczny marzycielu! – powiedział. Morozow roześmiał się.

–Nędzny romantyku bez złudzeń, na krótko tylko na tym padole nazwany Ravikiem.

–Na bardzo krótko. Nawiasem mówiąc, jest to moje trzecie nazwisko w życiu. Czy to polska wódka?

–Łotewska, z Rygi, najlepsza. Nalej sobie, a potem posiedźmy spokojnie, spoglądając na tę najpiękniejszą ulicę świata, chwalmy ciepły wieczór i plujmy w twarz rozpaczy.

Ogień trzeszczał w koksowych piecykach. Jakiś człowiek ze skrzypcami stanął na skraju chodnika i *zaczai grać:Aupres de ma blonde.* Przechodnie go trącali, smyczek skrzypiał, ale człowiek nie przestawał grać, jakby był sam. Dźwięk był cienki i pusty, jakby skrzypce powoli zamarzały. Między stolikami chodzili dwaj Marokańczycy, zachęcając do kupna jaskrawych dywanów ze sztucznego jedwabiu.

Gazeciarze przebiegli z ostatnim wydaniem dzienników. Morozow kupił "Paris Soir" i "Intransigeant". Przeczytał tytuły i odsunął pisma.

–Fałszerstwa – mruknął. – Czy nie zauważyłeś, że żyjemy w epoce fałszerstw?

–Nie, myślałem, że żyjemy w epoce konserw.

–Jak to?

Ravic wskazał gazety.

–Nikt nie potrzebuje myśleć samodzielnie. Wszystko już ktoś przemyślał, przeczuł, przeżuł. Konserwy. Trzeba je tylko otworzyć. Trzy razy na dzień dostarczane do domu. Nie trzeba nic uprawiać, hodować, trawić w ogniu pytań, wątpliwości, pragnień. Konserwa z puszki. – Uśmiechnął się krzywo. – Nie żyje nam się łatwo, Borysie. Ale tanio.

–Konserwy w puszkach, ale z fałszywymi etykietami. – Morozow dotknął gazet. – Spójrz tylko. Fałszerze. Rozbudowują fabryki broni – bo łakną pokoju, obozy koncentracyjne – bo

151 kochają prawdę; sprawiedliwość to pokrywka partyjnego szaleństwa; gangsterzy

polityczni przybierają postawę zbawców, a wolność – to wielkie słowo oznaczające *żądzę* władzy. Fałszywe pieniądze. Fałszerze monety umysłowej. Kłamliwa propaganda. Kuchenny makiawelizm. Idealizm w rękach podziemia. Gdyby choć byli uczciwi… – Zmiął gazety i rzucił.

–Pewno czytamy także za dużo gazet w pokojach – roześmiał się Ravic.

–Naturalnie. Na powietrzu przydają się tylko do rozniecenia…

*** * ***

Morozow urwał. Ravica nie było już koło niego. Skoczył i przeciskał się przez tłum przed kawiarnią w kierunku Ave-nue George V.

Morozow siedział chwilę zdziwiony. Potem wyjął kilka monet z kieszeni, położył je na chińskim talerzu z kieliszkami i ruszył za Rayikiem. Nie zdawał sobie sprawy z tego, ca się stało, ale szedł na wszelki wypadek, żeby być w razie czego pod ręką. Policji nie było, nie widział też tajniaka, który by tropił Ravica. Na chodniku był tłum. "To dobrze" – pomyślał Morozow. "Jeżeli go rozpoznał jakiś policjant, łatwo mu będzie umknąć!" Udało mu się zobaczyć Ravica, dopiero kiedy doszedł do Avenue George V. Sygnały uliczne zmieniły właśnie barwę i lawina pojazdów runęła naprzód. Mimo to Ravic usiłował przebiec na drugą stronę jezdni. O mało nie wpadł pod taksówkę, szofer był wściekły. Morozow chwycił go za ramię i pociągnął w tył.

–Zwariowałeś? – krzyknął. – Chcesz popełnić samobójstwo? Co się stało?

Ravic nie odpowiedział. Patrzył na przeciwległy chodnik. Ruch był ożywiony, wóz mknął za wozem, w czterech rzędach. Nie można było przejść na drugą stronę. Morozow potrząsnął nim.

–Co się stało? Policja?

–Nie – odpowiedział Ravic, nie odwracając oczu.

–Więc co?

–Haake…

–Co? – Oczy Morozowa zwęziły się. – Jak wygląda? Szybko, szybko!

152

–Szare palto…

Ostry gwizdek policjanta rozległ się ze środka Pól Elizejskich. Ravic rzucił się naprzód jeszcze między ostatnimi samochodami. Ciemnoszare palto – to wszystko, co zauważył. Przeciął Avenue George V i rue de Bassano. Nagle pojawił się tuzin szarych palt. Zaklął i

przeciskał się dalej tak prędko, jak tylko mógł. Przy rue de Galilee zatrzymano ruch. Przeciął ją szybko i rozpychając się brutalnie, szedł dalej wzdłuż Pól Elizejskich. Dobiegł do rue de Pressbourg, przeciął ją także i stanął. Przed nim był plac de 1'Etoile, wielki, oszołamiający, pełen ruchu, z ulicami odgałęziającymi się we wszystkich kierunkach. Przepadło! Tu nikogo nie można znaleźć.

Odwrócił się z wolna, wciąż jeszcze pilnie przepatrując twarze, ale podniecenie już minęło. Poczuł się wewnętrznie pusty. Albo znów się omylił, albo Haake uciekł mu po raz drugi. Ale czy można się dwa razy pomylić? I czy podobna dwa razy zapaść się pod ziemię? Były tu wprawdzie bocznice, Haake mógł skręcić. Spojrzał w rue de Pressbourg. Auta, auta, ludzie, ludzie. Najruchliwsza godzina wieczorna. Nie miało sensu szukać dłużej. Znowu się spóźnił.

–Nic? – spytał Morozow, kiedy się zeszli. Ravic potrząsnął głową.

–Pewno znów widziałem upiora.

–Poznałeś go?

–Tak mi się zdawało. Minutę temu. Teraz już nic nie wiem. Morozow spojrzał na niego.

–Wiele twarzy wygląda podobnie.

–Ale są takie, których nigdy się nie zapomina. Ravic stanął.

–Co chcesz teraz zrobić? – spytał Morozow.

–Nie wiem. Co mogę zrobić? Morozow patrzył w tłum.

–Cholerny pech! Akurat o tej godzinie! Biura i sklepy zamykają się, wszystko przepełnione…

–Tak…

–I, co gorsza, to światło! Półmrok. Czyś go dokładnie widział?

Ravic nie odpowiedział. Morozow ujął go pod ramię.

153 – Słuchaj – powiedział – nie ma sensu pędzić tak ulicami. Kiedy biegniesz jedną, wydaje ci się, że on jest na drugiej. To bezcelowe. Wróćmy do Fouąueta, to dobre miejsce. Stamtąd lepiej można obserwować, niż biegając w kółko. Jeśli będzie wracał, zobaczysz go.

Usiedli przy stojącym na skraju stoliku, skąd mieli otwarty widok na wszystkie strony. Siedzieli dłuższy czas.

–Co zrobisz, jeśli go spotkasz? – spytał Morozow. – Czy obmyśliłeś to sobie? Ravic potrząsnął głową.

–Pomyśl nad tym. Lepiej się przygotować. Nie wolno dać się zaskoczyć. Nie wolno zrobić głupstwa. Szczególnie w twojej sytuacji. Czy chcesz dostać się na parę lat do więzienia?

Ravic podniósł głowę. Nie odpowiadał, patrzył tylko na Mo-rozowa.

–Mnie byłoby wszystko jedno – mówił dalej Morozow – gdyby o mnie chodziło. Ale nie jest mi wszystko jedno, kiedy chodzi o ciebie. Co byś zrobił, gdyby to był on i gdybyś go dogonił na rogu?

–Nie wiem, Borysie, naprawdę nie wiem.

–Nie masz nic przy sobie, prawda?

–Nic.

–Gdybyś go zaatakował bez zastanowienia, rozdzieliliby was od razu. Ty byłbyś teraz w komisariacie, a on wymigałby się paru siniakami.

–Tak. – Ravic wpatrywał się w ulicę. Morozow zamyślił się.

–Mógłbyś co najwyżej spróbować pchnąć go na skrzyżowaniu ulic pod samochód, ale to byłoby także niepewne. Mogłoby się skończyć na paru zadraśnięciach.

–Nie będę go wpychał pod samochód – powiedział Ravic, patrząc ciągle na ulicę.

–Wiem, ja bym też tego nie zrobił. Morozow znów zamilkł na chwilę.

–Ravic – powiedział wreszcie – jeśli to był naprawdę on i jeśli go spotkasz, musisz być diabelnie pewny swego, wiesz o tym? Masz tylko jedną szansę.

–Wiem. – Ravic ciągle patrzył na ulicę.

–Jak go zobaczysz, idź za nim i nic więcej. Trop go, dowiedz

się, gdzie mieszka. Nic więcej! Reszta potem. Nie śpiesz się. Bez głupstw. Słyszysz?

–Tak – powiedział bezmyślnie Ravic, patrząc na ulicę.

*** * ***

Do ich stolika podszedł sprzedawca orzeszków. Za nim szedł chłopak ze sztucznymi myszkami. Myszki tańczyły na marmurowej płycie stolika, a potem wbiegły po rękawie chłopca. Po raz drugi pojawił się skrzypek. Miał teraz kapelusz na głowie i *grakParlez-moi d'amour.* Starsza kobieta z syfilitycznym nosem sprzedawała fiołki. • Morozow spojrzał na zegarek.

–Ósma – powiedział. – Nie ma sensu dłużej czekać. Jesteśmy tu dwie godziny. Teraz nie będzie tędy wracał. We Francji każdy je gdzieś o tej porze obiad.

–Więc idź, Borysie. Po co w ogóle tu ze mną siedzisz?

–To nie ma nic do rzeczy, mogę z tobą siedzieć, jak długo nam się będzie podobało. Ale nie chcę, żebyś się doprowadzał do obłędu. Czekać tu tyle godzin nie ma żadnego sensu. Teraz wszędzie są jednakowe szansę spotkania go, a nawet większe w każdej restauracji, w nocnym lokalu czy burdelu.

–Wiem – powiedział Ravic.

Morozow położył swoją wielką, owłosioną rękę na ramieniu Ravica.

–Słuchaj, Ravic – powiedział. – Jeśli ci sądzone go spotkać, to go spotkasz, a jeśli nie, to możesz czekać latami. Wiesz, o czym myślę. Otwieraj szeroko oczy, patrz wszędzie, przygotuj się na wszystko. Ale poza *tym* żyj tak, jakbyś się omylił. Zresztą, pewno tak było. To jedyne, co możesz zrobić. Inaczej staniesz się ruiną. Przeszedłem przez to samo. Dwadzieścia lat temu! Co chwila zdawało mi się, że spotkałem jednego z katów ojca. Halucynacja! – Opróżnił kieliszek. – Przeklęta halucynacja! A teraz chodźmy. Pójdziemy gdzieś zjeść.

–Idź sam. Ja przyjdę potem.

–Chcesz tu zostać?

–Tylko chwilę. Potem pójdę do hotelu, mam jeszcze pracę…

Morozow spojrzał na niego. Wiedział, co to za praca, ale wiedział też, że nie może nic więcej zrobić. To sprawa Ravica.

155 – Dobrze – powiedział. – Pójdę do "Merę Marie", a potem do "Bubliczków". Zadzwoń albo przyjdź tam. – Uniósł krzaczaste brwi. – I nie ryzykuj. Nie bądź bez potrzeby bohaterem. Ani idiotą. Strzelaj, tylko jeśli masz gdzie uciec. To nie zabawka dziecinna ani film gangsterski.

–Wiem, Borysie, nie troszcz się o mnie.

*** * ***

Ravic poszedł do hotelu "International" i zaraz znowu wyszedł. Przechodząc koło hotelu "Milan", spojrzał na zegarek. Było wpół do dziewiątej. Joanna mogła być jeszcze u siebie.

Wyszła naprzeciw niego.

–Ravic – powiedziała zdziwiona – ty tutaj?

–Tak…

–Nigdy tu nie byłeś, wiesz o tym? Od dnia, kiedy po mnie przyszedłeś.

Uśmiechnął się machinalnie.

–To prawda, Joanno. Dziwne życie pędzimy.

–Tak. Jak krety, nietoperze albo sowy. Widujemy się tylko po ciemku.

Długimi krokami przemierzała pokój. Miała na sobie granatowy szlafrok męskiego kroju, ściśnięty paskiem na biodrach. Czarna wieczorowa toaleta, w której występowała w "Szeherezadzie", leżała na łóżku. Joanna była bardzo piękna i nieskończenie daleka.

–Spieszysz się?

–Nie, mam pół godziny. To moja najmilsza chwila, godzina przed wyjściem do pracy. Widzisz, co wtedy mam: czarną kawę i mnóstwo czasu. A teraz nawet i ty tu jesteś. Mam i calvados.

Podała mu butelkę. Wziął ją i postawił nie odkorkowaną na stole. Potem ostrożnie ujął dłonie kobiety.

–Joanno-powiedział.

Błyski w jej oczach zagasły, przysunęła się do niego.

–Powiedz od razu, co się stało.

–Dlaczego? Co się mogło stać?

–Coś się stało. Zawsze coś się dzieje, kiedy tak wyglądasz. Czy dlatego przyszedłeś? Poczuł niejasno, że stara się odebrać mu ręce. Nie poruszy-

ła się, ręce jej nawet nie drgnęły, ale czuł, że je coś odciąga od niego.

–Nie możesz przyjść do mnie dziś w nocy, Joanno. Ani dziś, ani, być może, jutro, ani jeszcze parę dni.

–Czy musisz nocować w klinice?

–Nie, to coś innego. Nie mogę o tym mówić. Coś, co nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani ze mną. Stała chwilę bez ruchu.

–Dobrze – powiedziała.

–Rozumiesz?

–Nie, ale jeśli uważasz, że tak powinno być, to widocznie powinno.

–Nie gniewasz się? Spojrzała na niego.

–Mój Boże, Ravic – powiedziała – jakże mogłabym się na ciebie o cokolwiek gniewać?

Podniósł głowę, poczuł, jak gdyby jakaś ręka dotknęła mu serca. Powiedziała to bez zastanowienia, ale gdyby się długo zastanawiała, nie mogłaby go bardziej wzruszyć. Mało zważał na to, co szeptała nocą, zapominał o tym z nadejściem świtu. Zdawał sobie sprawę z tego, że jej uniesienie w tych nocnych godzinach, kiedy siedziała skulona lub leżała przy nim, było także uniesieniem nad sobą samą, przyjmował je wiec jako oszołomienie lub błyskotliwą spowiedź chwili. Teraz po raz pierwszy, jak lotnik, kiedy poprzez otwór między jarzącymi się chmurami, z którymi światło gra w chowanego, widzi nagle ziemię, zieloną, brunatną i błyszczącą, i on zobaczył więcej. Poza uniesieniem zobaczył prawdziwe oddanie, poza miłosnym oszołomieniem – uczucie, poza mnogością słów – zaufanie. Spodziewał się podejrzeń, zapytań, niezrozumienia – ale nie tego, co usłyszał. Zawsze decydowały drobiazgi, nigdy rzeczy wielkie. Te były ściśle związane z dramatycznym gestem i pokusą, by kłamać.

Pokój. Zwykły pokój hotelowy. Kilka walizek, łóżko, lampa, za oknem czarna samotność nocy i przeszłości – i ta jasna twarz z szarymi oczami, wysoko uniesionymi brwiami i śmiało odgarniętą gęstwą włosów. Życie, giętkie życie, otwarcie zwrócone ku niemu, jak krzew oleandra ku światłu – było tu, stało w oczekiwaniu, w milczeniu wołając ku niemu: weź mnie, trzy-

maj mnie! Czyż nie powiedział kiedyś, dawno: będę cię mocno trzymał? Wstał.

–Dobranoc, Joanno.

–Dobranoc, Ravic.

* * *

Siedział w “Café Fouquet”, przy tym samym co wtedy stoliku. Siadywał tak godzinami, nurzając się w mroku przeszłości, gdzie błyskało jedno tylko słabe światełko: nadzieja zemsty.

Aresztowali go w sierpniu 1933 roku. Przechowywał wtedy dwóch przyjaciół, których poszukiwało gestapo. Ukrył ich u siebie na dwa tygodnie, a potem dopomógł w ucieczce. Jeden uratował mu życie w 1917 roku pod Bixschoote we Flandrii, wyniósł go pod osłoną karabinu maszynowego, kiedy leżał w pasie między liniami okopów, śmiertelnie krwawiąc. Drugi był pisarzem żydowskim, którego znał od lat. Zaczęto go badać, chciano wydobyć z niego, w jakim kierunku uciekli ci dwaj, jakie mieli papiery i kto ma im pomagać. Badał go właśnie Haake. Pierwszy raz Ravic stracił przytomność, za drugim razem chciał zastrzelić Haakego z jego własnego rewolweru lub go zatłuc na śmierć. Skoczył wtedy w jakąś czerwoną, huczącą

ciemność. Był to bezsensowny zamach na czterech silnych, doskonale uzbrojonych mężczyzn. Przez trzy dni zamroczenia wypływała z omdleń, przebudzeń i straszliwego bólu chłodna, uśmiechnięta twarz Haakego. Trzy dni tych samych pytań, trzy dni ciało przeorane bólem, prawie już niezdolne do cierpienia. A potem, trzeciego dnia po południu, przyprowadzono Sybillę, która o niczym nie wiedziała. Pokazano go jej, aby ją zmusić do zeznań. Była pięknym, rozpieszczonym stworzeniem, żyła dotąd życiem płytkim i wolnym od trosk. Bał się jej krzyków, jej załamania się. Nie załamała się. Rzuciła się na katów. Wy-buchnęła lawiną śmiertelnych słów. Śmiertelnych dla niej samej, wiedziała o tym dobrze. Haake przestał się uśmiechać. Przerwał badanie. Następnego dnia wyjaśnił Ravicowi, co się z nią stanie w obozie koncentracyjnym dla kobiet, jeżeli nie złoży zeznań. Ravic nie odpowiadał. Haake wyjaśnił mu, co się z nią stanie przedtem. Ravic nie zeznał niczego, bo nie miał nic do zeznania. Próbował przekonać Haakego, że ta ko-

bieta naprawdę o niczym nie wie. Powiedział, że znał ją bardzo mało. Że w jego życiu znaczyła mniej niż piękny obraz. Że nigdy by mu nie przyszło do głowy zwierzać się jej. To wszystko było prawdą, Haake uśmiechał się tylko. W trzy dni potem Sybilla nie żyła. Powiesiła się w obozie koncentracyjnym dla kobiet. Następnego dnia sprowadzono jednego z uciekinierów, owego pisarza Żyda. Ravic nie poznał go nawet po głosie. Wegetował jeszcze tydzień, zanim zmarł podczas badania, które prowadził Haake. Potem Ravic trafił do obozu koncentracyjnego. Szpital. Ucieczka ze szpitala.

* * *

Srebrny księżyc stał nad Łukiem Triumfalnym. Wzdłuż Pól Elizejskich kołysały się na wietrze latarnie. Silne światła odbijały się w kieliszkach na stole. “Nierealne – myślał Ravic - nierealne te kieliszki, księżyc, ulice, noc i ta godzina, która przynosi mi swój oddech, obcy, a jednocześnie bliski, jakby się już kiedyś zdarzyła w moim innym życiu, na innej gwieździe; nierealne te wspomnienia minionych lat, dawno pogrążone, żywe, a jednocześnie martwe, fosforyzujące w mózgu, kamieniejące w słowa, jak nierealny jest ten żar, który płynie przez moje żyły, niespokojny, o temperaturze 37,6 stopni, lekko słony w smaku; cztery litry tajemnicy i trwania, krew i refleksy ośrodków nerwowych, niewidzialny magazyn niczego zwany pamięcią. Gwiazda po gwieździe, rok po roku, jeden jasny, a drugi krwawy jak Mars, który wschodzi nad rue de Berry, lub lśniący ponuro, pokryty plamami. Niebo pamięci, pod którym teraźniejszość wiedzie swój pogmatwany żywot! Zielone światło zemsty. Miasto płynie łagodnie w świetle księżyca i poszumie motorów. Długie, nie kończące się rzędy domów, rzędy okien, a za nimi skłębione losy jednostek. Bicie serc milionów ludzi, jakby milionów motorów, które poruszają się z wolna gościńcem życia, z każdym uderzeniem o milimetr bliżej śmierci”.

Wstał. Pola Elizejskie były niemal puste, tylko kilka prostytutek wystawało jeszcze na rogach. Poszedł w dół ulicy, minął rue Pierre Chardon, rue Marbeuf, rue Marignan, dotarł do Rond Point i z powrotem do Łuku Triumfalnego. Przekroczył łańcuch i stanął przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Mały

159 niebieski płomyk pełgał w ciemności. Przed grobem leżał zwiędnięty wieniec. Ravic przeciął plac i wszedł do baru, w którym po raz pierwszy zdawało mu się, że ujrzał Haakego. Siedziało tam kilku szoferów. Zajął miejsce przy oknie, tam gdzie poprzednim razem pił kawę. Ulica była pusta. Szoferzy rozmawiali o Hitlerze, wyśmiewali się i przepowiadali mu rychły koniec. Niech no się tylko zamierzy na linię Maginota! Ravic patrzył na ulicę.

"Czemu tu jeszcze siedzę?" – dumał. "Mógłbym siedzieć gdziekolwiek indziej w Paryżu, szansę byłyby równe". Spojrzał na zegarek, dochodziła trzecią. "Za późno. Haake, jeśli to był on, nie błądzi po ulicach o tej porze".

Przeszła samotna prostytutka. Spojrzała w okno i poszła dalej. "Jeżeli wróci, wyjdę" – pomyślał. Wróciła. Ravic nie wyszedł. "Jeśli raz jeszcze powróci, wyjdę na pewno" – postanowił. "W takim razie Haakego nie ma w Paryżu". Prostytutka wróciła, skinęła głową i poszła dalej. Ravic się nie ruszył. Wróciła raz jeszcze. Nie wyszedł.

Kelner zaczął ustawiać krzesła na stolikach. Szoferzy zapłacili i opuścili lokal. Kelner zgasił światło nad bufetem. Salkę ogarnął brudnawy mrok. Ravic rozejrzał się.

–Płacić – powiedział.

* * *

Na dworze oziębiło się, wiał silny wiatr. Chmury płynęły wyżej i szybciej. Ravic przechodził koło hotelu Joanny i zatrzymał się. Wszędzie było ciemno, w jednym tylko oknie świeciła spoza firanek lampa. Był to pokój Joanny. Ravic wiedział, jak bardzo nie lubi wchodzić do ciemnego pokoju. Zostawiła palące się światło, ponieważ nie miała do niego przyjść tej nocy. Podniósł głowę i przestał rozumieć sam siebie. Czemuż to nie chciał jej widzieć? Pamięć o tamtej kobiecie umarła dawno, pozostało tylko wspomnienie jej śmierci.

A reszta? Cóż ma do tego Joanna? Albo nawet i on? Czyż nie był głupcem, ścigając złudzenie, cień splątanych, ponurych wspomnień, ciemny refleks. Rozgrzebywał popioły umarłych lat, dając się zwieść przypadkowi, przeklętemu podobieństwu; przywoływał do życia kawał ohydnej przeszłości, drażnił ledwie uspokojone nerwy, ryzykując utratę wszystkiego, co w sobie

zdążył odbudować, i jedynej istoty, która w tej chwiejnej egzystencji była mu bliska. Co miało jedno z drugim wspólnego? Czy sam tego nie uczył innych? Jakżeby się zdołał inaczej uwolnić? I co by się z nim stało, gdyby w to nie wierzył?

Poczuł, że ciążący w nim kawał ołowiu powoli się roztapia. Odetchnął głębiej. Krótkimi podmuchami przebiegał ulicą wiatr. Ravic znów spojrzał na oświetlone okno. Tam był ktoś, dla kogo on coś znaczył, dla kogo był kimś ważnym, ktoś, czyja twarz odmieniała się na jego widok – i oto chciał poświęcić tego kogoś dla złudy, niecierpliwej dumy, słabej nadziei zemsty…

Czegóż to chciał? Czemu się opierał? Dla czego chciał siebie zachować? Życie stawało przed

nim otworem, a on wysuwał zastrzeżenia. Nie dlatego, że mu dawano za mało, ale że dawano zbyt wiele. Musiała dopiero przelecieć nad nim krwawa burza przeszłości, aby to zrozumiał. Wzruszył ramionami. "Serce" – pomyślał. "Serce! Jakże się ono rozwiera, jak się wzrusza!" Jasne okno nocą, odblask cudzego życia, które mu się oddało w uniesieniu, czekając, aż i on mu się odda. Płomień żądzy, elektryczna iskra czułości, jasna, szybka błyskawica krwi – znał to, wiedział o tym wszystkim, wiedział tak wiele, że nigdy nie przypuszczał, by to miękkie, złote oszołomienie mogło ogarnąć jego mózg raz jeszcze. Aż nagle znalazł się nocą przed trzeciorzędnym hotelikiem i zaczęło się to unosić nad asfaltem jak mgła. Zdawało mu się, że z drugiego końca świata, z błękitnych wysp kokosowych, idzie ku niemu ciepło tropikalnej wiosny, przenika przez oceany, rafy koralowe, pokłady lawy i ciemność i nagle w Paryżu, na nędznej rue Poncelet, bucha falą woni hibiskusa i mimozy, nieodparcie, niepokonal-nie, niepojętym wyzwoleniem uczuć, w tę noc zemsty i przeszłości.

W "Szeherezadzie" było pełno. Joanna nie była sama przy stoliku. Spostrzegła Ravica od razu, kiedy stanął w drzwiach. Lokal pełen był dymu i muzyki. Rzuciła parę słów swoim towarzyszom i prędko podeszła do niego.

–Ravic…

–Czy jesteś tu jeszcze potrzebna?

160

161 – Dlaczego?

–Chcę cię stąd zabrać.

–Czyż nie mówiłeś…

–To już minęło. Czy jesteś tu potrzebna?

–Nie, powiem im tylko, że wychodzę.

–Pospiesz się, będę czekał w taksówce!

–Dobrze. – Nie odchodziła. – Ravic… Spojrzał na nią.

–Czy przyszedłeś tu tylko z mojego powodu? Zawahał się chwilę.

–Tak – powiedział cicho, kiedy jej twarz zbliżyła się ku niemu. – Tak, Joanno. Z twojego powodu. Tylko z twojego powodu. Poruszyła się szybko.

–Chodź – powiedziała. – Uciekajmy stąd! Co nas obchodzą ci ludzie!

Taksówka jechała przez rue de Liege.

–Co się stało?

–Nic.

–Przeraziłeś mnie.

–Wybacz. Nic się nie stało. Spojrzała na niego.

–Myślałam, że już nigdy nie wrócisz. Nachylił się nad nią, poczuł, że drży.

–Joanno – powiedział – nie myśl o niczym i nie pytaj. Czy widzisz latarnie i tysiące barwnych reklam? Żyjemy w ginącym świecie, a to miasto faluje życiem. Oderwani jesteśmy od wszystkiego i nie mamy nic prócz naszych serc. Byłem w krainie księżycowej i wróciłem, a ty czekałaś tu i jesteś samym życiem. Nie pytaj o nic. Więcej tajemnic jest w twoich włosach niż w tysiącu pytań. Przed nami jest noc, kilka godzin zaledwie i cała wieczność, zanim poranek zapuka do okien. Miłość jest wszystkim, najcudowniejszą i najprostszą *rzeczą* na świecie. Poczułem to dziś, kiedy noc rozpływała się jak kwitnący krzew, a wiatr pachniał poziomkami. Bez miłości człowiek jest martwą istotą na urlopie, świstkiem papieru, na którym zapisano kilka dat i przypadkowe nazwisko, równie dobrze może nie żyć…

Światło latarni wpadło przez okno taksówki, jak *zataczający* koło blask latarni morskiej w ciemność kabiny okrętowej. Oczy Joanny były na przemian przezroczyste i bardzo czarne w pobladłej twarzy.

–Nie umrzemy nigdy – wyszeptała w jego ramionach.

–Nie. My nie. Umiera tylko czas. Przeklęty czas. Wciąż umiera. My żyjemy. Żyjemy wiecznie. Budzisz się z wiosną, kiedy usypiasz, jest jesień, a między nimi tysiąc razy powraca zima i lato. Kiedy kochamy się – ty i ja – stajemy się nieśmiertelni i niezniszczalni jak bicie serca, jak deszcz lub wiatr, a o cóż więcej chodzi? Dzień za dniem, ukochana, wstajemy jak triumfatorzy, a rok za rokiem giniemy w porażkach, ale komuż zależy na tym, by nas zrozumieć, komuż jesteśmy potrzebni? Godzina to życie całe, chwila ociera się o wieczność, oczy twoje błyszczą, gwiezdny pył sypie się wskroś nieskończoności. Bogowie się starzeją, ale usta twoje są wiecznie młode. Między nami drży tajemnica. Ty i Ja. Pytanie i Odpowiedź, które słychać poprzez wieczory i zmierzchy, ekstaza wszystkich kochanków. Czy słyszysz ten krzyk, przetworzony z brutalnej żądzy w złotą zawieruchę? Czy widzisz nie kończącą się drogę od ameby do Ruth i Estery, do Heleny i Aspazji, do błękitnej Madonny w wiejskiej kapliczce? Od dżungli i zwierzęcia do ciebie i do mnie…

Leżała w jego ramionach blada i bez ruchu, w tak bezgranicznym oddaniu, że zdawała się prawie nieobecna, a on, schylony nad nią, mówił i mówił. Z początku zdawało mu się, że jakiś żałośnie uśmiechnięty cień stoi poza nim, spogląda mu przez ramię i bezgłośnie szepcze z nim razem – ale pochylił się jeszcze bardziej, poczuł, jak Joanna przytula się do niego i cień, który stał przy nim, zginął…

–Po prostu skandal – powiedziała kobieta ze szmaragdami, siedząca naprzeciw Kate Hegstroem. – Wprost niebotyczny skandal. Cały Paryż pęka ze śmiechu. Czy byłabyś kiedy posądziła Ludwika o homoseksualizm? Na pewno nie. Nikt z nas o tym nie wiedział, ukrywał się z tym starannie. Wszyscy uważali Linę de Newbourg za jego oficjalną kochankę, a tymczasem wyobraź sobie, co się dzieje: tydzień temu Ludwik wraca z Rzymu o trzy dni wcześniej, niż zapowiedział, idzie do mieszkania tego Nikkjfego, aby mu zrobić niespodziankę, i kogo tam zastaje?

–Swoją żonę – odpowiedział Ravic.

Kobieta ze szmaragdami podniosła głowę. Wyglądała teraz tak, jakby jej ktoś nagle doniósł o bankructwie męża.

–Więc pan już o tym słyszał? – zapytała.

–Bynajmniej, ale pewno tak było.

–Nie rozumiem – rozzłościła się. – Ostatecznie, to było zupełnie nieprawdopodobne. Kate Hegstroem uśmiechnęła się.

–Doktor Ravic ma własną teorię, Daisy. Nazywa to systematyką przypadku. Zgodnie z nią to, co jest najmniej prawdopodobne, jest w praktyce najłogiczniejsze.

–To bardzo interesujące. – Daisy uśmiechnęła się uprzejmie i bez najmniejszego zainteresowania. – Nic by z tego wszystkiego nie wynikło – ciągnęła – gdyby Ludwik nie zrobił najokropniejszej sceny. Po prostu wyszedł z siebie. Teraz mieszka w hotelu “Crillon”, chce się rozwieść. Oboje czekają na powody. – Oparła się głębiej w fotelu, pewna efektu. – I co ty na to?

Kate Hegstroem spojrzała przelotnie na Ravica oglądającego właśnie gałązkę orchidei, która stała na stoliku obok pudła

na kapelusze i koszyka z winogronami i brzoskwiniami. Białe kwiaty, podobne do motyli, o lubieżnym, czerwono nakrapia-nym sercu.

–Nie do wiary, Daisy – powiedziała – naprawdę nie do wiary! Daisy rozkoszowała się swoim triumfem.

–Tego by się pan też nie spodziewał, co? – spytała Ravica. Ostrożnie wstawił na powrót gałązkę w wąski kryształowy wazonik.

–Oczywiście, tego – nigdy.

Daisy skinęła z zadowoleniem głową, zbierając torebkę, pu-derniczkę i rękawiczki.

–Muszę już iść. Luiza wybiera się o piątej na koktajl-party. Będzie tam jej minister. Krążą przeróżne plotki. – Wstała. – Byłabym zapomniała, Fery i Marta znowu się rozeszli. Odesłała mu całą biżuterię. To już trzeci raz. Ale na nim robi to zawsze wrażenie. Biedny poczciwina! Łudzi się, że jest kochany dla samego siebie. I tak wszystko jej odda z nawiązką, jako odszkodowanie. Jak zwykle! Oczywiście nie wie, że już sobie coś wybrała u Ostertaga. Broszka z rubinów. Duże, kwadratowe kamienie najpiękniejszej barwy krwi gołębiej. Nie brak jej sprytu.

Pocałowała Kate Hegstroem.

–Pa, koteczku. Teraz jesteś mniej więcej *au courant* tego, co się dzieje w świecie. Czy prędko będziesz mogła opuścić klinikę? – Spojrzała na Ravica.

Pochwycił spojrzenie Kate Hegstroem.

–Niestety, jeszcze nie tak prędko – odpowiedział. Pomógł Daisy włożyć płaszcz, ciemne nurki bez kołnierza. "To płaszcz dla Joanny" – pomyślał.

–Niechże pan przyjdzie kiedy z Kate na herbatę – mówiła. – W środy bywa u mnie niewiele osób i można swobodnie poplotkować. Bardzo mnie interesują wszelkiego rodzaju operacje.

–Bardzo chętnie.

Zamknął za nią drzwi i powrócił.

–Piękne szmaragdy – powiedział. Kate Hegstroem pękała ze śmiechu.

–Widzi pan, i ja tak przedtem żyłam. Czy pan to może zrozumieć?

165 – Ależ oczywiście. Czemu nie? Jeżeli ktoś tak potrafi, można mu tylko zazdrościć. To świetna samoobrona.

–A ja właśnie już tego nie rozumiem. – Wstała i przeszła ostrożnie na łóżko. Ravic spoglądał za nią.

–Czy nie wszystko jedno, gdzie żyjemy? Wprawdzie w jednym miejscu jest wygodniej niż w innym, ale to nie ma znaczenia. Ważne jest tylko, jak się z życia korzysta. I to nie zawsze.

Kate wciągnęła na łóżko piękne, długie nogi.

–Nic nie ma znaczenia – powiedziała – wobec faktu, że tyle tygodni leżałam w łóżku, a teraz znów mogę wstawać i chodzić.

–Pani może już opuścić klinikę, jeśli ma pani ochotę. Może pani zamieszkać w JLancaster", pod warunkiem że weźmie pani z sobą pielęgniarkę.

Kate Hegstroem potrząsnęła głową.

–Zostanę tu, aż będę mogła podróżować sama. Przynajmniej mam jakąś ochronę przed stworzeniami pokroju takiej Daisy.

–Najlepiej wyrzucać je od razu za drzwi. Nic bardziej nie meczy niż słuchanie głupstw.

Ostrożnie wyciągnęła się na łóżku.

–Czy pan uwierzy, że Daisy, pomimo tego paplania, jest idealną matką? Doskonale wychowuje dwoje dzieci.

–I to się *zdarza* – powiedział Ravic obojętnie. Kate Hegstroem naciągnęła na siebie kołdrę.

–Szpital jest jak klasztor – powiedziała. – Człowiek uczy się cenić najprostsze rzeczy. Chodzenie. Oddychanie. Patrzenie.

–Tak, szczęście leży na ulicy. Wystarczy schylić się, aby je podnieść. Spojrzała na niego.

–Ja mówię serio.

–I ja także, Kate. Tylko najprostsze rzeczy nie przynoszą rozczarowania. A jeśli chodzi o szczęście, warto się bardzo nisko schylić.

Janek leżał w łóżku, na kołdrze rozrzucone było mnóstwo broszur.

–Czemu nie zapaliłeś światła? – spytał Ravic.

–Mam dobre oczy, widzę i tak.

166

Broszury zawierały opisy protez. Janek zdobył je jakimiś sobie tylko znanymi sposobami. Ostatnich kilka przyniosła mu matka. Pokazał Ravicowi szczególnie barwny prospekt. Ravic zapalił światło.

–Ta jest najdroższa – powiedział Janek.

–Ale nie najlepsza – odrzekł Ravic.

–Mimo to najwięcej kosztuje. Wytłumaczę towarzystwu, że muszę mieć właśnie taką. Oczywiście wcale tego nie chcę, ale niech za nią zapłacą. Chcę mieć zwyczajne szczudło i pieniądze.

–Towarzystwo ubezpieczeń ma własnych lekarzy, którzy to kontrolują, Janku.

Chłopiec wyprostował się.

–Pan myśli, że nie dadzą mi protezy?

–Dadzą, choć może nie najdroższą. Ale pieniędzy nie dostaniesz; dopilnują, żebyś naprawdę miał nogę.

–W takim razie wezmę, co mi dadzą, i zaraz sprzedam. Oczywiście stracę na tym. Jak pan myśli, gdybym sprzedał o dwadzieścia procent taniej? Początkowo obniżę cenę tylko o dziesięć procent. A może by się umówić z właścicielem sklepu? Przecież dla towarzystwa to wszystko jedno, czy odbiorę tę protezę czy nie. Muszą płacić, a reszta powinna im być obojętna, prawda?

–Naturalnie. W każdym razie możesz spróbować.

–To już będzie coś. Za te pieniądze można by kupić bufet i umeblowanie do małej mleczarni. – Janek uśmiechnął się chytrze. – Dzięki Bogu, taka proteza ze stawem i tym wszystkim jest dość droga. Precyzyjna robota, co? To dobrze.

–Czy był tu już ktoś z towarzystwa ubezpieczeń?

–Nie. Dotychczas nie mówili ani o protezie, ani o odszkodowaniu, tylko o szpitalu i operacji. Czy nie powinniśmy wziąć adwokata? Jak pan myśli. Było czerwone światło, jestem tego zupełnie pewny. Policja…

Weszła pielęgniarka z kolacją, którą postawiła przy Janku na stoliku. Chłopiec nie odzywał się, dopóki nie wyszła.

–Strasznie dużo dają tu jeść – oświadczył. – Nigdy tyle nie jadłem. Nie daję rady. Matka przychodzi i zjada resztę. Wystarcza na nas dwoje. Matka oszczędza w ten sposób. I tak pokój tutaj dużo kosztuje.

–To płaci towarzystwo, więc wszystko jedno, gdzie leżysz.

167 Przez twarz chłopca przeleciał uśmiech.

–Mówiłem z doktorem Veberem. Da mi dziesięć procent. Pośle rachunek na całą sumę towarzystwu, a kiedy mu zapłacą, odda mi dziesięć procent gotówką.

–Jesteś bardzo zapobiegliwy, Janku.

–Trzeba być zapobiegliwym, jak się jest ubogim.

–Słusznie. Boli cię co?

–W tej nodze, której nie mam, czuję trochę bólu.

–To nerwy, które pozostały.

–Wiem, ale to śmieszne. Żeby bolało coś, czego już nie ma. A może tam jest jeszcze dusza mojej nogi? – Uśmiechnął się, zadowolony z żartu. Potem podniósł pokrywki przyniesionych naczyń. – Zupa, kurczę, jarzyny, pudding. To coś dla mamy, lubi kurczęta. Rzadko je jadamy w domu. – Wygodnie wsparł się o poduszki. – Czasami budzę się w nocy i myślę, że za wszystko musimy sami zapłacić. Tak, jak to się czasem myśli w nocy. Potem dopiero przypominam sobie, że leżę tu jak dziecko bogatych ludzi, mam prawo żądać, co mi się tylko spodoba, mogę dzwonić na pielęgniarki, a one muszą wtedy przychodzić, a inni za to wszystko płacą. Pycha, co?

–Rzeczywiście – potwierdził Ravic – pycha!

Siedział w ambulatorium "Ozyrysa".

–Kto następny? – spytał.

–Iwona – odpowiedziała Leonia. – Ostatnia.

–Przyślij ją tu. U ciebie wszystko w porządku.

Iwona miała dwadzieścia pięć lat, była tęgą blondynką o szerokim nosie i pulchnych, krótkich rękach i nogach, jakie ma wiele prostytutek. Zadowolona z siebie, kołysząc się, weszła do pokoju i uniosła jedwabne szmatki, które miała na sobie.

–Cóż tak z daleka? – spytał Ravic. – Proszę bliżej.

–A tak nie można?

–Nie. A o co ci chodzi?

Zamiast odpowiedzi Iwona odwróciła się, pokazując swój tęgi zadek, poznaczony grubymi, sinymi pręgami. Widać było, że dostała od kogoś straszliwe lanie.

–Spodziewam się, że klient dobrze ci zapłacił – powiedział Ravic. – To nie żarty.

Iwona potrząsnęła głową.

–Ani centyma, doktorze. To nie klient.

–W takim razie zrobiło ci to przyjemność. Nie wiedziałem, że lubisz takie rzeczy.

Iwona znów potrząsnęła głową. Na jej twarzy pojawił się uśmiech tajemniczy, pełen

zadowolenia. Ravic zauważył, że podoba jej się ta sytuacja, czuła się ważną osobą.

–Nie jestem masochistką – powiedziała, dumna, że zna sens tego słowa.

–Więc cóż to było, awantura? Czekała chwilę.

–Miłość – powiedziała, przeciągając się lubieżnie.

–Taki zazdrosny?

–Tak. – Promieniała.

–Bardzo bolało?

–Taka rzecz nie boli. – Położyła się ostrożnie. – Czy pan uwierzy, doktorze, że w pierwszej chwili pani Rolanda nie chciała mi pozwolić pracować? Musiałam ją błagać o jedną choćby godzinkę. I co pan na to? Z tymi pręgami miałam o wiele większe powodzenie niż kiedykolwiek przedtem.

–Czemuż to tak?

–Sama nie wiem, ale są takie typki, które za tym przepadają. To ich podnieca. W przeciągu ostatnich trzech dni zarobiłam o dwieście pięćdziesiąt franków więcej niż zwykle. Jak długo będzie widać siniaki?

–Co najmniej dwa, a może trzy tygodnie. Iwona mlasnęła językiem.

–Jeśli tak dalej pójdzie, będę sobie mogła kupić futro. To znaczy koty dobrze zrobione pod lisa.

–Gdyby miało przejść za prędko, twój przyjaciel może ci dopomóc, spuszczając nowe lanie.

–Tego nie zrobi – zaprzeczyła żywo Iwona. – On nie jest taki. To nie takie wyrachowane bydlę jak inni. Tylko z namiętności, rozumie pan, kiedy go coś napadnie. Inaczej mogłabym go błagać na kolanach i nic by z tego nie wyszło.

–Charakter! – Ravic podniósł oczy. – Wszystko w porządku, Iwono. Podniosła się,

–To znaczy, że mogę się zabrać do pracy. Pewien staruszek

169 już na mnie czeka na dole, taki z siwą bródką w klin. Pokazałam mu te pręgi. Po prostu oszalał. W domu, biedulek, nie ośmieli się odezwać. Na pewno marzy, żeby spuścić kiedyś tęgie lanie swojej starej. – Roześmiała się jak dzwoneczek. – Panie doktorze, czy świat nie jest śmieszny? – Zadowolona z siebie, kołyszącym się krokiem wyszła z pokoju.

Ravic umył się. Potem odłożył do szafki narzędzia i podszedł do okna. Srebrzysty mrok wisiał

nad domami. Nagie drzewa sterczały z asfaltu jak czarne trupie ręce. Widywał takie ręce sterczące z okopów. Otworzył okno i wyjrzał. Nierealna godzina między dniem i nocą. Godzina miłości w małych hotelikach, godzina miłości dla mężów, którzy wieczorem będą dumnie prezydować przy rodzinnym stole. Godzina, w której kobiety na nizinie lombardzkiej zaczynają mówić: *felicissima notte.* Godzina rozpaczy i godzina snów. Zamknął okno. Nagle pokój wydał mu się o wiele ciemniejszy. Cienie jakieś wśliznęły się i bezgłośnie zagadały po kątach. Butelka koniaku, którą przyniosła Rolanda, zajaśniała nagle na stole jak szlifowany topaz. Ravic postał chwilę, po czym zszedł na dół.

Pianola grała i duży pokój był już jasno oświetlony. Dziewczyny w różowych jedwabnych koszulkach siedziały w dwóch rzędach na miękkich pufach. Wszystkie miały obnażone piersi. Klienci chcieli widzieć, co kupują. Było ich tu już z pół tuzina, prawie sami drobnomieszczanie w średnim wieku. Jako przezorni fachowcy wiedzieli, Medy odbywa się badanie, i wtedy przychodzili, spokojni, że się nie *zarażą.* Iwona była ze swoim staruszkiem. Siedział przy stoliku, mając przed sobą butelkę Du-bonnet. Iwona stała przed nim z nogą opartą na krzesełku i piła szampana. Od każdej butelki miała dziesięć procent. Staruszek widać naprawdę oszalał na jej punkcie, jeśli jej zafundował szampana. Tak się bawią tylko cudzoziemcy. Iwona zdawała sobie z tego sprawę, miała minę cyrkowego pogromcy zwierząt.

–Skończyłeś, Ravic? – spytała Rolanda w drzwiach.

–Tak. Wszystko w porządku.

–Chcesz się czegoś napić?

–Dziękuję, Rolando. Muszę wracać do hotelu. Do tej chwili pracowałem. Marzę o kąpieli i czystej bieliźnie.

Minął szatnię przy barze i wyszedł na ulicę. Za progiem napotkał wieczór o fioletowych oczach. Na błękitnym niebie

brzęczał szybko mknący, samotny samolot. Na najwyższej gałązce nagiego drzewa ćwierkał mały, czarny ptaszek.

Kobieta chora na raka, zżerającego ją jak szare, bezokie zwierzę; kaleka obliczający rentę, jaka mu przypadnie; dziwka z siniakami na wagę złota; pierwszy drozd na gałązce. Wszystko to przesuwało się obok niego, a on szedł wolno, nieporuszo-ny, przez zapadający mrok, o zapachu ciepłego łóżka, szedł do kobiety, która na niego czekała.

–Napijesz się jeszcze calvadosu? – zapytał Ravic. Joanna skinęła głową.

–Tak, nalej jeszcze trochę. Ravic skinął na *maitre d'hótel.*

–Nie ma starszego calvadosu?

–Czy ten niedobry?

–Owszem, ale może macie w piwnicy jeszcze inny.

–Zobaczę.

Kelner podszedł do kasy, gdzie drzemała gruba właścicielka z kotem w ramionach. Potem zniknął za oszklonymi mleczną szybą drzwiami pokoju, w którym siedział sam właściciel pośród swoich rachunków. Po chwili wyszedł z miną skupioną, pełną godności i zszedł do piwnicy, nie oglądając się na Ravica.

–Coś się szykuje!

Kelner powrócił z piwnicy, trzymając w ramionach butelkę, jak się trzyma dziecko. Była to brudna butelka, nie obrośnięta malowniczym brudem, którym sieją zdobi dla turystów, ale po prostu bardzo brudna wskutek długich lat leżenia w piwnicy. Kelner otworzył ją ostrożnie, powąchał korek i przyniósł dwa duże kieliszki.

–Proszę pana – powiedział do Ravica i wlał parę kropel.

Ravic podniósł kieliszek i wciągnął zapach trunku. Potem wypił, oparł się wygodniej i skinął głową. Kelner uroczyście odwzajemnił ten ruch i napełnił oba kieliszki do jednej trzeciej.

–Spróbuj, proszę – powiedział Ravic do Joanny. Upiła łyk i postawiła kieliszek. Kelner śledził jej ruchy. Ze zdziwieniem spojrzała na Ravica.

–Nigdy nie piłam czegoś podobnego – powiedziała i upiła drugi łyk. – Tego się nie pije, to się po prostu wdycha.

171 – Właśnie, proszę pani – oświadczył z zadowoleniem kelner. – Doskonale to pani uchwyciła.

–Ravic – powiedziała Joanna – to było niebezpieczne posunięcie. Po tym calvadosie nigdy nie będę piła innego.

–Ach nie, będziesz piła i inny.

–Ale będę marzyć o tym.

–Cieszę się, że zrobiłem z ciebie romantyczkę. Taką calva-dosową romantyczkę.

–Ale inny nie będzie mi smakował!

–Przeciwnie, będzie smakował bardziej, niż na to zasługuje. Będzie to calvados wywołujący

tęsknotę do innego calvadosu. Już to samo będzie w nim niezwykłe.

Joanna zaśmiała się.

–Bzdura, sam wiesz, że to bzdura.

–Oczywista bzdura, ale przecież żyjemy bzdurą. Nie chudym obrokiem faktów. A cóż by się stało z miłością?

–Co to ma wspólnego z miłością?

–Ogromnie dużo. Przedłuża jej istnienie. Inaczej kochalibyśmy tylko raz i odrzucalibyśmy wszystko inne. W ten sposób zaś resztka tęsknoty do tego, kogo się porzuca, albo do tego, kto porzuca, staje się aureolą nad głową następcy. Już to samo, że się coś utraciło, nadaje mu romantyczny blask. Stara, poczciwa sztuczka.

Spojrzała na niego.

–Uważam, że to, co mówisz, jest wstrętne.

–Ja też.

–Nie powinieneś tak mówić nawet żartem. W ten sposób cud zamieniasz w jakiś trik. Ravic nie odpowiedział.

–Brzmi to także, jakbyś się znużył i chciał mnie opuścić. Spojrzał na nią z czułością.

–Nie myśl o tym, Joanno. Jeśli do tego dojdzie, ty mnie opuścisz, a nie ja ciebie, to pewne. Postawiła mocno kieliszek.

–Znowu bzdura! Nigdy cię nie opuszczę. Co mi znów chcesz wmówić?

"Te oczy" – myślał Ravic. "Miotają błyskawice. Łagodne, czerwonawe błyskawice jak płomyki świec".

–Joanno – powiedział – nic ci nie chcę wmawiać. Ale opo-

wiem ci historię o fali i o głazie. To stara historia. Starsza niż my. Posłuchaj. Była sobie pewna fala, która zakochała się w głazie leżącym, powiedzmy, w zatoce Capri. Pieniła się i tańczyła koło głazu, całowała go dniem i nocą, otaczała białymi ramionami, wzdychała, płakała i błagała, by głaz do niej przyszedł. Kochała go, krążyła koło niego i obmywała, aż pewnego dnia ustąpił i podmyty runął w jej objęcia. Upił łyk calvadosu.

–I co dalej? – spytała Joanna.

–No i nie było już głazu, żeby z nim igrać, żeby go kochać, żeby o nim marzyć. Pozostał zatopiony na dnie morza odłamek skalny. Fala poczuła się rozczarowana i zdradzona i rozejrzała się za innym głazem.

–No i co? – Joanna spojrzała na niego podejrzliwie. – Cóż to znaczy? Powinien był zostać nadal głazem.

–Fale są zawsze tego zdania. Ale ruch jest silniejszy od bezruchu. Woda silniejsza jest niż kamień. Zrobiła gest zniecierpliwienia.

–Ale co to ma wspólnego z nami? Cała ta historia nie ma żadnego sensu. Znów kpisz sobie ze mnie. Jak co do czego przyjdzie, ty mnie opuścisz, wiem to na pewno.

Ravic roześmiał się.

–To właśnie powiesz, odchodząc. Wytłumaczysz mi, że to ja ciebie opuściłem. Znajdziesz argumenty, uwierzysz w nie i wygrasz sprawę przed najwyższym trybunałem świata: przed Naturą.

Zawołał kelnera.

–Czy mogę kupić tę butelkę?

–Chce ją pan wziąć z sobą?

–Właśnie o to chodzi.

–To się sprzeciwia naszym zasadom, proszę pana. Nie sprzedajemy napojów na butelki.

–Niech się pan spyta gospodarza. Kelner wrócił z *gazetą.* Był to "Paris Soir".

–Gospodarz zgodził się zrobić wyjątek – wytłumaczył, wepchnął głębiej korek i owinął butelkę w gazetę, wyjąwszy z niej wpierw wkładkę poświęconą sportowi, którą wsunął do kieszeni. – Proszę pana. Niech pan ją trzyma w ciemnym, chłodnym miejscu. Pochodzi ona z majątku dziadka naszego gospodarza.

173 – Dobrze. – Ravic wziął butelkę i spojrzał na nią. – Pójdź z nami, promieniu słońca, który padałeś w gorące lato i w błękitną jesień na jabłka dojrzewające w starym, wietrznym sadzie normandzkim. Potrzebujemy ciebie. Gdzieś we wszechświecie szaleje burza.

Wyszli na ulicę. Deszcz zaczął padać. Joanna zatrzymała się.

–Ravic, kochasz mnie?

–Tak, Joanno. Więcej niż myślisz. Wsparła się na nim.

–Nie zawsze na to wygląda.

–Przeciwnie. Czyżbym ci inaczej mówił takie rzeczy?

–Mów mi lepiej inne.

Uśmiechnął się zapatrzony w deszcz.

–Miłość to nie staw, w którym można zawsze znaleźć swoje odbicie. Miłość ma przypływy i odpływy. Ma też swoje rozbite okręty, zatopione miasta, ośmiornice, burze i skrzynie złota i pereł. Ale perły leżą głęboko.

–Nie chcę o tym wiedzieć. Kochać to należeć wiecznie do siebie.

"Wiecznie" – pomyślał. "Stara bajka dla dzieci. A tymczasem ani minuta do ciebie nie należy". Joanna zapięła płaszcz pod szyją.

–Gdybyż już było lato! Nigdy tak go nie pragnęłam, jak tego roku.

Wyjęła z szafy czarną wieczorową suknię i rzuciła ją na łóżko.

–Czasami nienawidzę tego wszystkiego. Co dzień ta sama czarna suknia. Co dzień ta sama "Szeherezada". Ciągle to samo, ciągle to samo!

Spojrzał na nią bez słowa.

–Czy nie rozumiesz tego? – spytała.

–Owszem.

–Czemu nie zabierzesz mnie stąd, kochany?

–Dokąd?

–Dokądkolwiek…

Rozwinął z papieru butelkę calvadosu i wyciągnął korek, potem przyniósł kieliszek i nalał.

–Chodź – powiedział – napij się.

Potrząsnęła głową.

–Nie pomaga. Nie zawsze można pić. Czasami nic nie pomaga. Nie chcę iść dzisiaj do tych idiotów.

–Nie idź.

–I co dalej?

–Zatelefonuj, że się źle czujesz.

–Musiałabym iść jutro, to jeszcze gorzej.

–Możesz chorować kilka dni.

–To w niczym nie zmieni sytuacji. – Spojrzała na niego. – Co to może być? Co mi jest? Czy to ten deszcz? Czy ta wilgotna ciemność? Czasem wydaje mi się, że jestem w trumnie. Zabijają mnie te szare popołudnia, w których człowiek tonie. Na chwilę zapomniałam o tym, taka byłam szczęśliwa, siedząc z tobą w tej małej restauracyjce. Czemu zacząłeś znowu mówić o rozstaniu? Nie chcę o tym słuchać. Ogarnia mnie wtedy smutek, przypominają mi się obrazy, których nie chcę widzieć, niepokoję się. Wiem, że nie chcesz mi robić przykrości, ale to mnie drażni. Drażni mnie to, a potem pada deszcz i robi się ciemno. Ty nie masz takich chwil, ty jesteś silny.

–Silny? – powtórzył.

–Tak.

–Skąd wiesz?

–Nie boisz się.

–Już się nie boję. To nie to samo, Joanno.

Nie słuchała, co mówi. Biegała z kąta w kąt długimi krokami, które zdawały się za wielkie do tego małego pokoju. "Zawsze porusza się, jakby szła pod wiatr" – pomyślał Ravic.

–Chciałabym uciec! – zawołała. – Uciec z tego hotelu, z tego nocnego lokalu, sprzed ludzkich chciwych oczu! – Nagle stanęła. – Ravic, czy nie możemy żyć inaczej? Czy nie możemy żyć jak inni ludzie, którzy się kochają? Być razem, mieć wkoło siebie rzeczy, które do nas należą, mieć spokojne wieczory, a nie walizki, puste dnie i pokoje hotelowe, gdzie czujemy się obcy?

Z twarzy Ravica trudno było coś wyczytać. "Więc przyszło to, czego oczekiwałem" – pomyślał.

–Czy naprawdę, Joanno, taki tryb życia wydawałby ci się dla nas odpowiedni?

–Czemu nie? Inni tak żyją! Ciepło im, należą do siebie, mają

175 mieszkanie, a kiedy zamkną drzwi, niepokój pozostaje za nimi, nie przeciska się każdą szparą jak tu.

–Naprawdę? – powtórzył Ravic.

–Tak.

–Schludne, małe mieszkanko i schludne, małomieszczań-skie życie. Schludne, małe bezpieczeństwo nad brzegiem przepaści. Podoba ci się to naprawdę?

–Możesz to nazwać, jak chcesz – powiedziała smutno – byle nie tak pogardliwie. Kiedy się kocha, można i na to *znaleźć* piękniejsze słowa.

–Jakkolwiek nazwiesz, treść pozostanie ta sama. Czy cię to naprawdę pociąga? Oboje nie nadajemy się do takiego życia. Stanęła.

–Jatak.

Ravic uśmiechnął się. W uśmiechu tym była czułość, ironia i jakiś nieuchwytny cień smutku.

–Nie, Joanno – powiedział – ty także nie. Ty nawet mniej niż ja. Ale to nie jedyna przyczyna. Jest jeszcze inna.

–Owszem – powiedziała z goryczą. – Wiem.

–Nie, tego nie wiesz, Joanno. Ale ja ci o niej powiem, tak będzie lepiej. Nie powinnaś myśleć tego, co myślisz w tej chwili. Stała przed nim.

–Załatwmy to jak najszybciej – powiedział – i nie zadawaj mi potem zbyt wielu pytań.

Nie odpowiedziała. Jej twarz była pusta, była to znowu ta twarz, którą widział dawniej. Ujął jej dłonie.

–Mieszkam we Francji nielegalnie – powiedział – nie mam papierów. Oto prawdziwa przyczyna. Dlatego nigdy nie będę mógł wynająć mieszkania, nigdy nie będę mógł się ożenić, jeśli pokocham. Musiałbym mieć dowód osobisty i wizę, a ja ich nie mam. Nie wolno mi nawet pracować, muszę kryć się z tym. Nigdy nie będę mógł żyć inaczej niż teraz.

Nie odrywała od niego oczu.

–Naprawdę? Wzruszył ramionami.

–Kilka tysięcy ludzi żyje w tej chwili w ten sam sposób. Na pewno słyszałaś o tym. Każdy o tym słyszał. Ja właśnie jestem jednym z tych ludzi. – Uśmiechnął się i puścił jej ręce. – Człowiek bez przyszłości, jak mówi Morozow.

–Tak, ale…

–Mnie się nawet stosunkowo dobrze wiedzie. Pracuję, żyję, mam ciebie – cóż znaczą te drobne niewygody?

–A policja?

–Policja nie bardzo się tym interesuje. Gdyby mnie przypadkiem złapano, byłbym deportowany, to wszystko. Ale to mało prawdopodobne. Teraz idź i zatelefonuj do "Szeherezady", że dziś nie przyjdziesz. Ten wieczór będzie należał wyłącznie do nas. Cały wieczór. Powiedz im, że jesteś chora, a jeśli zażądają świadectwa, Veber ci je wystawi.

Nie odchodziła.

–Deportowany – powtórzyła, jakby z trudem udawało jej się go zrozumieć. – Deportowany? Z Francji? Więc wyjechałbyś?

–Na krótko.

Zdawała się go nie słyszeć.

–Wyjechałbyś – powtórzyła. – Wyjechałbyś. A co by się stało ze mną?

Ravic uśmiechnął się.

–O, właśnie – powiedział. – Co by się stało z tobą? Siedziała, nie poruszając się, oparta na łokciach.

–Joanno – powiedział Ravic – jestem tu już dwa lata i nic się nie zdarzyło. Twarz jej nie zmieniła wyrazu.

–A jeśli się jednak zdarzy?

–Wtedy byłbym niedługo z powrotem. W tydzień lub dwa. Jak ze zwykłej podróży. A teraz zadzwoń do "Szeherezady". Wstała z wahaniem.

–Co mam powiedzieć?

–Że masz bronchit. Mów trochę ochryple. Szła już do telefonu, ale wróciła.

–Ravic…

Łagodnie wyswobodził się z jej ramion.

–Słuchaj – powiedział – nie myślmy o tym. W gruncie rzeczy jest to błogosławieństwo. Nigdy nie staniemy się rentiera-mi własnej namiętności. Miłość nasza będzie czysta jak płomień, nie stanie się nigdy kuchnią, na której się pichci rodzinny posiłek. A teraz zatelefonuj.

Podniosła słuchawkę. Patrzył na nią, kiedy rozmawiała. Nie szło jej z początku, patrzyła na niego, jakby miano go natych-

177 miast aresztować. Stopniowo zaczęła kłamać swobodnie i z przekonaniem. Kłamała nawet więcej, niż było trzeba. Ożywiła się, jej twarz odzwierciedlała rzekomy ból w piersi. Głos miała znużony, chrypła coraz bardziej, wreszcie zaczęła kaszleć. Nie patrzyła już na Ravica, patrzyła przed siebie, coraz bardziej pochłonięta swoją rolą. Przyglądał się jej w milczeniu, potem wypił duży haust calvadosu. "Bez kompleksów" – pomyślał. "To zwierciadło, które daje cudownie wierne odbicie, ale nic z niego nie zatrzymuje". Położyła słuchawkę i przygładziła sobie włosy.

–Uwierzyli we wszystko.

–Robiłaś to pierwszorzędnie.

–Radzili mi, żebym została w łóżku. A gdyby miało nie przejść do jutra, mam na miłość boską nie wychodzić i jutro.

–Widzisz, więc o jutrzejszy dzień także nie mamy się co kłopotać.

–Tak – powiedziała, smutniejąc na chwilę -jeśli tak do tego podejść. – Zbliżyła się do niego. – Przeraziłeś mnie. Powiedz mi, że to nieprawda. Ty często tak sobie tylko mówisz. Powiedz, że to nieprawda. Że to nie tak.

–To nieprawda.

Wsparła głowę na jego ramieniu.

–To nie może być prawda. Nie chcę być znowu sama. Musisz pozostać przy mnie. Kiedy jestem sama, jestem niczym. Bez ciebie jestem niczym.

Spojrzał ku niej.

–Joanno – powiedział – czasem wydaje mi się, że jesteś córką dozorcy, a czasem leśną Dianą. A czasem i to, i to. Nie podniosła głowy.

–A teraz? Uśmiechnął się.

–Dianą o srebrnym łuku. Niedosiężną, a zabójczą.

–Powinieneś mi to mówić częściej.

Milczał chwilę. Nie zrozumiała go. Było to zresztą zbyteczne. Brała to, co chciała, i tak, jak chciała, reszta jej nie obchodziła. Czyż nie to właśnie pociągało go w niej? Któż pragnie kogoś, kto niczym się od niego nie różni? I któż szuka moralności w uczuciu? To wynalazek słabych, skarga zwyciężonych.

–O czym myślisz? – spytała.

–O niczym.

–O niczym?

–A właściwie o czymś – powiedział. – Uciekniemy stąd na jakiś czas, Joanno. Na słońce, do Cannes albo do Antibes. Do diabła z ostrożnością! Do diabła z marzeniami o trzypokojowym mieszkaniu i z sępim wrzaskiem mieszczucha! To nie dla nas. Czyż nie jesteś Budapesztem, zapachem kwitnących alei kasztanowych w nocy, kiedy cały świat, rozgrzany i chciwy lata, usypia razem z księżycem? Wydobędziemy się z ciemności, zimna i deszczu. Przynajmniej na parę dni.

Wyprostowała się prędko i spojrzała na niego.

–Naprawdę?

–Tak.

–Ale policja…

–Do diabła z policją! Nie jest groźniejsza tam niż tu. W miejscowościach turystycznych nie ma takiej ścisłej kontroli. W każdym razie nie w pierwszorzędnych hotelach. Byłaś tam kiedy?

–Nie, nigdy, byłam tylko we Włoszech i nad Adriatykiem. Kiedy pojedziemy?

–Za dwa albo trzy tygodnie… To najlepsza pora.

–A czy mamy pieniądze?

–Trochę. Za dwa tygodnie będziemy mieli dość.

–Możemy zamieszkać w jakimś małym pensjonacie.

–Nie pasujesz do małego pensjonatu. Pasujesz do takiej dziury jak ta albo do pierwszorzędnego hotelu. Zamieszkamy w "Cap-hotel" w Antibes. W takich hotelach jest zupełnie bezpiecznie, nikt nie sprawdza papierów. W najbliższych dniach będę krajał brzuch jakiejś grubej ryby, wysokiego urzędnika. On się postara o resztę potrzebnych nam pieniędzy.

Joanna wstała, twarz jej rozjaśniła się uśmiechem.

–Ravic – powiedziała – nalej mi jeszcze tego starego calva-dosu. To naprawdę eliksir marzeń. – Podeszła do łóżka i wzięła leżącą na nim wieczorową suknię. – Mój Boże, a ja nie mam nic prócz tych dwóch starych czarnych łachów!

–Może i na to poradzimy. W ciągu dwóch tygodni wiele się jeszcze może wydarzyć. Wyrostek robaczkowy u kogoś z lepszego towarzystwa albo skomplikowana ruptura u jakiegoś milionera.

179 14

Andrzej Durant pałał świętym oburzeniem.

–Nie sposób z panem pracować – oświadczył.

Ravic wzruszył ramionami. Veber powiedział mu, że Durant bierze za tę operację dziesięć tysięcy franków. Jeśli nie umówi się z góry, Durant gotów mu przysłać dwieście franków jak ostatnim razem.

–Pół godziny przed operacją! Nigdy bym tego o panu nie pomyślał, doktorze Ravic.

–I ja nie – powiedział Ravic.

–Pan wie, że pan zawsze mógł liczyć na moją wspaniałomyślność. Nie wiem, co się panu nagle stało. Życie pacjenta jest w naszym ręku, on wie o tym, a pan wybiera tę właśnie chwilę, żeby mówić o pieniądzach. Bardzo mi przykro.

–Mnie nie – odpowiedział Ravic.

Durant patrzył na niego przez chwilę. Jego pomarszczona twarz z siwą kozią bródką wyrażała godność i oburzenie. Poprawił binokle w złotej oprawie.

–Beż pan myślał? – spytał niechętnie.

–Dwa tysiące franków.

–Co? – Wyglądał, jakby go postrzelono, a on w to jeszcze nie uwierzył. – Śmieszne – powiedział krótko.

–Doskonale – odrzekł Ravic. – Z łatwością znajdzie pan kogoś innego. Niech pan weźmie Binota, jest bardzo dobry.

Sięgnął po palto. Durant patrzył na niego, jego pełna godności twarz drgała.

–Chwileczkę – powiedział, kiedy Ravic brał kapelusz. – Przecież mnie pan tak nie zostawi!… Czemu mi pan tego wczoraj nie powiedział?

–Był pan na wsi, nie mogłem pana złapać.

–Dwa tysiące franków! Czy pan wie, że ja nawet tyle nie zażądam? Pacjent jest moim przyjacielem, mogę mu policzyć tylko własne wydatki.

Durant wyglądał jak Bóg Ojciec z dziecinnej książeczki. Miał siedemdziesiąt lat, był niezłym diagnostą, ale marnym operatorem. Jego świetna praktyka opierała się niemal wyłącznie na współpracy poprzedniego asystenta, Binota, któremu przed dwoma laty udało się usamodzielnić. Od tego czasu Durant korzystał z pomocy Ravica przy trudniejszych operacjach. Ra-vic robił najmniejsze cięcia i zostawiał ledwie widoczne blizny. Durant był świetnym znawcą bordoskich win i lubianym uczestnikiem eleganckich przyjęć i stąd głównie rekrutowali się jego pacjenci.

–Gdybym był wiedział… – zamruczał.

Wiedział doskonale. Właśnie dlatego przed każdą ważniejszą operacją wyjeżdżał na dwa lub trzy dni do siebie na wieś. Unikał w ten sposób rozmów na temat honorarium przed dokonaniem operacji. Potem to co innego. Mógł zawsze robić nadzieje na przyszłość, które się nigdy nie ziszczały. Tym razem, ku jego zdumieniu, Ravic zamiast przed samą operacją, zjawił się o pół godziny wcześniej i zatrzymał go, nim dano pacjentowi narkozę. Durant nie mógł więc pod tym pretekstem skrócić dyskusji.

Pielęgniarka wsunęła głowę w drzwi.

–Czy dawać narkozę, panie profesorze?

Durant popatrzył na nią, potem zwrócił na Ravica pełne ludzkich uczuć, błagalne spojrzenie. Ravic odwzajemnił je z tym samym uczuciem, ale i z mocą.

–Jak pan myśli, doktorze Ravic?

–Decyzja należy do pana, panie profesorze.

–Chwileczkę, siostro. Jeszcześmy nie uzgodnili szczegółów. – Pielęgniarka wyszła, Durant zwrócił się znów do Ravica. – I co teraz? – spytał z wyrzutem.

Ravic włożył ręce do kieszeni.

–Niech pan odłoży operację do jutra albo na godzinę i weźmie Binota.

Binot dokonywał prawie wszystkich operacji Duranta w ciągu ostatnich dwudziestu lat, ale sam nie zrobił kariery, bo Durant systematycznie odbierał mu każdą możliwość usamo-

181 dzielnienia się i charakteryzował go zawsze tylko jako niezłego asystenta. Binot nienawidził Duranta i na pewno zażądałby za operację pięciu tysięcy franków. Ravic wiedział o tym, Durant również.

–Doktorze Ravic – powiedział – nasz zawód nie powinien przeradzać się w dyskusje

handlowe.

–Całkowicie się z panem zgadzam.

–Czemuż nie pozostawia pan tego mojemu taktowi? Przecież dotychczas był pan zadowolony z naszej współpracy.

–Nigdy – powiedział Ravic.

–Nigdy mi pan tego nie mówił.

–Nie na wiele by się to przydało. Zresztą mało mnie to dotąd obchodziło. Tym razem mnie obchodzi. Potrzebuję pieniędzy.

Znów weszła pielęgniarka.

–Pacjent zaczyna się niepokoić, panie profesorze.

Durant wpatrzył się pilnie w Ravica. Ravic odwzajemnił spojrzenie. Wiedział, że nie ma nic trudniejszego, niż wydobyć od Francuza pieniądze. O wiele trudniej niż od Żyda. Żyd widzi interes, Francuz zaś tylko pieniądze, które musi wydać.

–Chwileczkę, siostro – powiedział Durant. – Proszę tymczasem zbadać tętno, ciśnienie i temperaturę.

–Już to zrobiłam.

–To proszę przystąpić do narkozy. Pielęgniarka wyszła.

–A więc dobrze – powiedział Durant. – Dam panu tysiąc.

–Dwa tysiące – sprostował Ravic.

Durant jeszcze się nie poddawał. Nerwowo targał kozią bródkę.

–Słuchaj pan, Ravic – powiedział wreszcie ciepło -jako uchodźca nie mający prawa praktyki…

–Nie wolno mi także za pana operować – przerwał mu Ra-vic chłodno, oczekując tradycyjnego komentarza, że powinien być wdzięczny za tolerowanie go w tym kraju.

Durant zrezygnował z tego; zrozumiał, że nic nie osiągnie, a czas naglił.

–Dwa tysiące! – powiedział z goryczą, jakby słowa te były banknotem, wraz z oddechem wylatującym mu z gardła. – Muszę je wyłożyć z własnej kieszeni. Myślałem, że pan nie zapomni, ile dla pana uczyniłem.

Czekał jeszcze. “Jakie to dziwne – myślał Ravic – że takie pijawki zawsze lubią moralizować. Ten stary oszust z rozetką Legii Honorowej w butonierce zamiast się wstydzić, robi mi wymówki, że go wyzyskuję. I nawet w to wierzyć

–Więc dwa tysiące – powiedział wreszcie Durant. – Dwa tysiące – powtórzył. Brzmiało to, jakby powiedział: ojczyzna, Bóg, zielone szparagi, młode kuropatwy, stare wino St. Emilion. Przepadło! – I cóż, zaczynamy?

Pacjent miał tłusty kałdun, cienkie ręce i nogi. Ravic dowiedział się przypadkiem jego nazwiska. Był to Leval, urzędnik, do którego kompetencji należały sprawy emigrantów. Veber powiedział mu to jako dobry żart. Nazwisko Levala znał każdy uchodźca w hotelu “International”.

Ravic zrobił szybko pierwsze cięcie. Skóra otwierała się jak książka, rozchylił ją hakami i zobaczył żółtawy tłuszcz.

–Ujmiemy mu bezpłatnie parę kilo, będzie mógł znowu żreć, żeby je sobie zafundować z powrotem – powiedział do Duranta.

Durant nie odpowiedział. Ravic odsunął pokłady tłuszczu, żeby się dostać do mięśni. “Oto leży tu bóstwo uchodźców – pomyślał – człowiek, który w swoich tłustych, białych, bezsilnych teraz rękach trzyma los setek istnień. Człowiek, który zarządził deportację profesora Meyera”. Meyer nie miał już dość sił, aby raz jeszcze rozpocząć swą drogę krzyżową, i powiesił się na dzień przed deportacją w szafie w hotelu “International”. Powiesił się w szafie, bo nigdzie indziej nie było haka. A mógł to uczynić, ponieważ był tak wychudzony, że zwykły haczyk do wieszania ubrań utrzymał go z łatwością. Był też zaledwie garstką ubrania nadzianego odrobiną zdławionego życia, gdy go nazajutrz rano znalazła pokojówka. Gdyby ten kałdun miał trochę litości, Meyer żyłby jeszcze.

–Klamry – powiedział. – Tampon!

Ciął dalej. Precyzja ostrego noża. Wyczucie czystości cięcia. Jama brzuszna. Biały kłąb jelit. Człowiek, który tu leżał z otwartym brzuchem, miał swoje zasady moralne, i owszem. Odczuwał ludzką litość nad Meyerem, ale miał również coś, co nazywał obowiązkiem wobec ojczyzny. Zawsze jest jakiś parawan, za którym się można ukryć: zwierzchnik, który ma znów

183 swego zwierzchnika, dyspozycje, instrukcje, obowiązki, rozkazy – wreszcie wielogłowe monstrum: moralność, konieczność, twarda rzeczywistość, odpowiedzialność i jak to się jeszcze nazywa. Zawsze jest parawan, za którym można się ukryć przed prostymi prawami człowieczeństwa.

Nadwątlony, chory woreczek żółciowy. Na stan jego złożyły się setki tournedos Rossini, flaków a la modę de Caen, duszonych kaczek, zawiesistych sosów wraz ze złym humorem i

wielu litrami dobrego bordeaux. Stary profesor Meyer nie miał tego rodzaju kłopotów. Gdyby tak zrobić złe cięcie, za długie albo za głębokie, czy za tydzień jakiś lepszy człowiek zasiadłby w pokoju pachnącym aktami i molami, gdzie trzęsący się ze strachu uchodźcy oczekują wyroku śmierci? Lepszy, a może gorszy? Ten nieprzytomny sześćdziesięcioletni człowiek, którego cielsko leży na stole w jaskrawym świetle lamp, niewątpliwie uważał się za bardzo humanitarnego. Był na pewno czułym mężem i dobrym ojcem, ale w chwili kiedy wchodził do biura, stawał się tyranem, kryjącym się za para-wanikiem frazesów: "nie możemy przecież…", "dokąd by to nas zaprowadziło, gdybyśmy…" A przecież Francja nie zginęłaby, gdyby Meyerowi pozwolono nadal spożywać jeden posiłek dziennie, gdyby wdowa Rosenthal mogła dalej czekać na swego zamordowanego syna w pokoiku dla służby w hotelu "International", gdyby chory na gruźlicę kupiec bławatny Stallmann nie siedział sześć miesięcy w więzieniu z powodu nielegalnego przekroczenia granicy i gdyby nie został zwolniony tylko po to, żeby umrzeć, zanim go odstawiono z powrotem na granicę.

Dobrze. Cięcie było dobre. Nie za głębokie, nie za długie. Katgut. Węzeł. Woreczek żółciowy. Pokazał go Durantowi, jak połyskuje tłusto w białym świetle. Rzucił go do wiadra. Dalej. Dlaczego we Francji szyją rewerdenem? Wyjąć klamry. Ciepły kałdun wysokiego urzędnika z pensją trzydziestu do czterdziestu tysięcy franków rocznie. A z czego płaci te dziesięć tysięcy za operację? W jaki sposób dorabia resztę? Ten brzuchacz też kiedyś grywał w klipę. To ładny szew. Ścieg koło ściegu. Suma dwa tysiące franków jest nadal wypisana na twarzy Duranta, choć Ravic nie widzi już koziej bródki. Ale czyta to w jego oczach; po tysiąc franków w każdym. "Miłość psuje charakter.

184

Czyż inaczej wymusiłbym tyle od tego rentiera, odejmując mu wiarę w ustanowiony przez Boga porządek wyzysku? Jutro zasiądzie z namaszczeniem przy łożu brzuchacza, przyjmując dziękczynne słowa za nie swoją pracę. Uwaga, jeszcze jedna klamra. Ten brzuchacz to tydzień pobytu z Joanną w Antibes. Tydzień światła, wykradziony ponurym czasom. Kawałek błękitnego nieba, zanim nadciągnie burza. Teraz szew na otrzewnej. Specjalnie piękny z uwagi na owe dwa tysiące franków. Właściwie powinienem zostawić mu w brzuchu nożyczki jako pamiątkę od Meyera. Szumiące, białe światła. Dlaczego w mózgu człowieka kłębi się tyle myśli? Zapewne gazety. Radio. Bezustanne gadanie tchórzy i kłamców. Dekoncentracja za pomocą lawiny słów. Zmącone mózgownice, stojące otworem dla wszelkiej demagogu. Nie stać ich na przeżuwanie twardego chleba prawdy. Bezzębne mózgownice. Bzdura. Tak, z tym już także koniec. Jeszcze tylko skóra. No, za parę tygodni będzie mógł znowu deportować drżących uchodźców. A może bez woreczka żółciowego będzie łagodniejszy? Jeśli nie zdechnie. Ale nie, tacy jak on umierają około osiemdziesiątki, honorowani, szanujący się, otoczeni dumnymi wnukami".

Koniec. Można go zabrać.

Zrzucił rękawice z rąk i maskę z twarzy. Wysoki urzędnik wysunął się na bezgłośnych kołach z sali operacyjnej. Ravic patrzył za nim długo. "Leval – myślał – gdybyś ty wiedział! Gdybyś

przeczuwał, że twój arcylegalny woreczek żółciowy obdarzył mnie, nielegalnego uchodźcę, kilkoma w najwyższym stopniu nielegalnymi dniami na Riwierze!”

Zaczął się myć, obok niego Durant powoli i metodycznie mył ręce. Ręce starego człowieka o wysokim ciśnieniu krwi. Starannie trąc palce, poruszał rytmicznie dolną szczęką, jakby mełł ziarno. Kiedy na chwilę przestawał trzeć palce, przestawał i żuć, a gdy znów rozpoczynał mycie, puszczał znowu w ruch szczękę. Tym razem mył się szczególnie długo i starannie. “Chce jeszcze parę minut dłużej cieszyć się swoimi dwoma tysiącami franków” – myślał Ravic.

–Na co pan jeszcze czeka? – spytał Durant po chwili.

–Na czek.

–Przyślę panu pieniądze, jak pacjent mi zapłaci. Za parę tygodni, kiedy wyjdzie z kliniki.

185 Durant zaczął wycierać ręce. Potem wziął butelkę wody ko-lońskiej d'Orsay i natarł nią dłonie.

–Chyba na tyle mi pan wierzy, co?

“Oszust” – pomyślał Ravic. “Chce mnie choć trochę upokorzyć”.

–Powiedział pan, że pacjent jest pana przyjacielem i zwróci tylko pańskie wydatki.

–Tak… – odmruknął Durant.

–No, więc wydatki wynoszą zaledwie parę franków na materiał i opłacenie pielęgniarki. Jest pan właścicielem kliniki. Wszystko razem nie przekroczy stu franków, niech pan je tymczasem odliczy i doda mi je potem.

–Koszty, doktorze Ravic – obwieścił Durant, prostując się -będą, niestety, o wiele wyższe, niż przypuszczałem. Włączając w to pańskie dwa tysiące. Pacjent musi i to pokryć. – Powąchał swoje ręce pachnące wodą kolońską. – Widzi pan więc…

Uśmiechnął się. Jego żółte zęby stanowiły żywy kontrast z białą bródką. “Jakby ktoś oddał urynę na śnieg” – pomyślał Ravic. “Mimo to będzie musiał zapłacić. Veber pożyczy mi tymczasem. Nie zrobię staremu capowi tej przyjemności, żebym miał go teraz prosić o pieniądze”.

–Dobrze – powiedział. – Jeśli pan ma teraz trudności, proszę mi przysłać potem.

–Nie mam żadnych trudności, chociaż pana żądanie wypadło tak nagle i niespodziewanie. To tylko dla porządku.

–Niech będzie dla porządku, na jedno wychodzi.

–Wcale nie wychodzi na jedno.

–Rezultat będzie ten sam – powiedział Ravic. – A teraz proszę mi wybaczyć. Idę się czegoś napić. *Adieu.*

***-Adieu* – powiedział Durant zaskoczony.**

Kate Hegstroem uśmiechnęła się.

–Czemu pan ze mną nie chce jechać? Stała przed nim szczupła, pewna siebie, długonoga, z rękami w kieszeniach płaszcza.

–Forsycja kwitnie już w Fiesole. Żółty płomień pod murami ogrodu. Kominek, książki, cisza. Ulicą z hukiem przejechała ciężarówka. Szkła obrazków roz-

wieszonych na ścianach szpitalnego saloniku zadźwięczały. Były to fotografie katedry w Chartres.

–Noce spokojne. Z dala od wszystkiego. Czyż pan tego nie pragnie? – mówiła Kate Hegstroem.

–Owszem, ale może bym nie wytrzymał.

–Czemu?

–Spokój jest dobry, kiedy samemu jest się spokojnym.

–Ja nie jestem spokojna.

–Ale pani wie, czego chce, to prawie to samo.

–A pan nie wie?

–Nie chcę niczego. Powoli zapinała płaszcz.

–Co to jest właściwie, Ravic? Szczęście czy rozpacz? Uśmiechnął się niecierpliwie.

–Pewno i to, i to. Jak zwykle. Nie trzeba za wiele myśleć o tym.

–A co trzeba robić?

–Cieszyć się. Spojrzała na niego.

–Na to nie potrzeba nikogo – powiedziała.

–Przeciwnie, zawsze potrzeba kogoś. Zamilkł. "Co ja plotę!" – pomyślał. "Pożegnalne rozmówki, zakłopotanie przed rozstaniem, okolicznościowe kazanie".

–Nie chodzi o to drobne szczęście, o którym pani kiedyś mówiła – powiedział. – Ono kwitnie wszędzie jak fiołki koło wypalonych domów. Kto niczego się nie spodziewa, nie doznaje rozczarowań, to dobra zasada. Wtedy wszystko, co przychodzi, jest już czymś.

–Jest niczym – powiedziała Kate Hegstroem. – Tak jest tylko, kiedy się leży w łóżku i ostrożnie myśli. A jak się chodzi, to już jest inaczej. Zapomina się o tym, żąda się czegoś więcej.

Skośny promień światła padł na jej twarz; oczy pozostały w cieniu, tylko usta zakwitły.

–Czy we Florencji zna pani jakiegoś doktora?

–Nie. A czy będzie mi potrzebny?

–Zawsze coś się może przydarzyć. Jakiś drobiazg. Gdybym wiedział, że ma pani tam lekarza, byłbym spokojniejszy.

–Czuję się doskonale, a jakby mi miało coś być, mogę prze-

cież wrócić.

187 – Oczywiście, toteż powiedziałem to na wszelki wypadek. We Florencji jest dobry lekarz, profesor Fioła. Zapamięta pani? Fioła.

–Zaraz zapomnę, to przecież nie ma żadnego znaczenia.

–Napiszę do niego, żeby się panią zajął.

–Ależ po co, czuję się doskonale.

–Zawodowa ostrożność, Kate. Nic innego. Napiszę do niego, żeby do pani zatelefonował.

–Jak pan chce. – Wzięła torebkę. – Do widzenia, Ravic. Już idę. Być może, że prosto z Florencji pojadę do Cannes, a stamtąd na *Conte di Savoya* do Nowego Jorku. Jeśliby pan kiedy przyjechał do Ameryki, zastanie pan kobietę z mężem, dziećmi, końmi i psami. Kate Hegstroem, którą pan znał, pozostawiam tutaj. Postawiłam jej w "Szeherezadzie" maleńki nagrobek. Proszę wypić za jej pamięć, kiedy pan tam będzie.

–Dobrze. Wódką.

–Tak, wódką. – Niezdecydowana stała w mroku pokoju, a promień słońca padał teraz za nią, na fotografię z katedry w Chartres, przedstawiającą główny ołtarz z krzyżem. – Dziwne – powiedziała. – Powinnam się cieszyć, a wcale tak nie jest…

–Tak zwykle bywa; kiedy się człowiek żegna. Nawet kiedy żegna rozpacz.

Stała przed nim wahająca się, pełna łagodnego życia, zdecydowana i trochę smutna. Ravic powiedział:

–Kiedy się człowiek żegna, najprościej jest wyjść. Odprowadzę panią.

–Dobrze.

Powietrze było łagodne i wilgotne, nad dachami wisiało niebo jak rozżarzone żelazo.

–Wezwę taksówkę, Kate.

–Nie, pójdę pieszo do rogu ulicy. Sama coś znajdę. Przecież pierwszy raz wychodzę.

–No i jakie wrażenie?

–Jak po winie.

–Więc nie sprowadzać taksówki?

–Nie, przejdę się trochę.

Ogarnęła wzrokiem wilgotną ulicę, potem się uśmiechnęła.

–W jakimś zakątku duszy czai się jeszcze trochę strachu. Czy i to musi być?

–Tak, i to także.

***-Adieu,* Ravic.**

***-Adieu,* Kate.**

Zatrzymała się jeszcze chwilę, jakby chciała coś powiedzieć, potem ostrożnie zeszła ze schodków, smukła, wciąż jeszcze wiotka, i szła ulicą ku fioletowemu zachodowi i ku swojej zatracie. Nie odwróciła się już.

Ravic wrócił. Przechodząc koło pokoju, który zajmowała Kate, usłyszał muzykę i zatrzymał się zdziwiony. Wiedział, że nie umieszczono tam jeszcze nowego pacjenta.

Ostrożnie otworzył drzwi i zobaczył klęczącą przed gramofonem pielęgniarkę. Usłyszawszy go, drgnęła i skoczyła na równe nogi. Rozbrzmiewała melodia starego przeboju *Ostatni walc.*

Dziewczyna przygładziła suknię.

–Miss Hegstroem podarowała mi amerykański gramofon -powiedziała. – Takiego nie można dostać nigdzie w Paryżu. Jedyny egzemplarz. Właśnie go wypróbowałam, zmienia automatycznie pięć płyt. – Promieniała. – Wart jest co najmniej trzy tysiące franków. Prócz tego płyty. Jest ich pięćdziesiąt sześć. Poza tym ma wbudowane radio. To się nazywa mieć szczęście!

"Szczęście" – myślał Ravic. *Już znowu. Tutaj jest nim gramofon". Stana^, przysłuchując się. Jak gołębica wyfrunęła z orkiestry sentymentalna i żałosna pieśń skrzypiec. Była to jedna z tanich melodyjek, które czasem chwytają za serce bardziej niż wszystkie nokturny Chopina. Rozejrzał się. Łóżko było ogołocone z pościeli, materace ułożone jeden na drugim. Koło drzwi leżał stos bielizny do prania. Okna były otwarte, wieczór ironicznie zaglądał do pokoju. Lekki zapach perfum i zamierające tony walca – oto wszystko, co pozostało po Kate Hegstroem.

–Nie mogę się z tym zabrać – powiedziała pielęgniarka. – Za ciężko. Najpierw wezmę gramofon, a potem wrócę ze dwa razy po płyty. Może nawet trzy. To wspaniałe, można by z tym otworzyć kawiarnię.

–To dobra myśl – powiedział Ravic. – Niech pani uważa, żeby nie rozbić płyt.

189 15

Ravic budził się powoli. Chwilę trwał między snem a jawą; widział jeszcze swój sen, choć może bledszy i mniej powiązany, ale wiedział już, że śni. Znajdował się w pobliżu granicy niemieckiej, na małej stacyjce w Schwarzwaldzie. Gdzieś niedaleko szumiał wodospad, od gór szedł zapach jodeł. Było lato, dolina pachniała żywicą i łąkami. Szyny lśniły czerwono w blaskach zachodu, jakby przeleciał po nich krwawiący pociąg. "Co ja tu robię?" – myślał Ravic. "Co ja robię tu, w Niemczech? Jestem przecież we Francji, w Paryżu". Zanurzył się głębiej w migotliwą falę snu. Paryż roztapiał się, ginął we mgle, tonął. Ravic już nie był w Paryżu. Był w Niemczech. Czemu tu jednak wrócił?

Szedł przez peron; koło kiosku z gazetami stał konduktor. Był to człowiek w sile wieku, o nalanej twarzy i bardzo jasnych brwiach. Czytał "Yoelkischer Beobachter".

–Kiedy odchodzi następny pociąg? – zapytał Ravic. Konduktor obejrzał się leniwie.

–A dokąd pan jedzie?

Ravica oblała nagle gorąca fala strachu. Gdzie jest? Jaka to stacja? Czy ma powiedzieć, że jedzie do Fryburga? Czemu, do diabła, nie wie, gdzie się znajduje? Rozejrzał się po peronie: nigdzie nie było tablicy z nazwą stacji. Uśmiechnął się.

–Jestem na urlopie – powiedział.

–A dokąd pan chce jechać?

–Przed siebie. Wysiadłem na chybił trafił, okolica podobała mi się z okna. Teraz już mi się nie podoba, nie znoszę wodospadów. Chcę jechać dalej.

–Ale dokąd? Przecież pan musi wiedzieć, dokąd pan chce jechać.

190

–Pojutrze muszę być we Fryburgu, mam jeszcze czas. Bawi mnie taka podróż bez celu.

–Tą linią nie idą pociągi do Fryburga – powiedział konduktor, przyglądając mu się.

"Goja wyprawiam!" – pomyślał Ravic. "Po co go pytam? Dlaczego nie czekam spokojnie? Jak ja się tu w ogóle znalazłem?"

–Wiem – powiedział głośno – ale mam mnóstwo czasu. Czy dostanę tu gdzieś wiśniaku, prawdziwego szwarcwaldzkiego wiśniaku?

–Tam jest restauracja dworcowa – objaśnił konduktor, ciągle mu się przyglądając.

Ravic poszedł z wolna wzdłuż toru, jego kroki rozlegały się głośno pod dachem osłaniającym peron. Dwóch mężczyzn siedziało w poczekalni pierwszej i drugiej klasy, poczuł na plecach ich spojrzenie. Kilka jaskółek przeleciało pod dachem. Udając, że im się przygląda, patrzył kątem oka na konduktora, który złożył gazetę i szedł za nim. Ravic wszedł do woniejącej piwem restauracji; była pusta, nie zatrzymał się w niej. Konduktor stał pod drzwiami. Zobaczył wychodzącego i wszedł do poczekalni. Ravic przyśpieszył kroku. Zwrócił na siebie uwagę, to jasne. Doszedłszy do rogu, odwrócił się nagle; nikt go nie śledził. Minął szybko ekspedycję bagażową i zamknięte okienko kasowe. Schylony przebiegł koło rampy towarowej, gdzie stało kilka baniek od mleka, potem pod oknem, za którym tykał telegraf. Wreszcie wydostał się na drugą stronę budynku, szybko przeszedł przez szyny i pobiegł kwitnącą łąką w stronę jodłowego lasu. Puch ostromleczów wzbijał się w górę, kiedy tak biegł przez łąkę. Gdy dotarł do lasu i odwrócił się, zobaczył konduktora; stojąc na peronie, pokazywał go owym ludziom z poczekalni, którzy zaczęli biec w jego stronę. Skoczył w tył i zaczął przeciskać się między jodłami; ostre igły biły go po twarzy. Zatoczył wielki łuk i przystanął, żeby się nie zdradzić. Usłyszał, że tamci się zbliżają, i znów zaczął biec. Nasłuchiwał; chwilami panowała cisza, wtedy czekał. Potem doleciało do jego uszu ciche trzaśniecie gałęzi, więc rzucił się na ziemię, żeby się ciszej posuwać naprzód. Zacisnął pięści, wstrzymał oddech, żeby lepiej słyszeć. Jednocześnie miał szaloną ochotę podnieść się i rzucić do ucieczki, ale to by go zdradziło. Poruszał się tylko jednocześnie z tamtymi. Leżał teraz w gęstwinie wśród

191 błękitnych przylaszczek. *JHepatica triloba – pomyślał-hepati-ca triloba,* przylaszczka". Las wydawał się nieskończony. Teraz zewsząd słychać było trzaski. Poczuł, że się poci wszystkimi porami, jakby deszcz padał z jego ciała. Nagle załamały się pod nim nogi, jakby mu wszystkie stawy zmiękły. Usiłował wstać, ale padł znowu. Leżał na bagnie. Rozejrzał się, nie, to nie było bagno, to jego nogi, które są przecież z gumy. Oto zbliżają się prześladowcy, biegną

wprost na niego. Spróbował się podnieść, ale znów ugięły się jego gumowe kolana. Gwałtownie podrywał nogi, z trudem pełznął naprzód, ale gałązki trzaskały coraz bliżej, potem nagle ujrzał przed sobą otwierającą się polanę leśną i błękitne, przeświecające przez gałęzie niebo. Wiedział, że będzie zgubiony, jeśli nie potrafi przebiec dość prędko -zrywał się, zapadał i nagle zobaczył za sobą twarz, szyderczo uśmiechniętą twarz Haakego… Tonął, tonął bezbronny, bez pomocy, dusił się, szarpał zamierającą pierś, jęczał…

Czy to on jęczał? Gdzie jest? Czuł ucisk własnych rąk na szyi, były wilgotne. Szyję miał wilgotną, pierś wilgotną, twarz wilgotną. Otworzył oczy. Jeszcze nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest, czy na bagnie pośród jodeł, czy gdzie indziej. Jeszcze nie myślał o Paryżu. Biały księżyc wisiał na krzyżu nad nieznanym światem. Blade światło wisiało za czarnym krzyżem jak umęczona aureola świętego. Białe, martwe światło krzyczało bezgłośnie z bladego nieba barwy żelaza. Księżyc w pełni stał za krzyżem ramy okiennej w hotelu “International” w Paryżu.

Ravic usiadł. Co to było? Pociąg ociekający krwią pędził po krwawych szynach w letni wieczór; sen, który nawiedził go po raz setny; śniło mu się, że jest znowu w Niemczech, otoczony, prześladowany, ścigany przez katów krwawego ustroju, który zalegalizował morderstwo. Ileż razy powracały te sny! Ravic zapatrzył się w księżyc, białego wampira, który swoim zapożyczonym blaskiem wysysa ze świata wszystkie barwy. Sny wypełnione grozą obozów koncentracyjnych, martwymi twarzami zamordowanych przyjaciół, bezłzawym, skamieniałym bólem tych, którzy przeżyli, rozpaczliwymi pożegnaniami i straszliwą samotnością.

W dzień można było wznieść barierę, wał sięgający ponad

własne spojrzenie. Budowało się go powoli, w ciągu długich ciężkich lat, dławiąc pragnienia cynizmem, grzebiąc i depcąc wspomnienia, odrzucając wszystko prócz imion, zmieniając uczucia w cement. Gdy mimo to czasem, o jakiejś nie dopilnowanej godzinie, zjawiało się blade oblicze przeszłości, słodkie, upiorne, wzywające, można było się upić do nieprzytomności. Tak bywało za dnia… Ale nocą było się bezbronnym. Rozluźniały się hamulce dyscypliny, koła zaczynały się ślizgać poza horyzontem świadomości i wybuchało to znowu z otwartych grobów, ustępował mrożący skurcz, wracały straszliwe cienie, parowała krew, ciekła z okropnych ran, a czarny huragan zmiatał wszystkie zapory i barykady.

Zapomnieć było łatwo, dopóki świeciła latarnia woli. Kiedy gasła, kiedy rozlegało się chrobotanie robactwa, a zburzony świat wyłaniał się z fal jak zatopiona Wineta – o, wtedy było zupełnie co innego! Można było jeszcze upijać się do ciężkiej, ołowianej nieprzytomności, co wieczór, robić z nocy dzień, a z dnia noc. W dzień nawiedzały człowieka inne sny, nie było się tak zgubionym, oderwanym od wszystkiego. Jakże często wracał do hotelu, dopiero kiedy na ulice wypełzały pierwsze blaski dnia. Albo siedział w katakumbach, pijąc z każdym, kto tylko zechciał z nim pić, i czekając powrotu Morozowa z “Sze-herezady”, z którym pił dalej pod

sztucznymi palmami, w pozbawionym okien pokoju, gdzie tylko zegar wskazywał, że na dworze dnieje. Pijak w łodzi podwodnej. Łatwo było potrząsnąć głową i perorować o rozsądku. Ale, do diabła, niełatwo było go słuchać! Życie jest życiem – czymś bezcennym i nic nie wartym. Można je też odrzucić, to wcale nietrudno. Ale czyż razem z życiem nie odrzuca się zemsty i tego, co jest co dzień, co godzina ośmieszane, opluwane i wyszydzane, a co się zwie wiarą w ludzi i w ludzkość, mimo wszystko? Pustego życia nie odrzuca się jak wystrzelony nabój. Nadaje się ono jeszcze zawsze do walki, kiedy nadchodzi jej godzina. Do walki nie o siebie i nawet nie dla zemsty, choćby miała być nie wiadomo jak krwawa; nie z pobudek egoistycznych ani altruistycznych, choćby istotną przyczyną było dokonanie jednego obrotu koła, przyspieszającego wyciągnięcie świata z krwi i ruiny. Ta walka miała być tylko walką, jedyną szansą, walką do ostatniego tchu. Ale czekanie, może beznadziejne, zżerało człowieka. Dręczyła

193 myśl, że kiedy wybije godzina, będzie się już za starym, zanadto zniszczonym, zżartym, rozleniwionym wskutek czekania, zbyt znużonym, aby dotrzymać kroku. Czyż nie dlatego człowiek wdeptywał w przeszłość wszystko, co mogło osłabić jego nerwy, czyż nie tłumił tego skutecznie i twardo, sarkazmem, ironią, a nawet odwzajemnianym sentymentalizmem, ucieczką do innej istoty ludzkiej, do cudzego Ja? Aż znów kiedyś nachodziła człowieka brutalna niemoc, kiedy wydany był na łup snom i upiorom.

Opasły księżyc wpełzł już pod krzyż ramy okiennej. Nie był już ukrzyżowaną aureolą świętego, lecz tłustym, obleśnym podglądaczem, który zerka do pokojów i łóżek. Ravic przebudził się już całkowicie. Ten sen nie był jeszcze taki straszny, znał gorsze. Zresztą od dawna nic mu się nie śniło, właściwie od czasu, kiedy przestał sypiać sam.

Sięgnął ręką, butelki nie było. Nie stała już od pewnego czasu koło łóżka, tylko na stole w rogu pokoju. Zawahał się; wiedział, że nie musi pić. Ale nie musiał też powstrzymywać się od picia. Wstał i boso podszedł do stołu. Znalazł kieliszek, odkorkował butelkę i wypił. Resztki starego calvadosu! Podniósł kieliszek ku oknu. Księżyc zmienił go w opal. "Winiak nie powinien stać w świetle" – pomyślał. "Ani w świetle słońca, ani księżyca. Ranni żołnierze po nocy przebytej na dworze w czasie pełni księżyca bywali słabsi niż w inne noce". Potrząsnął głową, opróżnił kieliszek i nalał sobie drugi. Podniósł głowę i spostrzegł, że Joanna otworzyła oczy i patrzy na niego. Zatrzymał się, nie był pewny, czy zbudziła się naprawdę i czy go widzi.

–Ravic – powiedziała.

–Słucham.

Drgnęła, jakby się dopiero teraz obudziła,

–Ravic – powiedziała już innym głosem – co ty tam robisz?

–Piję-

–Ale czemu? – Wyprostowała się. – O co chodzi? – spytała półprzytomnie. – Co się stało?

–Nic. Odgarnęła włosy.

–Mój Boże – powiedziała – a ja się tak przelękłam.

–Przepraszam cię, nie myślałem, że się zbudzisz.

–Nagle zobaczyłam cię stojącego tam, w rogu, byłeś zupełnie zmieniony.

–Bardzo mi przykro, Joanno, nie sądziłem, że cię obudzę.

–Poczułam, żeś odszedł, zrobiło mi się zimno, jakiś wiatr powiał. Strach mnie ogarnął. I nagle zobaczyłam, że tam stoisz. Co się stało?

–Ależ nic, nic zupełnie. Po prostu obudziłem się i zachciało mi się pić.

–Daj i mnie łyk!

Ravic napełnił kieliszek i przyniósł jej do łóżka.

–Wyglądasz jak dziecko – powiedział. Ujęła kieliszek w obie ręce i pijąc, patrzyła na niego sponad szkła.

–Czemuś się zbudził? – zapytała.

–Nie wiem, to chyba księżyc.

–Nienawidzę księżyca.

–Przestaniesz go nienawidzić, kiedy będziemy w Antibes. Odjęła kieliszek od ust.

–A pojedziemy naprawdę?

–Naprawdę.

–Uciekniemy od tego deszczu i mgły?

–Tak, uciekniemy od tego przeklętego deszczu i od mgły.

–Daj mi jeszcze kieliszek.

–Nie chcesz spać?

–Nie, szkoda spać. Za dużo traci się z życia, śpiąc. Daj mi jeszcze kieliszek. Czy to ten dobry calvados? Mieliśmy go zabrać z sobą.

–Nic nie trzeba brać z sobą. Spojrzała na niego uważnie.

–Nigdy?

–Nigdy.

Ravic podszedł do okna i zaciągnął firanki. Zasuwały się tylko do połowy. Przez otwór sączyło się światło księżyca, dzielące pokój na dwie połowy rozproszonej ciemności.

–Czemu się nie kładziesz? – spytała Joanna.

Stał koło kanapy po drugiej stronie światła. Niewyraźnie widział siedzącą w łóżku Joannę. Jej włosy ciemną, lśniącą falą spadały na kark. Była naga. Pomiędzy nią a nim przepływała biała rzeka światła, łącząca dwa ciemne brzegi, nie płynąca

195 dokądś, tylko w swoje własne głębie. Wlewała się w ciemny czworobok pokoju, pachnącego jeszcze ciepłem snu, poprzez czarny, bezkresny, bezpowietrzny eter – załamujące się światło dalekiej, dawno zmierzchłej gwiazdy, magicznie przetworzone z ciepłych promieni słonecznych w zimny, ołowiany blask. Rzeka ta płynęła i płynęła, a przecież stała w miejscu i nie mogła napełnić sobą pokoju.

–Czemu się nie kładziesz? – powtórzyła Joanna.

Zaczął chodzić po pokoju przez cień i światło i znowu przez cień; było to zaledwie parę kroków, ale zdawało mu się, że jest bardzo daleko.

–Przyniosłeś tu butelkę?

-Tak.

–Chcesz kieliszek? Która to właściwie godzina? Ravic spojrzał na fosforyzującą tarczę zegarka.

–Około piątej.

–Piąta, a mogłaby równie dobrze być trzecia albo siódma. Nocą czas stoi w miejscu, tylko zegarki idą.

–A mimo to wszystko dzieje się nocą. Albo może właśnie dlatego.

–Co?

–Wszystko to, co za dnia staje się widoczne.

–Nie strasz mnie. Uważasz, że wszystko się dzieje, kiedy śpimy?

–Właśnie.

Wzięła mu z ręki kieliszek i wypiła. Była piękna i czuł, że ją kocha. Nie była piękna pięknością obrazu lub rzeźby; była piękna jak łąka, którą przebiega wiatr. Pulsowało w niej życie, ono to uczyniło ją taką, jaka była, z nicości, ze spotkania dwóch komórek w łonie matki. Była to ta sama niepojęta tajemnica, która sprawiała, że w maleńkim ziarnie zawarte było całe drzewo, skamieniałe, mikroskopijne, ale już istniejące, z góry określone, z gotową koroną, owocem i mieniącym się kwieciem kwietniowych poranków; ta sama tajemnica, która sprawiała, że z nocy miłosnej, ze spotkania się dwóch odrobinek śluzu, powstawały ramiona, twarz i oczy, właśnie te oczy i ramiona, i że istniały one gdzieś, wśród milionów ludzi na świecie, że człowiek stał pewnej listopadowej nocy w Paryżu na moście de rAhna,*a one nadchodziły, zbliżały się…

196

–Czemu nocą? – spytała Joanna.

–Ponieważ… Ale przysuń się do mnie, ukochana, która przyszłaś do mnie z przepaści snu, powróciłaś z księżycowych łąk… Ponieważ noc i sen to zdrajcy. Przypomnij sobie, jak usnęliśmy tej nocy, tak bliscy sobie, jak tylko mogą być bliskie sobie dwie istoty ludzkie. Nasze czoła, skóra, myśli, oddechy dotykały się i przenikały wzajemnie, kiedy powoli między nas zaczął się sypać sen. Szary, bezbarwny, tworzył najpierw małe plamki, potem gęstniał, opadał nasze myśli jak liszaj, sączył się w krew z ślepej nieświadomości – i oto nagle każde z nas poczuło się samotne, rozdzieleni płynęliśmy jakimiś ciemnymi kanałami, wydani na łup nieznanych potęg i bezkształtnej groźby. Zbudziłem się i ujrzałem ciebie. Spałaś. Byłaś daleko ode mnie. Wymknęłaś mi się. Nie chciałaś nic o mnie wiedzieć. Byłaś gdzieś, dokąd nie mogłem podążyć za tobą. – Ucałował jej ręce. – Czyż miłość może być doskonała, kiedy każdej nocy tracę cię we śnie?

–Leżałam tuż przy tobie. U twego boku. W twoich ramionach.

–Widzisz, a byłaś w jakiejś nieznanej krainie. Leżałaś u mego boku bardziej oddalona ode mnie, niż gdybyś była na Syriu-szu. Kiedy oddalasz się ode mnie w dzień, czuję się spokojny, ponieważ wiem o dniu wszystko. Ale któż wie coś o nocy?

–Byłam z tobą.

–Nie byłaś ze mną, byłaś tylko koło mnie. A któż wie, jakim powróci z tajemniczej, nie kontrolowanej krainy. Wraca zmieniony i nic o tym nie wie.

–Ty także.

–Ja także – powiedział Ravic. – A teraz oddaj kieliszek. Ja tu plotę głupstwa, a ty pijesz. Podała mu kieliszek.

–Jak to dobrze, żeś się obudził. Niech będzie błogosławiony księżyc. Gdyby nie on,

spalibyśmy, nic o sobie nie wiedząc. A może noc zasiałaby w jednym z nas ziarnko, z którego kiełkuje pożegnanie, widząc nas tak bezbronnymi. Kiełek rósłby i rósł niewidoczny, aż pewnego dnia wychynąłby na światło dzienne.

Śmiała się cicho. Ravic popatrzył na nią.

–Nie bierzesz tego bardzo na serio, co?

–Nie. A ty?

197 – Też nie. Ale coś w tym jest. Właśnie dlatego nic nie bierzemy serio. W tym właśnie tkwi wielkość człowieka. Znów się roześmiała.

–Nie lękam się. Wierzę naszym ciałom. One lepiej wiedzą, czego chcą, niż myśli, które nocą straszą w naszych mózgach. Ravic opróżnił kieliszek.

–W takim razie wszystko w porządku – rzekł.

–Nie warto już spać tej nocy!

Podniósł butelkę ku srebrnej poświacie księżyca. Była w niej jeszcze jedna trzecia zawartości.

–Niewiele zostało – powiedział – ale możemy spróbować. Postawił butelkę na nocnym stoliku. Potem odwrócił się i spojrzał na Joannę.

–Wyglądasz jak wszystkie pragnienia mężczyzny i jedno więcej, o którym nie wiedział.

–lb dobrze – powiedziała. – Musimy budzić się co noc. Nocą jesteś zupełnie inny niż za dnia.

–Lepszy?

–Inny. Nocą jesteś zadziwiający. Jak gdybyś wracał z rejonów, o których się nic nie wie.

–Awdzień?

–Nie zawsze. Czasami.

–Ładne wyznanie. Nie ośmieliłabyś się powiedzieć mi tego przed kilku tygodniami.

–Mniej cię znałam.

Spojrzał na nią, ale w jej twarzy nie zobaczył ani cienia dwuznaczności. Mówiła z prostotą to, co myślała; nie chciała go dotknąć ani powiedzieć czegoś niezwykłego.

–Ładnie się zaczyna – powiedział.

–Dlaczego?

–Za parę tygodni poznasz mnie jeszcze lepiej, będę dla ciebie coraz mniej zadziwiający.

–Tak jak i ja – powiedziała, śmiejąc się Joanna.

–Bynajmniej.

–Dlaczego?

–Odpowiedź na to pytanie znajdziesz w pięćdziesięciu tysiącach lat naszej biologii. Miłość czyni mężczyznę ślepym, a zaostrza wzrok kobiety.

–Kochasz mnie?

–Tak.

–Nie mówisz mi tego dość często – powiedziała i przeciągnęła się.

"Jak syta kotka" – pomyślał Ravic. "Jak syta kotka, pewna swej ofiary".

–Są chwile, kiedy chętnie bym cię wyrzucił przez okno.

–Czemuż tego nie zrobisz? Patrzył na nią.

–Mógłbyś to zrobić?

Nie odpowiedział. Joanna oparła się plecami o poduszkę.

–Mógłbyś zniszczyć kogoś z miłości? Zabić dlatego, że za mocno kochasz?

Ravic sięgnął po butelkę.

–Mój Boże – powiedział – czym sobie na to zasłużyłem? Zbudzić się nocą, żeby wysłuchiwać czegoś podobnego!

–Czy to nieprawda?

–Owszem, tak właśnie myślą trzeciorzędni poeci i kobiety, którym się to nigdy nie zdarza.

–Ale i ci, co tak postępują.

–Dobrze już, dobrze.

–A ty mógłbyś tak zrobić?

–Joanno – powiedział Ravic – daj spokój tym bzdurom. Źle trafiłaś. Zabiłem zbyt wielu ludzi jako amator i jako zawodowiec. Jako żołnierz i jako chirurg. To rodzi w człowieku pogardę, obojętność i szacunek dla życia. Zabijając, niewiele spraw się rozwiązuje. Kto często zabijał, nie zabija z miłości. W ten sposób ośmiesza się i pomniejsza śmierć. A śmierć nie jest nigdy mała ani śmieszna. I nie obchodzi kobiet; to sprawa czysto męska. – Zamilkł na chwilę. – Ale o czym my też mówimy? – powiedział, pochylając się nad nią. – Czyż nie jesteś moim szczęściem nie zapuszczającym korzeni? Moim szczęściem w obłokach i w świetle reflektorów? Chcę cię całować. Nigdy życie nie było tak drogocenne, jak dziś, kiedy tak mało znaczy.

16

Światło. Bezustanne światło. Leciało sponad horyzontu jak biała piana między ciemnym błękitem morza i jaśniejszym błękitem nieba. Przelatywało bez tchu i jako najgłębszy oddech, źródło i odblask, zwykła odwieczna radość, że jest tak jasne, tak lśni, unosi się tak pozbawione materii…

"Jaki blask pada na jej głowę" – myślał Ravic. "Jak bezbarwna aureola. Przestrzeń bez perspektywy. Jak spływa z jej ramion. Mleko z Chanaan, jedwab utkany z promieni! Nikt nie jest nagi w tym świetle. Skóra chwyta je i odbija, jak skały odbijają morze. Świetlna piana, przezroczysty chaos, najcieńsza suknia z najjaśniejszej mgły…"

–Jak długo już tu jesteśmy? – spytała Joanna.

–Osiem dni.

–Wydaje się, jakby osiem lat, co?

–Nie – powiedział Ravic – zaledwie jak osiem godzin. Osiem godzin i trzy tysiące lat. Tu, gdzie stoisz w tej chwili, stała trzy tysiące lat temu młoda kobieta z Etrurii, a wiatr tak samo wiał od Afryki, pędząc przed sobą światło poprzez morze.

Przysiadła koło niego na skale.

–Kiedy musimy wracać do Paryża?

–Zobaczymy wieczorem w kasynie.

–Wygraliśmy?

–Nie dosyć.

–Grasz, jakbyś grał całe życie. A może rzeczywiście to robiłeś. Przecież nic nie wiem o tobie. Dlaczego krupier przywitał cię, jakbyś był bogatym fabrykantem amunicji?

–Wziął mnie za fabrykanta amunicji.

–Nieprawda, i ty go poznałeś.

–Udawałem przez grzeczność.

200

l

–Kiedy byłeś tu ostatni raz?

–Nie wiem. Kiedyś, przed wielu laty. Jak ty się opaliłaś! Powinnaś mieć zawsze taką brązową cerę.

–W takim razie powinna bym tu zawsze mieszkać.

–A chciałabyś?

–Nie przez całe życie. Ale chciałabym zawsze żyć tak jak teraz. – Odrzuciła włosy na ramiona. – Pewno myślisz, że jestem bardzo powierzchowna, co?

–Nie – powiedział Ravic. Uśmiechnęła się i odwróciła ku niemu.

–Wiem, że to powierzchowne, ale, mój Boże, mieliśmy tego o wiele za mało w naszym przeklętym życiu! Mieliśmy dosyć wojen, głodu, przewrotów, rewolucji i inflacji – a nigdy odrobiny pewności, lekkości, spokoju i czasu. A teraz mówisz, że znowu będzie wojna. Nasi rodzice mieli łatwiejsze życie niż my.

–Tak.

–Mamy tylko to jedno krótkie życie i ono mija. – Wsparła dłonie na ciepłym kamieniu. – Nie jestem wiele warta, Ravic. Nie zależy mi na tym, aby żyć w historycznych czasach. Chciałabym być szczęśliwa, a nie, żeby wszystko było takie ciężkie i trudne.

–Któż by tego nie chciał, Joanno?

–Ty także?

–Ależ oczywiście!

"Ten błękit" – myślał Ravic. "Ten niemal bezbarwny błękit na horyzoncie, gdzie niebo zanurza się w wodzie, a potem burza ogarniająca morze ku zenitowi, aż po te oczy, które tu są bardziej błękitne, niż były kiedykolwiek w Paryżu".

–Chciałabym, żebyśmy mogli tak żyć – powiedziała Joanna.

–Ależ tak właśnie żyjemy – w tej chwili.

–Owszem, w tej chwili, parę dni; ale potem trzeba będzie znów wracać do Paryża, do nocnego lokalu, gdzie nic się nie zmienia, do życia w brudnym hoteliku…

–Pj-zesada. Twój hotel wcale nie jest brudny. Mój, owszem, prócz pokoju, który zajmuję. Oparła się na łokciach. Wiatr rozwiewał jej włosy.

–Morozow opowiadał, że jesteś wspaniałym lekarzem. Szkoda, że tak ci się wszystko źle składa. Mógłbyś zarabiać mnóstwo pieniędzy. Szczególnie jako chirurg. Profesor Durant…

–Skąd on ci przyszedł na myśl?

–Czasami przychodzi do “Szeherezady". Starszy kelner Renę mówi, że Durant palcem nie tknie pacjenta taniej niż za dziesięć tysięcy franków.

–Renę jest dobrze poinformowany.

–A czasami przeprowadza dwie lub trzy operacje dziennie. Ma podobno wspaniały dom, packarda…

“Jakie to dziwne" – myślał Ravic. “Twarz jej się nie zmienia. Jest może jeszcze bardziej czarująca, kiedy plecie od tysięcy lat te same babskie bzdury. Wygląda jak amazonka o oczach barwy morza, kiedy z kobiecym instynktem przedłużania gatunku głosi bankierskie ideały. Ale czyż nie ma racji? Czyż racja nie jest zawsze po stronie takiej piękności? I czyż świat odmówiłby jej jakiegokolwiek rozgrzeszenia?"

Zobaczył motorówkę, która zbliżała się ku nim w wirze piany. Nie poruszył się; wiedział, po co przybywa.

–Oto twoi przyjaciele – powiedział.

–Gdzie? – Joanna od dawna już widziała łódź. – Czemu to “moi" przyjaciele? Są o wiele bardziej twoimi przyjaciółmi. Znają cię dłużej niż mnie.

–O dziesięć minut…

–To wszystko jedno. Ravic roześmiał się.

–Dobrze, Joanno.

–Nie popłynę z nimi. To jasne. Ani mi się śni.

–Oczywiście.

Wyciągnął się na skale i przymknął oczy. Słońce stało się od razu ciepłą złotą kołdrą. Wiedział, co teraz nastąpi.

–Nie jesteśmy bardzo uprzejmi – powiedziała Joanna po chwili.

–Zakochani nigdy nie są bardzo uprzejmi.

–Ci dwaj płyną tu jedynie z naszego powodu. Żeby nas zabrać. Jeśli nie zamierzamy z nimi popłynąć, powinieneś przynajmniej zejść na dół i powiedzieć im to.

–Słusznie – powiedział Ravic, nie otwierając oczu. – Ale uprośćmy to. Zejdź do nich, powiedz, że mam jakąś robotę, i płyń z nimi sama. Tak jak wczoraj.

–Robotę, robotę… to dziwnie brzmi. Kto tu pracuje? Dlaczego nie chcesz z nami płynąć? Oni cię bardzo lubią. Byli wczoraj rozczarowani, że zostałeś.

202

–O Boże! – Ravic otworzył szeroko oczy. – Czemu wszystkie kobiety gustują w podobnie idiotycznych rozmówkach? Masz ochotę popływać, ja nie mam motorówki, życie jest krótkie, jesteśmy tu tylko na parę dni, dlaczego mam udawać wspaniałomyślnego i przekonywać cię, żebyś zrobiła to, co i tak zrobisz, tylko dlatego, żebyś się lepiej czuła?

–Nie potrzebujesz mnie przekonywać. Zrobię, co zechcę.

Spojrzała na niego. Jej oczy nie straciły intensywnej pramienno-ści, tylko usta wykrzywiły się na chwilę, ale stało się to tak szybko, iż mógł sądzić, że się omylił. Ale wiedział, że się nie omylił.

Morze biło, klaszcząc o skały koło pomostu, fala tryskała wysoko, a wiatr niósł deszcz błyszczących kropel. Ravic poczuł na skórze krótki dreszcz.

–To była twoja fala – powiedziała Joanna – z tej historii, którą opowiadałeś mi w Paryżu.

–Zapamiętałaś ją?

–Tak, ale ty nie jesteś głazem. Jesteś blokiem betonu.

Zaczęła schodzić do przystani i przez chwilę całe niebo spoczęło na jej pięknych ramionach. Wyglądała, jakby niosła niebo. Czuła się usprawiedliwiona. “Będzie siedziała w białej łodzi, z włosami rozwianymi na wietrze, a ja jestem idiota, że z nimi nie płynę" – myślał Ravic. “Ale nie nadaję się do tej roli. To także głupia zarozumiałość z minionych dni, rodzaj donkiszo-terii; ale cóż nam pozostaje? Kwitnące drzewa figowe w księżycową noc, filozofia Seneki i Sokratesa, koncert skrzypcowy Schumanna i wcześniejsza niż u innych świadomość utraty tego wszystkiego".

Z dołu dochodził głos Joanny, potem głuchy warkot motoru. Ravic podniósł się. Joanna zajmie miejsce na rufie. Niedaleko jest wyspa, na wyspie klasztor. Czasem słychać stamtąd pianie

kogutów. Jakie czerwone wydaje się słońce przez zamknięte powieki. Radosne łąki młodości czerwienią się kwiatami oczekiwania. Stara kołysanka morza. Dzwony Vinety. Magia bezmyślnego szczęścia. Usnął.

Po południu wyprowadził z garażu talbota, którego Morozow

wynajął dla niego w Paryżu. Przyjechał nim razem z Joanną.

Jechał wzdłuż wybrzeża. Dzień był jasny, prawie zbyt piękny.

203Przejechał środkową część La Corniche, przez Nkeę i Monte Carlo do Yille-Franche. Lubił ten mały, stary port i dłuższy czas siedział przed barem na nabrzeżu. Powoli krążył po ogrodzie kasyna w Monte Carlo i po cmentarzu dla samobójców, położonym wysoko nad morzem. Odnalazł pewien grób, stanął nad nim, uśmiechnął się. Potem jechał wąziutkimi uliczkami starej Nicei i przez ozdobione pomnikami place nowej dzielnicy, wreszcie zawrócił, minął Cannes i znalazł się tam, gdzie skały były czerwone, a małe wioski rybackie nosiły biblijne nazwy.

Zapomniał o Joannie, zapomniał o sobie samym. Chłonął po prostu ten jasny dzień, ten trójgłos słońca, morza i ziemi, który sprawiał, że wybrzeże kwitło, gdy góry nad nim pokryte były śniegiem. Deszcz wisiał nad Francją, burza szalała nad Europą, a ten wąski skrawek ziemi zdawał się nic o tym nie wiedzieć. Był jakby zapomniany, życie miało tu inne tętno i podczas kiedy dalekie ziemie szarzały we mgle nędzy, złych przeczuć i niebezpieczeństwa, tu świeciło pogodnie słońce, a w jego blasku zbierała się cała pianka ginącego świata.

Taniec ciem i komarów wokół ostatniego światła, nieważny jak każdy taniec komarów, bezmyślny jak muzyka dochodząca z kawiarni; świat, zbyteczny jak motyle w październiku, czujące już mróz w swoich maleńkich serduszkach, świat, który jeszcze tańczy, gawędzi, flirtuje, kocha, zdradza i błaznuje, zanim usłyszy świst kosy i huraganu.

Ravic skręcił do Saint Raphael. Mały czworokątny port był pełen żaglówek i motorówek. Przed kawiarniami na nabrzeżu ustawiono barwne parasole. Opalone kobiety siedziały przy stolikach. “Ach, jak szybko wraca się do tego" – pomyślał. “To beztroskie, przyjemne życie. Wesoła pokusa, odprężenie, gra -jak prędko się do tego wraca, choćby po długim czasie". I on żył kiedyś tym motylim życiem i sądził, że ma go dosyć. Wóz wystrzelił zza zakrętu na prostą ulicę, wiodącą ku promienistemu zachodowi.

Powróciwszy do hotelu, zastał wiadomość od Joanny. Telefonowała i kazała mu powiedzieć, że nie wróci na obiad. Zszedł do “Eden Roc"; siedziało tam niewiele osób. Większość spędzała wieczór w Juan les Pins i w Cannes. Ravic usiadł przy balu-

stradzie, w miejscu, gdzie taras wznosił się ponad skałą jak pokład okrętu. Pod nim pieniła się toń. Fale wynurzały się z płomiennego zachodu, grając ciemną czerwienią i pawią zielonością,

zmieniając ją w jaśniejszą pomarańczową i złocistą czerwień, potem skupiały zmrok na swoich smukłych grzbietach i uderzając o skały, rozpylały go w barwną pianę zmierzchu.

Ravic długo siedział na tarasie. Czuł chłód i bolesną samotność. Przewidywał trzeźwo i bez emocji to, co musiało nastąpić. Wiedział, że może temu jeszcze na jakiś czas zapobiec. Istniały pewne triki i posunięcia. Znał je i wiedział, że ich nie zastosuje. Sprawy zaszły już za daleko. Triki dobre były w małych przygodach, tu pozostawało tylko jedno: przetrwać bez oszukiwania samego siebie i bez wykrętów.

Podniósł pod światło kieliszek z lekkim prowansalskim winem. “Chłodna noc, taras wśród szumu morza, na niebie pożegnalny uśmiech słońca i dzwonienie dalekich gwiazd" – myślał. “A we mnie chłodne światło reflektora, które dosięga milczącej przyszłości, prześlizguje się nad nią i pozostawiają znowu w mroku. Wiem o tym i chwilowo nie cierpię, ale wiem, że będę cierpiał. I znów trzymam w ręku swoje życie, jak przezroczysty kieliszek napełniony winem, które w nim nie pozostanie, gdyż skwaśniałoby, zmieniłoby się w ocet umarłej namiętności". To nie może trwać. W tamtym, cudzym życiu było za wiele rozpoczynania, aby to mogło trwać. Niewinnie i bezwzględnie zwracało się jak roślina ku słońcu, pokusie i barwnej urozmaiconej egzystencji. Pragnęło przyszłości, podczas kiedy wszystko, co on mógł dać, było nędzną teraźniejszością. Nic się jeszcze nie stało. I nie musiało się nic stać. Wszystko decyduje się o wiele wcześniej. Tylko ludzie o tym nie wiedzą, biorą widoczny kres za decyzję, która zapadła w milczeniu dawno, przed kilku miesiącami.

Ravic wychylił kieliszek. Wino smakowało teraz inaczej. Nalał znowu i dawny, lekki smak powrócił.

Wstał i pojechał do kasyna w Cannes.

Grał spokojnie, małymi stawkami. Wewnątrz czuł chłód i wiedział, że będzie wygrywał, dopóki ten chłód potrwa. Postawił na ostatnią dwunastkę, kwadrat dwudziestu siedmiu i dwa-

205dzieścia siedem. Po godzinie wygrał trzy tysiące franków. Podwoił stawkę na kwadrat i postawił na cztery.

Zobaczył Joannę w chwili, gdy weszła. Zmieniła suknię, musiała wrócić zaraz po jego wyjściu. Towarzyszyli jej dwaj panowie, z którymi pływała motorówką. Wiedział, że jeden z nich, Belg, nazywa się Le Clerą, drugi zaś, Nugent, jest Amerykaninem. Joanna wyglądała bardzo pięknie. Miała białą suknię w wielkie szare kwiaty. Kupił ją dla niej w przeddzień wyjazdu. Ujrzawszy ją, nie mogła powstrzymać okrzyku zachwytu. “Skąd się tak znasz na wieczorowych sukniach? – powiedziała. – Ta jest o wiele piękniejsza od mojej". Przyjrzała jej się raz jeszcze. “I o wiele droższa" – dodała. “Ptaku – myślał Ravic -jeszcze siedzisz na mojej gałązce, ale już otwierasz skrzydełka do lotu".

Krupier podsunął mu sztony. Kwadrat wygrał. Ravic wziął wygraną i pozostawił stawkę. Joanna poszła ku stołom bakara-ta. Nie był pewny, czy go spostrzegła. Kilku mężczyzn, którzy

nie grali, spoglądało za nią. Poruszała się zawsze, jakby szła pod wiatr i nie znała mety. Odwróciła głowę, mówiąc coś do Nugenta, i nagle Ravic poczuł, że jego dłonie pragną odepchnąć sztony, że pragnie odepchnąć się od zielonego stolika, chwycić Joannę, przecisnąć się między tymi ludźmi przez drzwi i unieść ją na jakaś wyspę, może na wyspę widoczną na horyzoncie w Antibes, daleko od wszystkich, gdzie będzie ją mógł odgrodzić od świata i zatrzymać… Znów postawił. Teraz wyszła siódemka. Wyspy nie odosobniają. Nie można zakreślić granic niepokojowi serca. Łatwiej utracić to, co się trzyma w ramionach, niż to, co się opuściło. Kulka powoli traciła szybkość. Dwanaście. Postawił znowu. Gdy podniósł głowę, spojrzał prosto w oczy Joanny. Stała po drugiej stronie stołu i patrzyła na niego. Skinął jej z uśmiechem głową. Patrzyła. Wskazał na koło i wzruszył ramionami. Wyszła dziewiętnastka. Postawił i znów jej poszukał wzrokiem. Znikła. Zmusił się, żeby siedzieć dalej. Wziął z paczki papierosa, służący podał mu ognia. Był to tłusty, łysy człowiek w mundurze.

–Nie te czasy – powiedział.

–Tak – potwierdził Ravic. Nie znał tego człowieka.

–W dwudziestym dziewiątym inaczej bywało…

–Tak…

206

Ravic nie pamiętał, czy istotnie był w Cannes w 1929 roku, czy też tamten tak sobie baje. Spostrzegł, że czwórka wygrała, przegapił ją, usiłował się skupić. I nagle przyszło mu na myśl, że to idiotyzm grać tymi paru frankami, żeby o kilka dni przedłużyć pobyt w Cannes. Po co? I po co tu w ogóle przyjeżdżał? Przeklęta słabość, nic więcej. Wżerała się w człowieka podstępnie, a on orientował się w tym dopiero, kiedy po wielkim wysiłku następowało załamanie. Morozow miał rację. Najlepszy sposób, aby utracić kobietę, to pokazać jej życie, na jakie można się zdobyć zaledwie w ciągu paru dni. Będzie się starała utrzymać je – ale z kim innym, kto potrafi jej dać to na stałe. “Powiem jej, że musimy wracać" – pomyślał. “W Paryżu rozstanę się z nią, nim będzie za późno".

Zastanawiał się, czy nie zagrać jeszcze przy innym stoliku, ale odeszła mu ochota. Nie powinno się powtarzać w mniejszym zakresie tego, co się kiedyś zrobiło w większym. Rozejrzał się, Joanny nigdzie nie było. Wstąpił do baru i wypił kieliszek koniaku. Potem poszedł tam, gdzie zaparkował auto, żeby się jeszcze trochę przejechać.

Ledwie zapuścił motor, zobaczył Joannę. Wysiadł, podeszła szybko do niego.

–Chciałeś beze mnie jechać do domu? – zapytała.

–Chciałem pojechać na godzinę w góry, a potem wrócić.

–Kłamiesz! Wcale nie miałeś zamiaru wracać. Chciałeś mnie zostawić z tymi idiotami.

–Joanno – rzekł – wkrótce powiesz, że z mojej winy spędziłaś z nimi popołudnie.

–Bo to twoja wina! Popłynęłam z nimi dlatego, że byłam wściekła. Czemu nic czekałeś w hotelu, aż wrócę?

–Przecież poszłaś ze swoimi idiotami na obiad. Na chwilę zmilkła.

–Poszłam z nimi tylko dlatego, żeś na mnie nie czekał.

–Doskonale, nie mówmy o tym, Joanno. Dobrze się bawiłaś?

–Nie.

Stała przed nim wzburzona, gwałtowna, bez tchu, spowita w błękitną czerń łagodnej nocy, księżyc był w jej włosach, a usta

207w bladej, śmiałej twarzy płonęły tak ciemną czerwienią, że wydały się niemal czarne. Luty 1939 roku, w Paryżu musi zacząć się to, co jest nieuniknione, nadejdzie powoli, pełznąc, ze wszystkimi małymi kłamstwami, upokorzeniami i rozterkami. Chciał się z nią rozstać, zanim to nastąpi… ale są jeszcze tutaj i pozostało im już niewiele dni.

–Gdzie chciałeś jechać? – spytała.

–Nigdzie specjalnie, przed siebie.

–Pojadę z tobą.

–A co na to twoi idioci?

–Nic, pożegnałam się z nimi. Powiedziałam, że na mnie czekasz.

–Nieźle – powiedział Ravic. – Jesteś rozgarniętym dzieckiem. Poczekaj, podniosę dach.

–Zostaw, mam ciepły płaszcz. Jedźmy wolno koło tych wszystkich kawiarni, gdzie siedzą ludzie, którzy nie mają nic innego do roboty, tylko być szczęśliwi. Oni się nie sprzeczają.

Wśliznęła się koło niego na siedzenie i pocałowała go.

–Ravic, jestem pierwszy raz na Riwierze, zrozum mnie. Pierwszy raz jesteśmy naprawdę razem, noce są ciepłe i jestem taka szczęśliwa!

Wydostał się z natłoku wozów, minął hotel “Carlton" i pomknął w kierunku Juan les Pins.

–Pierwszy raz – powtórzyła – pierwszy raz. Wiem, co chcesz powiedzieć, daj spokój. – Przysunęła się do niego i wsparła głowę na jego ramieniu. – Zapomnij o tym, co dziś było. Nie myśl o tym. Jesteś wspaniałym kierowcą, Ravic, czy wiesz? To, co zrobiłeś w tej chwili, było

wspaniałe. Idioci są tego samego zdania. Wczoraj widzieli, co potrafisz robić z wozem. Jesteś tajemniczy, nie masz przeszłości, nic o tobie nie wiem. Sto razy lepiej znam już życie tych idiotów niż twoje. Jak myślisz, czy można by się tu gdzieś napić calvadosu? Muszę coś wypić po wzruszeniach tego dnia. Trudno żyć z tobą.

Wóz mknął po drodze jak nisko lecący ptak.

–Nie za prędko? – spytał Ravic.

–Ależ skąd, jedź szybciej, żeby wiatr przez nas przewiewał jak przez drzewa. Patrz, jak noc szybko mija. Miłość przenika mnie, staję się od niej przezroczysta. Kocham cię tak bardzo, że serce mi taje, jak kobiecie pracującej na polu, na którą pa-

trzy mężczyzna. Moje serce chyli się ku ziemi, chciałoby leżeć na łące, leżeć i zarazem fruwać. Czy to nie szaleństwo? Moje serce szaleje, kiedy prowadzisz wóz. Nie wracajmy do Paryża. Chodź, ukradniemy kasetkę z biżuterią albo rozbijemy bank, weźmiemy auto i nigdy nie wrócimy.

Zatrzymał się przed małym barem. Ucichł warkot motoru i wtedy z daleka usłyszeli głęboki oddech morza.

–Wejdźmy – powiedział. – Napijesz się swojego calvadosu. Ile dotychczas wypiłaś?

–Za dużo. To przez ciebie. Nie mogłam dłużej słuchać bełkotu idiotów.

–To czemuś nie wróciła do mnie?

–Ależ wróciłam!

–Owszem, kiedy pomyślałaś, że odjeżdżam. Jadłaś co?

–Niewiele, jestem głodna. Wygrałeś?

–Tak.

–To jedźmy do najdroższej restauracji, każmy sobie podać kawioru i szampana i bawmy się, jak nasi rodzice przed tymi wszystkimi wojnami, lekkomyślnie, sentymentalnie i bezpiecznie, w złym guście, ze łzami, księżycem, wśród oleandrów, dźwięku skrzypiec, miłości i morza. Chcę marzyć, że będziemy mieli dzieci, ogród i dom, że ty zdobyłeś paszport i przyszłość; ja dla ciebie poświęcam wielką karierę, kochamy się dwadzieścia lat i jesteśmy zazdrośni o siebie, zawsze jestem równie piękna dla ciebie i nie sypiam, kiedy cię nie ma nocą w domu i… – Łzy spływały po jej twarzy. Uśmiechnęła się. – Widzisz, ukochany, to wszystko właśnie jest w złym guście…

–Siadaj – powiedział. – Pojedziemy do “Chateau Madrid", w góry. Będziesz tam miała rosyjskich Cyganów i wszystko, o czym tylko zamarzysz.

Był wczesny ranek. Perłowoszare morze nie miało ani jednej zmarszczki, niebo było bez chmur i bez barwy. Jedynie na horyzoncie wystawał ponad wodę wąski pasek srebra. Było tak cicho, że słyszeli własne oddechy. Byli ostatnimi gośćmi. Cyganie wyprzedzili ich na serpentynie rozklekotanym fordem, kelner pędził citroenem, kucharz śpieszył po zapasy sześcioosobowym delahaye model 1929.

209- Świta – powiedział Ravic. – Noc jest teraz po drugiej stronie kuli ziemskiej. Niedługo będą samoloty, którymi da sieją dogonić. Będą lecieć tak szybko, jak Ziemia się obraca. Jeżeli wtedy powiesz mi o czwartej rano, że mnie kochasz, będzie mogła dla nas pozostać wiecznie czwarta godzina. Po prostu razem z czasem będziemy śmigali dokoła Ziemi, a zegary nic nas nie będą obchodzić.

Joanna wsparła się o niego.

–Nic na to nie poradzę, tu jest zbyt pięknie. Tu jest tak cudownie, że serce pęka. Nie śmiej się…

–Tu jest cudownie, Joanno. Spojrzała na niego.

–Gdzie jest taki samolot, o jakim mówiłeś? Będziemy starzy, jedyny, zanim wymyślą twoje samoloty. Nie chcę się zestarzeć. A ty?

–Ja chcę.

–Naprawdę?

–Chcę być tak stary, jak tylko się da.

–Czemu?

–Chcę wiedzieć, co się stanie z tą planetą.

–Aja nie chcę być stara!

–Nigdy nie będziesz stara; życie przejdzie po twojej twarzy i to wszystko. Staniesz się jeszcze piękniejsza. Człowiek jest wtedy stary, kiedy przestaje czuć.

–Nie, kiedy przestaje kochać.

Ravic nie odpowiedział. “Opuścić ciebie – dumał – opuścić! Czyżbym naprawdę myślał o tym w Cannes parę godzin temu?" Leżała w jego ramionach.

–Wycieczka się skończyła, jadę do domu i będę spała z tobą. Jakie to wszystko piękne! Jakie

to piękne, kiedy można żyć całą swoją istotą, a nie tylko jakąś jej cząstką. Kiedy się jest pełnym po wręby, tak że nie mieści się nic więcej. Jedźmy do domu, do naszego pożyczonego domu, do tego białego hotelu, który wygląda jak wiejski dom w ogrodzie.

Wóz ześlizgiwał się w dół serpentyną prawie z wyłączonym silnikiem. Powoli się rozwidniało, ziemia pachniała rosą. Ravic zgasił reflektory. Przejeżdżając La Corniche spotkali wozy z kwiatami i jarzynami. Byli na drodze do Nicei. W chwilę potem wyminęli kompanię spahisów. Poprzez war-

kot motoru dochodził koński galop; brzmiał cienko i niemal sztucznie na asfaltowanej drodze. Pod burnusami ciemniały twarze jeźdźców.

Ravic spojrzał na Joannę, odwzajemniła mu uśmiech. Jej twarz była blada, zmęczona i zdawała się drobniejsza niż zwykle. W swym zmęczeniu wydawała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek, tego magicznego, cichego poranka, od którego “wczoraj" usunęło się i znikło i który nie miał jeszcze żadnej godziny; zawisł bezczasowy, spokojny, bez lęku i pytań.

Zatoka Antibes podbiegła ku nim szerokim półokręgiem. Robiło się coraz jaśniej. Na niebieszczący się dzień rzucały szare cienie cztery okręty wojenne: trzy torpedowce i krążownik. Widocznie weszły nocą do portu. Milczące i groźne rysowały się na tle jaśniejącego nieba. Ravic spojrzał na Joannę. Usnęła na jego ramieniu.

17

Ravic szedł do kliniki. Przed tygodniem powrócił z Riwiery. Nagle stanął. To, co zobaczył, wyglądało jak pudełko z zabawkami. Nowa budowla błyszczała w słońcu jak ustawiona z klocków; wokoło oplatały ją filigranowe rusztowania, a kiedy belka z małą figurką ludzką zachybotała się, wyglądała jak spadająca zapałka, której trzyma się mucha. Spadała, spadała, wydawało się, że będzie tak wiecznie lecieć; figurka oderwała się od niej i wyglądała teraz jak mała lalka, która wyciągnęła ręce, żeglując niezdarnie w dół. Świat zamarł w bezruchu i ciszy. Ani wietrzyka, ani oddechu, ani dźwięku, tylko ta maleńka figurka i sztywna belka spadały, spadały…

Nagle wszystko stało się krzykiem i ruchem. Ravic spostrzegł, że wstrzymywał dotąd oddech. Podbiegł.

Ofiara leżała na bruku. Sekundę temu ulica była prawie pusta, teraz roił się na niej tłum. Biegli ze wszystkich stron, jakby ich wzywał dzwon na trwogę. Ravic przecisnął się przez ciżbę. Zobaczył, że dwaj robotnicy usiłują podnieść nieszczęśliwego.

–Nie ruszajcie go! – krzyknął. – Niech tak leży! Zrobili mu przejście. Dwaj robotnicy dźwignęli ofiarę.

–Opuśćcie go powoli! Ostrożnie!

–Kto pan jest? – spytał jeden z robotników. – Lekarz?

–Tak.

–Dobrze.

Ułożyli go z powrotem na bruku. Ravic ukląkł przy nim, ostrożnie rozpiął przepoconą bluzę i obmacał ciało. Potem wstał.

–I co? – spytał robotnik, który go pierwszy zagadnął. – Stracił przytomność, co? Ravic potrząsnął głową.

–Co jest? – spytał robotnik.

–Nie żyje.

–Nie żyje?

–Tak.

–Ależ – powiedział z niedowierzaniem człowiek – dopiero co jedliśmy razem obiad.

–Czy jest tu doktor? – odezwał się ktoś spoza pierścienia ludzi.

–A o co chodzi? – spytał Ravic.

–Czy jest tu doktor? Prędko!

–Co się stało?

–Kobieta…

–Jaka kobieta?

–Belka spadła na nią. Krwawi.

Ravic utorował sobie drogę przez tłum. Niska kobieta w szerokim niebieskim fartuchu leżała na kupie piasku obok dołu z wapnem. Twarz miała pomarszczoną, bardzo bladą, a oczy były nieruchome jak kawałki węgla. Spod szyi jak fontanna tryskała strużka krwi. Tryskała skośnym pulsującym strumyczkiem, wywołując wrażenie dziwnego nieporządku. Piasek chciwie wsysał ciemne jeziorko koło jej głowy. Ravic uci-snął tętnicę. Sięgnął po bandaż do małej apteczki podręcznej, z którą się nie rozstawał.

–Proszę potrzymać – powiedział do najbliżej stojącego.

Cztery ręce jednocześnie wyciągnęły się po torbę, która upadła na piasek i otworzyła się. Ravic chwycił nożyczki i tampon, rozciął bandaż.

Kobieta nie odzywała się, nawet jej oczy pozostały nieruchome. Była sztywna i wszystkie mięśnie jej ciała drżały w napięciu.

–Wszystko będzie dobrze, matko – powiedział Ravic. – Wszystko będzie dobrze.

Belka, spadając, uderzyła ją w ramię i w szyję. Ramię było zmiażdżone, obojczyk złamany, staw rozbity. Na pewno pozostanie sztywny.

–To lewa ręka – powiedział Ravic, badając ostrożnie kark. Skóra była zdarta, ale reszta cała. Kobieta miała wykręconą nogę. Obmacał kości. Miała szare pończochy, starannie pocerowane, zawiązane pod kolanem czarną tasiemką – jakie

213szczegóły zawsze *się* spostrzega! Buciki sznurowane, czarne, łatane na noskach, sznurowadła zawiązane na podwójny węzeł. – Czy ktoś dzwonił po pogotowie? – zapytał. Nikt nie odpowiedział. Wreszcie odezwał się jakiś głos:

–Zdaje się, że policjant telefonował. Ravic podniósł głowę.

–Policjant? Gdzie on jest?

–O tam, z drugim… Ravic wstał.

–W takim razie wszystko w porządku.

Już miał odejść. W tej chwili policjant przecisnął się przez ciżbę. Był to zupełnie młody człowiek z notesem w ręku. W pośpiechu ślinił krótki, źle zatemperowany ołówek.

–Chwileczkę – rzucił i zaczął pisać.

–Zrobiłem już, co się dało – powiedział Ravic.

–Chwileczkę, proszę pana!

–Spieszę się, mam pilny wypadek.

–Chwileczkę, proszę pana. Pan jest lekarzem?

–Podwiązałem tętnicę, to wszystko. Teraz trzeba czekać na pogotowie.

–Chwileczkę, panie doktorze. Muszę zapisać pana nazwisko. Pan będzie świadczył. Kobieta może umrzeć.

–Nie umrze.

–No, jeszcze nie wiadomo. A przecież chodzi o odszkodowanie.

–Czy dzwonił pan do pogotowia?

–Kolega to załatwia. Niech mi pan nie przeszkadza, bo będzie jeszcze dłużej trwało.

–Kobieta leży półżywa, a pan chce wiać – powiedział jeden z robotników z wyrzutem.

–Umarłaby, gdybym jej nie pomógł.

–No, więc – powiedział nielogicznie robotnik – musi pan jeszcze zostać.

Rozległ się suchy trzask aparatu fotograficznego. Do Ravica uśmiechnął się młodzieniec w kapeluszu z podniesionym rondem.

–Czy nie byłby pan łaskaw schylić się jeszcze raz, jakby pan bandażował ranę?

–Nie.

214

–Tb dla prasy. Fotografia pana ukaże się wraz z nazwiskiem i notatką, że ocalił pan tej kobiecie życie. To doskonała reklama dla lekarza. Pan będzie łaskaw tutaj, tu lepsze światło.

–Idź pan do diabła! – powiedział Ravic. – Kobietę trzeba prędko przewieźć do szpitala. Ten opatrunek nie może pozostać na dłużej. Niech no pan się postara, żeby pogotowie ją jak najprędzej zabrało.

–Nie wszystko naraz, proszę pana – wtrącił policjant. – Muszę wpierw skończyć z protokołem.

–Czy umarlak już panu powiedział swoje nazwisko? – spytał jakiś wyrostek.

–*Ta gueulel* – wrzasnął policjant i splunął mu pod nogi.

–Niech pan stąd zrobi jeszcze jedno zdjęcie – powiedział ktoś do fotografa.

–Dlaczego?

–Bo kobieta leży na zagrodzonej części chodnika. Ulica była zamknięta dla ruchu. Patrz pan. – Wskazał barierę z napisem: *Attention! Danger!"* – Proszę tak zrobić zdjęcie, żeby to było widać. Będzie nam potrzebne. Nie ma mowy o odszkodowaniu.

–Robię zdjęcia dla prasy – powiedział młodzieniec – i fotografuję tylko to, co mi się wydaje

interesujące.

–Ależ właśnie to jest bardzo interesujące! Co innego może interesować? Na tle tego napisu.

–Napis wcale nie jest interesujący. Tylko akcja.

–W takim razie proszę to zamieścić w protokole – powiedział człowiek, klepiąc po ramieniu policjanta.

–Kto pan jest? – spytał tamten gniewnie.

–Jestem przedstawicielem firmy budowlanej.

–To dobrze – powiedział policjant. – Niech pan się również zatrzyma. Jak pani się nazywa? Przecież musi pani wiedzieć! – zwrócił się do leżącej.

Kobieta poruszyła wargami, jej powieki zatrzepotały. “Jak motyle, jak śmiertelnie umęczone szare ćmy" – pomyślał Ra-vic, i w tej samej chwili: “Co za idiota ze mnie! Muszę przecież uciekać!"

–Cholera! – zaklął policjant. – Może zwariowała? Będzie więcej pracy, a o trzeciej kończy mi się służba.

–Marcel – powiedziała kobieta.

215T

–Jak? Chwileczkę. Jak? – Policjant schylił się, kobieta zamilkła. – Jak? – Czekał chwilę. – Proszę powtórzyć! Niech pani powie jeszcze raz!

Nie odpowiedziała.

–Ta pańska przeklęta gadanina – zwrócił się teraz do przedstawiciela firmy budowlanej. – I jak tu sporządzić protokół? Znów pstryknął aparat.

–Dziękuję – powiedział fotograf. – Wyjdzie bardzo naturalnie.

–Czy pan zdjął nasz napis? – spytał przedstawiciel firmy, nie zważając na policjanta. – Zamawiam pół tuzina odbitek.

–Nie – oświadczył fotograf. – Jestem socjalistą. Płać pan odszkodowanie, nędzny psie milionerów!

Zawył sygnał, nadjeżdżała karetka pogotowia. “Teraz!" -pomyślał Ravic. Ostrożnie postąpił krok naprzód, ale policjant go zatrzymał.

–Musi pan iść ze mną do komisariatu. Przykro mi, że pana zatrzymuję, ale trzeba spisać dane.

Zbliżył się drugi policjant. Nie było rady. “Miejmy nadzieję, że nic złego się nie stanie" – pomyślał Ravic i poszedł z nimi.

Dyżurny urzędnik wysłuchał spokojnie żandarma i policjanta spisującego nowy protokół, po czym zwrócił się do Ravica.

–Pan nie jest Francuzem – powiedział. Nie pytał, stwierdzał fakt.

–Istotnie.

–A kim pan jest?

–Czechem.

–I pracuje pan tutaj? Przecież jako cudzoziemiec nie może pan praktykować, jeśli pan się nie naturalizuje. Ravic uśmiechnął się.

–Toteż nie praktykuję. Jestem turystą, podróżuję dla przyjemności.

–Ma pan paszport przy sobie?

–Fernand, czy to potrzebne? – spytał drugi urzędnik. – Ten pan pomógł kobiecie, mamy jego adres. To wystarczy, są jeszcze inni świadkowie.

–A ja jestem ciekawy, czy pan ma paszport. A może *carte d'identite?*

–Nic nie mam. Kto by stale nosił paszport przy sobie?

–A gdzie go pan zostawił?

–W konsulacie. Złożyłem go tydzień temu. Ma być przedłużony.

Gdyby powiedział, że zostawił dokumenty w hotelu, posłano by go z policjantem i kłamstwo wydałoby się od razu. Poza tym na wszelki wypadek podał fałszywy adres. Historia z konsulatem miała jeszcze jakie takie szansę.

–W jakim konsulacie? – spytał Fernand.

–W czeskim. Gdzieżby?

–Zadzwonimy do nich. Fernand spojrzał na Ravica.

–Proszę bardzo. Fernand chwilę się wahał.

–Dobrze – powiedział wreszcie – spróbujemy. Wstał i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Drugi urzędnik był wyraźnie zakłopotany.

–Niech pan wybaczy – powiedział. – Oczywiście to jest zbyteczne. Za chwilę wszystko się wyjaśni. Jesteśmy panu niezmiernie wdzięczni za pomoc.

“Wyjaśni się" – pomyślał Ravic. Wyjął papierosa i rozejrzał się. Żandarm stał przy drzwiach. To przypadek. Nikt go jeszcze nie podejrzewa. Mógłby odepchnąć żandarma, ale są tu jeszcze dwaj robotnicy i przedstawiciel firmy. Nie ma o czym myśleć. Za trudno byłoby się przedostać, zresztą na zewnątrz przed drzwiami zwykle stoi jeszcze paru policjantów.

Fernand wrócił.

–W konsulacie nie ma paszportu na pana nazwisko.

–Możliwe.

–Jak to możliwe?

–Trudno, żeby urzędnik, który odbiera telefony, wszystko wiedział. Tam się tymi rzeczami zajmuje ze sześć osób.

–Pytałem takiego, który wie. Ravic nie odpowiedział.

–Pan nie jest Czechem – oświadczył Fernand.

–Posłuchaj, Fernand – przerwał drugi urzędnik.

–Pan nie ma czeskiego akcentu – ciągnął tamten.

–Być może.

–Pan jest Niemcem – oświadczył z triumfem Fernand -i pan w ogóle nie ma paszportu!

216

217- Nie – powiedział Ravic. – Jestem Marokańczykiem i mam wszelkie możliwe francuskie paszporty.

–Panie! – wrzasnął Fernand. – Jak pan śmie obrażać Francję!

-*Merdel* – powiedział jeden z robotników, a przedstawiciel firmy budowlanej zrobił taką minę, jakby chciał zasalutować.

–Fernand, dajże spokój…

–Pan kłamie! Pan wcale nie jest Czechem! Ma pan paszport czy nie? Proszę odpowiadać!

“W każdym człowieku tkwi szczur" – myślał Ravic. “Szczur, którego niepodobna utopić. Co tego idiotę obchodzi, czyja mam paszport czy nie? Ale szczur już coś zwąchał i oto wyłazi z nory".

–Proszę odpowiadać – warknął Fernand.

“Świstek papieru! Czy się go ma czy nie. To bydlę błagałoby mnie o przebaczenie, gdybym miał ten świstek. Mógłbym wymordować całą rodzinę albo obrabować bank, mimo to on kłaniałby się. Ale nawet Chrystusa bez paszportu zaprowadziłby do więzienia. I tak zostałby zabity na długo, zanimby dożył trzydziestu trzech lat".

–Pan tu pozostanie aż do wyjaśnienia sprawy – powiedział Fernand. – Już ja tego dopilnuję.

–Doskonale – powiedział Ravic.

Fernand wyszedł ciężko z pokoju. Drugi urzędnik szukał czegoś wśród papierów.

–Bardzo mi przykro – powiedział. – On ma bzika na tym punkcie.

–Nic nie szkodzi.

–A my możemy pójść? – spytał jeden z robotników.

–Tak.

–Dobrze. – Zwrócił się do Ravica: – Kiedy wybuchnie rewolucja światowa, nie będzie pan już potrzebował paszportu.

–Proszę pana, pan go musi zrozumieć – powiedział drugi urzędnik. – Jego ojciec zginął na wojnie. Dlatego Fernand nienawidzi Niemców i wyprawia takie hece. – Popatrzył na Ravi-ca z zakłopotaniem. Domyślał się, że coś tu jest nie w porządku. – Strasznie mi przykro, proszę pana. Gdybym tu był sam…

–Nic nie szkodzi – powtórzył Ravic. – Czy mogę zadzwonić, zanim ten Fernand wróci?

–Oczywiście, tylko niech pan się spieszy. Aparat jest tam na stole.

218

Ravic zatelefonował do Morozowa. Powiedział mu po niemiecku, co się stało, i prosił, żeby zawiadomił Vebera.

–Joannę też? – spytał Morozow. Ravic zawahał się.

–Nie, jeszcze nie. Powiedz jej, że mnie zatrzymano, ale za dwa, trzy dni wszystko się wyjaśni. Opiekuj się nią.

–Dobrze – powiedział Morozow bez entuzjazmu. – Dobrze, Wozzek. W chwili gdy Fernand wchodził, Ravic odłożył słuchawkę.

–No i po jakiemu pan gadał? – spytał tamten z grymasem. – Po czesku?

–Po esperancku – odpowiedział Ravic.

Veber przyszedł następnego dnia.

–Przeklęta dziura – powiedział, rozglądając się.

–Francuskie więzienia to jeszcze prawdziwe więzienia – odrzekł Ravic. – Nie zapowietrzone zgniłym humanitaryzmem. Poczciwe, cuchnące osiemnaste stulecie.

–Ohyda – powiedział Veber. – Ohyda, że pan musiał tak wpaść.

–Nigdy nie należy spełniać dobrych uczynków. To się natychmiast mści. Trzeba było pozwolić tej kobiecie wykrwawić się do ostatka. Żyjemy w wieku żelaza, Veber.

–W wieku lanego żelaza raczej. Czy te facety wyniuchały, że pan tu przebywa nielegalnie?

–Oczywiście tak.

–I znają pański adres?

–Oczywiście nie. Nigdy nie wydałbym starego “Internatio-nalu". Ukarano by właścicielkę za to, że trzyma nie meldowanych gości. Zrobiono by obławę i schwytano kilkunastu uchodźców. Podałem tym razem hotel “Lancaster". Mały, drogi i luksusowy hotelik. Mieszkałem tam kiedyś w moim poprzednim wcieleniu.

–A obecnie nazywa się pan Wozzek?

–Włodzimierz Wozzek – skrzywił się Ravic w uśmiechu -to moje czwarte wcielenie.

–Draństwo – powiedział Veber. – Co możemy zrobić?

–Niewiele. Najważniejsze, żeby ci faceci nie zorientowali

219się, że byłem tu już parę razy. Bo wtedy groziłoby mi sześć miesięcy więzienia.

–Cholera!

–Tak, świat staje się z dnia na dzień bardziej humanitarny. Żyj niebezpiecznie, radził

Nietzsche. Właśnie tak postępują uchodźcy, co prawda nieco wbrew swojej woli.

–A jeśli się tego nie wywiedzą?

–Posiedzę dwa tygodnie, a potem zwykłe wysiedlenie.

–I co dalej?

–Ano nic, wrócę.

–Dopóki znów pana nie złapią?

–Zgadł pan. Tym razem długo trwało. Dwa lata. Całe życie.

–Coś jednak trzeba przedsięwziąć. Tak dalej być nie może.

–Owszem, może. A cóż pan chce zrobić? Veber zastanowił się.

–Durant – powiedział nagle. – Ależ oczywiście! Durant zna mnóstwo ludzi i ma duże wpływy… – Urwał. – O Boże, przecież pan sam operował jednego z głównych bonzów! No, tego z woreczkiem żółciowym.

–To nie ja, to Durant… Veber roześmiał się.

–Naturalnie nie mogę mu tego powiedzieć, ale on mógłby coś zrobić. Postaram się zmiękczyć jego serce.

–Niewiele pan dokaże. Kosztowałem go niedawno dwa tysiące franków, tego mi nie zapomni tak łatwo.

–Zapomni! – roześmiał się Veber. – Będzie się bał, że pan powie o tych “lewych" operacjach. Zrobił pan ich kilkadziesiąt za niego, co? A poza tym on potrzebuje pana.

–Bez trudu znajdzie kogoś innego. Może Binota albo jakiegoś chirurga spośród uchodźców. Jest ich dosyć. Veber przygładził wąsy.

–Nie z pana ręką. W każdym razie spróbujemy. Jeszcze dzisiaj. Czy mogę panu tutaj w czymś pomóc? Jak zjedzeniem?

–Obrzydliwe. Ale mogę sobie coś sprowadzać z miasta.

–A papierosy?

–Mam dosyć. W jednym nie zdoła mi pan pomóc, a tego potrzebuję najbardziej: kąpieli.

*** ***

Dwa tygodnie spędził Ravic z monterem Żydem, pisarzem mieszańcem i pewnym Polakiem. Monter tęsknił do Berlina, pisarz go nienawidził, Polakowi wszystko było obojętne. Ra-vic dostarczał papierosów, literat opowiadał żydowskie kawały, monter był niezastąpiony w walce ze smrodem.

Po dwóch tygodniach wezwano Ravica i zaprowadzono go do inspektora, który zapytał, czy ma pieniądze.

–Owszem.

–Dobrze, wobec tego może pan wziąć taksówkę.

Wyszedł w towarzystwie urzędnika. Na dworze było jasno i słonecznie. Przyjemnie było *znaleźć* się znów na powietrzu. Przy wejściu stary człowiek sprzedawał balony. Trudno było pojąć, czemu stanął z nimi pod samym więzieniem. Urzędnik wezwał taksówkę.

–Dokąd jedziemy? – spytał Ravic.

–Do szefa.

Ravic nie wiedział, co za szef. Było to zresztą obojętne, byleby nim nie był szef niemieckiego obozu koncentracyjnego. Na świecie istniała tylko jedna prawdziwa groza: być całkowicie i bez żadnej pomocy zdanym na pastwę brutalnego terroru. Ten tutaj był całkiem niewinny.

Taksówka miała radio; Ravic nastawił je. Wysłuchał sprawozdania z rynku warzywnego, potem nowości politycznych. Urzędnik ziewał. Ravic złapał inną stację, odezwała się muzyka. Szlagier. Urzędnikowi twarz się rozjaśniła.

–Charles Trenet – powiedział. – Menilmontant. Klasa!

Taksówka stanęła. Ravic zapłacił. Wprowadzono go do poczekalni, w której unosił się zapach oczekiwania, potu i kurzu, jak we wszystkich poczekalniach świata.

Ravic siedział pół godziny, przeglądając stary numer “La Yie Parisienne", pozostawiony tu widocznie przez jakiegoś interesanta. Po dwóch tygodniach, które spędził bez książki, pismo wydało mu się niemal klasyczną literaturą. Potem zaprowadzono go przed oblicze szefa.

Nie od razu poznał tego niskiego grubasa. Nie interesował się zwykle twarzami ludzi, których operował. Były mu obojętne jak numery. Interesował się tylko chorym miejscem. Ale

tej twarzy przyglądał się z ciekawością. Tu oto siedział Leval, zdrowy, ze swoim na nowo wypchanym kałdunem, bez woreczka żółciowego. Ravic zapomniał już, że Veber chciał się

zwrócić o pomoc do Duranta, i nie spodziewał się spotkania z samym Levalem. Leval obejrzał go od stóp do głów. Nie spieszył się.

–Oczywiście nie nazywa się pan Wozzek – warknął.

–Nie.

–A jak się pan nazywa?

–Neumann. – Tak się umówili z Veberem, który powiedział to Durantowi. Nazwisko Wozzek było zbyt ekscentryczne.

–Jest pan Niemcem, co?

–Tak.

–Uchodźca?

–Tak.

–Nigdy nie wiadomo. Nie wygląda pan na to.

–Nie wszyscy uchodźcy są Żydami – zauważył Ravic.

–A czemu pan skłaniał? Podał pan inne nazwisko. Ravic wzruszył ramionami.

–Co robić? I tak kłamiemy najmniej, jak tylko można. Musimy kłamać, ale czy pan myśli, że nas to bawi? Leval nadął się.

–A pan myśli, że nas bawi to wieczne zawracanie sobie głowy wami?

“Szary" – myślał Ravic. “Głowę miał szarobiałą, pod oczami brudnoniebieskie worki, półotwarte usta. Wtedy nie gadał, wtedy był kawałem mięsa z gnijącym woreczkiem żółciowym w środku".

–Gdzie pan mieszka? Adres był także fałszywy.

–Wszędzie po trochu, raz tu, raz tam.

–Jak długo?

–Trzy tygodnie. Trzy tygodnie temu przyjechałem ze Szwajcarii. Zostałem wydalony za granicę. Jak panu wiadomo, nigdzie nam nie wolno żyć nielegalnie, bez papierów, a większość z nas nie zdobyła się jeszcze na popełnienie samobójstwa. Oto, dlaczego zawracamy wam głowę.

–Trzeba było zostać w Niemczech – mruknął Leval. – Tam podobno wcale nie jest tak źle.

Ludzie przesadzają. “Odrobinę w prawo lub w lewo, a nie siedziałbyś tu i nie

plótł takich głupstw" – pomyślał Ravic. “Robaki przekroczyłyby twoje granice bez papierów – albo byłbyś garścią prochu w brzydkiej urnie".

–Gdzie pan tu mieszkał? – pytał dalej Leval. “Chciałbyś to wiedzieć, żeby złapać innych" – pomyślał Ra-vic.

–W pierwszorzędnych hotelach – powiedział – pod rozmaitymi nazwiskami. I wszędzie tylko parę dni.

–Kłamstwo!

–Po cóż pan pyta, jeśli pan wie lepiej? – powiedział Ravic, który zaczynał mieć już dosyć. Leval gniewnie uderzył dłonią w stół.

–Niech pan nie będzie bezczelny. – Uważnie obejrzał dłoń.

–Trafił pan ręką na nożyczki. Leval włożył rękę do kieszeni.

–Czy pan nie sądzi, że to arogancja? – zapytał nagle ze spokojem człowieka, który może panować nad sobą, ponieważ przeciwnik jest całkowicie zależny od niego.

–Arogancja? – spytał zdumiony Ravic. – Pan to nazywa arogancją? Tu nie szkoła ani klasztor dla skruszonych zbrodniarzy! Działam w obronie koniecznej, a pan by chciał, żebym się czuł jak oszust i błagał o łagodny wyrok? Tylko dlatego, że nie jestem nazistą i dlatego nie mam dokumentów? Nie uważamy siebie za przestępców, chociaż poznaliśmy więzienia, policję i upokorzenia, tylko dlatego, że chcemy zachować życie – i to jedynie nas trzyma, czy pan tego nie rozumie? Można to nazwać, jak pan chce, tylko nie arogancją.

Leval nie odpowiedział.

–Czy pan tu praktykował?

–Nie.

“Blizna musiała się zmniejszyć – myślał Ravic – ładnie zszyłem cięcie. A nie było to łatwe przy tej ilości tłuszczu. Teraz już znów się nażera. Nażera się i pompuje w siebie trunki".

–W tym tkwi właśnie największe niebezpieczeństwo – ciągnął Leval – że kręcicie się tu bez egzaminów, bez żadnej kontroli, i to Bóg wie, od jak dawna. Niech pan sobie nie wyobraża, że uwierzyłem w te trzy tygodnie. Kto wie, w ilu ciemnych sprawach maczał pan palce przez ten czas.

“Istotnie" – myślał Ravic. “Maczałem je w twoim kałdunie

to zwapniałych tętnicach, nabrzmiałej wątrobie i psującym się woreczku żółciowym. A gdybym ich nie maczał, twój przyjaciel Durant zabiłby cię w sposób równie idiotyczny jak humanitarny, stałby się jeszcze sławniejszy jako operator i podniósłby honoraria".

–Największe niebezpieczeństwo – powtórzył Leval. – Nie wolno panu praktykować, więc chwyta się pan wszystkiego, co lezie panu w ręce, to jasne. Dyskutowałem na ten temat z jedną z naszych powag: podzielał całkowicie moje zdanie. Jeśli naprawdę orientuje się pan w medycynie, jego nazwisko musiało się panu obić o uszy…

“Nie – pomyślał Ravic – to niemożliwe! Niemożliwe, żeby teraz wymienił Duranta. Życie nie ma w sobie tyle dowcipu".

–Myślę o profesorze Durancie – powiedział z godnością Le-val. – On mi to właśnie wytłumaczył. Felczerzy, studenci, którzy nie ukończyli studiów, asystenci, masażyści, wszystko to podaje się tu za sławy niemieckiej medycyny. Kto to może sprawdzić? Nielegalne operacje, poronienia, spółki z akuszer-kami, partactwo i Bóg wie, co jeszcze! Nie możemy być dość surowi.

“A więc Durant" – myślał Ravic. *“To* jego zemsta za owe dwa tysiące. Ale kto będzie teraz za niego operował? Chyba Binot, na pewno znów się zeszli".

Przestał zważać na słowa Levala, aż do chwili, kiedy mu się obiło o uszy nazwisko Vebera.

–Pewien doktor nazwiskiem Veber wstawił się za panem. Czy pan go zna?

–Trochę.

–Był u mnie. – Leval wpatrzył się wprost przed siebie, potem kichnął potężnie, wyjął chustkę, starannie wytarł nos, przyjrzał się smarkom, złożył chustkę i schował ją z powrotem do kieszeni. – Ale ja nic nie mogę dla pana zrobić. Musimy postępować z całą surowością. Zostanie pan wysiedlony.

–Domyślałem się tego.

–Był pan już kiedy we Francji?

–Nie.

–Jeśli pan wróci, czeka pana pół roku więzienia. Czy wie pan o tym?

–Wiem.

–Dopilnuję, żeby pana odstawiono możliwie najszybciej, to wszystko, co mogę dla pana zrobić. Ma pan trochę pieniędzy?

–Mam.

–W porządku. W takim razie zapłaci pan za swój przejazd z eskortą do granicy. – Kiwnął głową. – Może pan odejść.

–Czy musimy się trzymać jakiejś godziny powrotu? – spytał Ravic eskortującego urzędnika.

–Niekoniecznie, to zależy. Dlaczego?

–Chętnie bym się czegoś napił. Urzędnik popatrzył na niego.

–Nie ucieknę. – Ravic wyjął dwudziestofrankowy banknot i zaczął się nim bawić.

–Proszę bardzo, ostatecznie parę minut nie robi różnicy. Zatrzymali taksówkę przed pierwszym barem. Kilka stolików stało już na zewnątrz. Było chłodno, ale słońce świeciło.

–Czego pan się napije? – spytał Ravic.

–Amere picon. Nie pijam nic innego o tej porze.

–A dla mnie proszę duży koniak, bez wody.

Usiadł spokojnie, głęboko oddychając. Kto by przypuszczał, czym może być powietrze! Na gałęziach drzew rosnących na skraju chodnika były już brunatne, lepkie pąki. Świat pachniał świeżym chlebem i młodym winem. Kelner przyniósł kieliszki.

–Gdzie tu jest telefon? – zapytał Ravic.

–Wewnątrz, na prawo, koło toalety.

–Ale… – próbował oponować urzędnik.

Ravic wetknął mu w rękę dwadzieścia franków.

–Łatwo się domyślić, dokąd chcę dzwonić. Nie zniknę. Może pan iść ze mną. Proszę. Urzędnik niedługo się wahał.

–Niech będzie – powiedział, wstając. – Człowiek jest tylko człowiekiem.

–Joanno…

–Ravic, mój Boże! Gdzie jesteś? Wypuścili cię? Mów, gdzie jesteś?

225- W barze…

–Daj spokój. Powiedz naprawdę, skąd dzwonisz.

–Naprawdę jestem w barze.

–Ale gdzie? Nie w więzieniu? Gdzie byłeś cały czas? Ten Morozow…

–Opowiedział ci przecież dokładnie, co się stało.

–Nie powiedział mi nawet, dokąd cię zabrali. Zaraz bym…

–Właśnie dlatego nic nie powiedział. Tak było lepiej.

–Czemu dzwonisz z baru? Czemu nie przychodzisz?

–Nie mogę, mam tylko parę minut. Ledwie udało mi się namówić urzędnika, żeby się tu na chwilę zatrzymał. Joanno, w najbliższych dniach wyślą mnie do Szwajcarii, ale… – wyjrzał oknem: urzędnik rozmawiał wsparłszy się na kontuarze – ale zaraz wrócę. – Czekał chwilę. – Joanno!

–Idę, za chwilę będę, gdzie jesteś?

–Nie zdążysz, jestem o pół godziny drogi od ciebie, mam tylko parę minut

–Zatrzymaj urzędnika. Zapłać mu, przywiozę pieniądze!

–Joanno – powiedział Ravic – nic nie pomoże. Tak jest prościej. Tak jest lepiej. Usłyszał, jak oddycha.

–Więc nie chcesz mnie widzieć? – spytała wreszcie. “Jak ciężko, nie powinienem był dzwonić" – pomyślał. “Trudno wytłumaczyć coś, nie widząc osoby, do której się mówi".

–Strasznie bym cię chciał zobaczyć, Joanno.

–Więc przyjedź, niech ten człowiek przyjedzie z tobą!

–Niemożliwe. Muszę kończyć rozmowę. Powiedz mi jeszcze prędko, co teraz robisz?

–Jak to! O co ci chodzi?

–No, co masz na sobie, gdzie jesteś.

–W pokoju, w łóżku. Ostatniej nocy siedziałam do późna. Mogę prędko coś narzucić i

przybiec.

Ostatniej nocy do późna, no tak! Wszystko toczy się dalej, nawet kiedy człowiek siedzi w więzieniu. Zapomniał o tym. W łóżku, półsenna, włosy rozsypane na poduszce, pończochy, bielizna, suknia rzucona na krzesło. Mąci mu się w oczach. Okienko nagrzanej kabiny telefonicznej zaszło parą od jego oddechu, oddalona głowa urzędnika pływała we mgle jak w akwarium. Wziął się w garść.

226

–Muszę kończyć rozmowę, Joanno. Usłyszał jej załamujący się głos:

–To niemożliwe! Nie możesz przecież tak odejść, nic mi jeszcze nie powiedziałeś, nie wiem, dokąd jedziesz, nic nie wiem…

"Siedzi wyprostowana, odrzuciła na bok poduszki, słuchawka jak broń i jak przeciwnik, w wyciągniętej dłoni, ramiona, oczy głębokie i ciemne ze wzburzenia…"

–Nie idę przecież na wojnę, jadę po prostu do Szwajcarii. Wkrótce będę z powrotem. Wyobraź sobie, że jestem fabrykantem, który jedzie sprzedać Lidze Narodów transport karabinów maszynowych.

–Kiedy wrócisz, wszystko się zacznie od nowa. Będę umierała ze strachu.

–Powiedz jeszcze raz ostatnie zdanie.

–To prawda! – Jej głos zadrgał gniewem. – Mnie się wszystko mówi ostatniej! Veber może cię odwiedzać, a ja nie! Telefonowałeś do Morozowa nie do mnie! A teraz jedziesz…

–Mój Boże – powiedział Ravic – przecież nie będziemy się kłócić!

–Nie kłócę się, mówię tylko, jak jest.

–Niech i tak będzie. Muszę kończyć. Do widzenia, Joanno.

–Ravic! – krzyknęła. – Ravic!

–Słucham.

–Wracaj, wracaj! Zginę bez ciebie!

–Wrócę.

–Tak, tak…

-*Adieu,* Joanno, wkrótce wrócę.

Stał chwilę w gorącej, dusznej kabinie, potem zauważył, że ciągle jeszcze trzyma w ręku słuchawkę. Otworzył drzwi, urzędnik podniósł głowę i uśmiechnął się dobrodusznie.

–Załatwione?

–Tak.

Wrócili do swego stolika. Ravic opróżnił kieliszek. “Nie trzeba było dzwonić" – myślał. “Przedtem byłem spokojny. Teraz spokój prysnął. Mogłem się domyślić, że rozmowa przez telefon nie da nic ani mnie, ani Joannie". Przez chwilę czuł pokusę, żeby zadzwonić jeszcze raz i powiedzieć jej to wszystko, co naprawdę miał do powiedzenia. Wytłumaczyć, dlaczego nie może się z nią spotkać. Że nie chce, aby go widziała takim,

227jaki jest, brudnym, pod strażą. Ale kiedyś wybrnie z tego i wszystko zacznie się od nowa.

–Ruszmy się – powiedział urzędnik.

–Dobrze.

Ravic zawołał kelnera.

–Proszę mi dać dwie małe butelki koniaku, wszystkie gazety i z dziesięć paczek caporali. No i rachunek. – Spojrzał na urzędnika. – To chyba wolno?

–Człowiek jest tylko człowiekiem – powtórzył urzędnik. Kelner przyniósł butelki i papierosy.

–Proszę otworzyć butelki – powiedział Ravic, starannie rozmieszczając papierosy po kieszeniach. Wetknął lekko korki, żeby je można było w każdej chwili wyjąć bez korkociągu, i włożył butelki do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

–Jak pan to wprawnie robi – zauważył urzędnik.

–Doświadczenie. Niestety. Jako chłopiec nigdy bym nie pomyślał, że na stare lata będę się znowu bawił w Indian.

Polak i pisarz byli zachwyceni koniakiem. Monter go nie pił. Był piwoszem, tłumaczył też szczegółowo, o ile lepsze jest piwo w Berlinie. Ravic leżał na pryczy i czytał gazety. Polak nie czytał, gdyż nie znał francuskiego. Palił i był szczęśliwy. W nocy monter zaczął płakać. Ravic się zbudził. Słuchał stłumionego szlochu i patrzył w małe okienko, za którym majaczyło jasne niebo. Nie mógł spać nawet wówczas, kiedy monter się uspokoił. “Za dobrze mi się żyło" – rozmyślał. “Za wiele rzeczy miałem, teraz boli, kiedy ich już nie ma".

18

Wracał z pociągu, był zmęczony i brudny. Spędził trzynaście godzin w dusznym wagonie z

ludźmi, od których cuchnęło czosnkiem, z myśliwymi i ich psami, z kobietami wiozącymi kurczęta i gołębie w koszykach. Miał za sobą prawie trzy miesiące życia nad granicą…

Coś połyskiwało w zmroku. Podniósł głowę. Błyski szły jakby od piramidy luster ustawionych wokoło Rond Point, odbijających ostatnie szare światło majowe.

Stanął i przyjrzał się uważnie. Istotnie były to piramidy luster. Stały wszędzie, mnożąc w nieskończoność grzędy majowych tulipanów.

–Co to takiego? – spytał ogrodnika, który koło niego wyrównywał ziemię na klombie.

–Lustra – rzekł ogrodnik, nie podnosząc oczu.

–Widzę, ale nie zauważyłem ich, kiedy tu byłem po raz ostatni.

–A jak długo pana nie było?

–Trzy miesiące.

–No właśnie, trzy miesiące. A to urządzili dwa tygodnie temu, dla króla angielskiego. Przyjeżdża z wizytą. Będzie mógł się przeglądać.

–To straszne – powiedział Ravic.

–Pewno – odrzekł bez zdziwienia ogrodnik.

Ravic poszedł dalej. Trzy miesiące, trzy lata, trzy dni; czym jest czas? Niczym i wszystkim. Nie było nic zadziwiającego w faktach, że teraz kwitły kasztany, które nie miały liści, kiedy odjeżdżał, że Niemcy znów złamały traktat i zajęły całą Czechosłowację, że w Genewie emigrant Józef Blumenthal zastrzelił się w napadzie histerycznego śmiechu przed Pałacem

229Ligi Narodów, że on czuł jeszcze w piersiach ból po zapaleniu płuc, które przeszedł w Belforcie pod nazwiskiem Gunther, i że teraz, o wieczorze łagodnym jak pierś kobiety, powraca tutaj. Przyjmował wypadki z fatalistycznym spokojem, jedyną bronią bezbronnego. Niebo wszędzie było takie samo, nad morderstwem, nienawiścią, miłością i poświęceniem, drzewa kwitły co rok na nowo, niczego nie podejrzewając, błękitny mrok okrywał wszystko i znów znikał, nie troszcząc się o paszporty, zdradę, rozpacz i nadzieję. Dobrze było znaleźć się znowu w Paryżu. Dobrze było iść powoli, bezmyślnie, srebrzysto-szarymi ulicami; dobrze było mieć na własność tę godzinę spokoju i łagodnego rozpływania się na granicy, gdzie daleki smutek stapia się jak horyzont z tkliwym, nieustannym uczuciem szczęścia, że się żyje. Dobra była ta pierwsza godzina powrotu, zanim przeszyją go znów włócznie i strzały, ta świadomość istnienia, ten oddech, który przychodzi z daleka i daleko odchodzi, powiew idący drogami serca mimo ponurego ognia zdarzeń, cierni minionych dni i kolców przyszłości, ta cezura, to milczenie, chwila pauzy, najbardziej otwarta i najse-kretniejsza forma bytowania, łagodny rytm wieczności w tym przemijającym świecie…

Morozow siedział w palmiarni “Internationalu". Przed nim stała karafka wina.

–Halo, Borysie, stary chłopie – powiedział Ravic. – Zdaje się, że przybywam w porę. Czy to Vouvray?

–Owszem, z trzydziestego czwartego roku tym razem. Nieco słodsze, ale mocniejsze. Dobrze, żeś wrócił. Trzy miesiące, co?

–Tak, dłużej niż zwykle.

Morozow ujął staromodny dzwonek stołowy, którego dźwięk przypominał dzwoneczki ministrantów z wiejskiego kościółka. W katakumbach było światło elektryczne, nie było natomiast elektrycznych dzwonków. Nie opłacało się ich zakładać, uchodźcy rzadko odważali się dzwonić.

–Jak się obecnie nazywasz? – spytał Morozow.

–Wciąż jeszcze Ravic, nie podawałem policji tego nazwiska. Nazywałem się tam Wozzek, Neumann i Gunther. Dla kaprysu. Ravica nie chciałem się wyrzec. Podoba mi się.

–Nie dowiedzieli się, że tu mieszkasz, co?

–Skądże znowu.

–Oczywiście. Inaczej mielibyśmy już dawno obławę. A tak możesz tu znów mieszkać, twój pokój jest wolny.

–Gospodyni wie, co się stało?

–Nie, nikt nie wie. Powiedziałem, żeś pojechał do Rouen. Rzeczy zabrałem do siebie. Podeszła dziewczyna z tacą.

–Klaryso, kieliszek dla pana Ravica – powiedział Morozow.

–Ach, pan Ravic. – Dziewczyna pokazała w uśmiechu zęby. – Więc pan wrócił? Chyba z pół roku pana nie było, monsieur.

–Tylko trzy miesiące.

–Niemożliwe! A ja myślałam, że sześć.

Poczłapała z powrotem. Po chwili nadszedł umorusany kelner z kieliszkiem do wina w ręku. Nie miał tacy; pracował tu już od dawna i mógł sobie na to pozwolić. Morozow wyczytał z jego twarzy, czego się mogą spodziewać, i ubiegł go:

–Janie, proszę powiedzieć, ile czasu nie było pana Ravica? Wie pan dokładnie?

–Ależ, panie Morozow, oczywiście wiem co do dnia! To było – zrobił efektowną pauzę, uśmiechnął się i dokończył – dokładnie cztery i pół tygodnia.

–*Zgadza* się – powiedział Ravic, zanim Morozow mógł się odezwać.

–Zgadza się – przyświadczył Morozow.

–Oczywiście, nigdy się nie mylę. – Jan zniknął.

–Nie chciałem go rozczarować.

–Ani ja. Pragnąłem ci tylko zademonstrować rozciągliwość czasu, z chwilą, kiedy mija. To przejmuje radością, strachem i obojętnością. Straciłem z oczu porucznika Bielskiego z Nieobrażeńskiego Pułku Gwardii w roku 1917 w Moskwie. Byliśmy przyjaciółmi. Poszedł na pomoc przez Finlandię, a ja na Mandżurię i Japonię. Kiedyśmy się spotkali tutaj po ośmiu latach, zdawało mi się, że widziałem go ostatnio w roku 1919 w Charbinie, a jemu, że mnie spotkał w roku 1921 w Helsinkach. Różnica dwóch lat i paru tysięcy kilometrów. – Morozow sięgnął po karafkę i napełnił kieliszki. – W każdym razie poznają cię tu jeszcze. Już to samo wywołuje wrażenie ojczyzny, co?

231Ravic pił. Było to lekkie i chłodne wino.

–Byłem w tym czasie nad samą niemiecką granicą – powiedział. – Bardzo blisko, pod Bazyleją. Jedna strona drogi należała do Szwajcarii, druga do Niemiec. Stałem po stronie szwajcarskiej i jedząc wiśnie, mogłem pestki wypluwać do Niemiec.

–Czy i to wywołało w tobie wrażenie ojczyzny?

–Ale gdzie tam. Nigdy nie czułem się dalej od niej. Morozow skrzywił się w uśmiechu.

–Rozumiem. A jak było w drodze?

–Jak zwykle, choć z dnia na dzień trudniej. Ostrzej teraz pilnują granicy. Raz przyłapali mnie w Szwajcarii, raz we Francji.

–Czemuś się nie odezwał ani słówkiem?

–Nie wiedziałem, co tu przedsięwzięła policja. Oni mają czasem wybuchy energii, lepiej nikogo nie narażać. Ostatecznie, nasze alibi nie są najlepsze. Stara frontowa zasada mówi: cicho siedzieć i wiać. Czy spodziewałeś się po mnie czego innego?

–Ja nie.

Ravic spojrzał na niego.

–Listy – powiedział. – Co znaczą listy? Listy nie mogą pomóc.

–Zapewne.

Ravic wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

–To dziwne, jak wszystko się zmienia, kiedy człowiek wyjeżdża.

–Tylko nic w siebie nie wmawiaj – odpowiedział Morozow.

–Nie wmawiani w siebie.

–Dobrze jest zniknąć. Co innego, kiedy się wraca. Wtedy wszystko zaczyna się na nowo.

–Może tak. A może i nie.

–Jesteś dość tajemniczy. Dobrze, że tak to przyjmujesz. Chcesz *zagrać* w szachy? Profesor umarł. Był jedynym godnym mnie przeciwnikiem. Levy wyjechał do Brazylii, pracuje jako kelner. Życie mknie dziś diabelnie szybko. Nie trzeba się do niczego przyzwyczajać.

–Anie.

Morozow spojrzał na niego uważnie.

–Ja nie o tym myślałem.

–Ja też nie. Ale czy nie moglibyśmy opuścić tego zatęchłego palmowego grobu? Nie byłem tu od trzech miesięcy, ale śmierdzi zawsze tak samo: kuchnią, kurzem i strachem. O której musisz iść?

–Mam dziś wolny wieczór.

–To świetnie – roześmiał się Ravic. – A więc wieczór wy-tworności, starej Rosji i dużych kieliszków.

–Pójdziesz ze mną?

–Nie, dziś wieczór nie. Jestem zmęczony, ostatnich parę nocy prawie nie spałem. W każdym razie nie miałem spokoju. Chodźmy się przejść na godzinkę, a potem usiądziemy gdzieś. Dawno mi się to nie zdarzało.

–Vouvray? – spytał Morozow. Siedzieli przed “Koloseum". – Dlaczego? Jest wczesny wieczór, czas na wódkę, chłopie.

–Tak. Mimo to Vouvray. To dla mnie wystarczy.

–Co się stało? Może chociaż koniaku? Ravic potrząsnął głową.

–Gdy się dokądś wraca, trzeba od razu pierwszej nocy urżnąć się w sztok, bracie – oświadczył Morozow. – To całkiem zbędny heroizm spoglądać trzeźwo w smutne twarze cieni przeszłości.

–Ależ ja wcale nie spoglądam w nie, Borysie. Ostrożnie cieszę się życiem.

Ravic widział, że Morozow mu nie wierzy, ale nie starał się go przekonać. Siedział spokojnie przy stoliku, w pierwszym rzędzie od ulicy, popijał wino i przyglądał się przechodniom. Póki był z dala od Paryża, wszystko wydawało mu się ostre i jasne. Teraz było zamglone, blade, a zarazem barwne, przyjemnie prześlizgiwało się koło niego. Czuł się jednak jak człowiek, który zbyt szybko zszedł z wysokiej góry i słyszy odgłosy w dolinie jak przez watę.

–Czy byłeś gdzieś, zanim przyszedłeś do hotelu? – spytał Morozow.

–Nie.

–Veber pytał Mika razy o ciebie.

–Zadzwonię do niego.

–Nie podobasz mi się. Opowiedz, co się z tobą działo.

233- Nic szczególnego. Granicy w Genewie pilnowano zbyt dobrze. To była moja pierwsza próba. Potem Bazyleja. I tam nie poszło. Wreszcie przedostałem się i strasznie zziębłem. Nocą szedłem polami, padał deszcz ze śniegiem. Skończyło się na zapaleniu płuc. W Belforcie pewien lekarz przyjął mnie do szpitala, po prostu przeszmuglował mnie tam i z powrotem, a potem dziesięć dni przetrzymał u siebie w domu. Muszę mu odesłać pieniądze.

–Ajak się teraz czujesz?

–Tak sobie.

–I dlatego nie chcesz pić wódki? Ravic uśmiechnął się.

–Po co tyle mówić na ten temat? Jestem zmęczony, muszę się trochę przyzwyczaić. Naprawdę. Czy to nie dziwne, że w drodze tyle się myśli? A tak mało po przybyciu na miejsce.

Morozow machnął ręką.

–Ravic – powiedział ojcowskim tonem – rozmawiasz z ojcem Borysem, znawcą serc ludzkich. Nie klucz, zapytaj wprost, miejmy to już za sobą.

–Dobrze. Gdzie jest Joanna?

–Nie wiem. Nie wiem, co się z nią dzieje od kilku tygodni, nie widziałem jej też.

–A przedtem?

–Pytała jakiś czas o ciebie, potem przestała.

–Nie pracuje już w “Szeherezadzie"?

–Od sześciu tygodni. Potem była tam jeszcze dwa czy trzy razy. Ostatnio nie przychodzi.

–Czyżby jej nie było w Paryżu?

–Możliwe. Tak by się zdawało. Od czasu do czasu zajrzałaby przecież do “Szeherezady".

–I nie wiesz, co robi?

–Podobno coś w filmie. Tak przynajmniej powiedziała szatniarce. Wiesz, co to znaczy. Taki pretekst.

–Pretekst?

–No tak, pretekst – powiedział gniewnie Morozow. – A cóż innego? Spodziewałeś się czegoś?

–Owszem. – Morozow milczał. – Zresztą spodziewać się a wiedzieć, to dwie różne rzeczy – dodał Ravic.

–Dla przeklętych romantyków, tak. A teraz napijmy się cze-

goś przyzwoitego, nie tej limoniady. Jakiegoś uczciwego cal-vadosu…

–Byle nie calvadosu. Koniaku, jeśli ma cię to uspokoić. A zresztą może być i calvados.

–Nareszcie – powiedział Morozow.

Okno, niebieska sylweta dachów, wypłowiała czerwona kanapa. Łóżko. Ravic wiedział, że musi to jakoś przetrzymać. Siedział na kanapie i palił. Morozow przyniósł mu walizki i powiedział, gdzie może go złapać, jeżeli tego zapragnie.

Ravic zrzucił stare ubranie, wziął gorącą, długą kąpiel z wielką ilością mydła. Zmył te trzy miesiące, starł je ze skóry. Włożył czystą bieliznę, inny garnitur, ogolił się; najchętniej byłby poszedł jeszcze do łaźni parowej, ale już było za późno. Robiąc to wszystko, dobrze się czuł. Chętnie zrobiłby jeszcze coś więcej, bo nagle, gdy tak siedział przy oknie, pustka zaczęła

wypełzać ku niemu ze wszystkich kątów.

Nalał kieliszek calvadosu, znalazł butelkę z resztą trunku między swoimi rzeczami. Myślał o ostatniej nocy, kiedy pił z Joanną, ale to wspomnienie nic go nie wzruszyło. Zbyt dawno się to działo. Zauważył tylko, że był to dobry, stary calvados.

Powoli podnosił się księżyc nad dachami. Brudne podwórze naprzeciw stało się pałacem z cieni i srebra. Wszystko się tak może zmienić z błota w srebro z pomocą odrobiny wyobraźni. Przez okno napływał zapach kwiatów. Cierpki zapach goździków w nocy. Ravic wychylił się przez okno i spojrzał w dół. Na parapecie o piętro niżej stała skrzynka z kwiatami. Należała do uchodźcy Wiesenhoffa, Ravic wypompował mu kiedyś żołądek, było to w Boże Narodzenie, rok temu.

Butelka była pusta, rzucił ją na łóżko. Leżała tam, podobna do czarnego embrionu. Wstał. Po co wpatrywał się w łóżko? Jeśli ktoś nie ma kobiety, niech jej sobie poszuka. O to w Paryżu nietrudno.

Poszedł wąskimi uliczkami w kierunku Etoile. Od Pól Elizejskich szła ciepła fala nocnego życia. Zawrócił, szedł prędko, coraz prędzej, aż zatrzymał się przed hotelem JSlilan".

–Co słychać? – zagadną) portiera.

235- Ach, monsieur – poderwał się portier – dawno tu pana nie było.

–Tak, wyjeżdżałem.

Portier śledził go bacznie szparkami żywych oczu.

–Madame już tu nie mieszka.

–Wiem. Od dawna już.

Portier ten był dobrym portierem, wiedział bez pytań, czego się od niego oczekuje.

–Będzie temu cztery tygodnie – powiedział – równo cztery tygodnie, jak się wyprowadziła. Ravic wyjął z paczki papierosa.

–Czy madame wyjechała z Paryża? – spytał portier.

–Jest w Cannes.

–W Cannes! – Portier przetarł twarz szeroką dłonią. – Może mi pan nie uwierzy, ale byłem w Nicei w hotelu “Ruhl" portierem osiemnaście lat temu.

–Uwierzę.

–Co za czasy! Jakie zarobki! Wspaniały okres po wojnie! A teraz…

Ravic był dobrym gościem, rozumiał bez bliższych aluzji portierów hotelowych. Wyjął z kieszeni banknot pięciofranko-wy i położył go na stole.

–Dziękuję panu, wszystkiego najlepszego. Odmłodniał pan.

–Czuję to. Dobranoc.

Stał na ulicy. Po co tam chodził? Teraz brakowało tylko, aby poszedł do “Szeherezady" i zaczął pić.

Zapatrzył się na niebo usiane gwiazdami. Powinien się cieszyć z tego zakończenia sprawy. Oszczędziło mu to mnóstwa niepotrzebnych rozmów. Wiedział o tym, tak jak i Joanna. Przynajmniej teraz. Zrobiła to, co było jedynie słuszne. Bez wyjaśnień.

Wyjaśnienia to rzecz drugorzędna. Gdzie chodzi o uczucia, nie ma wyjaśnień. Nic, prócz czynów. Dzięki Bogu, obeszło się także bez moralnych przypraw. Dzięki Bogu, dla Joanny to nie istniało. Zdecydowała się. Koniec. Kropka. Bez żadnych wahań. On także. Więc po cóż tu jeszcze stoi? Musi być coś w powietrzu, w tej miękkiej tkaninie, uplecionej z maja i wieczoru w Paryżu. No i z nocy oczywiście. Nocą jest się innym niż w dzień. Wrócił do hotelu.

236

–Czy mogę skorzystać z telefonu?

–Oczywiście, proszę pana. Ale nie mamy kabiny, tylko ten aparat.

–Wystarczy.

Spojrzał na zegarek. Veber może być jeszcze w klinice. Ostatni obchód przed nocą.

–Czy zastałem doktora Vebera? – spytał pielęgniarkę. Nie poznał jej głosu, musiała być jakaś nowa.

–Nie mogę go teraz prosić.

–Nie ma go?

–Jest, ale nie może podejść.

–Proszę pani – powiedział Ravic – niech pani pójdzie do niego i powie, że dzwoni Ravic. Ale zaraz, to bardzo ważne. Czekam przy telefonie.

–Ostatecznie – powiedziała z wahaniem pielęgniarka – mogę zapytać, ale na pewno nie przyjdzie.

–Zobaczymy. Proszę mu powiedzieć. Ravic. W chwilę potem Veber był przy telefonie.

–Ravic! Gdzie pan jest?

–W Paryżu, dziś przyjechałem. Czy pan jeszcze operuje?

–Za dwadzieścia minut. Pilny wyrostek robaczkowy. Możemy się potem spotkać.

–Chętnie przyjdę do kliniki.

–Świetnie. O której?

–Zaraz.

–Doskonale, czekam na pana.

–Tu jest niezła wódka – powiedział Veber – gazety i pisma lekarskie. Niech pan się rozgości.

–Proszę o jeden kieliszek. A potem o fartuch i rękawiczki. Veber spojrzał na Ravica.

–Zwykły wyrostek robaczkowy, poniżej pana godności. Dam sobie doskonale radę z siostrami. Pan jest z pewnością zmęczony.

–Veber, niech mi pan zrobi tę uprzejmość i pozwoli operować. Nie jestem wcale zmęczony i czuję się dobrze. Veber roześmiał się.

–Tak się panu spieszy do pracy? Dobrze, jak pan chce. Rozumiem pana.

237Ravic umył się, włożył rękawice i fartuch. Sala operacyjna. Głęboko wciągnął zapach eteru. Eugenia stała w głowach stołu, dając narkozę. Inna, bardzo ładna, młoda pielęgniarka układała instrumenty.

–Dobry wieczór, siostro Eugenio – powiedział Ravic. Zdumiona, omal nie wypuściła maski.

–Dobry wieczór, doktorze – powiedziała.

Veber uśmiechnął się; po raz pierwszy zwróciła się tak do Ravica. Ravic pochylił się nad pacjentem. Jaskrawe światło lamp błyszczało intensywną bielą. Odgradzało od świata. Odgradzało od myśli. Było rzeczowe, zimne, bezlitosne i dobre. Ravic ujął nóż, który podała mu ładna pielęgniarka. Przez cienką rękawiczkę poczuł chłód stali. Dobrze było go znowu poczuć. Dobrze było przejść od chwiejnej niepewności do jasnej precyzji. Zrobił cięcie. Cienka czerwona linia biegła za nożem. Nagle wszystko stało się proste. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu poczuł się sobą. Bezgłośny szum światła. “Jestem w domu" – pomyślał. “Nareszcie!"

–Przyszła – powiedział Morozow.

–Kto?

Morozow wygładził liberię.

–Nie udawaj, że nie wiesz. Nie irytuj ojca Borysa w publicznym miejscu. Niby nie wiem, czemu w ciągu dwu tygodni byłeś trzy razy w “Szeherezadzie"? Raz w towarzystwie cudu o błękitnych oczach i czarnych włosach, a dwa razy sam? Człowiek jest słaby, inaczej w czym tkwiłby jego wdzięk?

–Idź do diabła! – powiedział Ravic. – Nie upokarzaj mnie, właśnie kiedy będzie mi potrzeba dużo siły, ty gadatliwy portierze.

–Wolałbyś, żebym cię nie uprzedził?

–Oczywiście!

Morozow usunął się na bok i wpuścił dwóch Amerykanów.

–To wynoś się i wracaj innym razem – powiedział.

–Sama?

–Samej nie wpuścilibyśmy nawet udzielnej księżnej. Powinieneś o tym wiedzieć. Zygmunt Freud kazał ci się kłaniać.

–Co ty wiesz o Freudzie? Jesteś wstawiony; poskarżę się na ciebie w dyrekcji, kapitanowi Czedżenedze.

–Kapitan Czedżenedze był podporucznikiem w pułku, w którym ja byłem pułkownikiem, mój chłopcze. Nie zapomniał o tym. Spróbuj tylko.

–Dobrze. Wpuść mnie.

–Ravic! – Morozow położył mu swoje ciężkie ręce na ramionach. – Nie bądź idiotą! Idź, wydzwoń cudo o błękitnych oczach i wróć z nim, jeśli już musisz. Oto prosta rada starego, doświadczonego człowieka. Tani efekt, ale zawsze skuteczny.

239- Nie, Borysie – powiedział Ravic. – Tu wszelkie sztuczki są bezcelowe. I nie chcę ich.

–To idź do domu – powiedział Morozow.

–Do zatęchłej palmiarni? Czy do mojej nory? Morozow zostawił Ravica i podszedł do jakiejś młodej pary, która żądała taksówki. Ravic czekał, póki nie wróci.

–Masz więcej oleju w głowie, niż przypuszczałem, inaczej już byś tam wlazł.

Zsunął z czoła czapkę obszytą złotymi galonami. Zanim mógł coś jeszcze powiedzieć, w drzwiach pojawił się wstawiony młody człowiek w białym smokingu.

–Panie pułkowniku, proszę o wóz wyścigowy! Morozow gestem wezwał następną taksówkę i pomógł wsiąść lekko chwiejącemu się gościowi.

–Wcale się pan nie śmieje! – wybełkotał tamten. – Z tym pułkownikiem to przecież dobry kawał!

–Bardzo dobry. Ale z wozem wyścigowym jeszcze lepszy.

–Namyśliłem się – powiedział Morozow, wróciwszy. – Wejdź. I gwiżdż na wszystko. Ja bym też tak zrobił. Kiedyś i tak by do tego doszło, dlaczego nie teraz? Raz trzeba z tym skończyć. Z chwilą gdy przestajemy być dziećmi, zaczynamy się starzeć.

–Ja także się namyśliłem. Idę gdzie indziej. Morozow spojrzał na niego ubawiony.

–Doskonale. W takim razie zobaczę cię za pół godziny.

–Albo i nie.

–No, to za godzinę.

W dwie godziny później Ravic siedział w “Cloche d'Or". Było tu jeszcze pustawo. Dziwki plotkowały, siedząc przy barze jak papugi na drążku. Koło nich kręciło się kilku sprzedawców kokainy, czekających na turystów. Na górze siedziało kilka par przy cebulowej zupie. W rogu na sofie szeptały z sobą dwie lesbijki, popijając sherry brandy. Jedna z nich miała kostium męskiego kroju z krawatem i monokl w oku, druga była otyłą, rudowłosą dziewczyną w mocno dekoltowanej wieczorowej toalecie.

–“Zgłupiałem" – myślał Ravic. “Dlaczego nie wszedłem do «Szeherezady»? Czego się bałem? Czemu uciekłem? Wiem, że to stało się jeszcze silniejsze. Te trzy miesiące nie osłabiły uczucia, przeciwnie, wzmocniły je. Nie ma co się okłamywać.

240

Była to jedyna rzecz, która pozostała we mnie podczas przemykania się ulicami, oczekiwania w zakonspirowanych pokojach, kapiącej samotności wrogich, bezgwiezdnych nocy. Rozłąka wzmocniła miłość bardziej, niż ona sama potrafiłaby to uczynić, a teraz…"

Stłumiony krzyk wyrwał go z zamyślenia. Tymczasem weszło jeszcze kilka kobiet; jedna z nich, wyglądająca na Murzynkę o bardzo jasnej skórze, mocno podpita, w wielkim kapeluszu z kwiatami zsuniętym na tył głowy, rzuciła nożem stołowym i powoli zaczęła schodzić ze

schodów. Nikt jej nie zatrzymywał. Kelner biegł na górę, ale inna kobieta stanęła w przejściu.

–Nic się nie stało – powiedziała. – Nic się nie stało!

Kelner wzruszył ramionami i zawrócił. W tej chwili Ravic spostrzegł, że rudowłosa kobieta wstała. Ta, która zagrodziła drogę kelnerowi, zeszła szybko do baru. Ruda stała, przyciskając rękę do obfitego biustu. Potem ostrożnie rozsunęła dwa palce i spojrzała w dół. Suknia była rozcięta, pod nią ziała otwarta rana. Nie było widać skóry, tylko świeżą ranę w zielo-nawej, mieniącej się sukni. Rudowłosa patrzyła w osłupieniu, jakby nie mogła w to uwierzyć.

Ravic zrobił mimowolny ruch, ale się opanował. Jedna deportacja wystarczy. Zobaczył, że kobieta w kostiumie pociągnęła rudowłosą na sofę. W tej samej chwili podeszła ta druga, niosąc z baru kieliszek koniaku. Kobieta w kostiumie uklękła na ławeczce, zatkała rudowłosej usta i oderwała jej rękę od rany. Druga chlusnęła na nią koniakiem, prymitywny środek dezynfekcyjny" – pomyślał Ravic. Ruda jęknęła, drgnęła konwulsyjnie, ale tamta trzymała ją w stalowym uścisku. Dwie inne kobiety zasłoniły stół od reszty gości, a zrobiły to tak sprawnie, że nikt nic nie zauważył. W chwilę potem tłum lesbijek i homoseksualistów wtargnął do pokoju jak wezwany zaklęciem. Otoczyli stolik narożny, dwaj chwycili i unieśli rudą, pozostali, śmiejąc się i paplając, osłonili tę grupę i wszyscy szybko opuścili lokal, jakby się nic nie stało. Większość gości nic nie zauważyła.

–Dobrze zrobione, co? – spytał kelner. Ravic skinął głową.

–O co im poszło?

241- Zazdrość, Te perwersiaki łatwo się podniecają.

–Ale skąd się tak od razu zjawili? Telepatia?

–Oni mają dobry węch.

–Ktoś dał pewnie znać przez telefon. Ale to szybko poszło!

–Wywąchali. A trzymają jedno za drugim jak diabły. Jedno drugiego za nic nie wyda. Byle nie policja, to ich zasada. Wszystko załatwiają między sobą. – Kelner sięgnął po kieliszek Ravica. – Podać panu jeszcze? Co to było?

–Calvados.

–A więc jeszcze jeden calvados.

Odszedł. Ravic podniósł głowę i zobaczył Joannę, siedzącą o parę stolików dalej. Widocznie weszła, kiedy rozmawiał z kelnerem. Nie zauważył tego. Była w towarzystwie dwóch mężczyzn. W tej chwili dostrzegła go i jej opalona twarz zbladła. Chwilę tak siedziała, nie spuszczając z niego oczu, potem gwałtownym ruchem odsunęła stolik, wstała i zaczęła iść ku

niemu. Gdy tak szła, twarz jej się zmieniała. Rysy rozpływały się i zamazywały. Tylko oczy pozostały nieruchome i przezroczyste jak kryształy. Ravicowi wydały się jaśniejsze niż dawniej. Była w nich jakaś gniewna moc.

–Wróciłeś – powiedziała cicho, niemal bez tchu. Stała tuż przy nim. Zrobiła ruch, jakby go chciała objąć. Ale nie uczyniła tego, nie podała mu nawet ręki. – Wróciłeś – powtórzyła.

Ravic nie odpowiedział.

–Jak dawno jesteś w Paryżu? – spytała tym samym cichym głosem.

–Od dwóch tygodni.

–Od dwóch tygodni, a ja, a ty nawet…

–Nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Ani w hotelu, ani w "Sze-herezadzie".

–W "Szeherezadzie", ależ ja… – urwała. – Czemuś nie pisał?

–Nie mogłem.

–Kłamiesz.

–Dobrze, więc nie chciałem. Nie wiedziałem, czy wrócę.

–Znów kłamiesz. To nie powód.

–Owszem. Mogłem wrócić albo nie. Rozumiesz?

–Nie, ale rozumiem wybornie, że jesteś tu od dwóch tygodni i nie zrobiłeś najmniejszej próby…

–Joanno – przerwał spokojnie Ravic – tak opalonych ramion nie ma się, siedząc w Paryżu.

Minął ich zaintrygowany kelner. Rzucił okiem na Joannę i Ravica. Był jeszcze pod wrażeniem niedawnej sceny. Jakby niechcący razem z talerzem zabrał dwa noże i widelce z obrusu w czerwono-białą kratę. Ravic zauważył to.

–Wszystko w porządku – powiedział.

–Co jest w porządku? – spytała Joanna.

–Nic. Coś tu się przed chwilą stało. Spojrzała na niego.

–Czekasz na kobietę?

–Mój Boże, nie. Inni się tu pokłócili, ktoś krwawił, ale tym razem powstrzymałem się od interwencji.

–Od interwencji? – Nagle zrozumiała. Jej twarz znowu zmieniła wyraz. – Co tu robisz, na co czekasz? Znów cię zaaresztują. Teraz wiem wszystko. Za drugim razem pół roku więzienia. Musisz uciekać! Nie wiedziałam, że jesteś w Paryżu. Myślałam, że już nie wrócisz.

Ravic nie odpowiedział.

–Myślałam, że już nie wrócisz – powtórzyła. Ravic spojrzał na nią.

–Joanno…

–Nie! To wszystko nieprawda! Nieprawda!

–Joanno – powiedział ostrożnie. – Wracaj do swego stolika. Oczy jej zwilgotniały nagle.

–Wracaj do stolika – powiedział.

–To twoja wina! – wybuchnęła. – Twoja, tylko twoja!

Odwróciła się nagle i odeszła. Ravic odsunął stolik i usiadł. Spojrzał na kieliszek calvadosu i uczynił ruch, jakby zamierzał go wypić. Ale nie zrobił tego. Podczas rozmowy z Joanną cudem zachował spokój. Teraz poczuł nagle podniecenie. "Dziwne – pomyślał – mięśnie piersi drżą mi pod skórą. Czemu te właśnie?" Podniósł kieliszek i przyjrzał się swojej ręce. Nie drgnęła. Wypił połowę, czując na sobie spojrzenie Joanny, ale nie patrzył w jej kierunku. Przeszedł kelner.

–Papierosy – powiedział. – Caporal.

Zapalił papierosa i dopił kieliszek. Znów poczuł jej spojrzenie. "Czego ona oczekuje?" – pomyślał. "Że na jej oczach upiję się z żalu?" Wezwał kelnera i zapłacił. Kiedy wstawał, Joanna

243mówiła coś z ożywieniem do jednego ze swoich towarzyszy. Nie podniosła głowy, kiedy przechodził koło ich stolika. Rysy jej twarzy były twarde i zimne, śmiała się z przymusem.

Ravic szedł i nagle znalazł się z powrotem przed "Szehere-zadą". Twarz Morozowa uśmiechnęła się do niego.

–Brawo, żołnierzu! A już cię uważałem za zaginionego. Człowiek się cieszy, jeżeli uda mu się coś trafnie przepowiedzieć.

–Nie ciesz się zawczasu.

–Ani ty. Za późno wróciłeś.

–Wiem, bo właśnie ją spotkałem.

–Co?

–W“Cloched'Or*.

–A to dopiero! – Morozow zdębiał. – Życie ma coraz to nowe kawały w zanadrzu.

–Kiedy kończysz służbę, Borysie?

–Za chwilę. Już wszyscy wyszli. Muszę się przebrać. Wejdź na chwilę i napij się wódki na koszt firmy.

–Nie, poczekam tutaj.

Morozow przyjrzał mu się uważnie.

–Jak się czujesz?

–Chce mi się rzygać.

–Spodziewałeś się czegoś innego?

–Tak. Człowiek zawsze spodziewa się czegoś innego. Idź się przebrać.

Ravic oparł się o mur. Tuż obok stara sprzedawczyni zbierała swoje kwiaty, ale mu ich nie proponowała. Było to może zabawne, ale chętnie by kupił, gdyby mu je zaproponowała. Widocznie nie sądziła, aby ich potrzebował. Spojrzał na rząd domów, w paru oknach świeciło się jeszcze. Wolno przejeżdżały taksówki. Czego oczekiwał? Wiedział dobrze, czego. Nie spodziewał się jednak, że Joanna weźmie inicjatywę w swoje ręce. Ale czemu nie? Każdy ma rację, z chwilą kiedy atakuje.

Teraz wychodzili kelnerzy. W nocy stawali się Gruzinami i Czerkiesami w czerwonych kurtkach i wysokich butach. Teraz byli tylko przemęczonymi cywilami, którzy wlekli się do domów w swoich codziennych ubraniach. Morozow wyszedł ostatni.

–Dokąd? – zapytał.

–Wszędzie już dzisiaj byłem.

–To chodźmy do hotelu i zagrajmy w szachy.

–Co?

–W szachy. To taka gra drewnianymi figurkami, która jednocześnie pozwala człowiekowi rozerwać się i skoncentrować.

–Dobrze – powiedział Ravic. – Czemu nie?

Przebudził się i od razu wiedział, że Joanna jest w pokoju. Wprawdzie było tak ciemno, że nie mógł nic dojrzeć, ale wyczuwał jej obecność. Pokój stał się inny, okno inne, powietrze inne, on sam się odmienił.

–Nie rób głupstw – powiedział. – Zapal światło i chodź tu. Nie poruszyła się, nie słyszał nawet jej oddechu.

–Joanno – powiedział – chyba nie będziemy grać w ciuciubabkę.

–Nie – powiedziała cicho.

–Więc chodź tu.

–Wiedziałeś, że przyjdę?

–Nie.

–Drzwi były otwarte.

–Drzwi są prawie zawsze otwarte. Chwilę stała w milczeniu.

–Sądziłam, żeś jeszcze nie wrócił – powiedziała wreszcie. – Chciałam tylko… właściwie myślałam, że siedzisz gdzieś i pijesz.

–I ja tak myślałem. Zamiast tego grałem w szachy.

–Co?

–W szachy. Z Morozowem. Tam na dole, w norze, która wygląda jak wyschłe akwarium.

–Szachy! – Wyszła z kąta. – Szachy! Ależ to… Ktoś, kto może grać w szachy, kiedy…

–Sam bym w to nie uwierzył. Ale to mi dobrze zrobiło. Tak dobrze, że udało mi się wygrać.

–Jesteś najzimniejszym, najbardziej pozbawionym serca człowiekiem, jakiego…

–Joanno – powiedział Ravic – tylko bez scen. Przepadam za dobrymi scenami, byle nie dziś.

–Nie robię scen. Jestem okropnie nieszczęśliwa.

–Rozumiem. Zostawmy to wiec. Sceny są na miejscu, kiedy ktoś jest średnio nieszczęśliwy. Znałem człowieka, który od

245chwili śmierci żony do pogrzebu siedział zamknięty w pokoju i rozwiązywał zadania szachowe. Ogólnie uważano, że nie ma serca, ale ja wiedziałem, że kochał ją bardziej niż cokolwiek na świecie. Nie mógł inaczej. Dniami i nocami rozwiązywał zadania szachowe, żeby o niej nie myśleć. Joanna stała teraz pośrodku pokoju.

–Czy dlatego grałeś?

–Nie, powiedziałem ci przecież, że to był kto inny. Spałem, kiedy weszłaś.

–Tak, spałeś. Mogłeś spać! Ravic uniósł się na łokciach.

–Znałem innego człowieka, który także stracił żonę. Położył się do łóżka i przespał dwa dni. Matka żony po prostu wychodziła z siebie. Nie wiedziała, że można robić dużo bezsensownych rzeczy i być niepocieszonym. Czy to nie dziwne, jaka etykieta obowiązuje właśnie w nieszczęściu? Gdybyś mnie zastała pijanego w sztok, byłoby to w najlepszym stylu. A że grałem w szachy i poszedłem spać – dowodzi, że jestem brutalem bez serca. Proste, co?

Rozległ się huk i brzęk. Joanna chwyciła jakiś wazon i rzuciła nim o ziemię.

–To dobrze – powiedział Ravic. – Nie mogłem patrzeć na tę skorupę. Ale teraz uważaj, żeby sobie stóp nie poranić. Odsunęła nogą skorupy.

–Ravic – powiedziała – dlaczego to robisz?

–I ja się pytam: dlaczego? Żeby sobie dodać odwagi. Nie widzisz tego? Prędko zwróciła ku niemu twarz.

–Owszem, na to wygląda. Ale z tobą nigdy nie wiadomo.

Ostrożnie przestąpiła skorupy i usiadła na łóżku. W słabym świetle rodzącego się dnia mógł wyraźnie dojrzeć jej twarz. Zdziwił się, że nie wygląda na zmęczoną, przeciwnie, była młoda, jasna, pełna intensywnego życia. Miała na sobie lekki płaszcz, którego nie znał, i inną suknię niż w “Cloche d'Or*.

–Myślałam, że nigdy nie wrócisz – powiedziała.

–Tak, to trwało bardzo długo. Nie mogłem wcześniej wrócić.

–Czemuś nie pisał?

–A czy to by się na co przydało?

Odwróciła głowę.

–W każdym razie byłoby lepiej.

–Byłoby lepiej, gdybym wcale nie wrócił. Ale nie ma dla mnie innego kraju i innego miasta. Szwajcaria jest za mała, wszędzie indziej są faszyści.

–Ale tutaj… policja…

:! – Policja ma obecnie tyle szans pochwycenia mnie, co i przedtem. To był tylko nieszczęśliwy wypadek. Nie ma o czym myśleć.

Sięgnął po papierosy leżące na stoliku. Był to poręczny, dość duży stolik, leżały na nim książki, papierosy i parę innych przedmiotów. Ravic nie znosił nocnych stolików i konsolek z marmurowymi blatami, które stoją zwykle koło łóżek.

–Daj mi papierosa.

–A może się czego napijesz?

–Owszem. Leż, sama wezmę.

Przyniosła butelkę i napełniła dwa kieliszki. Podała mu jeden, sama wychyliła drugi. Kiedy piła, płaszcz zsunął się z jej ramion i Ravic poznał w półmroku suknię, którą jej podarował, Medy wyjeżdżali do Antibes. Dlaczego ją włożyła? Była to jedyna suknia, którą od niego otrzymała. Nigdy nie myślał o takich rzeczach. Nie chciał też o nich myśleć.

–Kiedy cię nagle zobaczyłam – mówiła Joanna – nie mogłam myśleć. Zupełnie. A kiedy wyszedłeś, myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę. Nie od razu, najpierw myślałam, że wrócisz do “Cloche d'Or^. Czemuś nie wrócił?

–Po cóż miałbym wracać?

–Poszłabym z tobą.

Wiedział, że kłamie, ale nie chciał o tym myśleć. Nagle nie chciało mu się o niczym myśleć. Oto Joanna siedzi znów koło niego, czyż to nie dosyć? Nie przypuszczał, żeby to miało być dosyć. Nie wiedział, po co przyszła ani czego chce, ale nagle doznał dziwnego, głębokiego i uspokajającego uczucia, że wystarcza mu sama jej obecność. “Co to jest?" – pomyślał. “Czyżby to naprawdę było to? Coś poza wszelką kontrolą? Dziejącego się tam, gdzie zaczyna się ciemność, poryw krwi, zew wyobraźni, groźba?"

–Sądziłam, że mnie chcesz porzucić. Chciałeś tego! Powiedz prawdę.

247Milczał. Popatrzyła na niego.

–Wiem o tym, wiem – powtórzyła z głębokim przekonaniem. – Nalej mi jeszcze calvadosu.

–Czy to calvados?

–Nie poznajesz?

–Nie. – Nalała i na chwilę, trzymając butelkę, oparła ramię o jego pierś. Poczuł to dotknięcie aż pod żebrami. Podniosła do ust kieliszek. – Tak, to calvados. – Znów spojrzała na niego. – Dobrze, że przyszłam. Wiedziałam o tym. Dobrze.

Dzień wstawał. Cicho skrzypnęły okiennice, podniósł się lekki wiatr.

–Dobrze, że przyszłam? – spytała.

–Nie wiem, Joanno. Schyliła się nad nim.

–Wiesz, musisz wiedzieć.

Twarz jej była tak blisko niego, że jej włosy leżały na jego ramionach. Spojrzał na nie. Był to obraz, który znał, obcy i buski, zawsze ten sam i wciąż inny. Zobaczył, że schodzi jej skóra z czoła, że róż na górnej wardze starł się, że jest nie dość starannie umalowana – zobaczył wszystko w jej twarzy, pochylonej nad nim tak blisko, że zagradzała mu cały świat -i wiedział, że tylko jego wyobraźnia robi z niej coś tajemniczego, że są twarze piękniejsze, lepsze, czystsze; ale wiedział też, że ta jedna ma nad nim władzę. I że tej władzy sam jej udzielił.

–Tak – powiedział wreszcie. – Jest dobrze. Tak czy tak.

–Nie zniosłabym tego, Ravic.

–Czego?

–Żebyś miał nigdy nie wrócić.

–A powiedziałaś, żeś się mnie nie spodziewała?

–To nie to samo. Gdybyś zamieszkał w innym kraju, byłoby to zupełnie co innego. Bylibyśmy tylko rozdzieleni. Mogłabym z czasem do ciebie przyjechać. Albo wierzyć w to przynajmniej. Ale tu, w tym samym mieście, czyż tego nie rozumiesz?

–Owszem.

Wyprostowała się i odrzuciła w tył włosy.

–Nie zostawisz mnie samej. Jesteś za mnie odpowiedzialny.

–Czyż jesteś sama?

–Jesteś za mnie odpowiedzialny – powtórzyła i uśmiechnęła się.

Przez **chwilę nienawidził jej za ten uśmiech i ton.**

–Bredzisz. Joanno.

–A jednak jesteś. Od tamtej chwili. Gdyby nie ty…

–Niech będzie. Jestem także odpowiedzialny za zajęcie Czechosłowacji. Dość już o tym. Dnieje. Wkrótce będziesz musiała iść.

–Jak to, nie chcesz, żebym z tobą została?

–Nie.

–Ach, tak – powiedziała cicho, nagle gniewna – więc już mnie nie kochasz!

–O Boże, więc jeszcze i to! Z jakimi idiotami przebywałaś w ciągu tych paru miesięcy?

–To nie byli idioci. A co miałam robić? Siedzieć w hotelu "Milan", wpatrywać się w ścianę i zwariować? Ravic wyprostował się.

–Tylko bez wyznań – zaprotestował. – Nie prosiłem cię o nie. Chciałem tylko podnieść nieco poziom rozmowy. Spojrzała na niego. Jej oczy i usta były jakby zapadnięte.

–Czemu mnie zawsze krytykujesz? Inni mnie nie krytykują. Z tobą najmniejsza rzecz staje się problemem.

–Istotnie. – Ravic przełknął duży łyk i położył się.

–Naprawdę. Nigdy nie wiadomo, o czym z tobą rozmawiać. Zmuszasz do mówienia rzeczy, których wcale nie chciałam mówić. A potem na mnie napadasz.

Ravic odetchnął głęboko. O czymże to rozmyślał przed chwilą? Ciemna pasja miłości, siła wyobraźni – jak to się prędko zmienia! Same to robią. Są najgorliwszymi burzycielami snów. Ale czy to ich wina? Piękne, błądzące istoty. Gdzieś w środku Ziemi ogromny magnes, na jej powierzchni zaś – gromada istot, które sądzą, że mają własną wolę i własny los; czyż to ich wina? Czyż sam nie był jedną z nich? Czyż nie czepiał się jeszcze, nieufnie, taniego sarkazmu, lichej ostrożności – wiedząc już, co dalej nieodwołalnie musi nastąpić?

Joanna skuliła się w nogach łóżka, wyglądała jak zagniewana praczka, a jednocześnie jak ktoś, kto spadł z księżyca i bardzo się wszystkiemu dziwi. Świt zróżowiał i oświetlił ich, wczesny dzień tchnął świeżym powiewem mimo brudnych podwórek i dymiących dachów, przynosił świeżość lasów i życie.

249- Joanno, dlaczego przyszłaś? – spytał Ravic.

–Czemu się pytasz?

–Tak. Czemu się pytam?

–Po co te wieczne pytania? Jestem. Czy to nie wystarcza?

–Masz rację, Joanno, to wystarcza. Podniosła głowę.

–Nareszcie, ale najpierw musiałeś mi zepsuć całą radość.

“Radość!" – pomyślał. “Ona to nazywa radością! Być wciągniętym przez milion czarnych śmigieł w wir bezpamiętnego pożądania… Radość? Tam, za oknem, jest chwila radości, poranna rosa, dziesięć minut ciszy, zanim dzień wyciągnie swe szpony. Ale, do diabła, po co to wszystko, czy ona nie ma racji? Czyż nie ma racji, jak rosa, wróble, wiatr i krew? Czemu się pytałem, czego się chciałem dowiedzieć? Jest, przyfrunęła jak nocny motyl, jak bielinek, jak pawik, szybko bez zastanowienia, a ja tu leżę i liczę jej barwne oka, żyłki na jej skrzydłach, wpatruję się w nieco starty pyłek. Przyszła, a ja się puszę jak głupiec, dlatego że to zrobiła. Gdyby nie przyszła, leżałbym, rozmyślając, starając się bohatersko oszukać samego siebie i życząc sobie w duchu tylko tego, by przyszła".

Odrzucił kołdrę, spuścił nogi i znalazł pantofle.

–Czego chcesz? – spytała zdumiona Joanna. – Czy masz zamiar mnie wyrzucić?

–Nie, mam cię zamiar całować. Powinienem był to zrobić już dawno, Joanno, dureń ze mnie. Plotłem androny. Jak to cudownie, żeś przyszła!

Rozpogodziła się.

–Możesz mnie przecież całować, nie wstając z łóżka – powiedziała.

Czerwień poranka stała wysoko nad oknami. Niebo powyżej było bladoniebieskie. Płynęło po nim kilka obłoków jak śpiące flamingi.

–Spójrz, Joanno, co za dzień! A pamiętasz te deszcze?

–Tak, kochany, ciągle padało. Było szaro i deszcz padał.

–Padało też, kiedym odjeżdżał. Byłaś zrozpaczona. A teraz…

–Tak – powiedziała – a teraz…

Leżała przytulona do niego.

–A teraz mamy wszystko – powiedział. – Nawet ogród. Goździki w skrzynce na oknie WiesenhofFa i ptaki na podwórzu, wśród gałęzi kasztanu.

Zobaczył, że płacze.

–Dlaczego o nic mnie nie pytasz?

–Pytałem już za wiele. Samaś tak powiedziała.

–To co innego.

–Nie ma o co pytać.

–No, o to, co zaszło w tym czasie.

–Nic nie zaszło. Potrząsnęła głową.

–Mój Boże, Joanno, za kogo mnie bierzesz? – powiedział. – Spójrz za okno na tę czerwień, złoto i błękit. Czy one pytają o wczorajszy deszcz, o to, czy trwa jeszcze wojna w Chinach albo w Hiszpanii? Czy w tej chwili umiera tysiąc ludzi, czy też tysiąc innych się rodzi? Są, ukazują się, to wszystko. A ty chcesz, żebym cię pytał? Twoje ramiona w tym świetle wyglądają jak z brązu, a ja mam cię o coś pytać? Twoje oczy w różowym świetle jutrzenki są jak morze Greków, fiołkowe i koloru wina, a ja mam cię pytać o coś, co minęło? Wróciłaś, a ja miałbym jak głupiec brodzić wśród opadłych liści przeszłości? Za kogo mnie bierzesz, Joanno?

Przestała płakać.

–Dawno już tego nie słyszałam – powiedziała.

–Więc żyłaś wśród durni. Kobietę trzeba uwielbiać albo ją porzucić. Nic poza tym.

Zasnęła, obejmując go, jakby chciała nigdy od siebie nie puścić. Spała głęboko, czuł na swej piersi jej lekki, regularny oddech. Czuwał jeszcze chwilę. W hotelu zaczęły rozbrzmiewać zwykłe odgłosy poranka. Woda bulgotała, trzaskano drzwiami, a na dole stary Wiesenhoff odprawiał codzienny rytuał, kaszląc w otwartym oknie. Ravic czuł ramię Joanny obok swego ramienia i dotyk jej ciepłej skóry, a odwróciwszy głowę, mógł dostrzec jej uwolnioną od napięcia twarz, oddaną całkowicie snowi, czystą jak sama niewinność. “Uwielbiać albo porzucić" – myślał. “Wielkie słowa. Kto by je umiał wprowadzić w czyn! Ale też kto by chciał tego?"

25120

Zbudził się. Joanny nie było przy nim. Usłyszał szum wody w łazience. Od razu oprzytomniał. Nauczył się tego znów w ostatnich paru miesiącach. Kto się od razu budzi, czasami zdąży

jeszcze uciec. Spojrzał na zegarek. Była dziesiąta rano. Wieczorowa suknia Joanny leżała na podłodze razem z jej płaszczem. Koło okna stały brokatowe pantofelki, z których jeden przewrócił się na bok.

–Joanno – zawołał – dlaczego bierzesz prysznic w środku nocy?

Otworzyła drzwi.

–Nie chciałam cię budzić.

–Tb nie ma znaczenia, zawsze mogę usnąć. Ale czemu sama wstałaś?

Miała na głowie czepek kąpielowy i ociekała wodą, jej ramiona połyskiwały brązem. Wyglądała jak amazonka w ściśle przylegającym hełmie.

–Nie jestem już nocną sową. Nie pracuję w “Szeherezadzie".

–Słyszałem.

–Od kogo?

–Od Morozowa.

Chwilę patrzyła na niego badawczo.

–Morozow – powtórzyła. – Ten stary gaduła. Co ci jeszcze mówił?

–Nic więcej. Czy jest coś jeszcze do powiedzenia?

–Nic takiego, o czym mógłby wiedzieć nocny portier. Oni są jak szatniarki. Zawodowi plotkarze.

–Zostaw Morozowa w spokoju. Nocni portierzy i lekarze to zawodowi pesymiści. Żyją z cienistych stron życia. Ale nie plotkują. Obowiązuje ich dyskrecja.

–Cieniste strony życia – powtórzyła Joanna. – Komuż one potrzebne?

–Nikomu, ale ludzie przeważnie w nich żyją. Poza tym Morozow pomógł ci się dostać do “Szeherezady".

–Nie mogę mu przez całe życie dziękować ze łzami w oczach. Zresztą nie zawiódł się na mnie. Warta byłam ich pieniędzy, inaczej by mnie nie trzymali. W ogóle zrobił to dla ciebie, nie dla mnie.

Ravic sięgnął po papierosa.

–Czego ty właściwie od niego chcesz?

–Niczego nie chcę. Po prostu nie lubię go. Ma jakiś taki sposób patrzenia na człowieka. Nie mam do niego zaufania. I ty nie powinieneś mu ufać.

–Co?

–Nie powinieneś mu ufać. Wiesz chyba, że wszyscy portierzy we Francji szpiegują dla policji.

–I co jeszcze? – spytał spokojnie Ravic.

–Oczywiście nie wierzysz mi, ale wszyscy w “Szeherezadzie" wiedzieli o tym. Kto wie, czy…

–Joanno! – Ravic odrzucił kołdrę i wstał. – Nie bredź! Co ci się stało?

–Nic mi się nie stało. Co by mi się miało stać? Nie znoszę go, to wszystko. On wywiera zły wpływ. A ty się z nim nie rozstajesz.

–Aha – powiedział Ravic. – O to ci chodzi. Nagle roześmiała się.

–Właśnie, o to mi chodzi!

Poczuł jednak, że to nie była jedyna przyczyna. Coś w tym jeszcze tkwiło.

–Co zjesz na śniadanie? – spytał. – Gniewasz się?

–Nie.

Wyszła z łazienki i objęła go ramionami. Poczuł chłód jej wilgotnej skóry przez cienką tkaninę pidżamy. Poczuł jej ciało i własną krew.

–Gniewasz się, że jestem zazdrosna o twoich przyjaciół? – spytała.

Potrząsnął głową. Amazonka. Najada, która wyszła z fal oceanu, niosąc zapach wody i młodości na swojej smagłej skórze.

–Puść – powiedział.

Nie odpowiedziała. Linia łącząca wysokie kości policzkowe

253z podbródkiem. Usta. Nieco zbyt ciężkie powieki. Piersi uci-skające jego nagą skórę pod otwartą kurtką pidżamy.

–Puść albo…

–Albo co? – spytała.

Za oknem brzęczała pszczoła. Ravic gonił ją wzrokiem. Przywabiły ją widać goździki Wiesenhoffa, a teraz szukała innych kwiatów. Wleciała wreszcie do pokoju i usiadła na parapecie okna, na brzegu kieliszka po calvadosie.

–Tęskniłeś za mną?

–Tak.

–Bardzo?

–lak.

Pszczoła poderwała się, okrążając kilkakrotnie kieliszek, potem wyleciała przez otwarte okno z powrotem ku goździkom Wiesenhoffa.

Ravic leżał koło Joanny. “Lato" – myślał. “Lato, łąki o poranku, włosy pełne zapachu siana, skóra jak kwiaty koniczyny, wdzięczna krew płynie cicho jak strumyk, omywając piaszczyste łachy, gładka powierzchnia, w której odbija się uśmiechnięta twarz. W tej błogosławionej chwili wszystko odzywa. Brzozy i topole, cisza i niegłośny szmer jak echo dalekiego nieba, tętnice w żyłach".

–Chciałabym tu zostać – powiedziała Joanna z głową na jego ramieniu.

–Zostań, pośpijmy jeszcze. Nie spaliśmy wiele.

–Nie mogę, muszę iść.

–O tej porze nie możesz wyjść w wieczorowej sukni.

–Przyniosłam sobie inną.

–Gdzie jest?

–Pod płaszczem, pantofle także. Muszą być między moimi rzeczami. Mam z sobą wszystko.

Nie powiedziała, dokąd ani po co musi iść, a Ravic nie pytał. Pszczoła znów się zjawiła. Nie wróciła bez celu, poleciała prosto ku kieliszkowi i usiadła na jego brzegu. Znała się widać na calvadosie albo na słodyczy owocu.

–Tak byłaś pewna, że tutaj zostaniesz?

–Tak – powiedziała Joanna, nie poruszając się.

*** * ***

Rolanda przyniosła na tacy butelkę i kieliszki.

–Byle nic do picia – powiedział Ravic.

–Nie napijesz się wódki? To żubrówka.

–Nie dzisiaj. Możesz mi dać trochę mocnej kawy.

–Dobrze.

Odstawił na bok mikroskop. Potem zapalił papierosa i podszedł do okna. Nagie drzewa odziały się liściem. Ostatnio, kiedy tu był, jeszcze nie miały liści. Rolanda przyniosła kawę.

–Macie teraz więcej dziewczynek niż przedtem – powiedział Ravic.

–O dwadzieścia więcej.

–Tak świetnie idą interesy, teraz, w czerwcu? Rolanda usiadła przy nim.

–Sami nie rozumiemy, co to się dzieje. Ludzie po prostu powariowali. Ruch zaczyna się wczesnym popołudniem, a wieczorem…

–Może to ta pogoda.

–Na pewno nie, wiem przecież, jak zwykle bywa w maju i w czerwcu. Ale to naprawdę jakiś rodzaj szału. Nie uwierzysz, jak świetnie idzie bar. Czy możesz sobie wyobrazić Francuza zamawiającego u nas szampana?

–Nie.

–Cudzoziemcy, oczywiście. Dla nich go też trzymamy. Ale Francuzi! Paryżanie szampan! I nawet płacą. Zamiast Du-bonnet, piwa czy koniaku. Uwierzysz w to?

–Tylko jeśli zobaczę na własne oczy. Rolanda nalała mu kawy.

–A ten ruch! – powiedziała. – Coś zadziwiającego. Sam zobaczysz, schodząc. Już o tej porze! To już nie ci sami ostrożni znawcy, czekający na twoją wizytę lekarską. Cała gromada ich czeka. Co się dzieje z ludźmi, Ravic?

Wzruszył ramionami.

–Jest taka opowieść o tonącym parowcu…

–Ależ u nas nic nie tonie! Interes prosperuje jak nigdy!

Otworzyły się drzwi, weszła Ninetta, dwadzieścia jeden lat, o smukłej, chłopięcej figurze, w różowych jedwabnych majteczkach. Miała twarz świętej, a była jedną z najlepszych dzi-

255wek lokalu. W tej chwili niosła tacę z chlebem, masłem i dwoma słoikami marmolady.

–Madame usłyszała, że doktor pije kawę – wyjaśniła ochrypłym basem – i przysyła trochę marmolady do skosztowania. Domowa! – Ucięła grymas, anielska twarz zmieniła się w maskę łobuziaka. Postawiła tacę na stole i wysunęła się z pokoju.

–Widzisz – westchnęła Rolanda -jakie się zrobiły zuchwałe. Wiedzą, że ich potrzebujemy.

–Słusznie – powiedział Ravic – a kiedyż by miały być zuchwałe? Co oznaczają te słoiki?

–To duma madame; sama latem smażyła marmoladę w swojej posiadłości na Riwierze. Jest naprawdę doskonała. Spróbujesz?

–Nienawidzę marmolady. Szczególnie smażonej przez milionerki.

Rolanda otworzyła słoik, wyjęła kilka łyżek marmolady na kawałek grubego papieru, dołożyła kilka tostów i trochę masła, zapakowała wszystko zręcznie i podała Ravicowi.

–Wyrzuć to później – powiedziała – ale zrób madame tę przyjemność i weź. Sprawdzi, czy kosztowałeś. To ostatnia ambicja starej, rozczarowanej kobiety. Zrób to przez uprzejmość.

–Dobrze. – Ravic wstał i otworzył drzwi. Z dołu dochodziły śmiechy, głosy, muzyka, krzyki. – Dość głośno – powiedział. – Czy to wszystko Francuzi?

–Nie, przeważnie cudzoziemcy.

–Amerykanie?

–Nie, i to jest właśnie dziwne. Przeważnie Niemcy. Nigdy ich tu tylu nie bywało.

–Nie ma w tym nic dziwnego.

–Większość mówi doskonale po francusku. I wcale nie tak, jak Niemcy mówili jeszcze parę lat temu.

–Tak sobie właśnie myślałem. A nie ma też zwykłych po-ilusów? Rekrutów, żołnierzy z wojsk kolonialnych?

–Tych nigdzie nie brak. Ravic skinął głową.

–I Niemcy wydają dużo pieniędzy, co? Rolanda się roześmiała.

–Owszem, fundują każdemu, kto zgodzi się z nimi pić.

l – Szczególnie żołnierzom, jak myślę. A tymczasem w Niem-I czech jest waluta wewnętrzna i zamknęli granice. Można opuścić ich kraj tylko za specjalnym pozwoleniem. I nie wolno wziąć z sobą więcej niż dziesięć marek. Czy to nie dziwne, ta wielka liczba wesołych Niemców, którzy mają pełne kieszenie pieniędzy i mówią tak świetnie po francusku? Rolanda wzruszyła ramionami.

–Nic mnie to nie obchodzi, dopóki nie mają fałszywych pieniędzy…

Było już po ósmej, kiedy wrócił.

–Nikt do mnie nie dzwonił? – spytał portiera.

–Nie.

–Ani po południu?

–Nie, przez cały dzień nikt nie telefonował.

–I nikt się o mnie nie pytał? Portier potrząsnął głową.

–Nikt.

Ravic wszedł po schodach na górę. Na pierwszym piętrze usłyszał małżeńską kłótnię Goldbergów. Na drugim płakało dziecko. Był to francuski obywatel, Lucjan Silbermann, liczący sobie rok i dwa miesiące, przedmiot uwielbienia i wielkich nadziei ojca, kupca handlującego kawą, Zygfryda Silberman-na, i jego żony Nelly, z domu Levy, z Frankfurtu nad Menem. Przyszedł na świat we Francji, rodzice liczyli wiec na to, że o dwa lata wcześniej otrzymają francuskie paszporty. Lucjan z inteligencją rocznego dziecka tyranizował całą rodzinę. Na trzecim piętrze ryczał gramofon. Należał on do uchodźcy Wohl-meiera, poprzednio więźnia obozu koncentracyjnego w Ora-nienburgu, który puszczał płyty z niemieckimi piosenkami ludowymi. Korytarz pachniał kapustą i mrokiem.

Ravic poszedł do swego pokoju poczytać. Kiedyś kupił kilka tomów historii świata i teraz wyciągnął je z szuflady. Nie była to zbyt radosna lektura. Dawała jedynie ponurą satysfakcję, że to, co się dzisiaj dzieje, nie jest niczym nowym. Wszystko to powtarzało się już kilkanaście razy. Kłamstwo, łamanie umów, morderstwa, noce św. Bartłomieja, korupcja z chęci władzy, wieczysty łańcuch wojen – zaprawdę, historia ludzkości pisa-

257na była krwią i łzami, a wśród krwawych pomników przeszłości od kilku zaledwie bił srebrny blask dobroci. Demagodzy, oszuści, ojcobójcy, mordercy własnych przyjaciół, ludzie opętani egoizmem, sfanatyzowani prorocy, którzy rozpowszechniali wiarę mieczem; wiecznie to samo i wiecznie cierpliwe ludy, podżegane nawzajem przeciwko sobie, ginące w bezsensownych rzeziach za cesarzy, religie i szaleńców – bez końca to samo.

Odłożył książkę. Z dołu dochodziły go głosy. Poznał je: to Wiesenhoff i pani Goldberg.

–Nie teraz – powiedziała Ruth Goldberg – on zaraz wróci. Najpóźniej za godzinę.

–Godzina to godzina.

–Może wrócić wcześniej.

–Dokąd poszedł?

–Do ambasady amerykańskiej. Chodzi tam co wieczór, staje i gapi się. Nic więcej. Potem wraca.

Wiesenhoff powiedział coś, czego Ravic nie zrozumiał.

–Naturalnie – odpowiedziała Ruth Goldberg kłótliwym tonem – ale kto z nas nie jest wariatem? Że stary? Wiem o tym przecież. Daj spokój – powiedziała po chwili – nie mam ochoty. Nie jestem w nastroju.

Wiesenhoff coś odpowiedział.

–Łatwo ci mówić – powiedziała – ale on ma pieniądze. Ja nie mam ani centyma. A ty…

Ravic wstał, spojrzał na telefon i zawahał się. Była już prawie dziesiąta. Nic nie wiedział o Joannie, od kiedy wyszła rano. Nie zapytał jej, czy wieczorem przyjdzie, był tego pewien. Teraz stracił tę pewność.

–Tbbie to się wydaje proste. Chcesz mieć przyjemność, nic więcej – mówiła pani Goldberg.

Ravic poszedł do Morozowa, ale jego pokój był zamknięty. Zszedł do katakumb.

–Gdyby ktoś telefonował, jestem na dole – powiedział portierowi.

Morozow grał tu w szachy z jakimś rudowłosym mężczyzną. Kilka kobiet siedziało po kątach. Robiły na drutach albo z zatroskanymi twarzami czytały. Ravic jakiś czas obserwował. Rudowłosy grał dobrze, szybko i obojętnie.

Morozow przegrywał.

–Widzisz, co tu się ze mną dzieje? – powiedział. Ravic wzruszył ramionami, rudowłosy podniósł głowę.

–Pan Finkenstein – przedstawił Morozow. – Prosto z Niemiec.

Ravic skinął głową.

–No i jak tam teraz? – spytał bez ciekawości, byle coś powiedzieć.

Rudowłosy wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział, Ra-vic nie oczekiwał też odpowiedzi. Tylko w pierwszych latach były te łapczywe pytania, oczekiwanie, gorączkowa nadzieja na zmianę. Teraz każdy już wiedział, że tylko wojna może coś odmienić. I każdy, kto miał choć trochę rozumu, wiedział, że przed rządem, który rozwiązuje problem bezrobocia, rozbudowując przemysł zbrojeniowy, stoją tylko dwie możliwości: wojna albo wewnętrzna katastrofa. A więc wojna.

–Mat – powiedział Finkenstein bez entuzjazmu i wstał. Spojrzał na Ravica. – Co zrobić, żeby móc spać? Nie śpię tutaj. Zasypiam i co chwila się budzę.

–Pić – powiedział Morozow. – Burgunda, dużo burgunda albo piwa.

–Nie pijam. Chodziłem już godzinami po ulicach, aż mi się zdawało, że jestem śmiertelnie znużony. Ale i to nie pomagało, nie mogę spać.

–Dam panu tabletki – powiedział Ravic. – Niech pan ze mną pójdzie na górę.

–I zaraz wracaj, Ravic! – zawołał za nim Morozow. – Nie zostawiaj mnie samego, bracie!

Parę kobiet obejrzało się. Potem znów zatopiły się w robocie lub w czytaniu, jakby ich życie od tego zależało. Ravic wszedł z Finkensteinem do swego pokoju Kiedy otworzył drzwi, owionęło go nocne powietrze, płynące oknem jak ciemna, chłodna fala. Odetchnął głęboko, zapalił światło i szybko obrzucił spojrzeniem pokój. Nikogo nie było. Dał Finkensteinowi kilka tabletek nasennych.

–Dziękuję – powiedział Finkenstein z nieruchomą twarzą i znikł jak cień.

I nagle Ravic pojął, że Joanna nie przyjdzie. Wiedział też, że czuł to już rano, tylko nie chciał uwierzyć. Odwrócił się,

jakby usłyszał za sobą czyjś głos. Nagle wszystko stało się proste i jasne. Osiągnęła u niego to, czego chciała, a teraz się nie spieszy. Czegóż się spodziewał? Że wszystko dla niego zostawi? Że wróci, jak przedtem? Co za głupstwo! Naturalnie miała kogoś i nie tylko to: miała też zupełnie inne życie, którego nie chciała porzucić. Znów zszedł na dół, czuł się niedobrze.

–Nikt do mnie nie dzwonił? – zapytał. Właśnie przyszedł nocny portier, ale i ten zaprzeczył. Miał usta zapchane kiełbasą z czosnkiem.

–Czekam telefonu. Schodzę na dół. Wrócił do Morozowa.

Zagrali partię. Morozow wygrał i rozglądał się uradowany. Kobiety znikły tymczasem po cichu. Morozow potrząsnął kościelnym dzwoneczkiem.

–Klaryso, karafkę różowego. Ten Finkenstein gra jak maszyna do szycia, oświadczył Ravicowi. – Ib wstrętne. Matematyk, psiakrew. Nienawidzę doskonałości. To nieludzkie. – Spojrzał na Ravica. – Czemu tu siedzisz w taki wieczór?

–Czekam na telefon.

–Znowu kogoś zabijasz naukowym sposobem?

–Wczoraj usunąłem pacjentowi żołądek. Morozow napełnił kieliszki.

–Siedzisz tu, pijąc – powiedział – a tam twoja ofiara leży w delirium. W tym jest także coś nieludzkiego. Powinieneś przynajmniej mieć boleści.

–Słusznie – odrzekł Ravic – ale na tym właśnie polega nędza świata, Borysie. Nigdy nie czujemy tego, co wyrządzamy. Czemu jednak chcesz zaczynać swoją reformę od lekarzy? Politycy i generałowie lepiej się do tego nadają. Mielibyśmy pokój na całym świecie.

Morozow oparł się głębiej i patrzył na Ravica.

–Najlepiej nie zadawać się z lekarzami – oświadczył. – W ten sposób traci się do nich zaufanie. Upijałem się z tobą, jak mógłbym zgodzić się, żebyś mnie operował? Choćbym był najpewniejszy, że jesteś lepszym chirurgiem niż inny, którego nie znam, zwrócę się do tamtego. Zaufanie do niewiadomego to głęboko ludzka cecha, mój stary! Lekarzy powinno się trzy-

mać w szpitalach i nie wypuszczać między profanów. Wasi poprzednicy – czarownice i znachorzy – dobrze znali tę zasadę. Jeśli będę operowany, chciałbym wierzyć w ponadludzkie siły.

–Ja też bym nie chciał ciebie operować.

–Dlaczego?

–Żaden lekarz nie operuje chętnie brata.

–Nie zrobię ci i tak tej przyjemności. Umrę we śnie na udar serca. Robię, co mogę, w tym kierunku. – Morozow patrzył na Ravica jak uszczęśliwione dziecko. Potem wstał. – Muszę iść. Otwierać drzwi w centrum kultury na Montmartrze. Po co człowiek żyje?

–Aby nad tym rozmyślać. Nie masz więcej pytań?

–Owszem. Dlaczego człowiek umiera wtedy, kiedy czegoś dokonał i stał się mądrzejszy?

–Niektórzy umierają bynajmniej nie mądrzejsi.

–Chcesz się wymigać od odpowiedzi. Tylko nie zacznij mówić o wędrówce dusz.

–Wpierw ja tobie zadam pytanie: lew zabija antylopę, pająk muchę, a lis kurczęta. Jaka jest jedyna rasa na ziemi, która bezustannie zwalcza i morduje sama siebie?

–Dziecinne pytanie. Oczywiście korona stworzenia, człowiek, który wymyślił słowa miłość, dobroć i litość.

–Dobrze. A kto jest jedynym stworzeniem w przyrodzie zdolnym popełnić samobójstwo?

–Znowu człowiek, który wynalazł wieczność, Boga i zmartwychwstanie.

–Świetnie – zakończył Ravic. – Widzisz, z ilu sprzeczności jesteśmy złożem. A pytasz, czemu umieramy. Morozow spojrzał ze zdziwieniem i łyknął wina.

–Sofisto! – powiedział.

–Wykrętny człowieku!

Ravic patrzył na niego. ^Joanno" – szeptało w nim coś. “Gdybyś teraz weszła przez te brudne oszklone drzwi!"

–Omyłka polega na tym, Borysie, że w ogóle zaczęliśmy myśleć. Gdybyśmy się zadowolili płodzeniem i żarciem, nie byłoby tego wszystkiego. Ktoś z nami robi eksperymenty, ale dotychczas nie znalazł, zdaje się, rozwiązania. Nie skarżmy się. Króliki doświadczalne powinny także mieć swój honor zawodowy.

260

261- Tak powiadają rzeźnicy, ale nie woły. Tak powiadają uczeni, ale nie świnki morskie. Tak powiadają lekarze, ale nie białe myszy.

–Słusznie. Niech żyje prawo wystarczającej racji! Chodź, Borysie, wypijmy za piękność, za słodką wieczność chwili. Wiesz, co także umie robić tylko człowiek? Śmiać się i płakać.

–I upijać się. Koniakiem, winem, filozofią, kobietami, nadzieją i rozpaczą. Wiesz, co jeszcze wie tylko człowiek? Że musi umrzeć. Dano mu wyobraźnię jako odtrutkę. Kamień, roślina, zwierzę są czymś realnym. Mają jakiś cel. Nie wiedzą, że muszą umierać. Człowiek wie o tym. Ulatuj, duszo! Nie szlochaj, legalny morderco! Czy nie śpiewaliśmy tu pieśni nad pieśniami" ludzkości?

Morozow potrząsnął szarą palmą, aż kurz poleciał.

–O, poczciwy symbolu wzruszającej południowej nadziei, roślino z marzeń francuskiej gospodyni, żegnaj! Ty też, człowiecze bez domu, pnączu bez ziemi, złodzieju śmierci, żegnaj!

Bądź dumny, że jesteś romantykiem.

Wykrzywił się do Ravica w uśmiechu.

Ravic mu się nie odwzajemnił. Patrzył na drzwi, które się właśnie otwierały. Wszedł nocny portier, zbliżył się do ich stołu. “Telefon – pomyślał Ravic – nareszcie! Mimo wszystko!" Nie wstał, czekał, ramiona mu zesztywniały.

–Papierosy, panie Morozow – powiedział portier – chłopiec je właśnie przyniósł.

–Dziękuję. – Morozow włożył pudełko rosyjskich papierosów do kieszeni. – Tymczasem, Ravic. Zobaczymy się dziś jeszcze?

–Możliwe. Tymczasem, Borysie.

Człowiek bez żołądka patrzał na Ravica. Było mu niedobrze – ale nie mógł zwymiotować, nie miał czym. Czuł się jak człowiek po amputacji, którego boli odcięta noga.

Był bardzo niespokojny. Ravic dał mu zastrzyk. Nie było wielkiej nadziei, aby przeżył. Serce miał słabe, a w płucach wiele zaleczonych kawern. W ciągu trzydziestu pięciu lat swego życia bardzo krótko był człowiekiem zdrowym. Od wielu lat cierpiał na wrzód w żołądku, miał zaleczoną gruźlicę, te-

raz raka. Jego karta szpitalna wskazywała, że przez cztery lata był żonaty, ale żona zmarła przy porodzie, a dziecko po trzech latach na gruźlicę. Poza tym nie miał krewnych. Teraz leżał tu, patrzył na lekarza, nie chciał umierać, był cierpliwy i dzielny, nie wiedział, że odtąd będzie mógł się odżywiać tylko sztucznie, że będzie się musiał wyrzec jednej z niewielu radości swego życia: pikli i sztuki mięsa. Leżał tu w przykrym odorze, pokrajany, było w nim coś, co sprawiało, że poruszał oczami, coś, co się nazywa duszą. Bądź dumny, że jesteś romantykiem! “Pieśń nad pieśniami" ludzkości.

Ravic powiesił z powrotem kartę z wykresem gorączki i tętna. Pielęgniarka stała w oczekiwaniu poleceń. Obok niej leżał na krześle zaczęty sweter. Druty były wetknięte w robotę, kłębek wełny stoczył się na podłogę. Cienka nić zwisająca z krzesła wyglądała jak strużka krwi; jakby sweter krwawił.

“Tu leży człowiek – myślał Ravic – który mimo zastrzyku będzie miał ciężką noc, pełną bólu, duszności, bezruchu i koszmarów, a ja czekam na kobietę i myślę, że będę miał ciężką noc, jeśli ona nie przyjdzie. Wiem, że to śmieszne porównywać siebie z tym umierającym albo z Gastonem Perrierem, który leży obok ze zmiażdżonym ramieniem, z tysiącem innych ludzi i tym wszystkim, co się dziś w nocy dzieje na całym świecie – ale to nic nie pomaga. Nic nie pomaga, nic nie zmienia, pozostaje to samo. Co to powiedział Morozow? «Dlaczego nie masz boleści?» Tak, dlaczego nie mam boleści?"

–Proszę zatelefonować, gdyby się coś stało – powiedział do pielęgniarki. Była to ta sama, której Kate Hegstroem podarowała gramofon.

–Ten pan jest bardzo uległy – powiedziała.

–Jaki? – spytał zdumiony Ravic.

–No, uległy. Dobry pacjent.

Ravic rozejrzał się po pokoju. Nic tu nie było, czego by się pielęgniarka mogła spodziewać jako prezentu. Bardzo uległy – jakich one słów używają! Ten biedak walczy ze śmiercią każdym ciałkiem krwi, każdym włókienkiem nerwów -wcale nie jest uległy.

Wrócił do hotelu. Przed drzwiami natknął się na Goldber-ga. Był to stary człowiek z siwą brodą i grubym złotym łańcuszkiem od zegarka na kamizelce.

263- Piękny wieczór – powiedział.

–Istotnie – potwierdził Ravic, myśląc o kobiecie w pokoju Wiesenhoffa. – Może byśmy się trochę przeszli?

–Byłem już na placu Zgody i z powrotem.

Na placu Zgody. Stał tam, lśniąc pod gwiazdami, cichy i pusty budynek ambasady amerykańskiej, arka Noego, w której znajdowały się nieosiągalne pieczęcie na wizy. Tam właśnie, koło hotelu "Crillon", wystawał godzinami Goldberg, zapatrzony w ciemne wejście i okna, jakby to był obraz Rem-brandta albo diament koh-i-noor.

–Może jednak przejdzie się pan teraz ze mną? Do Łuku i z powrotem? – powiedział Ravic, myśląc: "Jeśli ocalę tamtych dwoje, Joanna będzie w moim pokoju albo zaraz nadejdzie".

Goldberg potrząsnął głową.

–Muszę iść na górę. Żona czeka na mnie. Przeszło dwie godziny nie było mnie w domu.

Ravic spojrzał na zegarek; było po wpół do dwunastej. Nie trzeba już nikogo ocalać, pani Goldberg na pewno od dawna jest w swoim pokoju. Patrzył za Goldbergiem, który ciężko wchodził po schodach. Potem zwrócił się do portiera:

–Czy nikt do mnie nie dzwonił?

–Nie.

Pokój był jasno oświetlony, ale Ravic przypomniał sobie, że tak go zostawił. Łóżko lśniło bielą jak świeżo spadły śnieg. Sięgnął po kartkę, którą położył na stole przed wyjściem. Napisał na niej, że za pół godziny wraca. Teraz podarł ją na strzępki. Rozejrzał się za czymś do picia,

ale nic nie znalazł. Znów zszedł na dół. Portier nie miał calvadosu, tylko koniak. Ravic wziął na górę butelkę Hennessy^go i butelkę Vouvray. Chwilę rozmawiał z portierem i dowiedział się, że Loulou II ma największe szansę w najbliższym biegu dwulatków na wyścigach w Saint Cloud. Przeszedł Hiszpan Alvarez. Ravic zauważył, że trochę kuleje. Kupił gazetę i wrócił do pokoju. Jak się dłuży taki wieczór! Kto kochając, nie wierzy w cuda, jest zgubiony, jak powiedział adwokat Arensen w Berlinie w roku 1933. W dwa tygodnie później wysłano go do obozu koncentracyjnego, gdyż kochanka złożyła na niego doniesienie. Ravic otworzył butelkę Vouvray i sięgnął po tom Platona, ale po paru minutach odłożył go i usiadł przy oknie.

264

Patrzył na telefon, przeklęty czarny aparat. Nie mógł zadzwonić do Joanny, nie znał jej nowego numeru. Nie wiedział nawet, gdzie teraz mieszka. Nie spytał jej o to, a ona mu nie powiedziała. Z pewnością zrobiła to naumyślnie, żeby mieć wymówkę.

Wypił kieliszek lekkiego wina. “Jakie to głupie" – pomyślał. “Czekam na kobietę, która była tu jeszcze dziś rano. Nie widziałem jej trzy i pół miesiąca i nie brakowało mi jej tak jak teraz, kiedy jej nie ma jeden dzień. O ileż prościej było wcale jej nie widzieć. Przyzwyczaiłem się już, a teraz…"

Wstał. Nie, to nie to. To ta straszna niepewność, która go zżera. Nieufność, która rośnie w nim z godziny na godzinę.

Podszedł do drzwi. Wiedział, że są otwarte, ale sprawdził to raz jeszcze. Zaczął czytać gazetę, ale widział ją jak przez mgłę. Incydenty w Polsce, nieuniknione starcie. Sprawa korytarza, sojusz Francji i Anglii z Polską. Zbliżająca się wojna. Upuścił *gazetę* na podłogę i zgasił światło. Leżał teraz po ciemku i czekał. Nie mógł zasnąć. Znowu zapalił światło. Butelka Henness^ego stała na stole, nie otworzył jej. Wstał i znów usiadł przy oknie. Noc była chłodna, wyniosła i gwiaździsta. Parę kotów miauczało na podwórzu. Naprzeciw na balkonie stał mężczyzna w bieliźnie i drapał się, potem ziewnął przeciągle i wszedł do oświetlonego pokoju. Ravic popatrzył na łóżko. Wiedział, że nie uśnie. Książka również nie miała sensu, ledwie pamiętał, co przed chwilą czytał. Najlepiej byłoby wyjść, ale dokąd? Obojętnie, właściwie i na to nie miał ochoty. Chciał wiedzieć. Przekleństwo! Trzymał w ręku butelkę koniaku i znów ją postawił. Sięgnął do kieszeni po proszki nasenne, te same, które dał rudowłosemu Finkensteinowi. Tamten śpi. Ravic połknął tabletkę. Wątpił, czy mimo to uda mu się usnąć. Zażył jeszcze jedną. Zbudzi się, jeśli Joanna przyjdzie. Nie przyszła. Ani tej nocy, ani następnej.

21

Eugenia wetknęła głowę do pokoju, w którym leżał człowiek bez żołądka.

–Telefon, panie Ravic.

–Kto dzwoni?

–Nie wiem, nie pytałam. Powiedziała mi telefonistka. Ravic nie od razu poznał głos Joanny. Był przytłumiony, jakby dochodził z bardzo daleka.

–Joanno, gdzie jesteś? – spytał.

Głos jej brzmiał, jakby dzwoniła spoza Paryża. Prawie spodziewał się, że wymieni jakąś miejscowość na Riwierze. Nigdy przedtem nie dzwoniła do kliniki.

–Jestem u siebie – powiedziała.

–Tu, w Paryżu?

–Ależ oczywiście, a gdzieżby?

–Czy jesteś chora?

–Nie, czemu?

–Bo dzwonisz do kliniki.

–Telefonowałam do hotelu, ale już cię nie zastałam. Dlatego dzwonię tutaj.

–Czy coś się stało?

–Nie, dlaczego? Chciałam się dowiedzieć, co u ciebie słychać.

Jej głos brzmiał teraz czyściej. Ravic wyjął papierosa i zapałki, przytrzymał kartonik łokciem, odłamał zapałkę i potarł.

–Tak to jest w klinice, Joanno – powiedział. – Człowiek oczekuje zawsze wiadomości o chorobach i wypadkach.

–Nie jestem chora. Leżę, ale nie jestem chora.

–To świetnie.

Ravic przesuwał zapałki po białej ceracie, którą był obity

stół. Czekał, co będzie dalej. Joanna także czekała. Słyszał jej oddech. Chciała, żeby on zaczął, byłoby jej łatwiej.

–Joanno – powiedział – nie mogę tak długo rozmawiać. Zostawiłem pacjenta bez opatrunku,

muszę wracać. Chwilę milczała.

–Czemuś się nie odezwał? – spytała wreszcie.

–Nie mam twego numeru telefonu ani adresu.

–Przecież ci powiedziałam.

–Nie, Joanno.

–Ależ na pewno! – Stanęła już na twardym gruncie. – Przypominam to sobie doskonale. Widocznie zapomniałeś.

–Możliwe, zapomniałem. Powiedz raz jeszcze, mam w ręku ołówek. Podała mu adres i numer telefonu.

–Ale jestem zupełnie pewna, że już raz ci podawałam.

–Dobrze, Joanno. Muszę już wracać. Czy chcesz zjeść dziś ze mną obiad? Milczała chwilę.

–Dlaczego nie miałbyś raz przyjść do mnie? – spytała.

–Dobrze, można i tak. Dziś wieczór o ósmej?

–A dlaczego nie teraz?

–Teraz mam pracę.

–Jak długo?

–Mniej więcej godzinę.

–To przyjdź za godzinę.

“To znaczy, że wieczorem nie masz czasu" – pomyślał i spytał:

–A dlaczego nie wieczorem?

–Ależ, Ravic – powiedziała – czasami nie rozumiesz najprostszych rzeczy. Dlatego, że chciałabym cię widzieć zaraz. Nie chcę czekać do wieczora. Inaczej po cóż bym dzwoniła do kliniki?

–Dobrze. Więc przyjdę, jak tylko tu skończę. Zamyślony złożył kartkę z adresem i wrócił na górę.

Był to dom na rogu rue Pascal. Joanna mieszkała na najwyższym piętrze. Otworzyła mu

drzwi.

–Wejdź – powiedziała. – Cieszę się, żeś przyszedł. Wejdź prędzej.

267Miała na sobie prosty, czarny szlafrok męskiego kroju. Podobało mu się w niej zawsze, że nie lubiła powiewnych tiuli ani jedwabi. Jej twarz była bledsza niż zazwyczaj i jakby podniecona.

–Wejdź – powiedziała. – Czekałam na ciebie, zobaczysz, jak mieszkam.

Poszła naprzód. Ravic uśmiechnął się. Była sprytna, uprzedzała wszystkie jego pytania. Patrzył na jej piękne, proste ramiona. Światło padało na jej włosy. Przez krótką chwilę kochał ją do utraty tchu.

Wprowadziła go do dużego pokoju. Była to pracownia zalana południowym słońcem. Wielkie, szerokie okno wychodziło na ogrody między Avenue Raphael i Avenue Proudhon. Na prawo otwierał się widok aż do Porte de la Muette, dalej połyskiwał złotem i zielenią kawałek Lasku Bulońskiego.

Pokój umeblowany był na wpół nowocześnie. Szeroki tapczan przykryty zbyt niebieską narzutą, kilka foteli, które wyglądały na wygodniejsze, niż były w rzeczywistości; za niskie stoły, fikus, amerykański patefon, w rogu jedna z walizek Joanny. Nic tu nie raziło, ale też nie podobało się Ravicowi. Albo coś zupełnie dobrego, albo zdecydowanie obrzydliwego. Nie znosi połowiczności. Nie cierpiał też fikusów.

Zauważył, że Joanna go obserwuje. Nie była całkowicie pewna, jakie wrażenie wywrze na nim jej nowe mieszkanie, ale była dość pewna, żeby zaryzykować.

–Ładne – powiedział. – Duże i ładne.

Otworzył patefon. Był to dobry aparat walizkowy z urządzeniem do automatycznego zmieniania płyt. Obok na stoliku leżało ich mnóstwo. Joanna wzięła kilka z nich.

–Wiesz, jak to funkcjonuje? – spytała. Ravic wiedział.

–Nie – odparł.

Joanna przekręciła guzik.

–Wspaniały, gra godzinami, nie trzeba wstawać, żeby zmieniać płyty. Można leżeć, słuchać, patrzeć w ciemność i marzyć.

Patefon istotnie był doskonały. Ravic znał tę markę i wiedział, że taki aparat kosztuje około dwudziestu tysięcy franków. Wypełnił pokój słodką, sentymentalną melodią znanej piosenki paryskiej: *J'attendrai*…

Joanna nachyliła się, słuchając.

–Podoba ci się?

Skinął głową. Nie patrzył na patefon, patrzył na Joannę. Na jej twarz zachwyconą, oddaną muzyce. Jak jej to łatwo przychodziło i jak ją kochał właśnie za tę łatwość, której jemu było brak. “Skończone" – pomyślał bez bólu, jak ktoś, kto opuszcza Włochy, aby się udać na mglistą północ.

Wyprostowała się i uśmiechnęła.

–Chodź, jeszcze nie widziałeś sypialni.

–A muszę ją widzieć? Spojrzała na niego badawczo.

–Nie chcesz? Czemu?

–Tak, czemu? – powtórzył. – Oczywiście chcę. Dotknęła jego twarzy i pocałowała go, a on wiedział, dlaczego to robi.

–Chodź – powiedziała, ujmując go pod ramię.

Sypialnia umeblowana była na sposób francuski. Szerokie łóżko podrobione w stylu Ludwika XVI, wygięta toaleta w tym samym rodzaju, lustro imitujące barok, nowoczesny dywan Aubusson, krzesła i fotele – wszystko w drugorzędnym stylu filmowym. Wśród tego bardzo ładna malowana skrzynia flo-rencka z szesnastego wieku, która zupełnie nie pasowała do całości i wyglądała jak księżniczka między dziećmi wzbogaconego portiera. Kapelusz z fiołkami i para srebrnych pantofelków rzucone były na jej bezcenne wieko.

Łóżko nie było zasłane. Ravic widział wgłębienie, w którym leżała Joanna. Na nocnym stoliku stały flakony perfum. Jedna z szaf w ścianie była otwarta, wisiały w niej suknie, o wiele więcej, niż Joanna miała ich przedtem.

Nie puszczała ramienia Ravica, oparła się na nim mocniej.

–Podoba ci się?

–Pięknie. I bardzo do ciebie pasuje.

Skinęła głową. Wyczuwał jej ramię i pierś, bezmyślnie przyciągnął ją bliżej. Nie broniła się. Jej twarz była spokojna, nie było w niej już podniecenia. Była pewna i jasna. Ravicowi zdawało się, że promienieje tłumionym zadowoleniem z ledwo widocznym odcieniem triumfu.

269“Dziwne, jak na nią podłość dobrze wpływa" – myślał. “Chce ze mnie zrobić coś w

rodzaju drugorzędnego żigolaka i z naiwnym bezwstydem pokazuje mi nawet mieszkanie, które dla niej umeblował kochanek, a jednocześnie wygląda jak Nike z Samotraki".

–Jaka szkoda, że ty nie możesz mieć czegoś w tym rodzaju – powiedziała. – Własnego mieszkania. Człowiek czuje się zupełnie inaczej niż w obrzydliwym pokoju hotelowym.

–Masz rację. Bardzo mi było przyjemnie obejrzeć to wszystko. A teraz muszę iść.

–Co, już? Ledwieś przyszedł! Ujął jej ręce.

–Odchodzę, Joanno. Na zawsze. Żyjesz z kimś innym. A ja nie zwykłem się dzielić kobietami, które kocham. Wyrwała mu ręce.

–Co? Co ty mówisz? Ja… kto ci to powiedział? Coś podobnego! – Wpatrzyła się w niego. – Oczywiście, to ten Morozow, który…

–Nie Morozow! Nikt mi nic nie mówił. To mówi samo za siebie.

Twarz jej nagle pobladła z gniewu. Już była taka pewna siebie, a jednak to przyszło.

–Rozumiem, to dlatego, że mam mieszkanie i że już nie pracuję w "Szeherezadzie". Oczywiście ktoś mnie musi utrzymywać! Naturalnie, jakżeby inaczej!

–Nie powiedziałem, że cię ktoś utrzymuje.

–Wszystko jedno, zrozumiałam! Najpierw zapędzasz mnie do tego nędznego nocnego lokalu, potem mnie zostawiasz samą, a Medy ktoś chce ze mną porozmawiać albo dba o mnie trochę, jestem od razu utrzymanką. Taki portier ma brudną wyobraźnię. Że można być kimś, pracować, zarabiać, to przechodzi pojęcie takiego sługusa. A ty, ty we wszystko wierzysz. Wstydź się!

Ravic odwrócił się, chwycił ją za ramiona i rzucił na łóżko.

–Milcz! – krzyknął. – Dość tych bzdur! Była tak zaskoczona, że nawet nie wstała.

–Może zamierzasz mnie bić? – spytała.

–Nie. Chciałem tylko, żebyś wreszcie przestała pleść bez sensu.

–To by mnie nawet nie zdziwiło – powiedziała niskim, zduszonym głosem. – To by mnie zupełnie nie zdziwiło.

Leżała w milczeniu. Jej twarz była pusta i biała, blade usta, oczy błyszczące martwo jak ze szkła. Pierś miała na pół odsłoniętą, obnażona noga zwisała z łóżka.

–Zadzwoniłam – powiedziała – nic nie przeczuwając, chciałam się z tobą zobaczyć i nagle coś podobnego! Coś podobnego! – powtórzyła z pogardą. – A ja sądziłam, że ty jesteś inny!

Ravic stał w drzwiach sypialni. Ogarnął spojrzeniem cały pokój z jego podrabianymi meblami, z Joanną leżącą na łóżku i widział, jak to wszystko dobrze pasuje. Był zły na siebie, że w ogóle coś mówił. Powinien był odejść bez słowa i skończyć z tym raz na zawsze. Ale wtedy ona by przyszła i byłoby znowu to samo.

–Ty – powtórzyła – ty byłeś ostatnim człowiekiem, po którym mogłam się spodziewać czegoś podobnego. Myślałam, że jesteś inny.

Nie odpowiedział. Wszystko to było tak tanie, że aż nie do zniesienia. Nie mógł teraz zrozumieć, dlaczego całe trzy dni myślał, że jeśli ona nie wróci, to nigdy już nie będzie mógł usnąć. Co go to wszystko obchodziło! Wyjął papierosa i zapalił. Usta miał suche. Patefon grał wciąż jeszcze. Powtarzał teraz płytę, która była na początku: *J'attendrai.* Przeszedł do drugiego pokoju i wyłączył aparat.

Kiedy wrócił, Joanna leżała tak samo jak przedtem. Mogłoby się zdawać, że się nie poruszyła, ale jej szlafrok był szerzej rozchylony.

–Joanno – powiedział – im mniej będziemy o tym mówić, tym lepiej.

–To nie ja zaczynałam.

Poczuł nagle chęć rzucenia jej w głowę flakonem perfum.

–Wiem – powiedział. – Ja zacząłem i ja teraz skończę.

Odwrócił się gwałtownie i wyszedł. Ale zanim doszedł do /drzwi pracowni, Joanna znalazła się przed nim. Zatrzasnęła drzwi i stanęła ramionami i dłońmi wparta w drewno.

–Więc tak! – powiedziała. – Zrywasz ze mną. Zrywasz i odchodzisz. Ale ja też mam coś do powiedzenia. I to dużo. Spotkałeś mnie przecież w "Cloche d'Or", widziałeś, z kim byłam, a kiedy przyszłam do ciebie w nocy, to ci nie przeszkadzało,

spałeś ze mną, a rano też ci to nie przeszkadzało, za mało ci było i znowu spałeś ze mną, kochałam cię i byłeś wspaniały, i nie chciałeś o niczym wiedzieć, i kochałam cię za to jak nigdy przedtem, i wiedziałam, że musisz być taki właśnie, a nie inny, płakałam, kiedyś spał, i całowałam cię, i byłam szczęśliwa, kiedy poszłam do domu, i uwielbiałam cię – a teraz! Teraz przychodzisz i robisz mi wymówki za to, co wpierw odsunąłeś od siebie takim wspaniałomyślnym gestem, za to, o czym zapomniałeś, kiedy się chciałeś ze mną przespać. Teraz wydobywasz wszystko na jaw i rzucasz mi w twarz, stajesz przede mną jak obrażony stróż cnoty i robisz mi scenę jak zazdrosny mąż. Czego ty w ogóle chcesz ode mnie? Jakie

masz prawa?

–Żadnych – powiedział Ravic.

–Tak, przynajmniej dobrze, że sam o tym wiesz. Czemu więc przychodzisz do mnie, żeby mi to dziś rzucić w twarz? Czemuś tego nie zrobił, kiedy przyszłam nocą do ciebie? Naturalnie, wtedy…

–Joanno… – powiedział Ravic.

Milczała; dyszała szybko, patrząc na niego.

–Joanno – powiedział – kiedy przyszłaś do mnie tamtej nocy, myślałem, że wracasz. To mi wystarczało. Ale myliłem się. Ty nie wróciłaś.

–Nie wróciłam? Więc kto to był? Duch?

–Przyszłaś do mnie, ale nie wróciłaś.

–Tb dla mnie za trudne. Chciałabym wiedzieć, co to za różnica?

–Wiesz o tym dobrze. Ja nie wiedziałem, przekonałem się dopiero dzisiaj. Żyjesz z innym.

–Ach, doprawdy, żyję z kimś innym! Więc znowu. Jeśli mam paru przyjaciół, to znaczy, że z kimś żyję. Czy mam się zamykać na klucz w pokoju na cały dzień i z nikim nie rozmawiać, żeby nie być posądzoną, że z kimś żyję?

–Joanno – powiedział Ravic – nie bądź śmieszna.

–Śmieszna? Kto jest śmieszny? Ja myślę, że ty.

–Niech i tak będzie. Czy mam użyć siły, żebyś odeszła od drzwi? Nie poruszyła się.

–A gdybym nawet z kimś żyła, co cię to obchodzi? Sam mówiłeś, że nie chcesz o niczym wiedzieć.

–Tak. Naprawdę nie chciałem o niczym wiedzieć. Myślałem, że to minęło, a to, co było, w niczym mnie nie dotyczy. Był to błąd. Powinienem był o tym wiedzieć. Możliwe, że sam się chciałem okłamać. Słabość. Ale to w niczym nie zmienia sytuacji.

–Jak to nie zmienia? Jeśli przyznajesz, że nie miałeś słuszności…

–To nie jest sprawa słuszności czy niesłuszności. Nie tylko żyłaś z kimś, ale żyjesz nadal. Chcesz przy nim zostać. Nie wiedziałem wtedy o tym.

–Nie kłam – przerwała mu z całym spokojem. – Zawsze o tym wiedziałeś. I wtedy także. Patrzyła mu prosto w oczy.

–Więc dobrze – rzekł. – Powiedzmy, że wiedziałem i wtedy, ale nie chciałem wiedzieć. Wiedziałem, ale nie wierzyłem. Nie rozumiesz tego. Takie rzeczy nie zdarzają się kobietom. I to nic nie ma do rzeczy.

Na jej twarzy odbiło się nagle dzikie, rozpaczliwe przerażenie.

–Nie mogę przecież wyrzucić za drzwi kogoś, kto mi nic złego nie zrobił, tylko dlatego, żeś ty się nagle zjawił. Nie rozumiesz tego?

–Owszem.

Stała przed nim jak kot zapędzony w ciasne przejście, który chce skoczyć, a nagle ziemia usuwa mu się spod nóg.

–Owszem? – spytała zdziwiona. Jej rysy złagodniały, ramiona opadły.

–Więc czemu mnie dręczysz, jeśli to rozumiesz? – powiedziała wreszcie ze znużeniem.

–Odejdź od drzwi – powiedział Ravic, siadając w fotelu, który był o wiele mniej wygodny, niż na to wyglądał. Joanna wahała się. – Chodź – powiedział. – Przecież ci nie ucieknę.

Podeszła niechętnie i opadła na tapczan. Ruchy jej świad-^tzyły o wielkim wyczerpaniu; ale Ravic wiedział, że to było udawane.

–Daj mi się czegoś napić – powiedziała.

Widział, że gra na zwłokę, ale było mu wszystko jedno.

–Gdzie są butelki? – spytał.

–Tam, w szafce.

273Otworzył niską szafkę. Stało w niej kilka butelek, w większości biały likier miętowy. Spojrzał na nie ze wstrętem i odsunął. W drugim rogu stała do połowy opróżniona butelka koniaku Martell i butelka calvadosu. Calvados nie był otwarty.

Zostawił go i wziął Martella.

–Pijasz teraz likier miętowy? – spytał przez ramię.

–Nie – odpowiedziała z tapczanu.

–W takim razie dam ci koniaku.

–Jest tam i calvados, otwórz.

–Koniak wystarczy.

–Otwórz calvados.

–Innym razem.

–Nie chcę koniaku, chcę calvadosu. Proszę cię, otwórz butelkę.

Ravic raz jeszcze zajrzał do szafki. Na prawo stał likier miętowy dla tamtego, a z lewej strony calvados dla niego. Wszystko było załatwione tak zapobiegliwie, po gospodarski!, że aż mogło wzruszyć. Wziął butelkę calvadosu i otworzył. Ostatecznie, dlaczego nie? Poczciwa symbolika ulubionego trunku, sentymentalnie zdegradowana w absurdalnej scenie pożegnania. Wziął dwa kieliszki i wrócił do stołu. Joanna przyglądała mu się, kiedy nalewał calvados.

Popołudnie z tamtej strony okna było bujne i złote. Światło nabrało koloru, niebo stało się jaśniejsze. Ravic spojrzał na zegarek, było po trzeciej. Spojrzał na wskazówkę sekundnika, myślał, że zegarek stanął. *Ale i* druga wskazówka jak mały, złoty ptaszek dziobała bez przerwy ziarnka tarczy. Był tu więc zaledwie pół godziny. “Likier miętowy" – pomyślał. “Co za gust!"

Joanna skuliła się na tapczanie.

–Ravic – powiedziała miękkim głosem, zmęczona i ostrożna – czy to znowu jedna z twoich sztuczek, czy też naprawdę mnie rozumiesz?

–Nie, to nie sztuczka, to prawda.

–Rozumiesz?

–Tak.

–Wiedziałam o tym. – Uśmiechnęła się. – Wiedziałam o tym, Ravic.

–To wcale nietrudno zrozumieć.

Skinęła głową.

–Potrzebuję trochę czasu, nie mogę tak od razu. Nie zrobił mi przecież nic złego. Czyja wiedziałam, że wrócisz? Nie mogę mu tego od razu powiedzieć.

Ravic wypił calvados.

–Po co te szczegóły?

–Musisz wiedzieć, musisz mnie zrozumieć. To jest… ja potrzebuję trochę czasu. Nie wiem, co on by zrobił. Kocha mnie. Potrzebuje mnie. To przecież nie jego wina.

–Oczywiście nie. Nie spiesz się, masz czas.

–Ależ nie, tylko trochę, byle nie tak od razu. – Wsparła się na stosie poduszek. – A z tym mieszkaniem to nie tak, jak ty może myślisz. Sama zarabiam. O wiele więcej niż przedtem. Pomógł mi, jest aktorem. Gram małe rólki w filmach. Wprowadził mnie tam.

–Od razu to sobie pomyślałem. Nie zwróciła uwagi na jego słowa.

–Nie mam wielkiego talentu – powiedziała – nie łudzę się. Ale chciałam się wydostać z tych nocnych lokali. Tam do niczego nie można dojść. Tu można. Nawet bez talentu. Chcę być niezależna. Może ci się to wszystko wydaje śmieszne.

–Bynajmniej – powiedział Ravic. – To jest rozsądne. Spojrzała na niego.

–Czy nie w tym celu przyjechałaś do Paryża? Wtedy? – spytał.

–Tak.

"Oto siedzi – myślał – i żali się cicho, uciemiężona przez życie i przeze mnie – cnota. Opanowała się, oparła się pierwszej burzy, za chwilę przebaczy mi, a jeśli nie wyjdę, opowie mi ze szczegółami historię ostatnich miesięcy, ta stalowa orchidea, którą chciałem złamać, a która doprowadziła już do tego, że muszę jej niemal przyznać rację".

–To ładnie, Joanno – powiedział. – Daleko zaszłaś, zajdziesz jeszcze dalej. Pochyliła się ku niemu.

–Tak myślisz?

–Na pewno.

–Naprawdę?

Wstał. Jeszcze trzy minuty i da się wciągnąć w fachową dyskusję o filmie. "Nie wolno z nimi dyskutować" – pomyślał.

275"Zawsze wychodzi się zwyciężonym. Logika jest w ich rękach jak wosk. Trzeba działać i koniec".

–Nie o tym myślałem – powiedział. – Spytaj raczej twego specjalisty.

–Idziesz? – spytała.

–Muszę.

–Czemu odchodzisz?

–Muszę wracać do kliniki.

Podała mu rękę, patrząc ku niemu w górę.

–A mówiłeś przedtem, że przyjdziesz, kiedy skończysz pracę w klinice.

Rozważał, czyjej powiedzieć, że już nie wróci. Ale dość było na dzisiaj. Dość i dla niej, i dla niego. Udało jej się tego uniknąć, ale to i tak samo przyjdzie.

–Zostań, Ravic – powiedziała.

–Nie mogę.

Wstała i oparła się o niego. “Więc i to jeszcze" – pomyślał. “Stara gra. Tania i wypróbowana. Niczego nie pomija. Ale któż by oczekiwał po kocie, że zechce jeść trawę?" Uwolnił się od niej.

–Muszę wracać. W klinice umiera człowiek.

–Lekarze mają zawsze wymówkę – powiedziała z wolna, patrząc na niego.

–Tak jak kobiety, Joanno. My pilnujemy śmierci, wy miłości. Oto wszystkie racje i wszystkie prawa świata. Nie odpowiedziała.

–Mamy też dobre żołądki – dodał Ravic. – Potrzebne nam są. Inaczej nie moglibyśmy pracować. Gdzie inni mdleją, tam my zaczynamy żyć. Do widzenia, Joanno.

–Wrócisz, Ravic?

–Nie myśl o tym, korzystaj z czasu. Sama dojdziesz do tego.

Nie oglądając się, podszedł szybko do drzwi. Nie pobiegła za nim. Ale wiedział, że go śledzi. Poczuł się dziwnie ogłuszony, jakby szedł pod wodę.

22

Krzyk wydobywał się z okna rodziny Goldbergów. Ravic słuchał przez chwilę. Wydało mu się nieprawdopodobne, żeby stary mógł rzucić czymś w żonę albo pobić ją. Nie słychać też było już nic więcej prócz bieganiny, gorączkowej rozmowy w pokoju uchodźcy Wiesenhoffa i trzaśnięcia drzwiami. Zaraz też ktoś zapukał i gospodyni wpadła do jego pokoju.

–Prędko, prędko, monsieur Goldberg…

–Co?

–Powiesił się. Na oknie. Prędko… Ravic rzucił książkę.

–Policja jest?

–Nie ma. Czy wzywałabym pana? Żona go dopiero co znalazła. Ravic zbiegł z nią po schodach.

–Czy go odcięto?

–Nie, jeszcze, trzymają go…

W mrocznym pokoju ciemna grupa skupiła się przy oknie. Ruth Goldberg, uchodźca Wiesenhoffi ktoś jeszcze. Ravic zapalił światło. Wiesenhoff i Ruth Goldberg trzymali starego Goldberga w ramionach jak lalkę, a trzeci człowiek nerwowo starał się rozplatać węzeł krawata umocowanego do klamki.

–Trzeba go odciąć!

–Nie mamy noża – krzyknęła Ruth Goldberg.

Ravic wyjął z podręcznej torby nożyczki i zaczął ciąć, ale krawat zrobiony był z gładkiego, grubego jedwabiu i Mika sekund minęło, zanim udało mu się go przeciąć. Miał tuż przed sobą twarz Goldberga. Wybałuszone oczy, otwarte usta, cienka, szara bródka, wywalony język, ciemnozielony krawat w białe groszki, wrzynający się głęboko w rozdęte gardło. Ciało koły-

277salo się lekko w ramionach Wiesenhoffa i Ruth Goldberg, jakby nim wstrząsał straszliwy, spazmatyczny śmiech.

Twarz Ruth była czerwona i zalana łzami, obok niej pocił się Wiesenhoff pod brzemieniem ciała, które nigdy za życia nie było tak ciężkie. Dwie wilgotne, przerażone twarze, a nad nimi ta trzecia, śmiejąca się cicho z zaświatów. Kiedy Ravic wreszcie uporał się z krawatem, głowa starca poleciała w stronę Ruth, która odskoczyła z krzykiem, cofając ręce. Ciało Goldberga z rozkołysanymi ramionami spłynęło miękko na bok, jakby ją ścigało groteskowym ruchem klauna.

Ravic pochwycił je i z pomocą Wiesenhoffa ułożył na podłodze. Rozluźnił pętlę i zaczął badanie.

–Do kina – jęczała Ruth Goldberg – posłał mnie do kina. "Rutko – powiedział – masz tak mało rozrywek, czemu nie pójdziesz do kina «Courcelles», dają tam film z Gretą Garbo *Królowa Krystyna,* czemu nie pójdziesz go obejrzeć? Weź sobie dobre miejsce, fotel albo lożę, ostatecznie dobre i dwie godziny ukradzione temu wiecznemu smutkowi i nędzy". Tak spokojnie i dobrotliwie to powiedział i pogłaskał mnie po policzku. "A potem idź do cukierni naprzeciwko parku Monceau, zjedz dobre lody czekoladowe i waniliowe, użyj sobie raz, Rutko". Tak powiedział i ja poszłam, a kiedy wróciłam…

Ravic wstał. Ruth Goldberg zamokła.

–Musiał to zrobić natychmiast po pani wyjściu – powiedział. Przycisnęła pięści do ust.

–Więc on…

–Możemy jeszcze spróbować. Najpierw sztuczne oddychanie. Potrafi pan? – zapytał Ravic Wiesenhoffa.

–Nie. Troszkę. Niewiele.

–Niech pan uważa.

Ravic ujął ramiona Goldberga, przycisnął je do podłogi, potem do piersi i znów w tył, i znowu naprzód. W krtani Goldberga zagrało.

–Żyje! – krzyknęła kobieta.

–Nie, to tylko powietrze ściśnięte w tchawicy. Ravic kilkakrotnie zademonstrował ruchy.

–Ot tak. Niech pan teraz spróbuje – powiedział do Wiesenhoffa.

278

Wiesenhoff niechętnie przyklęknął koło Goldberga.

–Nie tak. Niech go pan weźmie za przegub, a jeszcze lepiej za przedramię – powiedział niecierpliwie Ravic. Pot lał się z Wiesenhoffa.

–Mocniej – powiedział Ravic – trzeba wyprzeć z płuc całe powietrze.

Zwrócił się do właścicielki hotelu. Tymczasem do pokoju weszło kilka osób. Skinął na gospodynię.

–Nie żyje – powiedział na korytarzu. – To, co się tam robi, nie ma żadnego sensu. Zwykły rytuał, przez który trzeba przejść. Byłby cud, gdyby to się na coś zdało.

–Co robić?

–To, co zwykle.

–Pogotowie? Pierwsza pomoc? W takim razie w dziesięć minut później zjawi się policja.

–Tak czy inaczej musi pani wezwać policję. Czy Goldbergo-wie mieli papiery?

–Owszem, dobre. Paszporty i karty tożsamości.

–A Wiesenhoff?

–Kartę pobytu i przedłużoną wizę.

–No, to wszystko w porządku. Niech im pani powie, żeby nie wspominali o mnie. Wróciła do domu, znalazła go, narobiła krzyku. Wiesenhoff go odciął, próbował sztucznego oddychania, przyjechała karetka. Dobrze?

Właścicielka popatrzyła na niego swoimi ptasimi oczyma.

–Oczywiście, zresztą będę przy tym, kiedy policja się zjawi. Będę uważać.

–Doskonale.

Wrócili do pokoju. Wiesenhoff pracował pochylony nad Gold-bergiem. Mogło się wydawać, że obaj wykonują na podłodze ćwiczenia gimnastyczne. Właścicielka hotelu zatrzymała się w progu.

***-Mesdames et messieurs* – powiedziała – muszę zatelefonować po pogotowie. Lekarz, który przybędzie, obowiązany jest natychmiast zawiadomić policję. Najpóźniej za pół godziny tu przyjadą. Kto nie ma papierów, niech zaraz spakuje rzeczy, przynajmniej te, które leżą na wierzchu, zniesie je do ka-takumb i tam zostanie. Możliwe, że policja zechce przeszukać pokoje albo zacznie pytać o świadków.**

279Pokój szybko opustoszał. Gospodyni skinęła głową w kierunku Ravica, na znak, że teraz uprzedzi Ruth Goldberg i Wiesenhoffa. Ravic wziął torbę i nożyczki, które leżały na ziemi obok przeciętego krawata. Na krawacie widać było naszywkę firmy S. Fórder, Berlin. Taki krawat musiał kosztować co najmniej dziesięć marek. Pozostałość z dobrych czasów. Ravic znał tę firmę, sam się u niej zaopatrywał w krawaty. Zapakował swoje rzeczy w parę walizek i przeniósł je do pokoju Morozowa; zrobił to na wszelki wypadek. Najprawdopodobniej policja o nic nie będzie pytać. Tak było jednak lepiej, wspomnienie Fernanda utrwaliło się w nim zbyt silnie. Zszedł do katakumb.

Ludzie biegali tu jak w gorączce. Byli to uchodźcy bez papierów. Brygada nielegalnych. Pokojówka Klarysa i kelner Jan kierowali układaniem waliz w małym, sklepionym pomieszczeniu, przylegającym do katakumb. W samych kata-kumbach robiono przygotowania do kolacji, nakrywano stoły, rozstawiano koszyki z pieczywem, z kuchni szedł zapach tłuszczu i ryb.

–Mamy czas – uspokajał Jan zdenerwowanych emigrantów – policja się nie śpieszy.

Uchodźcy nie słuchali go. Nie wierzyli już w szczęście. Cisnęli się ze swoim ubogim dobytkiem do piwnicy. Był między nimi Hiszpan Alvarez. Właścicielka rozgłosiła po całym hotelu, że oczekuje policji. Alvarez uśmiechał się, nie wiadomo czemu, jakby za coś Ravica przepraszał.

Szczupły człowiek zbliżył się wolno do Ravica. Był to Ernst Seidenbaum, doktor filologii i filozofii.

–Manewry – powiedział. – Próba generalna. Czy pan tu zostaje?

–Nie.

Seidenbaum, weteran od lat sześciu, wzruszył ramionami.

–Aja zostaję. Nie mam ochoty uciekać. Wątpię, aby miało być coś poza stwierdzeniem stanu faktycznego. Kogo obchodzi śmierć starego niemieckiego Żyda?

–Nikogo, ale wszystkich obchodzą żyjący nie meldowani uchodźcy. Seidenbaum poprawił szkła.

–Mnie tam wszystko jedno. Wie pan, co robiłem podczas

ostatniego najścia? Jakiś sierżant zszedł wtedy nawet do katakumb. Było to przeszło dwa lata temu. Włożyłem białą kurtkę Jana i usługiwałem z nim gościom. Podawałem policji wódkę.

–Dobra myśl. Seidenbaum skinął głową.

–Na każdego przychodzi chwila, kiedy ma dosyć uciekania.

Spokojnie ruszył do kuchni, żeby się dowiedzieć, co będzie na kolację.

Ravic wyszedł tylnym wyjściem na podwórze. Kot przebiegł mu pod nogami. Inni szli przed nim, rozpraszając się szybko na ulicy. Alvarez kulał nieco. “Może by się temu dało jeszcze zaradzić operacją" – pomyślał Ravic.

Siedział na placu des Ternes i nagle poczuł, że Joanna przyjdzie dzisiejszej nocy. Nie umiałby powiedzieć dlaczego, ale wiedział, że przyjdzie.

Zapłacił za kolację i powoli ruszył w stronę hotelu. Było ciepło, w wąskich uliczkach jaskrawo pałały czerwone szyldy hoteliков, które wynajmowały pokoje na godziny. Przez szpary między firankami widać było oświetlone okna. Grupa marynarzy szła za kilkoma dziwkami. Byli młodzi, hałaśliwi, rozgrzani latem i winem, wprędce też znikli w jednym z hoteli. Skądś dobiegały dźwięki harmonii. W mózgu Ravica rozpry-snęła się znienacka jakaś myśl jak rakieta, wywołując z ciemności magiczny obraz: Joannę czekającą go w hotelu, aby mu powiedzieć, że rzuciła wszystko i wraca…

Przystanął. “Co się ze mną dzieje?" – pomyślał. “Dlaczego tu stoję i ręce moje dotykają powietrza, jakby to był kark i fala włosów? Niczego nie można cofnąć. Nikt nie wraca. I nigdy

nie wraca godzina, którą się raz przeżyło".

Poszedł do hotelu, ku tylnym drzwiom wiodącym do katakumb. Już w progu zauważył, ile osób siedzi wewnątrz. Seidenbaum był między nimi. Nie jako kelner, jako gość. Widać niebezpieczeństwo minęło. Wszedł.

Morozow był u siebie.

–Chciałem właśnie wyjść – powiedział. – Pomyślałem, że znów wyjechałeś do Szwajcarii, kiedy zobaczyłem twoje walizy.

–Wszystko w porządku?

–Tak. Policja już nie wróci. Nawet oddali żonie zwłoki. Wy-

281padek Goldberga nie budzi wątpliwości. Przeniesiono go na górę, krzątają się tam przy nim.

–To znaczy, *że* mogę wrócić do swego pokoju. Morozow roześmiał się.

–Ten Seidenbaum! – powiedział. – Był obecny przy oględzinach. Z teczką zawierającą jakieś papiery i w binoklach. Zaprezentował się jako adwokat z towarzystwa ubezpieczeń. Był dość nieuprzejmy dla policji. Ocalił paszport Goldberga. Powiedział, że go potrzebuje; policja miała prawo zatrzymać tylko kartę tożsamości. Udało mu się. Czy on sam ma jakieś dokumenty?

–Ani skraweczka.

–Doskonale – powiedział Morozow. – Ten paszport jest bezcenny. Ważny – jeszcze na rok, może się komuś przydać. Co prawda raczej nie w Paryżu, chyba że ktoś będzie równie bezczelny jak Seidenbaum. Fotografię można łatwo zmienić. Są także niedrodzy specjaliści, którzy poprawią datę urodzenia, gdyby nowy Aron Goldberg miał być młodszy. To nowoczesny sposób wędrówki dusz: paszport ważny na kilka istnień.

–To Seidenbaum przemieni się teraz w Goldberga?

–Nie Seidenbaum. Odmówił. To byłoby poniżej jego godności. To donkiszot obywateli podziemia. Jest zbyt wielkim fata-listą, a także zbyt ciekawy tego, co się stanie z człowiekiem tego typu, aby miał ochotę fałszować przyszłość za pomocą pożyczonego paszportu. A co z tobą?

Ravic potrząsnął głową.

–Jestem całkowicie zdania Seidenbauma.

Wziął walizy i poszedł do swego pokoju. W korytarzu, na który wychodził pokój Goldbergów, minął go stary Żyd w czarnym chałacie, z brodą i pejsami, o twarzy biblijnego

patriarchy. Stary stąpał bezgłośnie jak na gumowych podeszwach i zdawał się płynąć przez słabo oświetlony korytarz. Potem otworzył drzwi do pokoju Goldbergów. Przez chwilę czerwonawe światło świec oświetliło korytarz, a z wnętrza doszedł dziwaczny, stłumiony, półdziki, monotonny jęk czy zawodzenie. "Płaczki" – pomyślał. "Ale czy coś podobnego istnieje jeszcze? A może to tylko Ruth Goldberg?"

Otworzył swoje drzwi i zobaczył Joannę siedzącą przy oknie. Zerwała się.

282

–Jesteś! Co się stało? Czemu dźwigasz walizy? Czy znów wyjeżdżasz?

Ravic postawił walizki przy łóżku.

–Nic się nie stało, to tylko ostrożność. Ktoś umarł, policja miała przyjść. Już wszystko minęło.

–Telefonowałam do ciebie. Ktoś mi odpowiedział, że już tu nie mieszkasz.

–To gospodyni. Ostrożna i sprytna jak zwykle.

–Przybiegłam. Pokój był otwarty i pusty. Twoich rzeczy nie było. Pomyślałam… Ravic! – Głos jej zadrżał. Uśmiechnął się z wysiłkiem.

–Widzisz, jaki ja jestem niepewny. Nie można na mnie budować.

Ktoś zapukał, w drzwiach ukazał się Morozow z butelkami w rękach.

–Ravic, zapomniałeś amunicji…

Zauważył Joannę stojącą w mroku, ale udał, że jej nie widzi. Ravic nie wiedział nawet, czy Morozow ją w ogóle poznał. Podał butelki i znikł za drzwiami.

Ravic postawił na stole calvados i Vouvray. Przez otwarte okno dochodził ten sam głos, który rozbrzmiewał przedtem na schodach. Zawodzenie płaczek. Głośniej, ciszej, znów głośniej. Prawdopodobnie okna w pokoju Goldbergów otwarte są w tę ciepłą noc, a sztywne zwłoki Arona zaczynają się z wolna rozkładać na mahoniowym łożu.

–Ravic – powiedziała Joanna. – Tak mi smutno. Nie wiem, czemu. Przez cały dzień. Pozwól mi tu zostać!

Nie odpowiedział od razu. Zaskoczyła go. Spodziewał się czego innego. Ten bezpośredni atak zbił go z tropu.

–Na jak długo? – spytał.

–Do jutra.

–To za mało. Usiadła na łóżku.

–Czy nie moglibyśmy o wszystkim zapomnieć?

–Nie, Joanno.

–Niczego od ciebie nie chcę. Chcę tylko spać przy tobie. Albo pozwól mi się położyć na kanapie.

–Nie, to niemożliwe. Zresztą muszę iść do kliniki.

–To nie szkodzi. Poczekam, dość często czekałam na ciebie.

283Nie odpowiedział. Dziwił się swemu spokojowi. Gdzieś się podziało ciepłe i radosne podniecenie, którego doświadczał na ulicy.

–Zresztą wcale nie musisz iść do kliniki.

Milczał przez chwilę. Wiedział, że jeśli będzie z nią spał, to jest zgubiony. Byłoby to tak, jakby podpisał weksel bez pokrycia. Przychodziłaby ciągle, powołując się na pozyskane prawa, domagałaby się czegoś, sama z niczego nie rezygnując, aż byłby całkowicie w jej rękach, a wtedy, znudzona, opuściłaby go, ofiarę własnej słabości i pożądań. Nie miała takich zamiarów, może się tego nawet nie domyślała, ale to było nieuniknione. Łatwo mu było tłumaczyć sobie, że jedna noc nie ma znaczenia, ale za każdym razem będzie tracił część odporności, część tego, czego człowiek nigdy nie powinien tracić. Kościół katolicki zwał to z przezorną obawą grzechami przeciw Duchowi Świętemu, dodając wbrew swej nauce, że nie będą one odpuszczone ani w tym życiu, ani w przyszłym.

–To prawda – powiedział Ravic – nie idę do kliniki. Ale nie chcę też, żebyś została. Oczekiwał wybuchu, ale ona powiedziała spokojnie:

–Dlaczego?

Czy powinien był spróbować jej to wytłumaczyć? Czy potrafi?

–Twoje miejsce już nie tutaj – powiedział.

–Owszem.

–Nie.

–Czemu?

Milczał. “Jaka sprytna!" – pomyślał. “Prostymi pytaniami zmusza mnie do wyjaśnień. A kto

wyjaśnia, tym samym broni się".

–Dobrze wiesz – powiedział. – Nie pytaj tak niemądrze.

–Już mnie nie chcesz?

–Nie – powiedział i wbrew woli dodał: – Nie w ten sposób.

Monotonne zawodzenie dochodziło ciągle z pokoju Goldber-ga. Lament za umarłych. Żale pasterzy Libanonu skarżących się w bocznej uliczce paryskiej.

–Ravic – powiedziała Joanna – musisz mi pomóc.

–Najlepiej pomogę ci, rozstając się z tobą. I ty również. Przeszła nad tym do porządku.

–Musisz mi pomóc. Mogłabym przecież kłamać, ale już nie

chcę. Nie zapieram się, mam kogoś. Ale to zupełnie co innego niż z tobą. Gdyby było to samo, czyżbym tu wracała?

Wyjął z kieszeni papierosy, poczuł suchy smak papieru. A więc stało się. Nie miał już żadnych wątpliwości. Było to jak chłodny nóż, którego cios nie sprawia bólu. Pewność nie boli. Boli to, co przedtem, i to, co potem.

–Nigdy nie bywa to samo. I zawsze jest to samo. “Cóż za banały plotę" – myślał. “Dziennikarskie paradoksy. Jak nędznie wygląda prawda, kiedy się ją wypowiada". Joanna wyprostowała się.

–Ravic – powiedziała – wiesz dobrze, to fałsz, że można kochać tylko jednego człowieka. Oczywiście bywają i tacy, którzy to potrafią. I bywają inni, którzy się w tym gubią. Wiesz o tym.

Zapalił papierosa. Nie patrząc na Joannę, wiedział, jak wygląda. Jest blada, oczy jej pociemniały, milczy skupiona, niemal błaga swą kruchością, jest nie do pokonania. Tak właśnie wyglądała tego popołudnia u siebie. Jak anioł zwiastujący, pełen wiary i radosnego przeświadczenia, który obiecuje zbawienie, przybijając powoli do krzyża, bez możliwości ucieczki.

–Tak – powiedział. – To jedna z naszych wymówek.

–To nie wymówka. Nie jestem szczęśliwa. To bierze człowieka i nic nie można poradzić. Coś przerażającego, jakiś splątany węzeł, spazm – który trzeba przebyć. Nie ma ucieczki. Dogna cię. Pochwyci. Nie chcesz się poddać, ale musisz ulec sile.

–Po co nad tym rozmyślasz? Poddaj się, jeśli to takie silne.

–Właśnie to robię. Wiem, że nie ma rady. Ale… – Głos jej się zmienił. – Ravic, ja nie chcę cię stracić.

Ravic palił, ale nie czuł smaku papierosa. “Nie chcesz mnie stracić – myślał – ale tamtego także nie. W tym rzecz. Że też to potrafisz! Dlatego muszę od ciebie odejść. Nie chodzi o tego jednego człowieka, to dałoby się szybko zapomnieć. Miałaś usprawiedliwienie. Ale, że to cię tak wzięło, że nie możesz się oswobodzić. Kiedyś się oswobodzisz. Ale potem znowu zdarzy ci się to samo. Będzie ci się zdarzało ciągle, bo to w tobie tkwi. I ja tak umiałem przedtem, ale z tobą nie umiem. Dlatego muszę się od ciebie uwolnić. Teraz mogę to jeszcze zrobić, ale następnym razem…"

285- Uważasz tę sytuację za coś niezwykłego – powiedział -a to najpospolitsza rzecz na świecie. Mąż i kochanek.

–Nieprawda!

–Prawda. Istnieje dużo odmian. Twój wypadek jest właśnie jedną z nich.

–Jak możesz tak mówić! – obruszyła się. – Ty wcale nie jesteś tym, nigdy nie byłeś i nigdy nie będziesz. To już raczej on… – Urwała. – Ale nie, też nie. Nie potrafię tego wytłumaczyć.

–Powiedzmy w takim razie: pewność i przygoda. To lepiej brzmi, a w gruncie rzeczy jest tym samym. Chcesz mieć jedno, a nie chcesz puścić drugiego.

Potrząsnęła głową.

–Ravic – powiedziała w ciemności głosem, który poruszył mu serce – można to nazwać bardzo ładnie i bardzo brzydko. Ale to niczego nie zmieni. Kochani cię i będę cię kochała do końca życia. Wiem o tym i nie mam żadnych wątpliwości. Ty jesteś jak horyzont, na tobie kończą się moje myśli. Cokolwiek się dzieje, dzieje się w obrębie ciebie. To nie zdrada. Niczego ci nie odbiera. Oto, dlaczego ciągle do ciebie wracam i dlaczego niczego nie żałuję i nie czuję się winna.

–W uczuciach nigdy nie ma winy, Joanno. Ale czemu tak sądzisz?

–Przemyślałam to wszystko aż do dna. Tyle myślałam, Ravic! O tobie i o sobie. Nigdy mnie właściwie nie chciałeś mieć w całości. Może sam o tym nie wiesz, ale tak było. Zawsze coś z siebie przede mną zamykałeś. Nigdy nie mogłam tam przeniknąć, jakkolwiek chciałam. Tak bardzo chciałam! Zawsze było tak, jakbyś mógł zaraz odejść. Nigdy nie miałam pewności. Policja mogła cię wysiedlić, mogłeś zniknąć jakoś inaczej, z własnej woli, po prostu tu nie być, wyruszyć dokądś…

Zapatrzył się w bladą twarz, ledwie widoczną w ciemnościach. Istotnie, było coś z prawdy w

jej słowach.

–Zawsze tak było – mówiła dalej – zawsze. I wtedy zjawił się ktoś, kto mnie potrzebował, nikogo prócz mnie, całkowicie, na zawsze i bez żadnych komplikacji. Śmiałam się, nie chciałam, bawiłam się nim, to wyglądało tak bezpiecznie, ciągle mi się zdawało, że mogę skończyć, kiedy zechcę, i nagle stało się

to czymś więcej, jakimś musem, który we mnie też się zbudził. Opierałam się i nic nie pomagało, nie pasowałam do tego i nie wszystko we mnie było pożądaniem, tylko jakaś część, ale to mnie wciągało jak obsuwanie się ziemi, z którego najpierw się człowiek śmieje, a potem nic już nie ma wkoło, żeby się mógł zatrzymać, i nie może się bronić. Ale moje miejsce nie tam, Ravic, ja należę do ciebie.

Wyrzucił papierosa przez okno, niedopałek leciał jak świętojański robaczek, spadając na podwórze.

–Trudno, Joanno, stało się – powiedział – i tego już nie zmienimy.

–Ależ ja nie chcę nic zmieniać. To minie. Należę do ciebie. Czemuż powracam? Czemu stoję pod twoimi drzwiami? Czemu wyczekuję na ciebie, a ty mnie wyrzucasz, a ja znowu wracam? Wiem, że mi nie wierzysz, myślisz, że mam jakieś inne powody. Ale jakie? Gdyby'mnie tamto zadowalało, czyżbym tu wracała? Zapomniałabym o tobie. Mówisz, że szukam w tobie bezpieczeństwa. Nieprawda. Chcę miłości

"Słowa" – myślał Ravic. "Słodkie słowa, łagodny, oszukańczy balsam. Pomoc, miłość, należenie do siebie, powrót – słowa, słodkie słowa. Tylko słowa. Ileż jest słów na świecie do oznaczenia wzajemnego dzikiego, okrutnego pociągu dwóch ciał. Jakaż tęcza fantazji, kłamstw, oszustwa rozpina się nad nim! Oto stoję tutaj w noc pożegnania, stoję spokojny, wśród ciemności, pozwalam, aby spływał po mnie deszcz tych słodkich słów, które znaczą tylko jedno: pożegnanie, pożegnanie, pożegnanie. Jeśli człowiek o tym mówi, wszystko jest już stracone. Bóg miłości ma krew na czole; on nie zna słów".

–Musisz już iść, Joanno. Poruszyła się.

–Chcę tu zostać. Pozwól mi zostać na tę jedną noc. Potrząsnął głową.

–Za kogo mnie bierzesz? Nie jestem automatem? Wsparła się na nim. Poczuł, jak drży.

–Wszystko jedno. Pozwól mi zostać! Odsunął ją łagodnie.

–Nie powinnaś właśnie ze mną zdradzać tamtego. Jeszcze dość się nacierpi.

–Nie mogę teraz wracać sama do domu.

287- Nie będziesz długo sama.

–Owszem, będę. Od wielu dni jestem sama. On wyjechał. Nie ma go w Paryżu.

–Ach tak – powiedział spokojnie Ravic. Patrzył na nią. – Jesteś przynajmniej szczera. Wiadomo, czego się trzymać.

–Ale nie dlatego przyszłam.

–No, oczywiście!

–Czyż musiałam ci o tym mówić?

–Pewno, że nie.

–Ravic, nie chcę iść sama do domu.

–Odprowadzę cię. Odsunęła się o krok.

–Więc już mnie nie kochasz – powiedziała łagodnie, choć prawie groźnie.

–Czy przyszłaś po to, żeby się o tym dowiedzieć?

–Tak, częściowo tak. Niezupełnie.

–Mój Boże, Joanno – powiedział niecierpliwie Ravic – w takim razie dane ci było wysłuchać jednego z najszczerszych wyznań miłosnych.

Nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego uważnie.

–Czy sądzisz, że inaczej wahałbym się choć chwilę, czy się zatrzymać – bez względu na to, z kim żyjesz? – zapytał.

Powoli zaczęła się uśmiechać. Właściwie nie był to uśmiech, lecz jakiś blask od wewnątrz, jakby ktoś w niej zapalił lampę i jakby światło wznosiło się z wolna, aż dosięgło oczu.

–Dziękuję, Ravic – powiedziała. A po chwili dodała ostrożnie, wciąż patrząc mu w oczy: – Więc nie opuścisz mnie?

–Czemu pytasz?

–Poczekasz? Nie opuścisz mnie?

–Myślę, że nie masz powodu do obaw. Po doświadczeniach z tobą…

–Dziękuję. – Zmieniła się.

“Jak łatwo można ją pocieszyć" – pomyślał, ^de dlaczego nie? Myśli, że osiągnęła wszystko, czego chciała, nawet jeśli tu nie pozostanie".

Pocałowała go.

–Wiedziałam, że tak się zachowasz, Ravic. Musiałeś tak postąpić. Idę, nie odprowadzaj mnie. Teraz mogę pójść sama. Stała już w drzwiach.

288

–Nie przychodź więcej – powiedział – i nie myśl o niczym. Nie zginiesz.

–Nie. Dobranoc, Ravic.

–Dobranoc, Joanno.

Zbliżył się do ściany i zapalił światło. “Musiałeś tak postąpić". Wstrząsnął się lekko. “Kobiety ulepione są z gliny i złota" – pomyślał. “Z kłamstwa i wstrząsającej siły. Z oszustwa i bezwstydnej prawdy". Usiadł w oknie. Z niższego piętra dochodziło ciągle owo monotonne zawodzenie. Kobieta, która oszukiwała męża, opłakuje go, kiedy umarł. A może robi to tylko dlatego, że tak nakazuje jej religia? Ravic zdziwił się, że nie jest bardziej nieszczęśliwy.

23

–Tak, Ravic, wróciłam – powiedziała Kate Hegstroem.

Siedziała w swoim pokoju w hotelu “Lancaster". Zeszczuplała. Ciało jej zapadło się, jakby jakieś delikatne instrumenty usunęły je spod skóry. Rysy zaostrzyły się, a skóra była cienka jak jedwab, który lada chwila może się rozedrzeć.

–Myślałem, że pani jest jeszcze we Florencji albo w Can-nes, albo już w Ameryce.

–Cały czas byłam we Florencji. W Fiesole. Ale nie mogłam dłużej wytrzymać. Pamięta pan, jak pana namawiałam, żeby pan ze mną jechał? Książki, kominek, wieczory, spokój? Były książki, był kominek – ale spokój! Ach, Ravic, nawet miasto świętego Franciszka z Asyżu stało się hałaśliwe. Hałaśliwe i niespokojne jak wszystko. Tam, gdzie on kazał ptakom o miłości, krążą teraz umundurowane oddziały, pijane wielkimi słowami, pychą i bezpodstawną nienawiścią.

–Ależ tak było zawsze, Kate.

–Nie do tego stopnia. Jeszcze kilka lat temu mój rządca był przyjemnym człowiekiem w welwetowych spodniach i płóciennych pantoflach. Teraz stał się bohaterem w wysokich butach i czarnej koszuli, nosi złoty sztylet i wygłasza przemówienia, z których wynika jasno, że Morze Śródziemne musi być włoskie, Anglia musi być zniszczona, a Nicea, Korsyka i Sabaudia muszą

powrócić do Włoch. Ach, Ravic, ten sympatyczny naród, który od wieków nie wygrał żadnej wojny, oszalał od czasu, kiedy mu pozwolono zwyciężyć w Abisynii i w Hiszpanii. Przyjaciele, którzy jeszcze kilka lat temu byli zupełnie rozsądnymi ludźmi, teraz tłumaczą mi poważnie, że pokonają Anglię w ciągu trzech miesięcy. Cały kraj jest w stanie wrzenia. Co tam się dzieje? Uciekłam z Wiednia przed brutalami w brunatnych koszulach, teraz opuszczam Włochy ze strachu

przed brutalami w czarnych koszulach, gdzie indziej mają podobno zielone, w Ameryce naturalnie srebrne-czyżby świat zwariował na punkcie koszul?

–Możliwe, ale to się wkrótce zmieni. Wszystko stanie się czerwone.

–Czerwone?

–Tak, czerwone jak krew.

Kate Hegstroem popatrzyła w dół, na podwórze. Światło późnego popołudnia sączyło się z wolna przez zielone liście kasztanów.

–Trudno w to uwierzyć – powiedziała. – Dwie wojny w ciągu dwudziestu lat to trochę za wiele. Jeszcze nie odpoczęliśmy po pierwszej.

–Tylko zwycięzcy, zwyciężeni nie. Zwycięzcy stają się lekkomyślni.

–Możliwe. – Spojrzała na niego. – W takim razie pozostaje nam niewiele czasu, co?

–Boję się, że istotnie niewiele.

–A dla mnie wystarczy?

–Dlaczego nie? – Ravic podniósł głowę. Kate nie unikała jego wzroku. – Czy pani była u Fioli?

–Owszem, ze dwa razy. Jeden z nielicznych, który nie uległ czarnej zarazie.

Ravic nie odpowiedział, czekał.

Kate Hegstroem wzięła ze stołu sznurek pereł i przesuwała je powoli długimi, cienkimi palcami. Wyglądały jak drogocenny różaniec.

–Jestem jak Żyd Wieczny Tułacz – powiedziała – w poszukiwaniu spokoju. Ale widać źle się wybrałam. Nigdzie już nie można znaleźć tego, czego szukam. Tylko tu, tak, tu są jakieś resztki spokoju.

Ravic patrzył na perły. Uformowały je bezkształtne, szare mięczaki, podrażnione jakąś obcą substancją, ziarnkiem piasku, które dostało się do wnętrza skorupki. Takie lśniące, słodkie piękno powstało na skutek chwilowego podrażnienia. “Trzeba to sobie zapamiętać" – pomyślał.

–Czy nie miała pani zamiaru powrócić do Ameryki, Kate? Kto tylko może, powinien opuścić Europę. Za późno już na cokolwiek innego.

291- Chciałby mnie pan wysłać?

–Nie. Ale ostatnim razem mówiła pani przecież, że chce pani zakończyć swoje sprawy tutaj i wyjechać do Ameryki.

–lak, ale teraz już nie chcę. Jeszcze nie. Jeszcze tu zostanę.

–Paryż jest w lecie gorący i nieprzyjemny. Odłożyła perły.

–Nie wtedy, kiedy ma to być ostatnie lato, Ravic.

–Ostatnie?

–Tak, ostatnie przed powrotem.

Znów zamilkł. “Co ona wie?" – pytał sam siebie. “Co jej powiedział Fioła?"

–Co słychać w “Szeherezadzie?" – spytała nagle.

–Dawno tam nie byłem. Morozow mówi, że co noc jest przepełniona. Jak zresztą wszystkie nocne kluby.

–Latem?

–Tak, latem, kiedy zwykle zamykało się lokale. Czy panią to dziwi?

–Nie. Każdy chwyta, co może, zanim nastąpi koniec.

–Tak – powiedział Ravic.

–Może mnie pan tam kiedy zabierze?

–Z przyjemnością, Kate. Kiedy pani tylko zechce. Myślałem, że pani nie chce tam już iść.

–I ja tak myślałam, ale zmieniłam zdanie. I ja chwytam, co mogę. Znów popatrzył na nią.

–Doskonale, Kate. Kiedy tylko pani zechce.

Wstał. Odprowadziła go do drzwi. Wsparła się o framugę, szczupła, o suchej, jedwabistej

skórze, która wyglądała tak, jakby musiała szeleścić pod dotknięciem. Oczy jej były bardzo jasne i jakby większe niż dawniej.

Podała mu rękę gorącą i suchą.

–Dlaczego pan nie powiedział, co mi jest? – spytała lekko, jakby zaczynała rozmowę o pogodzie. Patrzył na nią, nie odpowiadając.

–Wytrzymałabym – dodała i jakby cień ironicznego uśmiechu bez wyrzutu przemknął po jej twarzy. -*Adieu,* Ravic.

* * *

i-*

3*;

t'

Człowiek bez żołądka umarł. Jęczał trzy doby, a morfina niewiele mu już pomagała. Ravic i Veber wiedzieli, że umrze, potrafiliby mu oszczędzić tych ostatnich trzech dni. Nie mogli tego jednak zrobić, bo istniała religia, która nakazywała miłość bliźniego, zabraniając jednocześnie skracania jego męki. I istniało prawo, które ją chroniło.

–Czy depeszował pan do rodziny? – spytał Ravic.

–Nie miał rodziny – odpowiedział Veber.

–No, to do dalszych krewnych?

–Nie miał krewnych.

–Nikogo?

–Nikogo. Była tu dozorczyni z domu, gdzie mieszkał. Nie otrzymywał żadnych listów prócz katalogów z domów towarowych albo broszur o zwalczaniu alkoholizmu, gruźlicy, chorób wenerycznych i tak dalej. Nikt u niego nie bywał. Zapłacił z góry za operację i za cztery tygodnie pobytu w klinice, czyli o dwa tygodnie za dużo. Dozorczyni utrzymuje, że obiecał jej wszystko, co posiadał, za opiekę. Upominała się też o zwrot owej dwutygodniowej nadpłaty. Była dla niego jak matka. Trzeba panu było widzieć tę matkę! Powiedziała, że miała z jego powodu mnóstwo wydatków. Wyłożyła za niego komorne. Powiedziałem jej, że jeśli zapłacił tu z góry za wszystko, to na pewno zapłacił i komorne. Że to zresztą sprawa policji. Wobec tego sklęła mnie.

–Pieniądze – powiedział Ravic – robią człowieka diabelnie pomysłowym. Veber roześmiał się.

–Zawiadomię władzę, niech się tym zajmą. I pogrzebem także oczywiście.

Ravic popatrzył raz jeszcze na człowieka bez krewnych i bez żołądka. Leżał, a twarz tak mu się zmieniła przez godzinę, jak nigdy w ciągu trzydziestu pięciu lat, które przeżył. Ze spazmu oddechu wyłaniało się powoli surowe oblicze śmierci. Wszystko, co przypadkowe, rozpływało się, zmywając ślady umierania, i z tej pospolitej, zmarszczonej twarzy formowała się wieczna maska, surowa i milcząca.

Ravic wyszedł. Na korytarzu spotkał nocną siostrę. Właśnie przyszła.

293- Chory z dwunastki umarł – powiedział. – Pół godziny temu. Nie będzie pani już dziś czuwała przy nim. – A widząc wyraz jej twarzy, dodał: – Czy coś pani zostawił?

Zawahała się.

–Nie, to był nieprzystępny człowiek. A w ostatnich dniach prawie się nie odzywał.

–Istotnie.

Pielęgniarka spojrzała na Ravica, bardzo po kobiecemu.

–Miał śliczny neseser, wszystkie przybory ze srebra. Za ładne dla mężczyzny, raczej by się nadawały dla kobiety.

–Powiedziała mu to pani?

–Owszem, mówiliśmy o tym kiedyś. We wtorek w nocy, kiedy był trochę spokojniejszy. Utrzymywał, że srebro nadaje się równie dobrze dla mężczyzny. I że szczotki są świetne, dziś już takich nie można dostać. Nic więcej nie mówił.

–Srebro zabierze teraz policja. Nie miał rodziny. Skinęła pojętnie głową.

–Jaka szkoda! Srebro zaraz czernieje. Szczotki też się niszczą, kiedy nie są nowe, a nikt ich nie używa. Dobrze byłoby je przedtem umyć.

–Rzeczywiście szkoda – powiedział Ravic. – Byłoby o wiele lepiej, gdyby je dał pani. Przynajmniej ktoś by się nimi cieszył.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

–Och, nic nie szkodzi. Niczego się nie spodziewałam. Umierający rzadko rozdają rzeczy, robią to raczej ci, którzy wracają do zdrowia. Umierający nie chcą uwierzyć, że umierają, dlatego tak jest. Inni robią na złość. Och, pan nie ma pojęcia, jacy okropni potrafią być umierający. Co oni potrafią powiedzieć, zanim umrą!

Jej dziecięca różowa twarz była jasna i otwarta. Nic jej nie obchodziło, co się koło niej dzieje, jeśli to bezpośrednio nie dotyczyło jej małego światka. Umierający zachowywali się jak nieporadne albo jak nieznośne dzieci. Póki żyli, trzeba się było nimi zajmować, potem przychodzili inni; niektórzy zdrowieli i wywdzięczali się, inni nie, a jeszcze inni umierali. Tak już jest. Nie ma się czym kłopotać. Ważniejsze, czy na wyprzedaży w “Bon Marche" obniżą ceny o dwadzieścia pięć procent i czy kuzynek Jaś ożeni się z Anną Couturier.

294

“Istotnie, to ważniejsze – pomyślał Ravic – ten mały, zaklęty krąg, który nas strzeże od chaosu. Inaczej co by się z nami stało?"

Siedział przed “Cafe Triomphe". Noc była blada i chmurna. Było ciepło, gdzieś zapalały się bezgłośne błyskawice. Życie pełzło chodnikami. Przysiadła się do niego kobieta w niebieskim jedwabnym kapeluszu.

–Zafundujesz mi wermut?

–Owszem, ale zostaw mnie samego. Czekam na kogoś.

–Poczekamy razem.

–To niebezpieczne. Czekam na pewną atletkę z Pałacu Sportu.

Uśmiechnęła się. Była tak umalowana, że uśmiech widoczny był tylko na ustach. Reszta twarzy pozostała białą maską.

–Chodź ze mną – powiedziała. – Mam urocze mieszkanko i jestem dobra do łóżka.

Ravic potrząsnął głową, kładąc na stole banknot pięciofran-kowy.

–Proszę, do widzenia i wszystkiego najlepszego. Wzięła banknot, złożyła go i wsunęła pod podwiązkę.

–Chandra?

–Nie.

–Bo ja jestem dobra na chandrę. Mam śliczną przyjaciółkę. Młodą – dodała po przerwie. – Piersi ma jak wieża Eiffla.

–Innym razem.

–Jak chcesz.

Wstała i przesiadła się o parę stolików dalej. Spojrzała na niego raz i drugi, wreszcie kupiła

gazetę sportową i zagłębiła się w wiadomościach.

Ravic patrzył na tłum przesuwający się bezustannie koło stolika.

Orkiestra w lokalu grała wiedeńskie walce. Błyskawice były teraz wyraźniejsze. Grupa młodych, pełnych kokieterii, hałaśliwych homoseksualistów opadła stolik obok jak stadko papużek. Wszyscy mieli baczki – ostatnia moda – i marynarki zbyt szerokie w ramionach i zbyt wąskie w biodrach.

Jakaś dziewczyna zatrzymała się przy stoliku Ravica, przy-

295glądając mu się natarczywie. Wydała mu się znajoma, ale znał ich tyle! Wyglądała jak jedna z tych wątłych prostytutek, wygrywających swą rzekomą nieporadność.

–Czy pan mnie nie poznaje? – spytała.

–Ależ oczywiście – powiedział Ravic, choć nie miał pojęcia, co to za jedna. – Jakże się pani miewa?

–Dobrze. Ale pan mnie naprawdę nie poznaje?

–Zapominam nazwisk, ale oczywiście znam panią. Daw-nośmy się nie widzieli.

–Istotnie. Napędził pan wtedy Bobo porządnego stracha. – Uśmiechnęła się. – Ocalił mi pan życie, a teraz mnie pan nie poznaje!

Bobo. Ocalił życie. Akuszerka. Teraz już wiedział.

–Pani jest Łucja – powiedział. – Oczywiście, pani była chora. Teraz jest pani zdrowa i dlatego pani nie poznałem od razu. Łucja była uradowana.

–Naprawdę, pamięta pan? I strasznie dziękuję za te sto franków, które pan wtedy wyciągnął od tej baby.

–Aha, tak… – Po nieudanej wizycie u pani Boucher posłał małej coś z własnej kieszeni. – Żałuję, że nie udało mi się odebrać wszystkiego.

–I to było dużo. Postawiłam krzyżyk na całej sumie.

–Może się pani czegoś napije ze mną, Łucjo? Skinęła głową i ostrożnie usiadła koło niego.

–Cinzano z wodą sodową.

–Co u pani słychać?

–Ano nic, wszystko w porządku.

–I zawsze razem z Bobo?

–Oczywiście, ale on się zmienił. Na lepsze.

–To dobrze.

Nie było o co pytać. Mała szwaczuchna stała się małą ku-rewką. Oto, po co ją krajał i zszywał. Reszty dokonał Bobo. Nie obawiała się już ciąży, to też miało swoje znaczenie. Stawiała dopiero pierwsze kroki, jej półdziecięcy wdzięk był jeszcze pociągający dla starszych panów – skorupka porcelany, która nie utraciła barw przez zużycie. Piła ostrożnie jak ptaszek, ale oczy jej już biegały. Nie było to wesołe ani bardzo smutne, ot, troszkę wykolejonego życia.

–Jesteś zadowolona? – spytał.

Skinęła głową. Widział, że istotnie jest zadowolona. Uważała, że wszystko jest w porządku. Po co jakieś dramaty?

–A pan jest sam? – spytała.

–Tak, Łucjo.

–W taki piękny wieczór?

–Tak.

Spojrzała na niego nieśmiało i uśmiechnęła się.

–Mam teraz czas – powiedziała.

“Ładna sprawa" – pomyślał Ravic. “Więc już tak żałośnie wyglądam, że każda prostytutka ofiarowuje mi odrobinę płatnej miłości?"

–Za daleko do ciebie, Łucjo – powiedział – nie mam tyle czasu.

–Nie moglibyśmy do mnie pojechać. Nie chciałabym, żeby się Bobo o tym dowiedział. Spojrzał na nią.

–Ale Bobo wie o wszystkich innych?

–Oczywiście, pilnuje mnie – uśmiechnęła się. – Zachowuje się jak dzieciak, myśli, że inaczej nie oddałabym mu pieniędzy. Od pana nie chcę pieniędzy.

–I dlatego Bobo nie może się dowiedzieć?

–Nie dlatego. Byłby zazdrosny, a wtedy wpada w szał.

–O wszystkich jest taki zazdrosny? Zdziwiona podniosła oczy.

–Ależ skąd! Przecież inni to interes.

–Więc tylko wtedy, kiedy nie bierzesz pieniędzy? Łucja zawahała się, potem rumieniec zaczął powoli oblewać jej twarz.

–Nie, nie dlatego. Tylko wtedy, kiedy przypuszcza, że chodzi jeszcze o coś innego. – Znów się zawahała. – Kiedy myśli, że to z uczucia.

Nie podniosła oczu. Ravic ujął jej rękę, która jak zagubiona leżała na stoliku.

–Łucjo – powiedział – jak to ładnie, że o mnie nie zapomniałaś. I że chcesz iść ze mną. Jesteś urocza i chciałbym cię wziąć. Ale, widzisz, nie mogę spać z kimś, kogo operowałem. Rozumiesz mnie?

Podniosła długie, ciemne rzęsy i szybko skinęła głową.

–Tak. – Wstała. – To już teraz pójdę.

297-*Adieu,* Łucjo. Wszystkiego dobrego. Dbaj o siebie, żebyś znów nie zachorowała.

–Tak.

Zapisał coś na kartce.

–Kup to, jeżeli jeszcze tego nie używałaś. To najlepszy środek. I nie oddawaj Bobowi wszystkich pieniędzy.

Uśmiechnęła się, potrząsając głową. Oboje wiedzieli, że na to nie ma rady. Patrzył na nią, póki nie znikła w tłumie. Potem zawołał kelnera.

Kobieta w niebieskim kapeluszu przeszła znowu koło niego. Obserwowała całą scenę. Wachlowała się złożoną gazetą, ukazując w uśmiechu sztuczne zęby.

–Jesteś impotent albo stuknięty, mój drogi – powiedziała uprzejmie w przejściu. – Winszuję i dziękuję.

Ravic wędrował pośród ciemnej nocy. Błyskawice przelatywały ponad dachami domów. Powietrze było ciche. Wejście do Luwru było oświetlone, drzwi otwarte. Wszedł.

Była to jedna z nocnych wystaw. Tylko w kilku salach było jasno. Minął salę egipską, która wyglądała jak duży, oświetlony grób. Skamieniali, siedzieli albo stali królowie sprzed trzech tysięcy lat, patrząc nieruchomymi granitowymi oczami na grupy wałęsających się studentów,

kobiety w kapeluszach według zeszłorocznej mody i melancholijnych starszych panów. Pachniało kurzem, zamknięciem i nieśmiertelnością.

W sali sztuki grackiej przed Wenus z Milo szeptała grupka niczym jej nie przypominających dziewcząt. Ravic przystanął. Po egipskich granitach i zielonkawym sjenicie marmur wydawał się miękki, nieomal schyłkowy. Wenus o łagodnie obfitych kształtach wyglądała jak zadowolona pani domu w kąpieli: bezmyślna i piękna. Apollo z jaszczurką wyglądał jak homoseksualista, któremu przydałoby się nieco ruchu. Stali w zamkniętych pomieszczeniach i to ich zabijało. Egipcjanie znosili to doskonale, stworzeni byli do grobowców i świątyń. Grecy potrzebowali słońca, powietrza i kolumn, między którymi przeświecałoby złote światło Aten.

Ravic szedł dalej. Wielki hali ze schodami zbliżył się wolno ku niemu. I nagle, wysoko ponad wszystkim, uniosła się Nike z Samotraki.

Dawno jej już nie widział. Ostatnim razem był tu pewnego szarego poranka. Posąg był niepozorny, w brudnym świetle zimowym księżniczka zwycięstwa zdawała się wahać i marznąć. Teraz jednak stała na rufie szczątku marmurowego okrętu, wysoko ponad schodami, oświetlona blaskiem reflektorów, promienna, szeroko rozpostarłszy skrzydła. Szatę jej wiatr oblepił wokół ciała, była radosna i gotowa do lotu. Wydawało się, że za nią huczy morze spod Salaminy, a niebo ciemniało oczekiwaniem jak aksamit.

Nie wiedziała, co to moralność. Nie interesowały jej problemy. Nie znała burz i ciemnych zasadzek. Nic prócz zwycięstwa i klęski, co było niemal jednym i tym samym. Nie była pokusą, tylko lotem. Nie była ponętą, tylko beztroską. Nie miała tajemnic, a przecież bardziej była pociągająca niż Wenus, która, zakrywając płeć, tym samym ją wskazywała. Była siostrą ptaków i okrętów, wiatru, fal i horyzontu. Nie miała ojczyzny.

“Tak, nie miała ojczyzny – pomyślał Ravic – ale też jej nie potrzebowała. Na każdym okręcie była u siebie. Była u siebie wszędzie, gdzie istniały walka i męstwo, a nawet klęska, ale bez rozpaczy. Była nie tylko boginią zwycięstwa, lecz boginią wszystkich ludzi przygody i uchodźców poty, póki się nie poddawali".

Rozejrzał się. Nikogo już nie było w hallu. Studenci i ludzie z bedekerami rozeszli się do domów. Dom – ale gdzie jest dom człowieka bezdomnego, jeśli nie, na krótki czas, w burzliwej przystani czyjegoś serca? Czy nie dlatego miłość, obejmując serce bezdomnego, tak nim wstrząsa i tak je całkowicie bierze we władanie, ponieważ bezdomni nic poza nim nie mają? Czyż on nie dlatego próbował unikać Joanny? I czyż nie dlatego ona przyszła za nim, dogoniła go i powaliła? Trudniej się dźwignąć na śliskim lodzie obcego kraju niż na swojskim, dobrze znanym gruncie.

Jakiś drobny, poruszający się cień zatrzymał jego spojrzenie. Był to motyl, który widocznie wpadł przez otwarte drzwi. Przyfrunął zapewne z ciepłych różanych klombów Tuilerii, może zbudzony przez kochanków ze snu wśród woni, oślepiony blaskiem nieznanych słońc, oszołomiony, schronił się w głęboką ciemność, ukrytą za otwartymi drzwiami. Teraz, zgubiony i

mężny, fruwał po ogromnym hallu, gdzie przyjdzie mu

299umrzeć. Zmęczony i senny przysiadzie na marmurowym gzymsie, na występie u okna albo wysoko, na ramieniu promiennej bogini. Rankiem szukać będzie kwiatów, życia, jasnego miodu płatków, nie znajdzie ich i uśnie znów, już słabszy, na wiekowych marmurach, aż rozluźni się uchwyt delikatnych, upartych łapek. Wtedy spadnie, cieniutki listek przedwczesnej jesieni.

"Sentymentalizm" – pomyślał Ravic. "Bogini zwycięstwa i mo-tyl-uchodźca. Tani symbol. Cóż nas jednak bardziej wzrusza niż tanie rzeczy, tanie symbole, tanie uczucia, tani sentymentalizm? Cóż je tak zdeprecjonowało? Właśnie ich wszechmocna prawdziwość? Snobizm kończy się, kiedy człowiekowi woda sięga po szyję".

Motyl zginął w półmroku kopuły. Ravic opuścił Luwr i zanurzył się w ciepłe powietrze jak w kąpiel. Zatrzymał się. Tanie uczucia! Czyż sam nie był wydany na pastwę najtańszego z nich? Zapatrzył się w obszerny dziedziniec, po którym błądziły cienie wieków, i poczuł jakby cios niewidzialnej pięści. Zachwiał się niemal. Jeszcze miał przed oczyma widmo białej Nike zrywającej się do lotu, ale spoza niej wychynęła z cienia inna twarz, tania, drogocenna twarz, w której zaplątała się jego wyobraźnia jak cienki szal indyjski w ciernistym krzaku. Szarpał ją, ale ciernie trzymały mocno jedwabne i złote nitki, splotły się z nimi, tak że oko nie mogło już rozpoznać, gdzie cierń, a gdzie lśniąca tkanina.

Twarz, ta twarz! Kto pytał, czy jest tania, czy drogocenna? Jedyna, czy taka, jakich tysiące? Można było pytać, zanim się człowiek w to uwikłał. Zanim stał się niewolnikiem miłości, a nie kogoś, kto przypadkowo przybrał jej imię. Kto może zdobyć się na wydanie sądu, kiedy oślepł od ogni wyobraźni? Miłość nie zna wartościowania.

Niebo obniżyło ^ię. Bezgłośne błyskawice wydobywały na chwilę siarczane chmury z ciemności nocy. Bezkształtne, wielookie gorąco kładło się na dachach. Ravic szedł teraz ulicą Rivoli. Pod arkadami świeciły wystawy sklepów. Zbita ciżba toczyła się mimo nich. Samochody były łańcuchem migocących refleksów.

"Idę na wieczorną przechadzkę – myślał – z rękami w kieszeniach, między tysiącami ludzi gapiących się na błyskotli-

i y

wą tandetę i kosztowne drobiazgi. A tymczasem krew gra mi w żyłach, w pulsującym białym i szarym labiryncie, w dwóch garściach kleistej masy zwanej mózgiem, szaleje niewidzialna bitwa, która sprawia, że rzeczywistość zdaje się fantazją, a fantazja rzeczywistością. Czuję dotknięcie ciał, które mnie potrącają, oczu, które mnie śledzą, słyszę warkot samochodów, głosy, wrzenie namacalnej rzeczywistości, tkwię w niej, a jednocześnie jestem od niej dalszy niż księżyc. Na jakiejś planecie, poza logiką i faktami, coś we mnie powtarza jedno imię, choć

wiem, że to nie ono. Krzyczy w pustkę, która zawsze istniała, w której zamarło już wiele krzyków, która nigdy nie dała odpowiedzi. Wiem o tym i wyrzucam z siebie krzyk miłości i krzyk śmierci, ekstazy i zanikającej świadomości, krzyk dżungli i pustyni, a chociaż słyszę tysiąc odpowiedzi, ta jedna nie przychodzi i nigdy przyjść nie może.

Miłość! Ileż to słowo oznacza. Od najlżejszej pieszczoty naskórka do największego podniecenia wewnętrznego, od tęsknoty za rodziną do śmiertelnego spazmu, od nienasyconej żądzy do walki Jakuba z aniołem. Oto idę – myślał – człowiek po czterdziestce, który przeszedł niejedną szkołę, nabył wiedzy i doświadczenia, padał i znów się podnosił, przepuszczony przez filtr czasu, zimny, krytyczny. Nie chciałem miłości, nie wierzyłem w nią, nie przypuszczałem, że ją raz jeszcze napotkam, a oto przyszła i całe moje doświadczenie i wiedza na nic, miłość pali mnie tylko mocniej. A cóż płonie lepiej w ogniu uczucia niż suchy cynizm i nagromadzone drewno krytycznych lat?"

Szedł i szedł, a noc była szeroka i pełna ech; szedł, nie myśląc, nie wiedział, czy trwa to minuty, czy godziny, nie zdziwiło go też, gdy znalazł się znów wśród ogrodów na tyłach Avenue Raphael.

Dom na rue Pascal. Linie pięter pnących się w górę, pod dachem pracownie, niektóre jasne. Bez trudu odnalazł oświetlone okna Joanny, była więc u siebie. A może wyszła i zostawiła palące się światło? Nie lubiła przecież wracać do ciemnego pokoju. Tak jak i on. Wrócił na ulicę. Kilka samochodów stało przed domem, między nimi żółty otwarty wóz, przero-

biony na wyścigowy. Mógł być własnością tamtego mężczyzny. Wóz dla aktora. Siedzenia obite czerwoną skórą, deska rozdzielcza jak w samolocie, z mnóstwem niepotrzebnych urządzeń. Tak, wóz musi należeć do tamtego. “Czyżbym był zazdrosny?" – pytał się sam siebie ze zdziwieniem. “Zazdrosny o przypadkowy obiekt, o który się zahaczyła? Zazdrosny o coś, co mnie nie dotyczy? Można być zazdrosnym o miłość, która się odwróciła, ale nie o to, ku czemu się odwróciła".

Zawrócił w kierunku ogrodów. Słodka woń kwiatów mieszała się w ciemności z zapachem ziemi i chłodnej zieleni, silnym jak przed burzą. Ravic znalazł ławkę i usiadł. “To nie ja jestem – myślał – tym oszukanym kochankiem, siedzącym na ławce przed domem kobiety, która go opuściła, i wpatrzonym w jej okna! To nie ja jestem wstrząsany żądzą, którą może dokładnie zanalizować, lecz której nie może opanować. To nie ja jestem tym głupcem, który dałby lata życia, byle cofnąć czas i znów mieć w ramionach to jasnowłose Nic, które plecie do ucha słodkie brednie. To nie ja jestem tym człowiekiem -do diabła z wykrętami! – który siedzi tu zazdrosny, nieszczęśliwy, złamany i najchętniej podpaliłby ten wóz".

Zapalił papierosa. Cichy syk. Niewidzialny dym. Zapałka przeleciała jak kometa. Czemu tam nie idzie? Co by się stało? Jeszcze nie za późno. Światło ciągle się pali. Umiałby opanować sytuację. Dlaczego nie wyciąga z tego Joanny? Teraz, kiedy już wie o wszystkim? Dlaczego nie

wyciąga jej, nie zabiera, aby nigdy już nie pozwolić jej odejść?

Wpatrzył się w ciemność. I cóż by mu przyszło z tego? Co by się stało? Nie mógł wyrzucić tamtego. Nie można wyrzucić kogoś z cudzego serca. Dlaczego nie wziął jej, Medy do niego przyszła?

Rzucił papierosa. Bo to nie było dosyć. Dlatego. Chciał więcej. Nawet gdyby znów przyszła, nawet gdyby wróciła i gdyby o wszystkim zapomnieli, nigdy by to nie wystarczyło, w jakiś dziwny i straszny sposób zawsze byłoby za mało. Zmylona droga, promień wyobraźni nie trafił na zwierciadło, które by go schwytało i odbiło bardziej rozżarzonymi, promień przeszedł mimo zwierciadła, trafił w mrok Niespełnionego i nic nie przywoła go z powrotem, ani to zwierciadło, ani tysiąc innych. Mogli schwytać tylko część jego blasków, ale nie wszystkie. Od

dawna snuje się zagubiony promień poprzez puste nieba miłości, napełniając je migotliwą mgłą, która straciła formę, by nigdy już nie stać się tęczą nad czyjąś ukochaną głową. Magiczny krąg został przerwany, pozostał żal, ale rozprysnęła się nadzieja.

Jakiś mężczyzna wyszedł z domu. Ravic się wyprostował. Szła za nim śmiejąca się kobieta. Nie byli to jednak oni. Jeden z wozów odjechał. Ravic zapalił nowego papierosa. Czy byłby ją mógł zatrzymać? Czy byłby mógł ją zatrzymać, gdyby było inaczej? Ale co mógłby zatrzymać? Tylko iluzję, nic więcej. A może to właśnie by wystarczyło, może nic więcej nie można zdobyć? Co zresztą wiadomo o ciemnym wirze życia, kłębiącym się pod powierzchnią zmysłów, które zmieniają go w rzeczy – w stół, lampę, dom, ciebie i miłość? Istnieje tylko przeczucie i mrok. Czy to nie wystarcza?

Nie, to nie wystarcza. Wystarcza wtedy tylko, jeśli się w to wierzy. Kiedy kryształ pęknie pod ciosem zwątpienia, można go skleić, ale nic więcej. Skleić, kłamać i patrzeć na załamujące się światło, które było kiedyś oślepiającym blaskiem! Nic nie powraca, nic nie odzyskuje dawnej formy. Nic. Gdyby nawet Joanna wróciła, nie byłoby już to samo. Sklejony kryształ. Przeoczona godzina. Nic jej nie powróci.

Poczuł ostry ból nie do zniesienia. Coś szarpało go, rozrywało od wewnątrz. "Mój Boże – myślał – mój Boże, że też mogę tak bardzo cierpieć! Z tego powodu cierpieć! Obserwuję sam siebie przez ramię, ale to nic nie pomaga. Wiem, że gdybym to dostał, znów bym opuścił, ale to nie ucisza moich pragnień. Poddaję to sekcji, jak trupa w kostnicy, ale ono staje się tym bardziej żywe. Wiem, że kiedyś minie, ale to także nie pomaga". Jak oślepiony wpatrywał się w okna, czując własną śmieszność – i to niczego nie zmieniło.

Nagle przetoczył się nad miastem grzmot, a ciężkie krople deszczu zaklaskały w krzakach. Ravic wstał. Zobaczył, że ulica pokrywa się srebrnymi cętkami. Deszcz śpiewał. Ciężkie krople uderzały go ciepłem w twarz. I nagle przestał zdawać sobie sprawę, czy jest śmieszny, czy nieszczęśliwy, czy cierpi czy nie, czuł tylko, że żyje. Żył! Istniał, życie chwyciło go znowu mocno, wstrząsnęło nim, przestał być widzem stojącym na uboczu, niepojęta wspaniałość rozpętanych uczuć płynęła przez

303jego żyły jak płomień rurami wielkiego pieca. I cóż to znaczyło, czy jest szczęśliwy czy nie: żył, czuł, że żyje, i to wystarczało!

Stał na deszczu, który spływał po nim jak ostrzał niebiańskiego karabinu maszynowego. Stał tutaj i sam był deszczem i burzą, wodą i ziemią, krzyżowały się w nim błyskawice z wszystkich horyzontów, był tworem, był żywiołem; nic już nie miało własnej nazwy i nie było samotne, wszystko stało się tym samym: miłość, spływający deszcz, blade błyski nad dachami, ziemia, która zdawała się pęcznieć. Granice zatarły się, a on przynależał do tego wszystkiego, szczęście i nieszczęście stały się pustą powłoką, odrzuconą przez potężne uczucie, że żyje.

–Ty, tam w górze – mówił ku oświetlonemu oknu, śmiejąc się i nie zdając sobie sprawy z własnego śmiechu. – Ty iskierko, ty fatamorgano, ty twarzy, która wywiera taki dziwny wpływ na mnie, choć na tej planecie istnieją setki tysięcy innych twarzy, lepszych, piękniejszych, inteligentniejszych, szlachetniejszych, bardziej wiernych i lepiej wszystko pojmujących. Ty przypadku, rzucony nocą na moją drogę i w moje życie, ty bezmyślne poczucie własności, które wśliznęło się we mnie podczas snu, ty, która nie wiedziałaś o mnie prawie nic prócz tego, że ci się opierałem, i która zapragnęłaś ten opór pokonać, aż go złamałaś, żeby odejść – pozdrawiam cię! Stoję tu oto, a nie myślałem, że kiedyś przyjdzie mi jeszcze tak stać. Deszcz mi przemoczył koszulę, a słodszy jest, chłodniejszy i cieplejszy od twoich rąk i twojej skóry. Tu oto stoję, a spazm zazdrości i bólu ściska mi żołądek. Gardzę tobą, pożądam cię, podziwiam cię, ubóstwiam cię za to, że rzuciłaś błyskawicę, która we mnie wznieciła ogień, błyskawicę skrytą w każdym łonie, iskrę życia, czarny ogień. Stoję tu i nie jestem już urlopowanym trupem, który uśmiecha się z odrobiną cynizmu, sarkazmu i odwagi. Znów żyję, może nawet cierpię, ale stoję zwrócony przeciw wszystkim burzom życia, odrodzony w jego pierwotnej mocy. Bądź błogosławiona, Madonno o pierzchliwym sercu, Nike z rumuńskim akcentem, marzenie i oszustwo, pęknięte zwierciadło ciemnego bóstwa, dzięki ci, o nieświadoma! Nigdy ci tych słów nie powiem, bo bezlitośnie ciągnęłabyś z nich zyski. Ale powróciłaś mi skarb, którego nie potrafił mi dać Plato ani chryzantemy gwiazd, ucieczka ani wol-

ność, poezja ani miłosierdzie, rozpacz ani wytrwała i wzniosła nadzieja: dałaś mi proste, mocne bezpośrednie życie, które w tych czasach między dwiema katastrofami wydawało mi się zbrodnią! Pozdrawiani cię, składam ci dzięki! Musiałem cię utracić, by to zrozumieć. Bądź pozdrowiona!

Deszcz zmienił się w migocącą srebrną zasłonę. Krzewy zaczęły pachnieć, a woń ziemi była mocna i pełna wdzięczności. Ktoś wybiegł z domu naprzeciw i postawił budę żółtego samochodu. Ale to już nie miało żadnego znaczenia. Wszystko utraciło znaczenie. Noc strącała deszcz z gwiazd, tajemniczo i płodnie opadał na kamienne miasto, na jego aleje i ogrody, a miliony kwiatów otwierały przed nim różnobarwne łona. Rzucał się w otwarte, opierzone ramiona drzew, przenikając ziemię w tajemnych zaślubinach z milionem oczekujących, spragnionych

korzeni. Deszcz, noc, przyroda, wzrost, wszystko działało tu, nie zważając na zniszczenie, śmierć, zbrodnię fałszywych świętych, zwycięstwa i klęski, było jak co roku. I tej nocy on należał do tego, co było. Pękła twarda skorupa, wychynęło błogosławione, pozdrowione życie, życie, życie!

Prędkim krokiem przemierzał ogrody i ulice. Nie oglądając się, szedł naprzód, a korony drzew w Lasku Bulońskim przyjęły go jak olbrzymi, szumiący ul. Krople bębniły, pytały i dawały odpowiedź, a on czuł się znowu młody jak wówczas, gdy pierwszy raz szedł do kobiety.

24

–Co mam podać? – spytał kelner.

–Proszę o…

–Co?

Ravic nie odpowiedział.

–Nie zrozumiałem – powiedział kelner.

–Cokolwiek. Proszę mi przynieść cokolwiek.

–Pernod?

–Tak…

Ravic przymknął oczy. Potem z wolna otworzył je znowu. Mężczyzna wciąż jeszcze siedział. Tym razem nie mogła to być omyłka.

Przy stoliku koło drzwi siedział Haake. Był sam, jadł kolację. Na stole stał srebrny półmisek z rozkrajaną langustą i kubełek z butelką szampana. Kelner przyrządzał świeżą sałatę z pomidorami. Ravic zobaczył ten obraz tak wyraźnie, jak płaskorzeźbę odciśniętą w wosku gdzieś za jego gałkami ocznymi. Zauważył sygnet z herbem rytym w krwawniku, kiedy Haake sięgnął po butelkę. Poznał sygnet i pulchną, białą rękę. Widział ją wyraźnie przed sobą w zamęcie metodycznego obłędu, kiedy obok stołka do bicia został wyrwany z omdlenia jaskrawym światłem lampy. Haake stał wtedy przed nim, cofając się ostrożnie, aby woda, którą oblewano Ravica, nie zamoczyła mu eleganckiego munduru. Wskazując białą, pulchną ręką na Ravica, mówiąc łagodnie: "To dopiero początek. To jeszcze nic. Czy teraz powie nam pan te nazwiska? Czy też mamy iść dalej? Jest jeszcze dużo rozmaitych możliwości. Pańskie paznokcie, jak widzę, są jeszcze w porządku".

Haake podniósł wzrok. Spojrzał prosto w oczy Ravicowi. Ra-

vic musiał zmobilizować całą siłę woli, by nie wstać. Podniósł do ust kieliszek pernodu, przełknął łyk i zmusił się do patrzenia na sałatę, jakby interesowało go jej przyrządzanie. Nie wiedział, czy Haake go poznaje, ale poczuł nagle, że plecy ma mokre od potu.

Po chwili znów spojrzał ku stolikowi. Haake jadł teraz lan-gustę, patrząc na talerz. Światło odbijało się w jego łysinie. Ravic rozejrzał się. Restauracja była zatłoczona. Nic się tu nie da zrobić. Nie miał przy sobie broni, a gdyby się rzucił na Haakego, dziesięć rąk by go wstrzymało. W dwie minuty potem zjawiłaby się policja. Trzeba było czekać, iść za nim, wyśledzić, gdzie mieszka.

Zmusił się do zapalenia papierosa, zmusił się, by nie spojrzeć w tamtym kierunku, póki nie skończy palić. Wreszcie powoli, jakby kogoś szukał, rozejrzał się znowu. Haake właśnie skończył jeść langustę, trzymał serwetkę i ocierał usta. Nie robił tego jedną ręką, ale dwiema. Trzymał lekko rozciągniętą serwetkę, dotykał nią warg, najpierw jednej, potem drugiej, jak kobieta, która ściera pomadkę z ust. W tej chwili patrzył wprost na Ravica.

Ravic odwrócił oczy, ale czuł, że tamten ciągle na niego patrzy. Zawołał kelnera i kazał mu przynieść drugi kieliszek pernodu. Inny kelner uprzątał teraz stolik Haakego. Zabrał resztę langusty, napełnił kieliszek, po czym przyniósł paterę z serami. Haake wskazał rozpływający się kawałek brie, ułożony na słomkowej podściółce.

Ravic znów zapalił papierosa. Po chwili kącikiem oka dojrzał, że tamten na niego patrzy. Nie był to już przypadek. Skóra mu ścierpła. Jeśli Haake go poznał? Zatrzymał przechodzącego kelnera.

–Może mi pan przynieść pernod na taras? Chciałbym tam usiąść. Na tarasie chłodniej. Kelner zawahał się.

–Byłoby lepiej, gdyby pan tu zapłacił. Tam pracuje kolega. Potem przeniosę panu kieliszek. Ravic potrząsnął głową i wyjął banknot z kieszeni.

–W takim razie ten dopiję tutaj, a tam zamówię drugi. W ten sposób unikniemy zamieszania.

–Doskonale, proszę pana. Dziękuję panu.

307Ravic bez pośpiechu dopił kieliszek. Haake słuchał, to było pewne. Przestał nawet na tę chwilę jeść. Dopiero teraz zabrał się z powrotem do sera. Ravic nie ruszał się jeszcze przez chwilę. Jeśli Haake go poznał, pozostawało tylko udawać, że on go nie poznaje, i śledzić go dalej z ukrycia.

Po kilku minutach wstał i wolnym krokiem wyszedł na taras. Prawie wszystkie stoliki były zajęte. Czekał, dopóki nie zwolniło się miejsce, z którego było widać część stolika Ha-akego. Sam Haake nie był stąd widoczny, ale gdyby wychodził, Ravic by to zauważył. Zamówił pernod i od razu zapłacił. Chciał być gotów.

–Ravic – powiedział ktoś koło niego. Wzdrygnął się jak pod uderzeniem. Joanna stała przy nim. Spojrzał na nią.

–Ravic – powtórzyła – czyżbyś mnie nie poznał?

–Ależ oczywiście. – Wzrok jego utkwiony był ciągle w stolik Haakego. Stał przy nim teraz kelner z kawą. Ravic odetchnął. Miał jeszcze czas. – Joanno – powiedział z wysiłkiem – skąd się tu wzięłaś?

–Co za pytanie? Każdy co dzień przychodzi do Fouąueta.

–Jesteś sama?

-Tak.

Teraz **dopiero zauważył, że stała przy nim, podczas gdy on siedział. Wstał, ale odwrócił się w ten sposób, by móc ciągle patrzyć na tamten stolik.**

–Mam tu coś do załatwienia – powiedział prędko, nie patrząc na nią. – Nie mogę ci tego teraz wytłumaczyć. Pozostaw mnie samego.

–Poczekam – powiedziała Joanna. – Zobaczę, jak ona wygląda.

–Jaka ona? – spytał, nie pojmując.

–No ta, na którą czekasz.

–To nie kobieta.

–A kto? Popatrzył na nią.

–Nie poznajesz mnie, chcesz się mnie pozbyć, jesteś podniecony. Wiem, że czekasz na kobietę. Chcę ją zobaczyć.

“Pięć minut" – myślał Ravic. “Może nawet dziesięć lub piętnaście na wypicie kawy. Potem Haake zapali papierosa, tak, prawdopodobnie papierosa. Muszę pozbyć się Joanny do tego czasu".

–Jak chcesz – powiedział. – Nie mogę ci w tym przeszkodzić. Ale usiądź gdzie indziej.

Nie odpowiedziała, oczy jej zrobiły się jaśniejsze, rysy twarzy zastygły.

–To nie kobieta – powtórzył. – A gdyby nawet, co ci, u diabła, do tego? Nie ośmieszaj się zazdrością, kiedy latasz ze swoim aktorem.

Joanna nie odpowiedziała, tylko zwróciła się w kierunku jego wzroku, starając się odgadnąć, na kogo patrzy.

–Nie rób tego – powiedział.

–Więc siedzi z mężczyzną?

Ravic nagle usiadł. Haake słyszał, że chce się przenieść na taras. Jeżeli go poznał, będzie chciał sprawdzić, co się z nim stało. Wtedy naturalniej będzie siedzieć z kobietą.

–Więc dobrze – powiedział. – Zostań. To, co myślisz, jest bzdurą. W pewnym momencie wstanę i odejdę. Podejdziesz ze mną do taksówki, ale nie wsiądziesz. Czy możesz to dla mnie zrobić?

–Czemu jesteś taki tajemniczy?

–Wcale nie jestem tajemniczy. Jest tu jeden człowiek, którego dawno nie widziałem, chcę się dowiedzieć, gdzie on mieszka. To wszystko.

–Więc to naprawdę nie kobieta?

–Nie. To mężczyzna, ale nie mogę ci nic więcej o nim powiedzieć. Kelner stanął przy nich.

–Czego się napijesz? – spytał Ravic.

–Calvadosu.

–Jeden calvados. Kelner odszedł.

–A ty?

–Ja piję co innego. Spojrzała na niego uważnie.

–Nie masz pojęcia, jak ja cię chwilami nienawidzę.

–To się zdarza.

309Ravic rzucił okiem na stolik Haakego. “Szkło – pomyślał -drgające, płynne, migotliwe szkło. Ulice, stoliki, ludzie – wszystko nurza się w galarecie z drgającego szkła".

–Jesteś zimnym egoistą…

–Joanno – powiedział Ravic – porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Zamilkła, bo właśnie kelner stawiał przed nią kieliszek. Ra-vic zapłacił od razu.

–Sam mnie popchnąłeś w to wszystko – powiedziała potem wyzywająco.

–Wiem o tym… – Przez chwilę widział pulchną, białą rękę Haakego, sięgającą po cukier.

–Ty! Nikt inny, tylko ty! Nigdy mnie nie kochałeś, bawiłeś się mną tylko, zobaczyłeś, że cię kocham, i nic sobie z tego nie robiłeś.

–To prawda.

–Co?

–To prawda – powiedział Ravic, nie patrząc na nią. – Ale potem było inaczej.

–Potem! Potem! Kiedy się już wszystko poplątało. Wtedy było za późno. To twoja wina.

–Wiem.

–Nie mów ze mną w ten sposób! – Jej twarz była biała i zła, – Nawet mnie nie słuchasz.

–Ależ owszem! – Spojrzał na nią. Niech mówi, mówi, wszystko jedno co. – Czy posprzeczałaś się ze swoim aktorem?

–Tak.

–To minie.

Z kąta dobywał się niebieski dymek. Kelner znowu nalewał kawę. Haake nie spieszył się widać.

–Mogłam zaprzeczyć – powiedziała Joanna. – Mogłam przecież powiedzieć, że przyszłam tu przypadkiem. Ale nie chcę. Szukałam cię. Chcę się z nim rozstać.

–Człowiek zawsze chce się rozstać. To jest nieodłączne.

–Boję się go. Grozi mi. Chce mnie zastrzelić.

–Co? – Ravic spojrzał na nią jak zbudzony ze snu. – Co takiego?

–Mówi, że mnie zastrzeli.

–Kto? – Dotychczas niemal nie słuchał. Dopiero teraz zrozumiał. – Aha! Chyba w to nie wierzysz?

–Jest ogromnie zapalczywy.

–Bzdura! Ktoś, kto takie rzeczy mówi, nigdy ich nie wykonuje. Szczególnie aktor.

“O czym ja mówię?" – myślał. “Co to wszystko znaczy? Czego ona ode mnie chce? Jakaś twarz, jakiś głos wznoszący się ponad szumem w uszach. Co mnie to wszystko obchodzi?"

–Po co mi to wszystko opowiadasz? – spytał.

–Chcę się z nim rozstać. Chcę wrócić do ciebie.

“Jeśli weźmie taksówkę, co najmniej kilka sekund upłynie, zanim uda mi się złapać drugą" – myślał Ravic. “Zanim nadjedzie, może być za późno".

Wstał.

–Poczekaj. Zaraz wracam.

–O co ci…?

Nie odpowiedział. Szybko przeszedł na drugą stronę i zatrzymał taksówkę.

–Ma pan dziesięć franków. Niech pan na mnie parę minut zaczeka, mam jeszcze coś do załatwienia w kawiarni.

Szofer spojrzał na banknot, potem na Ravica. Ravic mrugnął do niego, szofer mu odmrugnął. Wolno obracał w palcach pieniądze.

–To dodatek – powiedział Ravic. – Pan rozumie…

–Rozumiem – uśmiechnął się szofer. – Dobrze, zaczekam.

–Ale tak, żeby pan mógł natychmiast ruszyć.

–Rozumiem, szefie.

Ravic przecisnął się przez tłum. Nagle krtań mu się zacisnęła: Haake stał u wyjścia. Nie dosłyszał, co mówiła Joanna.

–Czekaj – powiedział. – Zaraz! Sekundę!

–Nie. Wstała.

–Pożałujesz!

Łkała prawie. Zmusił się do uśmiechu, ujął jej rękę. Haake stał jeszcze przy drzwiach.

–Siądź – prosił Ravic. – Na sekundę!

–Nie.

Szarpnęła rękę. Puścił ją. Nie chciał zwracać na siebie uwagi. Joanna szybko przecisnęła się między rzędami stolików koło drzwi. Haake patrzył za nią. Potem powoli przeniósł wzrok na Ravica, by znów skierować go w kierunku, w któ-

311rym poszła Joanna. Ravic usiadł. Krew waliła mu w skroniach. Wyjął portfel, udając, że czegoś szuka. Zauważył, że Haake z wolna idzie między stolikami. Popatrzył w inną stronę, udając obojętność. Haake musiał przeciąć linię jego wzroku. Czekał. Czas dłużył się w nieskończoność. Nagle owładnął nim potworny strach. A jeśli Haake zawrócił? Szybko podniósł oczy. Haakego nie było. Nie było. Zawirowało mu przed oczyma. Nagle usłyszał głos:

–Czy pan pozwoli?

Ravic nie rozumiał. Ciągle patrzył na drzwi. Haake nie wrócił chyba do restauracji? “Wstań – myślał – leć, łap go!" Ale znów odezwał się z tyłu natrętny głos. Odwrócił się i zmartwiał. Haake obszedł go z tyłu i stał teraz tuż koło niego. Wskazywał krzesło, na którym przed chwilą siedziała Joanna.

–Pozwoli pan? Wszystkie stoliki są zajęte.

Skinął głową, nie miał siły mówić. Krew odpłynęła z mózgu. Odpływała, odpływała, miał wrażenie, że pod jego krzesłem musiała się już zebrać kałuża krwi, a on sam stał się pustyni workiem. Oparł się mocniej o poręcz krzesła. Kieliszek stał jeszcze przed nim. Mleczny płyn. Podniósł go i wypił. Ciążył mu. Spojrzał na szkło, nie drżało. Drżenie było w jego żyłach.

Haake zamówił koniak dobrej, starej marki. Mówił po francusku z ciężkim niemieckim akcentem. Ravic zawołał chłopca z gazetami.

–JParis Soir".

Chłopak zerknął ostrożnie ku drzwiom, gdzie stała stara sprzedawczyni gazet. Podał pismo złożone, jakby przypadkiem, chwycił monetę i zwiał.

“Poznał mnie" – myślał Ravic. “Inaczej czemu by się przysiadł?" Nie spodziewał się tego. Teraz musiał poczekać, zobaczyć, o co tamtemu chodzi, i odpowiednio postąpić.

Rozłożył gazetę, przeczytał kilka nagłówków i odłożył ją. Haake patrzył na niego.

–Ładny wieczór! – powiedział po niemiecku. Ravic skinął głową. Haake uśmiechnął się.

–Mam dobre oko, co?

–Tak by się zdawało.

–Widziałem pana w restauracji.

Ravic znów skinął głową, z uwagą, ale obojętnie. Czekał w najwyższym naprężeniu. Nie miał pojęcia, o co tamtemu chodzi. Nie mógł wiedzieć, że Ravic przebywa we Francji nielegalnie. A może gestapo wiedziało i o tym? W każdym razie ma jeszcze czas.

–Od razu pana poznałem – powiedział Haake. Ravic spojrzał na niego.

–Blizna – powiedział Haake, wskazując czoło Ravica. – Korporant. A zatem Niemiec albo studiował pan na niemieckim uniwersytecie!

Roześmiał się. Ravic nie mógł oderwać od niego oczu. Nie, to niemożliwe! To byłoby zbyt śmieszne! Odetchnął z nagłą ulgą. Haake nie miał pojęcia, z kim rozmawia. Przypuszcza, że blizna na czole Ravica to pamiątka ze studenckiego pojedynku. Roześmiał się. Długo śmiał się razem z Haakem. Musiał wbić sobie paznokcie w dłoń, żeby się przestać śmiać.

–Trafiłem? – spytał Haake z dobroduszną przechwałką.

–Ależ tak!

Blizna na czole. Pozostałość z lochów gestapo, gdzie bito go na oczach Haakego. Krew spływała mu do oczu i ust. A teraz Haake siedzi tu i myśli, że są to ślady studenckiego pojedynku, i jest dumny ze swojej domyślności.

Kelner podał zamówiony koniak, który Haake powąchał z rozkoszą.

–Jedyna rzecz, jaką tu mają – oświadczył – to dobry koniak. Bo poza tym… – mrugnął do Ravica – wszystko zgniłe. Naród rentierów. Nic ich nie interesuje poza własnym bezpieczeństwem i dobrobytem. Wobec nas – przepadli.

Ravic sądził, że nie będzie mógł mówić, że chwyci kieliszek, przyciśnie go do kantu stołu, tak że szkło rozpryśnie się, a odłamki wbiją się w ślepia Haakego. Ujął kieliszek ostrożnie i z pewnym wysiłkiem, opróżnił go i postawił spokojnie na stole.

–Co pan pije?

–Pernod. To taka namiastka absyntu.

–Ach, absynt. Płyn, który robi z Francuzów impotentów -uśmiechnął się Haake. – Przepraszam, bez aluzji.

–Absynt jest zabroniony, a to jest niewinna namiastka. Absynt powoduje bezpłodność, a nic impotencję. Dlatego jest zabroniony. To po prostu anyżówka. Smakuje jak likier.

313“Idzie mi – pomyślał – i nawet bez wielkiego trudu. Mogę odpowiadać z łatwością i

gładko. Gdzieś we wnętrzu, głęboko, szaleje potworny wir, ale na zewnątrz zachowuję spokój".

–Pan tu mieszka? – spytał Haake.

–Tak.

–Od dawna?

–Stale.

–Rozumiem. Zagraniczny Niemiec. Tu urodzony, co? Ravic skinął głową. Haake z wolna pociągnął koniak.

–Wielu naszych najlepszych ludzi to Niemcy urodzeni poza granicami kraju. Zastępca Fuhrera urodził się w Egipcie. Ro-senberg w Rosji. Darre pochodzi z Argentyny. Chodzi tylko o przekonania, nie?

–Oczywiście.

–Tak właśnie sądzę. – Twarz Haakego jaśniała zadowoleniem. Potem pochylił się lekko nad stołem i mogło się wydawać, że stuknął obcasami. – Pan pozwoli, von Haake.

Ravic powtórzył jego gest.

–Horn. – Był to jeden z jego dawniejszych pseudonimów.

–Von Horn? – zapytał Haake.

–Tak.

Haake zupełnie się rozkrochmalił. Spotkał kogoś ze swojej sfery.

–Pan pewno zna dobrze Paryż?

–Nieźle.

–Oczywiście nie pytam o muzea. – Haake roześmiał się jak światowiec.

–Wiem, o czym pan myśli.

"Aryjski nadczłowiek chciałby sobie użyć, a nie wie, gdzie" -pomyślał Ravic. "Gdybym go mógł dostać w jakimś odludnym kącie, w nie uczęszczanej knajpie albo w podejrzanym burdelu" – rozważał. "Gdzieś, gdzie by mi nikt nie przeszkodził".

–Musi tu być wiele ciekawych rzeczy, co? – spytał Haake.

–Pan od niedawna w Paryżu?

–Przyjeżdżam co dwa tygodnie na dwa lub trzy dni. Coś w rodzaju kontroli. Dość ważne sprawy. Zrobiło się tu coś niecoś w ciągu ostatniego roku. Działa znakomicie. Nie mogę więcej mówić, ale – Haake roześmiał się – tu można kupić

każdego. Straszna korupcja. Wiemy zawsze wszystko, co chcemy wiedzieć. Nie trzeba się nawet starać o informacje, same lezą w ręce. Zdrada ojczyzny jako rodzaj patriotyzmu. Skutki systemu wielopartyjnego. Każda partia zdradza inną i ojczyznę w dodatku, aby na tym zyskać. A my na tym wygrywamy. Mamy tu wielu przyjaciół ideowych. W najwyższych kołach. – Podniósł kieliszek, stwierdził, że jest pusty, i odstawił go z powrotem. – Nawet się nie zbroją. Przypuszczają, że niczego od nich nie zażądamy, jeżeli nie będą uzbrojeni. Gdyby pan wiedział, jaką liczbą samolotów i czołgów rozporządzają, uśmiałby się pan. To kandydaci na samobójców.

Ravic słuchał w skupieniu, jednocześnie zaś wszystko wokół niego rozpływało się jak sen przed obudzeniem. StoJy, kelnerzy, słodkie, pieniące się życie, rzędy samochodów, księżyc nad domami, różnokolorowe reklamy świetlne na fasadach domów – i naprzeciw niego ten gadatliwy wielokrotny morderca, który mu zrujnował życie.

Przeszły dwie kobiety w angielskich kostiumach. Uśmiechnęły się do Ravica. Byty to Ivetta i Marta z “Ozyrysa". Miały wychodne.

–Szykowne, cholera! – powiedział Haake. “Albo w bocznej uliczce" – myślał dalej Ravic. “Wąska boczna uliczka. Gdybym go tam zwabił. Albo do Lasku Bulońskiego".

–To dwie damy, które żyją z miłości – powiedział. Haake patrzył za nimi.

–Bardzo przystojne. Pan tu się dobrze orientuje, co? – Zamówił następny koniak. – Czy można panu zaproponować?

–Dziękuję, wytrwam przy tym.

–Słyszę, że tu są fantastyczne burdele. Takie z występami i tak dalej. – Oczy mu się świeciły jak kilka lat temu w piwnicach gestapo.

“Nie wolno mi o tym myśleć" – mówił do siebie Ravic. “Przynajmniej nie teraz".

–Był pan w takim przybytku? – spytał.

–Odwiedziłem kilka. Dla obserwacji, rozumie się. Aby zobaczyć, jak nisko naród potrafi upaść. Ale pewno nie umiałem trafić do właściwych. Muszę uważać, bo ludzie mogliby to sobie źle tłumaczyć.

Ravic skinął głową.

315-Och, tego się pan nie potrzebuje obawiać. Znam takie miejsce, gdzie nie postała noga turysty.

–Naprawdę?

–Ależ oczywiście, i to niejedno.

Haake wypił drugi kieliszek koniaku i stał się o wiele szczerszy. Pozbył się oporów, które miał w Niemczech. Ravic czuł, że Haake go o nic nie podejrzewa.

–Właśnie miałem zamiar trochę pohulać dzisiejszego wieczoru – powiedział.

–Czyżby?

–Aha, czasem mi się to zdarza. Trzeba poznać wszystko, co się da.

–Słusznie! Bardzo słusznie!

Haake patrzył przed siebie. "Upić go" – myślał Ravic. "Jeśli nie będzie można inaczej, upić go, a potem gdzieś zaciągnąć".

Fizjonomia Haakego znów się ożywiła. Nie był wstawiony, tylko zatopił się w myślach.

–Jaka szkoda – powiedział wreszcie. – Chętnie wypuściłbym się z panem!

Ravic nie odpowiedział. Chciał uniknąć wszystkiego, co mogłoby Haakemu dać powód do podejrzeń.

–Dziś w nocy muszę wracać do Berlina – powiedział Haake, patrząc na zegarek. – Za półtorej godziny.

Ravic siedział spokojnie. "Muszę iść z nim" – myślał. "Na pewno nie mieszka prywatnie, tylko w hotelu. Pójdę do jego pokoju i tam z nim skończę".

–Czekam na dwóch znajomych – powiedział Haake. – Będą tu lada chwila. Jadą ze mną. Rzeczy mam już na dworcu. Prosto stąd pójdziemy na stację.

"Przegrałem" – pomyślał Ravic. "Czemuż nie mam przy sobie rewolweru! Czemuż, idiota, ostatnimi czasy uwierzyłem, że jestem ofiarą halucynacji? Mógłbym go zastrzelić na ulicy i starać się uciec przez wyjście metra".

–Szkoda – powiedział Haake. – Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Za dwa tygodnie wracam. Ravic odetchnął z ulgą.

–To świetnie – powiedział.

–Gdzie pan mieszka? Zadzwonię do pana.

–Hotel “Prince de Galles". Tu zaraz naprzeciwko.

Haake wyjął notes i zapisał adres. Ravic miał okazję przyjrzeć się eleganckiej oprawie z giętkiego safianu. Ołówek był złoty. “Ciekawe, co tam jest w środku" – myślał. “Pewno mnóstwo informacji, które pociągną za sobą nowe tortury i zgony". Haake schował notes.

–Z szykowną kobietką pan tu przedtem rozmawiał. Ravic ocknął się z zamyślenia.

–Ach, tak, rzeczywiście.

–Z filmu?

–Coś w tym guście.

–Przyjaciółka.

–Zgadł pan.

Haake rozmarzony zapatrzył się przed siebie.

–To właśnie najtrudniejsze, poznać się tu z kimś do rzeczy. Zawsze brak czasu i nie ma okazji.

–O, to się da zrobić – powiedział Ravic.

–Naprawdę? Pan by się zgodził?

–Na co?

Haake roześmiał się z zażenowaniem.

–No, żeby mnie zapoznać z tą damą, która tu była?

–Ależ najchętniej!

–Tam do diabła, to byłoby coś w sam raz. Czy to Francuzka?

–Chyba Włoszka. Z domieszką jeszcze kilku ras. Haake przymrużył oko.

–Nieźle. W kraju nie ma mowy o takim kąsku. Ale tu jestem do pewnego stopnia incognito.

–Czyżby?

Haake zawahał się, potem się roześmiał.

–Oczywiście nie dla wtajemniczonych, ale poza tym jak najściślejsze incognito. Ale, ale właśnie mi przyszło na myśl, czy ma pan jakiś kontakt z uchodźcami?

–Prawie żadnego – powiedział ostrożnie Ravic.

–Jaka szkoda! Chętnie byśmy skorzystali… pan rozumie, z informacji… nawet płacimy za to – tu podniósł rękę – nie mówię tego oczywiście w odniesieniu do pana, ale mimo to, nawet najdrobniejsza wiadomość…

Ravic widział, że Haake patrzy na niego badawczo.

–Możliwe – powiedział. – Trudno z góry przewidzieć, ale może się coś zdarzyć.

317Haake przysunął bliżej krzesło.

–To jedno z moich zadań, rozumie pan. Powiązanie kraju z emigracją. Czasami trudno znaleźć dojście. Mamy tu kilku pierwszorzędnych ludzi. – Podniósł znacząco brwi. – Między nami chodzi oczywiście o coś innego. Kwestia honoru. Ojczyzna, co?

–Oczywiście! Haake podniósł oczy.

–A oto moi przyjaciele. – Położył kilka banknotów na talerzyku, dodawszy poszczególne sumy. – Doskonały sposób, cennik na talerzyku. Można by to i u nas wprowadzić. – Wstał i wyciągnął rękę. – Do widzenia, panie von Horn. Bardzo mi było przyjemnie pana poznać. Za dwa tygodnie zadzwonię. – Uśmiechnął się. – Oczywiście proszę o dyskrecję!

–Rozumie się. Proszę nie zapomnieć.

–Nigdy niczego nie zapominam. Ani twarzy, ani umowy. Nie mógłbym nawet. To mój zawód.

Ravic stał przed nim. Miał wrażenie, że musi rozbić cement gołą pięścią. Potem poczuł rękę Haakego w swojej. Była mała i zadziwiająco miękka.

Jeszcze chwilę stał niezdecydowany, patrząc za Haakem. Potem usiadł, czując, że drży. Dopiero po chwili zapłacił i poszedł w kierunku, gdzie tamten zniknął. Potem przypomniał sobie, że widział, jak wraz z dwoma innymi wsiadał do taksówki. Nie ma sensu jechać za nim, Haake nie wróci już do hotelu. Gdyby go zobaczył raz jeszcze, powziąłby jakieś podejrzenie. Zawrócił do “Internationalu".

–Postąpiłeś rozsądnie – powiedział Morozow.

Siedzieli przed kawiarnią na Rond Point.

Ravic popatrzył na swoją prawą rękę. Zmywał ją spirytusem, aż skóra zrobiła się sucha jak pergamin. Sam wiedział, że to głupie, ale nie mógł nad sobą zapanować.

–Byłbyś idiotą, gdybyś cokolwiek zrobił – powiedział Morozow. – Całe szczęście, że nie miałeś broni.

–Naturalnie – odpowiedział Ravic bez przekonania. Morozow spojrzał na niego bacznie.

–Chyba nie jesteś takim durniem, żebyś chciał stanąć

przed sądem pod zarzutem zabójstwa albo usiłowania zabójstwa? Ravic nie odpowiedział.

–Ravic… – Morozow mocno postawił butelkę na stole. – Nie bądź fantastą!

–Bynajmniej. Ale czy nie rozumiesz, że to mnie doprowadza do szału? Mieć okazję i stracić ją? Dwie godziny wcześniej byłbym go gdzieś zaciągnął albo wymyślił coś takiego…

Morozow napełnił kieliszki.

–Wypij, to wódka. Dostaniesz go jeszcze.

–Albo nie.

–Dostaniesz go. Wróci. Tacy zawsze wracają. Dobrą przynętę zarzuciłeś. *Prosit!* Ravic wychylił kieliszek.

–Mogę jeszcze pójść na Gare du Nord, zobaczyć, czy istotnie jedzie.

–Oczywiście. Możesz także spróbować go tam zastrzelić. Najmniej dwadzieścia lat więzienia. Masz więcej takich pomysłów?

–Owszem. W każdym razie mógłbym się dowiedzieć, czy naprawdę jedzie.

–Żeby cię zobaczył. I żeby wszystko przepadło.

–Powinienem był go spytać, w którym hotelu się zatrzymuje.

–Żeby nabrał jakiegoś podejrzenia. – Morozow znów napełnił kieliszki. – Słuchaj, Ravic. Wiem, że teraz siedzisz i rozmyślasz nad tym, żeś wszystko zrobił nie tak. Skończ z tym! Jeśli chcesz, to stłucz coś dużego, a niedrogiego. Na przykład donicę z palmą w “Internationalu".

–To nie ma sensu.

–No to gadaj. Gadaj, ile wlezie, aż się zmęczysz. Wygadaj to z siebie. I uspokój się. Nie

jesteś Rosjaninem, bo od razu byś to zrozumiał.

Ravic wyprostował się.

–Borysie – powiedział – wiem, że szczury trzeba tępić, a nie dopuszczać do tego, żeby gryzły. Ale nie mogę o tym mówić. Za to będę myślał. Będę myślał, jak to zrobić. Przygotuję to jak operację. Zrobię, co się da. Przyzwyczaję się do tej myśli. Mam dwa tygodnie. To dobrze. To bardzo dobrze. Przyzwyczaję się do zachowywania spokoju. Masz rację. Można coś takiego wy-

319gadać z siebie, aby zdobyć spokój i rozwagę. Ale można też tylko myśleć i osiągnąć ten sam rezultat. Nienawiść. Przemyśleć na zimno, aż do dna. Będę go tak często zabijał w myśli, że kiedy wróci, będę działał z przyzwyczajenia. Spokojniej i pewniej działa się po raz tysiączny niż po raz pierwszy. A teraz mówmy, ale o czym innym. O tych białych różach, jeśli sobie życzysz. Spójrz na nie! W tę upalną noc wyglądają jak śnieg. Jak piana na niespokojnej kipieli nocy. Czy jesteś zadowolony?

–Nie – powiedział Morozow.

–Dobrze. W takim razie spójrz na to lato. Lato 1939 roku. Pachnie siarką. Róże wyglądają już jak śnieg na zbiorowej mogile na przyszłą zimę. Wesołe z nas towarzystwo, co? Niech żyje stulecie nieinterwencji! Petryfikacji uczuć moralnych! Wielu ludzi zostanie zabitych tej nocy. Każdej nocy! Wielu zabitych. Miasta się palą, Żydzi gdzieś lamentują, Czesi nędznie giną w lasach. Chińczycy smażą się w japońskiej gazoli-nie, w obozach koncentracyjnych pełza śmierć zadawana batem – czy mamy zachowywać się jak sentymentalne baby, kiedy chodzi o zgładzenie jednego mordercy? Znajdziemy go i zniszczymy, to wszystko; robiliśmy tak przecież często z niewinnymi ludźmi, którzy różnili się od nas tylko mundurem…

–Dobrze – powiedział Morozow – a raczej lepiej. Czy uczyłeś się kiedy posługiwać nożem? Nóż nie robi hałasu.

–Daj mi dziś spokój. Muszę jakoś usnąć, a diabli wiedzą, czy mi się to uda pomimo całego spokoju. Rozumiesz mnie?

–Tak.

–Dzisiejszej nocy będę mordował i mordował. Za dwa tygodnie muszę się stać automatem. Chodzi o to, jak przetrwać ten czas. Czas, zanim pierwszy raz zasnę. Picie nie pomoże. Zastrzyk też nie. Muszę być do dna wyczerpany. Na drugi dzień będzie lepiej. Rozumiesz?

Morozow milczał chwilę.

–Weź sobie kobietę – powiedział.

–I cóż to pomoże?

–Coś niecoś pomoże. Zawsze dobrze jest przespać się z kobietą. Zatelefonuj do Joanny, wróci.

Joanna, tak, była tam przecież. O czymś mówiła. Zapomniał o czym.

320

–Nie jestem Rosjaninem – powiedział. – Nie masz innych propozycji? Prostych. Tylko najprostszych.

–Dobry Boże, tylko bez komplikacji! Najlepszy sposób, żeby się odczepić od kobiety, to przespać się z nią przy okazji. Tylko nie dopuszczać do gry wyobraźni. Po co dramatyzować najzwyklejszy akt w naturze.

–Rzeczywiście – powiedział Ravic. – Po co?

–W takim razie pozwól mi zatelefonować. Coś dla ciebie znajdę. Nie darmo jestem portierem.

–Zostań. Już dobrze. Pijmy i patrzmy na róże. Tak biało wyglądają w świetle księżyca twarze zabitych po zakończonym ogniu karabinów maszynowych. Kiedyś widziałem to w Hiszpanii. “Niebo to wymysł faszystów" – powiedział wówczas metalowiec Pablo Nonas. Miał tylko jedną nogę. Był na mnie trochę rozgoryczony, ponieważ nie zakonserwowałem mu drugiej w spirytusie. Czuł się, jakby być w ćwierci żywcem pogrzebany. Nie wiedział, że psy ją porwały i zżarły…

25

Veber wszedł do sali opatrunkowej. Skinął na Ravica. *Wyszli* razem.

–Durant czeka przy telefonie. Prosi, żeby pan natychmiast przyjechał, wspomniał o niezwykłym przypadku, w specjalnych okolicznościach.

Ravic spojrzał na Vebera.

–To znaczy, że spaskudził operację i chce mnie w nią wrobić, co?

–Nie sądzę. Jest bardzo podniecony. Zdaje mi się, że nie wie, co robić. Ravic pokręcił głową. Veber milczał.

–Skąd on wie, że wróciłem? Veber wzruszył ramionami.

–Nie mam pojęcia. Może przez jaką pielęgniarkę?

–Czemu nie telefonuje do Binota? Binot jest bardzo zdolny.

–Już mu to mówiłem. Powiedział, że to bardzo skomplikowany przypadek właśnie z pańskiej dziedziny.

–Bzdura. W Paryżu jest mnóstwo doskonałych chirurgów w każdej specjalności. Czemu nie wezwie Martela? To jeden z najlepszych chirurgów na świecie.

–Nie domyśla się pan czemu?

–Owszem. Nie chce się zblamować w oczach swoich kolegów. Co innego nielegalnie pracujący lekarz-uchodźca. Taki musi milczeć.

Veber spojrzał mu w oczy.

–To pilne. Jedzie pan?

Ravic rozerwał tasiemki fartucha.

–Oczywiście – powiedział wściekły. – Co mam robić. Ale tylko, jeśli pan pojedzie ze mną.

–Zgoda. Weźmiemy mój wóz.

Zeszli. Wóz Vebera stał przed wyjściem, błyszcząc w słońcu. Wsiedli.

–Będę operował tylko przy panu – zastrzegł się Ravic. – Inaczej gotów mnie wpakować.

–Nie sądzę, żeby w tej chwili o tym myślał. Ruszyli z miejsca.

–Widziałem już różne rzeczy – powiedział Ravic. – Znałem w Berlinie młodego asystenta, który miał wszystkie dane, aby zostać dobrym chirurgiem. Jego profesor operował na wpół pijany, zrobił nieudane cięcie, nic nie powiedział; pozwolił tamtemu dokończyć operację. Asystent nic nie zauważył, a w pół minuty potem profesor zarzucił chłopakowi złe cięcie. Pacjent umarł podczas operacji, młody lekarz na drugi dzień. Samobójstwo. Profesor dalej operował i pił.

Zatrzymano ich na skrzyżowaniu Avenue Marceau. Długi rząd ciężarówek z furkotem przejeżdżał przez rue Galilee. Gorące promienie słońca wpadały przez okno. Veber nacisnął guzik, buda osunęła się z wolna. Spojrzał z dumą na Ravica.

–Ostatnio kazałem to zainstalować. Elektryczny automat. Wspaniałe, co? Czego to ludziska nie wymyślą!

Do otwartego wozu wpadał świeży powiew. Ravic skinął głową.

–Istotnie wspaniałe. Najnowszym wynalazkiem są magnetyczne miny i torpedy. Czytałem

gdzieś o tym wczoraj. Jeśli nie trafią, zawracają i szukają celu. Jesteśmy bajecznie konstruktywną rasą.

Veber zwrócił ku niemu swoje czerwone oblicze. Biła od niego dobroduszność.

–Pan ciągle ze swoją wojną! Jesteśmy od niej równie daleko jak od Księżyca. Cała gadanina o wojnie to presja polityków, nic innego, niech pan mi wierzy!

Skóra była błękitnawą masą perłową, twarz popiołem. Dokoła niej jarzył się w białym świetle lamp operacyjnych przepych złotych włosów. Płonęły dokoła tej spopielałej twarzy tak intensywnie, że zdawało się to niemal nieprzyzwoitością. Były jedyną rzeczą żywą, iskrzącą się, krzyczącą, jakby życie opuściło już to ciało i uwikłało się we włosach.

323 Leżąca tu młoda kobieta była rzadkiej piękności. Wysoka, szczupła, o twarzy, której uroku nie mogło odebrać głębokie omdlenie; była istotą stworzoną do luksusu i miłości.

Krwawiła bardzo mało. Za mało.

–Otworzył pan macicę? – spytał Ravic Duranta.

–Tak.

–No i?

Durant nie odpowiedział. Ravic podniósł głowę. Durant patrzył na niego.

–Dobrze – powiedział Ravic. – Siostry nie będą potrzebne. Jesteśmy tu trzej lekarze, to wystarczy.

Durant poruszył się i skinął głową. Pielęgniarki wyszły wraz z asystentem.

–No i? – powtórzył Ravic.

–Sam pan widzi – odrzekł Durant.

–Nie widzę.

Widział wprawdzie, ale chciał, żeby Durant sam to powiedział wobec Vebera. Tak było bezpieczniej.

–Trzeci miesiąc ciąży. Krwawienie. Trzeba było usunąć płód. Łyżeczkowanie. Widocznie nastąpiło uszkodzenie wewnętrznej ścianki.

–I co? – pytał dalej Ravic.

Patrzał Durantowi prosto w twarz, pełną bezsilnej nienawiści. “Znienawidzi mnie na zawsze"

– pomyślał. “Choćby dlatego, że Veber słucha".

–Perforacja – powiedział Durant.

–Łyżką?

–Naturalnie – potwierdził po chwili Durant. – A czymże by? Krwawienie ustało całkowicie. Ravic w milczeniu badał dalej. Potem wyprostował się.

–Przebił pan ściankę macicy i nie zauważył pan tego. Przepchnął pan przez otwór część jelita, nie rozpoznał pan, co się stało, uznając je prawdopodobnie za łożysko, zahaczył i skaleczył. Czy tak?

Czoło Duranta pokryło się nagle potem. Pod maską broda poruszała się gwałtownie, jakby przeżuwał za wielki kęs.

–Możliwe.

–Jak długo trwa już operacja?

–Trzy kwadranse do pana przybycia.

324

–Krwotok wewnętrzny. Uszkodzenie cienkiego jelita. Niebezpieczeństwo zakażenia. Jelito musi być zszyte, macica usunięta. Natychmiast.

–Co? – spytał Durant.

–Sam pan wie – powiedział Ravic. Oczy Duranta biegały.

–Wiem, oczywiście. Nie po to wzywałem pana.

–To wszystko, co mogę powiedzieć. Niech pan wezwie z powrotem swój personel i operuje dalej. Radziłbym panu pospieszyć się.

Durant przeżuwał dalej.

–Jestem zbyt podniecony. Czy może pan za mnie dokończyć operację?

–Nie. Jak pan wie, przebywam we Francji nielegalnie i nie mam prawa operować.

–Pan… – ***zaczął*** **Durant i zamilkł.**

“Felczerzy, studenci z nie ukończonymi studiami, masażyści, asystenci, wszystko to podaje się za lekarzy z Niemiec". Ravic nie zapomniał, co Durant tłumaczył Levalowi.

–Monsieur Leval wyjaśnił mi te sprawy – powiedział. – Przed wysiedleniem mnie. Dostrzegł, że Veber podniósł głowę. Durant milczał.

–Doktor Veber może za pana dokończyć operację – powiedział Ravic.

–Przecież tyle razy pan za mnie operował. Jeśli cena…

–Cena nie gra roli. Nie operuję od mego powrotu. A szczególnie nie operuję pacjentów, którzy nie wyrazili zgody na tego rodzaju operację.

Durant wpatrywał się w niego.

–Przecież nie można obudzić teraz pacjentki i spytać jej, czy wyraża zgodę.

–Owszem, można. Ale ryzykuje się zakażenie. Durant był cały mokry. Veber spojrzał na Ravica. Ravic skinął głową.

–Czy pańskim siostrom można zaufać? – spytał Veber.

–Tak…

–Nie potrzebujemy asystenta – powiedział Veber do Ravi-ca. – Jest nas trzech lekarzy i dwie siostry.

–Ravic… – Durant znów umilkł.

325 – Powinien pan był wezwać Binota – oświadczył Ravic -albo Mallona, albo Martela. Wszystko to pierwszorzędni chirurdzy.

Durant nie odpowiedział.

–Czy *zgadza* się pan złożyć tu wobec Vebera oświadczenie, że pan przebił macicę, naruszając jelito, które pan wziął za łożysko?

–Tak – powiedział po chwili Durant ochrypłym głosem.

–Czy oświadcza pan również, że prosił pan Vebera, aby przy mojej pomocy, jako przypadkowo obecnego asystenta, dokonał usunięcia macicy i resekcji jelita?

–Tak.

–Czy bierze pan na siebie pełną odpowiedzialność za operację i jej rezultat oraz za fakt, że pacjentka nie była o niej powiadomiona i nie wyraziła swojej zgody?

–Tak, oczywiście – zakrakał Durant.

–W porządku. Niech pan wezwie siostry. Asystenta nie potrzebujemy. Niech pan im wytłumaczy, że pozwolił pan Yebe-rowi i mnie asystować przy szczególnie skomplikowanym przypadku. Jakaś dawna obietnica albo coś w tym rodzaju. Może pan przejmie narkozę. Czy siostry muszą na nowo sterylizować wszystko?

–Nie. Można na nich polegać. Niczego nie dotykały.

–Tym lepiej.

Brzuch był otwarty. Powoli, z największą ostrożnością Ra-vic wyciągał jelito z otworu macicy, owijając kawałek po kawałku wyjałowioną gazą, aby uniknąć zakażenia, póki nie dojdzie do skaleczonego miejsca. Potem odkrył całkowicie macicę.

–Ciąża pozamaciczna – mruknął do Vebera. – Niech pan patrzy, połowa w macicy, połowa w jajowodzie. Nawet nie można go za to bardzo winić. Dość rzadki wypadek. Mimo to…

–Co? – spytał Durant zza parawaniku w głowach stołu. – Co pan powiedział?

–Nic.

Ravic ucisnął jelito i dokonał resekcji, potem szybko przystąpił do zszycia otwartych końców.

326

Czuł intensywność pracy. Zapomniał o Durancie. Podwiązał jajowód i tętnicę, odciął koniec jajowodu. Potem *zaczął* wycinać macicę. "Dlaczego o wiele więcej nie krwawi?" – pytał sam siebie. "Czemu coś takiego nie krwawi silniej niż serce? Kiedy usuwa się cud życia i zdolność przekazywania go dalej?"

Piękny człowiek, który tu leżał, był martwy. Mógł żyć dalej, ale był martwy. Martwa gałąź na drzewie pokoleń. Kwitnąca, ale pozbawiona tajemnicy owocowania. Z lasów, które skamieniały na węgiel, wielkie małpoludy wywalczyły sobie drogę poprzez tysiące pokoleń. Egipt budował świątynie, Hellada rozkwitła, a krew krążyła wciąż wyżej i wyżej, aż stworzyła tego człowieka, który jest teraz bezpłodny jak wykruszony kłos i nie może oddać swojej krwi dalej, synowi lub córce. Ciężka ręka Duranta zerwała łańcuch ogniw. Ale czyż setki pokoleń nie pracowały i na niego także, czy Hellada i renesans nie kwitły po to, żeby wyprodukować jego omszałą bródkę?

–Rzygać się chce – powiedział Ravic.

–Z powodu? – spytał Veber.

–Tak w ogóle.

Ravic wyprostował się.

–Koniec. – Patrzył na uroczą twarz otoczoną płomiennymi włosami, ukrytą pod maską. Potem spojrzał na wiadro, gdzie leżał krwawy miąższ, który sprawił, że twarz ta była tak piękna. I znów spojrzał na Duranta. – Koniec – powtórzył.

Durant przerwał narkozę. Nie patrzył na Ravica. Czekał, aż pielęgniarki wysuną wózek. Potem wyszedł za nimi bez słowa.

–Jutro zażąda o pięć tysięcy franków więcej za operację i oświadczy, że ocalił jej życie – powiedział Ravic do Vebera.

–Nie wygląda mi na to w tej chwili.

–Dzień jest długi. A skrucha krótka. Szczególnie, kiedy można ją zmienić w interes.

Ravic poszedł się umyć. Przez szybę koło białej umywalni zobaczył przeciwległe okno, na którym kwitły czerwone pelargonie. Szary kot siedział pod kwiatami.

O pierwszej w nocy zadzwonił z "Szeherezady" do kliniki Duranta. Nocna pielęgniarka powiedziała mu, że pacjentka śpi. Dwie godziny temu zaczęła się niepokoić. Veber był i dał

327 jej lekki środek uspokajający. Zdaje się, że wszystko w porządku. ,

Wyszedł z kabiny telefonicznej. Uderzył go mocny zapach perfum. Kobieta z utlenionymi na żółto włosami, wyzywająco i dumnie szeleszcząc suknią, przepłynęła koło niego i weszła do damskiej toalety. Tamta miała włosy naturalne. Rudawe, promieniście złote! Zapalił papierosa i wszedł z powrotem na salę. Odwieczny chór rosyjski śpiewał odwieczne *Oczy czorny-je.* Śpiewał je od lat dwudziestu na całym świecie. "Tragedii trwającej dwadzieścia lat grozi śmieszność" – pomyślał Ravic. "Tragedie muszą trwać krótko".

–Przepraszam – powiedział do Kate Hegstroem. – Musiałem zadzwonić.

–Wszystko w porządku?

–Dotychczas tak.

"Po co się pyta?" – pomyślał ze złością. "U niej na pewno nie wszystko jest w porządku".

–Czy pani chce się tego napić? – spytał, wskazując karafkę wódki.

–Nie!

–Nie?

Kate Hegstroem potrząsnęła głową.

–To lato – powiedział Ravic. – Latem nie powinno się siedzieć w nocnych lokalach. Latem

siedzi się na tarasach. W pobliżu suchotniczego drzewka, choćby otoczonego żelazną barierką.

Podniósł głowę i napotkał wzrok Joanny. Weszła widocznie, podczas kiedy telefonował. Przedtem jej nie było. Siedziała w przeciwległym rogu.

–Może pani woli iść gdzie indziej? – spytał Kate.

–Ja nie – powiedziała, potrząsając głową. – A może pan? Pod jakieś suchotnicze drzewko?

–Tam zwykle wódka bywa również suchotnicza. Tutaj jest dobra.

Chór przestał śpiewać, muzyka zmieniła się. Orkiestra zagrała bluesa. Joanna wstała i przeszła na parkiet. Ravic nie widział dobrze ani jej, ani partnera. Chwilami tylko, kiedy reflektor zalewał parkiet bladoniebieskim światłem, wynurzała się z ciemności, żeby za chwilę zapaść w nią z powrotem.

–Miał pan dzisiaj jakąś operację? – spytała Kate Hegstroem.

–Owszem…

–Co się czuje, siedząc potem wieczorem w nocnym lokalu? Jak gdyby się wróciło do miasta z pola bitwy? Czy z choroby do zdrowia?

–Nie zawsze. Czasami człowiek po prostu czuje się pusty.

Oczy Joanny stawały się w świetle przezroczyste. Spoglądała na niego. “To nie serce boli – myślał Ravic – ale żołądek. Jak po ciosie w splot słoneczny. Napisano o tym tysiące poematów. I cios ten nie pochodzi od ciebie, ty lekko spocony, piękny, tańczący kawałku mięsa; pada z ciemnych komór mojego mózgu, ma zaledwie przypadkowy, luźny kontakt z tobą, jest silniejszy, kiedy pojawiasz się w paśmie światła na sali".

–Czy to nie ta kobieta, która tu śpiewała kiedyś? – spytała Kate Hegstroem.

–Tak, to ona.

–Już tu nie śpiewa?

–Zdaje się, że nie.

–Jest piękna.

–Czyżby?

–Tak. Nawet więcej niż piękna. To twarz, w której jest niczym nie przesłonięte życie.

–Możliwe.

Kate Hegstroem przyglądała się Ravicowi spod zmrużonych powiek. Uśmiechała się. Był to uśmiech, który mógł się lada chwila rozpłynąć we łzach.

–Napijmy się jeszcze wódki i chodźmy – powiedziała.

Wstając, znów poczuł na sobie spojrzenie Joanny. Wziął Kate pod ramię. Nie było to niezbędne, ale uważał, że nie zaszkodzi, jeśli Joanna to zobaczy.

–Czy chce mi pan zrobić przyjemność? – spytała Kate Hegstroem, kiedy znaleźli się w jej pokoju w hotelu "Lancastei^.

–Oczywiście, Kate – odpowiedział Ravic. – Jeżeli to tylko możliwe.

–Czy nie poszedłby pan ze mną na bal do Montfortów?

–Co to za bal? Nigdy o nim nie słyszałem.

Siadła w fotelu. Był dla niej za obszerny. Wydawała się w nim krucha jak figurka z chińskiej porcelany, a skóra nad jej oczami była bardziej napięta niż zwykle.

329 – Bal u Montfortów to największe wydarzenie paryskiego lata – powiedziała. – Odbędzie się w następny piątek w domu i w ogrodzie Ludwika Montforta. Nic to panu nie mówi?

–Istotnie.

–Będzie mi pan towarzyszył?

–A mogę?

–Dostanę dla pana zaproszenie. Ravic popatrzył na nią.

–Po co, Kate?

–Mam ochotę iść. Nie mam ochoty iść sama.

–Nie ma pani innego towarzysza?

–Owszem, ale nie chcę iść z nikim z tych ludzi, z którymi dotąd chodziłam. Nie zniosłabym ich teraz. Rozumie pan?

–Tak.

–To ostatnia i najwspanialsza letnia zabawa w Paryżu -powiedziała. – Bywałam na niej zawsze od czterech lat. Czy zrobi mi pan tę uprzejmość?

Ravic wiedział, dlaczego chce iść właśnie z nim. Będzie się czuła bezpieczniej. Nie mógł odmówić.

–Doskonale, Kate – powiedział. – Nie potrzebuje pani prosić o przysłanie mi specjalnego zaproszenia. Przyjdę z panią, to chyba wystarczy.

Skinęła głową.

–Oczywiście. Dziękuję panu. Zadzwonię jutro do Zofii Montfort. Ravic wstał.

–Wobec tego przyjdę po panią w piątek. Co pani włoży?

Podniosła ku niemu oczy. Światło lśniło na jej gładko zaczesanych włosach. “Głowa jaszczurki" – pomyślał Ravic. “Ma smukłą, suchą, nieskazitelną elegancję bezcielesnej doskonałości, której nigdy nie może osiągnąć człowiek zdrowy".

–Nie powiedziałam panu – rzekła z wahaniem – że to bal kostiumowy. Festyn ogrodowy na dworze Ludwika XIV.

–Wielki Boże! – Ravic usiadł z powrotem. Kate Hegstroem roześmiała się. Był to swobodny śmiech dziecka.

–Tam stoi dobry, stary koniak – powiedziała. – Potrzebny panu?

Potrząsnął głową.

–Czego to ludzie nie wymyślą!

–Co roku jest coś takiego.

–To znaczy, że będę musiał…

–Już ja o wszystkim pomyślę – przerwała mu szybko. – Nie potrzebuje się pan o nic troszczyć. Znajdę dla pana kostium. Coś prostego. Nie będzie pan nawet potrzebował mierzyć. Proszę mi tylko podać swój rozmiar.

–Zdaje mi się, że jednak muszę napić się koniaku. Kate Hegstroem podsunęła mu butelkę.

–Niechże mi pan teraz nie odmawia.

Wypił. “Jeszcze dwanaście dni" – pomyślał. “Dwanaście dni do powrotu Haakego. Dwanaście dni, które trzeba jakoś przebyć". Dwanaście dni – tyle miał przed sobą życia i nie mógł wybiec myślą poza ten czas. Dwanaście dni – za nim ziała przepaść. Wszystko jedno, jak je spędzi. Bal kostiumowy! Co było groteską w ciągu tych dwóch tygodni?

–Dobrze, Kate.

Zajrzał jeszcze do kliniki Duranta. Złotowłosa kobieta spała. Grube krople potu wystąpiły na jej czoło. Twarz nabrała barwy, usta były lekko rozchylone.

–Gorączka?

–Trzydzieści siedem i osiem dziesiątych.

–Dobrze.

Nachylił się niżej nad wilgotną twarzą. Poczuł oddech kobiety. Nie było już w nim eteru. Był to oddech świeży jak macierzanka. Macierzanka. Przypomniał sobie jakąś górską łąkę w Schwarzwaldzie; czołgał się po niej bez tchu, w upale, skądś z dołu dochodziły okrzyki jego prześladowców – i ten oszałamiający zapach macierzanki. Dziwne, można zapomnieć wszystko, ale nie zapach. Jeszcze za dwadzieścia lat woń macierzanki będzie dobywała z pokrytych pyłem zakamarków pamięci wspomnienie ucieczki w Schwarzwaldzie, tak jakby to było wczoraj. Nie za dwadzieścia lat, za dwanaście dni.

Szedł rozpalonymi ulicami do hotelu. Było około trzeciej. Wszedł po schodach. Pod drzwiami leżała biała koperta. Podniósł ją. Było na niej jego nazwisko, ale nie miała znaczka ani stempla. "Joanna" – pomyślał i otworzył. Wypadł czek. Od Du-

331 r?

ranta. Obojętnie spojrzał na sumę, potem odczytał ją po raz drugi. Nie wierzył własnym oczom. Nie było to sakramentalne dwieście franków, ale dwa tysiące. "Musiał się porządnie przestraszyć" – pomyślał. Dwa tysiące franków, przysłane dobrowolnie przez Duranta, to ósmy cud świata.

Włożył czek do pugilaresu i przeniósł górę książek na stół koło łóżka. Kupił je dwa dni temu, żeby mieć coś do czytania, kiedy nie będzie mógł spać. Dziwna rzecz, książki stawały się dla niego coraz bardziej ważne. Nie mogły wszystkiego zastąpić, ale sięgały w sferę, do której nic innego sięgnąć nie mogło. W pierwszych latach w Paryżu nie dotykał książek, były zbyt blade w porównaniu z tym, co przeżył. Teraz stały się wałem; jeżeli nie chroniły, to w każdym razie można się było na nich wesprzeć. Nie pomagały wiele, ale były ochroną przed ostateczną rozpaczą, wtedy gdy cały świat cofał się w ciemność. To dosyć. Kiedyś powstały myśli, którymi obecnie gardzono i z których się wyśmiewano. Były jednak kiedyś i zostaną, to wystarcza.

Nim zaczął czytać, zadzwonił telefon. Ravic nie podniósł słuchawki, dzwonek długo terkotał. Kiedy umilkł, Ravic podniósł słuchawkę i zapytał portiera, kto dzwonił.

–Nie powiedziała nazwiska – usłyszał odpowiedź. Ravic słyszał, że portier je.

–Kobieta?

–Tak.

–Miała jakiś obcy akcent?

–Nie zauważyłem.

Jadł dalej. Ravic zadzwonił do kliniki Vebera, ale nikt stamtąd o niego nie pytał. Nie telefonowano też od Duranta. Połączył się z hotelem "Lancaster". Telefonistka powiedziała, że nikogo z nim nie łączyła. Musiała to wiec być Joanna. Dzwoniła pewno z "Szeherezady".

Po godzinie telefon odezwał się znowu. Ravic odłożył książkę, wstał i podszedł do okna. Wsparł łokcie o parapet i czekał. Lekki wiatr przyniósł zapach lilii. Uchodźca Wiesenhoffhodował je teraz, kiedy przekwitły goździki. W ciepłe noce hotel pachniał jak kaplica cmentarna albo jak ogród klasztorny. Ra-vic nie mógł się zorientować, czy Wiesenhoff sadzi lilie dla uczczenia pamięci starego Goldberga, czy też po prostu dlate-

go, że lilie dobrze się hodują w drewnianych skrzynkach. Telefon milczał. "Dziś będę może spał" – pomyślał Ravic i wrócił do łóżka.

Joanna przyszła, gdy spał. Zapaliła górne światło i stanęła na progu. Otworzył oczy.

–Czy jesteś sam? – spytała.

–Nie. Zgaś światło i idź.

Wahała się chwilę, potem podeszła do łazienki i otworzyła drzwi.

–Kłamstwo – powiedziała z uśmiechem.

–Idź do diabła. Jestem zmęczony.

–Zmęczony? A czym?

–Po prostu zmęczony. Do widzenia. Podeszła bliżej.

–Dopiero co wróciłeś. Dzwoniłam co dziesięć minut.

Popatrzyła na niego. Nie powiedział jej, że kłamie. Przebrała się. "Przespała się z tym facetem, odesłała go, a teraz przyszła, żeby mnie zaskoczyć i dowieść Kate Hegstroem, którą tu spodziewała się zastać, że jestem ostatni dziwkarz, którego kobiety odwiedzają nocą i którego lepiej unikać". Uśmiechnął się mimo woli. Dobrze przemyślana akcja niestety zawsze wywoływała w nim podziw, choćby była skierowana przeciw niemu.

–Czemu się śmiejesz? – spytała ostro Joanna.

–Śmieję się. To wszystko. Zgaś światło. Wyglądasz w nim okropnie. Wynoś się. Nie zwróciła

uwagi na to, co mówił.

–Z jaką to kurwą byłeś dziś wieczorem? Ravic uniósł się na łóżku.

–Wynoś się, bo rzucę w ciebie czymś ciężkim.

–Ach tak… – Przyglądała mu się. – Więc już do tego doszło… Ravic sięgnął po papierosa.

–Nie ośmieszaj się. Żyjesz z kim innym, a tu robisz scenę zazdrości. Wracaj do swojego aktora i daj mi święty spokój.

–Kiedy to zupełnie co innego.

–Oczywiście!

–Oczywiście, że co innego! – wybuchła. – Sam wiesz, że to co innego. To coś, za co nie odpowiadam. Nie daje mi to szczęścia. Sama nie wiem, jak to się stało…

332

333 – Nigdy się nie wie, jak to się stało… Patrzyła mu prosto w oczy.

–Ty… ty byłeś zawsze taki pewny siebie. Byłeś taki pewny, że można było zwariować! Nic nie mogło sprawić, żebyś utracił swoją pewność siebie. Nienawidziłam twojej wyższości! Jak często jej nienawidziłam! Potrzebuję entuzjazmu. Potrzebuję kogoś, kto by za mną szalał. Potrzebuję kogoś, kto żyć beze mnie nie może. Ty mogłeś żyć beze mnie, zawsze mogłeś. Nie potrzebowałeś mnie. Jesteś zimny! Jesteś pusty! Nic nie wiesz o miłości. Nigdy właściwie nie byłeś ze mną całkowicie. Skłamałam, mówiąc, że to się stało dlatego, że wyjechałeś na dwa miesiące! Byłoby to samo, gdybyś tu był. Nie śmiej się! Widzę różnicę, wiem wszystko, wiem, że tamten nie jest inteligentny, nie jest taki jak ty, ale oddaje mi się cały, nic poza mną nie jest dla niego ważne, myśli tylko o mnie, tylko mnie pragnie, tylko o mnie wie i tego właśnie potrzebuję!

Stała przed nim, ciężko dysząc. Ravic sięgnął po butelkę calvadosu.

–To po coś przyszła? – spytał.

Nie od razu odpowiedziała. Potem rzekła cicho:

–Wiesz, po co. Dlaczego pytasz? Nalał kieliszek i podał jej.

–Nie chcę pić – oświadczyła. – Co to była za kobieta?

–Pacjentka. – Ravic nie miał ochoty kłamać. – Ciężko chora kobieta.

–To nieprawda. Znajdź coś lepszego. Chore kobiety są w szpitalu, nie w nocnych lokalach.

Ravic odstawił kieliszek. Prawda wydaje się często niewiarygodna.

–A jednak to prawda – powiedział.

–Kochasz ją?

–Co cię to obchodzi?

–Kochasz ją?

–Co cię to obchodzi, Joanno?

–Obchodzi mnie. Póki nikogo nie kochasz… – zająknęła się.

–Nazwałaś ją kurwą. Jak tu może być mowa o miłości?

–Powiedziałam to tylko tak sobie. Od razu widać, że tak nie jest. Dlatego tak powiedziałam. Nie przyszłabym z powodu kurwy. Kochasz ją?

–Zgaś światło i idź! Podeszła bliżej.

–Wiedziałam. Wiedziałam to.

–Idź do diabła! – powiedział Ravic. – Jestem zmęczony. Idź do diabła ze swoją tanią szaradą, o której myślisz, że nikt jej przed tobą nie wynalazł: jeden mężczyzna dla szału, gwałtownej miłości albo kariery, a drugi, któremu mówi się, że go się kocha inaczej i głębiej, póki osioł nie uwierzy w to i nie stanie się bezpieczną przystanią między dwoma szałami. Idź do diabła, masz za dużo gatunków miłości, jak na mój gust.

–To nieprawda. To nie jest tak, jak mówisz. Jest inaczej. To nieprawda. Chcę wrócić do ciebie. Wrócę. Ravic napełnił swój kieliszek.

–Możliwe, że chcesz tego. Ale to tylko złudzenie. Złudzenie, które sama sobie, niestety, wmawiasz, żebyś jakoś przebrnąć. Nigdy nie wrócisz.

–Wrócę.

–Nie, a jeżeli nawet, to na krótko. Potem znów zjawi się ktoś, kto będzie chciał tylko ciebie, i wszystko zacznie się od nowa. Piękna przyszłość dla mnie.

–Nie, nie! Zostanę przy tobie. Ravic roześmiał się.

–Joanno – powiedział niemal z czułością – nie zostaniesz przy mnie. Nie można zamknąć wiatru. Ani wody. A jeśli ktoś to zrobi, zepsuje wszystko. Wiatr staje się w zamknięciu

zaduchem. Nie jesteś stworzona do pozostawania gdziekolwiek.

–Ani ty.

–Ja?

Ravic opróżnił kieliszek. Tamta, złotowłosa, z dzisiejszego ranka, Kate Hegstroem ze śmiercią w brzuchu i skórą jak naciągnięty jedwab, a teraz ta, bezwzględna, przepełniona żądzą życia, obca jeszcze samej sobie, a przecież znająca siebie lepiej niż jakikolwiek mężczyzna mógłby ją znać, naiwna i przebiegła, w pewnym osobliwym sensie wierna, a przecież niewierna jak jej matka Natura, pędząca i pędzona, pragnąca się zatrzymać i wciąż odchodząca.

–Ja? – powtórzył Ravic. – A cóż ty o mnie wiesz? Co wiesz o miłości wchodzącej w życie człowieka, dla którego wszystko inne stało się wątpliwe? Czym jest twój tani szał w porówna-

335 niu z tym? Kiedy ciągłemu spadaniu w dół położony zostaje kres, a bezustanne "dlaczego" zmienia się w ostateczne "Ty", kiedy uczucie wznosi się nad pustynią milczenia jak fatamorgana, kiedy przybiera kształt, a kuglarstwo krwi staje się krajobrazem, przy którym bledną wszystkie marzenia? Krajobrazy ze srebra, miasta z filigranu i różowego marmuru, błyszczącego jak jasne odbicie wrzącej krwi. Cóż ty wiesz o tym? Czy myślisz, że tak o tym łatwo mówić? Że obrotny język potrafi odbić to na kliszy słów, a nawet uczuć? Co wiesz o grobach, które się otwierają, żeby nas przerażać bladymi wczorajszymi nocami, otwierają się i nie widać w nich szkieletów, tylko ziemię, kiełkujące ziarno i pierwszą zieleń? Co ty wiesz o tym? Ty kochasz szał, obezwładnienie, obce "Ty", które chce w tobie umrzeć i nigdy nie umrze, kochasz burzliwe oszustwo krwi, ale serce twoje pozostanie puste, gdyż można zatrzymać w nim to tylko, co samo wyrasta. A niewiele wyrasta w czasie burzy. Wyrasta w puste samotne noce, jeśli człowiek nie poddaje się rozpaczy. Cóż ty wiesz o tym wszystkim?

Mówił powoli, nie patrząc w stronę Joanny, jak gdyby o niej zapomniał. Teraz spojrzał na nią.

–Co też ja opowiadam? Stare, niemądre historie. Za dużo dziś piłem. Chodź, napij się czegoś i idź. Przysiadła na łóżku, biorąc kieliszek.

–Zrozumiałam – powiedziała.

Twarz jej się zmieniła. "Jak lustro" – pomyślał. "Odbija zawsze to, co się wobec niej mówi". Teraz była piękna i poważna.

–Zrozumiałam – powtórzyła Joanna – a chwilami i czułam. Ale, Ravic, często zapominałeś o mnie dla miłości życia i miłości. Byłam tylko bodźcem – potem udawałeś się do swoich srebrnych miast, nie myśląc o mnie.

Patrzył na nią dłuższą chwilę.

–Możliwe – powiedział.

–Byłeś tak sobą zajęty, tyle nowego ciągle w sobie odkrywałeś, że ja zostawałam jakby na marginesie twego życia.

–Możliwe. Ale nie jesteś opoką, na której można by budować, Joanno. Sama wiesz o tym najlepiej.

–A chciałeś budować?

–Nie – odpowiedział po chwili namysłu. Potem się uśmiechnął. – Gdy się jest uchodźcą ze wszystkich trwałych wartości,

wpada się czasem w dziwaczne sytuacje. I dziwacznie się często postępuje. Naturalnie, że nie chciałem. Ale kto ma tylko jedną jedyną owieczkę, chce z nią czasem tak wiele zrobić! I nagle noc napełniła się spokojem. Stała się znowu taka, jak przed wiekami, kiedy Joanna leżała przy nim. Miasto oddaliło się, już tylko łagodnie szumiało gdzieś na horyzoncie, rozluźnił się łańcuch godzin, a czas płynął tak cicho, jakby stanął w miejscu. Stała się rzecz najpospolitsza i najbardziej niepojęta na świecie: dwoje ludzi rozmawiało z sobą, każde mówiło oddzielnie, a dźwięki zwane słowami kształtowały te same obrazy i uczucia w drgającej masie pod skorupą czaszki. Z bezsensownych wibracji strun głosowych i niewytłumaczalnych reakcji w szarych zwojach mózgowych wyrastało niebo, w którym odbijały się chmury, strumienie, czas dawno miniony, wzrost i upadek, i trudem zdobyte doświadczenie.

–Ravic, ty mnie kochasz – stwierdziła Joanna na wpół pytająco.

–Tak, ale zrobię wszystko, aby się od ciebie uwolnić. Powiedział to tak spokojnie, jakby to ich mało obchodziło. Joanna przeszła nad tym do porządku.

–Nie mogę sobie wyobrazić, żebym miała już zawsze żyć bez ciebie. Na krótko, może. Ale nie na zawsze. Nie na zawsze – powtórzyła i dreszcz przebiegł jej po skórze. – “Nigdy" to okropne słowo. Nie mogę sobie wyobrazić, żebyśmy mieli nigdy już nie żyć z sobą.

Nie odpowiedział.

–Pozwól mi zostać – prosiła – nigdy już nie odejdę. Nigdy.

–Odejdziesz jutro. Wiesz o tym.

–Kiedy tu jestem, nie mogę sobie wyobrazić, że miałabym nie zostać.

–O to właśnie chodzi. Wiesz o tym.

Próżnia wytworzona w czasie. Ta sama mała, jasno oświetlona kabina pokoju, ten sam człowiek, którego się kocha, a którego w jakiś dziwny sposób już nie ma, można go dotknąć, jeśli nie wyciągnie ramiona, a jednocześnie nie można go już dosięgnąć.

Ravic odstawił kieliszek.

–Sama wiesz, że znów mnie opuścisz, jutro, pojutrze, kiedyś…

337 Joanna pochyliła głowę.

-Tak.

***–I* nawet, jeślibyś wróciła, to wiesz, że zawsze znowu odejdziesz?**

–Tak. – Podniosła oczy; były zalane łzami. – Co to jest, Ravic? Co to może być?

–I ja tego nie wiem – uśmiechnął się przelotnie. – Miłość nie zawsze jest radosna, co?

–Nie. – Spojrzała na niego. – Dlaczego tak się z nami dzieje? Powiedz.

Wzruszył ramionami.

–I ja tego nie wiem, Joanno. Może dlatego, że już nie mamy się czego trzymać. Przedtem miało się wiele rzeczy: bezpieczeństwo, podstawy, wiarę, cel, wszystkie te przyjazne podpory, na których można się było wesprzeć, kiedy nami wstrząsała miłość. Teraz nie mamy nic, najwyżej trochę rozpaczy, trochę odwagi, a wkoło nas i w nas obcość. Miłość pada na nią jak pochodnia na słomę. Nie ma się nic prócz miłości, więc i ona jest inna, dziksza, ważniejsza, niszczy wszystko dokoła. – Napełnił kieliszek. – Nie trzeba za dużo o tym myśleć. W ogóle w naszej sytuacji nie trzeba za dużo myśleć. To wykańcza. A my nie chcemy się dać wykończyć, co?

Joanna potrząsnęła głową.

–Nie. Co to była za kobieta?

–Pacjentka. Już raz z nią tam byłem. Wtedy, kiedy jeszcze śpiewałaś. Sto lat temu. Czy teraz coś robisz?

–Grywam małe rólki. Nie sądzę, żebym się mogła wybić, ale zarabiam dość, żeby być niezależna. Chcę w każdej chwili móc odejść. Nie mam wielkich ambicji.

Jej oczy obeschły. Dopiła calvadosu i wstała. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

–Dlaczego w nas jest to wszystko, Ravic? Dlaczego? Musi być jakiś powód, inaczej nie pytalibyśmy. Uśmiechnął się smutno.

–Najstarsze pytanie ludzkości, Joanno. Dlaczego? Pytanie, o które dotychczas rozbija się cała logika, filozofia, wiedza.

Odchodziła. Odchodziła. Już była przy drzwiach. Coś się w Ravicu rozwinęło jak sprężyna. Odchodzi. Odchodzi. Wyprostował się. I nagle stało się to niemożliwe, wszystko stało

się niemożliwe. "Jeszcze tylko ta jedna noc, ta jedna, tylko raz jeszcze widzieć jej śpiącą twarz na swoim ramieniu, jutro będzie można walczyć, ale raz jeszcze czuć obok siebie ten słodki oddech, znaleźć się w sidłach złudy, słodkiego oszustwa. Nie odchodź, nie odchodź, umieramy w bólu i żyjemy w bólu, nie odchodź, nie odchodź, co mam prócz tego? Po co mi moja odwaga? Dokąd płyniemy? Ty jedna istniejesz naprawdę, śnie najsłodszy, asfodelowa łąko zapomnienia. Tylko raz jeszcze, jedna iskra wieczności. Dla kogo tak się oszczędzam, dla jakiej to bezsensownej rzeczy, dla jakiej ciemnej niepewności? Zgubiony, pogrzebany, mam w życiu jeszcze tylko dwanaście dni, dwanaście dni i nic poza nimi, dwanaście dni i tę jedną noc. Jedwabista skóra, dlaczego przyszłaś do mnie właśnie tej nocy, odartej z gwiazd, zachmurzonej dawnymi snami, czemu przełamałaś się przez moje forty i barykady tej nocy, kiedy nie żyje nikt prócz nas? Czy nie podnosi mnie fala? Czy nie rzuca nami…"

–Joanno – powiedział.

Odwróciła się. Twarz jej rozpromieniła się blaskiem. Gubiąc po drodze rzeczy, rzuciła się ku niemu dziko i bez tchu.

26

Auto zatrzymało się na rogu rue Yaugirard.

–Co się stało? – spytał Ravic.

–Pochód demonstracyjny. – Szofer się nie odwrócił. – Tym razem komuniści.

Ravic popatrzył na Kate Hegstroem. Drobna i szczupła, siedziała w swoim kostiumie damy dworu Ludwika XIV. Była silnie upudrowana, mimo to twarz jej wyglądała blado. Kości policzkowe i skronie odcinały się wyraźnie.

–To dobre – powiedział. – Lipiec 1939 roku, pięć minut temu demonstracja faszystów z Croix de Feu, teraz demonstracja komunistów, a wśród tego my w kostiumach z wielkiego XVII wieku. Niezłe, Kate.

–Nie szkodzi – roześmiała się.

Ravic patrzył na czubki swoich lakierowanych pantofli. Ironia sytuacji. Nie warto wspominać jeszcze, że w dodatku każdy policjant mógł go aresztować.

–Można jechać inną drogą? – spytał szofer Kate Hegstroem.

–Teraz pan nie zawróci – powiedział Ravic – za dużo wozów czeka za nami.

Demonstranci szli powoli poprzeczną ulicą. Nieśli sztandary i transparenty. Nikt nie śpiewał. Wielu policjantów eskortowało pochód. Na rogu rue Yaugirard stała inna grupa policji. Mieli rowery. Jeden patrolował ulicę. Zajrzał do wozu Kate i odwrócił się, nie zdradzając zdziwienia.

Kate Hegstroem podchwyciła spojrzenie Ravica.

–Nie dziwi się – powiedziała – wie. Policja wie wszystko. Bal Montfortów to największe wydarzenie sezonu. Dom i ogród będą otoczone policją.

–To mnie niesłychanie uspokaja.

Kate uśmiechnęła się. Nie miała pojęcia o sytuacji, w jakiej Ravic się znajdował.

–Nieprędko znowu zbierze się w Paryżu tyle klejnotów naraz. Prawdziwe kostiumy z prawdziwymi klejnotami. Policja nie bierze na siebie ryzyka. Na pewno i wśród gości będą detektywi.

–W kostiumach?

–Pewno. Dlaczego pan pyta?

–Dobrze wiedzieć. Właśnie miałem zamiar ukraść rotszyl-dowskie szmaragdy. Kate Hegstroem opuściła szybę.

–Nudzi to pana, wiem, ale tym razem nic panu nie pomoże.

–Wcale mnie nie nudzi. Przeciwnie. Nie wiedziałbym, co zrobić z czasem. Czy aby będzie dosyć do picia?

–Myślę, że tak, ale mogę jeszcze coś szepnąć starszemu lokajowi. Znam go.

Słychać było tupot demonstrantów. Nie maszerowali, szli nieporządnie, wlekli się jak zmęczona trzoda.

–W którym wieku chciałby pan żyć, gdyby można było wybierać?

–W tym. Inaczej już bym nie żył, a jakiś idiota miałby na sobie mój kostium.

–Nie o tym myślę. W jakim wieku chciałby pan żyć jeszcze raz. Ravic spojrzał na aksamitne rękawy swego kostiumu.

–W naszym. Najbardziej wszawym, splamionym krwią, zepsutym, bezbarwnym, tchórzliwym, brudnym, ale mimo to w naszym.

–A ja nie. – Kate Hegstroem stuliła ramiona, jakby jej było zimno, brokat obejmował delikatnie jej szczupłe przeguby. – W tamtym, w siedemnastym. Albo jeszcze wcześniej. Byle nie w naszym. Zdaję sobie z tego sprawę dopiero od paru miesięcy. Przedtem nie myślałam o takich rzeczach. – Opuściła jeszcze niżej okno. – Jak gorąco! I jak parno! Czy ten pochód prędko przejdzie?

–Właśnie się kończy.

Z rue Cambronne padł strzał. W sekundę potem policjanci na rogu ulicy siedzieli na rowerach. Jakaś kobieta krzyknęła głośno. Tłum odpowiedział głuchym pomrukiem. Ludzie za-

341 rf»»:**

częli uciekać. Policjanci nacisnęli pedały i wjechali w tłum, wznosząc gumowe pałki.

–Co to było? – spytała przerażona Kate.

–Nic. Jakaś opona nawaliła. Szofer odwrócił się. Był blady.

–To…

–Jedźmy – przerwał mu Ravic. – Teraz się pan przedostanie. Jezdnia była jak wymieciona.

–Jazda! – powiedział Ravic.

Z rue Cambronne dochodziły krzyki. Padł drugi strzał. Szofer ruszył.

Stali na tarasie od strony ogrodu. Wokoło pełno było ukostiu-mowanych par. W głębokim cieniu drzew kwitły róże. Ochronione umbrelkami świece rzucały ciepłe, migotliwe światło. W pawilonie niewielka orkiestra grała menueta. Całość wyglądała jak ożywiony obraz Watteau.

–Podoba się panu? – spytała Kate.

–Tak.

–Naprawdę?

–Tak, Kate. Przynajmniej z daleka.

–Przejdźmy się trochę po ogrodzie.

Nierealny obraz roztaczał się pod starymi drzewami. Niepewne światło wielu świec kładło się na srebrne i złote brokaty, na drogocenne lazurowe, różowe i seledynowe aksamity,

wydobywało z mroku pudrowane peruki i nagie, upudrowane ramiona, wokół których drżała łagodna melodia skrzypiec. Alejami snuły się grupy i pary, połyskiwały rękojeści szpad, cicho szemrała fontanna, a strzyżone szpalery bukszpanowe tworzyły ciemne, stylowe tło.

Ravic zauważył, że i służba jest w kostiumach, tym bardziej zatem detektywi. “Nie byłoby tak źle – pomyślał – dać się zaaresztować jakiemuś Molierowi czy Racine'owi. Albo dla odmiany któremuś z pałacowych karłów".

Podniósł głowę. Ciężka, ciepła kropla deszczu spadła mu na rękę. Pociemniało czerwone niebo.

–Będzie deszcz, Kate.

–Ach, to niemożliwe. Ogród…

–Już pada, uciekajmy!

Ujął ją pod ramię i pociągnął na taras. Ledwie się tam schronili, kiedy rozpętała się ulewa. Woda spływała strumieniem, pogasły świece w kolorowych umbrelkach, po chwili dekoracje stołów zwisły jak brudne łachmany. Wybuchła panika. Markizy, księżne i damy dworu runęły na taras, wysoko unosząc brokatowe spódnice; hrabiowie, ekscelencje i feldmarszałkowie na próżno starali się osłonić peruki i popychali się wzajemnie jak gromada barwnych kur. Woda lała się za kołnierze i dekolty, zmywając puder i róż, a blade światło błyskawic raz wraz zalewało ogród niematerialną bielą, za którą biegły w trop donośne grzmoty.

Kate Hegstroem stała bez ruchu pod dachem tarasu, przytuliwszy się do Ravica.

–Nigdy nie zdarzyło się coś podobnego – powiedziała wzburzona. – Zawsze tu bywam. Żadnego roku nie było tego.

–Jedyna okazja, jeśli chodzi o szmaragdy.

–Rzeczywiście, mój Boże…

Służący w gumowych płaszczach przebiegali ogród z parasolami. Spod płaszczy grosteskowo wystawały nogi w lakierowanych pantoflach. Przeprowadzali pod parasolami na taras ostatnie zabłąkane, przemoczone damy dworu, szukali zgubionych narzutek i drobiazgów. Któryś z lokajów przyniósł złote pantofelki. Były delikatne, niósł je ostrożnie na swojej szerokiej dłoni. Deszcz spływał na puste stoły. Dudnił na sztywno naciągniętej markizie, jakby niebo bębniło kryształowymi pałeczkami nieznaną pobudkę.

–Chodźmy do środka – powiedziała Kate Hegstroem.

Pokoje były o wiele za szczupłe w stosunku do liczby zaproszonych. Nikt się widocznie nie liczył ze złą pogodą. Między ścianami pokutowało jeszcze parne powietrze dnia. Ciasnota

wzmagała gorąco. Krynoliny obwisły smętnie. Jedwabne treny darły się pod stopami. Trudno się było poruszać.

Ravic stanął w drzwiach z Kate Hegstroem. Koło niego ciężko dyszała markiza de Montespan ze zwisającymi strąkami włosów. Wokół jej szyi z rozszerzonymi porami wił się naszyjnik z diamentów o kształcie gruszek. Wyglądała teraz jak

342

343 przemoczona handlarka warzywami na ulicznym karnawale. Obok niej kaszlał bezbrody łysoń. Ravic poznał go, był to Blan-cher z Ministerstwa Spraw Zagranicznych w kostiumie Colberta. Przed nim stały dwie piękne, szczupłe kobiety o charcich profilach, obok nich żydowski baron z kapeluszem usianym klejnotami. Tłusty i hałaśliwy, pieścił wzrokiem ich nagie ramiona. Kilka południowych Amerykanek, przebranych za paziów, przyglądało mu się uważnie i z nie ukrywanym zdumieniem. Wśród nich stała hrabina Bellin jako La Yalliere, z twarzą upadłego anioła i wspaniałymi rubinami. Ravic przypomniał sobie, że przed dwoma laty usunął jej jajniki na podstawie diagnozy Duranta. W ogóle była tu Durantowska klientela. O parę kroków dalej poznał młodą, bardzo bogatą baronową Remplart. Wyszła za pewnego Anglika. Miała usuniętą macicę. Operował ją Ravic na podstawie błędnej diagnozy Duranta. Pięćdziesiąt tysięcy franków. Dowiedział się o tym od sekretarki Duranta. Ravic otrzymał za operację dwieście franków. Kobieta zaś straciła dziesięć lat życia i nie mogła już mieć dzieci.

Zapach deszczu, dusząca wilgoć pomieszana z wonią perfum, skóry i mokrych włosów. Twarze, zmyte deszczem, były bardziej obnażone pod perukami niż kiedykolwiek, gdy właścicielki ich nie miały na sobie kostiumów. Ravic rozglądał się dokoła. Widział wiele prawdziwej urody, dowcipu i sceptycznej ironii, ale jego oczy, przywykłe do wykrywania najdrobniejszych bodaj śladów choroby, nie dały się zwieść najdoskonalszemu wyglądowi zewnętrznemu. Wiedział on, że pewna klasa społeczna pozostawała ta sama na przestrzeni wielkich i małych stuleci, ale wiedział też, czym jest gorączka i degeneracja, i znał jej symptomy. Równanie w dół, tolerowanie słabości, sport bez oznak siły, brak dyskrecji, dowcip dla dowcipu, zmęczona krew, wyżywająca się w ironii, drobnych przygodach, małych zawiściach, łatwym fatalizmie i bezcelowości. “Ci nie zbawią świata" – pomyślał. “Ale kto?"

Spojrzał na Kate Hegstroem.

–Nie dostanie pan nic do picia – powiedziała. – Lokaje nie przedostaną się przez tę ciżbę.

–Nie szkodzi.

Z wolna wypchnięto ich do drugiego pokoju. Wzdłuż ściany stały stoliki z szampanem, pospiesznie wniesione i nakryte.

344

Paliło się kilka świeczników, ale ich światło nie mogło rywalizować z blaskiem byłskawic, które znienacka pogrążały twarze w przelotną, widmową śmierć. Potem znów rozlegał się grzmot, zagłuszał, panował i groził, aż powracało łagodne światło świec i duszne gorąco. Ravic wskazał stoliki z szampanem.

–Czy można pani coś przynieść?

–Nie, tu za wielki upał. – Popatrzyła na niego. – No, i taka była moja zabawa!

–Może deszcz ustanie.

–Nie. A jeśli nawet, to i tak wszystko popsute. Wie pan, na co mam chęć? Pójść stąd.

–I ja też. Tu wygląda jak przed Wielką Rewolucją. Lada chwila wtargną sankiuloci.

Ale nie tak łatwo było dostać się do wyjścia. Kostium Kate Hegstroem wyglądał, jakby w nim spała kilka godzin. Deszcz padał ciężko i prawie prostopadle. Przeciwległe domy wyglądały jak kwiaciarnia za wielką szybą, zalaną wodą. Podjechał samochód.

–Dokąd pani chce jechać? Do hotelu?

–Nie jeszcze. Ale nie możemy nigdzie iść w tych kostiumach. Przejedźmy się trochę.

–Doskonale.

Samochód prześlizgiwał się z wolna wśród paryskiej nocy. Deszcz dudnił po dachu, zagłuszając wszystkie inne odgłosy. Łuk Triumfahiy wychynął nagle ze srebrnej topieli i zaraz znowu zniknął. Przesunęły się cicho Pola Elizejskie ze swymi oświetlonymi oknami, Rond Point pachniał kwiatami i świeżością jak barwna fala wśród dymu. Plac Zgody majaczył jak ocean ze swymi trytonami i potworami morskimi. Rue de Ri-voli przypłynęła ze swoimi jasnymi arkadami, przelotny blask Wenecji, potem zbliżył się szary, odwieczny Luwr z bezkresnym podwórcem, migocąc wszystkimi oknami. Przemknęły mosty i nabrzeża, nierzeczywiste, zawieszone nad wolno płynącą wodą. Barki, holowniki przypominające swoim ciepłym światłem setki zacisznych domów. Sekwana, bulwary, autobusy, zgiełk, ludzie, sklepy. Żelazne kraty Ogrodu Luksem-

345 burskiego, za nimi park jak poezja Rilkego. Zapomniany, milczący cmentarz Montparnasse. Stare, wąskie, stłoczone uliczki, domy, otwierające się nagle ciche place, drzewa, chylące się fasady, kościoły, pomniki, które nadgryzł ząb czasu. Uliczne latarnie świecące wskroś deszczu, pisuary jak małe fortece sterczące z ziemi, hoteliki, w których wynajmowano pokoje na godziny, a między tym uliczki z zamierzchłych czasów, uśmiechające się czystym rokokiem i barokiem frontonów, mroczne bramy jak z powieści Prousta…

Kate Hegstroem siedziała, milcząc, w kącie samochodu. Ra-vic palił. Widział błysk papierosa, ale nie czuł smaku dymu. Wydawało mu się, że w ciemnościach wozu pali nierealnego papierosa,

i z wolna wszystko stawało się nierealne: ta jazda, bezszelestnie mknąca w deszczu limuzyna, prześlizgujące się ulice, milcząca ukostiumowana kobieta, po której przemykały refleksy światła, z rękami już naznaczonymi przez śmierć, leżącymi bez ruchu na brokacie, jakby się już nie miały poruszyć. Tak, była to widmowa podróż przez widmowy Paryż, przesiąkająca nie pomyślanymi myślami i nie wypowiedzianym pożegnaniem bez powodu.

Ravic myślał o Haakem. Próbował zastanowić się, co ma zrobić. Nie mógł, myśli rozpierzchały się w deszczu. Pomyślał o złotowłosej kobiecie, którą operował. O deszczowym wieczorze w Rothenburgu nad Tauberem z kobietą, której sobie nie mógł przypomnieć; o hotelu “Eisenhut" i o dźwiękach skrzypiec dochodzących z nieznanego okna. Przypomniał sobie Rom-berga, który padł w 1917 roku na polu maków we Flandrii podczas burzy. Upiorny huk grzmotów mieszał się z ogniem karabinów maszynowych, jakby Bóg zmęczył się ludźmi i zaczął ostrzeliwać ziemię. Myślał o marnej harmonii, która jęczała z niewypowiedzianą tęsknotą pod palcami majtka z batalionu morskiego w Houthoulst. Przemknął w jego pamięci Rzym podczas deszczu, mokra droga pod Rouen, nie kończące się listopadowe deszcze, łomoczące w dachy baraków obozu koncentracyjnego; zabici chłopi hiszpańscy, w których ustach zbierała się woda; wilgotna, jasna twarz Klary, droga na uniwersytet w Heidelbergu, ciężki zapach bzów – magiczna latarnia przeszłości, nie kończąca się procesja obrazów, przesuwających się jak te ulice, trucizna i pociecha…

346

Zgasił papierosa i wyprostował się. Dosyć. Kto za wiele ogląda się wstecz, łatwo może rozbić się o coś lub runąć w dół.

Wóz piął się teraz stromymi uliczkami na Montmartre. Deszcz ustał. Srebrne, ciężkie chmury szybko mknęły niebem jak ciężarne matki, spieszące, by urodzić księżyc. Kate Hegstroem kazała stanąć. Wysiedli i przeszli parę ulic pod górę, za zakręt.

I nagle ujrzeli Paryż leżący u ich stóp. Rozległy, skrzący się, wilgotny Paryż. Z ulicami, placami, nocą, chmurami i księżycem, Paryż. Wieniec bulwarów, blady poblask pochyłości, wieże, dachy, ciemność rzucona w morze świateł. Paryż. Wiatr od horyzontów, połyskliwe doliny, mosty z cieni i jasności, smugi deszczu oddalające się ponad Sekwaną, niezliczone światła pojazdów, Paryż. Wyrwany nocy, gigantyczny ul brzęczący życiem, wzniesiony na milionach ścieków kanalizacyjnych, kwitnący ponad zaduchem podziemi, rak i Mona Lisa, Paryż.

–Chwileczkę, Kate – powiedział Ravic. – Przyniosę coś.

Wszedł do najbliższego baru. Uderzył w niego ciepły zapach świeżej kaszanki i kiszki pasztetowej. Nikt nie spojrzał na jego kostium. Poprosił o butelkę koniaku i dwa kieliszki. Gospodarz otworzył butelkę i lekko zatkał korkiem.

Kate Hegstroem stała w tym samym miejscu, w którym ją opuścił. Jej szczupła postać w

kostiumie wyglądała na tle szarego nieba, jakby Kate naprawdę zabłąkała się tu z innego stulecia, nie zaś była Amerykanką szwedzkiego pochodzenia z Bostonu.

–Proszę, Kate. To najlepsze lekarstwo na wilgoć, deszcz i zgiełk zbyt wielkiej ciszy. Pijmy za to miasto u naszych stóp!

–Chętnie. – Wzięła kieliszek. – Jak to dobrze, żeśmy tu przyjechali, Ravic. Lepiej tu niż na wszystkich balach świata.

Opróżniła kieliszek. Światło księżyca padało na jej ramiona, suknię i twarz.

–Koniak – powiedziała. – I nawet niezły!

–Tak. Jak długo pani to zauważa, jest wszystko w porządku.

–Jeszcze jeden kieliszek. Potem wrócimy do hotelu, przebierzemy się i pojedziemy do "Szeherezady", gdzie utonę w orgii sentymentalizmu, żalu nad sobą, pożegnam się z całym tym wspaniałym, powierzchownym blaskiem świata, a od jutra zacznę czytać filozofów, pisać testament i zachowywać się, jak przystoi osobie w moim położeniu.

347 * * *

Na klatce schodowej zatrzymała Ravica właścicielka.

–Czy ma pan chwilę?

–Oczywiście.

Zaprowadziła go na drugie piętro i otworzyła drzwi zapasowym kluczem. Ravic zobaczył, że pokój jest jeszcze zajęty.

–Co to znaczy? – spytał. – Po co to włamanie?

–Tu mieszka Rosenfeld i chce się wynieść.

–Nie chcę zmieniać mego pokoju!

–Wynosi się, ale nie płacił od trzech miesięcy.

–Zostawił tu rzeczy. Może je pani zatrzymać. Właścicielka z pogardą pchnęła otwartą nędzną walizkę, która stała koło łóżka.

–Przecież tu nic nie ma. To wszystko bez wartości. Wulkanizowana fibra. Parę wystrzępionych koszul. Garnitur, sam pan widzi jaki. Ma w ogóle dwa. Wszystko razem niewarte stu franków.

Ravic wzruszył ramionami.

–Czy powiedział, że się wynosi?

–Nie, ale to zaraz widać. Powiedziałam mu to dziś prosto w oczy. Przyznał się. Zażądałam, żeby do jutra zapłacił. Nie mogę sobie pozwolić na trzymanie bez końca lokatorów, którzy nie płacą.

–Dobrze, ale co mnie do tego?

–Obrazy. One też do niego należą. Mówił, że są wartościowe. Utrzymuje, że warte są o wiele więcej niż zaległe komorne. Niech pan je obejrzy.

Ravic nie zwrócił dotąd uwagi na ściany. Teraz podniósł oczy. Przed nim nad łóżkiem wisiał pejzaż z Arles pędzla van Gogha z najlepszego okresu. Podszedł o krok bliżej. Nie ulegało wątpliwości, był to oryginał.

–Ohyda, co? – spytała gospodyni. – I to mają być drzewa, te pokurczone pały. A niech no pan spojrzy na to!

“To" wisiało nad umywalką i było obrazem Gauguina. Naga dziewczyna z mórz południowych na tle tropikalnego krajobrazu.

–Te nogi! – powiedziała gospodyni. – Kostki jak u słonia. A ten głupi pysk! Jak ona stoi! A tu ma jeszcze jeden, nawet nie wykończony.

“Nawet nie wykończony" był portretem pani Cezanne malowanym przez Cezanne'a.

–Te wykrzywione usta! A na policzku brak farby. I coś takiego chce mi wkręcić! Pan widział moje obrazy? To są obrazy! Malowane z natury, prawdziwe, porządne. Na przykład pejzaż śnieżny z jeleniami w *salle d manger.* Ale te bohomazy chyba sam namalował. Co?

–No, mniej więcej.

–To właśnie chciałam wiedzieć. Pan jest człowiekiem wykształconym i zna się na tym. Nawet ram nie mają.

Istotnie, wszystkie trzy obrazy powieszone były bez ram. Lśniły na tle brudnej tapety jak okna otwarte na inny świat.

–Gdyby choć miały dobre złocone ramy, to można by je było zdjąć. Ale tak! Czuję, że wpakuje mi te rupiecie. Znów wpadłam. Oto, co się ma ze swojej dobroci.

–Nie sądzę, żeby pani musiała zatrzymać obrazy – powiedział Ravic.

–A co mam zrobić?

–Rosenfeld zapłaci pani.

–Co? – Rzuciła na niego szybkie spojrzenie. Twarz jej się zmieniła. – Więc to coś warte? Czasami właśnie takie rzeczy mają wartość! – Widać było, jak myśli przebiegają szybko za tym żółtym czołem. – Mogłabym od razu zatrzymać któryś, choćby jako należność za ostatni miesiąc. Tylko który, jak pan myśli? Ten duży znad łóżka?

–Niech pani nie bierze żadnego, tylko poczeka na powrót Rosenfelda. Jestem pewien, że przyjdzie z pieniędzmi.

–Ja nie jestem tego wcale taka pewna. Jestem właścicielką hotelu.

–To po cóż pani tak długo czekała? Zwykle pani tak nie postępuje.

–Obiecanki, cacanki! Ile on naopowiadał! Pan wie, jak to tutaj bywa.

Nagle stanął na progu Rosenfeld. Milczący, niski, spokojny. Zanim właścicielka mogła wykrztusić słowo, wyjął z kieszeni pieniądze.

–Oto pieniądze, a tu mój rachunek. Może pani łaskawie pokwituje.

349 Spojrzała zdumiona na banknoty. Potem na obrazy, potem znów na banknoty. Chciała coś powiedzieć, ale język stanął jej kołkiem.

–*Zaraz* panu wydani resztę – wymamrotała wreszcie.

–Tak. Prosiłbym zaraz.

–Dobrze, ale nie mam przy sobie pieniędzy. Kasa jest na dole. Zaraz zmienię. Wyszła z miną obrażoną. Rosenfeld spojrzał na Ravica.

–Bardzo pana przepraszam – powiedział Ravic. – Stara zaciągnęła mnie tutaj. Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi. Chciała się dowiedzieć, ile są warte pana obrazy.

–Powiedział jej pan?

–Nie.

–To dobrze. – Rosenfeld spojrzał na Ravica z dziwnym uśmiechem.

–Jak pan je może tu trzymać? – spytał Ravic. – Czy są ubezpieczone?

–Nie, ale któż kradnie obrazy? Najwyżej raz na dwadzieścia lat z jakiegoś muzeum.

–Ale dom się może spalić. Rosenfeld wzruszył ramionami.

–Trudno, ryzykuję. Nie stać mnie na ubezpieczenie. Ravic patrzył na van Gogha. Był wart co najmniej milion franków. Rosenfeld spojrzał w tym kierunku.

–Zgaduję pana myśli. Kto to posiada, powinien mieć na ubezpieczenie. Ale ja nie mam. Żyję z moich obrazów, sprzedaję powoli i nie lubię się ich pozbywać.

Pod Cezanne'em stała maszynka spirytusowa. Obok niej puszka kawy, trochę chleba, garnuszek z masłem i kilka papierowych torebek. Pokój był mały i biedny. Ale z jego ścian lśniła wspaniałość tego świata.

–Rozumiem pana – powiedział Ravic.

–Sądziłem, że wybrnę – mówił dalej Rosenfeld. – Mogłem wszystko zapłacić. Bilet kolejowy, przejazd okrętem, wszystko. Zabrakło mi tylko na komorne za te trzy miesiące. Prawie nic nie jadłem, ale tego nie wygospodarowałem. Starania o wizę za długo się wlokły. Musiałem dziś wieczór sprzedać jednego Moneta. Pejzaż z Yetheuil. Myślałem, że zabiorę go z sobą.

–A gdzie indziej nie musiałby pan go sprzedać?

–Owszem, ale za dolary. Dwa razy drożej.

–Pan jedzie do Ameryki? Rosenfeld przytaknął.

–Czas już stąd się wynosić. – Ravic popatrzył na niego. – Ścierwnik odlatuje – powiedział Rosenfeld.

–Co za Ścierwnik?

–No, Markus Meyer. Nazywamy go Ścierwnikiem. Czuje nosem, Medy czas uciekać.

–Meyer? Czy to ten łysy, nieduży, który od czasu do czasu gra w katakumbach na fortepianie?

–Ten sam. Od praskich czasów nazywamy go Ścierwnikiem.

–Dobra nazwa!

–Czuje pismo nosem. Niemcy opuścił na dwa miesiące przed dojściem Hitlera do władzy. Wiedeń trzy miesiące przed anszlusem, Pragę sześć tygodni przed wkroczeniem Niemców. Trzymałem się go. Zawsze. On ma węch. Dzięki temu udało mi się ocalić obrazy. Z Niemiec nie wolno już było wywozić pieniędzy. Zamrożone wierzytelności. Miałem ulokowane półtora miliona. Próbowałem je upłynnić, kiedy nastali naziści, i było już za późno. Meyer był

mądrzejszy. Przeszmuglował część za granicę. Mnie nie starczyło nerwów. A teraz jedzie do Ameryki. Ja też. Szkoda mi tego Moneta.

–Może pan wziąć z sobą resztę tego, co pan dostał za obraz. Tutaj nie ma zamrożonych wierzytelności.

–Owszem, ale gdybym go tam sprzedał, mógłbym żyć za niego dłużej. A tak niedługo będę się musiał pozbyć Gauguina. Rosenfeld manipulował przy maszynce spirytusowej.

–Te trzy obrazy to już ostatnie. Muszę z nich żyć. Nie liczę na pracę. Byłby cud, gdybym mógł coś dostać. Tylko trzy. O jeden mniej to mniej o kawałek życia.

Stał wynędzniały przed otwartą walizką.

–Pięć lat w Wiedniu; nie było jeszcze drogo, mogłem wydawać niewiele, ale poszły dwa Renoiry i pastel Degasa. W Pradze przejadłem i przemieszkałem jednego Sisleya i pięć szkiców. Nikt nie chciał nic dać za rysunki – dwa Degasa, jeden na kredzie Renoira i dwie sepie Delacroix. Widzi pan – powiedział ze smutkiem – zostały mi już tylko te trzy, a wczoraj było ich cztery. Ta przeklęta wiza kosztuje mnie najmniej dwa lata życia, jeżeli nie trzy.

–Jest mnóstwo ludzi, którzy nie mają obrazów, żeby z nich żyć. Rosenfeld wzruszył chudymi ramionami.

–To żadna pociecha.

–Rzeczywiście – potwierdził Ravic.

–Muszą mi wystarczyć na całą wojnę. A ta wojna będzie trwała długo. Ravic nie odpowiedział.

–Tak mówi Scierwnik – dodał Rosenfeld. – I nawet nie ręczy, czy w Ameryce będzie bezpiecznie.

–Dokądże wtedy pojedzie? – spytał Ravic. – Niewiele zostaje do wyboru.

–Nie jest jeszcze zdecydowany. Myśli o Haiti. Sądzi, że murzyńska republika nie przystąpi do wojny. Rosenfeld mówił zupełnie poważnie.

–Albo o Hondurasie, małej republice południowoamerykańskiej. San Salwador. Może i Nowa Zelandia.

–Nowa Zelandia? To bardzo daleko, co?

–Daleko? – uśmiechnął się smutnie Rosenfeld. – Od czego?

Morze. Morze huczącej ciemności odbijało mu się o uszy. Potem rozbrzmiał ostry dzwonek na korytarzach, okręt skazany na zagładę, dzwon – i noc, znajome blade okno wpłynęło na fale snu, dzwonek dźwięczy, to telefon. Ravic podniósł słuchawkę.

–Halo.

–Ravic.

–Co się stało? Kto to?

–Ja, czy mnie nie poznajesz?

–Owszem, teraz poznaję. O co chodzi?

–Musisz przyjechać. Prędko, zaraz!

–Co się stało?

–Ravic, przyjedź! Stało się coś.

–Co?

–Coś się stało. Boję się! Przyjedź zaraz! Pomóż! Ravic, przyjedź!

W telefonie stuknęło. Czekał chwilę. Słychać było sygnał. Joanna odwiesiła słuchawkę. Odłożył swoją i zapatrzył się w blednącą noc. Ciężki sen tkwił wciąż jeszcze pod czaszką. Najpierw myślał, że to Haake, dopóki nie rozpoznał okna i nie zrozumiał, że jest w “Internationalu", a nie w hotelu “Prince de Galles". Popatrzył na zegarek. Nafosforyzowane wskazówki stały na czwartej dwadzieścia. Nagle wyskoczył z łóżka. Tego wieczoru, kiedy spotkał Haakego, Joanna coś mówiła o niebezpieczeństwie, o lęku. A jeżeli… Ostatecznie wszystko było możliwe! Widywał już głupsze historie. Z pośpiechem zapakował instrumenty i ubrał się.

Na najbliższym rogu złapał taksówkę. Szofer miał przy sobie małego gryfona, którego założył sobie na szyję jak kołnierz.

353 rt

Pies chwiał się przy wstrząsach wozu, czym doprowadzał Ra-vica do szału. Chętnie zrzuciłby go na siedzenie, ale znał paryskich szoferów.

Wóz jechał ciepłą lipcową nocą. Pachniały nieśmiało oddychające liście. Kwiaty, gdzieś kwitły lipy, cienie, zasypane gwiazdami jaśminowe niebo, samolot z czerwonymi i zielonymi światłami, jak niebezpieczny żuk wśród świętojańskich robaczków. Bezbarwna ulica, brzęcząca pustka,

dwaj pijacy śpiewają, z piwnicy dochodzą dźwięki harmonii i nagle serce podchodzi do gardła, i strach, prędzej, prędzej, może już za późno…

Jej dom, ciepła ciemność. *Zjeżdża* winda. Pełznie jak powolny, świecący owad. Ravic był już na pierwszym piętrze, ale opamiętał się i wrócił. Winda idzie szybciej, choć tak powoli pełznie.

Te paryskie windy, jak zabawki dla dzieci! Małe więzienie, skrzypiące, kaszlące, otwarte w górze i z boków, nic prócz podłogi z kilkoma żelaznymi listwami, ponuro błyska jedyna żarówka, druga przepalona. Nareszcie ostatnie piętro. Odsunął kraty, zadzwonił.

Otworzyła mu Joanna. Zdumiał się. Żadnych śladów krwi, twarz jak zwykle, w ogóle nic.

–Co się stało? – spytał. – Gdzie jest…

–Ravic! Jesteś!

–A gdzie jest… Co zrobiłaś?

Odsunęła się. Postąpił kilka kroków i rozejrzał się po pokoju. Nie było nikogo.

–Gdzie, w sypialni?

–Co? – spytała.

–Czy ktoś jest w sypialni? Czy ktoś tu jest z tobą?

–Nie. Dlaczego? Popatrzył na nią.

–Któż by miał być, kiedy czekam na ciebie?

Przyglądał jej się. Stała przed nim zdrowa, uśmiechnięta.

–Skąd ci to przyszło do głowy? – Uśmiech jej jakby się pogłębił. – Ravic!

Poczuł się, jakby grad bił mu w twarz: więc myślała, że jest zazdrosny, rozkoszowała się tym. Torba z instrumentami nagle wydała mu się nie do zniesienia ciężka. Położył ją na krześle.

–Co ci jest?

–Ty przeklęta oszustko – powiedział. – A ja, osioł, dałem się nabrać.

Wziął torbę i skierował się ku drzwiom. W okamgnieniu znalazła się koło niego.

–Co chcesz zrobić? Nie odchodź! Nie zostawisz mnie przecież samej. Bóg wie, co się może

stać!

–Kłamco, podły kłamco! – powiedział. – I nie o to chodzi, że kłamiesz, ale że wymyśliłaś takie tanie kłamstwo. Rzygać się chce. Takich rzeczy nie robi się dla zabawy.

Odsunęła go od drzwi.

–Ależ rozejrzyj się! Jednak coś się tu działo! Sam widzisz! Popatrz, co wyprawiał. Boję się, że wróci. Nie wiesz, do czego on jest zdolny.

Krzesło leżało na podłodze. Lampa. Trochę rozbitego szkła.

–Włóż pantofle, bo pokaleczysz sobie stopy – powiedział Ravic. – Tylko tyle mogę ci poradzić.

Między skorupami leżała fotografia. Odsunął szkło nogą i podniósł ją.

–Masz! – Rzucił zdjęcie na stół. – I daj mi święty spokój! Stała przed nim. Patrzyła na niego. Twarz jej się zmieniła.

–Ravic – powiedziała cichym, zduszonym głosem. – Nie dbam o to, jak mnie nazywasz. Często kłamałam i będę kłamała. Każdy z was tego pragnie. – Pchnęła fotografię, która upadła tak, że Ravic mógł zobaczyć, kogo przedstawia. Nie była to fotografia człowieka, który był wtedy z Joanną w "Clo-che d'Or". – Każdy z was tego pragnie – powiedziała z pogardą. – "Nie kłam, nie kłam! Mów zawsze prawdę!" A kiedy mówisz prawdę, nie możecie jej znieść. Żaden z was. Ale ciebie rzadko okłamywałam. Ciebie nie. Z tobą nie chciałam…

–Doskonale – powiedział Ravic. – Nie wchodźmy w szczegóły. – I nagle poczuł się silnie wzruszony. Złościło go to, nie chciał się już wzruszać.

–Nie, z tobą to nie było potrzebne – powtórzyła, patrząc na niego badawczo.

–Joanno…

–I teraz także nie kłamię. Niezupełnie, Ravic. Zadzwoniłam do ciebie, bo naprawdę się bałam. Szczęśliwie udało mi się go wypchnąć za drzwi i przekręcić klucz. Zadzwoniłam do

ciebie. Była to pierwsza rzecz, jaka mi przyszła na myśl. Czy to tak źle?

–Byłaś piekielnie spokojna i nie bałaś się, kiedy wszedłem.

–Bo się go pozbyłam. I myślałam, że przyjdziesz i pomożesz mi.

–Dobrze. W takim razie wszystko jest w porządku i mogę iść.

–Wróci. Krzyczał, że wróci. Siedzi gdzieś teraz i pije. Wiem o tym. A kiedy wraca pijany, nie zachowuje się tak jak ty. Nie może pić…

–Dość tego! – powiedział Ravic. – Przestań, to za głupie. Masz mocne drzwi. I nie rób tego nigdy. Nie poruszała się.

–A co mam robić? – wybuchnęła.

–Nic.

–Telefonuję do ciebie trzy, cztery razy, nie odpowiadasz. A kiedy się wreszcie odezwiesz, mówisz, żebym cię zostawiła w spokoju. Co to ma znaczyć?

–Właśnie to.

–Właśnie to? Co za "właśnie to"? Czy jesteśmy automatami, które można włączać i wyłączać? Jednej nocy wszystko jest cudowne, pełne miłości, a potem nagle…

Zamilkła, spojrzawszy na twarz Ravica.

–Wiedziałem, że tak będzie – powiedział cicho. – Przewidywałem, że zrobisz z tego użytek. To właśnie do ciebie podobne. Wiedziałaś, że wtedy to był ostatni raz, i powinnaś się byłą z tym liczyć. Byłaś u mnie ostatni raz i dlatego było tak, jak było, jak pożegnanie. Było nam dobrze, byliśmy pełni jedno drugiego i tak byśmy pozostali wzajemnie w pamięci. Ale ty nie mogłaś postąpić inaczej, musiałaś wyzyskać to jak handlarz, obrócić w nowe żądanie i z czegoś jedynego, uskrzydlonego zrobić pełznący ciąg dalszy! A że ja tego nie chciałem, użyłaś wstrętnego podstępu i teraz musimy rozmazywać sprawę, o której samo mówienie jest bezwstydem.

–Ja…

–Wiedziałaś o tym – przerwał. – Znowu kłamiesz. Nie chcę powtarzać, co wtedy mówiłaś. Nie umiem. Oboje wiedzieliśmy. Miałaś nie wracać.

–Nie wróciłam!

Popatrzył znów na nią. Z wysiłkiem panował nad sobą.

–Dobrze. Ale zadzwoniłaś…

–Bo się bałam.

–O Boże, to naprawdę za głupie! Rezygnuję. Uśmiechnęła się powoli.

–Ja też, Ravic. Czy nie widzisz, że chcę tylko, żebyś tu został?

–A ja właśnie tego nie chcę.

–Czemu? – Ciągle się uśmiechała.

Poczuł się pobity. Po prostu nie chciała go zrozumieć, a jeśli zacznie jej tłumaczyć, nie wiadomo, dokąd zabrnie.

–To jest olbrzymie zepsucie – powiedział w końcu. – Ty tego nie możesz zrozumieć.

–Owszem – odpowiedziała wolno. – Może mogę. Ale dlaczego jest inaczej niż w ubiegłym tygodniu?

–Było tak samo. Popatrzyła na niego.

–Nie chodzi mi o definicję.

Nie odpowiedział, czuł, że Joanna ma nad nim górę.

–Ravic – powiedziała i podeszła bliżej – istotnie powiedziałam wtedy, że to koniec. Powiedziałam, że już nigdy o mnie nie usłyszysz. Powiedziałam to wszystko, boś sobie tego życzył. Ale nie mogę tego zrobić – rozumiesz?

–Nie – odrzekł szorstko. – Rozumiem tylko, że chcesz żyć z dwoma mężczyznami naraz. Nie drgnęła nawet.

–Nie – powiedziała wreszcie. – Ale gdyby to nawet było prawdą, co cię to obchodzi? Patrzył na nią.

–Co cię to właściwie obchodzi? – powtórzyła. – Kocham cię. Czy to nie wystarcza?

–Nie.

–Nie bądź zazdrosny. Inni mogą być, ale nie ty. Zresztą nigdy nie byłeś…

–Czy tak?

–Nie i nawet nie wiesz, co to jest.

–Oczywiście, że nie wiem, ponieważ nie robię widowiska, jak ten twój facet. Uśmiechnęła się.

–Ravic – powiedziała – zazdrość zaczyna się od powietrza, którym ten drugi oddycha.

357 Nie odpowiedział. Stała przed nim i przyglądała mu się. Milczała. Powietrze, wąski

korytarz, przyćmione światło, nagle wszystko było jej pełne. Było pełne oczekiwania, zachłyśniętej, przyciągającej mocy, silnej jak przyciąganie ziemi, kiedy się nachylić nad balustradą wysokiej wieży…

Poczuł to, usiłował się bronić. Nie zamierzał już odejść. Gdyby odszedł, prześladowałoby go to. A on nie chciał, żeby go prześladowało. Chciał skończyć bez niedomówień. Jutro będzie potrzebował przytomnej myśli.

–Masz wódkę? – spytał.

–Owszem. Czego się napijesz? Calvadosu?

–Koniaku, jeśli masz, albo calvadosu, wszystko jedno.

Podeszła do małej szafki. Śledził ją oczyma. Czyste powietrze, niewidoczne promieniowanie, pokusy, "tu rozbijemy nasze namioty", stara, odwieczna sztuczka, jakby spokój mógł wypłynąć z krwi na dłużej niż na jedną noc!

Zazdrość. Czy istotnie nic o niej nie wiedział? Ale czy też nic nie wiedział o niedoskonałej miłości? Czyż nie był to starszy, trudniejszy do ukojenia ból niż ta odrobina osobistego nieszczęścia, zazdrość? Czyż nie zaczyna się to już wtedy, gdy się wie, iż jedno musi umrzeć wcześniej niż drugie?

Joanna nie przyniosła calvadosu, tylko butelkę koniaku. "Dobrze" – pomyślał. "Więc jednak czasem coś rozumie". Odsunął fotografię, żeby postawić kieliszek. Potem wziął ją do ręki. Najłatwiej przeciwstawić się działaniu, patrząc na swego następcę.

–Mam fatalną pamięć – powiedział. – Zdawało mi się, że twój chłopiec wygląda zupełnie inaczej. Odstawiła butelkę.

–Bo też to nie on.

–Ach, więc już inny!

–Tak, o to właśnie poszło. Przełknął koniak.

–Powinnaś wiedzieć, że nie rozstawia się fotografii mężczyzn, kiedy ma przyjść dawny kochanek. W ogóle nie rozstawia się fotografii. To w złym guście.

–Nie stawiałam jej. Znalazł ją, szukał. Człowiek zawsze ma jakieś fotografie. Ty tego nie rozumiesz. Kobieta zrozumiałaby. Nie chciałam, żeby ją widział.

–No i zrobił ci awanturę. Czy jesteś od niego zależna?

–Nie. Mam dwuletni kontrakt.

–On ci go wyrobił?

–A dlaczego nie? – zdziwiła się szczerze. – Czy to ma jakieś znaczenie?

–Nie, ale są ludzie, których taka rzecz rozgorycza.

Wzruszyła ramionami. Zobaczył to. Wspomnienie. Tęsknota. Ramiona, które wznosiły się razem z oddechem, wolno, regularnie, we śnie, kiedy przy nim leżała. Przelotna chmura błyszczących ptaków na tle czerwonawego, nocnego nieba. Dawno? Jak dawno minęła? Mów, niewidzialny buchalterze! Byłożby to naprawdę pogrzebane, byłyżby to naprawdę ostatnie, przelotne odbłyski? Kto zgadnie?

Okno było szeroko otwarte. Coś frunęło chwiejnie. Ciemny trzepoczący strzęp zatrzymał się na abażurze, rozłożył skrzydełka – i zaraz zjawiła się wizja z purpury, błękitu i wszystkich odcieni brązu, order nocy, zawieszony na jedwabnym abażurze, barwny motyl pawie oczko. Aksamitne skrzydełka oddychały cicho, jak piersi stojącej przed nim kobiety pod cienką tkaniną sukni. Kiedy to już było, nieskończenie dawno, może przed stu laty?

Luwr. Nike. Nie, o wiele wcześniej. Trzeba się cofnąć, do pramroku z pyłu i złota. Kadzidła topazowych ołtarzy. Silniejszy pomruk wulkanów, ciemniejsza zasłona z cienia, żądzy i krwi, mniejsza łódź świadomości, bardziej wrzący wir, błyszcząca lawa, czarnymi szponami sięgająca w dół zboczy, zalewa, pochłania wszelkie życie. A ponad tym wieczny uśmiech Meduzy i kilka lekko nakreślonych hieroglifów na piasku czasu: duch.

Motyl frunął, wśliznął się pod jedwab i zaczął się tłuc, rozbijając sobie skrzydła o rozgrzaną żarówkę. Fioletowy pył. Ravic schwytał motyla, zaniósł do okna i rzucił w noc.

–Przyleci z powrotem – powiedziała Joanna.

–Może nie przyleci.

–Przylatują co noc z parku. Zawsze te same. Parę tygodni były cytrynowożółte. Teraz takie jak ten.

–Tak. Zawsze te same. I zawsze inne. Zawsze inne i zawsze te same.

Co on tu mówi? Coś poza nim mówiło. Rezonans, echo ostat-

359 niej nadziei, dolatujące z daleka. Czego oczekiwał? Co mu wymierzyło cios w tej chwili słabości, cięło jak skalpel tam, gdzie, jak sądził, miał już od dawna zdrowe mięśnie? Czyżby wciąż jeszcze żyło w nim ukryte, zmienione w larwę, owite kokonem, śpiące snem zimowym – oczekiwanie, które chciał oszukać? Podniósł fotografię. Twarz. Jakaś twarz. Jedna z milionów.

–Od kiedy to?

–Od niedawna. Pracujemy razem. Kilka dni temu. Kiedy ty… u Fouąueta… Podniósł rękę.

–Dobrze, dobrze, już wiem. A gdybym tego wieczoru… Sama wiesz, że to nieprawda. Zawahała się.

–Nie…

–Wiesz! Nie kłam! Nic, co jest ważne, nie trwa tak krótko. Co chciał usłyszeć? Po co to powiedział? Czy nie chciał jednak usłyszeć litościwego kłamstwa?

–To prawda i nieprawda – powiedziała Joanna. – Nie mogę sobie dać rady. Ciągnie mnie. Tak jakby mnie coś omijało. Chwytam, muszę mieć – i znowu nic. I znów sięgam po coś nowego. Wiem z góry, że skończy się tak samo, ale nie mogę się opanować. Chwyta mnie, rzuca w coś, wypełnia mnie na chwilę i znów odrzuca, i pozostawia pustą jak głód, i znowu powraca.

^Przepadło" – pomyślał Ravic. “Teraz już całkowicie i na zawsze. Nie będzie już pomyłki, złudzeń, pułapek, przebudzeń, nie będzie powrotu. Dobrze to wiedzieć, kiedy mgły fantazji raz jeszcze miałyby zaciemnić soczewki wiedzy".

Łagodna, nieubłagana, beznadziejna chemia. Krew, która kiedyś burzliwie spłynęła w inną, nigdy nie może spłynąć z równą mocą. To, co jeszcze przyciągało do niego Joannę, każąc jej ciągle powracać, było resztką jego istoty, do której nie zdołała jeszcze przeniknąć. Gdyby tam dotarła, odeszłaby na wieki. Ale któż by czekał? Kto by się tym zadowolił? Kto by za to zrezygnował z siebie?

–Chciałabym być tak silna jak ty! Roześmiał się. Jeszcze i to.

–Jesteś o wiele silniejsza ode mnie.

–Gdzież tam! Widzisz, jak za tobą latam.

–To właśnie dowód. Możesz sobie na to pozwolić. Ja nie mogę.

Spojrzała na niego uważnie. Potem blask, który przez chwilę zdawał się z niej promieniować, przygasł.

–Nie umiesz kochać – powiedziała. – Nigdy nie oddajesz się całkowicie.

–A ty zawsze. To cię ratuje.

–Czy nie możesz mówić ze mną poważnie?

–Mówię poważnie.

–Jeśli mnie to ratuje, czemu nie mogę cię opuścić?

–Przecież mnie opuściłaś.

–Daj pokój, sam wiesz, że to nie ma nic wspólnego. Gdybym mogła cię opuścić, nie biegałabym za tobą. Innych zapominałam. Ciebie nie mogę. Dlaczego?

Ravic przełknął łyk koniaku.

–Może dlatego, że nie możesz mnie całkowicie zdeptać. Zdumiała się. Potem potrząsnęła głową.

–Wcale wszystkich nie zdeptałam, jak to nazywasz. Niektórych ani trochę. A jednak zapomniałam o nich. Byłam nieszczęśliwa, ale zapomniałam.

–O mnie też zapomnisz.

–Nie, przez ciebie nie mam spokoju. Nie, nigdy.

–Nie masz pojęcia, ile się zapomina – powiedział Ravic. – To całe szczęście i wielkie nieszczęście.

–Wciąż jeszcze nie powiedziałeś mi, czemu to tak jest z nami.

–Żadne z nas nie potrafi tego wytłumaczyć. Możemy rozmawiać nie wiem jak długo, a to będzie coraz bardziej zagmatwane. Nie wszystko można wytłumaczyć. Nie wszystko też można zrozumieć. Niech będzie błogosławiony ten kącik dżungli w każdym z nas. A teraz pójdę.

Wstała szybko.

–Nie możesz mnie zostawić samej!

–Chcesz ze mną spać? – Spojrzała na niego w milczeniu. – Mam nadzieję, że nie – dodał.

–To po co pytasz?

–Żeby się rozweselić. Idź do łóżka, już świta. Nie pora na tragedie.

–Nie chcesz zostać?

–Nie. I nigdy tu już nie wrócę. Stała spokojnie.

–Nigdy?

361 – Nigdy. I ty już nigdy do mnie nie przychodź.

Z wolna potrząsnęła głową. Potem wskazała na stół.

–O to ci chodzi?

–Bynajmniej.

–Nie rozumiem. Ostatecznie możemy…

–Nie – powiedział prędko. – Daj spokój przyjacielskim formułkom. Ogródek warzywny na lawie zagasłych uczuć. Nie, nie możemy tego zrobić. Nie my. Może to się udaje po małej przygodzie. I nawet wtedy jest niesmaczne. Miłości nie wolno kalać przyjaźnią. Koniec to koniec.

–Ale dlaczego właśnie teraz?

–Masz rację, trzeba było to zrobić wcześniej. Kiedy wróciłem ze Szwajcarii. Ale cóż, człowiek nie jest wszechwiedzący. A czasami woli nie wiedzieć wszystkiego. To była… – Urwał.

–Co to było?

Stała przed nim w oczekiwaniu, jakby w tym wszystkim było coś, czego nie mogła zrozumieć, a czego zrozumienie było niezmiernie ważne. Zbladła, oczy jej stały się bardziej przezroczyste.

–Co się z nami dzieje, Ravic? – wyszeptała.

Spoza jej włosów widać było słabo oświetlony korytarz, jak drogę, u której kresu świtała obietnica, drogę zwilżoną łzami wielu pokoleń i rosą wciąż nowych nadziei.

–Miłość – powiedział.

–Miłość?

–Miłość. I dlatego to jest koniec.

Zamknął za sobą drzwi. Winda. Nacisnął guzik. Ale nie czekał, aż winda przyjedzie, bał się, że Joanna wybiegnie za nim. Szybko zbiegł po schodach. Dziwił się, że nie słyszy otwierania drzwi. Zatrzymał się na drugim podeście, nasłuchując. Nic się nie poruszało. Nikt za nim nie szedł.

Taksówka czekała przed domem. Zapomniał o niej. Szofer dotknął czapki i uśmiechnął się porozumiewawczo.

–Ile się panu należy? – spytał Ravic.

–Siedemnaście pięćdziesiąt. Zapłacił.

362

–Pan nie chce wracać? – spytał zdziwiony szofer.

–Nie, chcę się przejść.

–To bardzo daleko.

–Wiem o tym.

–To po cóż mi pan kazał czekać? Wydał pan niepotrzebnie jedenaście franków.

–Nie szkodzi.

Szofer spróbował zapalić papierosa przylepionego do górnej wargi.

–No, mam nadzieję, że się panu przynajmniej opłaciło.

–Jeszcze jak!

Na aleje spływał chłodny świt. Powietrze było już ciepłe, tylko światło chłodne. Zakurzone krzaki bzu, ławki. Na jednej z nich spał człowiek, zakrywszy twarz gazetą. Była to ta sama ławka, na której siedział Ravic owej dżdżystej nocy.

Popatrzył na śpiącego. “Paris Soir" poruszał się rytmicznie na zakrytej twarzy, jakby brukowy dziennik miał duszę albo był motylem, który lada chwila uniesie się do nieba z ważnymi nowinami. Spokojnie oddychał wielki nagłówek: “Hitler oświadczył, że nie ma dalszych żądań terytorialnych prócz polskiego korytarza". A pod tym: “Praczka zabiła męża gorącym żelazkiem". Tęga kobieta w odświętnej sukni spoglądała z fotografii. Dalej poruszało się wraz z oddechem śpiącego drugie zdjęcie: “Chamberlain oświadcza, że utrzymanie pokoju jest jeszcze możliwe". Postać małego urzędnika bankowego z parasolem i twarzą zadowolonej owcy. Pod jego nogami, petitem i jakby trochę w ukryciu: “Setki Żydów zabitych w pasie nadgranicznym".

Człowiek, który chronił się tym wszystkim od nocnej rosy i porannego światła, spał głęboko i spokojnie.

Miał na sobie stare, popękane płócienne pantofle, brunatne wełniane spodnie i dość podartą marynarkę. Jego to wszystko nie obchodziło. Upadł tak nisko, że nic go już nie dotyczyło, jak burze nie dotyczą ryby głębinowej.

Ravic wrócił do “Internationalu". Czuł się wolny. Nic za sobą nie pozostawiał. I tak powinno być. Nic nie powinno było w nim wywoływać zamętu. Zamierzał przenieść się dziś do hotelu

“Prince de Galles". O dwa dni za wcześnie. Ale lepiej czekać na Haakego o dwa dni za wcześnie niż za późno.

363 28

Kiedy Ravic zszedł po schodach, hali w “Prince de Galles" był pusty. Na stole w recepcji grało przenośne radio. Kilka sprzątaczek krzątało się po kątach. Ravic przeszedł szybko, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Spojrzał na zegar naprzeciw drzwi. Była piąta rano.

Poszedł przez Avenue George V do Fouąueta. Nikogo już tam nie było. Restauracja była od dawna zamknięta. Zawołał taksówkę i pojechał do “Szeherezady".

Morozow stał w drzwiach i spojrzał na niego.

–Nic – powiedział Ravic.

–Tak i myślałem. Zresztą trudno go się było dziś spodziewać.

–Owszem. Dziś mijają dwa tygodnie.

–Trudno liczyć co do dnia. Cały czas siedziałeś w “Prince de Galles"?

–Tak, od rana aż do tej chwili.

–Jutro zadzwoni – powiedział Morozow. – Może był dziś zajęty albo wyjechał o jeden dzień później.

–Jutro rano mam operację.

–Tak wcześnie nie zadzwoni.

Ravic nie odpowiedział. Patrzył na taksówkę, z której wysiadał właśnie jakiś żigolak w białym smokingu. Za nim wysunęła się blada kobieta z wielkimi zębami. Morozow otworzył im drzwi. Ulica zapachniała nagle perfumami “Chanel nr 5". Kobieta lekko utykała. Żigolak poszedł za nią leniwie, zapłaciwszy szoferowi. Kobieta czekała na niego przy wejściu. Jej oczy o zwężonych źrenicach wydawały się zielone w świetle lamp.

–O tej porze na pewno nie zadzwoni – powiedział Morozow, wróciwszy.

364

Ravic nie odpowiedział.

–Jeśli mi dasz klucz, mogę tam iść o ósmej – oświadczył Morozow. – Poczekam, aż wrócisz.

–Musisz się wyspać.

–Bzdura. Zresztą mogę się położyć na twoim łóżku, jeśli zechcę. On nie będzie dzwonił, ale mogę zaczekać, jeśli cię to uspokoi.

–Operacja przeciągnie się do jedenastej.

–Doskonale. Daj klucz. Nie chciałbym, żebyś w podnieceniu przyszył jakiejś arystokratycznej damie z Faubourg Saint Germain jajniki do żołądka. Po dziewięciu miesiącach zwymiotowałaby dziecko. Masz klucz?

–Tak. Proszę.

Morozow włożył klucz do kieszeni. Potem wyjął pudełeczko z miętowymi drażetkami i poczęstował Ravica. Ravic potrząsnął głową. Morozow wrzucił sobie Mika do ust. Znikły za jego gęstą brodą jak małe, białe ptaszki w gęstym lesie.

–To odświeża – powiedział.

–Czy siedziałeś już Medy cały dzień w takiej wyłożonej pluszem norze? – spytał Ravic.

–Nawet dłużej. I ty także.

–Owszem, ale nigdy w takim celu.

–Nie wziąłeś sobie nic do czytania?

–Wziąłem, ale nie czytałem. Jak długo będziesz tu zajęty? Morozow otworzył drzwiczki samochodu. Było w nim pełno Amerykanów. Wpuścił ich do lokalu.

–Jeszcze co najmniej dwie godziny-powiedział, kiedy wrócił. – Widzisz, co tu się dzieje. To najbardziej zwariowane lato, jakie pamiętam. Joanna też tu jest.

–Tak?

–Z jakimś mężczyzną, jeśli cię to interesuje.

–Nie – powiedział Ravic i zawrócił, by odejść. – Więc do jutra.

–Ravic! – zawołał za nim Morozow.

Ravic wrócił. Morozow wyjął klucz z kieszeni.

–Przecież musisz się dostać do swego pokoju w “Prince de Galles". Przed ranem cię nie zobaczę. Zostaw drzwi otwarte, kiedy wyjdziesz.

–Nie będę spał w “Prince de Galles". – Ravic wziął klucz. –

365 r.

Nocuję w “Internationalu". Lepiej, żeby mnie tam jak najrzadziej oglądali.

–A właśnie, że powinieneś tam sypiać. Nie mieszka się w hotelu, w którym się nie sypia. Tak lepiej, na wypadek, gdyby policja pytała portiera.

–To prawda. Ale lepiej też móc dowieść wtedy, że cały czas mieszkałem w “Internationalu". Urządziłem wszystko, jak trzeba, w “Prince de Galles". Pościel zgnieciona, ręczniki, łazienka, umywalnia – wszystko wygląda tak, jakbym dopiero co wyszedł.

–W porządku. W takim razie oddaj mi z powrotem klucz. Ravic potrząsnął głową.

–Lepiej, żeby ciebie tam nie widziano.

–To nie ma znaczenia.

–Owszem, Borysie. Nie postępujmy jak idioci. Twoja broda nie jest widokiem codziennym. Poza tym masz rację: muszę tak żyć i postępować, jakby się nie miało zdarzyć nic ważnego. Jeśli Haake rzeczywiście zatelefonuje jutro rano, to zadzwoni drugi raz po południu. Gdybym na to nie liczył, stałbym się w ciągu jednego dnia kompletnym wrakiem.

–A dokąd teraz pójdziesz?

–Do łóżka. O tej godzinie nie można się spodziewać telefonu.

–Jeśli chcesz, możemy się potem spotkać.

–Nie, Borysie. Myślę, że zanim będziesz wolny, usnę. O ósmej mam operację. Morozow popatrzył na niego z powątpiewaniem.

–Dobrze. W takim razie wpadnę jutro po południu do “Prin-ce de Galles". A gdyby coś się przed tym stało, zadzwoń do mnie do hotelu.

–Tak.

Ulice. Miasto. Czerwonawe niebo. Z domów spływały z trzepotem czerwień, biel i błękit. Wiatr gonił wokół barów jak przymilny kot. Ludzie, powietrze po całym dniu przebytym w dusznym hotelu. Ravic poszedł aleją ciągnącą się za “Sze-herezadą". Otoczone zielonymi barierkami drzewa nieśmiało wydychały wspomnienie lasów i zieleni w ołowianą noc. Ravic nagle poczuł się pusty i śmiertelnie zmęczony. “A gdybym zre-

zygnował, zapomniał, zrzucił to z siebie, odrzucił, jak wąż zrzuca starą skórę?" – myślało coś w nim. “Co mnie obchodzi w gruncie rzeczy melodramat z zamierzchłych dni? Co mnie obchodzi ten człowiek, drobne, przypadkowe narzędzie w kawałku ciemnego średniowiecza, w europejskim zaćmieniu słońca?"

Co go to wszystko obchodzi?

Uliczna dziewczyna próbowała zwabić go do bramy. Rozchyliła suknię, tak uszytą, że otwierała się jak szlafrok po rozpięciu paska. Niewyraźnie zamajaczyło blade ciało. Długie, czarne pończochy, czarny trójkąt włosów, czarne oczodoły, w których cieniu trudno się było doszukać oczu, zniszczone rozkładające się ciało nieledwie bliskie fosforescencji.

Alfons, z papierosem przylepionym do górnej wargi, wsparł się o drzewo i przyglądał mu się. Przejechało kilka wozów z warzywem. Konie kiwały łbami, mięśnie prężyły się pod skórą. Korzenny zapach zieleniny, kalafiorów, które wyglądały wśród liści jak skamieniałe mózgi. Czerwień pomidorów, kosze fasoli, cebuli, wisien i selerów.

Co go to obchodzi? Jeden więcej czy mniej. Jeden więcej czy mniej spośród setek tysięcy ludzi, którzy są tacy jak on albo jeszcze gorsi. Jeden mniej. Stanął nagle. O to właśnie chodzi! Zbudził się. O to chodzi! Tego właśnie chcieli tamci: żeby człowiek czuł się zmęczony, żeby chciał zapomnieć, żeby myślał, co mnie to obchodzi? W tym rzecz! Jednego mniej! Tak, to było niewiele, ale i wszystko! Wszystko! Ravic powoli wyjął z kieszeni papierosa i powoli go zapalił. I nagle, kiedy żółte światło oświeciło na chwilę jego stuloną dłoń, jak dolinę pociętą wąwozami Unii, uświadomił sobie, że nic go nie zdoła powstrzymać od zamordowania Haakego. Tylko o to chodziło. Było to więcej niż osobista zemsta. Gdyby tego nie zrobił, stałby się winien ogromnej zbrodni. Coś by na zawsze zaginęło, jeśliby tego nie spełnił. Jednocześnie zdawał sobie jasno sprawę, że tak nie jest, ale poza logiką i wszelkim tłumaczeniem w jego krwi tętniła ciemna świadomość, że tak być musi. Jak gdyby niewidoczne fale rozchodziły się od tego czynu i miały z nich powstać inne wielkie rzeczy. Wiedział, że Haake jest tylko nędznym funkcjonariuszem grozy, bez wielkiego znaczenia, ale jednocześnie wiedział, jak nieskończenie ważna jest jego śmierć.

366

367 Zagasł płomyczek w jamie dłoni. Ravic odrzucił zapałkę. Świt kładł się na drzewach. Srebrna pajęczyna, która podtrzymuje w powietrzu pizzicato zbudzonych wróbli. Rozejrzał się wokoło ze zdumieniem. Coś się stało. Oto odbył niewidzialny sąd i wyrok zapadł. Ravic zobaczył z niezmierną jasnością drzewa, żółtą ścianę domu, szare żelazne ogrodzenie za sobą, ulicę w błękitnej mgle i miał niejasne uczucie, że nigdy tego nie zapomni. Dopiero teraz wiedział, że zabije Haakego i że to nie jest jego drobna, prywatna sprawa, ale coś o wiele większego. Początek.

Minął “Ozyrysa". Wyszło właśnie kilku pijaków. Mieli szkliste oczy i czerwone twarze. W pobliżu nie było taksówki. Chwilę klęli, potem ruszyli dalej, ciężko, mocno i hałaśliwie. Mówili po niemiecku.

Ravic zamierzał wrócić do hotelu, ale zmienił zdanie. Wspomniał słowa Rolandy, że ostatnimi czasy często trafiają się w “Ozyrysie" niemieccy turyści. Wszedł.

Rolanda stała przy barze, chłodna, badawcza, w czarnym stroju zarządzającej. Pianola grała głośno, echo odbijało się o egipskie ściany.

–Rolando – powiedział Ravic. Odwróciła się.

–Ravic, wieki cię nie widziałam. Jak to dobrze, żeś przyszedł.

–Bo co?

Stanął koło niej przy barze i rozejrzał się. Niewielu już było klientów. Ci, którzy jeszcze zostali, siedzieli, drzemiąc, przy stolikach.

–Odchodzę stąd – powiedziała Rolanda. – Za tydzień wyjeżdżam.

–Na zawsze?

Skinęła głową, wyjmując zza wycięcia sukni depeszę.

–Czytaj.

Ravic przebiegł tekst oczyma i zwrócił jej.

–To twoja ciotka? Zmarło jej się wreszcie?

–Tak, wracam. Mówiłam już z madame. Wściekła jest, ale rozumie. Jeannette będzie musiała mnie zastąpić. Muszę ją wprowadzić w pracę. – Rolanda roześmiała się. – Biedna madame! Chciała zabłysnąć tego roku w Cannes. Jej willa pęka

już teraz od gości. Rok temu została hrabiną. Wyszła za pewnego smarkacza z Tuluzy. Płaci mu pięć tysięcy miesięcznie, byle stamtąd nosa nie wyściubił. A teraz musi tu zostać.

–Otworzysz swoją wymarzoną kawiarnię?

–Oczywiście. Biegam już całymi dniami i wszystko zamawiam. W Paryżu taniej. Kreton na zasłony. Jak ci się ta próbka podoba?

Wyciągnęła zza wycięcia sukni zmięty strzęp materiału. Kwiaty na żółtym tle.

–Wspaniałe – powiedział Ravic.

–Mogę dostać o trzydzieści procent taniej. Zeszłoroczny remanent. – Oczy Rolandy promieniały ciepłem i czułością. – Oszczędzam w ten sposób trzysta siedemdziesiąt franków. Nieźle, co?

–Cudownie. I wychodzisz za mąż?

–Tak.

–Po co ci mąż? Czemu nie poczekasz trochę i nie zdobędziesz wpierw wszystkiego? Rolanda znów się roześmiała.

–Nic się nie znasz na interesach, Ravic. Bez męża nic z tego nie będzie. Mąż musi być koniecznie. Wiem, co robię.

Stała przed nim silna, pewna siebie, spokojna. Przemyślała każdy szczegół. Mąż był częścią interesu.

–Nie przepisuj chociaż zaraz pieniędzy na jego nazwisko – powiedział Ravic. – Poczekaj, zobacz, jak będzie. Znów się zaśmiała.

–Wiem, jak będzie. Jesteśmy rozsądni. Potrzebujemy się nawzajem w interesie. Mężczyzna nie jest mężczyzną, jeśli pieniądze ma baba. Alfons mi niepotrzebny. Muszę szanować męża. A przecież nie będę go mogła szanować, jeśli co chwila będzie się do mnie zwracał o pieniądze. Nie przyznajesz mi racji?

–Istotnie – powiedział Ravic, wcale nie przyznając racji.

–No, widzisz – powiedziała z zadowoleniem. – Napijesz się czego?

–Nie, muszę już iść. Wpadłem tylko na chwilę. Jutro mam pracę od samego rana. Przyjrzała mu się.

–Widzę, że jesteś całkowicie trzeźwy. To może dziewczynkę?

369 -Nie.

Rolanda lekkim ruchem ręki skierowała dwie dziewczyny ku człowiekowi, który spał na ławeczce. Inne kręciły się po barze. Zaledwie kilka siedziało na taboretach ustawionych w dwa rzędy wzdłuż środkowego przejścia. Inne ślizgały się po gładkiej posadzce jak dzieci zimą na lodzie. Po dwie ciągnęły trzecią, przykucniętą. Ich rozpuszczone włosy rozwiewały się, falowały piersi, połyskiwały ramiona, jedwabne szmatki nie osłaniały już nic, dziewczęta piszczały z radości i nagle “Ozy-rys" stał się arkadyjskim przybytkiem klasycznej niewinności.

–Lato – powiedziała Rolanda. – Niech sobie rano użyją trochę swobody. – Znów spojrzała na Ravica. – W czwartek jest mój pożegnamy wieczór. Madame urządza dla mnie małe przyjęcie. Przyjdziesz?

–W czwartek?

–Tak.

“Czwartek" – pomyślał Ravic. “Siedem dni. Za siedem dni. To siedem lat. Czwartek – to już będzie po wszystkim. Czwartek – kto może tak daleko wybiec naprzód myślą?"

–Oczywiście – powiedział. – Gdzie?

–Tutaj. O szóstej.

–Dobrze. Będę na pewno. Dobranoc, Rolando.

–Dobranoc, Ravic.

Zdarzyło się to, kiedy założył hak. Opadło go nagle burzli* wą, gorącą falą. Zawahał się na chwilę. Rozwarta, czerwona jama brzuszna, para wznosząca się z wilgotnych, gorących kompresów, które podtrzymywały wnętrzności, krew tryskająca z delikatnych tętnic koło klamry – i nagle zobaczył, że Eugenia patrzy na niego pytającym wzrokiem, zobaczył szeroką twarz Vebera, ze wszystkimi porami i każdym włosem wąsów, w metalicznym świetle lampy. Opanował się i pracował spokojniej.

Szył. Szyły jego ręce. Cięcie się zamykało. Czuł, jak pot spływa mu spod pach.

–Czy zechce pan dokończyć szycie? – spytał Vebera.

–Owszem. A co się z panem dzieje?

–Nic. Upał. Za krótko spałem.

Podchwycił spojrzenie Eugenii.

–Zdarza się, Eugenio – powiedział. – Nawet sprawiedliwym.

Pokój zachwiał się naraz. Potworne zmęczenie. Veber szył. Ravic pomagał mu automatycznie. Język miał obrzmiały, podniebienie jak z waty. Oddychał powoli. “Maki" – myślało w nim coś. “Maki we Flandrii. Otwarty, czerwony brzuch. Czerwone, szeroko rozchylone makówki, bezwstydny sekret, życie tak bliskie ręki uzbrojonej w nóż. Dreszcz przechodzi wzdłuż ramienia, magnetyczny kontakt dalekiej śmierci. Nie będę mógł operować" – pomyślał. “Najpierw muszę skończyć z tamtym".

Veber jodynował szew.

–Koniec.

Eugenia opuściła stół do poziomu, cichutko wyciągnięto wózek.

–Papierosa? – spytał Veber.

–Nie. Muszę iść. Mam coś do załatwienia. Czy jestem panu jeszcze potrzebny?

–Nie. – Veber spojrzał na niego ze zdziwieniem. – Czemu się pan tak spieszy? Może wermutu z wodą sodową albo czego innego dla ochłody?

–Nie, dziękuję. Muszę iść. Nie miałem pojęcia, że jest już tak późno! *Adieu,* Veber.

Wybiegł szybko. “Taksówkę" – pomyślał, znalazłszy się na ulicy. “Taksówkę prędko!" Zobaczył citroenkę, która się ku niemu zbliżała, i zatrzymał ją.

–Do hotelu “Prince de Galles". Szybko!

“Trzeba będzie powiedzieć Veberowi, że musi się beze mnie obejść przez kilka dni" – myślał. “Tak nie może być dalej. Oszalałbym, gdybym podczas operacji pomyślał, że Haake właśnie do mnie dzwoni".

Zapłacił i przeszedł szybko przez hali. Wydało mu się, że wieki czeka na windę. Przebiegł szeroki korytarz, otworzył drzwi. Telefon. Podniósł słuchawkę jak niezmierny ciężar.

–Tutaj von Horn. Czy nikt do mnie nie dzwonił?

–Chwileczkę, proszę pana.

Czekał. Za chwilę zabrzmiał znowu głos telefonistki.

–Nie, nikt.

–Dziękuję.

371 * * *

Morozow przyszedł po południu.

–Jadłeś co? – spytał.

–Nie. Czekałem na ciebie. Myślałem, że razem tu zjemy.

–Nonsens, to by zwróciło uwagę. Nikt nie jada w Paryżu w swoim pokoju, jeśli nie jest chory. Idź zjeść, a ja tu posiedzę. O tej porze nikt nie dzwoni. Każdy je. Uświęcony zwyczaj. Gdyby jednak zadzwonił, wystąpię w charakterze służącego, zapytam o numer i oznajmię, że będziesz za pół godziny.

Ravic zawahał się.

–Dobrze – powiedział wreszcie. – Za dwadzieścia minut będę z powrotem.

–Nie spiesz się. Dość się wyczekałeś. Trzymaj nerwy na wodzy! Idziesz do Fouąueta?

-Tak.

***-Każ* sobie podać Vouvray z 37 roku. Dopiero co piłem. Pierwszorzędne.**

–Dobrze.

Ravic zjechał na dół, przeciął ulicę i zszedł z tarasu. Potem przeszedł całą restaurację. Haakego nie było. Zajął miejsce przy pustym stoliku od strony Avenue George V, zamówił boeuf a la modę, sałatę, kawałek owczego sera i karafkę Vouvray.

Obserwował siebie, jedząc. Zmuszał się do konstatowania, że wino jest lekkie i trochę musujące. Jadł powoli, rozglądał się, widział niebo zwisające nad Łukiem Triumfalnym jak jasnoniebieska flaga, zamówił drugą filiżankę kawy, czuł jej gorzki smak. Powoli zapalił papierosa, nie chciał się spieszyć, siedział jeszcze chwilę, przyglądał się ludziom, potem wstał, poszedł do hotelu “Prince de Galles" i o wszystkim zapomniał.

–Jakże Vouvray? – spytał Morozow.

–Dobre.

Morozow wyciągnął kieszonkową szachownicę.

–Może partyjkę?

–Zgoda.

Umieścił figury w otworkach szachownicy. Morozow zasiadł w fotelu, Ravic na sofie.

–Nie sądzę, żebym tu mógł mieszkać bez paszportu dłużej niż trzy dni.

–Portier się już pytał?

–Jeszcze nie. Czasem pytają od razu przy wprowadzaniu się o paszport i wizę. Dlatego sprowadziłem się w nocy. Nocny portier nie zadawał mi pytań. Powiedziałem, że potrzebuję pokoju na pięć dni.

–W drogich hotelach nie zwracają na to uwagi.

–Ale miałbym duże trudności, gdyby mnie nagle zapytali o paszport.

–Tymczasem nie zapytają. Dowiadywałem się w “George V" i u Ritza. Czy zameldowałeś się jako Amerykanin?

–Niejako Holender z Utrechtu. Niezupełnie się to *zgadza z* niemieckim nazwiskiem, dlatego je cokolwiek zmieniłem. Van Horn, nie von. Dla Haakego nie będzie żadnej różnicy.

–Słusznie. Wszystko będzie dobrze. Nie wziąłeś przecież taniego pokoju. Nie będą się do ciebie wtrącać.

–I ja mam tę nadzieję.

–Szkoda, żeś podał nazwisko Horn. Wiem o doskonałych papierach, ważnych jeszcze rok. Należały do mojego przyjaciela, który zmarł siedem miesięcy temu. Przy oględzinach zwłok powiedzieliśmy, że to uchodźca niemiecki, który nie miał żadnych dokumentów. W ten sposób ocaliliśmy je. Jemu jest obojętne, że został pochowany jako Józef Weiss. A już dwaj uchodźcy posługiwali się jego paszportem. Nazywał się Iwan Kluge. Nierosyjskie nazwisko. Fotografia jest niewyraźna, z profilu i bez stempla, można ją łatwo zamienić.

–Lepiej tak, jak jest – powiedział Ravic. – Kiedy się stąd wyniosę, Horn po prostu przestanie istnieć.

–A jednak byłoby bezpieczniej wobec policji. Ale nie przyjdą. Nie przychodzą do hoteli, w których pokój kosztuje przeszło sto franków. Znam pewnego uchodźcę, który od pięciu lat mieszka u Ritza bez dokumentów. Nikt o tym nie wie, prócz nocnego portiera. Czy myślałeś o tym, co odpowiedzieć, gdyby cię jednak spytano o papiery?

–Oczywiście. Mój paszport czeka na wizę w poselstwie argentyńskim. Obiecam, że upomnę się o niego następnego dnia. Zostawię tu walizkę i już nie wrócę. Ale mam czas. Najpierw zapyta dyrekcja, potem dopiero policja. Na to właśnie Uczę. Ale wtedy… tu wszystko przepadło.

–Jakoś to będzie.

373 Grali do wpół do dziewiątej.

–Teraz idź na kolację – powiedział Morozow. – Ja tu poczekam. Potem muszę iść.

–Zjem później w pokoju.

–Bzdura. Idź i najedz się porządnie. Jeśli ten drab zadzwoni, będziesz musiał z nim pić. Lepiej, żebyś przedtem zjadł. Zdecydowałeś, gdzie go zabrać?

–Tak.

–Ale ja myślę, jakby chciał coś zobaczyć czy wypić?

–Tak. Znam dużo lokali, gdzie nikt się do nikogo nie wtrąca.

–No, idź jeść. Nic nie pij, jedz ciężkie, tłuste rzeczy.

–Dobrze.

Ravic poszedł znów do Fouąueta. Wszystko wydawało mu się nierzeczywiste. Zdawało mu się, że czyta o tym w książce, widzi melodramatyczny film lub że mu się śni. Znów przeszedł całą restaurację. Tarasy były zapełnione. Obejrzał każdy stolik. Haakego nigdzie nie było.

Usiadł przy małym stoliku koło wejścia, żeby jednocześnie mieć na oku wchodzących i ulicę. Obok dwie kobiety rozmawiały o modelach Schiaparelli i Mainbochera. Siedział z nimi milczący mężczyzna o wątłym zaroście. Po drugiej stronie kilku młodych Francuzów rozmawiało o polityce. Jeden był stronnikiem Croix de Feu, drugi komunistów, reszta wyśmiewała obu. Wszyscy razem nie przestawali przyglądać się dwóm ładnym, pewnym siebie Amerykankom, które piły wermut.

Ravic, pijąc, obserwował ulicę. Nie był tak głupi, by nie wierzyć w przypadek. Tylko w dobrej literaturze przypadki się nie zdarzają, w życiu jest ich pełno, i to najgłupszych. Przesiedział z pół godziny u Fouąueta. Łatwiej mu to przyszło niż w południe. Raz jeszcze przeszedł wzdłuż Pól Elizejskich i wrócił do hotelu.

–Tu masz klucz od wozu – powiedział Morozow. – Zmieniłem go. Masz teraz niebieskiego talbota obitego skórą. Tamten miał pluszowe siedzenia. Skóra łatwiej się zmywa. Kabriolet, możesz spuścić budę albo podnieść. Tylko pamiętaj, żebyś zostawiał zawsze opuszczone okna. Jeżelibyś musiał strzelać w zamkniętym wozie, celuj tak, żeby kule poszły w otwarte okna, nie zostawiając śladów wewnątrz. Wynająłem talbota na dwa tygodnie. W żadnym razie nie odprowa-

dzaj go zaraz potem do garażu. Zostaw go w którejś z bocznych uliczek, tam stoi zawsze dużo wozów. Niech wywietrzeje. Teraz czeka na rue de Berri, naprzeciw “Lancaster".

–Dobrze – powiedział Ravic i położył klucz koło telefonu.

–Tu jest książka wozu, ale nie mam prawa jazdy. Nie chciałem pytać za wielu ludzi.

–Obejdzie się. W Antibes też cały czas prowadziłem bez prawa jazdy. Ravic położył papiery koło kluczy.

–Dziś na noc postaw wóz w innym miejscu – dodał Morozow. “Melodramat – myślał Ravic – i to w złym gatunku".

–Zrobię tak, dziękuję, Borysie.

–Chętnie bym z tobą pojechał!

–Nie, Borysie. Te rzeczy robi się w pojedynkę.

–Tak. Ale nie dawaj ani sobie, ani jemu żadnych szans. Załatw go i koniec. Ravic uśmiechną^ się.

–Mówiłeś mi to już z dziesięć razy.

–Nie można dość często tego powtarzać. Czasem w krytycznych momentach przychodzą do głowy idiotyczne myśli. Byłem w 1915 w Moskwie z WołkowsMm. Nagle dostał bzika na punkcie honoru. Honoru myśliwego, że nie można z zimną krwią zarzynać i tak dalej. Zastrzelił go jakiś łajdak. Masz dosyć papierosów?

–Całą setkę. I mogę tu wszystko zamówić przez telefon.

–Zajdź później do hotelu i zbudź mnie, jeśli nie będzie mnie w “Szeherezadzie".

–Przyjdę w każdym razie. Cokolwiek się stanie.

–No, to chyba wszystko. Tymczasem, Ravic.

–Tymczasem, Borysie.

Ravic zamknął drzwi za Morozowem. W pokoju zrobiło się nagle bardzo cicho. Siadł w rogu sofy. Spojrzał na tapety. Były z niebieskiego materiału, przytrzymane listewkami. Przez te dwa dni poznał je dokładniej niż wszystkie, które oglądał w ciągu lat. Znał lustra, szary dywan na podłodze z ciemną plamą pod oknem, każdą linię stołu, łóżka, obicie mebli. Znał wszystko dokładnie aż do mdłości. Jednej rzeczy tylko nie znał: telefonu.

29

Talbot parkował na rue de Bassano, między samochodami marki Renault i Mercedes-Benz. Mercedes był nowy i miał włoski numer rejestracyjny. Ravic wymanewrował swego tal-bota spomiędzy obu wozów, ale tak był niecierpliwy, że nie dość uważał i zderzakiem talbota zawadził o błotnik mercedesa, zostawiając rysę. Nie zauważył tego. Od razu szybko skierował wóz ku bulwarowi Haussmanna.

Jechał bardzo szybko. Dobrze było trzymać kierownicę samochodu. Dobry środek na rozczarowanie, które tkwiło mu kamieniem w żołądku.

Była czwarta rano. Powinien czekać dłużej, ale nagle wszystko wydało mu się bezsensowne. Prawdopodobnie Haake dawno zapomniał o tym drobnym epizodzie. Mógł też nie wrócić już do Paryża. Tam mieli w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie.

Morozow stał przed “Szeherezadą". Ravic postawił samochód za rogiem i wrócił. Morozow

spojrzał na niego.

–Czy powtórzono ci mój telefon?

–Nie, bo co?

–Dzwoniłem pięć minut temu. Kilku Niemców siedzi u nas przy stoliku. Jeden z nich wygląda jak…

–Gdzie?

–Koło orkiestry. Jedyny stolik z czterema mężczyznami. Zobaczysz z progu.

–Dobrze.

–Zajmij mały stolik przy wejściu, zarezerwowałem go.

–Świetnie, Borysie.

Ravic stanął w drzwiach. Na sali było ciemno. Światło padało tylko na parkiet. Stała na nim śpiewaczka w srebrnej

sukni. Wąski promień reflektora był tak silny, że poza nim nic nie było widać. Ravic wpatrzył się w stolik koło orkiestry, ale nic nie mógł dojrzeć. Odcinała go ściana białego światła.

Zajął stolik przy wejściu. Kelner podał mu karafkę wódki. Orkiestra zdawała się ociągać. Słodka melodia pełzła, pełzła jak ślimak. *J'attendrai. J'attendrai.*

Śpiewaczka ukłoniła się. Zerwały się brawa. Ravic pochylił się, czekając, aż zgasną reflektory. Kobieta odwróciła się ku orkiestrze. Cygan skinął głową i podniósł znów skrzypce. Cymbały poddały kilka dźwięków. Druga pieśń. *La chapelle au clair de la lunę.* Ravic zamknął oczy. Nie mógł znieść tego napięcia.

Wyprostował się znowu przed ukończeniem melodii. Reflektor zgasł, zapaliły się światła na stolikach. W pierwszej chwili nie widział nic prócz niewyraźnych zarysów. Za długo patrzył w reflektor. Zamknął oczy, znowu je otworzył. Od razu odnalazł stolik.

Wolno odchylił się w tył. Żaden z tych mężczyzn nie był Haakem. Siedział tak dłuższą chwilę. Nagle poczuł straszliwe wyczerpanie. Zmęczenie gdzieś poza oczyma. Ogarniało go nierównomiernymi falami. Muzyka, wznoszenie się i opadanie głosów, stłumiony gwar, wszystko to oszołamiało go po hotelowej ciszy i nowym rozczarowaniu. Kalejdoskop snów, łagodna hipnoza, która uspokajała wyczerpane oczekiwaniem komórki mózgu.

W tej samej chwili zobaczył Joannę, krążącą w bladej mgle, w której poruszały się pary. Jej spragniona twarz odrzucona była w tył, głowa spoczywała nieledwie na ramieniu mężczyzny,

choć go nie dotykała. “Nikt nie wydaje się bardziej obcy niż ktoś, kogo się kiedyś kochało" – pomyślał zmęczony. “Kiedy zerwie się tajemna pępowina między wyobraźnią a jej przedmiotem, przelatuje jeszcze między nimi jakieś nieśmiałe światło, fluorescencja umarłych gwiazd, ale to światło już jest martwe. Podnieca, ale nie grzeje, nie przepływa tam i z powrotem". Wsparł głowę o oparcie ławki. Słaba więź ponad otchłanią. Tajemnica płci o słodkich nazwach. Astry na bagnisku, które wciąga, zanim zerwiesz kwiaty.

Wyprostował się. Musi wyjść, zanim zaśnie. Zawołał kelnera.

376

377 – Rachunek.

–Nic pan nie płaci – powiedział kelner.

–Jak to?

–Nic pan przecież nie pił.

–Ach, prawda!

Zostawił napiwek i wyszedł.

–Nie? – spytał Morozow.

–Nie.

Morozow popatrzył na niego.

–Rezygnuję – powiedział Ravic. – To śmieszna zabawa w Indian. Czekam już od pięciu dni. Haake powiedział wtedy, że przyjeżdża zwykle do Paryża na dwa albo trzy dni. W takim razie już znowu musiał wyjechać. Jeżeli w ogóle tu był.

–Idź spać – powiedział Morozow.

–Ba, żebym mógł! Pojadę do JPrince de Galles", zabiorę walizkę i wyniosę się.

–Doskonale. W takim razie spotkamy się tam jutro w południe.

–Gdzie?

–W “Prince de Galles". Ravic spojrzał na niego.

–Oczywiście. Plotę głupstwa. A może i nie. Może i nie.

–Poczekaj jeszcze do jutra wieczór.

–Słusznie. Zobaczę. Dobranoc, Borysie.

–Dobranoc, Ravic.

Pojechał do “Ozyrysa". Postawił wóz za rogiem. Sama myśl o powrocie do “Internationalu" przejmowała go dreszczem. Może będzie mógł przespać się tu kilka godzin. Poniedziałek. W burdelach cisza. Nawet portiera nie było. Pewnie nikogo nie ma.

Koło drzwi stała Rolanda, obserwując salon. Pianola dudniła wśród pustych ścian.

–Nieciekawie tu dziś, co? – zagadnął Ravic.

–Tak, tylko ten jeden nudziarz. Sprośny jak małpa, a nie chce iść z dziewczyną na górę. Znamy takich, “i chciałbym, i boję się". To znowu Niemiec. Zapłacił, już chyba teraz długo nie potrwa.

378

Ravic spojrzał obojętnie ku stolikowi. Mężczyzna siedzący tyłem do niego, z dwiema dziewczynami. Kiedy pochylił się ku jednej z nich, ujmując jej piersi w obie ręce, Ravic zobaczył jego twarz. Był to Haake.

Słowa Rolandy dochodziły do niego jak przez watę. Nie rozumiał ich. Zdawał sobie tylko sprawę, że cofnął się aż do drzwi, tak że mógł obserwować tamten stolik, nie będąc sam widziany.

Wreszcie głos Rolandy przebił się przez watę.

–Koniaku?

Pianola skrzeczy. I ciągle to kołysanie, skurcz przepony. Ravic wbił sobie paznokcie w dłoń. Haake nie powinien go tu zobaczyć. Rolanda nie może się zorientować, że on go zna.

–Nie – usłyszał swój głos. – Mam dosyć. Niemiec, mówisz? A wiesz, kto to jest?

–Nie mam zielonego pojęcia. – Rolanda wzruszyła ramionami. – Dla mnie oni wszyscy jednakowi. Chyba ten jest tu po raz pierwszy. Naprawdę nic nie będziesz pił?

–Dziękuję, tak tylko wpadłem. – Poczuł na sobie jej spojrzenie i zmusił się do spokoju. – Chciałem się tylko dowiedzieć, kiedy to przyjęcie – powiedział. – W czwartek czy w piątek?

–W czwartek, Ravic. Będziesz?

–Oczywiście. Chciałem się tylko upewnić.

–W czwartek o szóstej.

–Dobrze. To wszystko, co chciałem wiedzieć. Idę już. Dobranoc, Rolando.

–Dobranoc, Ravic.

Biała noc nagle zawrzała. Znikły domy, nic, tylko gęstwina kamienic, dżungla okien. Wojna, patrol na pustej ulicy. Wóz, wczołgać się, motor huczy, czaty.

Zastrzelić od razu, kiedy będzie schodził? Rozejrzał się po ulicy. Kilka samochodów, żółte światła, błądzące koty. Pod latarnią osobnik, który wygląda na policjanta. Numer wozu, huk strzału, Rolanda, która z nim dopiero co rozmawiała. Zdawało mu się, że słyszy glos Morozowa: "Tylko bez ryzyka, nie warto!"

Portiera nie ma. Taksówek też. Dobrze! Mało kto stąd w poniedziałek wychodzi. Zaledwie to pomyślał, zagrzechotała ja-

379 kas citroenka i zatrzymała się przed wejściem. Szofer zapalił papierosa i głośno ziewnął. Ravic poczuł dreszcz na całej skórze. Czekał.

Namyślał się, czyby nie wyjść i nie powiedzieć szoferowi, że tam już nikogo nie ma. Niemożliwe. Posłać go po coś i zapłacić? Do Morozowa. Wyrwał kartkę z bloku, napisał kilka słów, podarł, znów napisał. Niech go Morozow w "Szeherezadzie" nie czeka. Podpisał zmyślonym nazwiskiem.

Szofer zapuścił motor i ruszył. Ravic patrzył za nim, ale nic nie mógł dojrzeć. A jeśli Haake wsiadł, podczas kiedy on pisał? Włączył bieg. Talbot runął w pościg za taksówką.

Nikogo nie było widać przez tylne okno. Ale Haake siedzi może w kącie. Wyminął taksówkę. Wnętrze było ciemne. Zwolnił i znów zajechał z boku. Szofer odwrócił się i ryknął:

–Te, idiota, chcesz mi zajechać drogę?

–Wieziesz pan mojego przyjaciela.

–Pijany dureń! – wrzasnął kierowca. – Czy nie widzisz, że wóz jest pusty?

W tej chwili Ravic zauważył, że licznik taksówki nie jest włączony. Skręcił ostro i pognał z powrotem. Haake stał na krawężniku, machając ręką:

–Halo, taksówka!

Ravic podjechał bliżej i zatrzymał wóz.

–Taksówka? – spytał Haake.

–Nie. – Ravic wychylił się przez okno. – Halo! – powiedział. Haake popatrzył na niego zwężonymi oczami.

–Co?

–Zdaje się, że się znamy – powiedział Ravic po niemiecku. Haake pochylił się i podejrzenie znikło z jego twarzy.

–Mój Boże, to pan von… von…

–Horn.

–Słusznie, słusznie! Pan von Horn! Oczywiście. Co za przypadek! Drogi panie, gdzież się pan cały ten czas ukrywał?

–W Paryżu. Proszę, niech pan siada. Nie wiedziałem, że pan wrócił.

–Dzwoniłem kilka razy. Czy pan zmienił hotel?

–Ale gdzie tam, zawsze w “Prince de Galles". – Ravic otworzył drzwiczki. – Proszę. Podwiozę pana. O tej porze niełatwo o taksówkę.

Haake postawił nogę na stopniu. Ravic poczuł jego oddech. Zobaczył czerwoną, podnieconą twarz.

–wE’rince de Galles" – powiedział Haake. – Do diabła, tak! A ja szukałem pana w “George V"! – Roześmiał się głośno. – Nikt tam pana nie znał. Teraz rozumiem. Oczywiście, j^Prince de Galles"! Pomieszało mi się. Nie zabrałem starego notesu. Myślałem, że dobrze pamiętam.

Ravic uważał na wyjście. Zanim ktoś się ukaże, upłynie jeszcze parę minut. Dziewczęta muszą się przebrać. Bądź co bądź, lepiej Haakego jak najprędzej mieć w wozie.

–Chciał pan tam wejść? – spytał jowialnie Haake.

–Tak, ale już chyba za późno.

Haake sapał ciężko, wypuszczając nosem powietrze.

–Rzekłeś, przyjacielu. Byłem ostatnim gościem. Zamykają.

–Nie szkodzi. Tu i tak nudno. Chodźmy gdzie indziej! Niech pan siada.

–Czy jeszcze gdzieś jest otwarte?

–Ależ oczywiście! W naprawdę interesujących lokalach dopiero zaczyna się ruch. Ten to lokal dla turystów.

–Czyżby? Sądziłem… bo tu jednak było nieźle.

–To nic nie jest. Są o wiele lepsze rzeczy. To zwykły burdel.

Kilka razy już naciskał pedał, motor zapalał się i gasł znowu. Dobrze to obliczył: Haake ostrożnie umieścił się na siedzeniu obok niego.

–Bardzo się cieszę, że pana znowu spotkałem – powiedział. – Naprawdę bardzo mi miło. Ravic sięgnął przez niego i zamknął drzwiczki.

–Ja również bardzo się cieszę.

–Ciekawy lokal! Masa gołych dziewczyn. I pomyśleć, że policja na to pozwala! Oczywiście większość z nich chora, co?

–Nigdy nie można być pewnym. Ravic ruszył.

–Ciekawe, czy są lokale, gdzie można mieć absolutną pewność? – Haake odgryzł koniec cygara. – Nie chciałbym wracać do domu z tryprem. A znowu z drugiej strony, raz się tylko żyje.

–Istotnie – powiedział Ravic, podając mu elektryczną zapalniczkę.

–Dokąd jedziemy?

381 – Co by pan sądził o *maison de rendez-vous* na początek?

–Co to jest?

–Lokal, w którym damy z towarzystwa szukają przygód.

–Co? Prawdziwe damy z towarzystwa?

–Tak. Kobiety, które mają starych mężów. Kobiety, które mają nudnych mężów. Kobiety, których mężowie nie dosyć zarabiają.

–No dobrze, ale czy one mogą… Jak one to robią?

–Przychodzą tam na godzinę albo na dużej. Jak na koktajl albo na dansing. Niektóre można nawet wzywać telefonicznie. Nie jest to, oczywiście, taki burdel jak tu, na Montmar-trze. Znam bardzo miły dom w Lasku. Właścicielka wygląda jak księżna. W ogóle wszystko tam jest niezmiernie dystyngowane, dyskretne i eleganckie.

Ravic mówił wolno i spokojnie, powoli oddychając. Słuchał swojego głosu jak głosu przewodnika dla turystów, ale mówił dalej, żeby się całkowicie uspokoić. Drżały w nim wszystkie żyły. Położył obie ręce na kierownicy, żeby to drżenie opanować.

–Zadziwi się pan, jak pan zobaczy te pokoje – mówił dalej. – Oryginalne stylowe meble, stare dywany i obicia, wyborowe wina, doskonała obsługa, no i całkowita pewność w tym, co dotyczy kobiet.

Haake wpuścił kłąb dymu cygara. Zwrócił się do Ravica:

–Drogi panie von Horn, to wszystko brzmi jak bajka. Ale jeszcze jedno: tam musi być diabelnie drogo?

–Upewniam pana, że nie.

Haake roześmiał się chrypliwie, z pewnym zażenowaniem,

–To zależy, co pan pod tym rozumie. My, Niemcy, z naszymi ograniczonymi dewizami… Ravic potrząsnął głową.

–Znam dobrze właścicielkę. Ma wobec mnie zobowiązania. Będzie nas uważać za specjalnych gości. Jeśli pan pójdzie tam, to jako mój przyjaciel, i pewno nic pan nie zapłaci. Parę napiwków, to wszystko. W “Ozyrysie" więcej by pan zapłacił za butelkę wina.

–Czy to możliwe?

–Przekona się pan.

Haake poprawił się na siedzeniu.

–Do diabła, to interesujące! – Uśmiechnął się szeroko do Ravica. – Pan wydaje się tam bardzo zadomowiony. Oddał pan widać właścicielce wielkie usługi?

Ravic spojrzał mu prosto w oczy.

–Czasami tego rodzaju przedsiębiorstwa mają trudności z władzami. Małe próby szantażu. Pan rozumie, co mam na myśli?

–Jeszcze jak! – Haake zamyślił się na chwilkę. – Więc pan ma tu takie wpływy?

–Nic szczególnego. Po prostu kilku przyjaciół na wyższych stanowiskach.

–To już jest coś! Przydałby nam się pan. Może kiedy porozmawiamy na ten temat?

–Najchętniej. Jak długo zostaje pan w Paryżu? Haake roześmiał się.

–Zawsze pana spotykam przed samym wyjazdem. Mam pociąg dziś rano o siódmej trzydzieści. – Spojrzał na zegar w wozie. – Za dwie i pół godziny. Właśnie chciałem to panu

powiedzieć. Muszę być w porę na Gare du Nord. Da się to zrobić?

–Nic łatwiejszego. Czy przedtem musi pan wrócić do hotelu?

–Nie, walizki już są na dworcu. Zwolniłem pokój po południu, oszczędzam w ten sposób cały dzień. Z naszymi dewizami… – Znów się roześmiał.

Ravic zorientował się, że i on się śmieje. Zacisnął ręce na kierownicy. Niemożliwe" – pomyślał. "To niemożliwe! Coś się stanie, żeby mi przeszkodzić. Tak dużo szczęśliwych przypadków nie może się trafiać".

Świeże powietrze wzmogło w Haakem działanie alkoholu. Mówił wolniej i z trudnością. Usadowił się wygodnie w kącie wozu i zaczął drzemać. Szczęka mu opadła, oczy się przymknęły. Tymczasem wóz zanurzył się w ciemności Lasku Bulońskiego.

Widmowe światła reflektorów wyprzedzały samochód, dobywając z cienia sylwety drzew. Przez otwarte okna buchał zapach akacji. Opony ocierały się o asfalt łagodnie, bez przerwy, jak gdyby szmer ten nie miał nigdy ustać. Silnik mruczał cichą, swojską melodię w wilgotnym nocnym powietrzu. Przeleciał obok nich mały, połyskliwy staw, ciemne sylwety wierzb zatańczyły na ciemniejszym tle buków. Łąki pokryte perłową, bladą rosą. Route de Madrid, Route de la Porte St. James, Route de Neuilly. Uśpiony dom. Zapach wody. Sekwana.

–› 383 Ravic jechał bulwarem nad rzeką. Na posrebrzanej księżycem wodzie płynęły w pewnym odstępie dwie czarne barki. Z bardziej oddalonej słychać było szczekanie psa. Po wodzie niosły się głosy. Na dziobie pierwszej barki świeciła latarnia. Ravic nie zatrzymał wozu, jechał w równym tempie, by nie zbudzić Haakego. Chciał się tu zatrzymać, ale nie było to możliwe. Barki były zbyt blisko brzegu. Skręcił na Route de la Femme, oddalając się od rzeki, w kierunku Allee de Long-champs. Minął Allee de la Reine Marguerite i skręcił w węższą alejkę.

Kiedy spojrzał na Haakego, zobaczył, że ma oczy otwarte. Haake patrzył na Ravica. Jego oczy lśniły jak szklane w słabym świetle deski rozdzielczej. Ravic doznał takiego uczucia, jakby przez niego przeszedł prąd elektryczny.

–Obudził się pan? – spytał.

Haake nie odpowiedział. Patrzył na Ravica. Nie poruszył się. Nawet jego oczy się nie poruszały.

–Gdzie jesteśmy? – spytał wreszcie.

–W Lasku Bulońskim. Koło restauracji "Des Cascades".

–Jak długo jechaliśmy?

–Dziesięć minut.

–Chyba dłużej.

–Może troszeczkę.

–Zanim usnąłem, spojrzałem na zegar. Jechaliśmy przeszło pół godziny.

–Czyżby? – powiedział Ravic. – Zupełnie nie zdawałem sobie z tego sprawy. Dojeżdżamy. Haake nie spuszczał wzroku z Ravica.

–Dokąd?

–Do *maison de rendez-vous.* Haake poruszył się.

–Niech pan zawraca! – rzucił.

–Zaraz?

–Tak.

Już nie był pijany. Był trzeźwy i przytomny. Twarz mu się zmieniła. Gdzieś się podziała jowialność i dobroduszność. Po raz pierwszy Ravic miał znów przed sobą tamtą twarz, która wryła mu się na zawsze w pamięć w pokoju grozy w gestapo. I nagle opadły z niego wszystkie skrupuły, które odczuwał od

czasu, kiedy spotkał Haakego, uczucie, że zamierza zabić obcego, który w ogóle go nie obchodzi. Dotychczas miał w samochodzie dobrodusznego człowieka, który spił się czerwonym winem, i na próżno szukał swoich racji w twarzy tego człowieka. Dotąd były one wyłącznie w nim samym. Teraz nagle ujrzał te same oczy, które widział przed sobą, ocknąwszy się z omdlenia, w agonii bólu. Te same zimne oczy, ten sam zimny, niski, przenikliwy głos…

Coś się w Ravicu nagle odwróciło. Jak prąd zmieniający swoje bieguny. Naprężenie pozostało, ale drganie, wahanie, nerwowość przekształciły się w jeden silny prąd, który dążył ku jednemu celowi, i nic więcej. Lata rozpadły się w proch, znów był pokój o szarych ścianach, białe, niczym nie osłonięte światło, zapach krwi, skóry, potu, męki i strachu.

–Dlaczego? – spytał Ravic.

–Muszę już wracać. Czekają mnie w hotelu.

–Przecież mówił pan, że walizki są już na stacji.

–Istotnie, ale muszę jeszcze coś załatwić. Zapomniałem o tym. Wracajmy.

–Dobrze.

Przed tygodniem Ravic z dziesięć razy przejechał cały Lasek za dnia i nocy. Wiedział, gdzie są. Jeszcze parę minut. Skręcił na lewo w wąską drogę.

–Wracamy?

–Tak.

Ciężki zapach powietrza pod drzewami, przez które nigdy nie przenikały promienie słońca. Gęstsza ciemność. Jaśniejsze światła reflektorów. Ravic dostrzegł w lusterku, że ręka Haakego powoli, ostrożnie ześlizguje się z drzwiczek. Kierownica z prawej strony. Dzięki Bogu, że talbot ma kierownicę z prawej strony! Zakręcił, trzymając kierownicę lewą ręką, niby to zachwiał się na wirażu, na prostej dał gazu i w parę sekund później zahamował z całej siły.

Talbot podskoczył, hamulce zapiszczały. Ravic zatrzymał wóz z jedną nogą na pedale, a drugą opartą o karoserię dla utrzymania równowagi. Haake, który nie miał oparcia dla nóg i nie spodziewał się takiego wstrząsu, pochylił się gwałtownie w przód, nie zdążył w porę wyciągnąć ręki z kieszeni i uderzył czołem o przednią szybę i tablicę rozdzielczą. W tej samej

chwili Ravic uderzył go w kark ciężkim kluczem francuskim, który wyciągnął z bocznej kieszeni, akurat poniżej czaszki. Haake już się nie podniósł. Opadł ciężko na bok. Prawe ramię trzymało go w dawniejszej pozycji, przygniatając ciało do ramy.

Ravic ruszył natychmiast. Przeciął aleję i przygasił światła. Jadąc, zastanawiał się, czy nikt nie usłyszał pisku hamulców. Namyślał się, czy nie wyrzucić Haakego z wozu i nie ukryć go w krzakach, na wypadek gdyby ktoś nadszedł. Wreszcie stanął na skrzyżowaniu, wyłączył światła i silnik, wyskoczył z samochodu, podniósł maskę, otworzył drzwiczki od strony Haakego i nasłuchiwał. Gdyby ktoś szedł, usłyszałby go i zobaczył z daleka. Wystarczyłoby mu czasu, żeby zaciągnąć Haakego w krzaki i udawać, że coś się zepsuło w motorze.

Cisza była aż głośna. Zapadła tak nagle i niepojęcie, że prawie brzęczała. Ravic zacisnął pięści, aż zabolały. Wiedział, że to krew brzęczy mu w uszach. Odetchnął głęboko i wolno.

Brzęczenie przeszło w szum. Poprzez szum przebijał się ostry dźwięk, coraz głośniejszy. Ravic wytężył słuch. Dźwięk rósł, stał się bardziej metaliczny i nagle Ravic zdał sobie sprawę, że to grają koniki polne i że szum ustał. Tylko koniki polne na wąskim pasku łąki witały wschodzący dzień.

Łąka kąpała się w porannym świetle. Ravic zamknął maskę samochodu. Czas już. Musi skończyć pracę, zanim się zupełnie rozwidni. Rozejrzał się. Nie było to dobre miejsce, jak zresztą żadne w Lasku. Od rzeki szło światło. Nie przypuszczał, że zrobi się tak późno. Zawrócił. Posłyszał głuche rzężenie, skrobanie i jęk. Ręka Haakego zwisała z otwartych drzwiczek, drapiąc stopień. Ravic zorientował się, że nie wypuścił z ręki klucza. Chwycił Haakego za kołnierz, podciągnął w górę, aby zwolnić głowę, i uderzył jeszcze dwa razy w kark.

Rzężenie ustało. Coś grzechotało. Ravic stanął. Zobaczył, że to rewolwer, który zsunął się z siedzenia na stopień. Haake trzymał go widać w ręku, zanim nastąpił wstrząs. Ravic rzucił go z powrotem do wozu.

Znów nasłuchiwał. Świerszcze. Łąka. Niebo coraz jaśniejsze, oddalające się. Za chwilę wzejdzie słońce. Ravic otworzył

drzwiczki, wciągnął Haakego i opuściwszy przednie oparcie, próbował go wcisnąć między przednie i tylne fotele. Nie udało mu się. Nie było dość miejsca. Obszedł samochód dokoła i otworzył bagażnik. Prędko opróżnił go. Potem wydobył Haakego z wozu i zaciągnął go pod bagażnik. Haake żył jeszcze. Był bardzo ciężki. Ravicowi pot spływał z twarzy. Udało mu się wreszcie wepchnąć ciało do bagażnika. Wtłoczył je jak embrion, z podciągniętymi pod brodę kolanami.

Zebrał narzędzia, łopatę i lewarek i wrzucił do wozu. Na pobliskim drzewie zaczął śpiewać jakiś ptak. Ravic wzdrygnął się. Wydało mu się, że śpiew ten jest głośniejszy niż wszystko, co kiedykolwiek słyszał. Spojrzał na łąkę. Zrobiło się jeszcze jaśniej.

Nie mógł ryzykować. Wrócił i podniósł nieco pokrywę bagażnika. Oparł lewą nogę na zderzaku i kolanem podtrzymywał pokrywę tak wysoko, by móc sięgnąć pod nią rękami. Gdyby ktoś nadszedł, wyglądałoby, że Ravic czegoś tam szuka, i mógł natychmiast opuścić pokrywę. Miał przed sobą daleką drogę. Musiał przedtem zabić Haakego.

Głowa Haakego znajdowała się w prawym rogu bagażnika. Ravic ją widział. Szyja była miękka, wyczuwał jeszcze pulsujące tętnice. Zacisnął mocno ręce na szyi Haakego i trzymał ją jakiś czas w tym uścisku.

Wydawało mu się, że trwa to nieskończenie długo. Głowa przesunęła się nieco. Tylko trochę. Ciało usiłowało się rozprężyć. Było jakby uwięzione w ubraniu. Usta rozwarły się. Przenikliwy głos ptaka odezwał się znowu. Z ust Haakego wysunął się język, obrzmiały, żółty, obłożony. I nagle Haake otworzył jedno oko. Wychodziło na wierzch, zdawało się widzieć, zbliżać do Ravica. Potem opór ciała nagle ustąpił. Ravic nie zwalniał uścisku. Koniec.

Pokrywa bagażnika opadła. Ravic przeszedł kilka kroków. Poczuł, że mu kolana drżą. Oparł się ręką o drzewo i zaczął wymiotować. Zdawało mu się, że coś mu wyrywa żołądek. Próbował powstrzymać wymioty. Nic nie pomagało.

Podniósł głowę i spostrzegł człowieka idącego przez łąkę. Człowiek spojrzał na niego. Ravic stał w miejscu. Mężczyzna podszedł nieco bliżej. Szedł wolnym, niedbałym krokiem. Był ubrany jak ogrodnik lub robotnik. Patrzył na Ravica. Ravic

387 splunął i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił i zaciągnął się głęboko. Dym był gryzący i palił w gardle. Mężczyzna przeciął alejkę. Rzucił spojrzenie na miejsce, w którym

Ravic wymiotował, potem na wóz, potem na Ravica. Nie odezwał się i Ravic nie mógł nic wyczytać z jego twarzy. Wolno zniknął za zakrętem.

Ravic czekał kilka sekund. Potem zamknął pokrywę bagażnika i zapuścił silnik. Nie mógł nic więcej zrobić w Lasku. Było zbyt jasno. Musiał pojechać do Saint Germain. Znał tamtejsze lasy.

30

Po godzinie zatrzymał się przed małą gospodą. Był bardzo głodny i czuł pustkę w głowie. Zaparkował wóz przed domem, gdzie stały dwa stoliki i kilka krzeseł. Zamówił kawę i bułeczki i poszedł się umyć. W umywalni cuchnęło. Poprosił o szklankę i wypłukał usta. Potem umył ręce i wrócił przed dom.

Śniadanie stało już na stole. Kawa pachniała jak każda kawa na świecie, jaskółki latały nad dachami, słońce rozwieszało na ścianach swoje pierwsze złociste gobeliny, ludzie szli do pracy, a za kotarą z paciorków, zasłaniającą drzwi baru, dziewczyna w podkasanej spódnicy szorowała podłogę. Ravic dawno nie widział tak spokojnego letniego poranka.

Wypił gorącą kawę, ale nie mógł się zdecydować na zjedzenie bułeczek. Nie chciał niczego dotykać rękami. Spojrzał na nie. "Nonsens" – pomyślał. "Do diabła, nie chcę ulec jakiemuś kompleksowi. Muszę zjeść". Wypił jeszcze jedną filiżankę kawy. Wyjął papierosa, ale mimo woli uważał, aby nie włożyć go do ust tym końcem, którego dotknął. "Tak dłużej nie może być" – pomyślał. Ale w dalszym ciągu nie mógł jeść. "Muszę z tym najpierw skończyć" – zdecydował. Wstał od stolika i zapłacił.

Stado krów. Motyle. Słońce ponad polami. Słońce na przedniej szybie wozu. Słońce na budzie. Słońce na błyszczących metalowych obiciach bagażnika, gdzie leży martwy Haake, który nie dowiedział się, kto i dlaczego go zabił. Powinno było stać się inaczej. Inaczej…

–*Czy poznajesz mnie, Haake? Wiesz, kim jestem?* Widział przed sobą jego czerwoną twarz.

-Nie. Jak to? Kto pan jest? Czy spotkaliśmy się już kiedy?

-Tak.

389 *-Kiedy? Byliśmy na ty? Może w szkole kadetów. Nie przypominam sobie.*

-Nie przypominasz sobie, Haake? Nie w szkole kadetów. Później.

–Później? Ale pan przecież mieszkał za granicą? A ja nigdy nie wyjeżdżałem z Niemiec. Dopiero w ciągu ostatnich dwóch lat tu, do Paryża. Może kiedyś po pijanemu…

-Nie. Nie po pijanemu. I nie tu. W Niemczech, Haake.

Szlaban. Tor kolejowy. Mały ogródek, pełen róż, floksów i słoneczników. Trzeba poczekać. Zagubiony, czarny pociąg sapie przez bezkresny poranek. W tafli szyby żyją oczy, które teraz w bagażniku są jak galareta pokryta kurzem, sypiącym się wszystkimi szczelinami…

–W Niemczech? Ach, rozumiem! Na zjeździe partyjnym. Norymberga. Zaczynam sobie przypominać. Czyżby w Jłiirn-berger Ho f?

-Nie, Haake – mówił Ravic wolno do szyby, czując, jak bije w niego ciężka powrotna fala minionych lat. – To nie było w Norymberdze. W Berlinie.

–W Berlinie! – Cień twarzy, dziwacznie porysowanej refleksami, przybrał wyraz jowialnego zniecierpliwienia. – No, mów pan wreszcie, przyjacielu. Dosyć już tych aluzji, dosyć tych tortur. Gdzież to było?

Fala bijąca z ziemi zalewa ramiona.

-Na torturach, Haake! Właśnie to, na torturach! Niepewny, ostrożny śmiech.

-Bez żartów, przyjacielu.

-Na torturach, Haake. Czy wiesz już, kto ja jestem? Znów ten śmiech, niepewny, ostrożny, groźny.

–Skąd mogę wiedzieć! Widuję tysiące ludzi. Czy mogę każdego pamiętać? Jeśli pan pije do gestapo…

–Tak, Haake, do gestapo. Wzruszenie ramionami. Czyhanie.

–Jeśli pan był przesłuchiwany…

-Tak. Czy pamiętasz? Znowu wzruszenie ramion.

-Jak mogę pamiętać? Przesłuchiwaliśmy tysiące…

-Przesłuchiwaliście! Biliście, dręczyliście do nieprzytomności, odbijaliście nerki, łamali kości, rzucali jak worki do

piwnic, znów wyciągali, miażdżyli twarze, jądra – wy to nazywacie przysłuchiwaniem! Gorący, straszliwy jęk tych, którzy już nie mogli krzyczeć. Przesłuchiwania! Jęki między omdlewaniem, kopanie w brzuch, pałki gumowe, bicze, tak, to wszystko nazywa się u was niewinnie "przesłuchiwaniem"!

Ravic zapatrzył się w niewidzialną twarz w szybie, poprzez którą przelatywały krajobrazy ze zbożem, makami i polnymi różami, zapatrzył się, poruszał wargami i mówił, mówił wszystko,

co chciał powiedzieć i musiał kiedyś powiedzieć.

-Ręce przy sobie, bo strzelę! Czy pamiętasz małego Maksa Rosenberga, który leżał z poszarpanym ciałem w piwnicy obok mnie i usiłował rozbić sobie głowę o betonową ścianę, byle tylko nie być znów "przesłuchiwanym"? Przesłuchiwanym -dlaczego? Bo był demokratą! A Willmanna, który oddawał mocz z krwią, nie miał ani jednego zęba i tylko jedno oko, potem kiedy "przesłuchiwaliście*' go dwie godziny? Przesłuchiwaliście – dlaczego? Bo był katolikiem i nie wierzył, że wasz fiihrer jest nowym Mesjaszem. A Riesenfeld, którego głowa i plecy wyglądały jak krwawe ochłapy mięsa i który błagał nas, żebyśmy mu przegryźli tętnice, ponieważ nie mógł sam tego zrobić, bo nie miał zębów po "przesłuchiwaniu" go przez ciebie. Przesłuchiwaniu – dlaczego? Bo występował przeciw wojnie i nie wierzył, że kulturę wyraża się najdoskonalej bombami i miotaczami ognia. Przesłuchiwaliście! przesłuchiwaliście" tysiące, tak… Ręce przy sobie, ty świnio! I wreszcie mam cię, i wiozę do domu, który ma grube mury, i ja będę ciebie "przesłuchiwał" – powoli, powoli, dzień za dniem, tak, jake-ście nas nauczyli! A potem…

Nagle Ravic zorientował się, że wóz pędzi zbyt szybko. Przymknął gaz. Domy. Wieś. Psy. Konie na pastwisku, w galopie, z wyciągniętymi szyjami, z podniesionymi głowami jak centaury. Pogańskie, mocne życie. Śmiejąca się kobieta z koszem bielizny. Pranie rozwieszone na sznurach, flagi spokojnej szczęśliwości. Dzieci bawiące się przed drzwiami. Zobaczył to wszystko naraz, jak gdyby przez szklaną ścianę, blisko i nieskończenie daleko, krajobrazy pełne piękna, pokoju i niewinności, boleśnie silne, oddzielone od niego i na zawsze – przez to, co zaszło w tę noc – nieosiągalne. Niczego nie żałował. Tak było i już.

391 Musi wolno jechać. Szybka jazda przez wsie to jedyna okazja, żeby go zatrzymali. Zegar. Pędzi już dwie godziny. Czy to możliwe? Nie zdawał sobie wcale z tego sprawy. Nic nie widział. Tylko tę twarz, do której mówił…

Saint Germain. Park. Czarne sztachety na tle błękitnego nieba, potem drzewa. Nic, tylko drzewa. Aleje drzew, park drzew, upragnionych, wyglądanych. I wreszcie las.

Wóz szedł ciszej. Las rósł jak złota i zielona fala, otwierał się na prawo i na lewo, zalał cały horyzont, objął wszystko, także tego szybkiego, połyskliwego owada, który się w nim poruszał zygzakiem.

Grunt był miękki i porosły krzakami. Z dala od drogi. Ravic postawił wóz o sto metrów dalej, tak aby móc go widzieć. Potem wyciągnął łopatę i zabrał się do kopania. Łatwo szło. Gdyby ktoś szedł i zobaczył wóz, Ravic zdążyłby schować łopatę i udać niewinnego spacerowicza.

Dokopał się tak głęboko, żeby mieć dość ziemi do przykrycia ciała. Potem podjechał wozem bliżej. Martwe ciało jest ciężkie. Na wszelki wypadek podjechał tylko tak daleko, jak sięgał twardy grunt, by nie zostawić śladów opon.

Zwłoki jeszcze nie zesztywniały. Zawlókł je do jamy i zaczął zdzierać ubranie, składając je

na kupę. Poszło mu to łatwiej, niż myślał. Potem zostawił nagiego trupa, zebrał ubrania do kufra i znowu odjechał wozem. Zamknął drzwiczki i kufer na klucz i wziął młotek. Musiał brać pod uwagę, że ktoś przypadkiem znajdzie ciało, i chciał uniemożliwić zidentyfikowanie go.

Musiał się przezwyciężyć. Najchętniej porzuciłby zwłoki, wsiadł do wozu i umknął. Chwilę stał, rozglądając się dokoła. O kilka metrów od niego goniły się naokoło buka dwie wiewiórki. Ich rude futerka połyskiwały w słońcu. Poszedł dalej.

Napuchła. Sina. Zakrył twarz Haakego wełnianym gałga-nem nasyconym olejem i zaczął ją miażdżyć młotkiem. Po pierwszym ciosie przerwał. Uderzenie wywoływało głuchy odgłos. Potem zaczął szybko bić młotkiem. Po upływie pewnego czasu podniósł gałgan: cała twarz stała się miazgą przesiąkniętą czarną posoką. “Jak głowa Riesenfelda" – pomyślał. Poczuł, że ma zaciśnięte zęby. “Nie, głowa Riesenfelda była gorsza. On jeszcze żył".

392

Pierścień na prawym ręku. Zsunął go i popchnął trupa do jamy. Okazała się nieco za krótka. Przygiął mu kolana do brzucha. Zasypał ziemią. Robota szła szybko. Udeptał to miejsce i przykrył kwadratami darni, które uprzednio wyciął łopatą. Pasowały. Trzeba się było nisko schylić, żeby zobaczyć brzegi. Podniósł zdeptane krzaki.

Młotek. Łopata. Gałgan. Włożył go do kufra razem z ubraniem. Potem ruszył tą samą drogą z powrotem, szukając śladów. Nie znalazł prawie żadnych. Deszcz i kilka dni wegetacji dokonają reszty.

Dziwna rzecz: buty zmarłego. Skarpety. Bielizna. Ubranie w mniejszym stopniu. Skarpety, koszula, bielizna są zwiędnięte, jakby przesiąkły atmosferą śmierci. Wstrętem przejmowało dotykanie ich, szukanie monogramów i etykietek krawca.

Uporał się z tym szybko. Wszystko to wyciął. Potem zwinął rzeczy i zakopał o kilkanaście kilometrów od miejsca, gdzie zagrzebał ciało. Dostatecznie daleko, by zapobiec odnalezieniu ich w tym samym czasie.

Pojechał dalej, póki nie znalazł strumienia. Zawinął w papier monogramy i etykietki. Podarł na strzępki notes Haakego i przeszukał pugilares. Zawierał dwa tysiące franków, bilet do Berlina, dziesięć marek, kilka karteczek z adresami i paszport. Ravic schował do kieszeni francuskie pieniądze, znalazł jeszcze kilka pietiofrankowych banknotów w kieszeni Haakego.

Przez chwilę patrzył na bilet kolejowy. Bilet do Berlina, czy to nie dziwne? Do Berlina. Podarł go i dołączył do pozostałych strzępów. Długo patrzył na paszport. Był ważny na trzy lata. Uczuł pokusę, żeby go zatrzymać. Pasowałby do jego egzystencji. Ravic nie wahałby się ani chwili, gdyby to nie było niebezpieczne.

Podarł go. To samo zrobił z dziesieciomarkowym banknotem. Zatrzymał klucze Haakego, rewolwer i kwit na rzeczy. Chciał się jeszcze namyślić, czy nie odebrać walizek i w ten sposób

zatrzeć w Paryżu wszelkie ślady. Podarł rachunek hotelowy.

Spalił wszystko. Zabrało to mu więcej czasu, niż myślał, ale miał gazety, z którymi materiał dobrze się palił. Popiół rzucił

393 do strumienia. Zbadał wnętrze wozu, czy nie ma gdzie śladów krwi. Nie było żadnych. Starannie umył młotek i klucz, schował je z powrotem do kufra. Umył ręce, najlepiej jak się dało, wyciągnął papierosa i siedział przez chwilę, paląc.

Słońce świeciło z ukosa przez liście wysokich buków. Ravic siedział i palił. Czuł w sobie pustkę, nie myślał o niczym.

Dopiero kiedy wjechał znów na drogę wiodącą do zamku, myśl jego wróciła ku Sybilli. Biały zamek pławił się w słońcu pod wiecznym niebem osiemnastego wieku. Nagle przyszła mu na myśl Sybilla i po raz pierwszy od lat nie próbował bronić się przed tym wspomnieniem, pozbyć się go, stłumić. We wspomnieniach nigdy nie cofał się dalej niż do dnia, kiedy Haake kazał ją wprowadzić. Nie cofał się nigdy dalej niż do obłędnej trwogi i grozy w jej twarzy. Wyparło to wszystkie inne wrażenia. Nie cofał się nigdy poza chwilę, kiedy usłyszał, że się powiesiła. Nie wierzył w to. Było to możliwe, ale kto wie, co się z nią działo przedtem? Nigdy nie mógł myśleć o niej, nie odczuwając jednocześnie w mózgu skurczu, który zaciskał mu palce na kształt szponów, wstrzymywał oddech, tak że przez wiele dni nie mógł wydostać się z czerwonej mgły bezsilnej nadziei na zemstę.

Teraz znów o niej myślał, ale skurcz i mgła znikły. Coś się w nim rozluźniło, padła barykada, poruszył się sztywny obraz grozy, nie był już zamarznięty na kość jak przez tyle lat. Zamknęły się wykrzywione usta, oczy utraciły wyraz osłupienia, krew wróciła do kredowobladej twarzy. Nie była to już odwieczna maska grozy, lecz Sybilla, dziewczyna, którą znał, z którą żył, której delikatne piersi czuł na swoich i która przesunęła się przez dwa lata jego życia jak wieczór czerwcowy.

Wstawały dnie i wieczory jak zapomniane fajerwerki, z nagła rozświetlające horyzont. I nagle stało się, że zabarykadowane, krwią zbryzgane wrota, które oddzielały jego przeszłość, otworzyły się lekko i bezgłośnie, a za nimi rozkwitał znowu ogród, a nie czeluście piwnic gestapo.

Przeszło godzinę włóczył się tak Ravic po drogach. Nie wracał do Paryża. Stanął na moście przerzuconym przez Se-kwanę tuż za Saint Germain i rzucił do rzeki klucze i rewolwer Haakego. Potem opuścił budę wozu i ruszył w powrotną drogę.

394

Jechał rankiem przez Francję. Noc była zapomniana i oddaliła się o dziesiątki lat. Wypadki sprzed kilku godzin stawały się coraz mniej wyraźne, a to, co tłumił w sobie od lat, wyrosło nagle i tajemniczo i zbliżyło się, jakby nie dzieliła go od nich przepaść.

Co się z nim stało? Myślał, że będzie pusty, zmęczony, obojętny, podniecony, oczekiwał uczucia wstrętu, milczącego usprawiedliwiania się, pragnienia wódki i zapomnienia, ale nie spodziewał się, że odczuje ulgę, jakby nagle opadły rygle zamykające przeszłość. Rozejrzał się. Krajobraz pomykał wkoło, paliły się zielone pochodnie topoli, rozległe pola chabrów i maków zamykały się za nim bezgłośnie, z małych piekarni wiejskich pachniał świeży chleb, z budynku szkoły dochodził śpiew dzieci, któremu towarzyszyły skrzypce.

O czym to myślał przedtem, kiedy tędy przejeżdżał? Przedtem, kilka godzin, kilka lat temu? Gdzie podziała się szklana ściana, dzieląca go od świata? Rozwiała się jak mgła na słońcu. Znowu widział igrające na progach dzieci, widział śpiące w słońcu psy i koty, kołyszącą się na wietrze kolorową bieliznę, pasące się konie i kobietę, która ciągle jeszcze stała w polu z kleszczykami do przytrzymywania bielizny, rozwieszając długie rzędy koszul. Widział to i czuł, że jest cząstką tego bardziej niż kilka lat temu. Coś w nim odtajało, kiełkowało znów miękkie i wilgotne, spalone pole pokryło się nową zielenią, coś w nim zakołysało się i powoli wracało do równowagi.

Siedział w samochodzie, bojąc się poruszyć, by tego nie spłoszyć. Rosło to w nim i rosło, okrążało go, siedział więc spokojnie i jeszcze nie wierzył, ale czuł i wiedział, że to nadeszło. Sądził, że siądzie przy nim ponury cień Haakego, a siadło samo życie, powróciło i spoglądało na niego. Zamknęło się dwoje oczu, które od wielu lat trwały w tragicznym zapatrzeniu, grożąc i oskarżając, usta nawiedził spokój, a wzniesione w przerażeniu ramiona opadły. Śmierć Haakego przywróciła zmarłemu obliczu Sybilli wyraz życia, a teraz sprawiła, że zaczęło się rozpływać we mgle. Znikło w spokoju, nigdy już się nie ukaże, pogrzebały je topole i lipy, a pozostało lato, brzęczenie pszczół i zmęczenie. Jak gdyby nie spał przez wiele nocy, a teraz miał zasnąć na długo albo nie zasnąć już nigdy.

Postawił talbota na rue Poncelet. W chwili gdy ucichł motor, a on stanął na ziemi, poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Nie było to wyczerpanie, które czuł w drodze, ale bezosobowe, nagie pragnienie snu. Poszedł do hotelu “International'', musiał się przy tym zdobyć na wielki wysiłek. Słońce kładło mu się ciężarem na ramiona. Przypomniał sobie, że musi zwolnić pokój w “Prince de Galles''. Zapomniał o tym. Był tak zmęczony, że przez chwilę czuł pokusę, aby odłożyć to na później. Potem zmusił się, wziął taksówkę i pojechał do hotelu. O mało nie zapomniał o walizie, płacąc rachunek.

Czekał w chłodnym hallu. Na prawo, przy biurze, siedziało kilka osób, pijąc martini. Mało nie zasnął na stojąco, czekając na posługacza. Potem dał mu napiwek i wsiadł do drugiej taksówki.

–Na Gare de *YEst* – powiedział umyślnie głośno, żeby być słyszanym przez portiera i posługacza. Na rogu rue de la Boetie kazał stanąć.

–Omyliłem się o godzinę – powiedział. – Mam jeszcze czas. Proszę się zatrzymać tu, przed barem.

Zapłacił, wziął walizkę, wszedł do baru i patrzył, póki taksówka nie odjechała. Wtedy znów wyszedł, wziął inną i pojechał do “Internationalu".

Na dole nie było nikogo prócz zaspanego chłopaka. Była dwunasta, właścicielka jadła obiad. Ravic zaniósł walizkę do pokoju. Rozebrał się i wziął prysznic. Mył się długo i starannie. Potem natarł się spirytusem. Odświeżyło go to. Wyjął rzeczy, odstawił walizkę. Włożył czystą bieliznę, inny garnitur i poszedł do Morozowa.

–Właśnie chciałem iść do ciebie – powiedział Morozow. – Mam dziś wolny dzień. Możemy zjeść razem śniadanie w “Prince de Galles"… – Zamilkł, przyglądając się uważnie Ravicowi.

–Już nie trzeba – rzekł Ravic. Morozow spojrzał na niego.

–Skończone – powiedział Ravic. – Dziś rano. Nie pytaj o nic. Chcę spać.

–Potrzebujesz czego?

–Nie. Wszystko załatwione. Powiodło się.

396

–Gdzie wóz?

–Na rue Poncelet. Wszystko w porządku.

–Nic nie trzeba robić?

–Nic. Nagle dostałem gwałtownego bólu głowy. Kładę się. Potem przyjdę.

–Doskonale. Czy jesteś pewien, że nie ma nic do załatwienia.

–Tak – powiedział Ravic. – Nie ma nic, Borysie. Łatwo poszło.

–O niczym nie zapomniałeś?

–Tak mi się wydaje. Nie mogę myśleć o tym w tej chwili. Później. Będziesz w hotelu?

–Oczywiście.

–Doskonale. Potem zejdę.

Ravic wrócił do siebie. Miał silny ból głowy. Przez chwilę stał przy oknie. Lilie kwitły w skrzynce na oknie uchodźcy Wiesenhoffa. Szara ściana naprzeciw świeciła oknami. Wszystko się skończyło. Tak było dobrze, tak być powinno, ale skończyło się, nic więcej nie było do zrobienia. Już nic nie pozostało. Nic przed nim nie ma. ^Jutro" to słowo bez znaczenia. Za oknem “dziś" zapadało w niebyt.

Rozebrał się i umył raz jeszcze. Potem włożył ręce w alkohol i wysuszył na powietrzu. Skóra na stawach palców naciągnęła się. Głowę miał ciężką, czuł, jakby mózg w niej się kołatał. Wyjął strzykawkę i wygotował ją w elektrycznej maszynce na parapecie okna. Woda wrzała chwilę. Przypomniał mu się strumień. Tylko on. Odłamał szyjki dwóch ampułek i we-ssał strzykawką ich przezroczystą zawartość. Zrobił sobie zastrzyk i położył się na łóżku. Po chwili wstał raz jeszcze i okrył się starym szlafrokiem. Czuł się, jakby miał lat dwanaście, zmęczony i samotny dziwaczną samotnością dorastającego chłopca.

Zbudził się o zmroku. Nad dachami domów snuł się różowy blask. Z dołu dochodziły głosy Wiesenhoffa i Goldbergowej. Nie rozumiał, co mówią, i nie starał się o to. Czuł się jak człowiek nie nawykły do spania w dzień, który czuje się wyrwany z otaczającego go świata i dojrzały do nagłego, bezsensownego samobójstwa. “Chciałbym teraz operować" – pomyślał. “Jakiś ciężki, prawie beznadziejny przypadek". Przypomniało mu się,

397 że cały dzień nie jadł. Nagle poczuł szalony głód. Ból głowy minął. Ubrał się i zszedł na dół.

Morozow bez marynarki siedział nad stołem, rozwiązując jakiś problem szachowy. Pokój był prawie pusty. Na ścianie wisiał płaszcz wojskowy, w rogu ikona z wieczną lampką, w drugim stał stolik z samowarem, w trzecim nowoczesna lodówka. To był luksus Mrozowa. Trzymał w niej wódkę, jedzenie i piwo. Przed łóżkiem leżał turecki dywan.

Morozow wstał bez słowa, przyniósł dwa kieliszki i butelkę wódki. Napełnił kieliszki.

–Żubrówka – powiedział. Ravic siadł przy stole.

–Nie będę pił, Borysie. Umieram z głodu.

–Świetnie, idziemy jeść. Tymczasem… – Morozow poszperał w lodówce i wydobył z niej rosyjski razowiec, ogórek, masło i pudełeczko kawioru. – Tymczasem przekąśmy. Kawior to prezent od szefa kuchni w “Szeherezadzie". Autentyczny.

–Borysie – powiedział Ravic – dajmy spokój udawaniu. Spotkałem tego człowieka przed “Ozyrysem", zabiłem go w Lasku, a pogrzebałem w Saint Germain.

–Nikt cię nie widział?

–Nie, nawet przed “Ozyrysem".

–Nigdzie?

–W Lasku ktoś szedł przez łączkę, ale już było po wszystkim. Miałem Haakego w wozie. Nic nie było do oglądania prócz wozu i mnie; właśnie wymiotowałem. Mogłem się upić albo rozchorować. Nic nadzwyczajnego.

–A co zrobiłeś z jego rzeczami?

–Zakopałem. Wyciąłem znaki i spaliłem razem z papierami. Mam tylko jego pieniądze i kwit na rzeczy z Gare du Nord. Zwolnił pokój w hotelud miał dziś rano wyjechać.

–Do diabła, co za zbieg okoliczności! Żadnych śladów krwi?

–Nie, nawet właściwie nie było krwi. Zwolniłem pokój w "Prince de Galles". Zabrałem rzeczy. Prawdopodobnie ludzie, z którymi tu miał do czynienia, pomyślą, że wyjechał. Jeżeli odbierzemy jego rzeczy, nie pozostanie żaden ślad.

–Ale w Berlinie będą wiedzieli, że nie przyjechał, i *zaczną* sprawdzać.

–Jeśli nie będzie rzeczy, nie będą wiedzieli, dokąd wyjechał.

–Dowiedzą się. Sprawdzą, że nie wykorzystał miejsca w sypialnym wagonie. Spaliłeś bilet?

–Tak.

–To lepiej spalić także kwit.

–Albo odesłać z poleceniem, żeby przesłali rzeczy do Berlina czy gdzie indziej za pobraniem.

–Na jedno wyjdzie. Lepiej spalić. Byle nie przechytrzyć. Przepadł, to się w Paryżu zdarza. Zaczną sprawdzać i przy odrobinie szczęścia dojdą, gdzie go ostatnim razem widziano. W "Ozyrysie". Wchodziłeś tam?

–Owszem, na chwilę. Widziałem go, ale on mnie nie. Czekałem na ulicy. Nikt nas razem nie widział.

–Mogą sprawdzić, kto był o tym czasie w "Ozyrysie". Ro-landa przypomni sobie, że ciebie widziała.

–Często tam bywam, to nie ma znaczenia.

–Po co mają cię badać? Uchodźca bez papierów! Czy Rolan-da wie, gdzie mieszkasz?

–Nie, ale zna adres Vebera. On jest ich urzędowym lekarzem. Rolanda za parę dni opuszcza "Ozyrysa".

–Odszukają ją. – Morozow napełnił kieliszki. – Ravic, sądzę, że powinieneś na jakiś czas zniknąć. Ravic popatrzył na niego.

–Łatwo mówić. Ale dokąd?

–Dokądkolwiek, gdzie ludno. Cannes, Deauville. Tłumy tam teraz jeżdżą, a w tłumie łatwo zniknąć. Albo Antibes. Byłeś tam, o papiery nikt nie pyta. Tamczasem Veber i Rolanda dadzą mi znać, czy cię poszukiwano jako świadka.

Ravic potrząsnął głową.

–Najlepiej siedzieć na miejscu i żyć dalej, jak gdyby nigdy nic.

–Nie w tym wypadku. Ravic popatrzał na Morozowa.

–Nigdzie nie wyjadę. Zostanę tutaj. To stanowi część tego wszystkiego. Że też tego nie rozumiesz! Morozow nie odpowiedział.

–Przede wszystkim spal kwit na rzeczy-powiedział wreszcie.

Ravic wyjął papierek z kieszeni i spalił nad popielniczką. Morozow wziął miedzianą popielniczkę i wyrzucił popiół przez okno.

–Zrobione. Nic więcej nie masz?

399 – Pieniądze.

–Pokaż.

Obejrzał je. Żadnych znaków.

–Tego łatwo się pozbyć. Co z nimi zrobisz?

–Mogę przesłać anonimowo komitetowi uchodźczemu.

–Zmień jutro, a wyślij za dwa tygodnie.

–Dobrze.

Ravic schował banknoty do kieszeni. Składając je, zorientował się, że jadł. Spojrzał przelotnie na ręce. Co za dziwne myśli miał dziś rano! Wziął drugi kawałek świeżego czarnego chleba.

–Dokąd pójdziemy zjeść? – spytał Morozow.

–Dokądkolwiek.

Morozow popatrzył na niego. Ravic uśmiechnął się. Uśmiechnął się po raz pierwszy.

–Borysie, nie patrz na mnie jak pielęgniarka, która obawia się lada chwila ataku nerwowego u pacjenta. Zgładziłem bestię, która zasługiwała na stokroć więcej. Zabiłem w życiu

kilkudziesięciu ludzi, którzy nic mnie nie obchodzili, zostałem za to odznaczony, a przecież nie zabiłem ich także w uczciwej walce, lecz śledziłem ich, czatowałem, napadałem z tyłu, kiedy się tego najmniej spodziewali, i to się nazywało wojną i było czymś zaszczytnym. Jedyną rzeczą, która mnie dręczyła kilka minut, było to, że nie mogłem Haakemu rzucić wszystkiego w twarz, ale była to idiotyczna zachcianka. Teraz koniec z nim, nikogo już nie będzie torturował, przespałem całą sprawę i wydaje mi się tak odległa, jakbym o niej czytał w gazecie.

–No, to dobrze. – Morozow zapiał marynarkę. – Chodźmy. Muszę się czegoś napić. Ravic spojrzał na niego.

–Ty?

–Tak, ja – powiedział Morozow -ja! – Zawahał się sekundę. – Dziś po raz pierwszy poczułem się stary.

31

Pożegnalna uczta Rolandy zaczęła się punktualnie o szóstej. Trwała tylko godzinę. O siódmej zaczął się zwykły ruch.

Stół zastawiono w bocznym pokoju. Wszystkie dziewczyny były ubrane, większość wystąpiła w czarnych jedwabnych sukniach. Widząc je zawsze nagie albo w kusych, cienkich szmatkach, Ravic nie mógł niektórych rozpoznać. Kilka zostało w dużej sali jako pogotowie na wszelki wypadek. O siódmej miały się przebrać i siąść do stołu. Żadna z nich nie weszłaby do pokoju w stroju zawodowym. Nie był to nakaz madame, dziewczęta same sobie tego życzyły. Ravic nie oczekiwał zresztą niczego innego. Znał etykietę panującą w tym środowisku, była ona surowsza niż wśród arystokracji.

Dziewczęta złożyły się i zafundowały Rolandzie sześć wyplatanych krzeseł do restauracji. Madame ofiarowała jej kasę. Ravic dwa marmurowe stoliki do kompletu z krzesełkami. Był jedynym gościem z zewnątrz i jedynym mężczyzną w towarzystwie.

Pięć po szóstej rozpoczął się obiad. Madame prezydowała u stołu. Rolanda siedziała po jej prawej ręce, Ravic po lewej. Dalej nowa zarządzająca, jej zastępczyni, wreszcie dziewczęta.

Zakąski były wyborne. Pasztet sztrasburski i pasztet domowy, do tego stare sherry. Przed Ravikiem postawiono butelkę wódki. Nie znosił sherry. Dalej szła vichy oise w najlepszym gatunku, potem turbot i Mersault 1933. Turbot w niczym nie ustępował podawanemu u Maxima. Wino było lekkie i w miarę chłodne. Następnie podano cienkie zielone szparagi, kurczęta z rożna, kruche i miękkie, wyszukaną sałatę z odrobiną czosnku, do tego Chateaux St. Emilion. Goście zajmujący honorowe miejsca pili Romane Conti 1921.

401 – Dziewczęta nie znają się na tym – powiedziała madame.

Ravic się poznał. Podano mu drugą butelkę. Za to zrezygnował z szampana i kremu

czekoladowego. Potem towarzyszył madame przy lejącym się serze brie z białym chlebem bez masła.

Przy stole prowadzono rozmowę jak w pensjonacie dla młodych panienek. Wyplatane krzesła ozdobione były wstążkami, metalowa kasa błyszczała, bieliły się marmurowe stoliki. Nad pokojem unosiła się fala melancholii. Madame miała czarną toaletę. Włożyła brylanty. Nie za wiele. Broszkę i pierścionek. Wspaniałe blauweissy. Żadnej korony, choć niedawno została hrabiną. Miała dobry smak. Madame przepadała za brylantami. Uważała, że rubiny i szmaragdy są ryzykowne, a brylanty zawsze mają swoją wartość. Gawędziła z Ro-landą i Ravikiem. Była oczytana, rozmowa z nią miała wdzięk, dowcip i lekkość. Cytowała Montaigne'a, Chateaubrianda i Woltera. Nad twarzą rozumną i pełną ironii lśniły siwe włosy o sztucznie nadanym, lekko niebieskawym odcieniu.

Po kawie, o godzinie siódmej, dziewczęta wstały jak posłuszne uczennice pensjonatu. Podziękowały grzecznie madame i pożegnały Rolandę. Madame pozostała jeszcze chwilę. Kazała przynieść butelkę armagnacu, jakiego Ravic w życiu nie kosztował. Dziewczęta z grupy, która miała dyżur, weszły umyte, umalowane mniej jaskrawo niż przy pracy, w wieczorowych sukniach. Madame poczekała, póki wszystkie nie usiadły i nie zabrały się do turbota. Zamieniła z każdą z nich kilka słów, dziękując, że poświęciły poprzednią godzinę. Potem pożegnała się z wdziękiem.

–Zobaczę panią jeszcze, Rolando, przed odjazdem?

–Oczywiście, proszę pani.

–Czy mogę zostawić panu armagnac? – spytała Ravica. Ravic podziękował. Wyszła, prawdziwa dama w każdym calu. Ravic wziął butelkę i przysiadł się do Rolandy.

–Kiedy odjazd? – zapytał.

–Jutro po południu, czwarta siedem.

–Przyjdę na stację.

–Nie, Ravic, to niemożliwe. Mój narzeczony przyjeżdża dzisiaj, odbędziemy podróż razem. Rozumiesz chyba, że to niemożliwe. Zdziwiłby się.

–Naturalnie.

–Jutro rano kupimy resztę rzeczy i odeślemy je, zanim sami wyruszymy. Wieczorem przenoszę się do hotelu “Belfort". Dobry, czysty, nie za drogi.

–Czy i on tam zamieszka?

–Skądże – odparła zdumiona Rolanda. – Nie jesteśmy przecież jeszcze małżeństwem.

–To prawda.

Ravic zdawał sobie sprawę, że to nie jest poza. Rolanda była typową mieszczką, która miała swój zawód. Czy to był pensjonat dla panien, czy burdel, nie miało znaczenia. Uprawiała zawód, teraz rzuca go i wraca do swego drobnomieszczańskie-go świata, nie zabierając ani cienia z dawnego środowiska. Tak było z wieloma prostytutkami. Niektóre z nich stawały się idealnymi żonami. Prostytucja to poważny zawód, a nie występek. To je chroniło przed degradacją.

Rolanda wzięła butelkę i napełniła Ravicowi kieliszek. Potem wyjęła kartkę z torebki.

–Jeślibyś chciał kiedyś opuścić Paryż, tu jest adres naszego domu. Możesz przyjechać w każdej chwili. Ravic spojrzał na adres.

–Napisałam oba nazwiska – dodała. – Moje na pierwsze dwa tygodnie. Potem nazwisko mojego narzeczonego. Schował kartkę do kieszeni.

–Dziękuję ci, Rolando. Tymczasem nie mam zamiaru stąd się ruszać. Poza tym twój narzeczony byłby z pewnością zdziwiony, gdybym nagle spadł z nieba.

–Mówisz to dlatego, że nie chcę, abyś przyszedł na stację? To zupełnie co innego. Daję ci adres na wypadek, gdybyś musiał któregoś dnia opuścić Paryż. Nagle.

Spojrzał na nią.

–Dlaczego?

–Ravic – powiedziała Rolanda -jesteś uchodźcą. Uchodźcy mają rozmaite trudności. Dobrze jest wiedzieć, gdzie się można schronić, tak aby policja się tym nie interesowała.

–Skąd wiesz, że jestem uchodźcą?

–Wiem. Ale nikomu o tym nie mówiłam. Co komu do tego. Zachowaj adres. A gdybyś go kiedyś potrzebował, przyjedź. U nas nikt nie będzie cię o nic pytał.

–Dobrze. Dziękuję, Rolando.

403 – Dwa dni temu był ktoś z policji. Pytał o jakiegoś Niemca. Chciał wiedzieć, czy on tu przychodził.

–Czy tak? – Ravic słuchał uważnie.

–Tak. Był tu ostatnim razem, kiedyś ty do nas zaszedł. Na pewno już tego nie pamiętasz. Tęgi, łysy. Siedział z Iwoną i Klarą. Policja pytała o niego i dowiadywała się, kto jeszcze był tu wtedy.

–Nie przypominam sobie – powiedział Ravic.

–Pewno go nawet nie zauważyłeś. W każdym razie nie wspomniałam, że byłeś tu tej nocy. Ravic skinął głową.

–Tak lepiej – dodała Rolanda. – Po co pozwalać, żeby się glina wtrącał do paszportów niewinnych ludzi.

–Oczywiście. A czy mówił, o co mu chodzi? Rolanda wzruszyła ramionami.

–Nie. I nic nam do tego. Powiedziałam mu, że w ogóle nikogo nie było. To stara zasada naszego domu. Nigdy o niczym nie wiemy. To lepiej. On też nie bardzo się dopytywał.

–Czyżby?

Rolanda uśmiechnęła się.

–Ravic, jest wielu Francuzów, którzy nie bardzo się wzruszają tym, co może się nagle stać niemieckiemu turyście. Mamy inne kłopoty.

Wstała.

–Muszę już iść. Do widzenia, Ravic.

–Do widzenia, Rolando. Tutaj nie będzie już tak, jak było, bez ciebie. Uśmiechnęła się.

–Zapewne nie od razu, ale potem jakoś się ułoży.

Odeszła, żeby się pożegnać z dziewczętami. Po drodze rzuciła okiem na kasę, krzesełka i stoliki. To były praktyczne prezenty. Już je widziała w swojej kawiarni. Szczególnie kasę. Uosabiała dochody, pewność, dom i zamożność. Chwilę się wahała, ale nie mogła zapanować nad sobą. Wyjęła z torebki kilka monet, położyła je obok błyszczącego aparatu i zaczęła wystukiwać cyfry. Maszyna zawarczała, wybiła dwa franki pięćdziesiąt, wysunęła się szufladka i Rolanda zain-kasowała od samej siebie pieniądze z uśmiechem szczęśliwego dziecka.

Dziewczęta podeszły zaciekawione, otaczając kasę. Rolanda wystukała następną sumę. Frank siedemdziesiąt pięć.

–Co u pani można dostać za franka siedemdziesiąt pięć? – spytała Małgorzata, zwana także Kobyłą. Rolanda namyślała się chwilę.

–Kieliszek Dubonnet, dwa kieliszki pernodu.

–A ile pani liczy za amer picon i piwo?

–Siedemdziesiąt centymów. – I Rolanda wystukała: zero franków, siedemdziesiąt centymów.

–Taniocha – powiedziała Kobyła.

–Musimy liczyć taniej niż w Paryżu – tłumaczyła Rolanda.

Dziewczęta odsunęły plecione krzesełka od marmurowych stolików i ostrożnie usiadły. Wygładzając wieczorowe sukienki, zaczęły się bawić w gości przyszłej kawiarni Rolandy.

–Prosimy o trzy herbaty i angielskie biszkopty, pani Rolando – prosiła Daisy, subtelna blondynka, ulubienica żonkosiów.

–Siedem osiemdziesiąt. - Rolanda pracowicie stukała w kasę. – Bardzo mi przykro, ale angielskie biszkopty są drogie.

Przy drugim stoliku Małgorzata zwana Kobyłą podniosła głowę w śmiałej decyzji.

–Dwie butelki Pommery – zamówiła z triumfem. Lubiła Rolandę i chciała jej to okazać.

–Dziewięćdziesiąt franków. Dobre Pommery.

–I cztery koniaki – wysapała Kobyła – bo dzisiaj moje urodziny.

–Cztery czterdzieści. Kasa pracowała.

–I cztery kawy z bezami.

–Trzy sześćdziesiąt.

Zachwycona Kobyła wpatrywała się w Rolandę: nie mogła nic więcej wymyślić. Teraz wszystkie okrążyły kasę.

–De to wyniesie razem, pani Rolando?

Rolanda wyciągnęła zapisany pasek i zaczęła dodawać.

–Sto pięć franków osiemdziesiąt.

–A ile jest na tym zysku?

–Około trzydziestu franków. Dzięki szampanowi. Na tym się dużo zarabia.

–Pysznie – powiedziała Kobyła – pysznie! Powinno tak być zawsze.

405 Rolanda zbliżyła się znów do Ravica. Oczy jej błyszczały, jak błyszczą oczy, tylko kiedy ożywia je miłość lub pieniądze.

-*Adieu,* Ravic. Nie zapomnij, co ci powiedziałam.

–Nie zapomnę. *Adieu,* Rolando.

Odeszła mocna, wyprostowana, trzeźwo myśląca – przyszłość układała jej się prosto, życie było dobre.

Ravic siedział z Morozowem przed Fouąuetem. Była dziewiąta wieczór. Na tarasie tłumy. Za Łukiem Triumfalnym paliły się dwie latarnie o niezmiernie jasnym, białym, zimnym świetle.

–Szczury opuszczają Paryż – powiedział Morozow. – W "In-ternationalu" wolne są trzy pokoje. Nie zdarzyło się to od 1933 roku.

–Przyjadą inni uchodźcy i zajmą je z powrotem.

–Jacy jeszcze? Mieliśmy już Rosjan, Włochów, Polaków, Hiszpanów, Niemców…

–Francuzi – powiedział Ravic. – Z pasa nadgranicznego. Uchodźcy. Jak podczas ostatniej wojny.

Morozow podniósł kieliszek i zauważył, że jest pusty. Zawołał kelnera.

–Proszę jeszcze jedną karafkę Pouilly. A co będzie z tobą, Ravic?

–Niby jako ze szczurem?

–Tak.

–Dzisiejsze szczury potrzebują także paszportów i wiz. Morozow spojrzał na niego z naganą.

–A dotychczas je miałeś? Mimo to byłeś w Wiedniu, Zurychu, w Hiszpanii i Paryżu. Teraz powinieneś stąd wiać.

–Dokąd? – spytał Ravic. Ujął karafkę, którą przyniósł kelner. Szkło było chłodne, zapocone. Nalał sobie lekkiego wina. – Do Włoch? Gestapo przyłapie mnie na granicy. Do Hiszpanii? Tam czekają falangiści.

–Do Szwajcarii.

–Szwajcaria jest za mała. Byłem tam trzy razy. Za każdym razem policja łapała mnie po tygodniu i odsyłała do Francji-

–To do Anglii. Przez Belgię, jako pasażer na gapę.

–Niemożliwe. Łapią cię w porcie i odsyłają z powrotem do Belgii, a Belgia to nie jest kraj dla uchodźców.

–Do Ameryki nie można. A jak jest z Meksykiem?

–Przepełniony. Zresztą i tam można się dostać jedynie z dokumentami.

–A ty nie masz żadnych?

–Miałem kilka zaświadczeń o zwolnieniu z rozmaitych więzień, gdzie siadywałem pod rozmaitymi nazwiskami za nielegalne przekroczenie granicy. Nie są to najlepsze dokumenty. Zawsze też darłem je na kawałki.

Morozow zamilkł.

–Tak, stary, skończyło się uciekanie – powiedział Ravic. – Kiedyś zawsze się kończy.

–Czy wiesz, co tu będzie, jak wybuchnie wojna?

–Wiem. Czeka mnie francuski obóz koncentracyjny. Oczywiście podły, bo nic naprzód nie przygotują.

–A później?

Ravic wzruszył ramionami.

–Nie sięgajmy zbyt daleko w przyszłość.

–Dobrze. Ale czy pomyślałeś, co się może zdarzyć, kiedy tu się wszystko wywróci do góry nogami, a ty będziesz siedział w obozie koncentracyjnym? Niemcy mogą cię złapać.

–Mnie i wielu innych. Możliwe. Ale mogą nas też Francuzi w porę wypuścić. Kto to może wiedzieć?

–A potem?

Ravic wyjął papierosa z kieszeni.

–Dajmy temu spokój, Borysie. Nie mogę opuścić Francji. Wszędzie indziej jest niebezpiecznie albo nie można się dostać. Ja w ogóle nie chcę już wiać.

–Nie chcesz już wiać?

–Nie. Dużo o tym myślałem. Nie mogę ci tego wytłumaczyć. Nie umiem. Ale już stąd się nie ruszę. Morozow znowu zamilkł, przyglądając się tłumowi.

–Joanna – powiedział.

Siedziała z jakimś mężczyzną, daleko od nich, przy stoliku od strony Avenue George V.

–Znasz go? – spytał Ravica. Ravic spojrzał w tym kierunku.

–Nie.

407 – Szybko ich zmienia.

–Goni życie – powiedział Ravic obojętnie. – Jak większość z nas. Bez tchu, w wiecznym strachu, żeby coś jej nie ominęło.

–Można to także inaczej nazwać.

–Można, ale to się nie zmieni. Niepokój, stary. Choroba ostatniego ćwierćwiecza. Nikt już nie wierzy, że zestarzeje się spokojnie razem ze swoim dobytkiem. Każdy zwąchał swąd i stara się chwytać, co można. Nie ty, oczywiście. Ty jesteś filozofem prostych rozkoszy.

Morozow nie odpowiedział.

–Nie zna się na kapeluszach – mówił dalej Ravic. – Spójrz, co ona ma na głowie! W ogóle nie ma smaku. W tym jej siła. Kultura osłabia. Bo ostatecznie wracamy zawsze do prymitywnego instynktu życia. Ty sam jesteś wspaniałym przykładem tego.

Morozow krzywo się uśmiechnął.

–Pozostaw mi moje przyziemne rozkosze, lotny wędrowcze. Kto ma proste upodobania, lubi wiele rzeczy. Nigdy nie zostaje z próżnymi rękoma. Kto po sześćdziesiątce ugania się za miłością, jest idiotą, który spodziewa się wygrać tam, gdzie inni grają znaczonymi kartami. Dobry burdel uspokaja umysł. Dom, w którym bywam, ma szesnaście dziewcząt. Za parę franków gram rolę paszy. Pieszczoty, którymi mnie darzą, są prawdziwsze od tych, za którymi uganiają się sentymentami miłośnicy. Myślę o niewolnikach miłości.

–Rozumiem, Borysie.

–To dobrze. Wobec tego pijemy. Lekkie i chłodne Pouilly. Wdychajmy też srebrzyste powietrze Paryża, póki jest wolne od mikrobów dżumy.

–Owszem. Zauważyłeś, że kasztany drugi raz w tym roku kwitną?

Morozow skinął głową, wskazując niebo, gdzie nad ciemniejącymi dachami błyszczał wielki, czerwony (Mars.

–Mówią, że ten ananas od wielu lat nie znajdował się tak blisko Ziemi. – Roześmiał się. – Wkrótce przeczytamy w gazetach, że przyszło na świat dziecię ze znamieniem w kształcie

miecza, a gdzie indziej znów spadł krwawy deszcz. Brak tylko tajemniczej komety z wieków średnich, żeby proroctwo uzupełnić.

–Nie brak i komety. – Ravic wskazał świetlne litery zdają-

ce się gonić jedna drugą na dachu Domu Prasy i tłum, który stał w milczeniu z zadartymi głowami.

Siedzieli jeszcze przez chwilę. Niedaleko uliczny muzykant grał na harmonii *La Palomę*. Pojawili się też przekupnie dywanów, obnosząc na ramionach jedwabne Keszany. Chłopak sprzedawał przy stolikach fistaszki. I wszystko było jak zawsze, póki nie przybiegli gazeciarze. Wydarto im z rąk pisma, a w parę sekund później cały taras wyglądał jak zagrzebany wśród ogromnych, białych, bezkrwistych motyli, które chciwie obsiadły swe ofiary, poruszając bezgłośnie skrzydłami.

–Joanna idzie – powiedział Morozow.

–Gdzie?

–O, tam.

Istotnie, Joanna przecinała jezdnię, idąc ku otwartemu zielonemu samochodowi, stojącemu przy Polach Elizejskich. Nie widziała Ravica. Mężczyzna, z którym uprzednio siedziała, obszedł wóz i zasiadł przy kierownicy. Nie miał kapelusza i wyglądał dość młodo. Zręcznie wymanewrował wóz spośród innych. Był to niski delahaye.

–Piękny wóz – skonstatował Ravic.

–Piękne opony! – warknął Morozow. – Dzielny, żelazny Ra-vic! – dodał ze złością. – Zimny Europejczyk. Piękny wóz! Przeklęta dziwka, to bym zrozumiał.

Ravic uśmiechnął się.

–To nie ma znaczenia. Dziwka czy święta – to tylko twór naszej wyobraźni. Ty ze swoimi szesnastu kobietami nie możesz tego zrozumieć, pogodny bywalcze burdeli. Miłość to nie bankier, który chce wycofać swoje wkłady. Wyobraźnia potrzebuje tylko kilku gwoździ, by na nich porozwieszać swoje welony. A czy te gwoździe są złote, blaszane czy zardzewiałe, to nie gra żadnej roli. Wiesza, gdziekolwiek się da. Ciernie czy róże, z chwilą, kiedy osłoni je welon utkany z promieni księżyca i perłowych lśnień, stają się bajką z tysiąca i jednej nocy.

Morozow łyknął wina.

–Za dużo gadasz – powiedział. – Poza tym to wszystko nie ma za grosz sensu.

–Wiem, ale w kompletnych ciemnościach błędny ognik jest także światłem, Borysie.

Od placu Etoile nadchodził srebrnostopy chłód. Ravic objął

409 dłonią zamrożony kieliszek. Wyczuł chłód szkła ręką. I chłód życia sercem. Niosło go tchnienie nocy wraz z głęboką obojętnością wobec losu. Losu i przyszłości. Kiedy czuł się podobnie? W Antibes, kiedy wiedział już, że Joanna go porzuci. Obojętność, która stała się równowagą. Tak jak postanowienie, że nie będzie uciekał. Nie będzie już uciekał. To się łączyło z sobą. Zdobył zemstę i miłość, to dość. Nie wszystko, ale więcej człowiek nie może żądać. Nie oczekiwał już ani tego, ani tego. Zabił Haakego i nie opuścił Paryża. I teraz tego nie zrobi. To się łączyło z sobą. Kto korzysta z szansy, musi także dać szansę. Nie była to rezygnacja, ale spokojne, wykraczające poza logikę postanowienie. Przestał się wahać. Osiągnął wewnętrzny ład. Czekał, skupiał się, rozglądał. Było to jakieś mistyczne skoncentrowanie się przed cezurą. Wszystko utraciło dawne znaczenie. Rzeki przestały płynąć. Noc przeglądała się w rozległym jeziorze, dzień wskaże jego ujście.

–Muszę iść – powiedział Morozow, patrząc na zegarek.

–Dobrze. Ja jeszcze zostanę, Borysie.

–Korzystanie z życia przed zmierzchem bogów, co?

–Właśnie. To już nie powróci.

–To źle?

–Bynajmniej. I my też nie powrócimy. “Wczoraj" przepadło, nie przywołają go łzy ani zaklęcia.

–Za dużo gadasz. – Morozow podniósł się. – Powinieneś być wdzięczny. Oglądasz koniec wieku. Nie był to dobry wiek.

–Ale był nasz. Ty gadasz za mało, Borysie.

Stojąc, Morozow dopił kieliszek. Potem postawił go tak ostrożnie, jakby to był dynamit, i obtarł starannie brodę. Był po cywilnemu, stał przed Ravikiem wielki i ciężki.

–Nie myśl, że nie rozumiem, dlaczego zostajesz – powiedział wolno. – Rozumiem doskonale, czemu nie chcesz się już ruszać, ty fatalisto! /

Ravic wcześnie wrócił do hotelu. W hallu na dole siedziała mała, zagubiona figurka, która na jego widok zerwała się nagle z kanapki, wyrzucając dziwnie obie ręce. Zauważył, że jedna nogawka zwisała próżna, wyglądał spod niej kawał brudnego, źle ociosanego drewna.

–Panie doktorze!

Ravic przyjrzał się uważnie. W przyćmionym świetle lampy ujrzał twarz wyrostka, rozciągniętą w szerokim uśmiechu.

–Janek! – zawołał zdziwiony. – Oczywiście, Janek!

–Tak, ten sam. Czekam na pana przez cały wieczór. Dopiero dziś po południu udało mi się dostać pana adres. Próbowałem go od dawna wydobyć od tego starego pudła, starszej siostry z kliniki. Ale mi ciągle mówiła, że pana już nie ma w Paryżu.

–Istotnie, wyjeżdżałem.

–Dopiero dziś powiedziała mi, że pan tu mieszka, i przybiegłem. – Janek promieniał.

–Czy coś z twoją nogą?

–Nie! – Janek pogłaskał drewniane szczudło, jakby głaskał po grzbiecie wiernego psa. – Absolutnie nic. Wszystko pysznie.

Ravic popatrzył na szczudło.

–Widzę, że dostałeś to, czego chciałeś. A jak ci się powiodło z ubezpieczeniem?

–Nieźle. Przyznali mi sztuczną nogę, a ja wziąłem ze sklepu pieniądze z potrąceniem piętnastu procent. Wszystko w porządku.

–A wasza mleczarnia?

–Właśnie dlatego tu jestem. Otworzyliśmy tę mleczarnię. Mała, ale wystarczy. Matka handluje, a ja rozmawiam z dostawcami i prowadzę książki. Mamy dobre źródła. Prosto ze wsi.

Pokuśtykał z powrotem do wytartej kanapki i wziął mocno obwiązany pakunek w brunatnym papierze.

–Proszę, panie doktorze. To dla pana. Przyniosłem panu. Nic specjalnego, ale wszystko z naszego sklepu: chleb, masło, ser, jajka. Jeśli się akurat nie ma chęci wyjść, to niezła kolacyjka, co?

Popatrzył z ciekawością w oczy Ravica.

–To w ogóle niezła kolacyjka – powiedział Ravic. Janek skinął z zadowoleniem głową.

–Mam nadzieję, że ten ser będzie panu smakował. Brie i trochę Pont l'Ev§que.

–Moje ulubione sery.

411 – Cudownie! – Janek *gwałtownie* uderzył się po drewnianej nodze. – Pont PEveque to pomysł matki. Ja myślałem, że pan będzie wolał brie. Brie to ser dla mężczyzny.

–Na pewno oba są pyszne. Nie mogłeś wpaść na lepszy pomysł. – Ravic wziął paczkę. – Dziękuję, Janku. Nieczęsto się zdarza, żeby pacjent pamiętał o doktorze. Zwykle przychodzą, żeby im obniżyć rychunek.

–To na pewno bogacze – pokiwał głową Janek. – My nie. My zawdzięczamy panu wszystko. Gdyby noga była tylko sztywna, nie otrzymałbym prawie nic.

Ravic popatrzył na niego. “Czyżby on myślał, że uciąłem mu nogę przez życzliwość?"

–Nic innego nie dało się zrobić, Janku.

–No chyba. – Chłopiec mrugnął do niego. – To jasne. – Nasunął czapkę na czoło. – No, dobra jest, idę. Matka na mnie czeka. Długo to trwało. Muszę też iść obgadać nowy roąuefort. Do widzenia, panie doktorze. Mam nadzieję, że będzie panu smakowało.

–Do widzenia, Janku. Dziękuję. I życzę powodzenia.

–Na pewno nam się powiedzie!

Drobna postać pokuśtykała ku wyjściu.

Ravic rozwinął w pokoju paczkę i odszukał starą spirytusową maszynkę, której od lat nie używał. Znalazł gdzieś tabletki spirytusowe i małą patelnię. Wziął dwie tabletki, włożył do rezerwuarku i zapalił. Zamigotał maleńki płomyk. Ravic rzucił na patelnię kawałek masła, rozbił dwa jajka. Ukrajał kawałek świeżego, chrupiącego chleba, położył na stole papier zamiast serwety, otworzył pudełko brie, wyjął butelkę Vouvray i zaczął jeść. Dawno już tego nie robił. Jutro kupi więcej tabletek spirytusu. Maszynkę można zabrać do obozu. Była składana. Jadł wolno. Spróbował też sera Pont l'Eveque. Janek miał rację, była to dobra kolacja.

32

z Egiptu – powiedział Seidenbaum, doktor filologii i filozofii, do Ravica i Morozowa – tylko bez Mojżesza.

Żółty i chudy, stał w drzwiach “Internationalu". Na ulicy rodziny Wagnerów i Sternów oraz samotny Stolz ładowali rzeczy. Wynajęli wspólnie wóz meblowy.

W słoneczne sierpniowe popołudnie część mebli stała na dworze. Złocona kanapa pokryta Aubussonem, kilka złoconych krzeseł do kompletu i nowy dywan Aubusson. Należało" to do rodziny Sternów. Stał też olbrzymi mahoniowy stół. Sel-ma Sternowa, kobieta o zwiędłej twarzy i aksamitnych oczach, czuwała nad nim jak kwoka nad kurczętami.

–Ostrożnie! Blat! Żeby go nie podrapać. Blat! Uwaga, ostrożnie!

Blat stołu był polerowany i wywoskowany. Była to jedna ze świętości rodzinnych, za które panie domu gotowe są oddać życie. Selma Sternowa krążyła wokoło stołu i dwóch *tragarzy,* którzy z całkowitą obojętnością wynieśli i postawili drogocenny przedmiot.

Słońce odbijało się w blacie, Selma Sternowa pochyliia się nad nim ze ściereczką. Nerwowo tarła kanty. Polerowany blat jak ciemne lustro odbijał jej bladą twarz, jakby ze zwierciadła stuleci spoglądała na nią pytająco jej prababka.

Tragarze nieśli mahoniowy kredens. Był on tak samo polerowany i wywoskowany. Jeden z hidzi obrócił się zbyt gwałtownie i róg kredensu zawadził o drzwi “Internationalu".

Selma Sternowa nie krzyknęła. Stała jak obrócona w słup soli, z uniesioną ręką trzymającą ściereczkę, z półotwartymi ustami. Wyglądało to, jakby skamieniała w chwili, kiedy zamierzała wetknąć ściereczkę do ust.

413 Mąż jej, Józef Stern, mały, w okularach, z opadającą dolną wargą, zbliżył się do niej.

–No, Selmele…

Nie widziała go, zapatrzona tragicznie w pustkę.

–Kredens…

–No, Selmele. Mamy wizy…

–To kredens matki. Od rodziców…

–No, Selmele, mała rysa… To nic nie znaczy. Najważniejsze, że już mamy wizy…

–Pozostanie na zawsze. Nie da się nigdy usunąć.

–Madame – powiedział jeden z tragarzy, który wprawdzie nic nie rozumiał, ale wiedział, o co chodzi – niech pani sama pakuje swoje rzeczy. To nie moja wina, że drzwi są takie wąskie.

–*Sales boches* – powiedział drugi. Józef Stern ożył.

–My nie bosze! – powiedział. – My uchodźcy!

–*Sales refugies* – powiedział mężczyzna.

–Widzisz, Selmele, co ty wyprawiasz – mówił Stern. – Co teraz będzie? Ile kłopotu było już z tymi twoimi mahoniami. Z Koblencji wyjechaliśmy o cztery miesiące później, bo nie mogłaś się z nimi rozstać. Kosztowało to nas osiemnaście tysięcy więcej podatku od uchodźców. A teraz znów stoimy na ulicy. Czy okręt będzie na nas czekał?

Odwrócił głowę i spojrzał z rozpaczą na Morozowa.

–Co robić? *Sales bochesl Sales refugiesl* Jeśli mu powiem, że jesteśmy Żydami, to powie *sales juifs* i wtedy wszystko przepadnie.

–Niech mu pan da pieniędzy – powiedział Morozow.

–Pieniędzy? Rzuci mi je w twarz!

–Wykluczone! – wtrącił się Ravic. – Każdego, kto tak wymyśla, można kupić.

–Ale to się sprzeciwia mojemu charakterowi. Obrażają mnie i mam jeszcze dopłacać!

–Prawdziwe obelgi zaczynają się dopiero, kiedy mowa o osobach – tłumaczył Morozow. – To była obelga ogólnikowa. Niech pan ją obróci przeciw temu człowiekowi, dając mu parę groszy.

–Dobrze! – Uśmiech błysnął w oczach Sterna. – Dobrze! Wyjął kilka banknotów z kieszeni i dał ludziom. Obaj z po-

gardą przyjęli. Stern z pogardą schował portfel. Tragarze spojrzeli na siebie. Potem zaczęli ładować krzesła Aubusson. Kredens wzięli dla zasady na ostatku. Ładując, obrócili go tak, że prawa strona zawadziła o wóz. Selma Sternowa zatrzęsła się, ale nic nie powiedziała. Stern nawet tego nie zauważył. Pogrążył się całkowicie w swoich wizach i papierach.

–Nic nie wygląda tak smutnie, jak meble stojące na ulicy -zauważył Morozow.

Pozostały rzeczy Wagnerów. Kilka krzeseł, łóżko, wyglądające bezwstydnie i smutnie pośrodku trotuaru. Dwie walizy z nalepkami hoteli: Yiareggio, “Grand Hotel" Gardone, “Adlon" Berlin. Lustro toaletowe w złoconej ramie, w którym odbijała się ulica. Naczynia kuchenne – trudno było zrozumieć, po co zabierali to wszystko do Ameryki.

–Krewni – mówiła Leonia Wagner. – To wszystko zrobili dla nas krewni. Przysłali pieniądze. Wystarali się o wizy. Ale to tylko wizy na odwiedziny. Potem będziemy musieli jechać do Meksyku. Rodzina. Nasi krewni.

Wstydziła się. Czuła się dezerterem, dopóki patrzyli na nią ci, którzy tu zostawali. Dlatego przynaglała tragarzy. Sama pomagała wsuwać rzeczy do wozu. Odetchnie spokojnie, kiedy się znajdzie za rogiem. Wtedy zaczną się nowe udręki. Czy okręt na pewno odpłynie? Czy pozwolą jej wysiąść na brzeg? Czyjej nie odeślą? I tak ciągle, z jednej udręki w drugą. Od lat.

Stolz, kawaler, nie miał prawie nic prócz książek. Walizka z ubraniem i książki. Pierwodruki, stare wydania, nowe książki. Był ułomny, rudy i nieśmiały.

Ci, którzy pozostawali, skupili się u wejścia do hotelu. Prawie wszyscy milczeli. Patrzyli na rzeczy i na wóz.

–No, do widzenia – powiedziała nerwowo Leonia Wagner. Wszystko było już załadowane.

–Albo *good bye* – roześmiała się sztucznie – albo *adieu!* Wszystko mi się pomieszało. – Podała rękę kilku osobom. – Krewni – powiedziała – krewni stamtąd. Sami oczywiście nigdy nie moglibyśmy…

Umilkła. Doktor Ernest Seidenbaum poklepał ją po plecach.

–Nie szkodzi. Jednym się wiedzie, a innym nie.

–Większości nie – powiedział uchodźca Wiesenhoff. – Nie szkodzi. Szczęśliwej drogi.

415 Józef Stern pożegnał się z Ravikiem, Morozowem i kilkoma innymi. Uśmiechnął się jak ktoś, kto popełnił oszustwo.

–Kto wie, co nas czeka? Może będziemy jeszcze tęsknić do “Internationalu".

Selma Sternowa siedziała już w środku. Samotny Stolz nie żegnał się z nikim. Nie jechał do Ameryki, wiza jego sięgała ledwie Portugalii. Uważał, że to nie wystarcza do sceny pożegnania.

Krótko tylko pomachał ręką, kiedy wóz zaczął się oddalać z turkotem. Pozostający skupili się jak stadko zmokłych kur.

–Chodź! – powiedział Morozow do Ravica. – Naprzód, do katakumb! To woła o calvados!

Ledwie zajęli stolik, przyszli inni. Wtargnęli jak jesienne liście, niesione przez wiatr. Dwóch bladych rabinów o rzadkich bródkach, Wiesenhoff, Ruth Goldberg, automat szachowy Finkenstein, fatalista Seidenbaum, kilka małżeństw, pół tuzina dzieci, Rosenfeld, posiadacz impresjonistów, który ostatecznie nie wyjechał, kilku wyrostków i paru starców.

Za wcześnie było na kolację, ale nikt nie miał chęci znaleźć się samotnie w pokoju. Siedzieli więc razem. Cicho, prawie zrezygnowani. Tyle nieszczęść już wszyscy przeszli; jedno więcej nie odgrywało roli.

–Arystokracja odjechała – powiedział Seidenbaum. – Teraz odbywa się zebranie skazanych na śmierć albo na dożywotnie więzienie. Naród wybrany! Ulubieńcy Jehowy! Specjalnie na pogromy. Niech żyje życie!

–Pozostaje Hiszpania – powiedział Finkenstein. Miał przed sobą szachownicę i zadania szachowe z “Matin".

–Hiszpania! Faszyści całują Żydów, kiedy się u nich zjawiają. Pulchna, zwinna kelnerka przyniosła calvados. Seidenbaum nałożył binokle.

–Nawet i to nie każdemu z nas się udaje – oświadczył -żeby się porządnie upić. Choć na jedną noc uwolnić się od trosk. Nawet to. Potomstwo Ahaswera. Nawet on, stary wędrowiec, wpadłby dziś w rozpacz. Nie zaszedłby daleko bez papierów.

–Niech pan się napije z nami – powiedział Morozow. – Calvados jest niezły. Dzięki Bogu, właścicielka nie dowiedziała się o tym jeszcze. Od razu podniosłaby cenę.

Seidenbaum potrząsnął głową.

–Nie piję.

Ravic patrzył tymczasem na nie ogolonego człowieka, który wyjął małe lusterko i co chwila się w nim przeglądał.

–Kto to? – spytał Seidenbauma. – Nigdy go tu przedtem nie widziałem. Seidenbaum wydał wargi.

–To nowy Aron Goldberg.

–Jak to? Czyżby wdowa tak prędko wyszła za mąż?

–Nie, ale sprzedała paszport zmarłego. Za dwa tysiące franków. Stary miał siwiejącą brodę, dlatego i ten sobie taką zapuszcza. Z powodu fotografii. Skubie te włoski i skubie. Boi się korzystać z paszportu, póki mu taka sama broda nie wyrośnie. Wyścig z czasem.

Ravic obserwował człowieka, który szarpał nerwowo kępki zarostu, porównując je ze zdjęciem w paszporcie.

–Mógłby przecież powiedzieć, że mu się broda przypaliła.

–Dobra myśl. Spróbuję mu to wytłumaczyć. – Seidenbaum zdjął binokle i kołysał nimi w tę i tamtą stronę. – Makabryczna historia – uśmiechnął się. – Dwa tygodnie temu był to interes. Ale teraz Wiesenhoff jest już zazdrosny, a Ruth Goldberg zmieszana. Demoniczność papierów. Bo przecież według paszportu to jej mąż.

Wstał i podszedł do nowego Arona Goldberga.

–Podoba mi się “demoniczność" papierów – powiedział Morozow do Ravica. – Co robisz dziś wieczorem?

–Kate Hegstroem odpływa dziś wieczór statkiem “Normandie". Odwiozę ją do Cherbourga. Bierze swój samochód. Odprowadzę go z powrotem. Sprzedała wóz właścicielowi garażu.

–Więc może podróżować?

–Ależ oczywiście. Wszystko jedno, co będzie robiła. Na statku jest dobry doktor. A w Nowym Jorku… – Wzruszył ramionami i wychylił kieliszek.

Powietrze w katakumbach było zatęchłe i martwe. Pomieszczenie nie miało okien. Dwoje starych ludzi siedziało pod zakurzoną sztuczną palmą. Byli zatopieni w smutku, który otaczał ich jak mur. Siedzieli bez ruchu, dłoń w dłoni, i wyglądali, jakby się już nigdy nie mieli podnieść.

417I nagle Ravicowi wydało się, że cała nędza świata zamknięta jest w tym źle oświetlonym podziemiu. Chorobliwie żółte i zwiędłe żarówki wisiały smutnie na ścianach, sprawiając, że wszystko wydało się jeszcze bardziej beznadziejne. Cisza, szepty, przerzucanie papierów, które już sto razy były oglądane, liczenie ich ciągle od nowa, milcząca egzystencja, bezsilne czekanie końca, odrobina rozpaczliwej odwagi, życie tysiąc razy upokorzone, zepchnięte w ślepy zaułek, przerażone brakiem wyjścia – poczuł nagle to wszystko, odór nieszczęścia, strachu, ostatecznego, ogromnego, milczącego przerażenia, poczuł go i nawet przypomniał sobie, gdzie czuł go już kiedyś: było to w obozie koncentracyjnym, dokąd spędzano ludzi z ulicy, prosto z łóżek, kazano im stać w barakach i czekać swego losu.

Jeszcze jedna para siedziała przy sąsiednim stoliku. Kobieta z rozdzielonymi przedziałkiem, ciemnymi włosami i jej mąż. Przed nimi stał może ośmioletni chłopiec. Przysłuchiwał się rozmowom przy stolikach, a teraz wrócił do rodziców.

–Czemu jesteśmy Żydami? – spytał kobiety.

Nie odpowiedziała.

Ravic spojrzał na Morozowa.

–Muszę iść do kliniki – powiedział.

–1 ja idę. Poszli na górę.

–Co zanadto, to niezdrowo – powiedział Morozow. – Ja ci to mówię, niegdyś antysemita.

Klinika była siedliskiem optymizmu w porównaniu z kata-kumbami. I tu był ból, choroba i nieszczęście, ale miały one coś w rodzaju logiki i sensu. Wiedziało się, dlaczego tak jest, co trzeba robić, a czego nie. Były to namacalne fakty, można było coś zaradzić, a przynajmniej próbować.

Veber siedział w swoim gabinecie, czytając gazetę. Ravic zajrzał mu przez ramię.

–Ładna sprawa, co?

Yeber rzucił gazetę na ziemię.

–Co za korupcja! Trzeba by powiesić połowę naszych polityków.

418

–Dziewięć dziesiątych – oświadczył Ravic. – Czy nie ma pan wiadomości o tej kobiecie z kliniki Duranta?

–Zdrowa. – Yeber nerwowo sięgnął po cygaro. – Dla pana to wszystko jest proste. Ale ja jestem Francuzem.

–A ja niczym. Mimo to chciałbym, żeby Niemcy były tak zepsute jak Francja. Yeber podniósł głowę.

–Plotę głupstwa, przepraszam pana. – Zapomniał zapalić cygara. – Nie może dojść do wojny, Ravic. Po prostu nie może! Grożą sobie, warczą, ale coś się musi stać, choćby w ostatniej chwili.

Zamilkł na chwilę. Gdzieś się podziała jego pewność siebie.

–Ostatecznie, mamy przecież linię Maginota – powiedział niemal błagalnie.

–Oczywiście – przyświadczył Ravic bez przekonania. Słyszał to już tysiąc razy. Wszystkie dyskusje z Francuzami kończyły się tym stwierdzeniem.

Yeber otarł czoło.

–Durant przekazał cały majątek do Ameryki. Powiedziała mi o tym jego sekretarka.

–To typowe.

Yeber spojrzał niespokojnie na Ravica.

–1 nie on jeden. Mój szwagier zamienił francuskie papiery wartościowe na amerykańskie. Gaston Nerlee trzyma w safe-sie dolary. Dupont podobno zakopał w ogrodzie kilka worków złota. – Wstał. – Nie mogę o tym mówić. Bronię się przeciw temu. To niemożliwe. To niemożliwe, żeby Francja miała być zdradzona i zaprzedana. Kiedy nadejdzie niebezpieczeństwo, wszyscy się znów połączą. Wszyscy.

–Wszyscy – powiedział Ravic bez uśmiechu. – Nawet przemysłowcy i politycy, którzy już teraz robią z Niemcami interesy. Yeber opanował się.

–Ravic, mówimy o czym innym.

–Dobrze. Odwożę Kate Hegstroem do Cherbourga. O północy wracam. Yeber odetchnął ciężko.

–A co pan… co pan obmyślił dla siebie, Ravic?

–Nic. Wyślą mnie zapewne do francuskiego obozu koncentracyjnego. Będzie mi tam lepiej niż w niemieckim.

419- Niemożliwe. Francja nie zamknie uchodźców.

–Zobaczymy. To by zresztą było zrozumiałe, trudno zaprzeczyć.

–Ravic…

–Pięknie. Zaczekajmy. I miejmy nadzieję, że pan się nie myli. Czy pan wie, że ewakuują Luwr? Najlepsze obrazy wysyła się do środkowych prowincji.

–Nie wiedziałem. Kto panu o tym mówił?

–Byłem tam dziś po południu. Zapakowano już także niebieskie witraże z katedry w Chartres. Byłem tam wczoraj. Podróż sentymentalna. Chciałem je raz jeszcze zobaczyć. Już ich tam nie ma. Za blisko lotniska. Wstawiono nowe okna. Jak w zeszłym roku podczas konferencji monachijskiej.

–Widzi pan! – ucieszył się Veber. – 1 wtedy także nic się nie stało. Wiele hałasu, a potem przyszedł Chamberlain z parasolem pokoju.

–Owszem. Parasol pokoju jest jeszcze w Londynie, a bogini zwycięstwa stoi nadal w Luwrze, bez głowy. Zostanie tam. Jest zbyt ciężka, by ją przetransportować. No, muszę iść. Kate Hegstroem czeka.

“Normandie" stała u nabrzeża, błyszcząc w nocy tysiącem świateł. Od wody dął słony, zimny wiatr. Kate Hegstroem owinęła się szczelniej futrem. Była bardzo szczupła. Z twarzy pozostała tylko skóra i kości, a jej przerażająco wielkie oczy wyglądały jak dwa ciemne jeziora.

–Wolałabym tu zostać – powiedziała. – Jakoś mi ciężko odjeżdżać.

Ravic patrzył na nią. Przed nimi wznosił się wielki okręt, pomost był jaskrawo oświetlony, ludzie wchodzili na górę, niektórzy z takim pośpiechem, jakby się bali, że w ostatniej chwili przybędą za późno. Oto mieli przed sobą lśniący pałac, który nie zwał się już “Normandie", lecz – ucieczka, zbawienie, ratunek. W tysiącach miast, pokoi i nędznych hoteli w Europie był on dla dziesiątków tysięcy ludzi nieosiągalnym mirażem; a przed nim stał ktoś, kogo śmierć pożerała od wewnątrz, i mówił miłym, wysokim głosem: “Wolałabym tu zostać".

420

Gdzie tu sens? Dla uchodźców z. “Internationalu", dla tysięcy innych “Internationalów" w Europie, dla wszystkich zagonionych, torturowanych, uciekających, zamkniętych w pułapce

byłaby to ziemia obiecana. Łkając, padaliby na kolana, całowali pomost, uwierzyliby w cud, gdyby mogli trzymać w ręku ten bilet, który tu trzepotał w zmęczonej dłoni koło niego, bilet istoty, która i tak jechała na pewną śmierć, a jednocześnie mówiła: "Wolałabym tu zostać".

Nadeszła grupa Amerykanów, nie spieszących się, jowialnych, hałaśliwych. Ci mieli dużo czasu. Ambasada nalegała na ich wyjazd. Dyskutowali na ten temat. Właściwie szkoda! Zabawnie byłoby przyglądać się temu wszystkiemu dłużej. Co im się mogło stać? Ambasador! Byli neutralni! Właściwie szkoda!

Obłoki perfum. Klejnoty. Blask brylantów. Jeszcze parę godzin temu siedzieli u "Maxima", gdzie wszystko jest tak śmiesznie tanie, licząc w dolarach, pili Corton 29 i na zakończenie Poi Roger 28, a teraz, na statku, zasiądą w barze, będą grali w "backgammon", pili whisky… A przed konsulatami nie kończące się kolejki zrozpaczonych ludzi, nad nimi unosi się jak chmura zapach śmiertelnego przerażenia, kilku przepracowanych urzędników, sąd doraźny sekretarza potrząsającego głową: "Nie, nie możemy wydać wizy", milczący wyrok na milczących niewinnych ludzi. Ravic patrzył na okręt, który przestał być okrętem, a stał się arką, lekką arką, która miała wymknąć się z potopu. Potopu, który już raz o mało nie zatopił tych ludzi, a teraz miał ich zagarnąć w swoje odmęty.

–Już czas, Kate.

–Naprawdę? A więc do widzenia, Ravic.

–Do widzenia, Kate.

–Nie potrzebujemy się okłamywać, co?

-Tak.

–Niech pan prędko przyjedzie do…

–Tak, Kate, wkrótce…

***-Adieu,* Ravic. Dziękuję za wszystko. Już idę. Wejdę na górny pokład i będę machać ręką. Niech pan tu zostanie, póki statek nie odpłynie, i niech pan pomacha.**

–Dobrze, Kate.

Powoli szła po schodkach. Chwiała się nieco. Jej postać, szczuplejsza od innych, czysta w rysunku, prawie bezciele-

421sną, tchnęła czarną elegancją pewnej śmierci. Twarz jej była śmiała jak twarz egipskiego kota z brązu: nic prócz zarysów, oddechu i oczu.

Ostatni pasażerowie. Żyd zlany potem, z futrem na ręku, zhisteryzowany, za nim dwóch

tragarzy, bieganina, krzyki. Ostatni Amerykanie. Potem schodki powoli idą w górę. Dziwne uczucie. Już je wciągnięto, nieodwołalnie. Koniec. Wąski pasek wody. Granica. Ledwo dwa metry wody, ale to granica między Europą i Ameryką. Między zatratą i ocaleniem.

Ravic poszukał wzrokiem Kate Hegstroem. Znalazł ją szybko. Stała przy barierze, dając znaki. Ravic zaczął machać ręką.

Wydawało się, że statek się nie porusza. To ląd uciekał od niego. Troszeczkę, ledwo wyczuwalnie. I nagle biały okręt uwolnił się. Kołysał się na czarnej wodzie, pod czarnym niebem, niedosiężny. Kate Hegstroem nie można już było rozpoznać, ci, którzy pozostali na brzegu, patrzyli na siebie w milczeniu, zaambarasowani albo pełni sztucznej wesołości, a potem z pośpiechem albo z wahaniem odchodzili.

Ravic odprowadzał w nocy wóz do Paryża. Przepływały koło niego normandzkie sady, żywopłoty. Na zamglonym niebie wisiał owalny, duży księżyc. Zapomniał o okręcie. Pozostał tylko krajobraz, zapach siana i dojrzałych jabłek, cisza i głęboki spokój Nieodwracalnego.

Wóz mknął niemal bezszelestnie. Mknął tak, jakby prawo ciężkości dla niego nie istniało. Prześlizgiwały się domy, kościoły, wioski, złote plamy oświetlonych barów i gospod, jarząca się rzeka, wiatrak i znów równina, którą niebo zamykało jak wielka muszla, kryjąca w swym mlecznym wnętrzu błyszczącą perłę księżyca.

Było to jak koniec i spełnienie. Ravic doznawał już czasem tego uczucia, ale teraz było ono całkowite, mocne, nieuchronne, przenikało go na wskroś i nic mu się nie opierało.

Wszystko ulatywało, pozbawione ciężaru. Przyszłość spotkała się z przeszłością, a obie nie zawierały ani pragnienia, ani bólu. Nie było spraw większych i ważniejszych niż inne. Horyzonty stały w równowadze i po raz pierwszy w tej dziwnej chwili szale egzystencji zatrzymały się na tym samym

poziomie. Los nie jest nigdy silniejszy niż wola, którą mu się przeciwstawiano. Jeśliby życie było nie do wytrzymania, można się zabić. Dobrze to wiedzieć, ale też dobrze wiedzieć, że nic nie jest stracone, póki się żyje.

Ravic znał niebezpieczeństwo, wiedział, dokąd *zdąża, i* wiedział, że jutro znów będzie się musiał bronić – ale tej nocy, w tej chwili powrotu ze szczytu utraconego Araratu w krwią woniejącą dolinę zagłady, wszystko utraciło nazwę. Niebezpieczeństwo było niebezpieczeństwem, a jednocześnie nie było nim, los był jednocześnie ofiarą i bóstwem, któremu składano ofiarę. A jutro" było nieznanym światem.

Wszystko było dobre. To, co minęło, i to, co nadchodziło. Miał dość wszystkiego. Jeśli to koniec, tym lepiej. Kochał i utracił tę miłość. Nienawidził i zabił przedmiot nienawiści. I to, i to dało mu wyzwolenie. Miłość wyzwoliła jego uczucia, nienawiść wymazała przeszłość. Nie

pozostawił za sobą nic nie dokonanego. Nie miał już pragnień, nienawiści ani żalu. Jeśli to jest początek, to też dobrze. Zacznie na nowo bez oczekiwania. Wiatr rozwiał popioły. Sparaliżowane ośrodki powróciły do życia. Cynizm zmienił się w moc. To dobrze.

Za Caen natknął się na konie. Długimi kolumnami szły nocą konie, konie, cienie w blasku księżyca. A potem czwórkami ludzie; z węzełkami, pudłami, pakunkami. Początek mobilizacji.

Ledwo ich słyszał. Nikt nie śpiewał. Ledwo który gadał. Poruszali się w milczeniu skroś nocy, kolumny cieni sunące prawą stroną szosy, aby pozostawić miejsce wozom.

Wyminął wszystkie. "Konie – myślał – konie. Jak w roku 1914. Czołgów nie ma. Konie". Zatrzymał się przed stacją benzynową, żeby napełnić bak. W miasteczku świeciło się jeszcze w paru oknach, ale już było cicho. Kolumna ludzi przeciągała ulicą, patrzano na nią, nikt z idących nie pozdrawiał.

–Jutro idę – powiedział człowiek ze stacji benzynowej. Miał chłopską, opaloną twarz o czystych rysach. – Mój ojciec poległ w ostatniej wojnie. Dziadek w 1871 roku. Ja idę jutro. Ciągle to samo. Od paruset lat. I nic nie pomaga. Znów trzeba iść.

423Jego spojrzenie ogarniało mizerną pompę, mały domek i kobietę, która stała obok niego w milczeniu.

–Dwadzieścia osiem franków trzydzieści, proszę pana.

I znowu pejzaż. Księżyc. Lisieux, Evreux, kolumny, konie, milczenie. Ravic przystanął przed małą restauracyjką. Dwa stoliki wystawiono na dwór. Właścicielka oświadczyła, że nie ma już nic do jedzenia. Obiad to mimo wszystko obiad, a we Francji omlet i trochę sera to nie obiad. Wreszcie udało mu się ją przekonać, podała jeszcze sałatę i kawę oraz karafkę zwykłego wina.

Ravic siedział samotnie przed różowym domkiem i jadł. Mgła spływała na łąki. Kumkały żaby. Było cicho. Ale z piętra domu dolatywały słowa z głośnika. Głos, pocieszający, ufny, beznadziejny i całkowicie zbyteczny. Wszyscy słuchali i nikt nie wierzył.

Ravic zapłacił.

–Paryż będzie zaciemniony – powiedziała właścicielka. – Właśnie mówili przez radio.

–Naprawdę?

–Tak, przeciw nalotom. Przez ostrożność. Mówią przez radio, że to tylko przez ostrożność. Wojny nie będzie. Układają się. Co pan o tym myśli?

–1 ja nie myślę, żeby była wojna. – Co innego można było powiedzieć?

–Daj Boże! Ale co z tego? Niemcy zajmą Polskę. Potem zażądają Alzacji i Lotaryngii.

Potem kolonii. Potem znowu czegoś. I coraz więcej, póki się nie poddamy albo nie wypowiemy wojny. To już lepiej od razu.

Właścicielka powoli wróciła do domu. Nowa kolumna maszerowała drogą.

Czerwone blaski Paryża nad horyzontem. Zaciemniony. Paryż ma być zaciemniony. To naturalne, ale dziwnie brzmi: Paryż zaciemniony. Paryż. Tak, jakby miano zaciemnić światło całego świata.

Przedmieścia. Sekwana. Labirynt wąskich uliczek. Skręt w aleję wiodącą wprost do Łuku Triumfalnego, który wyłaniał się, jeszcze mgliście oświetlony, z chaosu Etoile. Za nim Pola Elizejskie, wciąż jeszcze pławiące się w blasku.

Ravic odetchnął. Jechał śródmieściem i nagle zauważył, że

już się wkrada ciemność. Jak sparszywiałe plamy na błyszczącej sierści, tu i ówdzie pojawiały się chore ciemne miejsca. Długie cienie pożerały barwną grę reklam świetlnych, wkładały się między lękliwą czerwień, biel, zieleń i lazur. Niektóre ulice już były martwe, jakby pa nie wypełzło czarne robactwo, tłumiąc ich blask. Na Avenue George V latarnie się już nie paliły. Avenue Montaigne właśnie gasła. Budynki, które niedawno jeszcze wysyłały kaskady światła ku gwiazdom, patrzyły teraz nagimi czarnymi frontonami. Zgasła już połowa Avenue Yictor Emanuel III, połowa świeciła jeszcze; jak sparaliżowane ciało w agonii, pół żywe, pół martwe. Choroba przenikała coraz dalej, a kiedy Ravic zawrócił na plac Zgody, jego szeroki krąg już zamarł.

Gmachy ministerstw stały blade i bezbarwne, wygasły girlandy świateł, tańczące nereidy i triony z białych, pienistych nocy skamieniały na swych delfinach w szare, bezkształtne bryły, opustoszały fontanny, woda pociemniała, ołowiany obelisk, niegdyś jaśniejący blaskiem, sterczał ku ciemniejącemu niebu jak wzniesiony palec wieczności. Wszędzie, jak mikroby, rozpełzły się małe, niebieskie, ledwo widoczne elektryczne lampki obrony przeciwlotniczej, lśniąc zgniło, opadały jak kosmiczna gruźlica na bezgłośnie walące się miasto.

Ravic oddał samochód. Wziął taksówkę i wrócił do “Inter-nationalu". W drzwiach stał na drabinie syn właścicielki. Wkręcał niebieską żarówkę. Nigdy tu nie było silnego światła, tyle tylko, by widać było szyld. Teraz i tego zabrakło. Połowa nazwy pogrążona była w cieniu. Pozostało tylko słowo “na-tional", a i to niewyraźne.

–Dobrze, że pan przyszedł – powiedziała właścicielka. – Kobieta zwariowała. Numer siódmy. Najlepiej byłoby się jej pozbyć. Nie mogę trzymać w hotelu obłąkanej.

–Może nie zwariowała, tylko ma atak nerwowy.

–To wszystko jedno! Obłąkanych trzyma się w zakładach. Powiedziałam im to. Oczywiście

nie chcą. Co za kłopot! Jeśli się nie uspokoi, muszą ją stąd zabrać. Tak dłużej być nie może. Inni goście chcą spać.

–Niedawno ktoś u Ritza zwariował – powiedział Ravic. – Jakiś książę. Wszyscy Amerykanie dobijali się potem o ten apartament.

425- To co innego. Zwariował z fantazji. Elegancko. Co innego zwariować z nędzy.

Ravic popatrzył na nią.

–Pani rozumie życie, madame.

–Muszę. Jestem dobrym człowiekiem. Daję przytułek uchodźcom. Wszystkim. Dobrze, zarabiam na nich. Niewiele. Ale wrzeszcząca wariatka to już za dużo. Albo się uspokoi, albo musi się wynieść.

Była to kobieta, którą syn zapytywał, czemu jest Żydem. Siedziała skulona, wciśnięta w róg łóżka, z zasłoniętymi oczami. Pokój był jasno oświetlony. Paliły się wszystkie żarówki, prócz tego na stole stały dwa lichtarze ze świecami.

–Karaluchy – mruczała kobieta. – Karaluchy. Czarne, tłuste, błyszczące karaluchy. Siedzą tam, w rogach, tysiące, niezliczone, zapal światło, zapal światło, bo przyjdą, światła, światła, nadchodzą…

Krzyczała, wciskała się w kąt z wyciągniętymi przed siebie rękami, z szeroko otwartymi, szklistymi oczami. Mąż próbował chwycić jej ręce.

–Ależ, mamusiu, w kątach nic nie ma…

–Światła! Światła! Nadchodzą! Karaluchy…

–Zapaliliśmy światło, mamusiu. Dużo światła, popatrz, nawet świece palą się na stole. – Wyjął z kieszeni elektryczną latarkę i skierował smugę światła w kąty jasno oświetlonego pokoju. – Nic nie ma w kątach, popatrz, popatrz, jak świecę, nic tu nie ma, nic…

–Karaluchy, karaluchy! Lezą, wszystko jest czarne od karaluchów, wyłażą ze wszystkich kątów! Światła, światła, pełzną po ścianach, spadają z sufitu!

Charczała, wznosząc ręce nad głową.

–Jak długo to już trwa? – spytał Ravic mężczyznę.

–Odkąd się ściemniło. Nie byłem w domu. Próbowałem raz jeszcze, powiedzieli mi, żeby iść do konsula Haiti, wziąłem z sobą chłopca. Na nic się zresztą zdało, znowu wszystko na nic, a kiedy wróciliśmy, siedziała w rogu łóżka i krzyczała…

Ravic przygotował strzykawkę.

–Czy przedtem spała?

Mężczyzna popatrzył na niego bezradnie.

–Nie wiem. Zawsze była spokojna. Nie mamy pieniędzy na zakład. A także nasze papiery… są niewystarczające. Żeby się

tylko uspokoiła! Ależ, mamusiu, wszyscy tu jesteśmy, ja i Zygfryd, i doktor jest tutaj, nie ma żadnych karaluchów…

–Karaluchy! – przerwała mu kobieta. – Ze wszystkich stron. Pełzną! Pełzną… Ravic zrobił jej zastrzyk.

–Czy już jej się zdarzało coś podobnego?

–Nie. Nigdy. Nie rozumiem. Nie wiem, czemu teraz właśnie… Ravic podniósł dłoń w górę

–Niech jej pan tego nie przypomina. Za parę chwil poczuje zmęczenie i zaśnie. Może miała sen i zbudziła się nagle. A może zbudzi się jutro i nie będzie o niczym pamiętać. Niech jej pan nic nie przypomina. Jakby się nic nie stało.

–Karaluchy – mruczała sennie kobieta – tłuste, grube…

–Czy pan potrzebuje tyle światła?

–Zapaliliśmy wszystko, bo ciągle wołała o światło.

–Niech pan zgasi górną lampę. Reszta niech się pali, póki żona nie uśnie. Na pewno uśnie. Dałem jej wystarczającą dawkę. Jutro o jedenastej rano zajrzę tutaj.

–Dziękuję – powiedział mężczyzna. – Czy pan nie myśli…

–Nie, te rzeczy dziś się zdarzają. Jeszcze przez parę dni trzeba będzie uważać. Niech pan za dużo nie mówi o swoich kłopotach.

“Łatwo to powiedzieć" – myślał, idąc do siebie. Zapalił światło. Koło łóżka leżało kilka książek. Seneka, Schopenhauer, Pla-to, Rilke, Lao-tse, Ld-tai-pe, Pascal, Heraklit, Biblia, jeszcze inne, najsurowsze i najłagodniejsze, niektóre drukowane na cienkim papierze dla kogoś, kto jest w drodze i nie może wiele z sobą zabierać. Ravic wybrał, co zabrać, a co zostawić. Potem rozejrzał się wśród innych rzeczy. Niewiele trzeba było niszczyć. Zawsze żył tak, jakby go miano w następnej chwili zabrać.

Stary koc, płaszcz – dopomogą mu jak przyjaciele. Trucizna w wydrążonym medalionie, którą miał przy sobie już w niemieckim obozie koncentracyjnym – zawsze łatwiej wszystko wytrzymać, wiedząc, że można jej w każdej chwili użyć. Schował ją teraz do kieszeni. Lepiej mieć przy sobie. To dawało pewność. Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy. Może się znów dostać w ręce gestapo. Na stole stało jeszcze pół butelki calva-dosu. Napił się. “Francja" – myślał. “Pięć lat niespokojnego żywota. Trzy miesiące w więzieniu, nielegalny pobyt, cztery razy deportowany, powroty. Pięć lat życia. Dobre i to".

42733

Telefon dzwonił. Ravic zaspany podniósł słuchawkę.

–Ravic – powiedział ktoś.

–Tak. – Była to Joanna.

–^Przyjdź – powiedziała. Mówiła wolno i cicho. – Spiesz się, Ravic…

–Nie.

–Musisz…

–Nie, daj mi spokój. Nie jestem sam. Nie przyjdę.

–Pomóż…

–Nic ci nie mogę pomóc.

–Coś się stało… – Głos jej się załamał. – Musisz prędko…

–Joanno – powiedział niecierpliwie Ravic – to nie czas na takie udawanie. Już raz to zrobiłaś i dałem się nabrać. Teraz już wiem. Daj mi spokój. Próbuj swoich sztuk na kim innym.

Powiesił słuchawkę, nie czekając na odpowiedź, i próbował znowu usnąć, ale mu się nie udało. Telefon zadzwonił jeszcze raz. Nie podniósł słuchawki. Telefon dzwonił i dzwonił skroś szarej, rozpaczliwej nocy. Ravic wziął poduszkę i położył ją na aparacie. Długo jeszcze słyszał stłumiony dzwonek, potem wszystko ucichło.

Ravic czekał. Cisza. Wstał i sięgnął po papierosa. Nie smakował mu. Odłożył go. Resztka calvadosu stała na stole. Wypił łyk i odstawił. “Kawy" – pomyślał. “Gorącej kawy. Masło i świeże rogaliki". Znał bar, który był całą noc otwarty.

Spojrzał na zegarek. Spał tylko dwie godziny, ale nie czuł się zmęczony. Nie było sensu znów się rozsypiać i zbudzić rozbitym.

Poszedł do łazienki i odkręcił prysznic.

Jakiś szmer. Czyżby znowu telefon? Zakręcił kurek. Ktoś pukał. Stał pod jego drzwiami. Ravic narzucił płaszcz kąpielowy. Pukanie było teraz głośniejsze. Nie mogła to być Joanna,

weszłaby bez pukania. Drzwi nie były zamknięte. Poczekał chwilę. Jeżeli to policja…

Otworzył drzwi. Na korytarzu stał obcy mężczyzna, który mu kogoś przypominał. Miał na sobie smoking.

–Doktor Ravic?

Ravic nie odpowiedział. Patrzył.

–O co chodzi? – zapytał.

–Czy pan jest doktor Ravic?

–Niech pan lepiej powie, o co chodzi.

–Jeśli pan jest doktor Ravic, to niech pan prędko idzie do Joanny Madou.

–Naprawdę?

–Miała wypadek…

–Jakiego rodzaju? – uśmiechnął się niedowierzająco Ravic.

–Z bronią – powiedział mężczyzna. – Raniona…

–Raniona? – Ravic jeszcze się uśmiechał. Zapewne udawała samobójstwo, żeby nastraszyć tego głuptasa.

–Mój Boże, ona umiera – wyszeptał człowiek. – Niech pan nie zwleka! Umiera. Zabiłem ją!

–Co?

–Tak, ja…

Ravic rzucił już płaszcz i chwycił ubranie.

–Ma pan na dole taksówkę?

–Mam swój samochód…

–A niech to… – Ravic narzucił z powrotem na siebie płaszcz, chwycił torbę z narzędziami, buty, koszulę, garnitur. – Mogę się ubrać w wozie. Prędko, idziemy.

Samochód runął w mleczną noc. Miasto było całkowicie zaciemnione. Nie istniały już ulice, tylko rozpływająca się mglista przestrzeń, w której pojawiały się, zbyt późno i jakby zagubione, niebieskie lampki obrony przeciwlotniczej, jakby wóz jechał po dnie morza.

Ravic włożył buty i resztę. Płaszcz kąpielowy zwinął w kłębek i wepchnął w kąt siedzenia. Zapomniał krawata i skarpetek. Patrzył niespokojnie w noc. Nie miało sensu wypytywanie mężczyzny, który go wiózł. Prowadził szybko, skupiony i uważny. Nie mógł mówić. Mógł tylko skręcać, wymijać, unikać zderzeń i uważać, by nie zgubić kierunku w tej niezwykłej

429ciemności. “Kwadrans stracony" – myślał Ravic. “Co najmniej kwadrans".

–Szybciej – powiedział.

–Nie mogę bez latarni. Przygaszone, obrona przeciwlotnicza…

–Do diabła, to niech pan zapali…

Posłusznie zapalił reflektory. Kilku policjantów wołało coś za nimi. O mało na nich nie wpadł oślepiony renault.

–Dalej, niech pan się nie zatrzymuje, prędzej!

Samochód ze zgrzytem zatrzymał się przed domem. Winda była na dole, drzwi otwarte. Ktoś na nią dzwonił jak szalony. Prawdopodobnie mężczyzna nie zamknął drzwi, wybiegając.

“Dobrze" – pomyślał Ravic. “Oszczędził parę minut".

Kabina pełzła w górę. Już raz tak było. Nic się wtedy nie stało. I teraz… Stanęli na czwartym piętrze. Ktoś patrzył przez szybkę i otworzył drzwi.

–Co pan sobie myśli! Trzymać windę tak długo na dole! Był to człowiek, który dzwonił. Ravic odepchnął go i trzasnął drzwiami.

–Za chwilę! Musimy najpierw pojechać na górę.

Człowiek zaczął wymyślać. Winda lazła w górę. Człowiek na czwartym piętrze z wściekłością naciskał guzik. Winda stanęła.

Ravic otworzył drzwi, uprzedzając tamtego, który mógł na złość ściągnąć ich znowu na dół.

Joanna leżała na łóżku. Była ubrana. Wieczorowa suknia pod szyję. Plamy krwi. Krew na podłodze. Tam upadła. Ten idiota ułożył ją potem na łóżku.

–Spokojnie – powiedział Ravic. – Spokojnie! Wszystko będzie dobrze. To nic strasznego.

Przeciął suknię na ramionach i ostrożnie ją zsunął. Piersi były całe. To szyja. Nie trafił jej w

krtań, nie mogłaby dzwonić. Tętnica nie naruszona.

–Boli? – spytał.

–Tak.

–Bardzo?

–Tak…

–*Zaraz* przejdzie.

Strzykawka była przygotowana. Zobaczył spojrzenie Joanny.

–To nic, tylko, żeby nie bolało. Za chwilę przestanie. Wbił igłę i zaraz ją wyciągnął.

430

–Zrobione. – Zwrócił się do mężczyzny: – Niech pan zadzwoni Passy 2743. Proszę zamówić karetkę i dwóch ludzi z noszami. Natychmiast.

–Co mi jest? – spytała z wysiłkiem Joanna.

–Passy 2743 – powtórzył Ravic. – Prędko, niech pan telefonuje!

–Co mi jest, Ravic?

–Nic strasznego, ale tu nie można zbadać. Musisz jechać do szpitala.

Spojrzała na niego. Jej twarz była ubrudzona, tusz spłynął z rzęs, pomadka do ust rozmazała się na policzku. Jedna strona twarzy wyglądała jak maska taniego klauna, druga, z tuszem rozmazanym pod okiem, jak starej, zmęczonej prostytutki. Ponad tą twarzą połyskiwały włosy.

–Nie chcę być operowana – wyszeptała.

–Zobaczymy. Może wcale nie będzie trzeba.

–Czy to… – Urwała.

–Nie – powiedział Ravic – nic złego. Tylko nie mam przy sobie instrumentów.

–Instrumentów…

–No tak, muszę zbadać. Teraz… nie, to nie będzie bolało… Zastrzyk zrobił swoje. Jej oczy utraciły szklistość, nie widać w nich było przerażenia, kiedy Ravic ostrożnie ją badał. Mężczyzna wrócił.

–Karetka będzie za chwilę.

–Niech pan teraz połączy się z Auteuil 1357. To klinika. Ja sam będę rozmawiał. Mężczyzna posłusznie znikł.

–Pomożesz mi – wyszeptała Joanna.

–Oczywiście.

–Nie chcę, żeby mnie bolało.

–Nie będzie.

–Ja nie mogę, nie mogę wytrzymać… – mówiła sennie, jej głos zamierał. – Nie mogę…

Ravic spojrzał na ranę wlotową. Żadne z ważniejszych naczyń nie było uszkodzone. Rany wylotowej nie było widać. Nic nie powiedział. Zrobił opatrunek uciskowy. Nie przyznał się do swoich obaw.

–Jak się dostałaś na łóżko? – spytał. – Czy mogłaś sama…

–To on…

431- Czy nie byłaś… czy mogłaś iść?

Jej przerażone oczy wróciły od mglistych jezior.

–Co?… to jest… ja… nie… nie mogłam poruszyć nogą. Noga… co się z nią stało, Ravic?

–Nic. Tak właśnie pomyślałem. Wszystko będzie dobrze. Mężczyzna pojawił się znowu.

–Klinika…

Ravic szybko podszedł do telefonu.

–Kto mówi? Eugenia? Pokój, tak, i niech pani zatelefonuje do Yebera. – Spojrzał ku sypialni i dodał półgłosem: – Proszę wszystko przygotować. Musimy natychmiast działać. Zamówiłem pogotowie. Wypadek, tak, tak, istotnie… tak… za dziesięć minut…

Położył słuchawkę. Postał chwilę. Stół. Butelka zielonego likieru miętowego, obrzydliwość, kieliszki, perfumowane papierosy, ohyda, jak w złym filmie. Na dywanie rewolwer i tu także krew, wszystko nieprawdziwe. "Dlaczego tak mi się wydaje?" -pomyślał. "Nie, to prawda". Wiedział już także, kim był mężczyzna, który po niego przyjechał. Wywatowane ramiona marynarki, lśniące, napomadowane włosy, lekki zapach wody kolońskiej "Chevalier d'Orsay", który go drażnił w wozie, pierścionki na palcach, tak, to był aktor, z którego gróźb się wyśmiewał.

“Dobrze mierzył" – pomyślał. A później: “Wcale nie mierzył. Tak nie można wycelować, z taką precyzją trafia się tylko wtedy, kiedy się o tym nie myśli, kiedy się nawet nie chce zranić…"

Wrócił do pokoju. Mężczyzna klęczał przy łóżku. Oczywiście klęczał. Mówił coś, jęczał, plótł, słowa spływały mu z ust.

–Wstawaj pan – powiedział Ravic.

Podniósł się posłusznie. Bezmyślnie otrzepał z kurzu kolana. Ravic popatrzył mu w twarz. Łzy. I to także!

–Ja nie chciałem. Przysięgam panu, że nie miałem zamiaru jej zranić, nie chciałem, to przypadek, nieszczęsny, ślepy przypadek…

Ravic czuł, że mu się ściska żołądek. Ślepy przypadek! Niedługo facet zagada białym wierszem!

–Rozumiem. Teraz niech pan zejdzie i czeka na pogotowie. Mężczyzna chciał coś jeszcze powiedzieć.

–Niech pan już idzie! – powiedział Ravic. – 1 niech pan zatrzyma tę przeklętą windę. Bóg wie, jak zejdziemy z noszami.

–Pomożesz mi, Ravic – powiedziała niewyraźnie Joanna.

–Tak – odpowiedział bez żadnej nadziei.

–Przyszedłeś. Przy tobie jestem zawsze spokojna. Ubrudzona twarz uśmiechnęła się. Klaun się wykrzywił, prostytutka uśmiechnęła się z wysiłkiem.

–Bebee, ja nie chciałem… – powiedział mężczyzna od drzwi.

–Jazda! – krzyknął Ravic. – Do ciężkiej cholery, wynoś się pan! Joanna chwilę leżała cicho. Potem otworzyła oczy.

–Idiota – powiedziała zdumiewająco wyraźnie. – Naturalnie, nie chciał mnie zranić, udawał tylko, biedne cielątko! – Dziwny, prawie szelmowski wyraz pojawił się w jej oczach. – I ja właściwie nigdy w to nie wierzyłam, drażniłam go…

–Nie mów tyle.

–Drażniłam… -jej oczy zwęziły się w szpareczki – a teraz na co mi przyszło, Ravic… moje życie… nie chciał mnie zranić, zranić, ale…

Oczy zamknęły się całkowicie. Uśmiech sczezł. Ravic nasłuchiwał u drzwi.

–Nie zmieścimy noszy w windzie. Za wąska. Chyba na pół stojąco.

–Będziecie mogli zakręcić na podestach? Człowiek wyszedł.

–Może będzie je trzeba podnieść wysoko. Lepiej ją przywiązać. Przywiązali ją. Joanna była półprzytomna. Jęczała od czasu do czasu. Wyszli.

–Ma pan klucz? – spytał Ravic aktora.

–Ja… nie, czemu?

–Trzeba zamknąć mieszkanie.

r- Nie mam, ale klucz musi tu gdzieś być.

–Niech pan poszuka i zamknie. – Pielęgniarze zatrzymali się na pierwszym podeście. – Rewolwer niech pan weźmie z sobą. Wyrzuci pan go na dworze.

–Ja… ja oddam się w ręce policji. Czy to poważna rana?

–Tak.

Mężczyzna zaczął się pocić. Pot wystąpił mu wszystkimi porami, jakby ten człowiek nic więcej nie miał pod skórą. Wszedł z powrotem do mieszkania.

Ravic szedł za ludźmi dźwigającymi nosze. Na klatce schodowej światło paliło się trzy minuty, a potem gasło. Na każdym

433piętrze trzeba było przyciskać guzik. Ludzie schodzili pół piętra z łatwością. Zakręty były jednak trudne. Musieli podnosić nosze wysoko nad głowami i nad poręczą, żeby zawrócić. Ich wielkie cienie tańczyły na ścianie. “Gdzie ja to już widziałem? Gdzieś to przecież widziałem?" – myślał niepewnie Ravic. Potem przypomniał sobie. Z Raczyńskim, na samym początku.

Drzwi otwierały się, kiedy niosący wołali coś do siebie. Nosze obijały mur. Ciekawe twarze pojawiały się w drzwiach, pidżamy, rozburzone włosy, twarze obrzmiałe od snu, szlafroki purpurowe, jadowicie zielone, usiane tropikalnymi kwiatami…

Światło znów zgasło. Niosący zatrzymali się, pomrukując w ciemnościach.

–Światło!

Ravic szukał wyłącznika. Dotknął czyjejś piersi, poczuł nieświeży oddech, coś mu się otarło o nogi. Światło zapaliło się znów. Żółtowłosa kobieta gapiła się na niego. Miała obwisłe, tłuste policzki, błyszczące od kremu, ręką przytrzymywała krepdeszynowy szlafrok o tysiącu

kokieteryjnych falbanek. Wyglądała jak opasły buldog na koronkowej poduszce.

–Nie żyje? – spytała z błyszczącymi oczami. Ravic szedł dalej.

–Żyje.

Coś pisnęło, parsknęło. Kot uskoczył mu spod nóg.

–Fifi! – Kobieta schyliła się, rozstawiając szeroko grube kolana. – Mój Boże, Fifi, czy ktoś na ciebie nadepnął?

Ravic schodził dalej. Nosze kołysały się przed nim. Zobaczył głowę Joanny, chwiejącą się wraz z ruchami niosących. Oczu nie widział.

Ostatni podest. Światło znów gasło. Ravic zbiegł na półpiętro, by przycisnąć guzik. W tej chwili zamruczała winda, spływając jakby z nieba wskroś ciemności i rozgarniając je swoim jaskrawym światłem. W otwartej pozłacanej klatce stał aktor. Przemknął cicho jak widmo, mijając Ravica i nosze. Udało mu się skoczyć na górze do windy. Spieszył się, żeby ich dopędzić. Było to zrozumiałe, ale sprawiało rozpaczliwie komiczne wrażenie.

Ravic podniósł głowę. Drżenie opuściło go. Ręce przestały się pocić w gumowych rękawiczkach. Zmieniał je dwa razy. Naprzeciw niego stał Veber.

–Jeśli pan chce, Ravic, niech pan wezwie Marteau. Przyjedzie za kwadrans. Może mu pan asystować, a on będzie operował.

–Nie, już za późno. Zresztą nie mógłbym. Jeszcze gorzej przyglądać się, niż samemu robić.

Odetchnął. Uspokoił się. Zaczął pracować. Skóra. Biała. “Skóra jak każda inna" – mówił sobie. “Skóra Joanny. Jak każda inna. Krew. Krew Joanny. Jak u każdego. Tampon. Zerwany mięsień. Tampon. Uwaga. Dalej. Strzęp srebrnego brokatu… Nitki… Dalej. Kanał rany. Odłamki. Dalej. Kanał prowadzi… prowadzi…" Poczuł pustkę w głowie. Wyprostował się z wolna.

–Tu niech pan spojrzy… siódmy krąg… Veber pochylił się nad cięciem.

–To brzydko wygląda…

–Nie brzydko. Beznadziejnie. Nic się już nie da zrobić.

Spojrzał na swoje ręce. Poruszały się w gumowych rękawicach. Były to silne ręce, dobre ręce, tysiące razy krajały i zszywały porozrywane ciała, przeważnie z powodzeniem, rzadko bez, zdarzało się też, że dokonywały rzeczy niemożliwych, wyzyskując jedną szansę na sto –

ale teraz, kiedy wszystko od nich zależało – teraz były bezradne.

Nie mógł nic zrobić. Nikt tu nie mógł nic zrobić. Operacja była niemożliwa. Stał i patrzył na krwawą ranę. Można było wezwać Marteau. Ale Marteau powie to samo.

–Nic nie można zrobić? – spytał Yeber.

–Nic. Każdy ruch skraca jej życie. Osłabia ją. Sam pan widzi, gdzie utkwiła kula. Nawet nie mogę jej wyjąć.

–Tętno nitkowate, podnosi się, sto trzydzieści – powiedziała Eugenia.

Rana stała się odrobinę bardziej szara. Jakby ktoś na nią tchnął cieniem.

Ravic trzymał już w ręku strzykawkę z kofeiną.

–Koramina, prędko. Przerwać narkozę! – Zrobił drugi zastrzyk. – Jak teraz?

–Bez zmiany.

Krew miała ciągle ołowiany odcień.

–Proszę przygotować zastrzyk adrenaliny i aparat tlenowy.

Krew ściemniała. Było to, jakby się w niej odbijały przelatujące

chmury lub jakby ktoś, stojąc przy oknie, powoli zaciągał firankę.

–Krew – powiedział z rozpaczą Ravic. – Trzeba zrobić transfuzję. Ale nie znam jej grupy krwi.

435Aparat tlenowy zaczął pracować.

–No i co? Jak tam?

–Tętno spada. Sto dwadzieścia. Bardzo słabe. Życie wracało.

–A teraz? Lepiej?

–Tak samo. Przeczekał chwilę.

–Lepiej?

–Lepiej. Tętno bardziej regularne.

Cienie znikły. Brzegi rany utraciły szary kolor. Krew stała się znowu krwią. Jeszcze krwią. Aparat działał.

–Powieki zaczynają drgać – powiedziała Eugenia.

–Nie ma znaczenia. Może się obudzić. – Ravic zakładał opatrunek. – Jakie tętno?

–Regularniejsze.

–O włos – powiedział Veber.

Ravic poczuł ucisk na powiekach. Pocił się. Wielkie krople. Wyprostował się. Aparat tlenowy szumiał. [v]

–Niech pani jeszcze nie zamyka.

Obszedł stół i zatrzymał się na chwilę. O niczym nie myślał. Patrzył na zbiornik i na twarz Joanny. Drgała. Żyła jeszcze.

–Szok – powiedział do Yebera. – Oto próbka krwi. Trzeba zaraz wysłać. Gdzie dostaniemy krwi?

–W szpitalu amerykańskim.

–Dobrze. Musimy spróbować. Nie pomoże, ale trochę przedłuży. – Patrzył na zbiornik. – Czy trzeba zawiadomić policję?

–Tak – powiedział Veber – powinienem. Ale wtedy przyjdzie dwóch urzędników, którzy zaczną pana przesłuchiwać. *Zgadza* się pan?

–Nie.

–Właśnie. Obgadamy to w południe.

–Dosyć, Eugenio – powiedział Ravic. Skronie Joanny nabrały nieco barwy. Szara biel przybrała odcień różowawy. Tętno było równe, słabe, ale wyraźne.

–Można ją zabrać. Ja tu zostanę.

Poruszyła się. Jedna ręka drgnęła. Prawa ręka drgnęła. Lewa nie. – Ravic – powiedziała Joanna.

–Tak…

–Operowałeś mnie?

–Nie, Joanno. Nie było trzeba. Oczyściliśmy tylko ranę.

–Zostaniesz tu?

–Tak…

Zamknęła oczy i znów zasnęła. Ravic podszedł do drzwi.

–Niech pani mi przyniesie trochę kawy – powiedział do dziennej siostry.

–Kawę i pieczywo?

–Nie, tylko kawę.

Wrócił i otworzył okno. Nad dachami stał jasny, wspaniały poranek. Na rynnach ćwierkały wróble. Ravic usiadł na parapecie i zapalił. Dym ulatywał oknem.

Pielęgniarka wróciła z kawą. Postawił ją obok; pił, palił i wyglądał oknem. Kiedy odwrócił oczy od wspaniałego poranka, pokój wydał mu się ciemny. Wstał i spojrzał na Joannę. Spała. Umyto jej twarz, była bardzo blada. Linia ust ledwo widoczna.

Wyniósł tacę z naczyniami. Postawił ją na stole w korytarzu. Czuć tu było pastą do podłogi i ropą. Pielęgniarka niosła wiadro ze starymi bandażami. Gdzieś warczał odkurzacz.

Joanna zaczęła się niepokoić. Za chwilę znów się zbudzi. Zbudzi się w bólach. Bóle będą wzrastać. Pożyje jeszcze Mika godzin albo kilka dni. Ból stanie się tak silny, że nie złagodzi go żaden zastrzyk.

Ravic poszedł po strzykawkę i ampułki. Joanna otworzyła oczy, kiedy wszedł. Spojrzał na nią.

–Głowa boli – szepnęła.

Czekał. Próbowała poruszyć głową. Powieki jej ciążyły. Z wysiłkiem zwróciła ku niemu spojrzenie.

–Jak z ołowiu… – Przytomność wracała. – Nie wytrzymam tego…

–Za chwilę przejdzie… Dał jej zastrzyk.

–Przedtem tak nie bolało… – Poruszyła głową. – Ravic -wyszeptała – nie chcę cierpieć. Ja… przyrzeknij, że nie będę cierpieć… moja babka… widziałam ją… nie chcę tak… nic jej nie pomogło… przyrzeknij…

–Przyrzekam, Joanno. Nie będzie cię bolało. Prawie wcale. Zacisnęła zęby.

437- Czy prędko minie?

–Tak, zaraz. Za parę minut.

–Co mi się stało… w ramię…

–Nic takiego. Nie możesz nim poruszać. To przejdzie.

–1 noga… lewa noga…

Próbowała nią poruszyć. Nie udało się.

–To samo, Joanno. Nie szkodzi. Przejdzie. Poruszyła głową.

–Właśnie chciałam… zmienić życie – wyszeptała.

Ravic nie odpowiedział. Co miał mówić? Może to było prawdą? Któż tego nie zamierza.

Niespokojnie odwracała głowę z boku na bok. Jej głos był monotonny i wydobywał się z trudem.

–Jak to dobrze… żeś przyszedł. Co… by się bez ciebie… stało?

–Tak…

"To samo" – myślał z rozpaczą. "Stałoby się to samo. Każdy fuszer wystarczyłby. Każdy fuszer. Jedyny raz, kiedy tego naprawdę potrzebuję, wszystko, czego się nauczyłem i co wiem, okazało się na nic. Każdy doktorzyna zrobiłby to samo. To znaczy nic".

W południe zrozumiała. Nic jej nie powiedział, zrozumiała nagle sama.

–Nie chcę być kaleką, Ravic… Co się dzieje z moimi nogami?… Teraz już żadną nie mogę ruszać…

–To nic. Będziesz mogła normalnie chodzić, kiedy wstaniesz.

–Kiedy wstanę… Czemu kłamiesz? Nie trzeba… kłamać…

–Nie kłamię, Joanno.

–Owszem… musisz… Nie pozwól mi tu leżeć, kiedy… już tylko ból. Obiecaj.

–Obiecuję.

–Kiedy będzie nie do wytrzymania… musisz mi coś dać… Moja babka leżała pięć dni i krzyczała. Nie chcę tak, Ravic.

–Nie będziesz. Nie będzie cię bardzo bolało.

–Jak już będzie ze mną zupełnie źle… daj mi coś… co wystarczy… Wystarczy na zawsze. Musisz to zrobić… nawet gdybym nie chciała… albo była nieprzytomna… Tylko to jest ważne, co teraz mówię. Potem… obiecaj mi.

–Obiecuję. Ale to niepotrzebne.

Przerażony wzrok złagodniał. Leżała teraz spokojnie.

–Możesz to zrobić, Ravic – wyszeptała. – Gdyby nie ty, i tak bym już nie żyła.

–Głupstwo. Żyłabyś, oczywiście.

–Nie. Wtedy, pamiętasz, jakeśmy się spotkali po raz pierwszy… nie wiedziałam, co zrobić… dałeś mi… ten cały rok. Darowałeś mi go. – Powoli zwróciła ku niemu głowę. – Czemuż nie zostałam… przy tobie?

–To moja wina, Joanno.

–Nie. To było… nie wiem…

Za oknem stało złote południe. Firanki były zapuszczone, ale bokami wdzierało się światło. Joanna zapadła w narkotyczny sen. Mało już z niej zostało. Te kilka godzin zżarło ją jak wilki. Ciało jej pod kołdrą zdawało się zupełnie płaskie. Jej opór malał. Przebywała między snem a jawą, chwilami była nieprzytomna, chwilami zupełnie trzeźwa. Bóle wzrosły. Zaczęła jęczeć. Ravic zrobił zastrzyk.

–Głowa… – wyszeptała. – Znowu gorzej… Po chwili znów *zaczęła* mówić.

–Światło… za jasno się pali…

Ravic podszedł do okna. Namacał żaluzje i spuścił je. Potem zaciągnął szczelniej firanki. W pokoju zrobiło się ciemno. Wrócił i usiadł przy łóżku. Joanna poruszyła wargami.

–Tak długo… trwa… już nie pomaga… Ravic…

–Za parę minut.

Leżała cicho. Jej ręce leżały martwe na kołdrze.

–Muszę ci jeszcze… tyle powiedzieć…

–Potem, Joanno.

–Nie, teraz. Już nie ma czasu… Tyle… wytłumaczyć…

–Chyba wiem prawie wszystko.

–Naprawdę?

–Tak myślę…

Fale. Ravic widział, jak przebiegają ją fale skurczów. Teraz paraliż sięgnął obu nóg. I obu ramion. Pierś unosiła się jeszcze w oddechu.

–Wiesz… że zawsze… tylko przy tobie…

–Tak, Joanno.

–Tamto… taki niepokój…

–Tak, wiem.

439Chwilę leżała cicho. Oddychała z trudem.

–Dziwne – powiedziała nagle bardzo cicho. – Dziwne, że można umrzeć, kochając…

Ravic pochylił się nad nią. Już tylko ciemność i ta twarz.

–Nie byłam dobra dla ciebie – wyszeptała.

–Byłaś moim życiem…

–Nie mogę… chcę… nie mogę cię już objąć… Widział, jak usiłowała unieść ramiona.

–Trzymam cię w ramionach – powiedział – a ty mnie.

Na chwilę przestała oddychać. Oczy jej objął cień. Otworzyła je. Źrenice rozszerzone. Ravic nie wiedział, czy go jeszcze dostrzega.

–*Tl amo* – powiedziała.

Mówiła w języku swego dzieciństwa. Była zbyt zmęczona, żeby szukać innych słów. Ravic ujął jej bezwładne ręce. Coś się w nim rwało.

–Tyś sprawiła, że żyję – mówił do tej twarzy o nieruchomym spojrzeniu. – Tyś to sprawiła, że żyję, Joanno. Byłem kamieniem. Przy tobie wróciłem do życia…

-Mi amil

Pytanie dziecka, które chce zasnąć. Ostateczne, całkowite wyczerpanie.

–Joanno – powiedział Ravic – słowo “miłość" tu nie wystarcza. To nie dosyć. To tylko mała

cząsteczka tego uczucia, kropla w rzece, liść na drzewie. To jest o wiele więcej…

–*Sono stała… sempre con te…*

Ravic trzymał jej ręce, które nie czuły już uścisku.

–Byłaś zawsze przy mnie – powiedział, nie zdając sobie sprawy, że mówi po niemiecku. – Byłaś zawsze przy mnie, bez względu na to, czy kochałem cię, czy nienawidziłem, czy udawałem obojętność. To nic nie zmieniało, byłaś zawsze przy mnie i zawsze we mnie.

Dotychczas rozmawiali ze sobą zapożyczonym językiem. Teraz, po raz pierwszy i nieświadomie, każde z nich przemawiało własnym. Upadła bariera słów i rozumieli się lepiej niż kiedykolwiek.

-Baciami…

Ucałował jej suche, gorące wargi.

–Zawsze przy mnie byłaś, zawsze, Joanno…

–*Sono stała… perduta… senza di te…*

–Ja byłem bardziej zgubiony bez ciebie. Byłaś moją radością, goryczą i miodem… wstrząsnęłaś mną, dałaś mi siebie i mnie samego… wróciłaś mi życie.

Joanna leżała bez ruchu. Nie przestawał jej obserwować. Członki jej obumarły, wszystko w niej umarło, żyły jeszcze tylko oczy, usta i oddech, ale wiedział, że teraz musi nastąpić paraliż pomocniczych mięśni oddechowych. Już ledwo mogła mówić, dyszała ciężko, zgrzytając zębami, spazm wykrzywił jej twarz, walczyła jeszcze. Skurcz sięgnął krtani, próbowała mówić, wargi drżały. Zaczęła rzęzić, potwornie rzęzić, wreszcie przebił się jej krzyk:

–Ravic – jęczała – pomóż! Pomóż! Teraz!

Miał strzykawkę w pogotowiu. Chwycił ją szybko i wbił igłę pod skórę. Joanna nie będzie się dusiła wolno, w męce. Nie będzie cierpiała bez celu. Nic już prócz bólu z niej nie pozostało. A mogło to trwać jeszcze parę godzin…

Powieki jej zatrzepotały. Potem uspokoiła się. Rozchyliły się wargi. Przestała oddychać.

Ravic rozsunął zasłony i podniósł żaluzje. Potem wrócił do łóżka. Twarz Joanny była obca i sztywna.

Zamknął drzwi i poszedł do biura. Eugenia przy stoliku porządkowała karty chorych.

–Pacjentka spod dwunastego umarła – powiedział. Eugenia, nie patrząc na niego, skinęła głową.

–Czy doktor Veber jest u siebie?

–Tak sądzę.

Ravic przeszedł korytarz, niektóre drzwi były otwarte. Wszedł do gabinetu Yebera.

–Dwunastka umarła, Veber. Może pan wezwać policję. Yeber nie podniósł głowy.

–Policja ma teraz inne kłopoty…

–Co?

Yeber wskazał na dodatek nadzwyczajny “Martin". Niemcy wtargnęli do Polski.

–Miałem wiadomość z ministerstwa. Dziś jeszcze będzie wypowiedziana wojna. Ravic odłożył gazetę.

–Więc tak, Yeber.

–Tak. Koniec. Nieszczęsna Francja!

Ravic przysiadł na chwilę, czuł w sobie całkowitą pustkę.

440

441- Nie tylko Francja, Veber – powiedział. Veber popatrzył na niego.

–Dla mnie tylko Francja. To dość. Ravic nie odpowiedział.

–Co pan z sobą zrobi? – spytał po chwili.

–Nie wiem. Pewno się zgłoszę do mego pułku. To tutaj -zrobił szeroki gest – ktoś będzie musiał przejąć.

–Zostanie pan. W czasie wojny szpitale są potrzebne. Zostawią pana tutaj.

–Nie chcę tu zostać. Ravic rozejrzał się.

–To ostatni mój dzień u pana. Ale chyba wszystko zostawiam w porządku. Przypadek macicy przychodzi do siebie; woreczek żółciowy w porządku; rak beznadziejny, dalsze operacje byłyby bezcelowe. To chyba wszystko.

–Czemu? – spytał Veber ze znużeniem. – Czemu to ma być pana ostatni dzień?

–Zatrzymają nas, jak tylko wojna zostanie wypowiedziana. – Ravic zdał sobie sprawę, że Veber chce coś wtrącić. – Nie kłóćmy się o to. Zrobią tak.

Veber usiadł.

–Nic już nie wiem. Wszystko jest możliwe. Może nawet nie będzie walk. Po prostu poddadzą cały kraj? Co my wiemy? Ravic wstał.

–Wrócę wieczorem, jeśli tu jeszcze będę. O ósmej.

–Tak.

Ravic wyszedł. W hallu siedział aktor. Zupełnie o nim zapomniał. Tamten, zobaczywszy go, zerwał się.

–Jak ona się czuje?

–Umarła.

Mężczyzna popatrzył na niego.

–Umarła? – Tragicznym gestem przycisnął ręce do serca i zachwiał się.

"Przeklęty komediant" – pomyślał Ravic. "Pewno często odgrywał to na scenie i teraz z łatwością wchodzi w rolę. Ale może też być uczciwy, a tylko zawodowe gesty absurdalnie towarzyszą rzeczywistej rozpaczy".

–Czy mogę ją zobaczyć?

–Po co?

–Muszę ją raz jeszcze widzieć. – Znów przycisnął obie ręce

do piersi. Trzymał jasnobrazowy kapelusz z jedwabnym brzeżkiem. – Czy pan tego nie rozumie? Muszę… Miał łzy w oczach.

–Panie – powiedział ze zniecierpliwieniem Ravic – niech pan się lepiej stąd wynosi. Ta kobieta nie żyje i tego faktu nic nie zmieni. Musi pan to załatwić sam z sobą. Idź pan do diabła! Nikogo to nie wzrusza, czy pan zostanie skazany na rok więzienia, czy też dramatycznie uniewinniony. Czy tak, czy tak, za kilka lat będzie się pan miał czym chwalić wobec innych kobiet. Ułatwi to panu podboje. Precz stąd, idioto!

Popchnął go ku drzwiom. Mężczyzna wahał się chwilę. Już w drzwiach odwrócił się ku Ravicowi.

–Bydlę bez serca! *Sale boche*

Ulice były zatłoczone. Ludzie stali w grupach przed wielkimi świetlnymi biuletynami dzienników. Ravic pojechał do Ogrodu Luksemburskiego. Przed aresztowaniem chciał być parę

godzin sam.

Ogród był pusty. Pławił się w ciepłym słońcu jesiennego popołudnia. Liście czuły bliskość jesieni, nie jesiennego zamierania, lecz jesiennej dojrzałości. Światło było złote, niebo wywiesiło ostatnią błękitną flagę lata.

Długo tam siedział. Światło zmieniło się, cienie wydłużyły. Wiedział, że to ostatnie godziny jego wolności. Właścicielka "Internationalu" nie będzie mogła nikogo ochronić, z chwilą gdy wojna zostanie wypowiedziana. Pomyślał o Rolandzie. Ale i Rolanda nie będzie mogła. Nikt. Jeśliby próbował uciec, aresztują go jako szpiega.

Siedział tak do wieczora. Nie był smutny. Przepływały przed nim twarze. Twarze i lata. A potem ta ostatnia twarz, niepo-ruszona.

O siódmej poszedł. Opuszczał ostatni skrawek pokoju, ciemniejący park, i wiedział o tym. Przeszedł kilka kroków ulicą i zobaczył ostatnie wydania gazet. Wojna została wypowiedziana.

Zjadł coś w barze, gdzie nie było radia. Potem wrócił do kliniki. Yeber wyszedł naprzeciw niego.

–Czy mógłby pan zrobić cesarskie cięcie? Właśnie nam kogoś przywieziono.

–Oczywiście.

Poszedł się przebrać. Po drodze spotkał Eugenię. Aż ją zatkało, kiedy go zobaczyła.

442

443- Pani już się mnie nie spodziewała? – spytał.

–Nie – odrzekła i spojrzała na niego dziwnie. Potem minęła *go* szybko.

Cesarskie cięcie było rzeczą prostą. Ravic robił je prawie mechanicznie. Kilka razy poczuł spojrzenie Eugenii. Nie rozumiał, co jej się stało.

Dziecko zakwiliło. Umyto je. Ravic popatrzył na czerwoną, płaczącą twarzyczkę i maleńkie paluszki. "Nie przychodzimy na świat z uśmiechem" – pomyślał. Podał dziecko pielęgniarce. Był to chłopiec.

–Kto wie, w jakiej wojnie ten weźmie udział? – powiedział Ravic.

Umył się. Koło niego mył się Yeber.

–Gdyby pana rzeczywiście aresztowano, niech mi pan natychmiast da znać, gdzie pana trzymają.

–Po co pan ma sobie robić jakiś kłopot? Dziś lepiej się nie zadawać z ludźmi mego pokroju.

–Dlatego, że był pan Niemcem? Ależ pan jest uchodźcą! Ravic uśmiechnął się smutno.

–A czy pan nie wie, że uchodźca to kamień wśród kamieni? Dla swoich – zdrajca, dla obcych zawsze obywatel swojego państwa.

–Dla mnie to nie ma znaczenia. Chciałbym pana wydostać tak szybko, jak tylko się da. Niech się pan na mnie powoła.

–Jak pan chce. – Ravic wiedział, że tego nie zrobi.

–Okropna myśl! I co pan tam będzie robił?

–Lekarz ma zawsze coś do roboty. – Ravic wytarł ręce. – Czy chce mi pan oddać przysługę? Niech pan się zajmie pogrzebem Joanny Madou. Ja już nie zdążę.

–Naturalnie. Może trzeba coś jeszcze załatwić? Oddać jej rzeczy czy coś takiego?

–Pozostawmy to policji. Nie wiem nawet, czy miała jakichś krewnych. To zresztą nie ma znaczenia. Włożył płaszcz.

***-Adieu,* Yeber! Dobrze mi się z panem pracowało.**

***-Adieu,* Ravic. Mamy jeszcze rachunki za cesarskie cięcie.**

–To na koszty pogrzebu. I tak wyda pan więcej. Chciałbym panu zostawić trochę pieniędzy.

–Wykluczone, wykluczone, Ravic. Gdzie pan chce, żeby ją pochować?

–Wszystko jedno. Gdzieś na cmentarzu. Zostawiam panu jej

nazwisko i adres. – Ravic napisał parę słów na szpitalnym bloczku.

Yeber położył kartkę pod kryształowy przycisk, na którym przymocowany był srebrny baran.

–W porządku, Ravic. Myślę, że za parę dni i mnie już tu nie będzie. Bez pana i tak nie moglibyśmy dużo operować. Wyszedł z nim razem.

***-Adieu,* Eugenio – powiedział Ravic.**

***-Adieu,* panie Ravic. – Popatrzyła na niego. – Idzie pan do hotelu?**

–Tak. Czemu?

–Ach, nic, tak sobie tylko pomyślałam… Było ciemno. Pod hotelem stała ciężarówka.

–Ravic! – zawołał Morozow, wychodząc z sąsiedniej bramy.

–Borys? – Ravic przystanął.

–W hotelu jest policja.

–Tak sobie właśnie myślałem.

–Mam tu dowód tożsamości Iwana Kluge. Wiesz, tego zmarłego Rosjanina. Ważny jeszcze na półtora roku. Chodź ze mną do "Szeherezady", zmienimy fotografie. Potem przeniesiesz się do innego hotelu jako uchodźca z Rosji.

Ravic potrząsł głową.

–Za duże ryzyko, Borysie. Podczas wojny niedobrze jest mieć fałszywe dokumenty. Już lepiej nie mieć żadnych.

–Więc co zrobisz?

–Pójdę do hotelu.

–Czy dobrze się zastanowiłeś, Ravic? – spytał Morozow.

–Jak najlepiej.

–Tam, do diabła! Kto wie, gdzie oni cię wpakują!

–W żadnym razie nie wydadzą mnie Niemcom. To już się skończyło. I nawet nie wyślą do Szwajcarii. – Ravic uśmiechnął się. – Po raz pierwszy od siedmiu lat policja będzie nas chciała zatrzymać, Borysie. Ale na to trzeba było wojny.

–Podobno ma być urządzony obóz koncentracyjny w Long-champs. – Morozow szarpał brodę. – Po to uciekłeś z obozu niemieckiego, żeby się dostać do francuskiego.

–Może nas wkrótce zwolnią. Morozow milczał.

–Borysie – powiedział Ravic – nie martw się o mnie. Lekarze są potrzebni podczas wojny.

445- Jakie nazwisko im podasz?

–Moje własne. Użyłem go tu tylko raz, pięć lat temu. – Ra-vic zamilkł na chwilę. – Borysie – powiedział potem – Joanna nie żyje. Ktoś ją zastrzelił. Leży u Yebera w klinice. Musi być pochowana. Veber obiecał mi, że się tym zajmie, ale może być już przedtem powołany. Dopilnujesz tego? Nie pytaj o nic, powiedz tylko "tak" i koniec.

–Tak – powiedział Morozow.

–W porządku. Żegnaj, Borysie. Weź z moich rzeczy, co ci się przyda. Zajmij mój pokój. Zawsze mi zazdrościłeś łazienki. No, idę. Do widzenia.

–Gówno – powiedział Morozow.

–Dobrze. Po wojnie spotkamy się u Fouąueta.

–Po której stronie? Od Pól Elizejskich czy od Avenue Geor-geV?

–George V. Jacy z nas idioci! Heroiczni idioci. Do widzenia, Borysie.

–Gówno – powtórzył Morozow. – Nawet nie mamy odwagi pożegnać się przyzwoicie. Chodź tu, idioto!

Ucałował go w oba policzki. Ravic poczuł kłucie zarostu i zapach fajkowego tytoniu. Nie było to miłe. Wszedł do hotelu.

Uchodźcy skupili się w katakumbach. “Jak pierwsi chrześcijanie – pomyślał Ravic. “Pierwsi Europejczycy". Mężczyzna w cywilnym ubraniu siadł przy biurku pod sztuczną palmą i spisywał dane personalne. Dwóch policjantów pilnowało drzwi, przez które nikt nie myślał uciekać.

–Paszport? – spytał Ravica.

–Nie mam.

–Jakieś inne dokumenty?

–Nie mam.

–Przebywa pan tu nielegalnie?

–Tak.

–Czemu?

–Uciekłem z Niemiec. Nie mogłem dostać żadnych papierów.

–Nazwisko?

–Fresenburg.

–Imię?

–Ludwik.

–Żyd?

–Nie.

–Zawód?

–Lekarz. Mężczyzna zapisywał.

–Lekarz? – spytał, trzymając przed sobą świstek papieru. – Może pan zna lekarza, który się nazywa Ravic?

–Nie.

–Podobno tu mieszka. Otrzymaliśmy doniesienie. Ravic spojrzał na niego. “Eugenia" – pomyślał. Pytała go, czy idzie do hotelu, dziwiła się, że jest jeszcze na wolności.

–Już panu mówiłam, że nie ma tu nikogo o takim nazwisku – powiedziała właścicielka, która stała w drzwiach prowadzących do kuchni.

–Spokój – powiedział z niezadowoleniem mężczyzna. – Pani i tak będzie ukarana za trzymanie ludzi nie meldowanych.

–Jestem z tego dumna. Jeśli się karze za ludzkie uczucia, to bardzo proszę!

Urzędnik spojrzał na nią, jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Właścicielka popatrzyła na niego wyzywająco. Miała wysoką protekcję, nie bała się go.

–Proszę spakować rzeczy – powiedział mężczyzna do Ra-vica. – Bieliznę i żywność na jeden dzień. Koc także, jeśli pan ma.

Policjant poszedł z nim na górę. Prawie wszystkie drzwi stały otworem. Ravic wziął walizkę i koc.

–Nic więcej? – spytał policjant.

–Nic więcej.

–Resztę pan tu zostawia?

–Resztę zostawiani.

–1 to też? – Policjant wskazał na stół koło łóżka, gdzie stała drewniana Madonna, prezent Joanny po ich pierwszym spotkaniu.

–1 to też.

Zeszli. Klarysa, alzacka kelnerka, podała Ravicowi paczkę. Zauważył u wszystkich podobne.

–To jedzenie – powiedziała właścicielka. – Żeby pan nie był głodny. Na pewno nic nie przygotowano tam, gdzie was zabierają.

Popatrzyła na cywilnego urzędnika.

447- Nie gadać tyle – powiedział z gniewem. – Czy to ja wypowiadałem wojnę?

- Oni też nie.

–Proszę mi dać spokój! – Popatrzył na policjanta. – Grotowi? Proszę ich wyprowadzić.

Ciemna grupa zaczęła się poruszać. Ravic dostrzegł mężczyznę z kobietą, która widziała karaluchy. Podtrzymywał ją wolnym ramieniem. Pod pachą niósł walizkę, drugą trzymał w ręku. Chłopak też dźwigał walizę. Mężczyzna spojrzał błagalnie na Ravica. Ravic skinął głową.

–Mam z sobą lekarstwa i instrumenty – powiedział. – Proszę się nie obawiać.

Wsiedli do ciężarówki. Motor zaterkotał. Wóz ruszył. Właścicielka machała ręką, stojąc w progu. Ktoś zapytał policjanta:

–Dokąd jedziemy?

–Nie wiem.

Ravic stał koło Rosenfelda i fałszywego Arona Goldberga. Rosenfeld trzymał pod pachą rulon. Był w nim Cezanne i Gau-guin. Twarz mu drgała.

–Wiza hiszpańska – powiedział – skończyła się, zanim… -Urwał. – Ścierwnik wyjechał – powiedział potem. – Markus Meyer. Wczoraj, do Ameryki.

Wóz trząsł. Stali ciasno jeden przy drugim. Prawie nikt się nie odzywał. Zakręt. Ravic spostrzegł fatalistę Seidenbauma. Stał wtłoczony w sam róg.

–Znowu na nas przyszło – mruknął. Ravic zaczął szukać papierosa. Nie znalazł. Przypomniał sobie jednak, że ma dużo papierosów w torbie.

–Tak – powiedział. – Człowiek może wiele wytrzymać.

Ciężarówka minęła Avenue Wagram i skręciła na plac de rĆtoile. Nigdzie nie było światła. Plac stał się morzem ciemności. Zginął w niej nawet Łuk Triumfalny.

This file was created with BookDesigner program

booklesigner@the-ebook.org

6/7/2009

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/